

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 4000.—

AKCENT nr 1-2 (39-40) 1990

a

1-2

(39-40)
1990

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



ARABOWIE • AMERYKANIE • LITWINI • NIEMCY

*Na pograniczu
narodów i kultur (II)*

POLACY • ROSJANIE • TATARZY • WĘGRZY • ŻYDZI

akcent

a

rok XI

nr 1-2 (39-40)

1990

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
IZABELLA GAWARECKA-ADAMCZYK
TADEUSZ KWIATKOWSKI-CUGOW
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Redaktor techniczny
Jarosław Solecki

Korekta
Janina Huneck

Wydano przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 35207

Copyright 1990 by „Akcent”

SPIS TREŚCI

- Selim Chazbijewicz: *wiersze* / 7
Monika Adamczyk-Garbowska: *Pisarz i diabeł* / 14
Salman Rushdie: *Szatańskie wersety* / 20
Tadeusz Żukowski: *Elegie* / 27
Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Z „Dziennika Sprzedawcy Oplatków”* / 31
Armin Müller: *Lalkarz König i ja* / 49
Wacław Oszajca: *Żwiartów* / 63
Władysław Panas: *Literatura polsko-żydowska: zamach pióra* / 69
Aleksander Rozenfeld: *wiersze* / 78
Marek Ehrenpreis: *Podróż Żyda po Hiszpanii. Przez ulice żydowskie Średniowiecza* / 82
Halina Birenbaum: *wiersze* / 91
Elżbieta Muciek: *Zniszczenie „wartepowego” świata. O trzech powieściach Leopolda Buczkowskiego* / 94
Mikołaj Bierdiajew: *Rosja* / 104
Zofia Grzesiak: *opowiadania* / 117
Stanisław Jedynak: *Lwów — na krawędzi nachylonej ku Zachodowi miasto obrzeżone smugą Wschodu* / 128
Jan Bill: *wiersze* / 138
Mykola Rjabczuk: *Substancja piekła* / 140
Jan Kielewicz: *Wegetarianin* / 149
Waldemar Dagilis: *Z problemów kultury ukraińskiej w II Rzeczypospolitej* / 157
Zygmunt Mańkowski: *Dokument w kwestii ukraińskiej* / 169
Teotyn Rott-Żebrowski: *Zamłkłe echa...* / 175
Aleksander Jurewicz: *Kronika ludzka. 1986* / 199
Krzysztof Woźniakowski: *Od Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego do Związku Polaków na Litwie* / 203
Romuald Mieczkowski: *wiersze* / 216
Selim Chazbijewicz: *Tatarzy w polskiej literaturze Wileńszczyzny* / 218
Urszula Osypiuk, Stefan Symotiuk: *Upadek Polski jako „pre-figura” upadku Europy* / 225
Wacław Iwaniuk: *wiersze* / 235
Danuta Mostwin: *Łańcuch pokoleń* / 238
Thomas J. Napierkowski: *Polscy sąsiedzi. Proza Anthony'ego Bukoskiego* / 244
Anthony Bukoski: *Dzieci obcych ludzi* / 251
Sandor Csóóri: *Poczucie nieskończoności* / 259; *Państwo a wyobraźnia pisarza* / 261

PRZEKROJE

- Paweł Hetmański: *Dzieci Baal Szem Towa* / 264
Monika Adamczyk-Garbowska: *Pamięć jako terapia* / 267
Renata Próchniak: *Narodziny z własnej pamięci* / 271
Arkadiusz Baglajewski: *Archeologia duchowości polskiej* / 273
Antoni Bednarek: *Seinik pisarzy emigracyjnych* / 276

FILOZOFIA

- Tadeusz Kwiatkowski: *Polska szkoła filozoficzna zwana lwowsko-warszawską i jej etos* / 280

PLASTYKA

- Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Curik a heim* / 294
Antoni Maśliński: *Wileńskie arcydzieła wczesnego baroku* / 305
Dorota Kudelska: *Malczewski i Matejko w Przemyślu* / 318

MUZYKA

- Witold Rudziński: *Notatki z życia muzycznego w Wilnie i na Wileńszczyźnie w okresie dwudziestolecia międzywojennego* / 321

ROZMOWY

- Europa Środkowowschodnia: spojrzenie z zewnątrz. Z profesorem Josephem Rothschildem rozmawia Krzysztof Garbowski* / 328

NOTY

- Lajos Pallalvi: *Nad tekstami Vincenza* / 337
Jerzy Snopek: „*Na dzień popiołu gwiazdzisty diament*” (Kilka uwag w związku z książką Istvana Kovácsa) / 339
Małgorzata Łabęcka-Koecherowa: „*Urząd Nasreddina Hodży*” — pierwsza komedia turecka w zbiorach polskich / 342
Kwartalnik „*Życie Muzułmańskie*” / 346
Jagoda Hernik: *Wileńskie Środy Literackie* / 348
Waldemar Smaszcz: *Dwie koncepcje polonistyki wileńskiej: prof. Manfred Kridl i prof. Konrad Górski* / 352
Eugenia Łochowa: *Z życia Uniwersytetu Jana Kazimierza w pierwszych latach Drugiej Rzeczypospolitej* / 356
Waldemar Michalski: „*Wilno — Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur*” / 361
Jan Miziński: *Instytut Tłumaczy Uniwersytetu Wiedeńskiego* / 365
Monika Adamczyk: *Z Wilna na Manhattan* / 367

OBYCZAJE

- Tadeusz Chrzanowski: *Koniec zgody narodów?* / 369

Contents and Summaries / 376

SELIM CHAZBIJEWICZ

Mistyka wspomnień

Cóż jest ojczyzną Tatarów?
Ciemna pieśń wychodząca z samotności
Podlaski krajobraz dworek kresowy
książka z arabskimi literami
kryjąca deszcz i raj
Przypowieści omszałych ksiąg - Kitabów
odległy Wschód
przechodzą nieme szeptane
przez wargi przez
piasek

II.

Nieme są księgi Tatarów
A ich kobiety odchodzą
bez wojowników
Nie ma już ognisk dymów
i zaścianków
Dotąd cisza
przeszukuje domy
ubrania
podlaski piach

Dżyngis Chan

Ojciec mój duchowy i przodku — Dżyngis Chanie
będący oczekiwana mistyką Azji
Wodzu Duchowy idei Wielkiego Turanu
ojczyzny wszystkich ludów tureckich
żelazna orda mongolska konnica step
błyszczące szablami nieprzeliczone ilości
wojowników świst arkanów tętent kurzu stepu
chłodna poranna rosa modlitwy
Ojciec mój duchowy Dżyngis Chanie
oto ja Twój potomek w środku Europy
Wielki Chanie podniesiony na wojłoku przez
Azję przyszłości świata

I wy Mangu Kubilaj Batu Ugedej
 I wy Edygej Hadži Gerej
 I wy Ismael Bej Gasprinski Dżafar
 Seydamet Ayaz Ishaki
 I wy miliony wojowników Azji
 powstańcy Afganistanu stanowiący poranną
 tęsknotę przestrzeni
 mistyki istnienia
 przepowiedziany przez Mickiewicza Solowjowa
 Ty wojownikowi świata mieczu sprawiedliwości Biczu Boży
 Wielki chaniej mojej mistyki polityki i poezji
 O ty Ukryty wodzu azjatyckich dusz
 Powstańcie jako Mesjasz Mahdi
 poprowadzisz moją dłoń i myśl
 Przestrzeni unaoczniona wetkniesz mój buńczuk
 zwycięstwa we wszystkie tajemnice i całe bogactwo
 świata i kolkap białych chanów na mą głowę wdziesz
 i będziesz we mnie
 zawsze — — —

Derwisz szalony

Gdziekolwiek jesteś — Dżalaleddinie Rumi
 poeto, gdy skąpe światło wąskich uliczek
 Konii wsącza się w sen
 I zasypiam wymieniając 99 imion Allaha
 Przychodzisz do mnie we śnie
 Twój biały burnus wiruje
 Przynosząc wiatr deszczu
 i miłość.
 Dżalaleddinie wyruszyłeś szukać
 Nauczyciela
 Brodaty, zmęczony, siedzisz
 nad kawą, a już świt
 wszystko staje się znów
 przeraźliwie obce
 Miraże Wschodu oddalają się
 wszystkie mistyczne ścieżki
 wiedzą w biel pościeli
 nieraz ucieczka staje się
 niemożliwa zaznajesz tylko
 siebie
 chciałeś uciekać przez kobietą
 rozjeżdżone ulice
 świt w wąskich uliczkach oddech
 zdziwienie
 biały burnus wiruje coraz bardziej
 wszystko inne jest zbędne jak lęk jak

ktos kto nie chce jarzzące się świadomości
 obrazu wszystkich mistyków
 Ty spadający jak miecz wojownika
 na przerażenie mieszkańców miast
 ocal moje spalone pustynnym
 piaskiem oczy moje
 dziecko kobietę i dom przy
 wąskiej stromej uliczce
 gdzie świt wdziera się cykaniem świerszczy
 i wołaniem muezzina
 biały burnus
 wiruje coraz bardziej
 tkliwa zapaść kobiety
 więc nikt tak nie nienawidzi jak ty
 coraz czulej opada sen
 wdziera się w gardło pustynny piasek
 i już jestem
 tam gdzie mój Nauczyciel
 nad ranem zmęczony
 brodaty nad kawą
 biały burnus wiruje szaleńczo
 ocal mnie zapaści
 ocal mnie mój burnus wtedy
 kiedy już umrę naprawdę
 Nie odchodź kochany
 jakże już obcy przez to
 a kręgi baniek mydłanych
 coraz szerzej oddają tajemnicę
 bądź mną bądź mną
 biały burnus
 Stopy grzęzną w piasku coraz
 więcej jak najwięcej grzęzną
 i nad ranem pęka ciało rozpacz
 jest nienawiścią więzienia siebie
 i pokorą pysznych
 kartki tylko one mówią
 jeszcze mówią to co choć
 nie uciekaj jakże okrutny
 Mirzo — szaleńcze wolności —

Krym

pamięci Dżafara Seydameta

Krymie mój we śnie drżący
 chrzęstem kindżałów i śpiewu
 gwiazdom pieśni nuciący
 buńczukiem gniewu

Do ciebie błękitny Krymie
Wrócę w blasku poczy
Krople tęsknoty w Ocean
przeleję w Bakczysaraju
Krymie mój w czasie odległy

Czerwonym terrorem stracony
uludą wschodniej melodii
mystyką ostatniej modlitwy
ostatniej świecącej pochodni

i w chrzeście zbroi zbrukany
AlKoran wzniesie strzelisty
minaret Bakczysaraju

Krymie mój zdruzgotany
bądź mi wróconą ojczyzną

Symbole

Czarne ptaki zwierzęta
i demony opowiedziały sny
moich przodków
Trzepotały liście jarzębiny
Jastrzębie ssały symbole
Jesień opadła mistyką
Wschodu

Wielki Turan

Plonące słońca Turanu
Czerwień cienia i brąz ciała
błysł szabl i buńczuka
deszcz

Gwiazdo Turanu
słona kobieto Azji
duchy przodków wychodzą
z bębna i piszczałki

Jeźdźcy zbliżają się do meczetu
skrzypi wiatr między
deskami dziewczyna
zbliża brązowe ciało kropla
deszczu na włóczni

W pyle i kurzu dojeżdżam
do Kruszyńian
drobna częśćka Wiecznego Turanu

Powyrzucam wszystkie kobiety
choć ich ciała fascynowały mnie
jadłem je i piłem a one
tak gorliwie umierały na śmierć
w snach trawował je
jeździec z buńczukiem
a były jak trawa na wiosnę
radośnie chłonęły deszcz
a woda z ich ciała
spływała w sypki
piasek
pod stopy
mistycznej karawany

Lipkowie

(poemat szamański)

Otwieraj kobieto — rzekł szaman —
Otwieraj swe brunatne ciało
owinięte kożuchem
zdejmij bransolety z umięśnionych nóg
umaluj swe paznokcie
różem i srebrem
Bądź księżycową klaczą —
Zawrzyj w sobie ogień i wodę.
Pij wodę siedząc przy ogniu
Pij herbatę po każdym spełnieniu
Obmyj swe złote runo matki
Rozchyl wargi kobieto
Rozchyl rytualnie uda
Niech pomiędzy nie wchodzi
Pachnąca trawa
Bądź rozkoszą kobieto —
Szaman wszedł w nią aż po światło
księżycy, stał się strzałą i łukiem
było ciało kobieto, słońce rozświetliło
lekkim brzaskiem step, rosa leżała na trawie
odumarta swym byciem
głosem i zapachem.
Zasnęły Zwierzęta i była Czysta.
Tak począł się, a później narodził
Ten, którego kobieta karmiła
własną pierśią odurzającym mlekiem.

Jesteś moją matką, kobieto,
 rzekł Ten, po czym upolował zwierzę.
 Najpierw w Ziemi zniknął Szaman,
 potem Ziemia pochłonęła kobietę
 i Ten został sam.
 I znowu upolował zwierzę, zjadł je
 i napił się wody.
 Jestem Ten, powiedział sam do siebie
 i wtedy z jego zdziwionego głosu
 powstała Ta.
 Wtedy Ten znowu upolował zwierzę
 i upiekł je i przyniósł wody
 aby Ta się najadła i została kobietą.
 Kiedy Ta została kobietą, Ten
 wszedł w nią i Ta urodziła mu
 Jego i Ją.
 Ten i Ta zniknęli w czeluściach Ziemi,
 zaś On i Ona byli ze wszystkimi
 zwierzętami.
 I zwierzęta kochały ich i oni
 zwierzęta.
 On został mężczyzną. Ona kobietą,
 tak chciało Światło.
 Wtedy on wziął luk i strzelił.
 Ona uśmiechała się, Światło się
 cieszyło.
 Wtedy On strzelił po raz drugi,
 Ona przestała się uśmiechać
 a Światło stało się smutne.
 Wtedy On strzelił po raz trzeci.
 Zrozumiał, że zabił.
 I wtedy zwierzęta przyniosły im
 ogromny sztandar, On dosiadł
 konia, Ona kłaczy i wyruszyli
 by zaistnieć.
 Istnieli aż po granice Gestu
 rozumiawszy Sen,
 zwalczywyszy cienie i niepokój.
 Wtedy umyli twarze i zwrócili się
 do Świata.
 A Światło uśmiechało się, i wtedy
 On i Ona zrozumieli.
 Zostali ludźmi.
 Zostali Księgą Siebie.
 Zaczęli żyć.
 I żyli.

Mesjanizm stepów

Kiedy każdego dnia rano atakuje mnie codzienność
 I boli mnie każda z rzeczy która moją jest
 Kiedy nienawiść i tęsknota szarpiają spłot słoneczny
 Kiedy brak nadziei i wątpliwości jak oszalałe
 zwierzęta wgrzają się w to co kiedyś było
 moją duszą a rozpacz i samotność chwytają mnie
 za gardło i kiedy wiem że ten dzień może być
 moim kolejnym Waterloo i kiedy robię wszystko
 aby etyka przestała być punktem odniesienia
 a stała się podstawą kiedy rzeczywistość
 staje się wściekłym zwierzęciem które trzeba
 zabić by żyć — nagle rozstępuje się wewnętrzna
 przestrzeń — w ciszy w skwarze lata słychać
 mistyczną muzykę fletu w błękiecie Wewnętrznego
 Nieba jaśnieje kojącym blaskiem tamga Girejów
 Metafizyka wewnętrznego światła — Spokój
 Cisza wewnętrznego Oceanu —

Selim Chazbijewicz

Książki nadesłane

Instytut Wydawniczy PAX

Frederick Copleston: *Historia filozofii*, t. 8: *Od Bentham'a do Russell'a*. Przełożył Bohdan Chwedeńczuk. Śa. 594, nakład 20 350 egz., cena zł. 4500.—

Jean Ladrière: *Nauka, świat i wiara*. Wyd. 2. Śa. 211, nakład 5350 egz., cena zł. 1000.—

Jacques Rollet: *Spółczesność teologii współczesnej*. Wyd. 2. Przełożyła Ewa Burka Śa. 176, nakład 15 330, cena zł. 1500.—

Jarosław Rudnicki: *Kompromis i walka. Sprawność i etyka kooperacji pozytywnej i negatywnej w gestym otoczeniu społecznym*. Śa. 334, nakład 10 350 egz

Maria Starzyńska: *Pani w kamiennym portrecie. Opowieści o dziejach wizerunku i sanktuarium Matki Bożej w Leśnej Podlaskiej*. Śa. 178, nakład 20 350 egz., cena zł. 1000.—

Maria Szyzkowska: *Filozofia prawa i filozofia człowieka*. Śa. 292, nakład 5350 egz., cena zł. 2000.—

Książki Instytutu Wydawniczego PAX 1949—1989. Przewodnik. Opracowanie redakcyjne i indeksy Amelia Szafranka. Śa. X111 + 562, nakład 10 350 egz

PISARZ I DIABEL

Był ponury, wrześniowy wieczór. Kończyłam właśnie kolejną dokładną lekturę ostatniej książki Salmana Rushdiego, kiedy odwiedziła mnie znajoma. Słyszała oczywiście wiele o wszystkich związanych z nią wydarzeniach, nic dziwnego więc, że okazała duże zainteresowanie powieścią. Zaproponowałam, że pożyczę jej książkę, gdy tylko nie będzie mi już potrzebna.

Minęło parę godzin. Zapadła noc. Przed odejściem, moja znajoma, osoba światła i wykształcona, nie mająca nic wspólnego z islamem, ale poważnie traktująca sprawy religii, powiedziała: — Wiesz, nie będę czytała tej książki. Coś mnie od niej odpycha. To chyba to imię Szatana w tytule. Lepiej go nie przywoływać.

Kiedy po jej wyjściu wróciłam do lektury *Szataniskich wersetów*, na chwilę przestałam być chłodnym czytelnikiem i krytykiem. Byszcząc, czarno-czerwono-złota obwoluta książki rzeczywiście przywoływała na myśl dantejskie piekło, a ze zdjęcia uśmiechał się diaboliczny pisarz, za którego głowę Wielki Imam wyznaczył nagrodę w wysokości ponad miliona dolarów.

Chmury nad głową pisarza zbierały się już od pewnego czasu. Piątego października 1988 roku *Szataniskie werset*y zostały oficjalnie zabronione w Indiach. Akt ten potraktowano powszechnie jako polityczny manewr obecnego rządu mający zjednać głosy społeczności muzułmańskiej w zbliżających się wyborach. Tak też odeczytało to posunięcie sam Salman Rushdie, który wystosował list do premiera Rajiva Gandhi (opublikowany 13 października w dziennikach indyjskich, a 19 października w „New York Times”) oskarżając go o oportunistę i nieprzestrzeganie swobód demokratycznych w swoim kraju. Powieść została także zabroniona w Pakistanie, Afryce Południowej, Arabii Saudyjskiej i kilku innych krajach. Książka powoli stawała się legendą. W prasie zachodniej zaczęły ukazywać się liczne artykuły o Rushdii, najczęściej opatrzone demonicznym zdjęciem pisarza. Większość zarówno protestujących przeciwko niej, jak i jej obrońców w ogóle nie czytała powieści. Ci pierwsi twierdzili, że nie jest to konieczne, bo niektóre fragmenty bez względu na to w jakim występują kontekście są obrazoburcze, a przynajmniej uznane za takie przez przywódców muzułmańskich. Ci drudzy utrzymywali, że bez względu na to, o czym mówi ta książka, musi być ogólnie dostępna w imię świętego prawa mówić słowa.

Nie kończyło się tylko na komentarzach i recenzjach w prasie. W kilku krajach muzułmańskich, a także w Wielkiej Brytanii zorganizowano demonstracje, w czasie których domagano się kary dla pisarza i palono egzemplarze książki. W angielskim mieście Bradford muzułmanie domagali się wycofania *Szataniskich wersetów* z księgarni i bibliotek.

Pisarz i jego wydawcy trzymali się dzielnie. W drugiej połowie lutego Rushdie miał odbyć literackie tournée po Stanach Zjednoczonych z okazji oficjalnego amerykańskiego wydania powieści. Mimo napiętej atmosfery nikt nie spodziewał się tego, co miało wkrótce nastąpić. Kiedy więc ajatollah Chomeini wydał swój wyrok, pierwszą reakcją był szok, wielu ludzi nie chciało w to wierzyć, wiadomość potraktowano jako nieporozumienie lub tanią sensację. Gdy jednak okazało się, że to nie pomyłka, po ochłonięciu uznano oświadczenie Chomeiniego, za jego kolejny manewr polityczny wymierzony przeciwko Zachodowi, klasyczny przykład szukania kozła ofiarnego, mający odwrócić uwagę od prawdziwych problemów nekających Iran i inne państwa muzułmańskie, manewr służący dalszemu rozbudzeniu i tak już żywych uczuć religijnych.

Akcja zaczęła się toczyć jak w sensacyjnym filmie. Wojna na słowa między Iranem a Wielką Brytanią i innymi państwami zachodnimi, zawieszenie i zerwanie kontaktów dyplomatycznych, odwołanie wizyty pisarza w USA i jego ukrycie się wraz z najbliższą rodziną, demonstracje w Pakistanie, gdzie sześć osób poniosło śmierć, a wiele zostało rannych, wiece muzułmanów przed ambasadami krajów zachodnich, w czasie których w ekstremalnych przypadkach żądano nawet śmierci całej rodziny Rushdiego oraz jego wydawców.

Jednocześnie w Stanach Zjednoczonych odbywały się demonstracje w obronę napiętnowanego autora. Szczególnie aktywnie uczestniczyli w nich pisarze, m.in. Susan Sontag, E.L. Doctorow, Norman Mailer. Wyrok na życie Rushdiego uznano za zamach na jedną z wielkich zdobyczy wolnego świata, jaką jest wolność słowa. Konflikt ten ukazał jeszcze dobitniej ogromną przepaść między Wschodem i Zachodem, niemożność uzyskania wspólnej płaszczyzny w wielu kwestiach. Sprawa *Szataniskich wersetów* była tylko szczególnie wyrazistym symbolem. To, co Zachód uznał za łamanie podstawowego ludzkiego prawa, dużą część świata muzułmańskiego potraktowała jako zamach na nieetykalną świętość.

Oczywiście także wiele osobistości świata muzułmańskiego skrytykowało mniej lub bardziej kategorycznie wezwanie Chomeiniego. Na przykład Nadżib Mahfuz, egipski pisarz, laureat Nagrody Nobla z 1988 roku, oskarżył ajatollaha o „intelektualny terroryzm”. Mahfuz sam zresztą doświadczył na sobie religijnej cenzury: w 1959 roku jego powieść *Dieleni naszej dzielnicy* została uznana za bluźnierstwo przez władze islamskie, m.in. za lekceważące, zdaniem cenzorów, potraktowanie postaci Mahometa, i do dzisiaj figuruje w Egipcie na czarnej liście.

Tymczasem książka zniknęła z księgarni, częściowo schowana do magazynów przez księgarzy obawiających się zamachów bombowych, a częściowo wykupiona błyskawicznie na fali sensacji. Wcześniejse demoniczne zdjęcia pisarza ustatyły skrajnie różnym, łagodnym i rozmarzonym, skonstrastowanym z kolei z bezwzględny, diabolicznym wizerunkiem ajatollaha. Szataniski pisarz i święty bez skazy, czy niewinny twórca i Wielki Inkwizytor? Mistrzowsky fotoreporterzy „Newsweeka”, „Time’a” i „New York Timesa” potrafili wydobyć wszystko to, co na co dzień ukryte jest przed ludzkim okiem.

Wkrótce potem prezydent Iranu, Ali Chamanei oznajmił, że Rushdie ma jeszcze szansę na uzyskanie wybaczenia, jeśli przyniesie się do tego, że popełnił błąd i przeprosi muzułmanów i samego Imama. Rushdie rzeczywiście wystosował z miejsca swego ukrycia trzydzianowe oświadczenie, w którym stwierdza, że głęboko żałuje, iż wyrządził tyle przykrości szczeremu wyznawcom Islamu. *Jako że żyjemy w świecie wielu wyznań — pisał — doświadczenie to przypomniało nam, że musimy być wszyscy wrażliwi na uczucia innych.* Oświadczenie to zostało oczywiście uznane za niewystarczające, jako że nie

wyrażało rzeczywistej skrucy i brakowało w nim zapewnienia, że bluźniercza książka zostanie w ogóle wycofana z obiegu. Za to księgarze, którzy rzeczywiście wycofali książkę ze sprzedaży spotkali się z szerokim potępieniem zachodniej opinii publicznej, oskarżeni o ichorstwo i oportunizm. Po kilkudniowym zamieszaniu, 22 lutego 1989 roku Związek Wydawców Amerykańskich, Amerykański Związek Księgarzy i Amerykański Związek Bibliotekarzy umieszcili w „New York Times” całostronicowe ogłoszenie następującej treści: *Działaj przypada data wydania książki Salmana Rushdiego „Szataniske wersety”. Wolni ludzie piszą książki. Wolni ludzie wydają książki. Wolni ludzie sprzedają książki. Wolni ludzie kupują książki. Wolni ludzie czytają książki. W duchu Amerykańskiego przywiązania do wolności słowa informujemy wszystkich, że ta książka będzie dostępna dla czytelników w księgarniach i bibliotekach całego kraju.*

Były też głosy zupełnie inne. Wykładający na Uniwersytecie w Harvardzie S. Nomanul Haq w swoim napisanym w formie listu komentarzu zatytułowanym *Miej do siebie pretensję. Salmanie Rushdie przypomnił pisarzowi jego krytykę filmu Sir Richarda Attenborough *Gandhi*. Rushdie zarzucał wtedy reżyserowi m.in. lekceważenie lub pomijanie ważnych faktów historycznych, twierdząc że mając do czynienia z historią twórcą musi opierać się w sposób racjonalny i odpowiedzialny. Tymczasem, zdaniem Haqa, Rushdie zdając sobie sprawę z ważności muzułmanów na sprawy dotyczące ich religii postąpił identycznie w swojej ostatniej powieści. Czytelnik zachodni może być niewiadam o ostrości tego spojrzenia, ale nie może sobie tego nie użyskawszy człowiek wyrosły w tradycji muzułmańskiej. Haq dał także mocny argument twierdząc, że sama kwestia wolności słowa jest sprawą dość płynną, bo co by na przykład powiedzieli czarni Amerykanie na karykaturalne przedstawienie Martina Luthera Kinga, a społeczność żydowska na takież holocaustu. Jako ciekawostkę można dodać, że Rushdiego popęlił także piosenkarz Cat Stevens, który przeszedł jakiś czas temu na wiarę muzułmańską. Bulwersujący list wyśtosował również angielski pisarz Ronald Dahl, oskarżając Rushdiego o celową prowokację, aby zapewnić sobie lepszą sprzedaż. List ten można potraktować jedynie jako przejaw zawzięci zawodowej.*

Spróbujmy spojrzeć jednak na powieść chłodnym okiem i zastanowić się, co stanowi właściwie jej zasadniczą treść. Reprezentuje ona ten rodzaj fikcji określany czasami jako realizm magiczny, a znany z twórczości wielu pisarzy południowoamerykańskich, *Blaszanego bębena* Grassa, utworów Philipa Rotha, Thomasa Pynchona i Donalda Barthelme, gdzie rzeczywistość przedstawiona jest w konwencji koszmarnego snu, halucynacji, a niezwykle i nieprawdopodobne wydarzenia osadzone są w prawdopodobnym kontekście. Dwóch głównych bohaterów, hinduskich aktorów Gibril Farisza i Salahudin Czamcza, cudem uratowanych z wysadzonego przez terrorystów szyckiego samolotu, wpada do morza u wybrzeży Anglii. Jednemu z nich nad głową pojawia się aureoła i wybiera sobie, że przeistoczył się w anioła Gabriela, drugiemu wyrasta ogon i rogi, ale zachowuje zdrowy rozsądek, choć przez innych traktowany jest z podejrzliwością i odrzą. Mimo znamion anielskości u jednego, a diabelskości u drugiego, sprawa nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Nie mamy również do czynienia ze zwykłą odwrotnością znaczeń. Pamiętajmy, że Szatan to upadły anioł. Może więc kryć rogi pod aureołą, albo przeciwnie, aureole pod rogami. Choć zdecydowanie większą sympatię budzi Czamcza, ni to diabeł, ni to kozioł ofiarny, to jego właśnie podszept (Czamcza jako aktor specjalizuje się w naśladowaniu różnych głosów) doprowadzi Gibrila do samobójstwa.

Akcja powieści dorównuje tempem wydarzeniom związanym z jej burzliwą recepcją. Przenosi się ze współczesnej Anglii do dawnej

Arabii, ze średniowiecznego Jatrib (dawna Medyna) do dwudziestowiecznego Bombaju. Oprócz głównego wątku pojawia się wiele wątków pobocznych, które razem tworzą misternie skonstruowaną całość. Motywem przewodnim jest problem emigracji i związanej z nią czasowej lub stałej utraty tożsamości, symbolicznie przedstawiony za pomocą transmutacji dwóch głównych bohaterów. Nie chodzi tylko o tożsamość narodową, ale również religijną i światopoglądową. Tak jak nie istnieje namacalna granica między przeczodzeniem z angliści do hinduskości, z wiary do niewiary, z mistycyzmu do racjonalizmu, tak nie ma wyraźnej granicy między zyciem a fikcją. Zniekształcający słowa Mahouda perski pisarz Salman tak samo fałszuje słowo proroka, jak jego narrator Salman Rushdie zniekształca odczajając go rzeczywistość. W takim ujęciu każdy pisarz, twórca fikcji, działa z podszeptu Szatana. Nie na darmo wczesni purytanie byli wrogami fikcji literackiej traktując ją jako narzędzie korupcji ludzkiej duszy. Podobny był ich stosunek do teatru. A przecież Gibril i Czamcza to aktorzy wcielający się w najprzeróżniejsze role, oni więc też, tak jak Salman-Pers i Salman-narrator fałszują jakieś Słowo.

Największą krzywdą wyrządzoną książce w czasie całej związanej z nią afery, jest to, że skoncentrowano się głównie na jej wycinkowo potraktowanej treści. Co natomiast naprawdę w niej zadziwia to bogactwo języka i stylów zastosowanych przez autora. Pełne inwencji użycie współczesnych i archaicznych odmian angielszczyzny wzbogacenie, czy to dla celów parodystycznych czy poetyckich, elementami języka urdu, zachwyca i sprawia, że czytelnik porwany zostaje przez niezwykły rytm tej prozy, ulga mu nawet jeśli nie rozumie niektórych obco brzmiących wyrazów. Motyw satyryczny i kpiarski wcale nie przeżawa w powieści. Obfituje ona w momenty liryczne, niemal sentymentalne, jak na przykład opis śmierci ojca Czamczy czy opis pielgrzymki do Mekki prowadzonej przez Aiszę (imię ukochanej żony Mahometa) otoczoną motylami, które stanowią jej jedyne pożywienie. Ten ostatni fragment, czytany dosłownie, także może zostać uznany przez muzułmanów za obrazoburczy (co zresztą się stało), bowiem pielgrzymka z góry skazana jest na niepowodzenie, a Morze Arabskie zamiast się rozstąpić, pochłania wycieńczonych pielgrzymów. W sumie jednak to om zwyciężają, do końca szczęśliwi, wiedzeni intuicją i niezachwianą wiarą, naprawdę zaś zniszczeni, choć ocalony fizycznie, zostaje ten, który starał się ich przez cały czas odwieść od tego. Co — kierując się przesłankami racjonalnymi — traktował jako szaleństwo.

Wracając jednak do fragmentów satyrycznych i obrazoburczych, to mciim zdaniem za tę książkę powinni się raczej obrazić Anglicy. Znajdujemy w niej bowiem niezwykle krytyczny obraz Anglii, Anglików, angielskiej mentalności. W zamieszczonym w tym numerze „Akcentu” fragmencie powieści przedstawiającym pierwszy kontakt młodego Hindusa z elitarną szkołą angielską, Anglia porównana zostaje do wędzonego śledzia (wędzone ryby dość często są serwowane w Anglii na śniadanie z dodatkami nieodłącznych jajek) pełnego drobniutkich ości, którego nie sposób rozgryźć do końca. Margaret Thatcher także przedstawiona jest w książce dość beczceremonialnie, co podkreślają wielu komentatorów uważając za ironiczne żrądenie losu fakt, że teraz właśnie ona zamiast się obrazić chroni życie pisarza. Inny ironiczny zbieg okoliczności polega na tym, że fikcyjnego Salmana, celowo zmieniającego słowa Proroka spotyka potępienie z ust Mahouda, który oświadcza: — *Twoje bluźnierstwo, Salmanie, nie może zostać wybaczone. Czy sądziłeś, że się nie zorientuję? Twoje słowa wymierzone są przeciwko Słowom Boga.*

Nie oszczędza również Rushdie emigrantów z dawnych kolonii, którzy za wszelką cenę chcą się zasymilować i często próbują być bardziej anglijscy od samych Anglików.

Szataniskie wersety to, podobnie jak poprzednie utwory pisarza, parabola na szeroką skalę. *Dzieci północy* (1981) stanowiły alegorie współczesnych Indii, *Hańba* (1983) fikcyjne ujęcie współczesnej historii Pakistanu, tu zaś książka to niebanalne zobrazowanie relacji między Anglią a jej dawną kolonią, relacji ukazanych przede wszystkim w wymiarze jednostkowym. Każda z tych powieści zadziwia pomysłowością, erudycją, szeroką perspektywą, którą umożliwia trójkulturowość pisarza: urodzonego w Indiach, mieszkającego później w Pakistanie (z którym łączy go także więź rodzinna), wykształconego i osiadłego w Anglii.

Za najbardziej obrazoburcze uznano cztery rozdziały powieści „Mahound”, „Aisza”, „Powrót do Dżahilii” i „Przejście przez Morze Arabskie”, w których występują postacie i motywy takie jak Mahomet, jego żona Aisza, pielgrzymka do Mekki, objawienia, spotkania z Aniołem Gabrielem, oczywiście ukazane w innym świetle niż w *Koranie*. Prorok nosi imię Mahound, co w średniowiecznej angielszczyźnie stanowiło pogardliwe określenie Mahometa; oznaczało również diabła, potwora, złego ducha. Niektóre fragmenty *Koranu* są sparodiowane, przedstawione w krzywym zwierciadle, ale musimy pamiętać, że ma to miejsce w senach opisujących senne halucynacje chorego umysłu Gibrila. Sam tytuł nie jest czystym wymysłem pisarza. Określenie to, znane dużo wcześniej, odnosi się do epizodu w życiu Mahometa, zapisanego przez wczesnych historyków arabskich, a odrzuconego przez późniejszych badaczy *Koranu*, według którego Mahomet zgodził się, aby trzy pogańskie boginie pomogły mu w dokonaniu jego misji, później zaś zreliktozowały się, że kryje się w tym reka diabła zrezygnował z ich pomocy.

Jak twierdzą zwacy islamu sama biografia pisarza powoduje, że jego książka traktowana jest jako wyjątkowo bluźniercza. Rushdie pochodzi z rodziny muzułmańskiej, ale nie uważa się za praktykującego wyznawcę islamu, jest zatem odstępca od wiary, a ci traktowani są przez fundamentalistów dużo mniej tolerancyjnie niż na przykład krytykujący islam wyznawcy innych religii. Jest to zresztą nie pierwsza książka Rushdiego, która wywołała zamieszanie. Swego czasu Indira Gandhi zagroziła, że wniesie do sądu sprawę o oszczerstwo w związku z fragmentem w *Dzieciach północy*, który sugeruje, że jest odpowiedzialna za śmierć męża, zaś *Hańba*, stanowiąca zakamuflowany opis politycznych wydarzeń w Pakistanie, została tam zakazana przez cenzurę. Z kolei sam pisarz utrzymuje, że powieść, chociaż spodziewał się, iż wywoła ona ostre reakcje wśród muzułmanów, nie jest jego zdaniem bluźnierczą. Mahometa uważa za genialnego mistyka, który sam miał wiele wątpliwości. Poza tym sądzi, że jego osoba stanowi znakomitą materiał literacki, tak jak wielu pisarzy chrześcijańskich i żydowskich biera sobie za temat życie Jezusa. Mojżesza, czy innych postaci biblijnych.

Jak więc to wszystko ocenić, jakie przyjąć kategorie? Teologiczne, historyczne, moralne? Na pewno nie można odmówić muzułmanom prawa protestu. Protesty dotyczące dzieł literatury i sztuki zdarzały się zawsze i zdarzają się do tej pory, jak to miało miejsce na przykład w związku ze zrealizowanym przez Martina Scorsese filmem *Ostatnie kuszenie Chrystusa*. W czasie wyświetlania kontrowersyjnego filmu przedstawiciele różnych kościołów chrześcijańskich pikietowali kina, w których odbywały się projekcje, doszło nawet do podpalenia budynku w Paryżu. Gdyby zatem skończyło się na demonstracjach, przysporzyłoby to najwyższą popularność pisarzowi. Co jednak zbulwersowało opinię publiczną nie tylko zachodniego świata, to wydany przez ajatollaha wyrok śmierci przywodzący na myśl

chrześcijańskie krucjaty przeciwko „niewiernym”. I tu może dochodzimy do sedna sprawy. Chrześcijaństwo przeżyło już okresy krwawego fanatyzmu, surowych kar za herezje — żeby tylko przypomnieć słowa świętego Augustyna, nawróconego grzesznika, a więc jednocześnie anioła i szatana, mówiące, że lepiej się stanąć, jeśli herezyk umrze niż pozwolić na to, aby fałszywy nauczal prowadząc innych do wiecznego potępienia — obecnie zaś jest na tyle mocne, że nie potrzebuje poparcia w postaci podsycają fanatycznych nastrojów. Poza tym na jego straży stoi zasobna cywilizacja zachodnia, przyzwyczajona już dawno do szargania świętości. Islam jest natomiast religią stosunkowo młodą, wyznawaną w większości w państwach, gdzie występuje napięcie społeczne, problemy gospodarcze, mniejszościowe, itp. Stąd łatwiej tam o podatny grunt dla politycznej strategii kozła ofiarnego. W Indonezji, na przykład, państwo w przeważającej mierze muzułmańskim, nie doszło do żadnych wydarzeń, bowiem rząd uprawia politykę otwartości i tolerancji wobec wszystkich wyznań.

Ilu z tych, którzy zakupili książkę z samej tylko ciekawości, lub w akcie obrony wolności słowa, przeczytają ją do końca? Ilu czytelników rozczaruje się dochodząc do wniosku, że wcale nie jest ona tak sensacyjna, jak się tego spodziewali? I trudno im się dziwić, bo życie po raz kolejny przerosło fikcję. Gdyby zebrać razem wszystkie „akta” sprawy, takie jak oświadczenia Rushdiego i Chomeiniego, przemówienia przedstawicieli rządu brytyjskiego i irańskiego, mowy obronne pisarza i mowy oskarżycielskie przywódców muzułmańskich, listy nadsyłane do różnych gazet, zawiadomienia o demonstracjach i relacje księgarzy, jako kto nie słyszał o całej sprawie potraktowałby to wszystko jako jedną z najbardziej uduchowionych i wymaginowanych powieści dwudziestego wieku, klasyczny przykład realizmu magicznego.

Jakie będą dalsze losy pisarza? Nawet jeśli Rushdiemu udałoby się udobuchać najbardziej zacietych wrogiów, nawet jeśli cała sprawa przycichnie, nie jest wykluczone, że kiedyś, w przyszłości, jakiś fanatyk zamierzy się na jego życie. Czy skazany jest zatem na zupełną zmianę tożsamości? A także — co dla pisarza jeszcze bardziej tragiczne — na zmianę głosu?

Moja znajoma miała w pewnym sensie rację. Autor książki, chcąc nie chcąc, przywołał Szatana, a ten wyrwany spod jego kontroli zaczął żyć własnym życiem niczym legendarny golem, powodując szereg ofiar śmiertelnych, zaognienie stosunków między światem zachodnim a Iranem, wzrost fanatyzmu religijnego, niechęć Zachodu do islamu, nie mówiąc już o tym, że skazał swego twórcę na — kto wie czy nie dożywotnie — wygnanie z życia literackiego i politycznego.

Istniejące wiele wersji historii o golemie. W niektórych z nich udaje się twórcy skłonić go do czynienia dobrego, w innych usnąć, a w jeszcze innych golem powoduje tragiczne w skutkach zniszczenia. Trudno przewidzieć, jakie będą dalsze losy powieści, jeśli chodzi o jej wpływ na islam. Niewykluczone, że za jakiś czas będzie ona inspiracją dla reformatorów i obowiązkową lekturą. Być może pójdzie w zapomnienie. Ale na pewno zapisze się w historii literatury nie tylko jako źródło bezprecedensowego wydarzenia, ale jako znakomita powieść o emigracji, o problemach kulturowej asymilacji i o trudności dialogu między Wschodem i Zachodem.

Monika Adamczyk-Garbowska

SALMAN RUSHDIE

SZATAŃSKIE WERSETY (fragmenty)

Minęło wtedy akurat pięć i pół roku od chwili, kiedy młody Salahuddin (...) wsiadł na pokład samolotu Douglas DC-8 i udał się w podróż na zachód. Przed nim — Anglia; obok niego — ojciec, Czangez Czamczawala; pod nim — dom rodzinny i piękno. Podobnie jak Nasrin, czy nigdy nie przychodziły łatwo przyszłemu Saladinowi.

W ciągu tego pierwszego w życiu lotu samolotem czytał opowiadania fantastyczno-naukowe o wędrownkach międzyplanetarnych: *Fundację* Asimova, *Kroniki marsjańskie* Raya Bradbury'ego. Wyobrażał sobie, że DC-8 to statek-matka unoszący Wybranych, Wybrańców Boga i człowieka przez niewyobrażalne przestrzenie, podróżujących przez całe pokolenia, rozmnażających się eugenicznie, że ich nasienie może pewnego dnia zapuścić korzenie gdzieś w nowym wspaniałym świecie pod żółtym słońcem. Poprawił się: nie statek-matka, ale ojciec, jako że był tu przecież on, ten wspaniały mężczyzna, Abbu, Tatusz. Trzynastoletni Salahuddin, zapominając o niedawnych wątpliwościach i żalach popadł znowu w dziecięce uwielbienie ojca, bowiem on, tak, tak, przecież wielbił go już przedtem, był to wspaniały ojciec, dopóki Salahuddinowi nie zaczęły się kształtować własne poglądy, a wtedy dyskusowanie z ojcem nosiło miano zdrady jego miłości, ale to teraz nieważne, *oskarżam go, że stał się moją najwyzszą krótką, a zatem to, co się zdarzyło było jak utrata wiary...* tak, ojcowski statek, samolot to nie latające łono, ale metalowy fallus, zaś pasażerowie to plemniki czekające na wytrysk.

Pięć i pół godziny stref czasowych; odwróć swój zegarek do góry nogami w Bombaju, a zobaczysz, która godzina jest w Londynie. *Mój ojciec*, myślał Czamczawa wiele lat później w pełni swego rozgoryczenia. *Oskarżam go o odwrócenie czasu.*

Jak daleko lecieli? Pięć i pół tysiąca w linii prostej. Albo: od hinduskości do angielskości, bezmierna odległość. Albo: wcale nie tak daleko, bo wystartowali z jednego wielkiego miasta, wyładowali w drugim. Odległość między dużymi miastami jest zawsze mała; wieśnaki przemierzający sto mil do miasta przecina ciemniejszą, bardziej pustą i bardziej przerażającą przestrzeń.

Oto co Czangez Czamczawala zrobił, kiedy samolot wystartował; starając się, aby jego syn tego nie spostrzegł, skrzyżował po dwie pary palców u każdej dłoni i zatoczył kręgi obydwojma kciukami. (...)

Któregoś dnia wkrótce po rozpoczęciu szkoły zszedł na dół na śniadanie i zastał na swoim talerzu wędzonego śledzia. Siedział wpatrując się w niego i nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu przekroił go i nabrał pełne usta drobniotkich ości. A po wydobyciu ich wszystkich, kolejną porcję, jeszcze więcej ości. Inni uczniowie obserwowali jego cierpienie w milczeniu; żaden z nich nie powiedział, daj, pokaż ci, je się to tak i tak. Zjedzenie ryby zajęło mu dziesięćdziesiąt minut i nie wolno mu było wstać od stołu dopóki nie skończy. Do tego czasu rozdygotał się zupełnie i rozplakałby się, gdyby tylko potrafił. Potem przyszła mu go głowy myśl, że oto odbył ważną lekcję. Anglia jest wędzoną rybą o specyficznym smaku, pełną kołców i ości, i nikt nigdy nie powie mu jak się ją je. Odkrył, że jest zacięty. — Pokażę im wszystkim — poprzysiął sobie. — Jeszcze zobaczycie. — Zjedzony ślędz stanowił jego pierwsze zwycięstwo, pierwszy krok zmierzający do podboju Anglii.

Podobno Wilhelm Zdobywca zaczął od zjedzenia garści angielskiego piasku. (...)

Pięć lat później po skończeniu szkoły był z powrotem w domu, czekając na rozpoczęcie angielskiego roku akademickiego, a jego przemiana w wilajeta była znacznie zaawansowana. — Widzicie jak potrafi narzekać — podkpiwała z niego Nasrin przy ojcu. — Wszystko krytykuje, że ojoj, wiatraczki są przymocowane za słabo do dachu, spadną i odetną nam głowy, gdy będziemy spać, powiada, jedzenie jest zbyt tłuste, dlaczego musimy wszystko smażyć, pyta, balkony na najwyższym piętrze są niebezpieczne, a farba się łuszczy, dlaczego nie potrafimy dbać o nasze otoczenie, ogród cały zarosnięty, jesteśmy ludźmi z dżungli, tak uważa, i patrzcie jakie prostactwo te nasze filmy, już mu się nie podobają, a chorób tyle że nie można nawet pić wody z kranu, mój ty Boże, on naprawdę zdobył wykształcenie, mężu, nasz mały Sallu, prosto z Anglii, tak pięknie się wyraża i w ogóle.

Wieczorami przechadzali się po trawniku, obserwując jak słońce zanurza się w morze, spacerowali w cieniu tych wielkich, rozłożystych drzew, niektórych zmięwatych, innych brodatych, które Salahuddin (teraz nazywający siebie Saladinem na modłę angielskiej szkoły, ale mający pozostać jeszcze przez jakiś czas Czamczawą dopóki jakiś agent teatralny nie skrócił mu nazwiska ze względów reklamowych) potrafił już teraz nazwać, banian, leśny płomień, platan. Małe czhui-mui, niecierpki pospolite, rosły u stóp drzewa jego własnego życia, orzecha, który Czangez zasadził własnoręcznie w dzień przyjścia na świat syna. Ojciec i syn przy drzewie urodzinowym czuli się równie niebezpieczni, nie potrafili zareagować właściwie na subtelne żarty Nasrin. Saladina ogarnęło melancholijne uczucie, że ten ogród był lepszym miejscem zanim nauczył się nazywać to, co w nim jest, że stracił coś czego nigdy nie będzie mógł odzyskać. Zaś Czangez Czamczawala przekonał się, że nie potrafi już patrzeć synowi w oczy, bowiem gorycz, którą tam zobaczył niemal zmroziła mu serce. Kiedy

zaczął mówić, odwracając się gwałtownie od osiemnastoletniego orzecha, w którym, jak wyobrażał sobie czasami w ciągu ich długiej rozłąki, spoczywa dusza jedyne go syna, słowa zaczęły wychodzić nieprawdłowo i sprawiły, że zachowywał się jak sztywny, zimny osobnik, którym miał nadzieję nigdy się nie stać, lecz obawiał się, że tego nie uniknie.

— Powiedz swojemu synowi — zagrmiał do Nasrin — że jeśli pojechał za granicę, aby nauczyć się lekceważyć swoich, to swoi nie mogą czuć do niego nic więcej jak pogardę. Co on znowu za jeden? Mały lord? Jakas gruba ryba? Czy taki już mój los: stracić syna, a zyskać potwora?

— Kimkolwiek jestem, drogi ojcie — oznajmił Saladin starszemu mężczyźnie — zawdzięczam to tylko tobie.

Była to ich ostatnia rodzinna rozmowa. Przez całe lato panowała burza uczuć, pomimo wszystkich mediacyjnych prób czynionych przez Nasrin, *musisz przeprosić ojca, kochanie, bledak cierpi piekielnie, ale jego duma nie pozwala mu wziąć cię w objęcia*. Nawet nazwa Kasturba i stary sługa Vallabh, jej mąż, próbowali pośredniczyć, ale ani ojciec ani syn się nie ugięli. — Ten sam materiał, w tym cały kłopot — powiedziała Kasturba do Nasrin. — Tata i synek, jeden materiał, to samo z tym samym.

Kiedy we wrześniu zaczęła się wojna z Pakistanem, Nasrin zdecydowała, trochę jakby na przekór, że nie odwoła swoich piątkowych przyjęć, „aby pokazać, że hinduscy muzułmanie potrafią kochać tak samo jak nienawidzić” — zaznaczyła. Człagne dostrzegł znajome spojrzenie w jej oczach i nie próbował dyskutować, kazał tylko służącym, aby założyli zaciemniające zasłony na wszystkie okna. Tego wieczoru Saladin Czameczawała wystrojony w angielski smoking, po raz ostatni odgrywał swoją dawną rolę odźwiernego, a kiedy przyszli goście — ci sami dawni goście, okryci szarym kurzem lat, ale w sumie ci sami — jak dawniej nie szczędził mu poklepywań i pocałunków, owych nostałicznych błogosławieństw jego młodości. — Patrzcie jak urosł — mówili. — Przemily chłopak, co tu dużo mówić. — Wszyscy starali się ukryć strach przed wojną, *istnieje niebezpieczeństwo nalołów*, mówili przez radio, a kiedy czochrali włosy Saladina, ich ręce trochę zbyt mocno drżały, lub na odmiennie ruchy ich były zbyt gwałtowne.

Później owego wieczoru zaśpiewały syreny, a goście rozbiegli się szukając schronienia, chowając się pod łózkami, w kredensach, gdzie się dało. Nasrin Czameczawała zobaczyła, że siedzi sama przy suto zastawionym stole i próbowała dodać otuchy całemu towarzystwu, stojąc w swym sari z materiału imitującego gazette i żując kawalek ryby, jak gdyby nigdy nie. Kiedy więc zaczęła zatuszyć się ością, która miała przynieść jej śmierć, nie było nikogo, kto mógłby udzielić jej pomocy, wszyscy przycupnęli po kątach z zamkniętymi oczami: nawet Saladin, pogromka wędłowych śledzi, Saladin o kamiennej angielskiej twarzy, stracił zimną krew. Nasrin Czameczawała upadła, wyla się, dyszała, umierała. A kiedy zabrzmiał sygnał oznaczający koniec alarmu, wszyscy goście wylonili się bojaźliwie z kryjówek i znaleźli panią domu, która zgasała pośrodku jadalni, wykradzioną

przez anioła zniszczenia, khali-pili khalaaas, jak mówią w Bombaju, zakończyła życie bez powodu, odchodząc na zawsze. (...)

I Gibrilowi przyśniło się tak:

W oazie w Jatrib okazało się, że wyznawcy nowej wiary zwanej Posłuszeństwem nie posiadają żadnej ziemi i w związku z tym są biedni. Przez wiele lat utrzymywali się napadając na bogate karawany wielbłędów na drodze do Dżahilli. Mahound nie miał czasu na skrupuły, powiedział Salman Baalowi, żadnych tam wyrzutów sumienia co do środków i celów. Wierni żyli w bezprawiu, ale w tamtych latach Mahound — czy może należałoby powiedzieć Archaniol Gibril? — a może Al-Lah? — dostał fioła na punkcie prawa. Pośród palmowych drzew oazy Gibril ukazał się Prorokowi i zaczął recytować przepisy, przepisy i jeszcze raz przepisy, aż wierni ledwo już mogli znieść myśl o jakimkolwiek więcej objawieniu, powiedział Salman, przepisy dotyczące każdej zakichanej sprawy, jeśli ktoś pierdnie to niech odwróci twarz na wiatr, przepis, którą rękę użyć w celu wytarcia sobie tyłka. Tak jakby żaden aspekt ludzkiego istnienia nie mógł pozostać nieregulowany, wolny. Objawienie — *recytacja* — mówiło wiernym, ile mają jeść, jak głęboko spać i które pozycje we współżyciu są usankcjonowane przez Boga, tak więc dowiedzieli się, iż stosunek anality i pozycja misjonarska cieszą się aprobatą Archaniola, podczas gdy zabronione są te, w których kobieta znajduje się na wierzchu. Dalej Gibril wymienił listę dozwolonych i zabronionych tematów rozmów i wyznaczył te części ciała, w które nie można się drapać, choćby nie wiem jak swędziało. Zalażył weto przeciwko spożywaniu krewetek, tych dziwnych stworzeń nie z tego świata, których żaden z wiernych nigdy nie widział na oczy, i zażądał, aby zwierzęta zabijając powoli przez wykrwawienie, by doświadczać w pełni swojej śmierci mogły wreszcie pojąć istotę własnego życia, jako że tylko w momencie śmierci żywe istoty rozumieją, iż życie jest czymś realnym, a nie rodzajem snu. Archaniol Gibril określił też sposób, w jaki należy chować człowieka i jak dzielić jego własność, tak że Salman Pers zaczął się zastanawiać, co to za Bóg, który tak bardzo przypomina biznesmena. To właśnie wtedy przyszła mu do głowy ta myśl, która zniszczyła jego życie, bowiem uzmysłowił sobie, że przecież sam Mahound był biznesmem i w dodatku cholernie dobrze mu to szło, osobą dla której organizacja i przepisy są rzeczą naturalną, jakże więc nadzwyczaj korzystnie się złożyło, że udało mu się trafić na takiego zaradnego archaniola, który przekazywał zarządzenia tego wysoce trzewno stojącego na ziemi, choć może niecielesnego, Boga.

Po tym wszystkim Salman zaczął dostrzegać jak pozytywne i na czasie są objawienia anioła, bo gdy wierni rozprawiali nad poglądami Mahounda na wszelkie tematy, począwszy od możliwości podróży w kosmos, a skończywszy na niezniszczalności piekła, anioł zjawiał się z odpowiedzią, zawsze popierając Mahounda i nie pozostawiając cienia wątpliwości co do tego, że niemożliwością jest, aby człowiek kiedykolwiek mógł chodzić po księżycu, będąc zresztą równie mocno

przekonanym co do przejściowego charakteru potępienia: nawet najwięksi złoczyńcy zostaną w końcu oczyszczeni przez ogień piekielny i odnajdą drogę do wonnych ogrodów, Gulistanu i Bostanu. Sprawy przedstawiałyby się inaczej, narzekal Salman do Baala, gdyby Mahound zajmował określone stanowisko po uzyskaniu danego objawienia od Gibrila; ale nie, on po prostu ustalał prawo, a anioł następnie je potwierdzał; zaczęło mi więc coś nieładnie pachnieć i pomyślałem, że musi to być woń tych słynnych i legendarnych nieczystych istot, jak im tam, aha, krewetek.

Podjeżdżany zapach zaczął przesładować Salmana, który był najbardziej wyształconym człowiekiem w bliskim otoczeniu Mahounda, dzięki lepszemu systemowi kształcenia dostępnemu wówczas w Persji. Dzięki swym postępom w nauce Salman został oficjalnym pisarzem Mahounda, i jemu to właśnie przypadło spisywanie mnożących się bez końca przepisów. Wszystkich tych dogodnych objawień, jak powiedział Baalowi, i czym dłużej wykonywałem tę pracę tym było gorzej. — Jednak na jakiś czas musiał się pozbyć podejrzeń, bowiem armie Dżahilii ruszyły na Jatrib z postanowieniem rozprawienia się z muchami, które dręczyły ich wielbłądzie karawany i przeszkadzały w prowadzeniu interesów. Co stało się dalej, wiadomo, nie muszę tego powtarzać, powiedział Salman, ale potem jego brak skromności dał znać o sobie i zmusił go do opowiedzenia Baalowi, jak to on sam osobiście uratował Jatrib od pewnego zniszczenia, jak uchronił szyję Mahounda wpadając na pomysł przygotowania rowu. Salman namówił Proroka, aby kazał wykopać ogromny rowd wokół całego, nie otoczonego murami osiedla w oazie, tak szeroki, aby nawet konie arabskie słynnej dżahilskiej kawalerii nie mogły go przeskoczyć. Rów: z zaostrozonymi palami na dnie. Kiedy dżahilianie ujęli to niezgodne z regułami gry, niegodne sportowców kopanie dołów, ich poczucie rycerskości i honoru kazało im zachować się tak jakby ów rów w ogóle nie istniał i cwałować prosto na niego. Kwiat armii dżahilskiej, ludzie jak również konie, zakończył żywot na palach perskiej przebiegłości Salmana, wiadomo, emigrant, nigdy nie gra fair. A po pokonaniu Dżahilii? Salman użalał się przed Baalem: — Można by pomyśleć, że zostanie bohaterem. Nie jestem próżny, ale gdzie te publiczne zaszczyty, gdzie wdzięczność Mahounda, dlaczego Archanioł nie wspomniał o mnie w swoich komunikatach? Nic, ani jednej sylaby, tak jak gdyby wierni uznali mój rów za tani chwyt, za coś barbarzyńskiego, przynoszącego ujmę, niesprawiedliwego; jak gdyby naruszyło to ich meskość, jak gdyby zranił swoją dumę ratując własną skórę. Trzymałem język na wodzy i nic nie mówiłem, ale straciłem po tym wydarzeniu wielu przyjaciół, mówię ci, ludzie nienawidzą cię za wyświadczenie im jakichś przysług.

W Jatrib pomimo rowu wierni stracili sporo ludzi w wojnie przeciwko Dżahilii. W czasie swoich bandyckich wypadów utracili ich tyle samo ile sami zabili. A po zakończeniu wojny, raz dwa pojawia się Archanioł Gibril, instruujać ocalałych mężczyzn, aby posłubili owdawole kobiety, bowiem posługując kogóż innej wiary mogłyby zostać stracone dla Posłuszeństwa. Jakże praktyczny ten anioł, mówił drwiąco Salman do Baala. Wydobyl już wtedy z fald

plaszczą butelkę grogu i w słabnym świetle dwaj mężczyźni pili równo. Salman stał się jeszcze bardziej gadatliwy w miarę ubywania złotego płynu w butelce. Baal nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszał, jak ktoś mówi tak wiele i w takim uniesieniu. Och, te praktyczne objawienia, wołał Salman, dowiedzieliśmy się nawet, że to nie szkodzi, jeśli już jesteśmy żonaci, możemy zawrzeć nawet cztery małżeństwa, jeśli nas na to stać, coż, możesz sobie wyobrazić, chłopakom to się naprawdę podobało.

Oto co ostatecznie skłoniło Salmana do opuszczenia Mahounda: kwestia kobiet i szatańskich wersetów. Słuchaj, nie chcę robić plotek, wyznał po pijanemu Salman, lecz po śmierci swojej żony Mahound nie był aniołem, rozumiesz co mam na myśli. Ale w Jatrib niemal trafiła kosa na kamień. Tamte kobiety; przez nie broda osiwała mu niemal zupełnie w ciągu roku. Sprawa z naszym Prorokiem, mój drogi Baalu, wygląda tak, że nie lubił, kiedy kobiety mu się sprzeciwiały, gustował w matkach i córkach, pomyśl o jego pierwszej żonie, a potem Aiszy: za stara i za młoda, te jego dwie miłości. Nie lubił wybierać kogós równego sobie. Ale w Jatrib kobiety są inne, może nie wiesz o tym, bo tutaj w Dżahilii panuje zwyczaj rozkazywania kobietom, ale tam one na to nie pójdą. Kiedy mężczyzna się żeni, idzie mieszkać u rodziny swojej żony! Wyobrażasz sobie! Niesłychane, co? I przez całe małżeństwo żona zachowuje swój własny namiot. Jeśli chce się pozbyć męża, odwraca namiot w odwrotnym kierunku, tak że kiedy on przychodzi do niej, zastaje materię, tam gdzie powinno znajdować się wejście, i tyle. zostaje wyrzucony, rozwiedziony, nie może na to nic poradzić. No więc naszym dziewczętom zaczynało się coś takiego podobać, nie wiadomo jakie pomysły zaczęły im przychodzić do głowy, więc natychmiast, rach ciach, pojawia się księga zasad, anioł sypie jak z rękawa przepisami mówiącymi, czego kobietom nie wolno, zaczyna z powrotem zmuszać je do posłuszeństwa, ulubione postawy Proroka. Posłuszeństwo lub matkowanie, chodzenie trzy kroki z tyłu za mężczyzną lub siedzenie w domu z autorytetem mądrości i depilowanie brody. Mówię ci, ależ te kobiety z Jatrib śmiały się z wiernych, lecz ten człowiek to czarodziej, nikt nie mógł się oprzeć jego urokowi, kobiety wiernych postąpiły jak im przykazał. Posłuchały: przecież ofiarowywał im Raj.

— Tak czy owak — powiedział Salman, gdy widać już było dno w butelce — w końcu postanowiłem wystawić go na próbę.

Pewnej nocy perski pisarz miał sen, że unosi się nad postacią Mahounda przy jaskini Proroka na Górze Cone. Początkowo Salman potraktował to jak tylko nostalgiczne wspomnienie dawnych dni w Dżahilii, ale potem zdał sobie sprawę, że jego punkt widzenia we śnie był punktem widzenia Archaniola i w tym momencie wspomnienie incydentu z szatańskimi wersetami stało przed nim jak żywe, jakby zdarzyło się to dopiero wczoraj. — Może nie śniłem o sobie jako Gibrilu — mówił Salman. — Może byłem Szatanem. Uzmysłowanie sobie tej ewentualności nasunęło mi ten diabelski pomysł. Od tej chwili kiedy siedział u stóp Proroka zapisując przepisy, przepisy i przepisy, zaczął cichaczem zmieniać różne rzeczy.

Początkowo drobniarzi. Jeśli Mahound wyrecytował werset, w którym Bóg był przedstawiony jako wszechsłyszący, wszechwiedzący, ja pisałem wszechwiedzący, wszechmądry. I w tym właśnie rzecz: Mahound nie zauważał tych zmian. Tak więc ja właściwie pisałem tę Księgę, czy też przepisywałem ją na nowo, w każdym razie brukając słowo Boże moim własnym bluźnierczym językiem. Ale na niebiosach, jeśli moich nieudolnych słów nie można było odróżnić od Objawienia osobistego Posłańca Boga, to co to znaczyło? Jak świadczyło to o jakości boskiej poezji? Słuchaj, przysięgam ci, byłem wstrząśnięty do głębi duszy. Co innego być sprytnym łajdakiem i mieć niejakię podejrzliwość co do dziwnego proceduru, a zupełnie co innego przekonać się, że ma się rację. Słuchaj: zmieniłem moje życie dla tego człowieka. Opuściłem swój kraj, przemierzyłem świat, osiadłem wśród ludzi, którzy uważali mnie za obleśnego cudzoziemskiego tchórza w zamian za to, że... którzy nigdy nie doceniali tego co... ale to nieważne. Chodzi o to, że kiedy wprowadziłem tę pierwszą drobną zmianę — wszechmądry zamiast wszechsłyszący — spodziewałem się, naprawdę chciałem przeczytać to prorokowi, żeby powiedział: „Co się dzieje z tobą, Salmanie? Tracisz słuch? — A ja odparłbym: „Ojej, o Boże, pomyliłem się, jak mogłem”, i zaraz bym się poprawił. Ale tak się nie stało; oto pisałem to Objawienie, a nikt niczego nie zauważał, zaś ja nie miałem odwagi się przyznać. Mówię ci, bałem się jak głupi. Poza tym było mi smutniej niż kiedykolwiek przedtem. Robiłem więc to dalej. Może tylko raz coś przeoczył, myślałem, każdy może popełnić błąd. Więc następnym razem wprowadziłem większą zmianę. Powiedział *chrześcijanin*, a ja napisałem *Żyd*. Zauważy to, na pewno, jakże: by mogło być inaczej? Ale kiedy odczytałem mu ten rozdział, skinął głową i grzecznie mi podziękował, a ja wyszedłem z jego namiotu ze łzami w oczach. Wówczas zrozumiałem, że moje dni w Jatrib są policzone; musiałem to jednak robić dalej. Nie ma większej gorczy niż ta, którą odczuwa człowiek odkrywający, że wierzy w widmo. Wiedziałem, że upadnę, ale on upadnie wraz ze mną. Dalej więc uprawiałem swoje ciemne praktyki, zmieniając wersety, aż pewnego dnia odczytałem mu to, co napisałem i zobaczyłem, że marszczy się i potrasa głową jakby chciał rozjaśnić swój umysł, a potem powoli kiwa potakująco, ale z pewną dozą wątpliwości. Wiedziałem, że dotarłem do krawędzi i że następnym razem, kiedy zmienię coś w Księdze, dowię się wszystkiego. Tamtej nocy leżałem nie śpiąc, trzymając w rękach tak jego, jak i swój los. Jeśli dalbym zniszczyć siebie, mógłbym zniszczyć również i jego. Musiałem wybrać tej straszliwej nocy, czy wolę śmierć z zemsty czy życie pozbawione wszystkiego. Jak widział, wybrałem życie. Przed świtem opuściłem Jatrib na swoim wielbłądzie i udałem się z powrotem do Dżahilii, nękany po drodze licznymi nieszczęściami, których opowiadaniem nie będę ci trudził. A tymczasem Mahound triumfuje; więc jednak stracę życie. Jego moc stała się zbyt wielką, abym mógł mu teraz zaskodzić.

Baal zapytał: — Dlaczego jesteś pewien, że cię zabije?

Odparł Salman Pers: — Jego Słowo świadczy przeciwko memu.

Przełożyła Monika Adamczyk-Garbuwska

TADEUSZ ŻUKOWSKI

Elegia nadbałtycka

„To była smutna ziemia, surowa północna i zimna”

Miksz

Morze Bałtyckie — gdy spojrzeć na globus —
jasnoniebieski jaszczur wężony
cielskiem tygrysa Skandynawii, z łapą
opłataną prospektami Leningradu.
Odra-Rega-Wisła-Pregola: cztery
ciemne żyły żywiące mnie, sycaące
dyszącego wśród wydm Lewiatana.

Zielone palce falochronów niby
akuszerki dłonie gdy wypływały
z portu i jak matki ramiona gdy
ze sztormu powracały żółte kutry.
O ileż tęsknoty, trwogi i nadziei
rozbiły czarne demony — kafary.
A bliźna Regi pulsująca tarłem

certy pośród rozległego ccha łąk
i pędzlem upału malowane niebo?
Są dwie drogi: spójrz! warga wody swej
dotyka siostry z niskiego błękitu
i szleszcząca bielą strużka plaży.
skąd brzeg osuwa się w labirynty dnia:
na wschód, związany węzłem pamięci na —

wschód... Kołobrzeg jak surowy bursztyn
w którym zatrzasnęła się bańka blasku:
ciemnozielony wagon i na peron
wylewający się skrzep głosów-i-główn:
ogonem ryby uderzający w twarz wiatr,
oślepiający plaży piec i ciało
topielca któremu koniecznie chciałem

zajrzeć w oczy. Co zobaczył? Co ja
widziałem gdy dwuletni w nieodległym
od Królewca miasteczku wpadłem w topiel
Pregoly i matka w ostatniej sekundzie
na kolanach zdołała wydobyć mnie

za pięć? Co ujrę gdy światło oczu
odpłynie tunelem luny płaczącej

całym wieczornym morzem? Żegnany,
przez wody witany: narodzin, chrztu, śmierci.
Przecinając plugiem pociągu przestrzeń
powiązałem łańcuchem żelaznego
echa Niemen, Bug, Wisłę, Wartę aż
Odra zaszumiała jak Jordan-i-Lete.
A Bałtyk złączył obrączką fal nagie

stopy ładu wygnania — ziemi powrotu.
Lewiatan przywiązany portami do
brzegów, który pod ponurą powie ką
dna liczy kości budowniczych Sankt-
Pietierburga, zlizanych z mapy małych
cmentarzy, cegły kościołów i ulic.
O. błogosławione ławice dusz-i-ryb.

Elegia z podróży na wschód

Odległy sierp horyzontu oddziela
równinę niskich chmur od wysokich traw.
Miasta-miasteczka-smutna-stolica — deszcz.
Poza oknami wagonu monotony
balet brzoź, sosen i nie zżętych zbóż
odbiega i powraca jakby pociąg
z zachodu na wschód w przepastny wpadł wir.

I oto uśmiech Aurory: żelazne
szczęki tryumfalnej bramy wołają
Pokój! Mir! polykając pokorne
owieczki wagonów. Już za nami
bolesna jak Madonna blizna ziemi
i zasiekami oddzielone od siebie
jagody jarzębin i jałowców cieni.

Po trzydziestu latach znów nad Niemnem.
Na wysokim brzegu jasne Grodno
milczeniem kościołów dzwoni poprzez huk
kół na moście. Zdumiony zmianą ziemi
w powietrzu spostrzegam spokojne łodzie
na pływym piasku i wolny obrót wód.
I jak modlitwę słyszę oddech

przez łąy. Matko, czy wracasz mnie raz jeszcze
rodzić? Z nami w przeszłość przybyło niebo
i ziemia ta sama; tylko pszczoły

ruskiego języka inaczej składają
zgłosek pył. A jednak tak zbędny jestem
jakbym wchodził w wyświetlane światły
lub zdumiony zwiędzał własne-obce życie.

Pod kłosem bladego światła stygną
twarze, ulice i od nadmiaru żalu?
potulnicją barwy. Wokół gorzki blask
posiawalej nadziei i pola, lasy,
jałowce pośród smukłych sosen. Żniwa
deszczu wśród samotnych kołchozowych pól.
I grząski sen: asfalt zmienia się w studnię

stłumionej pamięci? Świt. Krasnoarmiejcy
w zaścianku Łękiszki i mój ojciec
na dziesięć lat znikł. Zastrzelony stryj
i jego imię jak gołąb sfruwające
na moje poczęcie. Stygmaty, pieczęcie,
węzły i więzy. Przez łąy, śpiew, milczenie —
błyski obrazów jak w odległym stepie

pochód świec. Za oknami autobusu —
Raduń. I zastygł balet krajobrazów.
Ponad horyzont wiernych drzew jak ręce
wzniósł kamienne wieże kościoł mego chrztu.
Kres to podróży na kresy? Pusto, chłód —
Podbiega dumne krukowisko krzyży
niemo głosząc rany zapomnianych imion.

Elegia dla rodzinnej Naczy

Pamięci
Czesława Klimaszewskiego

I tutaj nieubogą w piasek i pył
główną ulicę (jeszcze słychać szlesteł
szyneli i pod kolumnami obrót
blota jakby na chleb ciasta w dzieży)
opieczętowano znakiem zbawienia:
Lenina. Drewniane domki, ganki
i omszałe płoły: jałowe jabłonie

i grusze — ubogie ogrody. Ciszka:
czyżby osłaniały mnie bezszlestełne
(tak kule z lasu szły tu śmiertelne
koszule) skrzydła wody jak światło
czyste? I wyświetlają się niewidzialne

zдания i znad błękitu słysząc śpiew:
„Kiedy ranne wstają zorze, będą bliźny

poruszone, będą zmarli w tobie żyć”.
Spoglądam w oczy matki i ze ściany
litewskiego teraz lasu wychodzi
zastrzelony brat jej męża i niby
odległy dym zastyga z własnym ciałem
na rękach. Z chustą ostatniego obrazu
nieba podchodzi do niego siostra Kazia.

Łzy matki otwierają zagubiony
w rojstach pamięci mojej poprzedniczki
grób. Ach, więc Jadwiga jest uśmiechem
słońca na żółtym piasku... Podnoszę wzrok
i białe pomniki szeleszczą miękko
polskimi zgłoskami. Motyle nazwisk
nikną wśród traw, drzew i wielkich krzyży

w głębi. Powstańcy, partyzanci, żołnierze
i chłopcy. Polacy. Białorusini,
i litewskie groby. Ubogie dusze
udręczonych ludzi; gdzieś tam się
wieczne lampki zdjęć — dotykany znak
z tamtego świata. Pomnożony w ołowiu
Zbawiciel wiernie milczy kuszony przez wiatr.

Niebo nad nami jest wielkim westchnieniem,
które oparło się na wierzchołkach
tópól i kościelnych wież: znowu deszcz.
Tak modli się bezkresna pustka w której
wzniesiono mury. A na nich Błękitna
Niewiasta bezradnie ogłasza nadzieję
cichą jak ostatni dech. Już proszę zmierzchn.

Do kolchozu „Zorza” toczy się traktor
głośny jak głazów grzmot. O, głosy wysokie
w jasnym pyłe żniw, gdy wtórował im sierp!...
Wolne od nadmiaru młodości: Kazia,
Adela, Wikcia i Helena — i czysty
ponad granicami siostr śmiech. Polska, Litwa,
i Rosja bardziej tu były niż ich śpiew?

Tadeusz Żukowski

SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK

Z „Dziennika Sprzedawcy Oplatów”

Wschowa (Fraustadt), Campo Santo, 1602-1627

Państwu Irenie i Jerzemu Kubistalom

354 obustronnie zapisane, jednostronnie numerowane karty formatu 4 in folio. Od 1 do 79 pergaminowe, woskowane. o barwie kości słoniowej, dalej papier czerwony, różowy, zapewne z wytworów cysterskiej przemysłowej w Papierni nad jeziorem Lincjusz. Pergamin przycięty równo, papier czerwony — nieco strzępiasto. Wpisy atramentem organicznym, od karty 117 tamirowym, jedną ręką, miejscami słabo czytelne, bez skreśleń. Inicjały akapitów, napoczynających kolejne części roczne — w majuskułach, wielobarwne, z ornamentyką roślinną, rzadziej symboliczną i kabalistyczną. Gdzieś tam bardzo żywe, kolorowe, przepiękne miniatury, w części pergaminowej tylko na marginesach — na papierze czerwonym w tekstach, pomiędzy rozsuniętymi wersami. Ogółem miniatury różnej treści jest 114, do kart 49 wykonane są farbami organicznymi białkowymi, dalej technika zmienia się, iluminator używa tuszów chińskich, roślinnych balsamów farmaceutycznych i pigmentu proweniencji niderlandzkiej. Ostatnia miniatura pojawia się między zapisami z roku 1772. Stylizacyjne i techniczne ikonografia ta jest nieco zapażona w stosunku do konwencji obowiązujących w epokach, w których powstaje, nie mówiąc już o jej konserwatyzmie wobec równoległych zjawisk w ikonografii eksperymentalnej, awangardowej, wyprzedzającej konwencje średniowieczne, a później renesansowe, i przygotowującej gotyki barok środkowoeuropejski. Mimo to iluminacje nie są całkiem zwyczajne ani epigonskie. Mocno pachną życiem, ciałem, płcią, codziennością, chociaż nie z tych rzeczy na miniaturach nie widać. Wyobrażenia prowadzą się — przeciwnie — do wątków umownych. A więc temat teologiczno-biblijny, wreszcie heraldyka, trochę fantastyki, alegorie, symbolów, na koniec cytaty bestiariuszy i zielników. Urządzeń przemysłowych prawie nie ma, poza jedną miniaturą holenderskiego wiatraka wodnego, jedną fragmentu folusza i jedną alembika raczej niż laboratorium alchemicznego. Są za to przedmioty: cynowe nakrycia stołowe, zabawki dziecięce, drewniana kukielka, konik na kiju, bączek, utensylia medyczne, balwierskie, cechowe, rolnicze, piwowarskie, a nawet katowskie. Zdarza się dowcip, nie nowego, żart, na jaki pozwala sobie od czasu do czasu znużony kopista z klasztornej skrytki, żart oczyszczający, terapeutyczny. Smarkający w wielką chustę anioł, diabeł z wywalonym językiem, mieszczanin, który robi perskie oczko, osioł obelżony w biskupi ornat, nie ma tylko tradycyjnego Adama z ogromnym członkiem i bez pępka, oczywiście. Woni mięsa rzeczywistości dobiega skądinąd. Miniatury są trochę grubo ciosane, toporne, jakby krepce, romanskie. I tu właśnie auto uzyskało efekt bodaj zamierzony: plebejskość, kreskę i kontur mieszczański — a nie drobny dworski, sełkankowy, czy też klasztorny, który odsłania technikę jakby się mu chwalił i przypomina już szych.

Na frontyspisie rycina sygnowana „Cristiernvs de opido Vrow — Krvenstarna von Veschow, 1475 in Rostock”, starannie wklejona. Cztery starcy o dziecięcych proporcjach ciała, prorok Elias, Epimenides, apostoł Jan i Ahaswerus podają sobie ręce, które w centrum szychu tworzą magiczny ośmiokąt. W średniowiecznej magii figur geometrycznych ośmiokąt jest symbolem pośrednim między kwadratem czasu i przestrzeni a kołem wieczności. Ponad renesansowymi alegoriami Wiecznych Wędrowców unosią się putti, Manus Dei z wieniec laurowym, wschodzące i zachodzące słońca o ludzkich twarzach, wiatry, zapewne Auster, Korus, Eur, Not, Borcasz. W tle warowny gród, napis „Civitas Frawstadt” w obłoku. Na murach wieże, dwie bramy zaparte, krata trzeciej podniesiona. Pasemko łagodnych pagórków, las, kilka wiatraków. Pod ryciną skrócona nabył powoj wstęga: „Deo duce, non erro”. Bokami ukryty w bordiurze z kwiatów róży, lilii, tuberozy, ziół leśnych i liści akantu odrębny dopisek, sto lat późniejszy, jeśli wolno ocenić po gatunku atramentu: „Eyne feste Byrg yst vnser Gott — Pan Bog naschey fest Mvr”. Pierwsza zapiska na pergaminie pod datą „Ao 1381 D. 8 Oct. Święto Piwa” — końcowa: „Ao 1945, wędrowni ludów. Ostatni pogrzeb na Campo Santo. Ostatni transport expatriantów z Frawstadt przekracza Odrę, pierwszy transport expatriantów z Oszmiany na stacji Wschowa”¹. Oprawa z połowy XV wieku, okładka z deski bukowej obciągniętej wyprawioną świńską skórą. W owalnym barwnym ornamentem roślinnym wyciśnięte w skórę i ręcznie wypełnione złotą farbą: *Das Tagebuch v. Spshataviza Oblatky Fraw AD 1381*. Oryginał kromki w prywatnych zbiorach potomków Chwałkowskich, zmieszczającej szlachty z pogranicza Wielkopolski i Dolnego Śląska, z której w XVI-XVII wieku wywodzili się pisarze miejscy wschowscy.

Zapiski z pierwszych ćwierci XVII wieku dotyczą między innymi (karty 167 do 183) genezy i pierwszego dwudziestopięcioletnia historii Campo Santo we Wschowie — założonego w 1602 roku (pierwszy pochówek miał miejsce w roku 1609) najstarszego wśród położonych poza murami miast chrześcijańskiego cmentarza na ziemiach polskich. Staromiejska nekropolia dysydentów — luteran, kalwinów, arian, husytów, pojedynczych zwinglistów, hermnhutystów, kwakrów, chrześcijan bezwyznaniowców, tutejszych i przybyszów z księstw niemieckich, Czech, Niderlandów, ze Szwecji, Normandii, Inflant, Pomorza, Dolnego Śląska, a nawet z Italii i Szkocji, z czasem poszerzona o kwatery katolickie (osobny w mieście pozostał jedynie dalej położony kirkut Żydów wschowskich, który po roku 1968 zniwelowano) — składa się dziś z kilkunastu obelisków i kapliczek, czterech kaplic grobowych, dużego domu przednagrzebowego i z prawie dwustu piaszkowych płyt epitafijnych, których powierzchnie wypełniają bogate rzeźbienia i inskrypcje, pokryte pierwotnie kolorową polichromią. Łacnicę i niemieckie napisy — w tym także nazw polskich — zajmują środkowe pola płyt. Wokół piaszczyn i inskrypcyjnych obelisków bordiury, girnany, woluty, tu także znajdują się prawie pełnoplastyczne rzeźby, alegorie przeniesione w kamień ze zbioru Cesara Ripy *Iconologia* (1593, pierwsze wydanie z rycinami 1603), reliefy symboliczne o skomplikowanych treściach teologicznych i mistycznych, tonda, które wyobrażają przemysłnie dobrane pojęcia kosmogoniczne, eschatologiczne i apokaliptyczne, tak, aby w granicach poszczególnego nagrobka utworzyły zdanie, a w granicach całej

kollekcji płyt epitafijnych — głęboki, poruszający traktat metafizyczny. Nad szczytem płyt widnieją czasami owalne portrety zmarłych malowane na piaszkowcu, dziś czytelne tylko w dwóch przypadkach, i to słabo. Dziesiątki tysięcy anonimowych zmarłych pogrzebano bezpośrednio w ziemi, w grobach zbiorowych, bez mogi i nagrobków. Tu miejsce spoczynku znaleźli różnorodni znamy. Na murach mocowano płyty epitafijne, które upamiętniały tylko najbardziej znaczących spośród pogrzebanych w ziemi, członków najbogatszych patrycjuszowskich rodów mieszczańskich, które należały do gminy ewangelicko-augsburskiej, luterkańskiej, w mniej licznych przypadkach do gminy ewangelicko-reformowanej, kalwinijskiej. Pole cmentarza początkowo ogrodowe, później parkowe — zajmują usypane na dawniejszym grzebalisku groby z XIX i pierwszej połowy XX wieku, dziś nieliczne. Z XIX i początków XX wieku pochodzi wiele



Wschowa, Campo Santo. Stylizowane na nagrobki płyty epitafijne na murze, XIX w. Fot. Jarosław Szmatul.

wspaniałych, kutwch ręcznie ogrodzeń żelaznych o różnolitych wzorach, od neogotyckich po secesyjne. Wzdłuż murów ciągnie się wirydarzowa zabudowa architektoniczna. Obeliska i polowe kapliczki tworzą amfilady przedłużone alejami drzew, we wnętrzu obelisków, kapliczek i niemal zamkniętych kaplic znajdują się epitafia z XVII i XVIII wieku — przepiękne płyty manierystyczne, barokowe, rokokowe i klasycystyczne, przymocowane do ścian i obiegające teren muru, pełnego płytyk wnek. Są duże, wysokie, wszystkie z piaszkowca, obfite napisy w ich polach wypukłe i dopiero od końca XVIII wieku wkleśne, rzeźba na nich płynna, miękka, kamień wybrany głęboko. Bywają też mniejsze i średnie, odrobione tak samo, po mistrzowsku. Przypominają toruńskie pierniki, a gdy ciągną się szeregiem na murach najstarszego, prawie kwadratowego dziedzińca — są jak stalle w kościele. Rzeźba poza tym są jak biblioteka — księgi wciągające w lekturę, nie jak na dziewiętnastowiecznych cmentarzyskach, które namawiają do kontemplacji pejzażu z malowniczo rozrzuconymi nagrobkami, ale w głąb samych siebie, warstwa po warstwie, od zawsze znaczącej kompozycji całości płyty aż do miniatury detali, ledwie widocznych gołym okiem i potrzebujących promienia światła. Rzeźby postaci na nich krepie, o silnych łapskach, trochę toporne, plebejskie, zupełnie w stylu miniatur z *Das*

¹ Cytaty na podstawie mikrofilmów oryginału. Interesujące mnie tutaj fragmenty *Das Tagebuch* z pierwszej ćwierci XVII wieku nadsłał mi w 1960 r. wrocławski kolekcjoner i wydawca, który przekazał mi własny, głównie z łaciny nowożytnej i barokowej niemieckiej (nadsłał pojedyncze słowa postronnie, niemieckotaczniki, niemieckoholenderskie i okazy gwar). Cytaty obcojęzycznych dzieł literatury powszechnie — w tłumaczeniach różnych autorów (lokalizacja w przypisach).

Tagebuch v. Spschatavtza Oblatky. I dowcip czy też oczyszczający żart podobny: diabeł z kopytami i kosmatym tyłkiem, słoneczko pulchne jak dopiero co zdjęte z blachy ciastko, putto, które wali w dzwon zegara gnatem chyba od mamuta, cieło uśmiechnięty mały Jan Zygmunt Haynius porwany przez dwa sędziwe i potwornie smutne anioły, mrugający z nagrobka jednym oczkiem hawnik Georg Scholtz i amorek, który smarka w wielką chustę, oczywiście.

Niektóre obejsia i kapliczki Campo Santo posiadają podziemia i krypty grobowe. Ale ważniejsza dla cech stylistycznych typowych dla Campi Santi, cmentarzy ogrodowo-krużgankowych włoskich, jest wirydarzowa kompozycja kwadratowej dziedzica, zwanego Rajskim Ogrodem: teren zamknięty krużgankiem, który biegnie wzdłuż boków kwadratu, a do wnętrza dziedzica otwiera się arkadami. Pole wewnętrzne zajmuje ogród, na przecięciu przekątnych pola — w geometrycznym środku — fontanna, studnia albo wybujały, ozdobny krzew. W centrum najstarszego pola wschowskiego cmentarza, jako Axis Mundi, rośnie potężna trojpienna Lipa Waleńszka Herbergera, posadzona na nie oznaczonym w inny sposób grobie tego miejscowego pastora, założyciela nekropolii — w postaci trzech wetkniętych w ziemię korzeniami do góry gałązek — w roku 1627, jak mówi legenda, w dniu jego pogrzebu. Płyta epitafijna Herbergera znajduje się natomiast wśród płyt jego rodziny na murze przy głównej bramie. Całość nekropolii staromiejskiej na dawnym Przedmieściu Polskim, sąsiadująca później z Nowym Miastem, lokacją starosty wschowskiego Hieronima Radomickiego z 1629 roku, tworzy dzisiaj lapidarium rzeźby i architektury nagrobnej, oddział Muzeum Ziemi Wschowskiej.

Dwa inne znane środkowoeuropejskie cmentarze tego typu są dużo mniejsze. Saksoński w Pirna pod Dreznem liczy około 80 nagrobków. Campo Santo w Koźuchowie — założone w roku 1634, czy nie na wzór wschowskiego? — kilkadziesiąt. Zdumiewa dawność wyprowadzonej poza mury miejskie wschowskiej nekropolii, charakterystyczna tylko dla cmentarzy żydowskich i dysydenckich. Przypominajmy jednak, że cmentarz w Paryżu wyprowadzono za miasto dopiero w 1763 roku, w Warszawie zaś w roku 1781.

W pierwszej połowie XVII wieku Królewskie Miasto Wschowa (Königsstadt Fraustadt), wyposażone w specjalne, niepowtarzalne przywileje, nadania i edykty królewskie, liczyło się jeszcze do hierarchii grodów typu *civitas* — niżej stały *opida* — a pod względem wielkości (podymne) lokowało się w pierwszej szóstce miast Korony. Kwitł zwłaszcza zrodzony z rękodzielnictwa foluszwego i krosnowego przemysł manufakturowy sukieniczy, warsztat posiadali nawet bractwiskowie bernardyni, wyrabiali w nim sukno na habity dla całej prowincji bernardyńskiej w Wielkopolsce. Pierwszą manufakturą sukieniczą na ziemiach polskich powstała we Wschowie i nie dziwne, że przemysł włókienniczy Łodzi mieli później rozwijać sukienicy wschowscy. W mieście było sporo cechów rzemieślniczych. Podstawowe zawody w pogranicznej, wielowyznaniowej i wielonarodowej społeczności reprezentował sukiennik, piwowar, bednarz, kapelusznik, garncarz, grzebienniarz, rusznikarz, świeczarz, pasztnik, murator, kuśnierz, młynarz, rzeźnik, fałbierz, szewc, folusznik, konwiasarz, piekacz, sztyler, iglarz, pasamonnik, karetnik, rymarz, w końcu także „aurifabrorz” czyli złotnik, mincearz, zegarmistrz, dzwonnik, kat, ludzie ze straży magistrackiej i woźni. Cechy nosiły barwy rozpoznawcze, określały kroje i kolory uroczystych szat braci rzemieślniczych. Ustanawiały znaki, gmerki mistrzów, pieczęcie, tablice cechowe, wszystko to trochę naśladowało herby, którymi pieczętowała się nie tylko okoliczna szlachta, ale i szczylił się — herbami mieszczańskimi — patrycjat.



Wschowa, Campo Santo. Płyta epitafijna pastora Samuela Fryderyka Lauterbacha (1662–1728). Fot. Jarosław Szmatała.

Elity intelektualne tworzyli oczywiście teologowie, medycy, scholarchowie, prawnicy, farmaceuci, historiografowie, artyści. Historyczna Wschowa była miastem, którego poganicze, śląsko-wielkopolskie przymioty wchodziły w żywy kontakt z dziedzictwem nauki i kultury, a przede wszystkim duchowości europejskiej, z tradycją Śródziennomorza. Peregrynowano stąd do szkół i uniwersytetów w Pradze, Erfurcie, Wiedniu, Lipsku, Krakowie, Kolonii, Rostoku, a także w Bolonii, Frankfurcie, Wittemberdze, Magdeburgu, Toruniu, Leydzie, w Marburgu, Gdańsku, Królewcu, Bremie, Strasburgu, Halle, Berlinie, Wrocławiu, Jenie. Szeroko przyjęte

w Europie paradygmaty światopoglądowe sprawiały, że fakultety opuszczali mędrcy, których wiedza specjalistyczna była tylko częścią ogółu zdobytych wiadomości. Medyk pochylał się, i to raczej trwożliwie, nad atlasami anatomii. Studiował także księgi filozoficzne Starożytności i Średniowiecza, bo oprócz wiedzy musiał posiadać mądrość. Zaleta retorów i łacinników była nie tylko znajomość reguł pięknej i celnej wymowy oraz gramatyki greckiej, łacińskiej i często jeszcze hebrajskiej, lecz nadto rozległa, a zdarzało się, że subtelna i crudycyjna wiedza ogólnohumanistyczna, zwłaszcza w dziedzinie filozofii, literatury, historii form i poetyki. Teologia bywała łączona z przyrodoznawstwem, z biegiem czasu — i to już w Wiekach Średnich — osłabła nawet Arystotelesowska dialektyczna sprzeczność nauk metafizycznych i fizykochemicznych, co wywołało alchemię. W pierwszej połowie XVII wieku obok mędrców, uczonych i peregrynujących po Europie w poszukiwaniu nowinek obieżyświatów w typie wschowskiego medyka Mateusza Lamprechtia Młodszego — w mieście działało spore grono artystów.

Nie zawsze byli to ludzie wybitni tak, jak małżonek Rosiny, córki wschowskiego burmistrza Deutschlandera, glogowiec Andreas Gryphius, wielbiciel Seneki i dramatopisarstwa niderlandzkiego. Za pióro, pędzel czy papier nutowy chwytały szlachetni dyktanci, amatorzy w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kiedy poznaje dawne zwyczaje szkół i kolegów wschowskich, przeglądając mieszczańskie druczki okolicznościowe, pochylał się nad dedykacjami, adresami, korespondencjami, odkrywał zawałowane przycinki, polemiki, drobne uszczypliwosci — nabierał podejrzeń, że patrycjusz, rzecz charakterystyczna dla atmosfery Baroku śląskiego, urządził we Wschowie biesiadę poetycką, podczas których czytali wiersze, improwizowali, kłócili się przy grzany piwie i plebejskim jadłem. Zdarzały się dysputy filozoficzne, teiropoetyckie, historyzoficzne naturalnie — przecież trwała Wojna Trzydziestoletnia — i wspólne śpiewy z ładacznicami i dziewczkami kuchennymi na kolanach w Święto Króla Bobowego, które słyneło zawodami w puszczaniu gazów, na Świętego Medarda, na cześć wstęznego Gambriusa, króla piwo-sza, który w IX wieku — zanim wszedł do mitu — wesolo rządził ludem flamandzkim, w czas walki Karnawału z Postem czy też na Emaus, w święto wielkanocne kojarzone z pogańskimi kultami płodnościowymi, które zostawiły nam w spadku śmigus-dyngus i atencję dla pomalowanych kurzych jaj.

Czy Wspólne Piwo patrycjusz, mistrzów i czeladników sztuk pięknych, którzy bawili się w plebs i wśród których można było spotkać pawdziwych fanfaronów, łazików i pikarejczyków — nie burzyło krwi? Zapewne. Nie mniej, niżeli gorące dysputy. Może czasem dochodziło i do rękoczynów, nie tak często wypadły jak między autentycznymi plebejskimi piwoszami, którzy dzień w dzień okupowali gwarne knajpy. To tych szelmów był dymlące miały odstąpić popularne wierszyki, które kaligrafowano na deskach i wieszano na ścianach w cechowniach, piwiarniach i knajpach przy alembikach. Do wierszyków dodawano zwykłe maluneczki, proste w wyrazie — dla analfabetów lubo tych, którym wzrok już się od piwska zamglił i literek odczytać nie byłoby w stanie. A dodajmy — literkę gotyckich, bluszczowatych, które poeta Tadeusz Żukowski przyrównuje dziś do „rzeźbionych w pierzku wień”. Bo jak te deski malowane! Topornie, kulfoniasto, barwami krzykliwymi, agresywnie. Jedna wisi w muzeum wschowskim, trochę młodsza od epoki, o której opowiadam, niewiele jednak, wymalowana „Anno 1678”, wiek później odnowiona, „Renova Ao 1779”. Decha wielka, farby na niej grube, kolory kontrastowe a proporcje tak rozchwiane, że w rzeczy samej mogą się ukłosać chyba tylko w oku człowieka podpitego. Zza groźnej i gestej niby grochówka albo zupa zwana

„eintopfem” chmurw wysuwa się potężne lapsko z toporem, ręką kogoś innego leży już na niebotycznym pieńku, kat właśnie ją odrąbuje, prawdziwy gniew Boży, sika krew, na drugim planie sielski pejzaż, liche lasek, łąka. Górą wierszyk po niemiecku, dołem to samo po polsku, przeglądają się w sobie jak w lustrach:

*Schmahen, Schlagen, Stucken, Schelten.
Soll bey Straffe hier nicht gelten.
Wegen Schellen, Schmutzen, Schlagen.
Soll ein jeder Busse tragen.*

*Kto na Piwo tu przychodzi
Lżyć w bić mu się nie godzy.
Gdyż zato ma być Karany
y do Wienzenia Zabranu.*

Kto tak pisał? Może któryś wierszokleta-biesiadnik na prośbę szynkarza? Rej w biesiadach poetów wiódł pewnie, gdy bawił w mieście, sam Andreas Gryphius, wielki rapsod Wojny Trzydziestoletniej, poeta łacińsko-niemiecki, tragic i komediopis, pionier spiewogry, mistrz zafascynowo anyliryka łacińskiego i podręcznikiem poetyki wilniania jezuita Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. We Wschowie u boku Gryphiusa stał zawsze Mikołaj Chwałkowski Młodszy, kompan szkolny. Wiersze składał jednak wielu, każdy mógł skrobić rymowane piwiarnią, przecież tyle pisali. Bo to oni są autorami inskrypcji na Campo Santo. Można powiedzieć, że pisawali je sobie nawzajem Zachariasz Herberger, Jan Timaus, Mikołaj Chwałkowski, Mateusz Rudiger, Elias Queis, Marcin Mollerus, Joannes Stojusz, Baltazar Thilo, Mateusz Vochner, Krzysztof Scultesz i wielu innych. Gryphius też, być może, skoro na murach nekropolii tyle pływ jego rodziny i powinowatych ze strony żony. A w jednej z jego książek z owych lat — sztych, na którym dokładnie zobaczyć można robotę cmentarnego kamieniarza. Na muzawie leży „na plecach” wycięta z piaskowca duża płyta, dookoła w trawie walają się narzędzia snycerskie, liniały, cyrkle, sznurki, bo rzeźbienia musiały być najpierw na płycie wyrysowane, młotki i młoteczki, punktaki, duże i małe dłutka płaskie, zakrzywione, półokrągłe, szpikulec, haki. Snyceń przedstawiony jako kościotrup wykruwa właśnie imię i nazwisko Gryphiusa, które odrobione jest do połowy. Obrazek bardzo w stylu epoki: melancholizny. Melancholia, choćby tylko hipochondryczna, to w owych czasach najmłodniejsza z chorób.

A kamieniarze z Campo Santo, jak dotychczas, nie są nam lepiej znani. Domysłamw się tylko, że ich „lapidarnie” były gdzieś niedaleko, w samej Wschowie, w nieodległych miasteczkach Wielkopolski, może również w Rawiczu, który sływał z barokowych rzeźbiarzy ze szkoły dolnośląskiej, może w Głogowie, zwanym wówczas Wielkim. We Wschowie piaskowce był popularny, używano go na rzeźby kościelne, na figury w parkach dworskich i przy drogach, budowano zeń bramy wjazdowe, w mieście kamienie ozdabiano piaskowcowymi oprawami nad drzwiami wejściowymi i wokół okien. Płity epitafijne na Campo Santo nie są sygnowane, przynajmniej od frontu, poza bodaj dwiema, które podpisał Zachariasz (raz jako Zachnas, raz Zacharias) Nelde: nagrobki rodziny Bernhardów, ufundowane w trzeciej tercji XVII wieku przez Józasia, aptekarza miejskiego.

Językiem ksiąg urzędowych małej wschowskiej ojczyzny — jak w wielu miastach polskich tej epoki — była niemieczyna, język magistratu, radw miejskiej, cechów rzemieślniczych, mniej łacina, język duchownych, scholarców, medyków, prawników. Okoliczna szlachta wielkopolska, katolicka i protestancka, mówiła po polsku,

szlachta pochodzenia dolnośląskiego raczej po niemiecku, tu i tam z naleciałościami gwarowymi i makaronizmami. Mieszczanństwo gadało różnie, zależnie od pochodzenia, plebs używał specyficznego, pogranicznego wolań. Jego częścią składową był i plebejski dialekt dolnośląski, w którym Gryphius napisał fragment sceniczny pt. *Die geliebte Dornrose* (1660). Pograniczny, polsko-niemiecki wolań znalazł później miejsce w anegdotce plebejskiej o babie, której zginęła świnka. Poszukując zbiegłego zwierza pyta ona napotkanych przechodniów: „Hast du nicht gewidziet, wie mein Schwein über die Pola gelaufen ist?” Duża, sięgająca jednej trzeciej liczby



Wschowa, Campo Santo. Płyty epitafijne rodziny Deutschlander — krewnych Andreea Gryphiusa ze strony żony — lata sześćdziesiąte XVII w. Fot. Jarosław Szmatla

mieszkańców wspólnota żydowska mówiła po hebrajsku, później także w jidysz nazywanym żargonem, który stopniowo wyparł hebrajski. Żydzi znali dobrze niemiecki — prowadzili w tym języku niektóre księgi kahalne, pieczęć gminy też była niemiecka — po polsku mówiło niewielu, niektórzy Sefardyjczycy władali jeszcze trochę hiszpańskim, inni holenderskim. Po roku 1555 językami wykładowymi w ewangelickiej szkole średniej we Wschowie były niemiecki, łacina i hebrajski, uczono greki, dla ćwiczeń raczej, niekiedy posługiwano się językiem polskim. Kazania w bernardyńskim kościele św. Józefa dawano po polsku, lecz w niedzielę iдно zawsze po niemiecku — może być, że zasadę tę odwzajemniał zbor ewangelicki, tym bardziej, że protestantom Polaków nie było mało. Zdarzały się — nie tylko w drodze ożenków — osobliwe zmiany konfesji religijnej, nazywane wówczas nawróceniami. Niektórzy protestanci przyjmowali wyznanie mojżeszowe, Żydzi ewangelizm, katolicy przechodzili czasami na arianizm, husyci nawracali się na zwinglianizm. Nawet nazwiska zmieniano łatwo jak rękawiczki.

Wundergast stawał się Dobrogościem, Zieheil Ziebałem. Kruzenstarna Stern, Slichtyng uważał się za szlachcica (jeżdźca) polskiego i do podpisu dodawał „Eques Polonus”. Na Campo Santo — jeszcze w XIX i XX wieku — mamy Franciszka Pohle czy Władysława Weigta, ale i Leo Sobottę czy też Thomasa i Hedwig Lewickich.

W związku z przywilejami dla napływających Żydów w pewnym okresie ilość przyjmujących mozaizm stała się tak znaczna, że rabin przybył do drzwi bożnicy kartkę: „Więcej nawróceń nie przyjmuję się”. Zjawisko musiało być nie tak rzadkie, może rabini polscy postanowili coś wspólnie, bo anegdotkę o oświadczeniu rabina fama przypisywały i innym gromom polskim nawet na Kresach wschodnich. Pewnym powodem w okolicy cieszyła się idea wiary bezreligijnej, której orędownikiem w XVII wieku był luteranin z urodzenia, mistyk i teozof, szewc Jakub Böhme z lużyckiego Zgorzelca, a w wieku XVIII — ekscentryczny graf Mikołaj Ludwik von Zinzendorf z Drezna, założyciel wiosek bezwyznaniowców Herrnhutu (Opieki Bożej) niedaleko Lobau i Gnadenfrei (Bez Laski) koło Kielczyna. W relacjach autochtonów pojawia się nawet wspomnienie niewielkiej wspólnoty Niemców wyznania prawosławnego, którzy posiadali podobno własny dom modlitwy, namiastkę cerkwi. Być może „nawrócił” się oni dzięki handlowi suknom wschowskim, które wożono na Wschód szlakiem ormiańskim. Ale może byli to po prostu późniejsi tak zwani Niemcy Bałtyccy, kilka rodzin przybyłych do miasta? Zastanawia przecież także orientalizm niektórych dzieł dramatycznych Andreea Gryphiusa, zięcia burmistrza Wschowy. Mniej dziwi, że głogowczyka tragedia *Leo Armenius* (1646) rozgrywa się na podległych Bizancjum terenach ormiańskich, a dramat męczeński *Katharina von Georgien* (1657) w chrześcijańskiej Gruzji — zdumiewa dopiero niejasne w genezie a zdecydowane powinowactwo stylistyczne pism Gryphiusa i protopopa Awakuma. Ornamenty bizantyjskie i maureski, chociaż rzadko, występują również na płytach z Campo Santo. Ten ostatni argument nie jest jednak mocny, w maureskach upodobanie miał przecież europejski Renesans.

Poza mową niemiecką i polską na ulicach Wschowy słyszano się język holenderski, czeski (szczególnie po roku 1620) — w okolicy zachował się jeszcze nagrobek z czeską inskrypcją — rzadziej szwedzki, włoski, szkocki. Spotykało się tkaczy wallonskich, ormiańskich kupeców, wziętych do niewoli i udomowionych Turków osmańskich, sprowadzonych przez wojewodę Krzysztofa Opalińskiego Tatarów litewskich czyli Muślimów, Brandenburczyków i Bambrów. Powiedzieć można, że brakuje tu tylko Murzyna. Nie ma co śmiać, bo i tego, zdaje się, można było od czasu do czasu spotkać. Zafascynowanie egzotyką było ogromne w tej epoce podróży morskich, piraterii, podbojów i handlu niewolnikami — nie mniejsze, niż pokusa złamania tajemnicy życia pośmiertnego. To pociągany dwiema atrakcjami naraz, egzotyką świata i egzotyką zaświata, Gryphius — nauczyciel domowy u grafa wschowskiego von Schönborna — pędził do Wrocławia, aby na zapleczu apteki swego przyjaciela badać z nim mumie, sprowadzone z Egiptu. A co do Murzyna — przecież świetny znawca epoki, o której mówimy, Gerhart Hauptmann, uczynił go ważną postacią swego nad wyraz Bohemskiego dramatu *Czarna maska* (*Die schwarze Maske*, 1928). Ma na imię Johnson i pojawia się na tle towarzysztwa złożonego z jansenistów, hugenotów, pastora, opata, Żyda i Mulatki. Rzecz dzieje się w roku 1662 w Bolkowic (Bolkenheim) na Dolnym Śląsku, w kamienicy mieszczarskiej, a więc w świecie podobnym do rzeczywistości mieszczarskiej Wschowy. A Wschowa miała swoją Kamienicę Pod Murzynkiem, pewnie mieszkał w niej kupiec towarów egzotycznych, może obiecywał, może mieszczanin, który szczylił się sługą przywiezionym z Afryki, kto wie.

Trwała złota epoka gwarantowanej przez królów polskich tolerancji wyznaniowej i narodowościowej, byt był ziarnisty jak kosmos, wielowartościowy. Z biegiem lat — mimo konfliktów, tragedii i Wieży Babel języków, narodów, wyznań religijnych — ucukrowało się wyobrażenie dobrej, małej ojczyzny tubylczej, ani polskiej ani niemieckiej, po prostu pogranicznej. Jak wielką ojczyzna ta przedstawiała wartość — dowodów jest wiele, czy nie ostatni z lat 1918-1919. Wioska Świętyno na wieś o kłesze Niemiec i wybuchu powstania wielkopolskiego w obawie przed niepewnym losem postanowiła zachować neutralność wobec powstańców polskich i niemieckiego Grenzschutzu. Na wiecu powołano tubylczą Republikę Świętnowską, suwerenną i samorządną, z własnym przedstawicielstwem dyplomatycznym. Miejscowy pastor Hegemann — pomysłodawca i ojciec założyciel państewka — obwołał się premierem i ministrem spraw zagranicznych. Ministrem wojny został leśniczy, a soltys objął tekę ministra spraw wewnętrznych. Dyplomatów Republiki wysłano na pertraktacje z władzami państw sąsiedzkich, Polski i Niemiec, które status i konstytucję Świętna uznały. Państewko istniało tak miesiąc kilkanaście, zbierał się wiec czyli sejm, wydawano republikańską gazetę, po roku wzięły wioskę wojska niemieckie. Ale Geniusz Łoci smiertelny przecież nie jest. Jak czardziejski Dzin mieśka może do dziś w zabytkowej butelce na mojej półce. Zamknięta porcelanowym korkiem na drucie, pochodzi ona z dwudziestolecia międzywojennego, a sprzedawano w niej piwo. Czerwony na białym tle napis na korku głosi, że wyprodukował go Albert Troska z Rawicza, człek o arcypolskim nazwisku. Słowa odcisnięte w szkle butelki zawiadamiają, że zawarte w niej piwo pochodziło z firmy „Emil Schneider - Browar Leszno”. A nizej hasło bliskie mieszkańcom Republiki Świętnowskiej: „NIESPRZĘDAJ-NA”.

U nasza się ów niesprzedajny Duch Miejsca i nad krainą wschowską anonimowego pisarza, który przedstawia się jako Wiczyń Wędrowiec i — jeśli dobrze rozumiemy rycinę na frontyspisie księgi — chce uchodzić za miejscowe wydanie postaci mitycznych, wiecznie żywych, proroka Eliasza, greckiego Epimenidesa, apostoła Jana czy może Żyda Ahaswerusa. Postać Wiecznie Powracającego Wędrowca pojawia się kilkakrotnie na płytach z Campo Santo: tu przepiękna legenda dominuje w sposób szczególny w epitafium zmarłego w 1727 roku pastora i kronikarza Wschowy, Samuela Fryderyka Lauterbacha. Autor szychu nazwiskiem Krusenstjarna żył w drugiej połowie XV wieku, w roku 1475 jako „Cristierns de opido Vrow” zapisał się na fakultet w Rostocku, co odnotowano w tamtejszej księdze immatrykulacyjnej. Przyjechał po nauki ze Wschowy (Vrow), pochodził z rodu ryckiego z Normandii — jego nazwisko „Krzyżowagwiazda”, piszące się po normańsku, nie po niemiecku, wywodzi się pewnie od herbu Gwiazda i Krzyż lub Gwiazda Krzyż — a przodkowie tego rodu sprowadzili się szlakiem przez Danię do Polski w XII wieku i osiedli w okolicach Lubinia, Wschowy i Krzywinia początkowo po klasztorach cysterskich i w tak zwanych ryckich wieżach. Ale Krusenstjarna na świecie nawet nie było, gdy w 1381 roku tajemniczy Sprzedawca Oplatków kładł pierwsze zdanie w swojej kronice, więc to nie „Cristierns de opido Vrow” opisał Święto Piwa we Wschowie na pierwszej karcie dziennika. O Sprzedawcy Oplatków nie wiemy nie ponad to, że był przedstawicielem zawodu bardzo rzadkiego, lecz nie całkiem obcego Średniowieczu, skoro ówczesne kroniki Paryża wymieniają dom Sprzedawcy Oplatków położony w centrum miasta. Zdumiewa jednolitość charakteru pisma w całym, ponad czterysta pięćdziesiąt lat prowadzonym zapisie, od roku 1381 po 1945. Anonimowy autor zmienia papiery, atramenty, farby, zmienia się — aktualizuje — styl, gramatyka,

leksyka i ortografia jego języka, ale nie zmienia się ręka, która pisze bardzo pewnie i niczego nie kreśli. Jeżeli nie możemy uwierzyć w proroka Eliasza, świętego Jana apostoła, Epimenidesa czy Ahaswerusa — nie uwierzmy także w Sprzedawcę Oplatków. Chociaż w Eliasza i Jana tak samo trudno mi uwierzyć jak nie uwierzyć i przypuszczam, że podobnie Grekom trudno było wierzyć i trudno nie wierzyć w Epimenidesa, a Żydom w Ahaswerusa. Niedowiarak musi założyć, że kronika jest dziełem autora zbiorowego. Z pokolenia na pokolenie zapiski prowadzili anonimowi ludzie, którzy świetnie podrabiali pismo ręczne pomyślowadcy i pierwszego w sztafecie pisarza — nie lada jaką jest to gratka dla grafologów. Trudno jednak wiedzieć, od czego pochodzi sama idea sztafety i zbiorowego autorstwa, tak pilnie i długo pielegnowana, a strzeżona jak największa tajemnica. Autorowie dziennika przypominają w tym członków zaradkowego stowarzyszenia czy zakonu, który miał może w każdym pokoleniu wschowan tylko jednego przedstawiciela, strażnika i autora księgi, na co dzień trudniącego się wypiekami i sprzedażą pieczywa obrzędowego, hostii, oplatków, przasników, macy, chlebów Adama i Ewy, chalek, platków z mанны, białej bulki luteran i razowca braci czeskich, a także kolaczy na święta cechowe, na póły sakralne. Z tym, że nie samo zwykłe pieczenie było istotą proteści Sprzedawcy Oplatków. Musiał on przede wszystkim skrupulatnie przestrzegać wszelkich sakralnych zakazów i wymogów wypieku, innych na przykład dla obrzędowego pieczywa chrześcijańskiego i innych dla żydowskiego, rytuałów symbolicznych, które opisywano w recepturach religijnych na równi z określeniem proporcji i gatunku maki, wody, zaczynu, przypraw i formy geometrycznej wyrobu. Stopień przestrzegania rytuałów i jakości wypieków były stale kontrolowane przez klientów Sprzedawcy Oplatków, głównie duchownych różnych wyznań. Profesja była ryzykowna i rzadka, bo chętniej korzystano z usług piekarza współwyznawcy jako lepiej wprowadzonego w arkania liturgii i obrzędowości zamawiającego wypiek Kościoła. Sprzedawca Oplatków mógł zostać tylko ktoś nadzwyczaj wyjątkowy, o autorytecie czy też nawet wiedzy teologicznej uznawanej za bliską sobie przez kilka Kościołów czy wspólnot religijnych jednocześnie. Jego zawód miał charakter ekumeniczny, a jak widać nawet podczas wojen religijnych i wyznaniowej nienawiści do przedstawicieli innych konfessji — większość Kościołów pragnęła niewielkiego symbolicznego elementu ekumenicznego, czegoś ponad różnicami. Dla nas, późnych czytelników kromki, zostawiono tylko te złotymi literami wybite słowa: SPSC HATAVI I ZA OBLATKY. Są przesłaniem, którego treści nie potrzeba wyjaśniać, tak przejmująco jest czytelna.

Zapiski dotyczące genezy i pierwszego ćwierćwiecza dziejów Campo Santo we Wschowie otwiera przepiękna, podana w formie parabeli nowelka. Sprzedawca Oplatków kreśli ją śmiało, mocnymi rzutami pióra, ale w sposób przypowieściowy, co podkreśla jeszcze narzucony owemu ustępowi charakter anamnezy, co pamięć papieru wolne, dwa lata będzie temu. Nie nie napisane, co pamięć prowadzi nie wiem czemu teraz. D. 23 Dec. Ao 1600. 7 rana u Chwałkowskiego. Christus mansionem benedict. Zaspany srode, bierz chlebek Adama i Ewy, oblatum, płaci zaraz. Reszki widziałem wczorajszej wiecejzy. Kawalek gotowanej ryby w szpinaku, zmnie pivo z serem, troche kaszy, polanej sokiem z czarnego bzu. Sadza za stolem, jeść nie daje. Prawi tylko: podróż ciężka, błoto mocne, melancholia większa tego roku w powietrzu i na duszy. Wiedza czarna śmierć czy to nie znowu szpon rozpaczera, miazma kazi powietrze, choroba Hłoba. Wczora po powrocie z Lignic, długo bez snu, wciąż dochodził mię głos altarysty od tumu w Głogowie, gdzie wstąpił

modlitwą jedną polską ze „Statutów” biskupa Konrada odpisać. Onże artysta napotkany pode drzwiami biblioteki obejrzał się dobrze wokoło i zepnął: w Gorlitz (w Zgorzelcu) szewczyk Jakub Bohne, odbłask światła w cynowym naczyńiu obaczył, w nim jasność wszystkich tajemnic, stans saternum panno, szewczyk luter, parę tygodni temu. Adoro Te, Jesu — powiedziałem, jak kaže Tomasz Akwinata, w kierunk ułtaryjny w sieniach, który z daleka widać trochę było. Amen — zakończył artysta głogowczyk. Giordano mistrz na Campo dei Fiori w Romie tego roku spalony. Korona dyssydemtom wolna, to już illuminatio na nich przychodzi. Czy to być może? Chwałkowskiemu nie nie odrzekłem.

Nie po raz pierwszy pojawia się w tej niemieckojęzycznej nowelce od początku do słów ostatnich nie zarzucała w księdze perspektwy narracji, widzenia rzeczy i spraw. Sprzedawcy Oplatków nie sposób przylapać na jakiegokolwiek bądź stronniczości, która zdradziłaby nam może konfesję religijną i narodowość Anonima. Jeśli nie zabrzmi to dla czytelnika uszu ludołubnie, powiem, że perspektywa ta jest obserwacją świata z punktu widzenia Boga. Narrator nie dziwi się niczemu i wszystko zostawia do samooceń, to jest żeby się samo osądziło. Uśmiecha się pewnie, gdy po łacinie tak mniej więcej pisze: *Ad 1603. Płtniki wschowskie eklezyj rzymskiej idą przez miasto nocą powrotnie od cystersów w Lubiążu, ścieżki w Łasku Świętej Jadwigi i na Górze Trzech Krzyży odprawili nie wiedząc, że chrześcijan łuturskie z nimi poszły i Ciało Pana Jezu Krysta razem jadły.* Od ujęcia panoramicznego — następuje cudowny opis pielgrzymki widzianej z lotu ptaka, co nieco podobny do łacińskiej ody Sarbiewskiego o podróży z Wilna do Brukseli na grzbiecie pęzaga — Anonim przechodzi zaraz do na polu małego ważnego w tym kontekście szczegółu z życia miasta, i po łacinie dodaje: *Valentinus Johns z Goslaru dostał mieniącą wschowską, ten co znaczyć się będzie pęncą szwagra swego umarłego Teodorusa z Hamuneln ministraża poznającego, tedy powieścił deskę jedną wyciętą dwa haki górnicze na krzyż i V.J. liery.* Dlaczego tak pisze: od wydarzeń mistycznych, jak widzenie Bóhmego czy wspólna komunia katolickiego i protestanckiego Ludu Bóhmego — do faktów w „materialnym” bycie miasta? Od panoramy z lotu ptaka — po detal widziany okiem zaby? Bo tak widzi Bóg na Niebie i na Ziemi, a w ślad za nim człowiek tej epoki, który dobrze wie, że na obraz i podobieństwo Boga ulepiony; był w całej panoramie i zarazem w każdym mniej i bardziej pospolitym szczególe. A i dziś jeszcze widzieć można Boga unaszającego się nad panoramą Wschowy — na malowidzie w kościele św. Stanisława biskupa.

Sprzedawca Oplatków nie szczędzi informacji. Wręcz faktami samymi mówi. Chęć przez to powiedzieć, że przygody duchowe są dlań nie mniej rzeczywiste niżeli przypadki materii i ciała, a nawet, że symboliczne poszycie rzeczywistości i wyobraźni jest u Anonima faktyczne, faktyami przemawiające — mocniej, aniżeli przemijające, niepewna, bo materialno-cieleśna powłoka bytu. Mówi przypowieściami, nie wprost, ale zawsze krępe bezpośrednie kontakty czytelnika z sensem. Czasami rzecz wyklada dobitnie i do końca. Kiedy indziej zawsze głos, nie opowiada tylko razi obrazem albo symbolem jak burza błyskawica. Jest wówczas mistrzem tajemniczeń mądrościowych, który uczy wytrącając rozum z równowagi. Oświeca obrazem, uderza paradoksem, poraża antytezą. Pisze, po niemiecku tym razem: *Ad 1602. Wigilia Adama i Ewy. Po dysypcie z Żydem jednym starym wschowskim na drodze przy kirkucie jak go nazywają, nie jak Justyn Męczennik z Żydem Tryfonem prawiący. To mi powiedział Żyd ten Pinkus, Stawszy się ku radości swej brzemienną niewiastą drzy o płód i aby nie poronić, nił napil sejn, noli na szyi Sternschrz czyniący lekkim poród i szczęście dające. Talmud zaleca*

na to orli kamień zwany eben thekuma, który, zawierając wosporodku drugi, mały kamyczek, sam uchodzi za brzemienny, a srodekmiem niezawodnym jest jeszcze odgryzienie przez ciężarzą szypulki od cithrogu to jest jabłka rajskiego. Do Pinkusa tego rzekłem, co planeta nasz pelen ludzkiej zmarłej gliny brzemienny jest jak kamień ten zwany eben thekuma. Pinkus rzekł: być musi, to samo prawi Valerius pastor. Tego roku Valerius pastor zwany Małym Lutrem i Drugim Ignacym Layolą, syn wschowskiego poety, kusierza Marcina Herberka, wziął tano grunta na Przedmieściu Polskim od Piotra Stolzla i Tomasza Meltzera, za murami, na południowy wschód, między zagrodami pospółstwa, chlewami, gnojowiskami. Pollandron wielki za burmistrza zgodą. Radziły mu to Jeronimo Ariusz z Włoch do Korony zbiegłe, na wypać pole ziemią z Uroczoliny z Grobu Pana Jezu Krysta jak Helena święta polandron piżenski ziemią judejską z roli Haceldama do grzebania pielgrzymów za srebrniki Judasza wziętej. Złany wodą lustralną ostep dziki psalmami wzięty. Gród od miazmatow ze smętarzyków przy świętych obok kościoła chędożą Valerius pastor. Deutscherlander burmistrz, Teschner kantor, Teologus prawi: przez podeptanie do wywłaszczenia, śmierć ciał i zmartwychwstanie ciał uwielbionych. W Piżie katakumby rzymskich chřeścieljan wyśniewione na lux przez Helene, śmierć radość, wrota do wieczności. Kości składane będą po grecku w ossarium czyli viridarium u Priapus w ziemi na ogrodzie. Valerius pastor wola fossorów, niki się w pole okadzone nie kwapi. I teraz, zaraz po wiel barokowego zawikłanym i pełnym makaronizmów fragmencie, bez najmniejszego wychylenia — przypowieść oświecająca klarowna, która opowiada przez uogólnienie to samo, co powiedziano przez uszczegółowienie. Przepiękna lekcja. Z ogromnym zdziwieniem znalazłem ją po długich kwerendach jako urywek z *Poucen d'uxovich* Mistrza Eckharta, mistyka katolickiego z przełomu XIII i XIV wieku, dominikańca, którego nauki tak były bliskie Bóhmemu. Pewien człowiek chciał doprowadzić do swego ogrodu wodę ze źródła i tak mówił: Byłbym tylko miał wodę, a wcale nie będę wazwał nurodzaj rynnny, która mi ją będzie doprowadzała, może być żelazna lub drewniana, z sękami czy też rdzą pokryta — byłbym tylko miał wodę¹. Tak, Valerius Herberger i Sprzedawca Oplatków myślą o tym samym: że tajemnica powstania z martwych, ukazana przez Boga Ezechielowi w Widzeniu Kości, jest pytaniem o wewnętrzna, duchową treść człowieka, a nie o przygodne naczynie ciała doczesnego. Ciało uwielbione jest zatem duchem doskonale, nieziemskim połączonym z substancją. „Byłbym tylko miał wodę... —” rodzący czy kształtujący „rynnny” nieważny. Przeto stosowniejsze dla umarłego ziemskiego robaka są żuchwy ziemi, a nie ciałka deptane, ponżone, wrzucone do dołu za miastem — nie jest ciałem martwe, nieżywe, skoro dalej przysparza zasług duszy i doskonali ją przez cierpienie i pokorę. Wschowski pastor — ponad naukami Kenesanus — kontaktuje się tu z mistyką Złotego Średniowiecza i z głęboką eschatologią pierwszych chrześcijan. To wątek bardzo katolicki, a Herberger był myślicielem nieortodoksyjnym, o umysłowości greckiej, w jego pismach wiele rzeczy ma kształt właściwie katolicki, wiele innych luterancki, kalwiński, a nawet erasmiański. Był to na pewno rewelator niezmiernie twórczy i wielki indywidualista, mistrz paradoksu, cudowny kreator wiary mocnej i radosnej. Sam najchętniej nazywam go chasydem Marcina Lutra, bo przypomina cadyka tańczącego i śpiewającego Panu nawet z dna rząpicy.

Widąc tu jednak trop inny jeszcze, dukt, który ukazuje aż nado wyrazicie przyszłe, przez trzy wieki narosłe pięć Campo Santo.

¹ W dzienniku cyt. w języku niemieckim: Thun wg: Mistrz Eckhart, *Traktaty*, przeł. i oprac. W. Szymona OP, Poznań 1987, s. 70.

Jedność, jednoczesność przeciwności — dobra i zła, dwuznacznej, złej i dobrej śmierci, która przeraża człowieka, ale też spotyka go z Bogiem. To Jakub Bohme widzi Boga jako jedność dobra i zła, a dobro w człowieku uważa za jakość, która zawsze wylania się z otchłani zła. Podobne przekonania metafizyczne wyblaskują chwałami z pism Mistra Eckharta, zna je świetnie tragedia greka, oczywiście. Gerhart Hauptmann, którego fascynowało malarstwo szesnastowiecznego mistra weneckiego ze szkoły Tycjana, Jacopo Robustiego znanego jako Tintoretto, dostrzegał na jego płótnach jednoczesność Olimpu i Hadesu, symbolizowanych także przez biele i czernie. Wschowskie Campo Santo jest jednym wielkim traktatem



Wschowa, Campo Santo. Grobowiec z około poł. XVII w., przeniesiony do obiekta rodziny Chwałkowskich. Fot. Jarosław Szmaluta

o tej greckiej w swej genezie, mistycznej jednoczesności dobra i zła, mroku i światła, Olimpu i Hadesu. Oto kwitnący Ogród Rajski, w którego wnętrznościach toczy się rozpada człowiecze ciało. Oto przerażające obrazy i symbole śmierci, czaszki z węzami, które pelzają w oczodolach i między szczękami, piszczele, które opadają bordiurą jak ulewny, niesamowity deszcz, kostucha z chorągwią zwycięskiej śmierci, siedząca na trumnie. A oto jednoczesne girlandy bujnego kwiecia, beztroskie putti, amory, Manus Dei z wieniec laurowym, tańcząca para ludzinków, zniwiera na urodzajnym polu, orkiestra anielska, legenda o Wiecznie Powracającym Wedrowcu i legenda o Perle, niewinne żarty w rodzaju smarkającego amora i mrugającego z medalionu ławnika. Róża, która wiecznie i w tej samej chwili zakwita, wiecznie wiecznie i wiecznie zakwita — greckie wyobrażenie bytu jako koła o ruchu powrotnym. A jednocześnie Adam Kadmon i Wzdrzenie Kości proroka Ezechiela — judeochrześcijańskie wyobrażenie bytu jako strzały, która biegnie od czasów upadku Adama i Ewy po czasy apokatastasis, przyszłej rzeczywistości przeobstnowienia. Jednocześnie przeciwności jest prafomą każdej warstwy treściowej wschowskiej nekropolii. Także stylistyczne: konwencje włoskie, poludniowe, są jednocześnie z konwencjami niderlandzkimi, północnymi.

Sprzedawca Oplatków wiele uwagi poświęca teraz wydarzeniom w mieście i na Campo Santo. Przycząca postylle Herbergera i kilkakrotnie wraca do dwóch tematów: dlaczego pochówek w Rajskim Ogrodzie — tak nazywa nekropolię — jest właściwszy od spoczynienia w kryptach kościelnych oraz jak powinni współżyć obok siebie ludzie różnych wyznań i narodowości, wśród których we Wschowie jest coraz więcej emigrantów, zbiegłych ze swoich ojczyzn przed prześladowaniami religijnymi.

W części rocznej Anno 1604 pod datą D. 28 Sept. Anonim przepisuje łaciński fragment, który tak idzie: *Wszystkie miałyśmy lampy w reku (...) Naprawdę spuszczałyśmy się po wąskich schodach kamiennych, potem zstąpiłyśmy na wilgotną ziemię do galerii nieformenne w ziemi wykutej i nią doszliśmy do smętarza (...). Ciała chrześcijan nie są palone, ale starożytnym rzymskim i greckim obyczajem składane w ziemi. Nie zamykają ich w kostowniane sarkofagi, ho ciała znikome powinny się stać prochem nim do nowego życia powroci. (...) Jak w kolumbariach naszych urny, a przy nich dla rodziny, aby się modlić leżały ciała spowite całunami, a przy nich dla rodziny, aby się modlić mogła, dla wierznych, aby przypomnieć ich zdołał, napisy na tablicach z marmuru, cegły, często na glinie tylko. Cytał pozostawiony jest bez komentarza, może i słusznie. My powinniśmy jednak co nieco dorzucić. Otóż mamy tu do czynienia z fragmentem listu, rozpoczynającego się w oryginale od nagłówka „Sabina Marcja Zenonowi Atenickiemu zdrowia”, który należy do znanego zespołu listów pierwszych chrześcijan — *Litterae primo saeculo post Christum natum scriptae* — przechowywanego w Bibliotece Watykańskiej. List Saby Marcji uchodzi za apokryf, co oznaczył w odrębnej zapisce sam Justusz Lipsjusz („Justi Lipsii auctoritate apocrypha”). Istnieje hipoteza, że apokryf powstał — obok innych apokryfów tego zbioru listów — w IV wieku po Chrystusie, inna zakłada, że chodzi raczej o wiek XVI. Tak czy inaczej w XVII wieku rzecz nie została jeszcze ogłoszona drukiem i krążyła w odpisach, z których jeden musiał wpaść w ręce Sprzedawcy Oplatków. Przepisał fragment z tym chyba zamiarem, aby Rajskiemu Ogrodowi dopisać możliwe „szczytną prehistorię”.*

Następujący zapiski (w języku niemieckim) — można je nazwać Herbergeriańskimi — które w kolejności tak idą. *Ao 1602 D. 2 April. Concordia civium murus urbium. Na Syjonie Wschowskim. Valerius pastor sermo jedno piękne miał dzisiaj, któremu spisał. Tam zdana jedne dziwnie postawione tak były: Dolina Kołebka, miejsce wyszcia, do którego weszli Przybłli. Przybłli, przebywając w świecie, są jak trzej młodzieńcy w piecu ognistym, Szadrak, Meszak i Abed-Nego. Rozpalony siedem razy bardziej niż było trzeba piec, świat, nie może strawić żywym ogniem Przybłli, jakby żunni i pusty. Daniel, prorok, ujrzał trzech młodzieńców w piecu, gdy spotykają Azariasza, podobnego do anioła, i przechadzając się pośród szkieł żywego ognia, jakby jednym głosem wystawiali, wychwalali i błogosławili Pana, mówią w piecu: Błogosławiony jesteś, Panie Boże naszych ojców — pełen chwały i wywyższony na wieki. Podobnie Przybłli, chwalcę Pana, wiedząc skąd wyszli i dokąd mają powrócić jako dusze, ichnienia. Tak prawil dziś południe Valerius pastor cechom po szlankarami w gromadzie stojącym. (...) Ao 1604 D. 1 Ian. Valerius pastor do rady miejskiej, cechów, plebsu pośledniego, wśród cechowych fossor i lapicideae kamieniarzy: Teraz w sercu sera z kamienia, kiedyś mówiące kamienie otworzą się jak wusa (...). Ao 1607 D. 18 Aug. Świętego Arnolda z Neustrii, piwowara i pustelnika. Valerius pastor pawi: Wiara, je-eti osiąga wielkość gorczycego ziarna, nie potrzebuje pytan i porusza skały. Tak samo pośród ponurych mocarstw, półknaższy gorczyce, nawet niewielki naród przetrwa okrutne imperia, półknaższy gorczyce wiary. W mieście nieważkim, lichem bardziej od słimacza na biele drodze, jeżeli jego lud uzna niewidzialną władzę, Omnia Jesu, nie będzie człowieka zuchwałego, ludu o niewyraźnej mowie, nie do uchwycenia uchem, o belkottliwym i niezrozumiałym języku, przekleństwem przez Izajasza, proroka.*

¹ List Saby Marcji przycząca m.in. Józef Ignacy Kraszewski w *Rzymie za Nerona. Obrazach historycznych*, zatem fragment cyt. w tłum. Kraszewskiego wg wyd. Warszawa 1987, s. 70.

Wcześniej wypadki „Ao 1604 D. 16 Dec.” tak — tym razem po łacinie — zanotowane: *W Farze chrześcijany rzymskie, dysydenty jak ich zową wyrzucone. Valerius pastor przy Bramie Polskiej dwie wielkie kamienie drogo kupił na świątynię, wielkie śpiewy psalmiczne na ulicy i w łożku, Valerius pastor postytle w kościele zbornym głosi Pana Krysta Kolebce Kripplein Christi. Baszę Polską wzięła gmina w dzierżawę, dzwon zawiesz, pomieszkanie altarystów ochłodzą. Pojawia się wiele zapiszków dotyczących życia gminy żydowskiej, klasztoru bernardynskiego, a także innych grup wyznaniowych. Dalej po łacinie, pięć lat później — zapiska dotycząca pierwszego pochówku w Rajskim Ogrodzie, bardzo cenna dla historyka wschowskiego Campo Santo. Wynika z niej ponad wszelką wątpliwość, że do nekropolii przekonała mieszczan nie tyle wskazalka Herbergeriańska argumentacja teologiczna, ile — rzecz trywialna — zaraza dziesiątkująca ludność. Wybuchła zresztą ponownie cztery lata później — jeśli nie ciągnęła się cały czas — o czym mowa w kronice. Oto notatki, oryginał drugiej znowu po niemiecku, Ao 1609 D. 19 Nov. *Plaszcz Moru latające spadły wiele domostw zakrytych po piwnice, kometa był, gryf straszny leciał w powietrzu nocą na wschód.**

*Pelikan, du guter, Jesus, unser Herr...
O kłtych Pelikanie dusz, Jezu mój, Chryste,
Krwia swoją serce moje z win obmyj nieczyste:
Wszak jedną jej kropelką w tak wielkiej jest cenie,
Że zdoła przynieść światu całemu zbawienie!*⁴

Wielu zbiegło, w lasach siedząc. Trupów na polandrin z miasto noszą, medikus jeden chodzi z nosem wielkim jak bocian i ziob przzywianym, ziół pełnym. Kuja inskrypcja na kamieniu piaskowym córce zmarłej od śmierci czarnej burmistrza Fabiana Margericie Deuschlander z domu Vechner. Ao 1613 D. 29 Oct. *Morowe powietrze, choroba Hioba, puste ulice, miazma w mieście, Valerius pastor w Kripplein Christi tren śpiewa wesoly. „Valei will ich dir geben, du arge falsche Welt”, którego słowami napisał, muzykę dał Teschner kantor. 10 Oct. nie pisalem. Mór wziął Bartolomeusa Ortmana w roku i szesnastu tygodniach będącego. Ortman ojciec na kamien postać syna daje, kamieniarz: sztycharz dziecko rysował w plaszczu od sztychu innego, na którym Jan Łaski w takim plaszczu. „Aniol, który mi wyrwał ze wszystkiego złego, niech błogosławi dzieciom tym, a niech będą nazywani od imienia mego, i od imienia ojców moich, Abrahama i Isaaka, a jako ryby niech się rozmnożą na ziemi” (Gen. 48, 16). Żałobnicy i rodzice zmarłych długie czarne szarfy wiążą na rękawach. Valerius pastor kazania pogrzebne daje jako opaski duchownego żałobne.*

Miedzy rokiem 1613 a 1627, to znaczy do karty opatrzonej numerem 183, znajdując się w kronice liczne, ale już tylko zwięzłe, jednym zdaniem kwitowane wpisy o zgonach i pogrzebach na Campo Santo. Są interesujące o tyle, że wymieniają — obok znanych z płyt epitafijnych — nazwiska, zawody i konfesje religijne zmarłych mieszczan i plebejuszy, o których poza tym nic nie wiadomo, jako że albo bliscy nie ufundowali im kamiennych tablic, albo te się nie zachowały. Szczególną wartość mają odpisy tekstów z płyt, czemu Sprzedawca Oplatków nie zaniedbał. Wiele ich nie przetrwało do naszych czasów, zginęły wraz z kamieniami cmentarnymi — inne są dziś mało czytelne, zwiertzałe. Poza tym Sprzedawca Oplatków nie opisuje pogrzebów z lat 1609-1627 ani nie przytacza postyli żałobnych i przemów (niektóre znamy jednak z wydanych drukiem w 1669

roku *Geistliche Trauerbinden* — *Opasek żałobnych duchownego* — Herbergera). Uwagę Anonima pochłaniają inne wydarzenia i sprawy. W jego zapiskach odbija się barwny świat szlachlickiej Sarmacji, zjawiają się obrazy z życia plebsu i chłoptwa, sięga do Przemtu i Paradyża, unosi się jak ptak nad panoramą kasztelanu wschowskiej od równin pod Kościanem do pagórków Wysoczyzny Lubuskiej. Tu powiemy tylko, że Anno 1623 — bez daty dziennej, na początku nowej części rocznej — przepisuje (po polsku!) starą pieśń husytów, w wieku XVII w Polsce zwanych braćmi czeskimi. Po klęsce pod Białą Górą wielu z nich w panice uciekało do Polski, duża grupa husytów — w jednej z późniejszych partii znalazł się sławny Jan Amos Komenský (Comenius) — osiadła w Lesznie i we Wschowie, gdzie bracia czeszy zaprzyjaźnili się ze Sliczytżangami. Pomijając osobliwości zapisu — y w miejsce ł, sz zamiast sz, i tak dalej — przepiękną pieśń husytów Anonim podaje w wersji:

*Spalił nam gasiatko,
Nasze mile gołębiatko,
Wszakże po niej łabędź: nastał,
Któryż wdzięcznie nam śpiewa!*⁵

Na karcie 183 nie ma większych zapiszków o chorobie i śmierci Waleriusza Herbergera, który zmarł w 1627 roku. Czy me dlatego, że Anonima nie było wtedy w mieście? Od roku bawił w Leydzie, teraz dopiero pisze — po niemiecku, potem po łacinie: *Ao 1627 D. 25 Dec. Z jesienią z Leydy do Fraustadt (Wschowy), dziś odprawiony ze Izami amicus jeden w Niderlandach mieszkający, któremu u siebie gościł. Amicus Valerius pastor tego roku D. 18 Maii zmarł na chorobę mac, któraen Jesus Amor, Jesus Timor, Omia Jesus. Zal bierzcie za gardło, na sercu dociska. I teraz dodaje coś cudownego, po łacinie: zmierzchem w Ogrodzie Rajskim, jeszcze czerwone słońce, pierwszy śnieg tego roku suchego, o czwartej zmiesz, płatki z mанны dla duszy Waleriusa pastora i kubek z wodą postawilem, by się wykapała, na grob na viridarium lekkośnieżne. Mój Boże! Jahweh! Zmilił się nad nami. Nawet źródłom doskwiera pragnienie! I po włosku, po raz pierwszy po włosku:*

*Z jednego drzewa figa niedojrzała,
A druga wisi słońcem dorowzana,
Z jedneje różgi (jaki cud!) dorodała
Śliwa wychodzi, z jedneje zielona.
Gdzie najpiękniejszy ogród, okazała
Winnica stoi bluszczem ogrodzona;
Na niej jagody: tu niedosze, rane,
Tu jako trzeba, tu wół farbowane!*

Dobre znam te wersze. Bardzo je lubię. To jedenasta strofa pieśni XVI *Gofreda* *am Jeruzalem wyzwolonej* Torquato Tassa, pisanego w latach 1565-1575 opoem, któremu tak wiele zawiędzła symbolika Rajskiego Ogrodu. Przewrotna, oczywiście, bo viridarium współrzędzi okrutna wiedźma Armida, tak samo, jak cmentarzem współpląda bełznotna Libytyna. Hades i Olimp to nadal dwie strony jednego lustra.

⁴ „Gasiatko, gołębiatko” to rzecz prosta spieszniejsza dotycząca osoby Jana Husa. Jak wemy z drugiej, może nie znanej Sprzedawcy Oplatków zwrotki tej przejmującej pieśni — „łabędź” to Marcin Luter.

⁵ W roku 1627 istniał już przekład niemiecki, wydany jeszcze 1626 (polski — 1618, francuski — 1593, hiszpański — 1587). Anonim cytuje po włosku, w oryginalnej, więc jeszcze przekładu nie zna albo mało go ceni. Cyt. w tłum. Piotra Kochanowskiego wg: T. Tassa, *Jeruzolima wyzwolona*, tłum. P. Kochanowski, oprac. R. Pollak, Wrocław 1951, s. 504.

⁶ Św. Tomasz z Akwinu, *Adoro Te*. W dzienniku pierwsza linijka po niemiecku, to samo i dalej po łacinie. Tłum. wg: *Hymny kościelne*, nowy przekład T. Karyłowskiego T.J., przedmowa S. Windakiewicz, Kraków 1932, s. 280.

A Campo Santo we Wschowie? Zawdzięcza tak wiele kronice Sprzedawcy Oplatków. Gdyby nie Księga — tak mało byłoby zrozumiałe. Tak wiele niemożliwe. Tak trudne do przyjęcia. Prawdziwie darowna Księga. Trzy strofy wcześniej, jeszcze przed opisem Ogrodu Armidy, Tasso tak ją opiewa:

*Jako Meander igra z swoim biegiem
To wzgórze wody, to na dół pomyka
I to tam, to sam niestępcy hrzegiem
Snując się, często z sobą się potyka:
Z takim, a jeszcze mylniejszym zabiegiem,
Szły tamte drogi; ale je odnyka
Darowna księga — wszystko opisując
I zawikłane węzły rozwiązując¹.*

Sergiusz Sterna-Wachowiak

¹ Ibidem, s. 503



Wschowa. Campo Santo. Neogotycka kaptica grobowa rodziny Hoffmannów, połowa XIX w. Fot. Jarosław Szmatała

ARMIN MULLER

LALKARZ KÖNIG I JA

Z wolna wylaniały się z mgły kontury. Polamane deski ściany. I jasna plama nade mną. Przewrócona ławka. A za nią na podłodze, Staszek. Zwiłzał wargi. Krew ściekała mu po brodzie. Gdy spostrzegł, że doszedłem do siebie, zastygł w bezruchu. Trwało to ułamek sekundy, a potem znów się na mnie rzucił. Nie miałem już siły, aby się bronić. Poczulem jego pięści na twarzy, na szyi, na karku i przewróciłem się na brzuch. W ustach miałem teraz liście, szron i krew. I naraz zobaczyłem przed sobą jabłka, okrągłe, dojrzałe jabłka. Wypadły z tobołka, który dała nam pani Urszula. Leżały tuż przed moimi oczami. Uniosłem głowę.

Krew kapiała mi na kurtkę. Z mojego nosa. Przede mną przykucał Staszek z ręką wspartą o przewróconą ławkę.

- Gdzie twój brat? — wysapałem.
- Mój brat? — wpatrywał się we mnie.
- Był przecież tutaj.

Gdy poruszyłem ustami, znów zacząłem krwawić. Przechyliłem głowę do tyłu. Teraz dopiero odkryłem przyczynę jasności nade mną. W szczycie dachu był otwór odsłaniający jasną mgłę.

- I? — zapytałem.
- Co znaczy — i?

— Twój. Co z nimi? — usiłowałem się podnieść, ale wtedy krew znów mi się pusiła z nosa. Opadłem.

Staszek nie ruszył się z miejsca. Nie wiedziałem, czy jeszcze śnię, czy też wróciłem znów do rzeczywistości. Nade mną błyszczała jasna plama, zaś nie opodał, na drugim końcu ławki, przycupnął Staszek. Ojciec i brat nie żyją, mówił. Zmarli w obozie. Matka znalazła się w zakładzie. Jerzego zabrali do przytułku katolickie siostry. Powiedział mu to sąsiad szewc. Nikt nie wie, gdzie jest ten przytułek. Staszek wciągnął głęboko powietrze: — Boże, pomóż mi — szeptał. Krew ściekała mu po brodzie.

— Staszek — wymamrotałem.

Wówczas zbliżył się do mnie, przechylił mi głowę do tyłu, tak że znów widziałem jasną plamę i powiedział: — Musisz liczyć do stu. — I pusił mnie. Liczyłem do stu, ale to nie pomagało. Nawet przy stu pięćdziesięciu krew jeszcze leciała.

— Musisz liczyć powoli — pokazał mi jak. — Dwa, trzy, cztery. Widziałem, że się przeżegnał.

Potem zobaczyłem drugą twarz. Czerwona i zarośnięta. Należała

do człowieka z łysiną. Do szewca, pomyślałem. Staszek opowiadał mi coś o łysym szwecu, który zelowal klientom obuwie tylko wtedy, kiedy skończyły mu się pieniądze. I coś jeszcze. Ten człowiek wyglądał jak dziadek do orzechów. Szerokie, szczerzące zęby usta, krągła łysina. Podczas gdy jego rysy sugerowały młody wiek, łysa głowa kojarzyła się ze starością.

Staszek dowiedział się od niego, co stało się z rodzicami i braćmi. Teraz słyszałem, jak rozmawiają o żonie brata. Jeszcze przed wejściem Rosjan, opowiadał Dziadek Do Orzechów, spakowała bagaże i uciekła. Do Reichu, jak się wyraził. Daję słowo, że powiedział: Do Reichu.

Teraz spojrział na mnie, zalał rękę pod fartuchem i rzekł:

— Ech ty, zanim pójdziesz w górę, rozgrzejcie się u mnie.

Wzięli mnie pod ręce i holowali szurając liśćmi. Mgła niczym ścierka plaskala po mojej twarzy. Otworzyłem oczy. Upuścili mnie

— No więc — powiedział Dziadek Do Orzechów.

Chwając się próbowałem wstać.

— Wyglądasz jak świnia — burknął Staszek.

Spojrzałem w dół. Kurtka i koszula nosiły ślady zakrzepłej krwi. Krew była czarna.

Wtedy Dziadek Do Orzechów wyjął spod fartucha butelkę i mi ją podał.

Wypilem łyk i powiedziałem: — Dziękuję.

— On mówi po polsku? — zdziwił się szewc nie patrząc przy tym na mnie, lecz na Staszka.

— Kilka słów — powiedział Staszek.

Szewc zaśmiał się:

— Ze mną możesz spokojnie rozmawiać po niemiecku — zawołał i zwrócił się do mnie wprost: — Możesz chodzić?

— Owszem — odparłem.

Głos mój brzmiał obco. To od tej krwi w nosie, powiedziałem sobie. Musiałem oddychać ustami.

Wysilił się czapiąc. We mgle widziałem kontury słupów linii wysokiego napięcia. Przypominałem sobie, że jako dzieci przykladałiśmy do nich ucho, a brzęczenie, jakie było słychać, oznaczało echo telegramów. Droga Gesine! Pozdrawiam cię, przyjeżdżam. I nagle poczułem, że w powietrzu pachnie śniegiem.

Już od kilku dni wyobrażałem sobie, że Gesine będzie na mnie czekać w domku dziadka Königa. Breslau zostało zniszczone. Gdzie, jeśli nie na Wniebodorodzie miały wraz z matką szukać schronienia. W górach najbardziej mogło przetrwać to, co w innych miejscach zostało zniszczone. W Krzeszowie nie było inaczej. Krzeszów miał swój klasztor, a Polacy byli pobożnym narodem. Oczywiście, że pociągali ich najpierw obiekty kultu. Czegoś takiego nie było na Wniebodorodzie. A ponadto, mówiłem sobie, nie tam nie ma do zabrania. A jakie inne względy miałaby człowieka skłaniać do szukania szczęścia w obcych stronach?

W warsztacie Dziadka Do Orzechów pachniało smołą, skórą i wódką. Piętrzyły się sterty obuwia.

— Najpierw kąpiel — powiedział szewc.

Staszek pomógł mi wciągnąć do warsztatu ceber. Na okrągłym żelaznym piecyku, kozie, kipiła woda. Miałem się kąpać jako pierwszy. Kiedy się myłem, a para kłębiła się aż do sufitu, przez małe okienko widziałem, jak ci dwaj idą przez podwórze ku domowi z czerwonej cegły. Zdumiony startem wilgoć z szyb i obserwowałem, jak Staszek z szwecem odrywają deski tarasujące drzwi i wchodzą do domu. Możliwe, że zamieszkiwała tam żona brata. We mgle domyślałem się przypominającej chlew przybudówki. Krople ściekały po szybie.

Przedemną, na parapecie, stała butelka, którą zostawił Dziadek Do Orzechów. Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Nie tylko dlatego, że nie mogłem ustalić jego wieku, ale także jego zachowanie aż po najmniejszy gest było obliczone na ukrycie wnętrza. Czulem, że zostawiając butelkę na parapecie miał w tym swój cel.

Sięgnąłem po nią z wahaniem. Tylko łyk, pomyślałem. Garnek na piecu zatańczył i milę zadzwieczał. Najchętniej zamknąłbym teraz oczy i spał. W środku tej ponurej izdebki, otoczony górą obuwia, poczułem się bezpieczny. Ponownie sięgnąłem po butelkę. Nagle zrozumiałem, co tych ludzi z mojej wsi ciągnęło do Chińczyka. Ciepło płynące z zewnątrz i od środka. W przeciwnieństwie do tego okazałość schroniska „Pod grozłem” miała w sobie coś zimnego. W tym momencie wiedziałem, że po powrocie do domu pójść do Chińczyka, do gospody, która ze swoimi okienkami i mrokiem przypominała jaskinię Dziadka Do Orzechów. Czulem, jak gorąco sączy się we mnie aż po opuszki palców. Lalkarzu, staruszkule, oderwij się na chwilę od twoich czeskich ludzików, bowiem muszę z tobą pogadać. Przy kieliszku chciałbym ci powiedzieć, że cię rozszyfrowałem. Pokazałeś mi tylko jedną stronę medalu, drugą zaś przede mną zakrywałeś. Ale ta druga strona istnieje i jest zbrukana. Tam wbijają ci nóż w brzuch, tam spychają cię z wysokich topoli, tam się na ostro strzela. Spindler nie żyje. On nigdy nie mógł jechać swoimi pięknymi saniami. Nigdy nie mógł przejechać z jednej strony na drugą.

Nagle zorientowałem się, że twarz, którą widzę, wcale nie należy do mego dziadka lalkarza, lecz do człowieka z łysiną. Zdawało mi się, że stoi na jakimś podściśle, gdyż spoglądał na mnie z góry.

— Pijany — mruknął. — Co on tam gada o saniach?

— Jedzie nimi do nieba — wyjaśnił Staszek. Stał obok niego, nagi, a jego ciało parowało.

Wówczas znów uzmysłowiłem sobie, że się kąpałem. Leżałem na podłodze owinięty kocem.

— Widocznie mu szkodzi — słyszałem, jak mówi szewc.

— Ile on ma lat?

— Szesnaście.

— Siedemnaście — powiedziałem.

Przerazili się.

— Pewnie ci szkodzi? — powtórzył Dziadek Do Orzechów trzymając butelkę pod światło.

— Nie piłem dużo, cztery, pięć łyków, nie więcej.

Staszek nie słuchał wyjaśnień. Rzucił mi kilka rzeczy, koszulę, spodnie, sweter. Znaleźli te wszystkie ciuchy w dawnym mieszkaniu

brata. Spustoszone wyglądało jak Sodoma i Gomora. Szały i szuf-lady leżały poprzewracane na podłodze, ktoś nabazgrał na ścianie swastyki. Śweter, który wciągnąłem, był damski, miał białe kol-nierzyk.

Staszek również włożył świeże rzeczy. Wszystko pachniało zielen-znanym mi z domu. Babka trzymała je w szafie jako środek na mole.

— Obuwie wciąż sobie stamtąd — powiedział Dziadek Do Orzechów. Wskazał ręką na kąt. Leżały tam na stosie buty wysokie, półbuty i wszelkiego rodzaju kalosze. — Po twoich rodakach — wyjaśnił i spojrzał na mnie. Po chwili wymamrotał: — Oni już tu nie wrócą.

Pytałem go, co się stało z Niemcami ze Śląska. W końcu Rawicz-znajdował się tylko kilka kilometrów od granicy i niemieczyna, jaką mówił szwec, brzmiała tak, jak mowa niemiecka Ślązaków.

— Większość z nich jest precz — powiedział.

— Także ci z gór?

Spojrzał na mnie zdziwiony i wrzucił ramionami. Znow się zmienił. Przysiadł na zdytlu jak człowiek zmęczony. Staszek powie-dział, że on pracuje tylko wtedy, kiedy potrzebuje pieniędzy. Resztę czasu leniuchuje i nie troszczy się o to, co będzie.

— Z gór? — powtórzył — Ci z gór z pewnością także.

Milczałem.

Staszek wcisnął wszystkie stare rzeczy do piecyka. Płyta się rozżarzyła i zacerwieśniała nasze twarze.

— Jako dziecko mieszkalem w Lesznie — zaczął szwec po chwili w śląskim dialekcie. Brzmiało to tak, jakby sięgał po słowa bardzo daleko. — To takie małe miasteczko, przy granicy, niewiele kilometrów stąd. Niemcy zwali je Lissa. Stamtąd, przy pięknej pogodzie albo na krótko przed deszczem, można było zobaczyć na horyzoncie wieżę. Była to wieża z Fraustadt, ze Wschowy, cienka jak szewska igła. Widziałem ją rankiem, ledwo tylko otworzyłem oczy. Ale pomiędzy tą wieżą a mną był las, a ten las dzielił coś, czego sobie wtedy nie mogłem wyobrazić, coś obcego, a tym czymś była granica. Z Niemcami. Ta wieża, nieosiągalna dla takiego polskiego smar-kacza jak ja, przyciągała mnie ku sobie jak magnes. Czasem widziałem ją jeszcze w nocy, gdy śniłem. W mojej wyobraźni była ona pełna tajemnic jak wieża z bajki.

Uśmiechnął się, pociągnął tyk i podał nam butelkę. — I jak to z takimi wspomnieniami bywa. Zadomowię się w człowieku i towa-rzysz mu przez pół życia. Po pierwszej wojnie powędrowałem do Rawicza. Ale i tutaj widziałem swoją wieżę. Mogło się zdarzyć, że siedząc na zdytlu miałem nagle życzenie, aby ją widzieć z bliska, wdrapać się na nią po stopniach i pomyśleć przy tym: oto moja wieża. I co myśleć, co zrobić po wojnie? Pojechałem do Leszna i poszedłem przez las, na przelaj ku wieży, ciągle ku wieży. Nawet się na nią wdrapałem.

Spojrzał w dal. — Teraz wiem, że jest taka sama jak sto innych wież. Sypie się z niej tynek. Helm jest zielony jak grynszpan. Od lat żaden pies z kulawą nogą nie wspinął się po tych schodach. Walały się rupiecie, głębiej lajno sięgło po kostki. Niczym się ta wieża nie

wyróżniała. Nawet nie chodził zegar. — Wrócił spojrzeniem z daleka i spojrzał na nas:

— Ciągłe idziemy ku jakiejś wieży — powiedział. — Ciągłe idziemy ku jakiejś wieży, a gdy już przed nią stoimy, wówczas dopiero widzimy, że to wcale nie ta wieża, do której zmierzaliśmy.

Odnosiłem wrażenie, że znam te strony, łąki, ogolone drzewa przy szosie. Wszystko to już kiedyś widziałem. Wiedziałem także, kiedy to było: na wiosnę, gdy z chłopakiem z Wrocławia przywiezio-no mnie z lasu na podściółce. Szosą przesuwiała się karawana barwnych powozów i pojazdów w stronę gór. Calkiem wyraźnie widziałem teraz żołnierzy w cylindrach i z harmonią. I mimo że od rana siała gęsta mżawka, uważałem, że poza zasloną z deszczu uda mi się zobaczyć góry. Wiedziałem, że zaraz drogi połączą się w jedno, w drogę wodzącą ku „Krokerówce” i dalej w górę ku wzgórzu Guckei.

W tym momencie chmury się rozstały i zobaczyłem to, co od wiosny widziałem tylko we śnie: fragment Wielkiej Sowy z wierzchoł-kiem wznoszącym się ku zielonemu mehu. Widok ten chwycił mnie za serce:

— Staszek — powiedziałem.

— Co jest?

— Góry.

Podążył za moim wzrokiem, ale chmury znow zasłoniły górę. Miałem nadzieję, że wiatr je jeszcze rozpedzi, przynajmniej na chwilę, aby Staszek zobaczył, co miałem na myśli, lecz deszcz się wzmożł, a my podążaliśmy dalej.

Odłąk wygramolił się z pociągu pośrodku nocy, skostniał z zimna, prawie że nie rozmawialiśmy ze sobą. Również podróż odbywała się w ciszy. Zaraz na pierwszym odcinku drogi, tuż za Rawiczem, przywrziliśmy czolami do okien, bowiem w ciemności widać było za nimi morze światełek: cmentarze. Mielśmy początek listopada, z Dniem Zaduszym. Rodziny odwiedziły swoich zmar-łych. Wiatr muskał niezliczone płomyki. Widok, który mnie poruszał do głębi. Wkrótce jednak, w jednej wsi po drugiej, brakowało zmar-łych. Tylko tu i ówdzie widzieliśmy pojedyncze świeczki, co oznaczało, że niewiele kto tu przychodził. Żywi musieli opuścić swoich zmarłych. Nie odzwalam się. Byliśmy na Śląsku.

Milezał także Staszek. Czuł podobnie jak ja. Musiał się uporać z tym, co usłyszał. Było to jak godzina zero. Dzieciństwo i nauki, okres życia w Rawiczu, lata partyzancki, wszystko to było teraz czymś, co pozostawało za nim jak jakieś inne życie. Nie było już powrotu do takiego życia. Została zerwana ostatnia nie do własnej przeszłości, nadzieja na spotkanie z rodzicami, braćmi.

Kroczyliśmy obok siebie w deszcz, w niepewność. Zimny wiatr wiał nam w twarz. Już niedługo a dotrzemy do wzgórza Guckei. Zdawało mi się, że czuję już woń okorowanych świerków. W początkach listopada często na Wniebodorze leżał już smąg.

Kiedy krótko potem zobaczyłem „Krokerówkę”, na chwilę zame-

mówilem. Dach nad salą runął, w rozbitych oknach łopotały strzępy firanek. Brodziliśmy w głębokiej po kostki warstwie zbitwiałego listowia. Stała jeszcze chata, w której przeżyłem wejście żołnierzy. Na wpół otwarte drzwi wisiały w zawiasach. A tam, pod potężną lipą, bezlistną, prawie czarnawą, zamknąłem Spindlerowi powieki. Wiedziałem go jeszcze teraz, w listowiu, pod końską derką. Zapadnięte policzki, nie ogolona twarz. Nie znalazł odrobiny szczęścia, którego szukał.

Obok kamiennych schodów prowadzących do gospody leżały poprzewracane bańki od mleka, zardzewiałe. Nad drzwiami, na ścianie wisiały stare rogi jelenia, które ktoś usiłował oderwać od deszczulki. Weszliśmy do domu.

Polamane ramy od obrazów, skorupy, kosmyki trawy morskiej. Zniknął stół i krzesła z sali jadalnej. Jedynie bufet stał na dawnym miejscu. Na ścianie, pomiędzy rozbitymi oknami, wisiał zegar ścienny. Staszek stał przed nim jak dziecko i poruszył wahadło. Za cyferblatem zaczęło tykać. To było jak cud.



Wschowa, Campo Santo. Krzyże nagrobne z piaskowca i żelaza, pierwsza tereja XIX w. Fot. Jarosław Szmatała

— Zegar — bąknął Staszek pełen podziwu.

— Seger? — spytałem.

Spojrzał na mnie. — *Uhr* — wyjaśnił mi. — *Zegar to Uhr*. Skinąłem zniechęcony. Także dziadek König mówił *Seger*, mając na myśli *zegar*. I w tym względzie nie różnił się na wsi od nikogo. Wszyscy mówili *Seger*. Tylko w szkole uczono nas, że *Seger* nazywa się *Uhr*. A teraz zjawia się Staszek i na *Uhr* mówi *segar*.

Czyżby w końcu granica pomiędzy Polakami a Niemcami nie była aż tak ostro zarysowana? Czyżby córka bogatego gospodarza z podania o wzgórzu Guckei zakochała się w młodym Polaku? Johanna i Fryderyk. Friedrich i Janina. Są tacy sami jak my.

Straciłem naraz chęć poszukiwania notatnika Ruschke. Coś się we mnie przeciwko temu wzbrañało. Kto wie, myślałem, co w nim można znaleźć. Wojna robi z nas wszystkich zwierzęta, powiedział Ruschke. A miał na myśli walkę Friedrichów z Fryderykami oraz Fryderyków z Friedrichami. Czy ma tak być dalej? Czyż nie przesunęło się czasem coś bliżej, zdarzenie, które przeżył Staszek i ja, początek czegoś nowego, na co się odważyliśmy? I jak to z takimi zdarzeniami bywa. Pozostają w naszym wnętrzu i idą z nami przez połowę życia.

Staszek podniósł spośród skorup fotografię i pokazał mi ją. Orkiestrę strażacką przed „Krokerówką”. Nad piketami rogów jelenia z nadzianym na nie filcowym kapelusikiem. Uśmiechnąłem się. Czyżby to był ten sam kapelusz, który wcisnął mi na głowę jeden z żołnierzy? Staszek naśladował postawę trębacza i robił tra-ta-ta-ta.

— Znam ten kapelusz — powiedziałem.

Staszek spojrzał na mnie zdziwiony.

— Miałem go nawet na głowie.

I opowiedziałem mu o przygodzie z żołnierzami.

Największe wrażenie zrobiła na Staszku historia ze Spindlerem i jego Alną. — Spindler jechał na krowie? — pytał ciągle. — Na krowie?

Skinąłem głową. — Tam leżał. — Podeszliśmy do okna. Pokazałem mu miejsce pod lipą. — Tam zamknąłem Spindlerowi powieki.

Wrony przycupnęły na gałęziach i nagle się uniosły, czarna, kraczącą chmurą.

Kiedy opuszczaliśmy gospodę, zaczynało śnieżyć: — śnieg — bąknął Staszek i przeżegnał się. Nie wiedziałem, czy robił to dlatego, że spadł pierwszy śnieg, czy dlatego, że przechodziliśmy obok lipowego drzewa. Mokra biel opadała jak welon. Śnieg nie zalegał, śnieg się topił. Dopiero kiedy weszliśmy trochę wyżej, na przełęcz powyżej „Krokerówki”, zobaczyliśmy, że tworzy się cienka powłoka. Nasze kroki zostawiały ślady. — Na krowie — powtórzył Staszek i potrząsnął głową. — Na krowie, nie mów.

Przystaliśmy nasłuchując. W mokrym powietrzu docierały do nas osobliwe szmery. Zdawało się, że coś posuwa się w naszym kierunku: skrzypienie kół, człapanie i głuchy pomruk. Na zboczu, pod nami, biegła droga zataczająca szeroki luk wokół wzgórza Guckei, pnąca się w górę do Obere Weissbachtal i stamtąd do schroniska „Pod grozmem”. Lecz drogi tej prawie nie mogliśmy dostrzec. Mgła i śnieg zmieszały się w gęstą biel.

Nagle z tej bieli wyłonił się koń. Widzieliśmy wyraźnie, że był to jeździec z karabinem przewieszonym przez ramię. Pojawił się jak zjawa i znów zniknął. Ale zbliżało się ku nam owo skrzypienie kół, człapanie i pomruk. Z mgły wyłoniły się wreszcie cienie, okutane postacie, pochylone ku ziemi, mężczyźni, kobiety i dzieci, objuczeni walizami, koszami, tobołami. Cała kolumna. Niektórzy ciągnęli za sobą drabiniaste wózki, inni zaprzęgli się do wysokiej dwukółki, na której leżał chory, owinięty w koc. Kobiety pchały wózki dzieciennie i wszyscy, dzieci i dorośli, mieli na ramieniu białe opaski.

Niemcy.

Nie była to długa kolumna. Liczyła może czterdzieści albo i pięćdziesiąt osób. Byli to chyba mieszkańcy 'Weissbach, odległej wioski, do której dotarliśmy parę razy z dziadkiem podczas grzybobrania. Mieszkali tam drwale i węglarze oraz chłopci. Teraz zmierzali ze swoimi rodzinami ku dolinie. W śniegu. Od czasu do czasu któryś



Wachau, Campo Santo. Drewniany nagrobek Wandy Klause, lata trzydzieste XX w. Fot. Jarosław Szmatała

z nich oglądał się za siebie, lecz na próżno. Grzbiety gór pozostawały zakryte. — Mój ty Boże — powiedziałem

Staszek milczał.

Konwojowali ich ludzie z karabinami. Polacy.

Karawana wchodziła w wir śnieżnych płatków. Zasunęła się za nimi kotara ze śniegu i wilgoci. Jeszcze tylko chwilę słyszać było skrzypienie, kołatanie i pomruk, potem ucielił ostatni odgłos i zaległa przejmująca cisza. Nagle zdalo mi się, że pomiędzy niebem i ziemią nie ma nic, oprócz Staszka, mnie i śniegu.

— Tobie nie nie mogą zrobić — mruknął Staszek. — Jesteś Polakiem. Masz to czarne na białym.

Potrząsnąłem głową. Nie chciałem być kimś innym. W tym momencie poczułem, że nikt nie może uciec od siebie. Nie można przekreślić pamięci. Każdy skądś się wywodzi i tego musi się trzymać, bo nie będzie miał czym oddychać.

Chodź — powiedziałem.

Byliśmy przemoczeni i nie powinniśmy dłużej stać. Po zboczach hulali lodowaty wiatr. Mocniej padał śnieg.

Na pozabawionym drzew wzgórz Guckei zapadaliśmy w śnieg po kostki. Zamieć trzepotała o nas jak rozwiane chusty. Wiedziałem, że w dole znajduje się wieś. Po lewej rękę, tam gdzie Czechy, było schronisko „Pod groszem”, zaś naprzeciwko nas, niemal na tej samej wysokości, pięła się ku chmurom Wniebodoroga. Na samą myśl o niej robiło mi się gorąco. Wniebodoroga. Miałem nadzieję, że ujrzę światło, oznaki życia. Śnieg zasłonił nam wszelki widok.

— Człowieku — narzekał Staszek — pędzisz jak koń, który poczuł stajnię. Zaraz się zasapiesz.

Tym, co mnie popędzało, był lęk. Od momentu, w którym zobaczyłem ludzi z Weissbach, ów pochód zmierzowanych, zrozpaczonych ludzi, nie miałem już prawie nadziei. I co będzie, jeśli się zjawię za późno, jeśli na Wniebodorodzie mieszkają tacy sami ludzie jak ci z karabinami? Dokąd się wtedy udam? Drżałem.

W tym momencie Staszek pokazał mi ręką. Zdawało się, że migocą tam światła, w każdym bądź razie na krótko było widać przebyskujące punkciki. Serce omal mi nie wyskoczyło z piersi. Punkciki gasły, błyskały, gasły.

Nie mogło mnie już nic powstrzymać. Pobiegłem, na ostatnim odcinku drogi. Biegłem pod górę, przez zaspy śnieżne, wznoszącą się Wniebodorogą. Sapaliśmy. Staszek ledwie nadążał. Przed nami, ze śniegu, wyrastały kontury chat. Żółte światło w oknie. To u Spindlerów. Stojący obok dom dziadka Königa tonął w ciemności. Widziałem gałęzie wiśni. Calkiem białe. Jestem w domu! Nareszcie w domu! Biegłem po śniegu krzycząc. Lecz oto nagle stanąłem jak wryty. Przede mną, w padającym śniegu, wisiał człowiek z głową przechyloną na ramię. Mój dziadek, lalkarz König. Krew mi zamarała w żyłach. Wszystko się skończyło.

— Nóż! — zawołał Staszek.

Przebiegł obok. Słyszałem jak pchnął drzwi, zapalił światło. Widziałem też dziadka całkiem wyraźnie. Wisiał na powrozie. Płatki śniegu padały w odbłasku światła na jego twarz, oczy.

Zdawało mi się, że się poruszył. Staszek wrócił, wskoczył na ławkę, z nożem kuchennym w rękę.

Otrząsnąłem się z odrętwienia, zrobiłem krok w kierunku dziadka Königa, ale kiedy dziadek osunął się w dół, nie mogłem go utrzymać i pociągnął mnie za sobą w śnieg. Przez sekundę zdawało mi się, że moja obecność zdolam go przywrócić życiu. Czulem zmarzniętą brodę, szorstką, drapiącą skórę, woni kleju i farby, ale mimo że byłem przy nim tak blisko, jego oczy pozostawały niewzruszone, lodowate.

Wreszcie się podniosłem. Nogi się pod mną ugiwały. Słyszałem, że Staszek coś do mnie mówi, ale nie rozumiałem ani słowa. Dziwiłem się, że nie płaczę. Oczy mnie pikiły, lecz nie uроніłem ani jednej łzy. Ból targał mną taki, że chciało mi się krzyczeć, lecz nie wydałem żadnego dźwięku.

Później usłyszałem głosy. Ktoś nazwał mnie po imieniu. Miałem wrażenie, że stoję obok siebie. Widziałem siebie i widziałem Spindlerową Helenę. To znaczy poznałem ją po głosie, gdyż wyglądała zupełnie jak nie ta sama. Zszarzała, schudła i poruszała się jak cień.

— Lenchen — wydobyłem z siebie. Ona zaś skinęła głową. Potem przeniesiliśmy dziadka przez próg. Drzwi do warsztatu stały otworem. Położyliśmy go na stole. Stała tam jeszcze miseczka z wystygłą papką, z kleju, wody i papieru. Obok leżały czeskie ludziki, nie wykończone: Trzej Królowie, Józef, Maryja i Dzieciątko. I dopiero w tej sekundzie, kiedy to wszystko zobaczyłem, dziadka lalkarza i jego figurki, okienko że śnieżną zamiecią, wtedy dopiero trysnęły mi z oczu łzy.

Lenchen zobaczyła zapalone światło i zdziwiona wybiegła z domu. Uważała bowiem, że dziadek jest już dawno w drodze. Rankiem przyszedł do niej jeszcze raz i się z nią pożegnał. Mówiło się, że kolumna ma wyruszyć przed południem. Na miejsce zbiórki wyznaczono tartak. Większość ludzi i tak już przebywała od tygodni pośród stert desek w dużej hali. Ich domostwa zajęły polskie rodziny przybyłe z daleka. Tylko na Wniebodorze przez długi czas wszystko pozostawało po staremu, chaty położone były chyba za wysoko, droga zbyt uciążliwa. Lenchen otarła łzy.

— Od razu mnie to zdziwiło — powiedziała. — Stał przed mną mówiąc: Trzymaj się, Lenchen. Brzmiało to tak, jakby mówił: Zaraz wrócę. Zostawił mi jeszcze ten obrazek. Daj go chłopakowi, powiedział. I wcale nie był zmartwiony. Skinął mi niemal wesoło. I poszedł. Pokuścił się na deszcz.

Dala mi ten obrazek. Była to papierowa wycinanka, przedstawiająca sanie. Na odwrocie Gesine napisała ołówkiem kilka słów i do tego adres w Eisenach. Tam mnie znajdziesz. Czekam na ciebie. Litery jakby się przechylały do tyłu. I znów miałem uczucie całkowitej nieobecności.

— Wyglądała jak nieboże — mówiła Lenchen. — Taka chudzińska. Bóg jeden wie, co ona przeszła. Dobrze z niej dziewczęce.

Siedzieliśmy w ciasnej kuchence. Piiliśmy gorące mleko od kozy i zjadaliśmy się ziemniakami z kaszaną i kwaśną kapustą. Opowiadaliśmy o ostatnich godzinach Dawida.

Skinął głową. Właściciel „Krokerówki” wszystko zdążył jej opowiedzieć.

— Jechał na krowie — powiedział Staszek. — Na krowie.

Przeznęła się. Na chwilę zapadła cisza. Słyszeliśmy jak wiatr miotła śniegiem w okno. Wreszcie Lenchen wróciła spojrzeniem z oddali.

— Nie zostanę tutaj. Wracam do swoich — powiedziała.

Znów na imię jej było Helena, a nad wejściem do domu wisiała czeska flaga.

— A ty, Fuczikol? — patrzyła na mnie przez stół. — Jakie masz zamiary?

Wziąłem do ręki wycinankę.

— On może zostać — powiedział Staszek. — Pokaż twój dowód osobisty. Wynika z niego, że jesteś moim bratem.

Lenchen potrząsnęła głową.

— Ale soltyś go zna — powiedziała.

— A kto jest tym soltysem?

— Ta blondynka Hanka z tartaku. Ta, która pracowała u Kühnelów. Biega teraz w hutach z cholewami, a chłopaka od nich batem wypędziła nagiego na deszcz. Wygnała go ze wsi. Nikt nie wie, co się z nim stało. Nie możesz tam pójść i powiedzieć, że jesteś Polakiem. A jeśli jeszcze się okaże, że przysnąłeś z niewoli, to nie potrwa długo, a cię znów zabiorą.

Byłem w domu i nie byłem w nim. Śnieg spał do północy.

Rankiem słońce świeciło na nieskazitelnie błękitnym niebie. Wszystko było tak białe, że bolały mnie oczy. W dolinach sunęły mgły. Ponad nimi, niby wyspa, wznosił się grzbiet Guckei. Za nim, ostro zarysowana, błyszcząca, wznosiła się Wielka Sowa. Wyraźnie było widać ścieżkę prowadzącą na szczyt.

— Jak w bajce — szepnął Staszek.

Bajka. Zrobił duże oczy. Nie wiedziałam, co to znaczy bajka. Powiedział mi to później. Bajka nazywała się *Marchen*.

Wyciągnęliśmy sanie z szopy Spindlera. Lenchen wytarła kurz z siedzeń, ja oczyściłem okucia. Lecz robiłem to mechanicznie, prawie nieświadomie. Było ze mną tak, jakbym się sam sobie przyglądał, jakbym to nie był ja, lecz ktoś mi obcy.

Wczesnym rankiem Lenchen przyniosła z lasu całą górę chrustu. Wymościłymi nim miejscem między siedzeniami i ułożyliśmy mojego dziadka lalkarza Königa. Nie mieliśmy trumny i owinięliśmy nieboszczyka w koc. Twarz zostawiliśmy odkrytą. Niechaj w swej ostatniej drodze widzi jeszcze góry.

Lenchen włożyła do sani kilof i łopatę, a my stanowiliśmy zaprzęg. Podążyła za saniami, ubrana na czarno, z zielonym wiechem.

Ach, Gesine. Nasze piękne sanie. Jechaliśmy po nieskazitelnej bieli, ale było mi to prawie obojętne. Idziemy więc ku jakiejś wieży. Ciągłe idziemy ku jakiejś wieży, a kiedy już przed nią stoimy, widzimy, że to wcale nie ta wieża, której szukamy.

Także Wniebodor nie była tym, co widział w niej dziadek König. Rozspalało się jego królestwo. Wszystko zniszczyli tacy jak Chrys-

toph i Czarodziej. Dlatego lalkarz König nie chciał żyć. I znów widziałem kolumnę mieszkańców z Weissbach i kolumny, które ją poprzedzały, stalowe helmy i cylindry. Zamka i Czarodzieja, siebie samego widziałem w tym pochodzie, a na skraju drogi, w śniegu, z prawej i lewej strony leżały skulone ciała polskich dzieci. Wtedy zrozumiałem, jak daleka jeszcze będzie droga do prawdziwego królestwa. Oszołomiony, brodziłem w śniegu.

Mijałymi opuszczone gospodarstwo Wiesego. Nie udało mi się przywołać w myśli wizerunku człowieka, który stanął w drzwiach i nie chciał dać mleka dla Gesine. Wizerunek, który widziałem, był mgłny. Również sianie zgubiło kontury. Zanurzaliśmy się w mgłę, w opary Śnieg był tutaj jeszcze mokry i ciężki. Pod płozami zgrzytała ziemia.

Gdy przecinaliśmy drogę, zbliżyli się ku nam ludzie, obcy ludzie. Wpatrywali się w nas z niedowierzaniem i lękiem, niektórzy robili znak krzyża, ale nie padło żadne słowo.

Cmentarz znajdował się kawałek za wsią, na zboczu. Lenchen wskazała nam grób babki. Zabraliśmy się do roboty. Zmarły miał spoczywać obok swej żony. Wziąłem do ręki kilof. Staszek łopate. Ziemia otwierała się jak rana, wilgotna i parująca.

Kiedy opuszczaliśmy do ziemi ciało dziadka Königa, Lenchen szeptała pacierz, staliśmy w nogach, Staszek przeżegnał się, ja wyjąłem z kieszeni garść czeskich ludzików, królów i pasterzy i rzuciłem je do dołu z dziadkiem lalkarzem. Potem przykryliśmy go ziemią i chrustem. Dopiero teraz, kiedy już wszystko minęło, zdawało mi się, że znów wróciłem do siebie. Sianie oddziały znów kontury, słyszałem krzącące wrony i widziałem jak mgła spowija kopczyk.

Spoczywali teraz obok siebie, dziadek König i jego żona. Ziemia dzieliła ich tylko na szerokość dłoni. Jeśli jedno z nich wyciągnie rękę, będzie mogło dotknąć drugiego. I widziałem, jak stary lalkarz König głaszcząc żonę po włosach.

Ach, Gesine.

Podszedłem do jarzębiny, odłamałem kilka gałązek z czerwonymi jagodami i zatkałem je obojgu na grobie.

Koło południa zaczęło tajać. Z hukiem spadał śnieg z dachu Pokazałem Staszce dom, kuchnię, izby. W izbie na parterze wisiało jeszcze zdjęcie, podziwiane przeze mnie, gdy byłem dzieckiem: mój dziadek König z szablą w ręku na koniu.

Papier żółkł. Wyglądało to tak, jakby jeździec wylaniał się z mgły, z niepewności, jak opowieści, które wynajdywał lalkarz König, jak legenda o wórzgu Guckei i pieśni Białej Róży.

Jak się dowiedziałem, Róża powędrowała ze swoimi. Cyrzysta proponował jej, aby wsiadła na wózek, ale ona postanowiła iść, z kijem w ręku i w kapeluszu na głowie. Zniknęła we mgłę, tak jak się kiedyś z niej wyloniła.

Skąd, dokąd. Co my o tym wiemy. Ziemia się kręciła. Prości ludzie we wszystkich czasach zawsze musieli nadstawić karku. Tacy sami jak my: Lenchen, Staszek i ja.

Staszek odgarniał mokry śnieg. Lenchen karmiła gołębie, te same co w zeszłym roku, zaś w oddali lśniła Wielka Sowa. Zawiazałem

swoją tłumok. Pasowałyby mi jeszcze rzeczy wyjęte z szafy: spodnie, koszule, marynarka.

Lenchen zawołała nas do stołu.

Od śmierci mojej babki zajmowała się gospodarstwem domowym dziadek König. Teraz, po jego pogrzebie, zapraszała na stypę. Staszek dziwił się, widząc tak zastawiony stół. — Baranina — szeptał. Lenchen uśmiechnęła się. — *Hammelbraten* — przetłumaczyła. Spindler powiedziałby *Schöpfenfleisch*. Baranina z kluskami i kwaśzoną kapustą. Jedliśmy na śnieżnobiałych talerzach ze szlaczkiem ze złota. Zastawę jej przyniosła żona cyrzysty na krótko przed wymarszem. Zdawało jej się, że zastawa będzie bezpieczna pod czeską flagą Lenchen.

Piliśmy wino z tarniny, a Lenchen zaczęła śpiewać pieśni w swoim, obcym dla mnie języku, smutne pieśni, które brzmiały jak „Moja wierzba”, śpiewana przez rybaka.

Mróż zaczął nam po twarzy, gdy zśliśmy do naszego domu, lecz nie marzliśmy. Śnieg polyskiwał jak coś nierałnego, z dachu zwisały lodowe sople. Staszek, który w ciągu dnia mówił niewiele, opowiadał o swojej wsi. Znałem jego chatę, niski, słomiany dach, wiedziałem gdzie stał piec i ponad łakami patrzyłem aż po horyzont.

— Nic nie słyszysz? — spytał Staszek.

— A co?

— Ktoś śpiewa.

Nasłuchiwałem. Nad nami przesuwiał się Wielki Wóz. Od śniegu było jakieś osobliwe światło, promienność odbijająca się w naszych twarzach. Teraz i ja usłyszałem śpiewanie. Z oddali dobiegał wysoki, czysty śpiew. Chyba to wiatr, pomyślałem. Słysząc jak obraca się Ziemia. Nocami niekiedy można słyszeć, jak się kręci Ziemia.

Lecz Staszek potrząsnął głową. — To śpiewa kobieta — powiedział. — Biała Róża. Die weisse Rosa.

Przełożył Eugeniusz Wachowiak

Armin Müller: *Der Puppenkönig und ich*, Greifenverlag zur Rudolstadt, 1986 (fragmenty rozdziału XII i XIII)

ARMIN MÜLLER, urodzony w 1928 roku w Świdnicy na Dolnym Śląsku, gdzie znajdują się groby jego przodków, jest poetą, powieściopisarzem, dramaturgem, a ostatnio także interesującym artystą malarzem bez cenzury. Mieszka w Weimarze. Debiutował w 1949 roku — jak tego we wschodniej „strefie okupacyjnej” Niemiec wymagało — „za zgodą sowieckich władz wojskowych”. Miał wtedy za sobą końcówkę wojny w mundurze, nieuchwane poięgnięcie z rodziną w miastem i poetyckie pierwowzory, pełne młodzieńczej chęci „czynienia dobra” („Wiedergutmachung”). Zaledwie cztery lata po wojnie — w debiutanckim tomie *Hallo, Bruder aus Krakau!* (*Do brata z Krakowa*) — pisał o przyjaźni dłoni niemieckiego poety, wyciągniętej do Polski, w tym także z wybitnym, zamieszkałym obecnie w Niemczech Zachodnich, poetą Reinerm Kunze w grudniu 1966. Przyjaźni się ze swoim rówieśnikiem, poetą Eugeniuszem Wachowiakiem, tłumaczem jego utworów na język polski, mieszkającym pogranicza Wielkopolski i Dolnego Śląska. O przyjaźni tej opowiada zrealizowany

w 1972 roku we Wchowie i w Lesznie film „Defy” pt. *Mein Freund Genek*. W 1986 roku nakładem Greifenverlag z Rudolstadt ukazuje się powieść Müllera pt. *Der Puppenkönig und ich (Lalkarz: König i ja)*. Na jej kartach pisarz wraca do realiów pierwszego powojennego roku. Dwaj młodzi ludzie, Niemiec, uciekinier z jenieckiego konwoju i Polak, kombatant akowski, przemierzają w pełnych przygod okolicznościach Polskę powojennego roku, ciągnąc ku rodzinnym stronom, w okolice Rawicza i dalej, na dolnośląskie pogórza, które przejęli we władanie Polacy. W powieści zjawia się wiele realiów kulturowych, obyczajowych i językowych polsko-niemieckiego pogranicza, a w finale autor ukazuje również dramatyczny exodus wysiedlanych Niemców, dotychczasowych mieszkańców Dolnego Śląska.

P.H.

Książki nadesłane

Państwowe Wydawnictwo Naukowe

Maria Brzezina: *Polszczyzna Niemców*. Ss. 276 + 15 ilustracji, nakład 1500 egz., cena zł. 1500.

Jerzy Bogdanienko: *Odnawialne źródła energii*. Ss. 319, nakład 2000 egz. cena zł. 850. — Biblioteka Problemów, t. 290.

Fenomenologia i socjologia. Zbiór tekstów. Wybór, redakcja i wprowadzenie Zdzisław Krasnodębski. Ss. 509, nakład 3250 egz. cena zł. 1800.

Eugeniusz Grodziński: *Filozoficzne podstawy logiki i wielowartościowej*. Ss. 144, nakład 3250 egz., cena zł. 700.

Jak filozofować? Studia z metodologii filozofii. Zebrał i opracował Jerzy Perzanowski. Ss. 400, nakład 1900 egz., cena zł. 2200.

Historia sejmiku polskiego. T. 2 cz. 2: II Rzeczypospolita. Napisał Andrzej Ajnenkiel. Ss. 419, nakład 15 300 egz. T.3: *Polaka Ludowa*. Pod redakcją Andrzeja Ajnenkiela napisali Janina Zakrzewska i Tadeusz Moldawa. Ss. 343, nakład 10 000 egz.

Lech Kalinowski: *Spekulum artis. Trzeci dzieła sztuki średniowiecza i renesansu*. Ss. 686, nakład 5000 egz., cena zł. 5000.

Barbara Koc: *Joseph Conrad*. Ss. 160, nakład 20 000 egz.

Zbigniew Kuderowicz: *Filozofia nowożytnej Europy*. Ss. 694, nakład 8000 egz., cena zł. 2800.

Józef Bielawski: *Jolanta Kozłowska, Ewa Machut-Meudocka, Krystyna Skarżyńska. -Bochenka: Nowa i współczesna literatura arabska 19 i 20 w. Literatura arabskiego Maghrebu*. Ss. 672, nakład 1700 egz., cena zł. 2800.

Kazimierz Dąbrowski: *W poszukiwaniu zdrowia psychicznego*. Ss. 216, nakład 15 000 egz.

Jerzy Ziomek: *Literatura Odrodzenia*. Ss. 288, nakład 70 000 egz., cena zł. 1200.

Władysław Miodunka: *Podstawy leksykologii i leksykografii*. Ss. 269, nakład 3000 egz., cena zł. 1200.

WACŁAW OSZAJKA

Żwiartów

Izraelu
twoi synowie i córki dla mnie
przez wiele lat jedynie byli
byli
hyli w naszej wsi do wojny
trzy rodziny
krawiec sklepikarz i szmaciarz
ich imiona
pewnie Icek Jojna Mosick Sara Salcia
może Ryfka Chaim
ich nazwiska
po co komu nazwiska we wsi
w której czas mierzy się od
Godnich Świąt do Wielkanocy
od Wielkanocy do żniw
od żniw do wykopków
od wykopków do Dnia Zaduszego
i znowu do Godnich Świąt
a geografii wyznacza pompa
sklep i krzyż z jednego końca
a z drugiego figura Matki Boskiej
to tutaj
pod krzyżem albo pod figurą
swoją stawiał się cudzy
cudzy nie jak śmierć
ona u nas na wsi była swoja

ale cudzy gdyż mieszkający
poza wsią

oni zaś
to byli nasi Żydzi

w zabat za grosz
nasze matki podpałały ogień
pod ich kuchniami
słyszały co prawda o krwi
chrześcijańskich dzieci w macach
ale przecież nasi Żydzi byli zwyczajnymi Żydami
i maca smakowała prawie tak samo

jak wigilijny opłatek
albo komunია

a kiedy na weselu
państwo młodzi pod baldachimem
jak proboszcz za procesją
na szczęście tłukli kieliszek
pospołu klaskano w ręce
polskie ruskie i żydowskie

wszyscy przecież
nasze ludzie ze Żwiartowa

owszem czytano w gazetach
że Żyd to parch i wród na polskim ciecie
ale na razie dotyczyło Żydów miejskich
powiedzmy z Zamościa albo Tomaszowa
a na pewno z Warszawy lub Lwowa

a nie naszych wsiowych

Izraelu
twoje dzieci znają moc słowa
mówionego pisanego czytanego
nie dziwili się więc że
coraz częściej kamienie spadały na ich głowy
a słonina do wiader z wodą

ja jednak
narodzony po was widzę was
ot żydki lachmianiarze garbate
dusigrasze kaprawe jak kocięta
chytusy podstępne
widzę was śmieszne niedorajdy
z dojałogu na Trzech Króli
oto rabe czyta z grubej księgi
nie ważne co
ważne że śmieszne
trochę po waszemu trochę po naszymu
a resztę po rusku
widzę was jak przybijacie do krzyża
naszego Pana Jezusa

a potem w szkole
a potem jeden ksiądz i jeden dawny polityk
powiedzieli że nie
nie lachmianiarze szmacciarze
ale żydokomuna i żydomasoneria
oto mechanizm światowej polityki
nie powiem

że im nie uwierzyłem ale też nie mogę powiedzieć
że uwierzyłem
jest w tym jednak jakieś przedziwne światło
które gąszcz dziejów
owe węzowate klębowisko wydarzeń
stawia na baczność
i z łatwością można już oddzielić
cudze żmije zawsze jadowite
od swoich zawsze niejadowitych

mijały lata
na studiach poznałem twojego syna Izraelu
o imieniu Jezua ben Josef
i on wreszcie otworzył przede mną
ową grubą księgę Żyda z dojałogu na Trzech Króli
zamieszkalem w tej księdze



Kuncgunda Jerowska, Aleksandra i Feliks Tyłusowie: Żydzi polscy, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmatuła

i kiedy znowu po latach Jezua
zaprowadził mnie do swojej ojcowizny
omal że nie uwierzyłem Buddzie
byłem znowu tam gdzie już byłem
choć tego nie pamiętam a jedynie wiem
że tu już byłem a może nawet że tu jestem
od zawsze

a że zaprowadzono mnie na ziemię Bogu
który z oślicy uczynił prorokinię
zatem i ja dostąpiłem cudu
przeziębilem się
i kiedy w hotelu kurowano mnie bayerowską aspiryną
i winem z winnic Karmelu
pomyslałem

w jaki sposób winni są Żydzi temu że ja
mam katar
wybaczyć Izraelu ten żart
jestem pewien przebaczenia
gdyż ty wiesz
że to co się mówi jednemu i na ucho
zawsze mówi się wszystkim i to z dachu

najpierw jednak przed Jezusą
przyszeli Hitler a przed nim jeszcze
do Żwiartowa przyszedł Stalin
a my tutaj znaleźliśmy jedno z najgorszych przekleństw
które zawsze domagało się krwi
niechby tylko z nosa
ty kumunistu
i trochę łagodniejsze
ty księdzu
kiedy przyszedł Stalin
nasi Żydzi na rękawy nałożyli czerwone opaski
dostali karabiny na sznurkach co prawda
stare ale karabiny
i zaczęli rządzić

nie tylko oni

również paru ukraińskich i polskich солдатów
cara Mikołaja i weteranów rewolucji bolszewickiej
choć walczyli raz po białej raz po czerwonej stronie
też paradowali w tych opaskach

nu co zrobić mówili we wsi
może się to jakoś odmienić
no i przyszedł Hitler
i zaraz zaczęto szukać komunistów

ale wtedy już nikt niczego
nie pamiętał

kiedy więc zimą przyjechali z Rachan
gestapo i granatowi
żeby naszych Żydów postrzelać
wiesz zmartwiała
jak w Wielki Piątek

zamkniętych w remizie pilnował granatowy
siedzieli cicho jak przepiórki w życie
o których mówili
że jeśli któregoś roku nie wrócą one
z ciepłych krajów
będzie to ostatni rok Żydów na tym świecie

siedzieli cicho
tylko co jakiś czas ktoś chyłkiem podbiegał
do zakratowanych okien
przystawał na chwilę
i jeszcze prędzej wracał

mówiono
dzisiaj oni jutro my

rano postrzelano wszystkich
na wygonie pod skarpą
z której brałismsy głąnę
na mazanie polepy w chalupie

wieś płakała po nich
tak samo jak po każdym nieboszczyku
i jak płakała po rozstrzelanych w tym samym miejscu
tylko nieco później
za pomoc partyzantom

obeschły Izę
trawą porastał wygon
trzeba było nadal żyć

w innym miejscu
lecz w tym samym czasie
czarnooka i kruczowłosa
smukłonoga lania
twoja córka Izraelu
rozkochała w sobie goja
chłopaka z Frampola
i kiedy prowadzili ją na kirkut
aby rozstrzelać
poszedł za nią

po wszystkich przyszedł ojciec
zabrał obydwoje
mówiąc

co Bóg złączył
człowiek niech nie rozdziela

trzeba było żyć
nosić w sobie zmarłych
twarze i słowa
przywoływać je w zaduszkach
nie z zaświatów
ale z owego Bożego wszędzie
nie dziw się tedy Izraelu
że dół w którym zakopano twoje dzieci
porosła trawa

a nawet przez jakiś czas wywożono tam
śmieci
to znaczy roztrzaskane na śmierć
gliniane garnki przepalone na wylot
rondle zbutwiałe gałęzie
przeżnięte szmaty

ale
twoje i nasze ludzie
żyją nadal
patrzę wielkimi oczami
jak prawosławni święci w cerkwi

przecież
co Bóg złączył
człowiek tego nie rozdzieli
a Bóg łączy
na dobre i na złe
być może na złe
przede wszystkim

Wacław Oszajca



Kirkut w Józefowie Lubelskim. Fot. Janusz Urban

WŁADYSŁAW PANAS

Literatura polsko-żydowska: zamach pióra

Ty zawsze, Jukiel, czułeś się źle w swojej
skorze, nigdy nie byłeś tu, lecz gdzieś indziej;
przed sobą lub za sobą jak zima wobec
jesieni, jak lato wobec wiosny; w przeszło-
ści lub w przyszłości jak zgłoski, których
przejście z nocy w światło jest tak błys-
kawiczne, że wydaje się zamachem pióra.*

Edmond Jabes

1. Początek jawi się jako słowo rozwinięte w opowieść: lektura hagady na Pesach. Piękna opowieść o wyjściu Izraela z Egiptu, z domu niewoli. Czytana-opowiadana podczas uczty paschalnej zwanej sederem, czyli porządkiem. Jest kilka różnych przekładów i wydań dwujęzycznych hagady. Ten wydano nakładem „Drukarni Monolit” w Warszawie (1933). Tekst polski — drukowany pod hebrajskim — toczy się od prawej do lewej. Od końca książki, który jest tu początkiem, do początku, który objawia się jako koniec. Porządek lektury: od końca-początku do początku-konca. Najpierw prawa kolumna, później lewa, prawa — lewa... Inny ruch głowy, odmienna praca oczu. Lecz przecież w obrębie każdej kolumny — inaczej niż w hebrajskim — tekst polski złożony jest normalnie: od lewej do prawej. A więc czytamy — i taki jest ruch głowy, oczu, praca mięśni — kolejne wersy od lewej do prawej, a strony — czyli te większe całości — od prawej do lewej. Lewa — prawa i prawa — lewa, lewa — prawa i prawa — lewa... Dwa typy ruchów, w dwu różnych kierunkach, z niewidocznym punktem, który się przekracza, z punktem oporu, który trzeba w sobie przezwyciężyć. Niby ciekawostka edytorska, techniczna, lecz nie tylko. Doświadczenie cielesne, ale i duchowe. Łacińskie pismo zmierza tam, skąd wychodzi hebrajskie; hebrajskie idzie tam, skąd wyruszyło łacińskie...

2. *Naród Mesjasza i Mesjasz narodów* — taki tytuł ma esej Edmunda Sicińskiego przedrukowany w zbiorze jego szkiców *Ideale judaizmu* (Warszawa 1939). Niezwykły tytuł, niewzruszający też jest kształt stylistyczny tytułowej frazy. Tak zbudowaną frazę w retoryce nazywa się chiasmem. Chiasm: figura literacka, rodzaj paralelizmu polegającego na odwróconej symetrii członów składniowych — człon drugi powtarza w odwrótej kolejności porządek syntaktyczny członu pierwszego. Grecki wyraz *chiasmós* oznacza skrzyżowanie, mniej więcej tak jak w greckiej literze „chi”. W porządku pisma (mowy i myśli) jednokierunkowego chiasm stanowi istotną wyrwę.

* Przekład: Józef Waczków.

Niniejszy esej stanowi kontynuację szkicu — *Literatura polsko-żydowska: pismo i rana* („Akcent” 1987 nr 3) i zapowiada następny „zamach pióra”: o literaturze polsko-izraelskiej.

ponieważ wprowadza porządek dwukierunkowy. Jest równocześnie czytelnym w układzie od lewej do prawej i od prawej do lewej. W chiźmie dokonuje się spotkanie dwu kierunków w obrębie jednego, ich skrzyżowanie. Ale nie o retorykę tu tylko chodzi. W formie chiźmu obecne są przecież sensy wyższe niż efekty estetyczne. W chiźmie spotykają się dwie przeciwstawne rzeczywistości, dwa paralelnie, lecz nabrzmiałe własnym znaczeniem światy. Zwrócone do siebie krawędziami, a pomiędzy nimi rozpadlina. Właśnie w chiźmie dwa różne światy są jak dwa brzegi przepaści. I wcale w chiźmie nie łączy brzegów dialektyczny most. Czy łączy je sama przepaść, tak, jak morze łączy przeciwnie leżące brzozy? Chiźm odsłania perspektywę, zaiste, metafizyczną. W szkicu doktora Steina mowa o spotkaniu dwu narodów, o przenikaniu, o relacjach, o pograniczu. Tytułowa fraza wraca — jako klamra spinająca tekst — w postać naród Chrystusa — Chrystus narodów. Ten powrót chiźmu, subtelnie cieniując znaczenie (Mesjasz-Chrystus, Chrystus-Mesjasz), rozszerza jego przestrzeń, uwidatnia jego nieprzypadkowe użycie. Stein nie wymawia imienia: chiźm. Odnajduje ten termin u współczesnego filozofa spotkania, Emmanuel Levinas swoje spotkanie z myślą J. Derridy nazwał „spotkaniem w samym sercu chiźmu”. Wydaje się, że jest to uniwersalna formuła wszelkiego spotkania z Innym. Odsłania się więc także i perspektywa egzystencjalna chiźmu. Formuła świata pogranicza, świata pomiędzy światami, spotkania rzeczywistości równoległych. Estetyczne, egzystencjalne i metafizyczne ich korespondencje. Jeśli pójść za piórem w rejony ryzyka (wszak M. Heidegger uczy, że mowa jest ryzykiem, że bycie jest ryzykiem), to można dodać, że w kształcie greckiej litery „chi” można dostrzec pewne podobieństwo do hebrajskiego „alefa”. Alefa tworzy linia biegnąca ukośnie do dół, od góry, która zaczyna się po lewej stronie, do dół ukośnie z prawicy; od tej linii — mniej więcej w jej środku — wyrastają dwie „łapki”: jedna do góry, druga do dół. Jakis graficzny cien skrzyżowania. Natomiast hez wątplenia skrzyżowanie wstępuje w niezwykle bogate symbolice alefa. To pierwsza litera alfabetu hebrajskiego, symbol Boga i obraz człowieka, który jedną ręką wskazuje niebo, drugą — ziemię, punkt spotkania świata niższego i wyższego, symbol jedności, metafizyczny punkt początku. Można go określić wybierając któryś z metafizycznych kierunków: od lewej (niebo) do prawej (ziemia) lub odwrotnie. Chiźm-alef odgrywa tu rolę trochę podobną do „prześwitu” Heideggera. Według kabalistów Bóg ma siedemdziesiąt dwa tajemne imiona. Chiźm jest jednym z licznych imion spotkania na pograniczu. Figura czołowej, bowiem w jej obrębie otwiera się przesław na Nieskończoność.

3. Chiźm jako efekt zamachu piora odnosi się do spotkania tak radykalnego, że można utożsamiać go wprost z zamachem stanu Stanisław Vincenz w szkicu *Włosey kosmopolity* opisuje jak gdzieś w latach trzydziestych odwiedził internat dla chłopców żydowskich. Był seder, wczesza paschalna, chłopcy śpiewali po hebrajsku pieśni religijne, lecz: *Uderzyło mnie, że gdy dzieci wodzićne władali swobodnie hebrajszczyzną, między sobą i wszystkimi gośćmi mówili po polsku, a szczyt wszystkich, jeden z uczniów oddeklamował ułożony przez siebie wiersz marzycielski o kraju Izraela, oczywiście po polsku*.

Vincenz w tym migawkowym wspomnieniu zarysował lapidarnie temat i problem niemieckiego szkicu. Spróbuję go rozwinąć. Otóż jest to zapis „spotkania w samym sercu chiźmu”. Podwójnego spotkania. Pierwsze spotkanie ma wymiar wewnątrzżydowski. Z jednej strony święto religijne. Pascha, obchodzona na pamiętkę wyjścia z Egiptu, z tak istotnym momentem jak opowieść-hagada o tych wydarzeniach, hagada, która jest uniwersalną opowieścią o Izraelu, o zasadach wiary, o tożsamości, która istnieje wyłącznie jako tożsamość religijna. I wszystko toczy się po hebrajsku. Rzecz można —

człon sakralny chiźmu. Z drugiej strony świecki wiersz o Izraelu, traktujący Palestynę w kategoriach politycznych. Człon profanum. W innym języku. Można domniemywać, że ten wiersz o Izraelu w tej sytuacji musiał być polskim wierszem, po to, aby zachować różnicę między traktowaniem Izraela w kategoriach sakralnych, a Izraelem w wymiarze profanum. Drugie spotkanie odbywa się na pograniczu żydowsko-polskim. Z jednej strony „wiersz marzycielski o Izraelu”. Z drugiej — „oczywiście po polsku”. I wszystkie te wymiary zbiegają się ostatecznie. Chiźm. Alef. Prześwit. Zamach piora.

4. „Marzycielskie” wiersze i opowieści o Izraelu są podstawowym znakiem identyfikującym literaturę piękną powstającą w polsko-żydowskim obiegu komunikacyjnym. Określenie Karola Wiktora Zawodźńskiego „poci Ecrael i getta” trafnie oddaje ten stan rzeczy. Dwa bowiem tematy i dwójka problematyka skupia, organizuje i wyodrębnia ów fenomen literacki i kulturowy, jakim była w latach 1918—1939 literatura polsko-żydowska. Temat symbolizowany przez termin Ecrael — Ziemia Izraela, Ojczyzna Izraela, Ziemia Święta Izraela, Ziemia Obiecana, Palestyna jako historyczna i aktualna siedziba narodu żydowskiego, Stara-nowa Ojczyzna, państwo żydowskie. I temat symbolizowany przez określenie „getta”, który ma również szerokie znaczenie, ponieważ odnosi się do sytuacji narodu poza ojczyzną. Obydwa tematy ściśle ze sobą korespondują, obecność jednego wprost przywołuje drugi. I tak opis „getta”, sytuacji „tu i teraz”, diaspory, rozproszenia, braku własnego państwa, niejako automatycznie — choćby i czysto potencjalnie — stawia problem zmiany tej sytuacji. Tak więc temat Ecrael jawi się wyraźnie jako nadrzędny, najbardziej zarazem wyrazisty, ekspansywny. Również jako najbardziej radykalny w obrębie pogranicza polsko-żydowskiego. Jego obecność w domenie pisarstwa polskojęzycznego wywołała szok i kontersację, ponieważ wprowadza nadsłownię, najdrastyczniej w samo centrum chiźmu. Ze wszystkich znanych mi w kulturze polskiej — na przestrzeni całych jej dziejów — form spotkania z Innym, ta jest najbardziej dosłowna. Inny staje tu bez żadnej maski, bez jakiegokolwiek mediacji, bez retuszu, nie poddający się retoryce dialogowej. Poza syntezą. Niewygodny jak czytanie od lewej do prawej tekstu, który biegnie od prawej do lewej. Jeśli nie myśleć o tym spotkaniu z Innym w kategoriach chiźmu, natychmiast rodzi się problem granic „swojego” i „obcego”. Pojawia się kwestia relacji „nasza literatura” i „nie-nasza”. Co zrobić z Innym? Zawodźński zauważył: (...) *ciekawą możliwością byłoby powstanie w Palestynie oddziału literatury polskiej, na pewno o wyższym poziomie niż literatura emigracyjna w obu Amerykach* („Rocznik Literacki” 1934). A Władysław Sebyla (*Nowe pocię*, „Pion” 1934 nr 25): *Cechy tego nastawienia pozwolił sobie nazwać rasowymi, bo chyba nie są one właściwe w takim skupieniu i zestawieniu ani naszemu charakterowi narodowemu, ani żadnemu świadomemu siebie narodowi w ogóle. Obdwie opinie zostały sformułowane w związku z tomikiem wierszy Romana Brandstaettera Królestwo Trzeciej Sygnity*.

To byłby jeden biegum myślenia. Myślenia, dla którego obecność pogranicza kulturowego jawi się jako fenomen kłopotliwy lub nawet niepożądany. Lecz przecież istniejący. Drugi biegum wyznacza myślenie z wnętrza chiźmu. Problem granic wygląda tu inaczej. W ogóle jest to myślenie ponad granicami. Chiźm wyodrębnia własne terytorium. W tym kontekście warto przytoczyć zapis jeszcze jednego spotkania, z zupełnie nieoczekiwaną (lub nieuswiadomianą) perspektywą chiźmu. Vincenz wspomina (*Qu une larme dans l'océan*) młodego chasyda z Węgier, który zadeklarował się jako wielki admirał literatury polskiej, ponieważ porusza ona problematykę religijną. Oto ta literatura: *Wielki Magid, słowa samego Baul Szem Towa, Mendel z Witebska, Nachman z Bracławia i inni*.

5. Syjonizm w literaturze polsko-żydowskiej. Sformułowanie — hasło. Literatura inspirowana — w różnym stopniu — ideami politycznego syjonizmu, literatura modelowana niektórymi ideami, literatura w orybinie syjonizmu. Ale też literatura, w której jest obecna po prostu tylko perspektywa palestyńska, w której pamięta się o Ziemi Izraela. Słowem, są tu rozmaite realizacje tego hasła. Wybieram z obszernego zestawu nazwisk i dzieł, „wierszy marzycielskich o Izraelu”, opowiadań i powieści, tylko reprezentatywną próbkę. Autorzy i utwory najwybitniejsze w tym zakresie. Pisarzy jakos charakterystycznych dla stylu pisania o Erec Izraelu. Utwory, w których obecność tematu jest szczególnie intensywna.

Poezja, wiersze: Karol Rosenfeld: *W ciży łez. Poezje golusu*, ok. 1920. Maurycy Szymel: *Powrót do domu*, 1931; *Skrzypce przedmiecica*, 1932; *Wieczór liryczny*, 1935. Arjeh (Bronisław Mayer): *Pieśni Wertera*, 1932; *Maszyny są głodne*, 1932; *Pieśni chaluca*, 1934. Roman Brandstaetter: *Królestwo Trzeciej Świątyni*, 1934; *Jerozolima światła i mroku*, 1935. Anda Eker: *Na cienkiej strunie*, 1935; *Melodia chwili*, 1937. Maurycy Schlanger: *Idę*, 1936. Irma Kanfer, Mina Silberman, Daniel Ihr i inni...

Proza: Józef Hartblat: *Jehoszua. Powieść osnuta na łożu życia chaluców*, 1928; Rubin Ben Szem (Elchonon Feldszuh): *Noce palestyńskie*, 1928; *Czerwone dusze*, 1932. Bernard Zimmermann: *Tirsa. Powieść z życia współczesnej Palestyny*, 1930. Henryk Adler (Naszer): *Ariela i Jubal. Palestyńskie opowieści romantyczne*, 1931. Leo Belmont: *Możesz współczesny*, 1931. Jakub Appenzlak: *Piętra. Dom na Bielańskim*, 1933. Janusz Korczak: *Ludzie są dobrzy*, 1937; *Trzy wyprawy Herszka*, 1939...

Można na te teksty spojrzeć bardzo zwyczajnie, można zbudować komentarz historyczny, politologiczny, socjologiczny, kulturowy, teologiczny. Zwłaszcza, że kontekst zewnętrzny, pozaliteracki jest dla tego piśmiennictwa bardzo znaczący. Tym bardziej, że utwory te pełniły także — choć w różnym stopniu — funkcje społeczne. Były fragmentem wielkiego dyskursu, którego przedmiot stanowiła realizacja idei syjonistycznej. Zapewne, byłoby to komentarz bardzo pożyteczny wobec naszej powszechnej i kompletnej ignorancji w tym zakresie. Lecz przecież fakt, że są to wiersze i powieści — i takimi chciały być — ma znaczenie pierwszoplanowe. Ich domeną jest więc przestrzeń symboliczna w szerokim sensie, posługują się znakami literackimi i obrazami. Działają w żywiole piękna, chociaż co do urody literackiej wielu z nich można mieć uzasadnione zastrzeżenia. Ale nawet w romantyzmie i oczywistych ułomnościach obecny jest swoisty styl, który wyraźnie wyodrębnia te grupe jako całość w miarę jednolity. Wydaje mi się, że można mówić nawet o własnym kodzie tej literatury, o charakterystycznej tylko dla niej poetyce. Oto niektóre elementy owej poetyki mówienia o Erec Izrael:

Na poziomie językowym zwraca uwagę obecność licznych wyrażeń hebrajskich, przeważnie terminów odnoszących się do specyficznych form organizujących życie i pracę w Palestynie. Trzeba zauważyć, iż wydawcy na ogół starają się objaśnić te terminologie w przypisach. Owa inkrustacja polszczyzny hebraizmami jest na tyle gęsta, iż nabiera charakteru znaczącego, nieprzypadkowego m. m. Altbauer w rękopiśmiennej pracy *O polszczyźnie Żydów z 1931 roku* tak opisuje tę „syjonistyczną polszczyznę”:

Młodzież syjonistyczna, rekrutująca się ze sfer uczniowskich i studenckich, która mówi przeważnie po polsku, drukuje w tym języku czasopisma, stworzyła całą terminologię syjonistyczną w języku polskim, opartą na hebrajszczyźnie. Te zapożyczenia są bardzo częste w mowie tych sfer, pełno ich w czasopiśmie i listach. Dla tych z młodzieży — dodaje autor w przypisie — którzy w ogóle nie znają hebrajskiego, te zapożyczenia uchodzą za wyrazy polskie: odmieniają

*je po polsku z zachowaniem zmian spółgłoskowych, tworzą pochodne. Dłu nie wyznających się w tych sprawach polskie słownictwo syjonistyczne przedstawia się jak tajemnicza księga zamknięta na siedem pieczęci (za: M. Brzezina, *Poliszczyna Żydów*, Warszawa 1986, s. 414).*

Z tej księgi tajemnej dla polszczyzny ogólnej przedostał się chyba tylko wyraz „kibuc” i zrobił w niej nawet pewną karierę...

W wymiarze ogólnostylistycznym zwraca uwagę cały zespół cech, które można określić mianem realizmu syjonistycznego. Chodzi o obecność konwencji literatury proletariackiej z takimi „toposami” jak praca, oczywistość, kolektywna, w ogóle pojęcie kolektywu, idealizm, rezygnacja z indywidualizmu etc. Elementy prezentujące idee syjonizmu, socjalizmu, jakiegos utopijnego komunizmu, chociaż komunizm w wersji sowieckiej jest przedmiotem szczególnie ostrej krytyki (Ben Szem, *Czerwone dusze*; Zimmermann, *Tirsa*). Z różnych „opowieści palestyńskich” wylania się inna forma komunizmu, komunizmu syjonistycznego. Kolektywizm, lecz nie bolszewicki, „czerwone dusze”, ale takie, dla których „pierwszym uświadomionym komunistą był Mojżesz” (Ben Szem, *Czerwone dusze*, 215). Są też w tej literaturze wszelkie akcesoria związane z tematem pracy. I śpiew ślawiący „potęgę łopat hebrajskich” (Brandstaetter, *List z Palestyny*, w: *Królestwo Trzeciej Świątyni*), i „trud plugow” (czasami są to „elektryczne plugi” jak w *Psalmie gorczy i gniewu* Brandstaettera, j.w.). I jest, oczywiście, główna figura — traktor. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie na oryginalny pomysł wpadł Brandstaetter, który w wierszu *Mesjasz* (z tomu *Królestwo Trzeciej Świątyni*) w usta podmiotu — Mesjasza wkłada przekonanie, iż jego imię objawi się między innymi „w sercach szarej gromady oraczy, zdobywającej traktorami ziemię”. Chociaż może nie jest to pomysł zupełnie oryginalny — Mesjasz wśród traktorzystów — skoro Aleksander Blok dostrzegł Chrystusa na czole czełkistów. Jedno jest pewne, słynna fraza polskiej literatury socrealistycznej „traktory zdobywają wiosnę” ma swoją poprzedniczkę. Kompletne wyposażenie, wręcz katalog, motywów proletariackich znajdujemy w wierszopisarstwie Arjeha.

Charakterystyczna to cecha tego piśmiennictwa, lecz przecież nie dotyczy wszystkich utworów. I tak w *Tirsie* Zimmermanna — najlepszej powieści palestyńskiej w tym zestawie — panuje inny styl, styl klasycznej epiki wzbogaconej o pierwiastki psychologiczne. Ponadto w utworze wprost przewyższyć się *Cement* Gładkowa — jako negatywny wzorzec sowieckizacji życia i sztuki. Są więc w użyciu i inne konwencje. Często współlistnie w obrębie tego samego utworu. I tak u Brandstaettera są traktory, ale i woły, i żurawie u studni. Najbardziej anty-industrialna wizja Palestyny wpisana jest w wiersze Szymla. Owszem, praca też. Ale o robotnikach mówi się „hebrajscy rycerze”. W ogóle Szymel mówi o Erec Izrael w konwencji polskiej sielanki. Wyobraża sobie Ziemię Izraela jako kontaminację krajobrazu polskiego i palestyńskiego:

*(...) zbuduje chatę białą,
Gdzie obok winnic będzie polski klon wyrastał.*

A nocą będzie go nawiedzał „cień białego Piasta” (*Dwie ojczyzny*, w: *Powrót do domu*). Wiś w Erec zupełnie przypomina u Szymla Chelmońskiego: chaty z przyzbami, plugi, kosy, pastusze fujarki. Łatwo zrozumieć wyznanie w *Wierszu smutnym* (w: *Powrót do domu*):

*Jak trudno w wierszu wymyśleć niebo dalekie i drzewa,
Gdy szumi za oknem i puszczę polsku jesienną ulewę.*

O Erec mówi się różnymi kodami i konwencjami stylistycznymi i gatunkowymi. Topiką biblijną (Szymel, Brandstaetter), językiem literatury patriotycznej (Eker), powieści psychologicznej i społecznej (Appenzlak), nawet konwencją literatury brukowej i erotycznej (Ben Szem). Kontaminacja — często przeciwstawnych — konwencji (np. w *Czerwonych dachach* Ben Szema połączenie wątków socrealistycznych z perwersyjną erotyką), widoczna zwłaszcza w prozie, skupienie wokół nadrzednego tematu — to wszystko wyróżnia poetykę tych utworów.

6. „Marzyielskie” wiersze o Izraelu, opowieści wierszem i prozą o Ziemi Izraela. Co to znaczy pisać o Erec Izrael po polsku? O czym są te wszystkie „utwory”? Czy jest w tym jakiś uniwersalny sens?



Kunegunda Jezowska, Aleksandra i Feliks Tylnowski. *Żydzi polscy*, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Świątala

Wydaje mi się, że takie spotkanie w sytuacji granicznej obnaża prawdy powszechne, objawia archetypy, uwidocznia to, co bywa zakrywane. Tylko rana domaga się pisma, a rozłączone dąży do połączenia, i oddalenie domaga się bliskości. Są to opowieści o wyjściu z Egiptu do Ziemi Obiecanej, Z wygnania, rozproszania, pokawalkowania, wielości, do ojczyzny, całości, jedności. Z niewoli do wolności. Z upadku, śmierci do zmartwychwstania (to główny termin w wierszach Karola Rosenfelda). Archetyp powrotu. W dyskursie syjonistycznym następuje wprawdzie konsekwentny przekład kategorii sakralnych na świeckie — nie zmienia to kwestii, ponieważ istnieje możliwość powrotnego przekładu tego języka na kategorie uniwersalne. Rozproszenie, diaspora, getto to są realne fakty his-

toryczne. Ich artykulacja odbywa się w terminach politycznych, społecznych, narodowych. Są one jednak imionami najbliższego niedopelnienia, które dopomina się wypełnienia. Można więc tu mówić o pragnieniu metafizycznym, duchowym. W utworach Szymla, Brandstaettera, Zimmermanna ta perspektywa wyraźnie jest obecna.

Uchwycony przez Vincenza chiasm — spotkanie w czasie wieczery paschalnej hebrajskiej hagady z wierszem polskim o Izraelu — nie wydaje się przypadkowy. Wszak są to dwie opowieści o wyjściu i powrocie. Nie jest również przypadkowe pojawienie się w wierszach Szymla tematu Paschy i hagady paschalnej. Literatura, która traktuje o wyjściu z wszelkiego fizycznego i duchowego Egiptu, staje się w istocie hagadą na Pesach. Magid koziennicki sugerował taką uniwersalizację, gdy mówił: „Każdego dnia człowiek powinien wychodzić z Egiptu”. Zauważyliśmy jeszcze, że hagada prócz niezwyklej urody ma też pewną osobliwość w poetyce. W pewnym miejscu opowieść ma charakter „kwestionariusza” — zestawu pytań i odpowiedzi, których celem jest syntetyczne przedstawienie istoty judaizmu. Ołóż ten „kwestionariusz” jest czytelny we wszystkich kierunkach: od prawej do lewej i od lewej do prawej. Zaczyna się tak:

— Któż wie, co jest jedyne? — Jednego znam Boga w niebiosach i na ziemi.

— Któż wie, czego mamy dwoje? — Dwie znam tablice z przykazaniami, jedynego Boga naszego w niebiosach i na ziemi.

(...)

— Któż wie, czego mamy pięcioro? — Pięć znam ksiąg Tory, cztery pramaki, trzech praocjów, dwie tablice z przykazaniami, jedynego Boga w niebiosach i na ziemi.

I tak aż do trzynastego pytania i trzynastej odpowiedzi, która zbiera w ten sposób wszystkie poprzedzające i jest czytelna od prawej do lewej (w przekładzie polskim kierunki są odwrotne), i z góry na dół — od trzynastego znaczenia do pierwszego — i od lewej do prawej, z dołu do góry, od pierwszej odpowiedzi do trzynastej. Modelowa, najlepsza jaką można sobie wyobrazić ilustracja teorii J. Mukawowskiego i J. Ślawińskiego o akumulacji i jedności semantycznej zdania i tekstu. Rozumiem tę konstrukcję jako wyraz przekonania, że archetyp, prawda jest czytelna i sensowna we wszystkich kierunkach. Chiasm. Alef.

Hagada paschalna jest opowieścią sakralną, dotyczy rzeczywistości cudownej, należy do porządku Księgi, mówi o historii przemienionej w Księgę, jest Księgą, która jest także rzeczywistością historyczną. Między opowieścią a światem nie ma granicy. Literatura, o której mówię, nie ma charakteru religijnego. Lecz jest także opowieścią o Erec. Jest opowieścią w sytuacji, którą najlepiej określił Appenzlak we wstępie do swojego przekładu T. Herzla *Państwo żydowskie*: „Dziś jeszcze państwo żydowskie jest Księgą”. Erec Izrael jest Księgą, to znaczy, jest opowieścią, narracją, słowem, przestrzenią symboliczną. Znaczą też, że opowieść o Izraelu w pewnym sensie sama staje się Erec Izrael. Stąd Szymel mówi o wierszu „jedynemu domu moim” (*Lampa gorzkiej pamięci, w: Wieszcz liryczny*). Mieszkając w wierszu, być w opowieści, czyli przebywać w przestrzeni symbolicznej, w Księdze. Fenomenologię Księgi — jak wiadomo — najlepiej w literaturze wyraził B. Schulz. Księga może być szpargalem, można w jej kartki zawijać śladzie, można jej ślad odnaleźć w rubryce anonsów o cudownych lekach na porost włosów, jej forma zdaje się nie mieć znaczenia. Ważna jest nie poetyka i status społeczno-kulturowy, ale to, że jest opowieścią o cudownych przekształceniach rzeczywistości, że jest opowieścią o wędrowności, że dąży do Autentyki. Piszę Schulz: „Księga jest postulatem...”. Jest opowieścią o wyjściu jak hagada na Pesach, jest opowieścią o drodze do nadrzednego oclu. Ostateczny sens stanowi odkupienie wszelkich niedostatków poetyki.

Każda opowieść o wyjściu staje się właściwie hagiadą. I chociaż „opowieści palestyńskie” Adlera lub Harblaja nie są opowieściami rabiego Nachmana, a Ben Szem nie jest Baal-Szem-Towem, jednak opowieść pozostaje opowieścią. Jesteśmy w świecie ezoterycznych korespondencji i praw. Do nich też należą prawa narracji. Literatura i rzeczywistość pozaliteracka w przypadku opowieści o Izraelu są w realnym związku. Wszak mówimy o państwie wykreowanym przez opowieść, państwie, które długo istniało jako opowieść. Państwo wymyślonym przez pisarzy i podtrzymywanym przez innych pisarzy. Na grobie Teodora Herzla jest napis: „Jeśli czegoś chcesz, nie pozostanie to bajką”. Wystarczy opowiedzieć historię. Samuel J. Agnon opowiadał kiedyś Gershomowi Scholemowi następującą historię:

Gdy Baal-Szem-Tow, Pan Imienia, stał przed trudnym do wykonania zadaniem, wyprawiał się w pewne miejsce w lesie, rozniecał ognisko i pogrążał się w modlitwie. I to, co miał zamiar osiągnąć, dokonywało się.

Kiedy w następnym pokoleniu Wielki Magid z Międzyrzecza znajdował się w analogicznej sytuacji, również szedł w to samo ustronne miejsce i mówił: *Nie możemy już rozniecać ognia, ale możemy nadal modlić się*. To, co chciał urzeczywistnić, realizowało się.

Kiedy minęło jeszcze jedno pokolenie rabbi Mosze Lejb z Sasowa musiał rozwiązać podobny problem. Szedł do lasu i mówił: *Nie możemy już rozniecać ognia, nie znamy tajemnych medytacji ożywiających modlitwę, lecz przecież znamy to miejsce w lesie, gdzie to wszystko odbywało się — to powinno wystarczyć*. I wystarczało.

Minęło jeszcze jedno pokolenie i cadyk Izrael z Rużyna miał ten sam problem, co wszyscy jego poprzednicy. Usiadł więc na swoim krześle w swoim pałacu i rzekł: *Nie możemy rozpaść ognia, nie znamy już odpowiedniej modlitwy, nie wiemy, gdzie znajduje się to miejsce w lesie, ale możemy opowiedzieć historię o tym, jak to wszystko działo się*. I opowieść cadyka była tak samo skuteczna, jak działania jego poprzedników.

Scholem przytacza tę opowieść w książce *Major Trends in Jewish Mysticism*.

7. Walter Benjamin w związku z Kafką zauważył: *W jego opowiadaniach epika odzyskuje znaczenie, jakie miała w ustach Szeherazady: obłec to, co ma nadzieję. Odwlekanie stanowi w »Procesie« nadzieję oskarżonego — aby tylko przewiod sądowy z wolna nie przechodził w wyrok*. Opowieść ocala życie Szeherazadzie, stwarza nadzieję operując czasem, rozciągając go w wieczność. U Kafki próba ratunku też polega na konstruowaniu opowieści. Hagiada na Pesach również odnosi się do czasu, chociaż w sposób szczególny. Tu gdzieś wszystkie wątki sugerowane w tym eseju zbiegają się. Tym razem w chizmie czasowym. Najpierw jeszcze raz oddaję głos Benjaminowi: *Jak wiadomo, dociekanie przyszłości było Żydom zabronione. Tora i modlitwa natomiast pouczała ich we wspomnieniu (...) Przyszłość jednak nie stała się dla Żydów przez to czasem homogenicznym i pustym. Każda jej sekunda bowiem stanowiła małą furtekę, przez którą mógł wkroczyć Mesjasz. Wieczera paschalna, w której opowieść jest tylko jednym z elementów, jest także oczekiwaniem na proroka Eliasza zapowiadającego przyjście Mesjasza. Wyjście z »ziemi egipskiej« do Erec Izrael otwiera więc perspektywę mesjańską. W tych opowieściach, które są przedmiotem szkicu, tkwi oczekiwanie na zbawienie narodu. Syjonizm był rozpamiętywany w kontekście ruchów pseudo-mesjańskich. Z tego też powodu znajdował się (i znajduje) w konflikcie z ortodoksyjnym judaizmem. W kabalistyce znane jest pojęcie »kabyły aktywnej« — rozmaitych działań przyspieszających nadejście czasów mesjańskich.*

Abstrahując od oceny syjonizmu — można powiedzieć, że literatura o Erec Izrael — jako literacka wizja przyszłości — jest taką aktywną próbą przyspieszenia czasów mesjańskich. W wierszach Szymła paschalne oczekiwanie na Eliasza stanowi zasadę konstrukcyjną wielu tekstów. We wszystkich utworach z tego kręgu mówi się o teraźniejszości i o przyszłości. W literaturze tej Inny określa swoją tożsamość, głośno oświadcza: Jestem. J. Strykowski analizując biblijne objawienie Boga — Jestem, który Jestem — zwraca uwagę, że w języku Biblii „Jestem” znaczy „Będę”: *Ejeh znaczy będę — »Będę, który Będę«. To nie jest imię, ale stan, stan wieczności. W języku świętym istnieje forma „waw hahipuch”: w odwracającej, „i”, które w połączeniu z czasownikiem w czasie przyszłym, przeistacza się w czas przeszły. (Odpowiedź. Poznań 1982, s.33).* Jestem, czyli Będę — Będę, czyli Jestem. W literaturze, która mówi o przyszłości, opowiadając o przeszłości i teraźniejszości, pojawia się strukturalna kategoria, którą nazywam „miejsce Mesjasza” — przez analogię do strukturalistycznych określeń w rodzaju „miejsce króla”, „pusta przegródka” etc. Miejsce Mesjasza w opowieści to miejsce oczekiwania na rozwiązanie wyjściowego konfliktu. Punkt, do którego dąży opowieść. Sądzę, że to miejsce znajduje się w samym sercu chizmy. Charakterystyczne, że właśnie Schulz pisał, planował opowieść o czasach mesjańskich. Z jego *Mesjasza* pozostały — co też jest wysoce symboliczne — tylko fragmenty o Księdze. No, i jeszcze pozostało „miejsce Mesjasza”. Miejsce, które można wypełnić jak chociażby Cynthia Ozick (*The Messiah of Stockholm*, New York 1987). Zamać pióra, przejść zgłosek w stronę centrum świata, którego obecność jest niezbędna jako Drzewa Życia, konieczna jako zasada sensowności świata. Paul Celan: *powiedz, że Jeruzalem jest*.

Włodysław Panas



Zdjęcie łubelskie przed II wojną światową. Repr. Władek Stępień

ALEKSANDER ROZENFELD

* * *

biały anioł — zwiastun spokojnego dobra
stoi w oknie wychodzącym na plac św. Piotra
nie jest niemy świadkiem nowiny
i ja dzięki Niemu odzyskuję utracony głos
jeszcze nie dowierzam — jeszcze głowa ku ziemi
ale Jego głos podnosi moją głowę do góry
i słyszę słowo pokój i zaczynam wierzyć
napowrót wracam do ludzi całym sobą

26 maja 86

oto nadchodzi —
najpierw długie czekanie zawieszone na długości oddechu
potem lekkim krokiem
biały anioł zjawia się
i wszystko naraz przestaje być ważne

26 maja 86

uśpiona świadomość — brulion pełen gryzmolów
katedra i synagoga
i język niemiec i coś ja tu robię
w tej Italii obcej i pierwszy raz niemy
usiłuję znaleźć środek pomiędzy
dwoma ziemiami — Izraelem i Polską

30 maja 86

ten most przez który wszyscy muszą przejść
jest bardzo wąski
most pomiędzy dobrem i złem
i tłoczą się i płaczą i przeklinają
wszyscy ci którzy zdecydowali się przejść
przez ten most — aby stać się ludźmi

1 czerwca 86

opatrność — ona czuwa abym nie pobłądził
i zawierzył
pod słońcem Italii — ja żyd ja polak
ja człowiek
czekam na rozstaju dróg
czekam na znak opatrności

2 czerwca 86

jeśli tak się zaczyna schizofrenia
to jestem chory
ja ni tu ni tam
pomiędzy niebem a ziemią zawieszony

chodzący po prośbie za metaforą
na jutro na pojutrze na za rok
ja tak bardzo polak że aż boli
ta polskość wychodząca bokiem
ten wyrok śmierci co już zapadł
za to że się na nowo urodził
złem uwierzył w najpowszechniejsze dobro —
bliźniego miłość — do bliźniego miłość
ośmielam się modlić:
o wolność nieprzynależności o uwolnienie
od języka od obyczaju
tu myśl goni myśl — a żadna mądra
tu czyn wyprzedza myśl — a czyn niewart myśli
oto nowa modlitwa:
uwolnij mnie Panie od siebie samego — amen

Rzym, 6 sierpnia 86

* * *

wszystko jest kłamstwem wszystko oprócz Boga
to On powoduje każdym naszym gestem i to że kochamy
też jest Jego dziełem i że nie posłaliśmy do najgłębszej wody
to tylko ze strachu przed tym co On powie gdy stanąć
nam przyjdzie przed Jego światłością

.....
wojnę tocymy sami ze sobą o sens każdej przeżytej chwili
o muzykę dnia o modlitwę nocą o siebie samych
walczymy ze zmorą i zdziwieni patrzymy
jacy jesteśmy silni

.....
patrz — wróg nadciąga z nieoczekiwanej strony
to tęsknota za innym — którą masz w przeczuciu
dane ci śnić — obudzony widzisz — jesteś
kłamstwem osaczony — żadnej drogi — śladu
dostrzeć nie możesz — oślepiiony chęcią
dotrwania do następnej nocy

.....
tęsknota jest kłamstwem — to ciągną ucieczka
przed codziennością małych spraw — popatrz w lustro
ono jedno nie kłamie — przybyło ci zmarszczek
i siwych włosów — teraz pozostało jedno
wyjść z domu — najtrudniej

.....
do następnych spotkań do nowych nadziei
do innych miast krajów i przyrody innej
i tylko w modlitwie — nadzieja
tylko w modlitwie

VIII 1986

* * *

te wiersze co w nas drze­mią
jak gdyby miały się obudzić
ich rytm przemożny
czujemy w naszych żyłach
tętnem niedotlenionej metaforą krwi
gdzieś w małych miasteczkach
tęsknią za nami dziewczyny
gdzieś nad wielką wodą czeka na nas kat
a my się wymykamy miłości i śmierci
wciąż przekonani że powinność
naszym jedynym zadaniem

w Starym Testamencie w księdze Kaznodziei
mędrcze napisał że na wszystko jest czas
i że wszystko co pod słońcem nieczym nowym jest
więc skąd we mnie ten przestach że mogę
nie nadążyć z zamiarem który samym dobrem
jest i niczym ponad dobro — wiersz
przecież który piszę jest rozmową z Bogiem
i to On mnie budzi dotknięciem swoim
a ja?...

te muzyki co w nas drze­mią
są nie do wyśpiewania — niczyje uszy
jeszcze nie nadstawione aby je słyszeć
ale my gotowi być musimy na najwyższy ton
bo nikt z nas nie wie kiedy przyjdzie ten
który nas zmusi do zagrania

lutu 1989

* * *

o naszych nieszczęściach będą pisać hymny
ale kto za nie zapłaci — my już żadnej monety w kieszeni
o naszej trwodze przedni aktorzy zagrają dramat
ale kto zapłaci za naszą trwogę — my sami?
wszystkie modły daremne — śpiewy zapomniane
ziarno w nieurodzajną rzucono glebę

śmierć jest bardzo zajęta i nierychło przyjdzie
tymczasem choroba dyżuruje przy naszym wezglowiu
choroba na śmierć choroba na śmierć
lata całe się zbieramy a wciąż jeszcze dyszymy
i tylko wiersz tętnem naszej krwi
i tylko wiersz muzyką mojągo wieczoru

w rzymskim przedsionku do piekła
lucyfer w szatni zdejmuję mi płaszcz
i gestem wyniosłym pokazuje miejsce

Na samym przodzie sali

Aleksander Rozenfeld



Pomnik Ofiar Getta Lubelskiego. Fot. Janusz Urban

Podróż Żyda po Hiszpanii Przez ulice żydowskie Średniowiecza

Początek żydowskich osiedli na Półwyspie Iberyjskim sięga czasów przedchrześcijańskich. Żydzi hiszpańscy byli zawsze dumni z tego, że są w prostej linii potomkami pokoleń Judy i Beniamina, owych wygnańców z Jerozolimy, których wspomina *Księga Obadia* (I, 20) jako wygnańców z Jerozolimy, mieszkających w Sefarad. Identyfikacja tego biblijnego Sefarad z Hiszpanią nie jest niezbitą wykazana. Krytycy biblii identyfikują jej stanowczo. Hiszpańscy Żydzi obstawiają natomiast przy tej identyfikacji. Targumim tłumaczą Sefarad słowem Hispania. Poeta Mojżesz Ibn Esra (początek XI wieku) pisze w swym dziele o hebrajskiej poezji: „Wedle naszej tradycji jest Sefarad identyczne z Hiszpanią”.

Przeszło dwa tysiąclecia żydowskich dziejów mówią do nas z tych zburzonych Juderii, których ruinami przechodzę w dziwnym wzruszeniu: dwa w losach zmienne, walk pełne, aż po brzegi napięte pełne tysiąclecia. Z Kartaginy i Rzymem, ze Swemami, Wandalami i Wizygotami żyli tu i cierpieli wygnaćcy z Jerozolimy, wystawieni często na krwawe prześladowania. Ośmiowiekowa walka między Maurami a chrześcijanami na tym krwią przesiąkniętym pobojożywu zostawiła niezatarte ślady w życiu i myśli Izraela. Żydostwo staje się w kulturze i cierpienia bogatsze, jego widnokrąg rozszerza się, siła hartuje. Z dwóch przeciwnych sobie kultur czerpie ono soki, a walka prowadzi musi na dwa fronty. Żydostwo hiszpańskie waha się między fanatyzmem chrześcijańskim a muzułmańskim, szuka przed przesładowaniem ze strony katolicyzmu ratunku u Maurów i ucieka się przed Berberami pod opiekę królów kastylijskich. Prawie każde pokolenie przeżywa swój pogrom żydowski, zmieniają się tylko widownie — i prześladowcy. Przewodnie duchy nie uważają Hiszpanii za swą ojczyznę: wszyscy oni pełni są tęsknoty za ojczyzną, od Chazdajja ibn Schaprut aż do Majmonidesa. Liturgiczna poezja owych czasów to bolesny krzyk dręczonego serca; znękany Izrael tęskni za domem. Wszyscy poeci piszą *Syonidy*. We wszystkich było to samo uczucie, któremu dał wyraz Jehuda Halewi: „Gdzie jest kraj na wschodzie lub na zachodzie, gdzieśmy się czuli bezpieczni?” Ale w dziejowych pauzach urasta wielkość i moc z tych hiszpańskich Juderii. Cudowna duchowa wiosna zakwitła Izraelowi pod łaskawym słońcem Hiszpanii — aż czarna godzina alhambrowego edyktu położyła temu kwitnącemu życiu koniec.

2.

Juderia Mayor, niegdyś światowej sławy dzielnica żydowska Toleda, zajmuje szczególne miejsce w historii pobliżnego żydostwa. Na tym miejscu nie czuje się już tylko turysta. Paseo del Transito to kawał mej duchowej ojczyzny, to krew z mej krwi i kość z mojej kości! Tu odnajduje te sily, które skrzepiły mą duszę, te źródła, z których niegdyś piliem. Jestem na widowni najbardziej zajętej walki przeciw żydostwu. Santo Oficio Toleda to jeden z najciemniejszych roz-

działów ciemnych dziejów hiszpańskiej inkwizycji. Wzruszony staje przed dwiema nieszczęsnymi synagogami: Santa Maria la Blanca i El Transito; tylko dla nich samych opłaciło się odbyć pielgrzymkę na to wzgórze. Obie to moje stare znajome, opowiadano mi o nich od dzieciństwa. Było to na początku lat osiemnastych; za owego czasu nie używano jeszcze tych synagog na cele kościelne lub gminne. Dopiero w roku 1888 przywrócono je do dawnego stanu i uznano za własność narodową hiszpańską. Ciężko było mi dziecinnej fantazji przedstawić sobie coś tak nienaturalnego i niesłychanego: ochrzczone synagogi, rodzaj architektonicznych Maranów, które po kryjomu zachowały tchnienie swego pierwotnego charakteru. Ale teraz stanowi dla mnie przeżycie pełne sugestywnej mocy: mój spojrzec w twarz twój legendarny przytępnym. Jeszcze dziś jest na nich pólask dawniej piękności i są mi poselstwem błogosławionego okresu w przeszłości mego rodu. Na ich widok ogarnia mnie to samo jakby pozasobowe uczucie, które zbudził we mnie widok Muru Placzu w Jerozolimie i Łuku Tytusa w Rzymie. „Smutek tysiąca pokoleń”, jak mówi poeta żydowski. Te synagogi padły ofiarą najharmowniejszej z wojen, wojny religijnej. Niegdyś były to stolice pobożności, świątynie życia w Bogu; najintensywniejszej umysłowości; tu radowały się szczęśliwe pokolenia, ku Bogu unoszące dusze pełne wdzięczności.

Teraz stoją te świątynie ciche i nieme, w niewysłownym smutku spowite, przedmiot ciekawości natrętnych turystów. Stoję tu i dumam: dlaczego musiało zagać to kwitnące życie? Dlaczego musiało błogosławieństwo zamienić się w przekleństwo? Jest nn jakby plumiennie znaki pytania sterczały ku mnie z tych umarłych miejsc, niepokojące i gnębzące. Te nagie ściany zdają się wołać ku mnie oskarżeniem Psalmisty: „Panie, oni zanieczyścili Twój święty przybytek a ciała sług Twoich rzucili ptakom niebieskim na pożarcie” (*Ps* 79, 2). Z żydowskimi dzielnicami Toleda (i Andaluzji) zburzono Jerozolimę niejako po raz trzeci. Ale ja nie stoję tu przed Murem Placzu ani przed ruinami lub martwymi gruzami. Jakby cudem wyszły te synagogi całe ze wszystkich zniszczeń i jest jakby mimo swoje tragiczne opuszczenie żyły dalej życiem własnym, zapełnione inrocznymi wspomnieniami inkwizycji.

Świątynie te opowiadają o względnie szczęśliwym okresie w dziejach Izraela na Półwyspie Pirenejskim. Pod opieką wielkodusznych i życzyliwych władców zdolali Żydzi przez cztery prawie wieki przyczynić się znacznie do kulturalnego i ekonomicznego rozwoju Kastylii, rozwijając przy tym w pełni swobodę swą religijną i duchową kulturę do imponującej wysokości. Dali temu krajowi cenionych lekarzy, swiatłych polityków i finansistów. Królowie i książęta Kościoła mieli swych żydowskich lekarzy przybywczych, których nieraz mianowano mistrzami i wezyrami. Pod rządami Alfonsa VIII Szlachetnego doszła gmina żydowska do szczytu potęgi. Pod jego łagodnymi rządami zbudowano prawdopodobnie białą świątynię (starszą z obu synagog toledańskich). Niejeden nabożny i uczony Żyd uzyskał pod jego panowaniem godność ministra albo dyplomaty, między innymi Ibn-Szoszan i Alfachar. Jego łagodność świeciła przykładem i stwarzała mimo zaciętego oporu Kościoła i zakorzenionych przesądów ogółu atmosferę religijnej tolerancji i obywatelskiej solidarności. Historia Toleda zapisuje taki rzadki, może jedyny w swoim rodzaju. Gdy wojska francuskie, które w 1212 roku przybyły do Kastylii, by brać udział w walkach z Islamem, chciały się rzucić na Żydów Toleda, uzbunili się chrześcijańscy rycerze miasta, by bronić swoich ziomków przeciw obcym. Piękna Żydówka Rachela (Irmosa) podbiła też podobno serce Alfonsa VIII. Romans ten skończył się w roku 1180 tragicznie, bo Rachela, a razem z nią wielu znakomych Żydów Toleda, zamordował tłum podburzony przez

stronników rozgniewanej królowej. Piękna Rachel żyje dalej w legendzie i poezji. Lope de Vega, a za jego wzorem Grillparzer, udrumatacyli ją tragicznie los. W tych dramatach spotykamy wiele z owych znanych argumentów, które i w ówczesnym Toledo przytaczano za i przeciw Żydom. U Grillparzera wyraża król Alfons w rozmowie z dworzaninem Garcerańem swój szacunek dla żydowskich poddanych: widzi w nich ludzi, których uzlaşcha prastara religijna tradycja:

*Jest przy tym coś wielkiego, Garcerańe,
w tym pokoleniu wędrownych pasterzy.
Myśm do dziś, ale ich pamięć sięga
kolebki świata, w czasie, kiedy Pan
na kształt człowieka się przechadzał w raju,
gdy archaniołów gościł patriarcha
a sąd sprawował jeden tylko Bóg.*

(Żydówka z Toledo)

I Alfons X Mądry miał wielki szacunek dla żydowskiej nauki i wierności tradycji. Był to wielkoduszny władca, który otaczał się uczonymi i mędrcaami bez różnicy wyznania. Zamiłowany szczególnie w astronomii polecił kantorowi synagogi w Toledo, Don Zag Ibn-Sajdowi, uczonemu astronomowi, wziąć udział w wypracowaniu tablic astronomicznych, które pod nazwą tablic alfonsyjskich przeszły do potomności. Pod jego opieką mogły czynne w Toledo szkoły tłumaczy rozszerzyć swoją działalność. Tłumaczenia z arabskiego na hebrajski, łacinę i język hiszpański nabyły szerokiej sławy. Istniał między innymi żydowski tłumacz Marek z Toledo, który przez swój przekład medycznej rozprawy Galena *De tactu Pulsu* z arabskiego na łacinę uprzysięgnął ją Zachodowi. Toledo miało onego czasu wielką gminę żydowską, która według pewnych źródeł liczyła prawie 70 000 członków. Miasto to było wówczas schroniskiem dla żydowskich uchodźców z Andaluzji, której władcy, fanatyczni Almohadzi, w przeciwieństwie do kulturalnych Maurów, nie znosili w swym kraju obcego wyznania. Będąc od stuleci ośrodkiem intensywnego duchowego życia zawiadywała ta gmina imponującym kulturalnym dziedzictwem. Z łona jej wyszły osobistości twórcze, których pamięć żyje po dziś dzień wśród nas.

Podczas moich wędrówek po Judei Toledo przeżywam w duchu świetlane rozdziały literatury hebrajskiej. Uczeni, talmudyści, filozofowie religii, poeci liturgiczni, gramatycy i objaśniacze *Biblij* zapisywali tu nowe karty tysiącletniej księgi pobihilnej literatury. Tu czuje bliskość Abrahama Ibn Esra (1092-1167), którego postać wznosi się samotnie spośród tłumu. Była to dusza płomienna, jeden z najbardziej zdolnych i najrozleglejszych umysłów owego czasu o uznanej wszechstronności i płodności. Była to natura cygańska i niestala, szukająca dusza. Bez ukojenia, wciąż łaknąc życia, wędrował po świecie przeżywając i tworząc jako fantazyjny pełen poeta, myśliciel, objaśniacz *Biblij*, gramatyk, astronom i naukowiec podróżnik w jednej osobie. Pod pewnym zewnętrznym względem jest mu Toledańczyk Jehuda al Charizi (środek XIII wieku) pokrewny; i ten również natura cygańska i niespokojny podróżnik po świecie, pierwszy wybitny świecki poeta w języku hebrajskim, który w swym poemacie prozą *Tachkemoni* i w swej udatnej przeróbce *Makamenu* Hariniego, mieszaninie epopei i dramatu oraz w żartobliwych, miłosnych i odczuwających pieśniach usiłował dać świętemu językowi biblijnemu charakter świecki.

Wysoko ponad wszystkich wznosi się Jehuda Halewi, który w tym mieście urodził się i wychował (1085-1140). Od niego dziecinista

uczono mnie spoglądać ku niemu jako ku jednej z największych postaci żydostwa w diasporze. Z dziecinnym nabożeństwem słuchając co roku dziewiątego dnia miesiąca Ab jego nieśmiertelnej *Syjonidy*: „Syjonie, czy nie pytasz o zdrowie niewolników twoich?”. Z zachwytem i ochotą do przgłód czytałem jego potężne pieśni morskie, te malownicze i plastyczne opisy życia na morzu, które mój umysł młodzieńczy wprowadzały w świat marzeń. Z napięciem słuchałem opowiadań o jego romantycznym życiu i legendarnej



Kunegunda Jezowska, Aleksandra i Feliks Tytusowie: *Rabin ze swoim Tori*
i uczni, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmatula

śmierci; o awanturniczych wędrówkach odczuwającego młodzieńca, o niewidzianej sławie marzycielskiego poety, który był zarazem bardzo wziętym lekarzem Toledo — i o religijnej odnowie dorzącego już mężczyzny, która dała jego poezji nową treść, a życiu zwrot łatały. W pięćdziesiątym roku życia ogarnia go niepokoskromiona tęsknota do Boga i wiecznych wartości życiowych. Tęsknota ta pochodzi nie tylko z pobudek religijno-narodowych, jest ona też częścią jego osobistego losu. Znikome uciechy napelniają go wstrętem. Ogarnął go nastrój pokutniczy. Przygniata go jakiś ciężar, z którego oswobodzić się nie zdola. Jest jakiś ciemny punkt w jego przeszłości, który zmęczyć pragnie. (Nie zwrócić uwagi na osobiste aluzje w jego pieśniach syjonjskich. Ofra, której poświęcił swe najkochańsze pieśni miłosne, nie była widocznie tylko literacką fikcją. „Odczuwam lęk przed grzechami młodości... Moja dusza i krew

wydane są na grzech". Poeta wspomina też wielokrotnie o, związanym z pielgrzymką, „ślubie”). Jego tęsknota za Syjonem jest żydowska i osobista zarazem: Żyd czuje się bezdomny i tęskni za świętą siedzibą swego początku, człowiek czuje się skałany i pragnie powrotu do wewnętrznej czystości, bliskości Boga. Wyrusza na niepewne losy, by odnaleźć żydostwo swe i siebie. To jest syjonizm przeżyty, nie program partyjny, lecz najgłębsza sprawa osobista. W tragicznym osamotnieniu kroczy po skalnych wyżynach Toleda ze wzrokiem w tę dal pustynną utkwiłonym i żegna świat, w którym był dotychczas. Opuściła rodzinę i przyjaciół, towarzyszy i uczniów, by szukać Wiecznego Miasta:

*...kedy Majestat Boga tak ci bliski,
kedy naprzeciw niebiańskiej bramy
Bóg Swoje bramy otworzył.*

Jego podróż podobna jest do tryumfalnego pochodu narodowego bohatera. Od Kordowy do Aleksandrii czczono go jako największego poety diaspory. Ale była to podróż ku śmierci. Jego śmierć opromienia legenda. Przed bramami Jeruzolimy miał go jakiś saraceński jeździec powalić. Ze słowami swej *Syjonidy* na ustach wyznała swą oczyszczoną duszę:

Teraz przechodzę ulicami Toleda, gdzie Jehuda Halewi marzył i gdzie dusza jego dostała skrzydeł. Tutaj odczuwać jego postać prawie cielesnie. Jego poezje stają mi się tu pełne życia. Rozumiem teraz nieden ciemny rys w nowohebrajskiej literaturze. Nie lekceważę wcale filologicznych metod w historii literatury, ale co do mnie wolę pójść w kraj poety, by go zestawić z krajobrazem, w którym wzrósł, z ulicami, przez które kroczył, z powietrzem, którym oddychał z niebem, które się nad nim sklepiło. Tu widzę go w tym organicznym związku, w którym tworzył i żył, poznając człowieka w pocie. Tu odnajduję coś z tego żywego rytmu, który mi pozwala wewnętrzny i zewnętrzny rytm jego poezji lepiej rozumieć. Na tych dalekich od świata wzgórzach, które tak żywo przypominają wzgórza dookoła Jeruzolimy, naszło coś z biblijnego natchnienia tego późno urodzonego psalmisty. Tak jego poezja, jak i osobistość mają w sobie coś pierwotnego, biblijnego, rzec można palestyńskiego. Bardziej niż którykolwiek inny pobliżny poeta był on starym śpiewakiem i wieszcom pokrewnym. W wieku dojrzałym czyni on przez swą naiwną pobożność i prymitywne poczucie rodowe wrażenie jakby Izraelity z Kanaanu. Skroś przez panującą obrzędową spekulację i formułkową religijność, które obie tak są dla ówczesnej gminy toledańskiej znamiennie, odnalazł drogę do czystych źródeł, do bezpośredniego biblijnego przeżycia Boga. Ten prawdziwie psalmowy jest w jego słowach, gdy śpiewa:

*Twojej bliskości szukam wciąż
wolam Cię z duszy całej;
gdym wyszedł Tobie naprzeciw
byłeś na drodze do mnie.*

Współczesny Halewiemu poeta i filozof Józef Ibn-Zaddik z Kordowy określił trafnie jego znaczenie mówiąc, że jest to „ojciec pieśni, jak gdyby urodzony z Debory”. Od tego czasu śpiewało trzydzieści pokoleń żydowskich we wszystkich częściach diaspory liturgiczne pieśni Halewego i ślawiło majestat Boży jego słowami. Dusza Izraela żyje w jego pieśniach. Czysty duch *Tory* unosi się nad jego filozoficzną księgą wyznani *Kusari*. Ten psalmista i wieszcz zarazem, prorok biblijny wśród pogrobowców i obcego świata, tęsknił całą swoją nabożną duszą z ziemi Edomu do Bożego Syjonu. Cały swój

rozbrat wewnętrzny ujął on w owe nie zrównane słowa, które osiemset lat potem przyswoił sobie mutatis mutandis żydowsko-szwedzki poeta Oskar Levertin:

*Me serce jest na Wschodzie
ja sam na krańcach Zachodu.*

Z tak bogatego i szczęśliwego życia wyrósł synagogi Toleda jako wyraz żarliwej religijności i wyczyn dążący do umysłowości. Jest rzeczą wysoce budującą bawić w tych murach. Te świątynie to świetlane pomniki subtelnej sztuki budowniczej Hiszpanii w XII i XIII stuleciu, owego ze szczęśliwego zespolenia wschodniego i zachodniego poczucia piękna wynikłego mudejarskiego stylu. A zarazem opowiadają one o szeroko rozgalezionym życiu religijnym, które ujawniło się na zawsze w szlachetnym polocie kolumn i wymownym uroku tych ornamentów.

4.

Małym niepozornym dziedzicem zachodzi się do białej synagogi Santa Maria la Blanca, najpiękniejszej, jaką od czasu zburzenia świątyni w budowano. Powstała przypuszczalnie z początku XIII wieku, jest jedną z najstarszych synagog, które aż po nasze czasy się zachowały. Widok jej zdumiewa w najwyższym stopniu. Białe Dom Boży, nie jak jasność i biel, cały jasniący i uśmiechnięty jak Zwiastowanie i jak Pozdrowienie Ogowskie. W żadnej jeszcze świątyni nie odczułem boskości i wieczności tak bezpośrednio, jak tu wobec tych białych jasniących kolumn. Radości pełne wesele w Bogu przemawia z tej siedziby. Te kolumny to tryumfalne hymny do wszechobecnego Boga, to ramiona wyciągnięte z ufnosć do rozemnianego nieba, które nie jest wrogiem ziemi. Tu znajduje się całkowite przeciwieństwo owej lek budzącej surowości i ponurej tęczy katedr. Tu jest wszystko światłem, radością bytu i ufnosć dziecięcą. Nic innego nie zdobi tego Domu Bożego jak ta jasność promienna, która światło swe w sobie samej nosić się zdaje i jest jakby odbłaskiem Wiecznej Lampy nad Arką Przymierza, w której spoczywały kiedyś zwoje *Tory*. Żywa religijność i radośna bojaźń Boga stworzyła tę świątynię. Jest mi jakby z wszystkich kątów brzmiał ku mnie psalm: „Słuzcie Bogu radośnie, stawajcie przed Nim ze śpiewem dziękczynnym”. Zatonięty we wspomnieniach stoję przed tymi białymi kolumnami. Spojrzenie odwróciło się w czas minione. Aż niespodziewanie przypomina mi otoczenie, że to już nie świątynia, a osobliwość do zwiedzania. Dookoła brzęczy i szumi nie od uzmodłonej gminy, lecz od sensacji żądnych turystów i skrzętnych przewodników. Iluzja przysła całkiem, gdy wzrok dojrzał nagle tablicę z następującym napisem: „Este edificio fue sinagoga hasta los años de 1405, en que se consagró la iglesia con título de Santa Maria la Blanca” (Budowla ta była synagogą aż do roku 1405, w którym ją poświęcono na kościół pod nazwą Santa Maria la Blanca). Odtąd przeszła ta synagoga dzwinnę losy. Była na przemian azyłem dla pokutujących dziewcząt, klasztorem, kasarnią piechoty (1791) i składem uniformów wojskowych. Dziwić się należy zdumiewającej wytrzymałości tej budowli, że wśród tak zmiennych losów zdołała zachować tak swe architektoniczne piękno, jak i swój pierwotny charakter.

Druga synagoga, El Transito, przeszła podobne losy. Świątynia ta, jeden z najlepiej zachowanych zabytków hiszpańskiej sztuki budowniczej XIV wieku, zbudowana została w roku 1357 na zamówienie Samuela Lewiego, późniejszego ministra finansów Piotra Okrutnego. Graniczyła z jego okazałym prywatnym pałacem, który potem pod nazwą Casa del Greco pozostął światową sławę. Samuel Lewi, potomek pobożnej i uczonej rodziny toledańskiej Abulafia, miał

tragiczne losy życiowe (które przypominają Żyda Suessa). Był pewnie rys bohatera w jego napięciu pełnym życia i jego tragicznej śmierci. Był to widocznie geniusz finansowy, a król Piotr, który sprzyjał Żydom, obdarzał go bezgranicznym zaufaniem. Był on szczerze oddanym synem Hiszpanii i wiernym sługą króla i kraju i zdołał zachwycić finansie Kastylii doprowadzić do ładu. Jedynym jego błędem było, że mu się to za dobrze wiodło. Po dziesiątkach lat wierniejszej służby dla króla i kraju popadł pewnego dnia w niełaskę i został w więzieniu sewilskim zamęczony przez katów królewskich na śmierć. Zdarzenie to wywołało niesłychane przerażenie u Żydów, nie



Kunegunda Jerowska. Aleksandra i Feliks Tylistowie. *Do synagogi*, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmatla.

zdołało jednak zamącić dobrego stosunku między królem a żydowskimi gminami. Jego współcześni starali się oczyścić jego imię i wypisali na jego kamieniu grobowym następujące słowa, dowodzące równie panowania nad sobą jak i poddania się woli Bożej: „Samuel ben Meir, wypróbowany w sprawiedliwości, który nigdy nie zboczył z drogi Bożej, został przez Pana odwołany z więzienia, w którym król go ukarać kazał, do niebieskiego mieszkania”.

Przechodząc pobieżnie przez resztki domu mieszkalki Lewiego nabiera się wyobrażenia o słonecznym i spokojnym życiu rodzinnym, które ten wszechmocny, pobożny i bogobojny mąż pośród tych cichych murów prowadził. Z górnego tarasu domu roztacza się uroczy widok na daleki skalny krajobraz Toleda. Cudowne patio (wewnętrzny dziedziniec) ze swymi cienistymi siedzeniami opowiada o zbożnych godzinach, które tu miały na łonie rodziny albo o rozmowach z mądrymi i nabożnymi ludźmi. Tutaj był dom świętości, życie i wiara stanowiły jedność. Dom znalazł swoje naturalne uzupełnienie w przyległej świątyni. Z patio prowadził wewnętrzny korytarz wprost do synagogi. Była ona właściwym dziełem życia nieszczęśliwego męża stanu. Ni to ostatni odbłask świetlanych i szczęśliwych czasów stoi ta jaśniejąca nigdyś świątynia. Coś tragicznego leży w jej bladej powłoki. Wchodzi się do wnętrza pełnego wzniosłej prostoty. Jest ono wielkie jakby obejmowało świat, pełne Boga. Już na pierwsze wejście ma się to samo uczucie, co Jakub budzący się w Beth El: „To jest dom Boży i to jest brama do nieba!” Fantazja i moc twórcza dały temu wnętrzu niezmiernie piękno, którego wrogie mroki stuleci nie zdołały zniszczyć. Po raz pierwszy użyto tu liter hebrajskich na ornament ścienny.

Zwycięsko jaśniejąca przebiegła arabeski (właściwie: hebraeski) pnące się tu wzdłuż ścian na kształt roślin niezniszczalnie żywotnych. Jakąś cudowną moc posiada ten język! Te hebrajskie słowa psalmowe przetrwały inkwizycję i prześladowania, teraz jak i dawniej promieniują swym cichym światłem. Samotne i opuszczone, mroźne i poniechane, obce iemu otoczeniu, żyją swym własnym życiem przez stulecia, niezwykłe i niepokonalne. Przechodzę z jednego kąta świątyni do drugiego i sylabizuję ten tryumfalny tekst. Jest to *Psalm 84*, którego natchnione słowa mówią z tej siedziby: „Moja dusza tęskni i łaknie za ogrodami Pana, serce me i ciało wesela się naprzeciw żywego Boga”. Ujawnia mi się to, co było wspólne w podstawowym nastroju religijnym owych pokoleń. Poznaje znowu ową radosną wesele w Bogu, które promieniało ku mnie z białej synagogi. I to, co tam znalazło swój wyraz w świetlanej bieli wnętrza, to wypowiada tu ścienny ornament tych słów psalmowych. Ni to pobudka działała te psalmy w tym miejscu wymarłym, podobnym do owej doliny suchych kości, którą zwiadał nigdyś Ezechiel. I pytanie proroka przechodzi na moje usta: „Synu człowieczy, czy kiedyś ożyją znowu te kości?”

5.

Wędruję w Granadzie przez średniowieczną Judęję, jedną z najstarszych i najbardziej malowniczych części tego miasta. Okreslenie Juderia ma tu jak i w innych andaluzyjskich i kastyljskich miastach czysto historyczne znaczenie. Od końca XV wieku żaden Żyd już w stronach tych nie mieszkał. Gminy żydowskie istnieją teraz tylko w Madrycie i Barcelonie. Historyczna dzielnica żydowska Granady leży poza obrębem nowego miasta u stóp wyżyny Albambry. Dźwięnie pokrzywione i zafalane uliczki o małych pobielanych domkach, wtulonych w wonne zielone ogrody, opowiadają o kwitającym życiu umysłowym, o dzwinnych losach, o wzlocie i upadku. Żydzi należeli do najdawniejszej ludności Granady, a pierwsze ich gromady wysłał już przypuszczalnie Tytus Wespazjan po zburzeniu Jerozolimy w roku 70 po Chrystusie. Wraz z dynastiami panującymi, w których posiadanie przechodziło kolejno to nieszczęsne miasto, zmieniały się i ich losy. Dopiero pod wielkoduszny rządami Maurów zaczyna się los dzielnicy żydowskiej w Granadzie nieco wyjaśniać. W zgodnej współpracy kulturalnej z Arabami, przy wzajemnym udziale obu stron, rozwija się tu, tak jak i w innych żydowskich gminach Kastylii i Andaluzji, niesłychanie owocna i wszechstronna praca kulturalna. Poeci, religijni zwiastnicy, badacze języków i tłumacze pośredniczący między wschodnią a europejską kulturą wnieśli w czasie tych świetlanych wieków duchowy gmach o imponujących rozmiarach, który wpłynął potem widome na kulturę Zachodu. Klasyczny język hebrajski, badania biblijne i filozofia religijna dożywają nowego rozkwitu. Poezja hebrajska budzi się znowu do życia, nad brzegami Taja i Guadalquiviru powstają nowe psalmy. Jednym z ośrodków tego religijnego zmartwychwstania była Granada. Po upadku Kordowy (1256) znajdowała się tu wewnątrz tych murów! Tutaj pisał Mojżesz Ibn Esra, poprzednik i odkrywca Jehuda Halewego, swoje *Selichot* (*Pieśni pokutne*). Tutaj rezydował około roku 1000 owi Rabbi Samuel Ibn-Nagrela (Hanagid), którego legendarny żywot zakręcał nigdyś tak żywo moja fantazja dziecienna. Ale szczęście jego domu nie było długotrwałe. Jego syn i następca Jówel ha-Nagid został w roku 1067 razem z najbardziej poważanymi przywódcami gminy żydowskiej okrutnie zamordowany. Pewien poeta arabski, Abu Isaac de Atwira, stworzył podobno swymi wierszami ten nastroj pogromowy. W trzy miesiące po swoim wejściu do Albambry podpisał Ferdynand i Izabela w „Sala de los Embajadores” ów fatalny dekret, którym wypędzono Żydów „bezwrotnie” z Hiszpanii. Rozpoczyna się ciemny rozdział światowych dziejów: inkwizycja, auto-da-fé, krwawe walki z Moryskami (kryptomuzułmanami) i zarazem zmierzch, nędza, upadek...

6.

Podróżując przez Hiszpanię jedzie się przez ważny rozdział dziejów świata. Jest się tu prawie wszędzie na ziemi historii żydowskiej, bo osiedla żydowskie rozciągają się na cały kraj. Prawie każde miasto ma swą Juderę, a te stare ulice żydowskie są obecnie przedmiotem szczególnej uwagi historyków hiszpańskiej kultury. Wydobywa się w ostatnich czasach coraz to więcej pomników życia i pracy żydowskiej na światło dzienne. Wszędzie tu otaczają mnie wielkie i budzące wspomnienia: Lucena, wybitne miasto żydowskie w XX wieku, tu była sławna szkoła talmudyczna, którą kierował Izaak Alfarsi, a której uczniem miał być także Jehuda Halewi. Sewilla, pełna żydowskich pomników i pamiątek, które leżą po części przechowane w archiwach. Tu znajduje się jeszcze klucz, który Żydzi tego miasta wręczyli królowi Ferdynandowi, zdobywcy Sewilli, gdy w roku 1248 odbył swój wjazd do miasta. Na kluczu wyrzeźbione są po hiszpańsku i po hebrajsku słowa „Dios abirra. Rey entrara” (Bóg otwiera bramę, król wchodzi). Ferdynand był to król-ojciec, dobroliwy i tolerancyjny. Zyczył on sobie pomnika ozdobionego napisami w językach wszystkich społeczności religijnych, które pod berłem swoim połączył. Dziś został z czterech tekstów: arabskiego, kastylskiego, łacińskiego i hebrajskiego tylko hebrajski. Pomnik ten grobowy donosi w języku psalmistów i proroków o szlachetnej duszy tego króla i jest pięknym pomnikiem okresu religijnej zgody i owocnej współpracy.

7.

Przeżyłem budujące godziny w hiszpańskich dzielnicach żydowskich. Są one świadectwem religijnej mocy twórczej Izraela, która na Starym Testamencie się nie skończyła. Opowiadają potomności o religijnym bohaterstwie, które należy do najbardziej jasniejących zjawisk dziejów religii. Przez wieki prowadziła tu mała wspólnota bohaterską walkę o duchowe wartości. Te pokolenia poświęciły wszystko: bogactwo i przepych, szczęście i życie, ale nie sprzeniewierzyły się wierze ojców swoich. Te hiszpańskie dzielnice żydowskie pokazują nam obraz żywotnego żydostwa, mocnego w wierze, dzielnego w boju. Tworzyło ono bez przerwy nowe wartości religijne, ale zarazem zrosło się z nową ojczyzną, jej mową i kulturą. Żydowsko-mauretańskie współżycie w Hiszpanii to pouczający rozdział dziejów, nie pozbawiony aktualności. Dowodzi on, że zgodne współżycie narodów i religii lepsze jest niż rozbić i że nie ma większego błogosławieństwa nad zgodliwość. Udawam się do żydowskich dzielnic Hiszpanii jak się udaje na cmentarz, aby bawić nabożnie u grobów ojców. Ale te groby promieniają żywym życiem i dają przychodzącemu siłę i otuchę. Treści i sił przybywa po tej wędrowce przez te zniknione światy i ze zdumieniem stwierdza się, że cmentarze te nie są siedzibą śmierci, że nowe życie zakwita z tych ruin.

Marek Ehrenpreis

Twórczość literacka Marka Ehrenpreisa, pisarza żydowskiego z sefardyjskiej rodziny o mieszanym pochodzeniu hiszpańsko-niemiecko-polskim, należy do czołowych osiągnięć żydowskiej, świeckiej esejistyki dwudziestolecia międzywojennego. Dość powiedzieć, że w Niemczech porównywano Ehrenpreisa z Martinem Buberem. Esaj zatytułowany *Przez ulice żydowskie Środkowoczechy* ukazuje życie i los gmin sefardyjskich w Hiszpanii przed pogromami i wygnaniem, w wyniku którego znaleźli się oni w Niemczech i w Niderlandach, a potem w większości w Polsce, zwłaszcza na jej króćach wschodnich i zachodnich. W Hiszpanii Środkowoczechy tkwili w pewnej mierze korzenie polskich Żydów sefardyjskich. Esaj pochodzi ze świetnej, głośnej książki Ehrenpreisa, dziś niestety zapomnianej zupełnie. Nosi ona tytuł: *Kraj między Hachodem a Zuhodem. Podróż: Żydo do Hiszpanii* — poprzedzona listem Alfonsa Paqueta do autora, ze znakomitymi ilustracjami Gunnara Lindvala, ukazała się w roku 1930 czcionkami Drukarni W.L. Anazyca (krakowskiej), nakładem Wydawnictwa Księgarni Mariana Hasklera, Stanisławów-Warszawa. O powodzeniu tego tomu esajów świadczy przekłady na język szwedzki, niemiecki, francuski i holenderski w latach międzywojennych. W tekście zachowano oryginalną składnię polszczyzny Ehrenpreisa, niekiedy zmiany dotyczą wyłącznie uwspółcześnienia pisowni. Wybór i opracowanie: Paweł Hejmatycki.

HALINA BIRENBAUM

W naszym pokoju w getcie

W naszym pokoju w getcie na Muranowskiej 7/9
były dwa materace ocalale z pożaru
i tapczan, który dostaliśmy
Wraz ze stołem i czterema krzesłami
Od przyjaciółki
Musiała opuścić swe piękne mieszkanie
W dzielnicy dozwolonej wyłącznie dla aryjczyków.
Rozproszyla swe mienie wśród znajomych w getcie
(U nas spaliło się wszystko wraz z domem we wrześniu)
Rodzice zorganizowali jakoś nasz byt
Mama wynajdywała „przysmarki” robione z niczego
Gotowała na glinianej kuchence
Obok tych materiałów
Wydzielała je potem całej rodzinie
Ojciec, mama i dwaj moi bracia zasiadali przy stole
Dla mnie nie było piętego krzesła
Mama sadzała mnie na podnóżku w kąciaku
Bo „ty jesteś najmłodsza”
Pouczala —

W ciągu dwuletniego zamknięcia w getcie warszawskim
Jadłam na tym podnóżku, nigdy przy stole
W miarę, gdy było co jeść...

Dzisiaj wspominam to z miłością i bólem
Bo tylko ja — i wspomnienie zostało.

1982

Biada temu kto się zbliży

Ręka nie jest w stanie dotknąć papieru
pióro odpycha —
Jestem pusta, przerażona
nie mam ucieczki od samej siebie
żadne miejsce nie zmieni mojego stanu
Jestem uwieczniona w swych łękach
smutek rozlokował się we mnie i ssie jak pijawka

śmierć, której dotknęłam na Majdanku
ściga mnie teraz.

Rozbudziłam ją bez namysłu
okazałam się naiwna, czy głupia —
Nie wiedziałam, nie pojmowałam czym jest grób nie wykopany
i cień śmierci zaczajony w baraku Majdanka!

Grób zawieszony w przestworzu
niewidoczny dla ludzkiego oka, ale
biada temu, kto się zbliży
kto uświadomi sobie jego ogrom i głębię!

Biada temu, komu objawi się jego nieskończoność!
— A ja odważyłam się stanąć przed nim gola i mała,
wstrząsnąć pajęczynę śmierci, wdążyć się w jej pozorny sen —
Już nie wybaczy bezcelności jednej, takiej,
która się wmknęła

i dotknęła ścieżek jej królestwa.
Długie są jej szpony, bezkresna jej potęga
choć obrosła tam pleśnią i zatonęła w ciszy
Wreszcie zrozumiałam to — odczułam, po czterdziestu latach...
— Biada temu, kto rozbudzi śmierć.

30.8.86

Moje życie rozpoczęło się od końca...

Życie moje rozpoczęło się od końca
najpierw poznałam śmierć,
potem — rodzenie
rosłam wśród nienawiści, w królestwie burzenia
a dopiero potem poznałam tworzenie
oddychałam ciemnością, pożarem, wędnięciem uczuć
to była atmosfera dzieciństwa
a dopiero potem ujrzałam światło
dopiero potem ujrzałam kwitnienie.
O miłości wiedziałam zawsze
nawet gdy było gorzej niż strasznie!
Nawet w piekle istniała! Spotkałam ją.
Moje życie rozpoczęło się od końca i dopiero potem
wróciło do początku. Zmartwychwstałam.
Nie było to daremne, nie było daremne,
dlatego że dobro — jest nie mniej potężne od zła
Również we mnie jest siła
Jestem dowodem.

25.02.83

Wszystko wydaje mi się chwilowe

Wszystko wydaje mi się chwilowe,
powtarzalne i mijające,
wszystko wydaje mi się przypadkowe
uboczne, powiązane ze mną — i nie tyczące mnie...
Rzeczy wynikają nie z mojej woli, nakładają się na mnie
nie według mej miary, mojego smaku.
— Nic nie jest trwałe, konsekwentne
ale trwa lata długie
— dni i noce niezliczone
życie cale!...

2.2.83

Numer na moim ramieniu

Chciałam napisać
o numerze wyrytym
na ramieniu — mój dowód osobisty z Oświęcimia,
On jest w moim miesiącu,
od czterdziestu lat. Nie zbladł, nie wypłowił,
żadna cyfra się nie wymazała,
jakbym go miała od urodzenia...
Ale czasem, gdy zwraca uwagę
i spoglądają na mnie — niewygodnie mi —
płoszę się...
Nie lubię być w centrum uwagi
Chwytać spojrzenia badające, ciekawskie, zgadujące
To bardzo mi przeszkadza
W chwilach takich pytań kłopotliwych, pełnych politowania,
zainteresowania wysokością
odškodowania opłacanego przez Niemców...
Pragnę, żeby zawsze panowała zima
Wtedy wszystko zakrywają długie rękawy.

18.12.83

Halina Birenbaum

HALINA BIRENBAUM, poetka i prozaik, ur. w 1929 r. w Warszawie. W czasie okupacji więziona w obozach koncentracyjnych na Majdanku, w Oświęcimiu i Neustad-Gröbe. Przetrwała jako jedyna z całej rodziny. W 1947 r. wyjechała na stałe do Izraela. W 1967 r. „Czytelnik” wydał jej powieść pt. *Nadzieja umiera ostatnia*.

Zniszczenie „wertepowego” świata

O trzech powieściach Leopolda Buczkowskiego

Proza zmarłego przed kilkoma miesiącami Leopolda Buczkowskiego to jedno z ciekawszych i trudniejszych zjawisk powojennej literatury. Niewspółmiernie do znaczenia tej twórczości był jej rezonans czytelnicy i krytyczny. Powód takiego stanu rzeczy to nie tylko „opór konwencji”, zwłaszcza narracyjnej, ale także tematyka. Szeroko stosowany przez Buczkowskiego eksperyment w tworzeniu powieściowym sprawia, że proza ta nie podlega typowym sposobom i środkom analizy krytycznoliterackiej. Stąd też głosy krytyki, pojawiające się okazjonalnie, po ukazaniu się kolejnych książek, ujawniają kłopoty w interpretacji i wartościowaniu. Włodzimierz Maciąg napisał na początku lat sześćdziesiątych, że *Leopold Buczkowski pełni w gąbłach obserwacyjnych naszej krytyki dość osobliwą rolę: jest dziwadłem. Wszystkich pisarzy współczesnych dało się jakoś stopniowo uporządkować, pookreślać, odnaleźć ich parantele i zależności, tradycje, jaka ich żywi. Buczkowski jest pod tym względem chyba najbardziej oporny*¹.

Krytyka na przestrzeni ostatnich bez mała 40 lat ujawniała wiele postaw od negacji do pełnej aprobaty dla nowatorstwa powieści Buczkowskiego, często bez ich dogłębnego zrozumienia. Począwszy od lat siedemdziesiątych uwaga krytyki koncentruje się wokół technik narracyjnych stosowanych przez Buczkowskiego. Pojawiały się opracowania analizujące zasięg i metody stosowanego przez autora eksperymentu powieściowego. Prace Stanisława Barańczaka, Bogdana Owczarka, Ryszarda Nycza, Marii Idzikówny, czy Zygmunta Trzaski stanowią próbę pogłębionej analizy tej twórczości. Jakiekolwiek jednak odkryjemy w powieściach Buczkowskiego techniki narracyjne, nieodparte ujrani się przyczyna ich zastosowania. Jest nią ciągle poszukiwanie właściwego sposobu opisu rzeczywistości, która ulega daleko idącym przeobrażeniom. Przetworzona w psychice, pamięci i wyobraźni autora zaowocowała takim właśnie kształtem prozy.

Świat przed zagładą

Pierwszą powieścią Leopolda Buczkowskiego są *Wertepy* napisane przed wojną w okresie od wiosny 1936 do zimy 1937 roku, drukowane dopiero w r. 1947. Przynosią one obraz wsł podolskiej sprzeczki II wojny światowej. Jest to panorama życia i obyczajów, pełna intensywności i koloru. Świat opisany w tej powieści przestanie istnieć w kolejnych utworach Buczkowskiego. Zostanie rozbity, a jego szczątki, zinteryoryzowane w psychice i pamięci autora i narratorów, zmuszą czytelnika do jego częściowej rekonstrukcji.

gdyż całkowita nie będzie możliwa już nigdy. Nie zmieniony pozostanie tylko jeden element — wspólna przestrzeń *Wertepów*, *Czarnego poloku* i *Pierwszej świetności*.

W *Wertepach* przedstawiona została społeczność Dolinoszczępskiej, Zaserecia, Hrynówki, Gontarskiej, Szabasowej Doliny i innych wiosek pogranicza polsko-ruskiego. Buczkowski, urodzony na Podolu i niezwykle do tej ziemi przywiązany, swoje zafascynowanie przenosi na narratora powieści, obdarzając go widzeniem ejdetycznym. Tę ogromną plastyczność widzenia ludzi i zjawisk odbiera czytelnik wchodzący w „wertepowy” świat pogranicza.

*Rzeka Bug brała tu swój początek, wypływając nie opodal zabudowań Buczkowskich. Seret, Siorla, Ikwa, Horyn to nazwy rzek i rzeczek, które tu płynęły. Wokół podolski czarnoziem, bardzo tłusta ziemia. Rosły melony, morele. Z powodu silnego nasłonecznienia stoków — klimat całkiem śródziemnomorski. Przyjeżdżający w te strony twierdzili, że jest to jedyne tego rodzaju miejsce na świecie*².

Obserwację życia w *Wertepach* od ogółu do szczegółu narzuca topografia tego terenu z jego tarasowością. Pozwala na widzenie dokładne i jednocześnie. W statycznym krajobrazie na tle przyrody jeszcze uśpionej rozpoczyna się akcja powieści. Narracja od prezentacji nieruchomego obrazu zasypanej śniegiem wsi zwiększa swą dynamikę. Swoim tokiem przypominać zaczyna rwący, wiosenny potok. Wydarzenia jednak nie następują po sobie, lecz występują obok siebie, równocześnie. Na kilku pierwszych stronach oddane zostaje życie wsi pogranicznej. Wszędzie narrator prezentuje nawarstwiające się zdarzenia, zmienia jedynie punkty obserwacji. Surowy materiał, jakim dysponował Buczkowski przygotowując tę powieść, sam niejako określił własną strukturę fabularno-narracyjną. Podobnie jak przedtem świat kresowy, urzekając swoją intensywnością i barwą, malarza uczynił pisarzem.

*Cuda ten świat, ale jak to namalować kiedy malowanie to tylko jedna struna, a wokół nas wszechdźwięnie i wszechobecność. Świat ujęty w napięcie, w energię magnetyczną. Dookoła obecność dużych elementów, ale i mikroelementów, drobni, drobniutko. I tak nabrałem się zwątpienia, niewiary w możliwości pędzla, przecież malarstwo wymaga ruchu, dźwięku, zapachu. Może słowem dać to przedstawić. Wyrazić pełnię świata. I taki był ten motor mojego pisania — zwierzał się autor*³.

Codzienna egzystencja wiejskiej zbiorowości stanowi główny temat i cel prezentacji w *Wertepach*. Bohaterowie pochodzą z doliny Seretu, głównie z wioski: Dolinoszczępskiej i Zaserecia. Kilka wątków składa się na fabule przedstawioną w dwudziestu sześciu niewielkich częściach. Postaci przedstawia Buczkowski wyraziście. Ich życiu w dużym stopniu nadaje rytm przyroda. Dwa podstawowe prawa biologiczne — życia i śmierci — warunkują ich los. Śmierć, okrucieństwo, groza panują w życiu ludzi pogranicza. Wiara w jego sens zapewnia walkę o możliwość życia. Okrucieństwo i bezwzględność są warunkiem przetrwania. Wszyscy bohaterowie *Wertepów* kierują się w życiu instynktem samozachowawczym, który w najważniejszych, granicznych sytuacjach pozwala przetrwać. Ten instynkt ważniejszy jest od samoświadomości człowieka. Taka jest specyfika kresowej egzystencji. Portrety ludzkie tworzy autor zawsze dialektycznie. Ludzie obracają się między życiem a śmiercią, między wznieśliwością a poniżeniem.

Spółczesność przedstawiona w *Wertepach* jest silnie zintegrowana. Ludzie nie odczuwają ani różnic wyznaniowych, ani narodowych, mimo że w tym regionie jak w tyglu mieszą się narodowości, języki

¹ Włodzimierz Maciąg, *Zabawa na cmentarzu*, (w:) *Opinie i wrotny*, Warszawa 1962, s. 71.

² Zygmunt Trzaska: *Dialog mowy i pisarza*, (w:) Leopold Buczkowski: *Wszystko jest dialogiem*, Warszawa 1984, s. 71.

³ Tamże, s. 72.

i obyczaj. Chłopi żyjący zgodnie z rytmem przyrody na obszarze tej swoistej mieszanicy kultur są silnie wrośnięci w ziemię, którą zamieszkują. Nie mają poczucia narodowej odrębności. Posiadają za to poczucie swojskości, „tutejszości”. Dlatego też bohaterowie, których wielu wprowadza Buczkowski do tej powieści, różnią się jedynie charakterami. Obok siebie zgodnie egzystują chłop Starorusin i Polak. Wsie, przysiółki, chutory zamieszkuje ludność mieszana, przenikając się wzajemnie w sferze obyczajów i języka. Nawet wyznaczenie nie stanowi o byciu Polakiem lub Rusinem: „Parafia polska” i „cerkiewna” nie dzieli tej społeczności. Często dochodzi do „przepalczania”. Wtedy metrykę urodzenia przenosi się z cerkwi do kościoła. Na ślad poróżnienia narodowościowego naprawdza niezbyt pochlebne określenie „pryknicyk”, oznaczające człowieka przemieszczającego się z jednej narodowości do innej najczęściej przez ożenek. Tradycyjnie nastawieni Rusini, których Buczkowski nazywa Starorusami, mający silne poczucie „tutejszości” wykazują przeważnie propolskie nastawienie. Podział na narodowości zaznacza się w kontaktach tej społeczności z władzą, której przedstawicielom jest postęrkowy, bądź soltys, a także za każdym razem, gdy w życie wsi wkraczają ludzie z państwowej administracji — referenci lub prelegenci powiatowi. Oni to prowokują rozbiście tej społeczności, podczas gdy sama ludność żadnych podziałów ani różnic nie odczuwa. Podobnie jak narodowościowe jeszcze słabiej zaznacza się różnice w statusie materialnym. Wszyscy, mniej lub bardziej bogaci, równie ciężko muszą zmagać się z życiem. Najsmutniejszy los przypada w udziale najszlachetniejszemu. Jednakże nie ubóstwo jest w *Wierstepach* największą ludzką niedolą. Podstawową potrzebą człowieka jest chęć pomazania życia. Posiadanie potomstwa to największa wartość, najściszej odczuwana zwłaszcza przez tych bohaterów, którym nie dana jest możliwość wybiegania poza własną skończoność. Dotyczy to jednakże tylko różennej ludności. Ci, co przychodzą z zewnątrz, odstają od tego świata nie tylko językiem i zachowaniem, ale i mentalnością.

W *Wierstepach* prezentowane są dwie duże grupy ludności: Polacy i Rusini. O społeczności żydowskiej, również liczebnej, a dopełniający obraz tego obszaru, autor tylko wspomina pokazując postać Żyda Pejsacha-Szkolnika, handlarza koni z Szabasowej Doliny. Jednak Szabasowa z *Wierstepów* została dokładnie przedstawiona w *Czarnym potoku*. Podobnie jak konfiguracja postaci dezertera z późniejszych powieści jest Łukasz Szeremeta z *Wierstepów*.

Przedwojenna powieść Buczkowskiego jest również panoramą obyczajów kresowego ludu, przedstawiającą całą „egzotykę” obyczajów Rusinów. Autor opisuje prążniki i szczerde wieczory. Obyczaje polskie i ruskie dotykają się przylgając się sobie. Ta powieść jest także swego rodzaju dokumentem różnic językowego przedwojennej Polski. Buczkowski jest szczególnie wrażliwy na słowo. Stąd mnożstwo tu rutennizmów, słownictwa rosyjskiego, niemieckiego, kontaminacji polsko-ukraińskich. Mowa skrzy się różnorodnością, wyraży wielkością odmian nazwownych. Wprowadzenie w obręb powieści tak wielu postaci, nazw i słownictwa wyraża zamysł utrwalenia tego regionu zasługującego na to przez swoją niezwykłość i egzotykę. Towarzyszy temu przeczuć bliskiej przemiany, odchodzenia tej rzeczywistości w przeszłość.

Akcja *Wierstepów* rozgrywa się od wiosny 1936 do jesieni 1937 roku. Forma dzieła powstała samodzielnie, jako metoda scalająca doświadczenie pisarskie. Treść tego doświadczenia stanowi zadziwienie pięknem i grozą świata pogranicza. Powieść wypełnia wielowarstwowość społeczności kresowej, wielość języków i narodowości, różnorodność zapamiętywań i orientacji politycznych. Utwór ukształtowany został mozaikowo, fabuła pocięta na wiele fragmentów.

Narrator ukształtowany jako wszechwiedzący z łatwością wkracza w sprawy swoich bohaterów, czytając w nich jak w otwartej księdze. Związki czasowe między wydarzeniami są względne. Język powieści dowodzi przekonania autora o wyższości języka mówionego, naturalnego nad literackim, skonwencjonalizowanym. Niewątpliwie dlatego tak wielu tu bohaterów i wiele głosów.

Wierstepy operują językiem obrazu, zestawiając elementy. Z owych zestawień wynika bezsłowny komentarz. Innego komentarza tutaj nie ma. Powieść jako dzieło malarza i pisarza zarazem, wykazuje powinowactwo z techniką filmową w oglądzie rzeczywistości. Jest więc mozaikowa przez różnorodne zestawienia wydarzeń, a nieciągłą fabulę, a także echuje się zmiennością nastrojów. Niektóre cechy strukturalne późniejszych powieści Leopolda Buczkowskiego już tutaj pojawiają się w załączku: mozaikowa kompozycja, która przerodzi się w szeroko stosowany kolaż, fragmentaryczność akcji, brak komentarza, równowaga bohaterów, względność struktur czasowych, zmiany nastrojów, wręcz otwartość dzieła. Czytając *Wierstepy* w kontekście późniejszych powieści dochodzi się do nieodpartego wniosku, iż podstawowym celem pisarstwa Buczkowskiego jest zamiar utrwalenia pewnej określonej rzeczywistości realnie istniejącej w czasie i przestrzeni, w różnych etapach świadomości pisarskiej, która podobnie jak owa rzeczywistość ulega przemianom.

Czarny potok zniszczenia i śmierci

Przestrzeń *Czarnego potoku*, drugiej powieści Leopolda Buczkowskiego, jest tożsama z przestrzenią *Wierstepów*. Wydarzenia rozgrywają się w Szabasowej, małym miasteczku zamieszkanym przez znaczną grupę ludności żydowskiej. Szabasowa i jej okolice znalazły się w samym środku okupacyjnej nocy. Wydarzenia składające się na akcję utworu miały miejsce w 1942 roku. Przed oczyma czytelnika przesuwają się obrazy zagłady „wierstepowego” świata pogranicza. Dzień i noc, jako symbole dobra i zła, zmieniły swoją symbolikę, nie regulują już także ludzkiej egzystencji.

W sposobie prezentacji świata i w samym świecie przedstawionym nie ma mowy o apokalipsie, zagładzie i tragedii. Z nielicznych strzępów rozmów bohaterów można wywieść pogląd, iż rzeczywistość przedstawiona w powieści jest wykwitem kultury śródziemnomorskiej, z niej wyrosła. Poglądy Buczkowskiego korespondują z oceną Tadeusza Borowskiego, autora opowiadań o „kamiennym świecie” obozów koncentracyjnych. W powieści Buczkowskiego przedostatnie zdanie brzmi: „Martwo było dookoła i cno, jak pod kamiennym sklepieniem”. W *Czarnym potoku* nie ma jednak tak gorzkiej ironii jak u Borowskiego.

Bohaterowie tej powieści żyją wedle praw, jakie ustanowiła nowa, wojenna rzeczywistość. Panując w niej groza i okrucieństwo zostali już zasygnalizowane w *Wierstepach*. Tam bohaterowie musieli zmagać się z życiem, które było bezwzględne i okrutne, tutaj zmieniła się miara tego okrucieństwa, śmierć stała się codziennością.

W swojej drugiej powieści pokazał Buczkowski los społeczności żydowskiej zamieszkującej teren pogranicza. Wojna dobitnie zaznaczyła ich obecności i odrębność. Wobec wszechpanującego śmierci zmieniły się prawa rządzące ludźmi i światem. Człowiek został zmuszony chronić życie. Aby temu sprostać zostaje zredukowany do najprostszycich odruchów — zdobyć pożywienie, pokrzepić się snem. Nigdy jednak nie pozbywa się instynktu samozachowawczego; on chroni go przed śmiercią. Wszystkie inne uczucia w świecie ludzi wartości przestają się liczyć. Jednak w tak apokaliptycznej rzeczywistości ludzie mimo wszystko pragną ocalić swoje człowieczeństwo. Przedstawiona społeczność przyjmuje różne postawy wobec rzeczy-

wistości. *Czarny potok* stara się uchwycić sytuację zmienionych i często niejasnych stosunków międzyludzkich panujących w świecie okupacyjnym. Najmocniej wyeksponowana jest grupa oporu Chune-go Szai, do której należą lub z nią współpracują: Chaim, Heindl, Szerucki, Wąskopyski, Czackiesi i inni. Ci ludzie, aby ocalić życie, muszą zabijać. Przykazanie „nie zabijaj” odnosi się wyłącznie do członków własnej grupy i eksterminowanych. *Wroga należy zabijać nożem, łomem, czym się da. Nigdy modlitwą* — tłumaczy Leit.



Kunegunda Jezowska, Aleksandra i Feliks Tytusowie. *Spór teologiczny*, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmatała

Zabijając, człowiek zabija w sobie człowieczeństwo. Członkowie grupy Chune-go Szai nie pozbyli się ostatniej oznaki człowieczeństwa — słuchania wewnętrznego głosu. Kierują się sumieniem spełniając odwieczne nakazy: głodnego nakarmić, nagiego odziać, zmarłego pogrzebać. W świecie bez miary, jaki panuje w *Czarnym potoku*, bohaterowie starają się wybierać mniejsze zło, gdyż zło jest tu wszechobecne. Wartości tracą swoją miarę, wina urasta do winy tragicznej. Oprócz grupy Chune-go Szai, którzy członkowie zabijają dla ocalenia życia i godności własnej oraz prześladowanych, wielu przybiera inną postawę. Jedni nie robią nic, czekając aż dopelni się ich los, inni starają się przekupić wroga, jeszcze inni zostają szpiclami. Bez względu na to jednak jacy są wobec ciagle zagrożającej śmierci, stają się nieczuli na otaczającą ich rzeczywistość, gdyż ten świat nie jest na ludzka wytrzymałość. Postaci tej powieści żyją w ciągłym ruchu, nieustannej ucieczce, ponieważ tylko ruch jest sposobem na śmierć, a bierność i bezruch skazują na nią.

Czarny potok jest powieścią o postawach i wyborach moralnych. Mimo iż bohaterowie walczą przeciw zagładzie, ona się już dokonała. Przez Szabasową i okolice przetoczył się potok zniszczenia i śmierci. Dlatego też narratorom (gdyż jeden nie spełnił swej roli) pozostaje tylko jak najwięcej zarejestrować, utrwalić resztki zburzonego życia.

Konstrukcja *Czarnego potoku* polega na rozbiu formy powieściowej, będącym odpowiednikiem rozbicia materii świata. W *Wersepach* forma dzieła wynikała niejako samoistnie, scalając doświadczenie autora. W *Czarnym potoku* zrzuwano rzeczywistość apodyktycznie narzuca formę powieści. Wchodząc w świat przedsta-

wiony utworu czytelnik łatwo może ulec wrażeniu, iż narracja przypomina potok, z którego coraz to wynurzają się poszczególne wydarzenia. Mogłoby się pojąć, że wypadki i zdarzenia — pojawianie się na powierzchni i znikanie w otchłani „czarnego potoku” — tamtej rzeczywistości i ludzkiej pamięci o niej jest jedną z naczelnych zasad rządzących tym utworem. Ich rejestr objąłby kilkanaście zdarzeń i wypadków, jakie miały miejsce jesienią i zimą 1942 roku w Szabasowej, małym żydowskim miasteczku na Podolu i jego okolicach.

Powieść składa się z czysto umownie zaznaczonych dwudziestu dwóch rozdziałów zawierających sceny i epizody powiązane ze sobą symultanicznie: tematycznie lub na zasadzie asocjacji pamięciowej. Dominującą metodą ukazywania zdarzeń jest prezentacja sceniczna. Każda scena posiada oszczędny, ale wyrazisty opis, najczęściej dynamiczny, który przechodzi w opowiadanie unaoczniające. Dialog prowadzony przez bohaterów poszczególnych scen jest zdynamizowany i pełen dramatyzmu. Tworzą go krótkie zdania oznajmujące, równoważniki, urwane zdania nacechowane emocjonalnie, oddające żywą mowę. Najczęściej służy on informacji o zdarzeniach, ich uszczegółowieniu i dramatyzacji. Autor często do dialogu przenosi zdarzającą się. Celem dialogu jest przekazanie sobie nawzajem jak największej ilości informacji. Urywkowość i niedopowiedzenia podnoszą napięcie, objawiają grozę sytuacji, w jakiej znajdują się rozmówcy. Powשечność zastosowania dialogu nie zwalnia tempa akcji, ponieważ brak informacji o upływie czasu. Zdarzenia prezentowane w dialogach są silnie skondensowane, gdyż rozmówcy orientują się doskonale w sytuacji. Aby się porozumieć wystarczy im lakoniczna informacja o faktach lub tylko służąca.

Opowiadanie o wydarzeniach nie jest domeną jednego narratora tak jak w *Wersepach*. W *Czarnym potoku* narracja zmienia się, przechodząc od trzecioosobowej do pierwszoosobowej. Buczkowski nie stosuje konsekwentnie zabiegu zmiany narratorów, jednak zasada szkatułkowej narracji i cudzysłowy jest stosowana prawie w całym tekście. W powieści zatem, oprócz narratora głównego, stwarzającego sugestię wszechwiedzy, występują narratorzy jednorazowi, których wiedza ogranicza się do wydarzeń, w których brali udział lub których byli świadkami. Na trzech piętrach narracji opowiadanie srodkowe często nie uwzględnia zasad przyczyny i skutku. Znajdują się tam zasłyszane i przywołane w formie cytatu zdania, dialogi lub refleksje wywołane zdarzeniem osobowości i psychiki opowiadającego z grozą świata, w którym żyje. W dużych partiach tekstu narracja prowadzona jest z punktu widzenia Heindla, jednej z postaci utworu. Umieszczenie nazwiska Heindla w podtytułe powieści wskazywać powinno, że narracja będzie prowadzona właśnie z jego pozycji. Buczkowski jednak nie przestrzega tego założenia. Niemniej, narrator ten w powieści pełni ważną funkcję, gdyż jest jednocześnie i świadkiem, i uczestnikiem wydarzeń. Taka sytuacja typowa jest dla powieści personalnej, która stosuje technikę punktów widzenia. Wprowadzając narratora w podwójną rolę, autor zastosował dwie techniki narracyjne. Z pozycji świadka narracja ma postać prezentacji scenicznej, a z pozycji uczestnika formę opowiadania, które często przybiera postać monologu wewnętrznego. Użykuje się zatem iluzję opowiadania przez naczynych świadków niemal bezpośrednio po wydarzeniach. Zmienność ról narratora prezentowanych zdarzeń sprawia, że przez wielogłosowość powieść zyskuje pełniejszy wymiar. Prezentacja staje się też bardziej obiektywna. Każda relacja narratora jednorazowego jest subiektywna. Stawia wydarzenia w nieco innym świetle. Zastosowanie w powieści dialogu i elipsy, usuwającej nieistotne szczegóły, wyznacza niejako odbiór tego utworu, zorientowanego w wydarzeniach czasu, o którym się

opowiada. Forma *Czarnego potoku*, z techniką punktów widzenia, wielogłosowością narracji, pozwala autorowi zrealizować marzenie o oddaniu świata w jego wielowymiarowości i zmienności.

Eksperyment powieściowy Leopolda Buczkowskiego wprowadził w dzieło literackie nową logikę. Nieciągłość i niespójność, które leżą u jej podstaw, mają pokazać kompletność pewnej rzeczywistości, trudnej do opisu. Autor uważa za niewystarczającą linearną, jednopłaszczyznową postać dzieła. Technika punktów widzenia, ciągłych zmian obserwatorów pozwala na wielopłaszczyznową prezentację. Wydarzenie zyskuje wymiar prawdy dopiero wtedy, gdy rzutowane kilkakrotnie przez wielu uczestników-narratorów jednorazowych odbija się na płaszczyźnie nadrzędnej świadomości porządkującej fakty. Jest to świadomość autora, ale i czytelnika, dokonującego konkretyzacji. Buczkowski zakłada udział czytelnika we współtworzeniu dzieła. Czytelnik w roli twórcy, którą narzuca mu idea utworu, dostaje do rąk zestaw wydarzeń w postaci scen, epizodów i relacji na zasadzie dokumentów czasu, ciągle krążących w przestrzeni zrujnowanego świata. Sam zatem — z pomocą własnej wyobraźni — musi zestawiać je w ciąg przyczynowo-skutkowy.

W poszukiwaniu metod opisu zdeintegrowanej rzeczywistości

Od czytelnika *Czarnego potoku* wymaga się nadrzędnej świadomości porządkującej strukturę tekstu. Przy lekturze *Pierwszej światłości* trudno tej roli sprostać. Powieść rozpoczyna się motywem przesłuchania, w którym anonimowy poząwany potwierdza odpowiedź na pytanie o swoją tożsamość. Następnie pojawia się opowieść o postrzeleniu dziewczyny nazwanej Dydona. Opowieść nie kończy się, ale rozplywa w wielu refleksjach dotyczących fizjologii, natury i egzystencji człowieka, zestawianych z wojskową instrukcją żołnierskiego ekwipunku. Czytelnik, nieco zakłopotany, pograża się coraz dalej w strumień prozy złożony z opisowych zdań, najczęściej w potocznej odmianie polszczyzny. Rozpoczyna się gra z odbiorcą, ale jej reguły nie zostają podane. Czytelnik pragnie je wytropić i uchwycić konwencje utworu, sprawiającego początkowo wrażenie nowości sensoryjnej. Trafia jednak na wiele elementów wskazujących na romans, powieść dokumentalno-historyczną, współczesną. Tropiąc ślady różnych konwencji wiktła się w mnóstwo niejasnych wypadków, relacji, napotyka wiele niedokreślonych postaci i... przegrywa w grze. Mimo iż może być dobrze oswojony z chwytami nowoczesnej prozy, musi wyżyć się swoich przyzwyczajeń. W tej powieści autor nie tylko narzucił własne reguły gry, ale wymaga by je respektowano. Nie oznacza to wcale, że ich przyjęcie gwarantuje uniknięcie pułapek i zrozumienie utworu.

Strumień prozy wycieńczonej *Pierwszą światłością* to kilka wypadków, motywów, tematów i postaci ciągle przetwarzanych i komplikowanych. Modelowanie postaci polega na kilkakrotnej zmianie ich ról. Zestawia się tu ponadto techniką kolażową, materiały, które mogłyby stanowić tematy kilku innych powieści. Strukturę *Pierwszej światłości* tworzą: 1) motyw śledztwa i protokołu; 2) romans; 3) reminiscencje z I wojny światowej (trzy migawkowe opowiesci); 4) wydarzenia lipca 1941 roku mające miejsce w okolicach Śmulek i Belży; 5) motyw mityczny (Dydona); 6) Archiwum Akt Dawnych (jako symbol projekcji pamięci); 7) plan filmu kręconego na podstawie wydarzeń 1941 r.; 8) refleksje i dysputy o fizjologii, egzystencji człowieka, poznaniu, wywołane wydarzeniami, które zapadły w pamięć podmiotu, będącego narratorem większych partii tekstu. Kolaż tych elementów zostaje dopełniony opisem ślubu Franciszka Józefa ze starej gazety oraz instrukcją obsługi pistoletu.

Technika kolażu uzyskała w utworze status nadrzędnej metody budowania wypowiedzi. Jest ona nowym sposobem artykulacji doświadczeń, oddaje rzeczywistość w jej relatywnym wymiarze. Jej cechy charakterystyczne to między innymi niejedność i wieloznaczność elementów. Podstawową zasadą tego sposobu pisania jest powtórzenie jednostki z jednego kontekstu, następnie przekształcenie i zestawienie z elementami innego kontekstu. Tak dzieje się od pierwszych stron powieści. Poszczególne elementy kolażu tekstowego zostają wyswobodzone z macierzystych kontekstów. Występując w nowym układzie często uzyskują nowe wartości znaczeniowe: symboliczne lub ironiczne. Komentarz autorski sprawia również wrażenie obcości wobec sąsiadujących z nim elementów. Raczej zastosowania takiej metody artystycznej wypowiedzi ustaliły się już w *Czarnym potoku*. Destrukcja rzeczywistości podlegającej opisowi spowodowała, że tradycyjne sposoby budowania powieści okazały się niewystarczające. *Po tym co zaszło, po przejściu oręża nocy nie wolno być prostodusznym opowiadaczem* — konstatuje autor⁴. Poetyka kolażu zastosowana w *Pierwszej światłości* jest zatem krytycznym doświadczeniem języka i kształtowania dzieła. Nadaje opisywanej rzeczywistości nowy wymiar, ale też nie pozwala na jednoznaczne odczytanie całości. U jej podstaw leży przekonanie autora o niemożności oddania rzeczywistości w kategoriach prawdy, czy obiektywizmu. Możliwe jest jedynie opisanie „rozstrzelanej” rzeczywistości przez zebranie nielicznych strzępów w jeden wielki kolaż.

Podobnie jak w *Czarnym potoku* tak i w *Pierwszej światłości* szczególnie ważna jest rola czytelnika, gdyż to jego dyspozycja i kompetencja pozwala na wybór wariantu lektury. Stopniowe „roztańmianianie” tej jakże splecionej i tajemniczej powieści polega na odkryciu ról poszczególnych postaci i uporządkowaniu wydarzeń. Czytelnik ma prawo stworzyć nowe dzieło z elementów kolażu, które może uznać za notatki do powieści. Jest to jedna z wyraźnych reguł gry z czytelnikiem wpisana w *Pierwszą światłość*.

Buczkowski układa fakty w raporty, protokoły aby dotrzeć do prawdy i opisać do końca wybrany element rzeczywistości. Przez gromadzenie przedmiotów, dokumentów minioniej rzeczywistości zmierza do odkrycia ich funkcji. Ciągłe przetwarzanie wątki i układa je kontrpunkty. To samo zdarzenie, którego autentyczność pozornie zaświadcza jest przez zaprotokolowanie, stopniowo odsłania swoje oblicze, okazuje się plotką, wyobrażeniem, sceną z filmu, obrazem. Czynności nadawcy zmierzają do restrukturyzacji całości. Usiłuje on niestrudzenie, ale i bezowocnie ustalić jakiś porządek między tymi klasami wypadków, opierając na ich „znamionach, nie zaś na ich przyczynach i skutkach”⁵.

Problem struktury tekstu jako pierwszy wyłania się przed czytelnikiem i dotyczy głębszych warstw powieści. Rozpoznanie jej formy jako kolażowej nie rozwiązuje jeszcze wszystkich trudności w odbiorze, chociaż ta metoda kształtuje narrację, zdarzeniowość i świat przedstawiony. *Pierwsza światłość* w warstwie kompozycyjnej i treściowej jest bardziej skomplikowana niż *Czarny potok*. Wypelnia ją jednak ta sama przestrzeń. Wydarzenia tak jak w poprzednich powieściach mają określony czas i miejsce. Zmieniona jest perspektywa oglądu rzeczywistości. Narracja w *Czarnym potoku* wywodziła się z oczu narratorów. Rzeczywistość *Pierwszej światłości* to strzępy świata *Czarnego potoku* zgromadzone w psychice i pamięci

⁴ Leopold Buczkowski: *Wszystko jest dialogiem*. Warszawa 1984, s. 43.

⁵ Leopold Buczkowski: *Pierwsza światłość*. Kraków 1978, s. 47.

nadawcy. Interioryzacja pociągnęła za sobą zmianę praw rządzących tym światem z realnych na psychiczne. Była to także ostateczna próba ocalenia go przed całkowitym unicestwieniem.

Świat *Pierwszej świętości*, jaki wyłonił się z przestrzeni pamięci, ma porządek sennego koszmara. Składa się ze strzępów wydarzeń, relacji, domysłów, wyobrażeń, których kontury zacierają się i zachodzą na siebie. Aby ogarnąć, a wcześniej zrekonstruować go w całości powstało dzieło otwarte, którego najważniejszymi cechami są: kontrapunktość, wielopłaszczyznowość, afabularność, dialogiczność, kreacyjność. Autor określił je jako książkę-dokument, gdyż miało stać się dokumentem epoki i czasu, a także zmagani z tworzonym powieściowym. Zasada wielopłaszczyznowości wyraża przekonanie autora o niewystarczalności linearnego opowiadania dla skomplikowanych doświadczeń ludzkich. Wielopłaszczyznowość uzyskiwana dzięki kontrapunktom i interwałom w prozie to metoda, która zdolna jest, jak pisze twórca, „zaśrubować” w słowie tragizm współczesnego świata. Płaszczyzny filmu, mitu i rzeczywistości przeplatające się wzajemnie tworzą strukturę utworu. Dialog dominujący w *Czarnym poniku*, tutaj prowadzony jest w kilku wymiarach. Dzięki szeroko stosowanemu kolażowi dochodzi także do dialogu międzytekstowego. Słowo pisane jest osłabione w swej funkcji — działa tylko w jedną stronę: do czytelnika. Mocne zdIALOGIZOWANIE na kilku płaszczyznach, połączone ze strumieniem świadomości stwarza czytającemu złudzenie rozmowy z autorem, sugeruje wnikięcie w jego doznania i myśli. Afabularność jest efektem uzyskanym dzięki zastosowaniu pozostałych reguł. W tak pogłębianym eksperymentcie w obrębie tkanki powieściowej i w szeroko rozumianej kreacyjności widzi Buczkowski ratunek dla sztuki.

Określając przestrzeń *Pierwszej świętości* jako przestrzeń pamięci, za obrotami której wylaniają się wydarzenia, czytelnik może ułożyć ich rejestr. Najwyraźniej przedstawione, bo kilkakrotnie i z różnym oświetleniem są następujące fakty: 1) postrezenie dziewczyny zwanej Dydoną; 2) śmierć kelnerki; 3) śmierć korespondenta ze Szwajcarii; 4) rozstrzelanie osiemnastu dziewcząt z Będni 5) śmierć Siemuszki, dowódcy batalionu; 6) śmierć dziewcząt w bibliotece; 7) śmierć dziewcząt w chederze; 8) śmierć w płomieniach 16-letniej Dydony; 9) działalność plutonu egzekucyjnego; 10) akcja zgromadzenia 6 tysięcy złotych pierścionków; 11) śmierć Munci Kindel.

Dla uwiarygodnienia zdarzeń i postaci Buczkowski wprowadza motywy przesłuchania i protokołu — zgodnie z zamiarem stworzenia książki-dokumentu. Przesłuchiwany i prokurator tego procesu to jedna i ta sama osoba. Niemożność ogarnięcia rzeczywistości wojennej wywołala ten proces przeciw samemu sobie. „Winny” jest każdy, kto ocalał. Powracający uparcie ów motyw stanowi rodzaj refrenu. Jest także projekcją sumienia człowieka, który przeżył, roztrząsającego nieustannie tragiczne doświadczenie czasu wojny.

Podobnie jak zdarzenia kreuje autor postaci. Nieustannie zmienia ich role i ostatecznie nie decyduje się na ukształtowanie konkretnie określonego, głównego bohatera. Spośród wielu postaci najczęściej pojawia się dziewczyna, zwana Dydoną. Przewija się przez powieść na podobnie refrenicznej zasadzie jak motyw przesłuchawanego. Jej postać nie jest w powieści dookreślona, jej życie na granicy legendy stanowi zagadkę. Dziewczyna nosząca imię mitycznej królowej Dydony, założycielki Kartaginy, ma podobnie jak tamta swoje miasto-królestwo, w którym panuje, nieuchwytna dla żandar-mów:

Biegła przez zurośla i krzaki, przez wody, kamienie, bez odpoczynku (...) Ile ona może mieć lat teraz? Co ona właściwie robi przez cały rok w ruinach? Nie mogą sobie tego zjawiska wytłumaczyć —

mówił — Proszę was, co to właściwie jest? — Mit — mruknął szeptem. Pozostając wśród ruin, gdzie życie właściwie jest niemożliwe, żyje, nieświeć i zawsze znika, niczym zjaw, przed groźącym niebezpieczeństwem. Jej śmierć jest parabolą losu królowej kartagińskiej, ale jakże inny jest wymiar tragedii Dydony z Belza. Oprócz mitycznego znaczenia, jakiego nabrał los szesnastoletniej dziewczyny z żydowskiego miasteczka, Dydona to symbol, który ma wiele znaczeń. Oznacza dziewczętą kreślowych miasteczek mordowane, gwałcone, rozstrzelywane, egzystującą wśród zgłiszcz w ciągłym strachu i ucieczce. To uroda i wdzięk młodości zniszczone przez koszmara, wczesną rzeczywistość. Wreszcie, to nieznana opiekunka osieroconych dzieci, widziano niedoświegle dla karabinu maszynowego. Jest to również posąg dziewczyny w środku miasta, jego duch opiekunicy zniszczony tak, jak i ono samo.

U stóp pomnika Dydony, wypraliśmy koszule. Pożar pochłaniał Dydonę i jej zwierzęta. Umierała w wieku młodzieńkim, 3 lipca 1941 roku. Zresztą długo jeszcze płukała się, z ramionami obarczonymi dwoma wiankami kwiatów; nie była smutna. Przybyła do naszego miasta w trzynastym wieku, nikt nie wie skąd. Ona się z miastem zniósła zamaskowana, czyli z przyłbicą spuszczoną, i miałem powód mniemać, że się przedstawiała pod fałszywym nazwiskiem. Trzeciego dnia pożaru nie mogła otworzyć szczęk, aby nam odpowiedzieć albo przynajmniej napluć w twarz oficerom z komendy placu’.

Przesunięcie w mit losów miasta i jego mieszkańców uraga antycznym mitom. Tragizm wydarzeń dokumentowanych w powieści wywiera znacznie większe wrażenie niż historia starożytnych bogów i ludzi. Pierwsza świętość to określenie oznaczające wczesną młodość, radosny, pierwszy etap życia, mimo niednego losu, pełnego cierpienia i strachu, jaki jest udziałem młodzieńskich dziewcząt i dzieci. Śmierć przesuwa ich życie w mit, pewną chwałę historii, w nową, boską świętość. Ironia, jaka towarzyszy opisowi osiągnięcia kolejnej świętości nigdy wcześniej nie pojawiła się tak wyraźnie. *Abey cywilnej Europy nie dawać powodu do nieprawdziwych pogłosek, rzeczywistość też w czasie przemarszu nie było widuć rozstrzelanych dzieci, ale po przybyciu plutonu wyskoczyła jedna dziewczynka bardzo zadwołana. W następnej świętości bogini⁸.* Pojawienie się ironii sygnalizuje pięknie nadrzednej świadomości, do której został przeniesiony świat unicestwiony przez wojnę.

Utwór uzyskał funkcję katarską. Doniosłość takiej roli sztuki potwierdza sam autor⁹. U Buczkowskiego sztuka o wartości terapeutycznej oczyszcza nie tylko światomość podmiotu-kreatora, ale i świat przedstawiony.

Elżbieta Muciek

⁸ tamże, s. 53.

⁹ tamże, s. 86.

¹⁰ tamże, s. 110.

¹¹ Leopold Buczkowski: *Wszystko jest dialogiem*, por. s. 13.

ROSJA

Dostojewski był do głębi rosyjskim człowiekiem i rosyjskim pisarzem. Nie można wyobrazić go sobie poza Rosją. Przeglądając mu się, można rozszyfrować duszę rosyjską. Sam on zresztą stanowi zagadkę natury rosyjskiej. Łączy w sobie wszystkie sprzeczności owej natury. Ludzie Zachodu obycując z Dostojewskim, poznają Rosję. Lecz Dostojewski nie tylko odzwierciedlał i poznawał układ duszy rosyjskiej, lecz był również świadomym głosiicielem idei rosyjskiej i wyrazicielem rosyjskiej świadomości narodowej. Znalazły w nim odbicie wszystkie antynomie i wszystkie choroby naszej narodowej samoświadomości. Kiedy Dostojewski występuje jako rzecznik idei rosyjskiej, odkrywamy w nim rosyjską pokorę i rosyjską zarozumiałość, rosyjską uniwersalność i rosyjską wyjątkowość narodową. Kiedy w swej sławnej mowie o Puszkinie zwracał się do ludzi rosyjskich ze słowami „ukórz się, dumny człowieku!”, to pokora, do której wzywał, nie była zwykłą pokorą. Pisarz uważał naród rosyjski za najłagodniejszy naród na świecie. Lecz jednocześnie szczylił się ową łagodnością. I nierazko ludzie rosyjscy dumni są ze swej wyjątkowej skromności. Naród rosyjski, w przekonaniu Dostojewskiego, to naród „noszący w sobie Boga”, jedyny naród „Bogonosiciel”. Lecz taka mesjanistyczna świadomość nie może być nazwana świadomością pokorną. Odżywa w niej archaiczna samoświadomość narodu żydowskiego. Ambiwalentny i pełen sprzeczności był także stosunek Dostojewskiego do Europy. Jak później zobaczymy, był Dostojewski autentycznym patriotą Europy, miłośnikiem jej wspaniałych zabytków i świątyni. To on wypowiedział zadziwiające słowa o Europie, których nie odnajdziemy u żadnego okcydentalisty. W jego stosunku do Europy ujawniają się ogólnoludzkie pierwiastki ducha rosyjskiego, zdolność człowieka rosyjskiego do przyswojenia sobie tego wszystkiego, co wielkie w świecie. Lecz zarazem Dostojewski odmawiał narodom Europy miana narodów chrześcijańskich, ogłaszał wyrok śmierci dla Europy. Był szowinistą. I w jego sądach o innych narodach, np. o Francuzach, Polakach czy Żydach, jest wiele niesprawiedliwości. Jest to odwieczna właściwość rosyjskiej samoświadomości narodowej, która bądź zapamiętała odrzucała wszystko to, co rosyjskie, wyrzekała się ojczyzny i gleby rodzimej, bądź też ślepo, bez wyjątku afirmowała to, co rosyjskie i wówczas pozostałe narody zaliczane były do niższej rasy. Nasza świadomość narodowa pozbawiona była zawsze miary, nigdy nie cechowała nas spokojna pewność i stałość, bez gwałtowności i hysterii. W największym naszym geniuszu — Dostojewskim — nie ma owej stałości, nie ma dojrzałej, nacechowanej męstwem świadomości narodowej; wyczuwa się natomiast chorobę naszego ducha narodowego.

Układ duszy rosyjskiej jest nader swoisty i różni się od układu duszy człowieka zachodniego. Rosyjski Wschód to ogromny świat, przeciwstawny całemu światu Zachodu, wszystkim narodom Euro-

py. I wrażliwi ludzie Zachodu doskonale zdają sobie z tego sprawę. Fascynuje ich zagadka rosyjskiego Wschodu. Rosja to wielka równina, nieskończona przestrzeń. Oblicze ziemi rosyjskiej pozbawione jest wyraźnie określonych form, nie posiada granic. Nie ma w krajobrazie rosyjskim różnorodności gór i dolin, nie ma linii granicznych nadających formę każdej części. Żywił rosyjski rozlewa się po równinie, uchodzi w nieskończoność. I między geografią ziemi rosyjskiej a geografią duszy rosyjskiej istnieje odpowiedniość. Wygląd ziemi, geografia narodu jest zawsze symbolicznym wyrazem układu duszy narodowej, jest geografą duszy. To wszystko co zewnętrzne, jest zaledwie przejawem tego, co wewnętrzne, stanowi jedynie symbol ducha. I równinna ziemia rosyjska z jej bezgranicznością, z jej nieskończonością i nieuformowaną żywiłowatością jest wyrazem równinności, bezgraniczności duszy rosyjskiej z jej beżmiernymi dalami, z jej podporządkowaniem się bezkształtnemu żywiłowi narodowemu. Wszystko to jest jedynie symbolem natury człowieka rosyjskiego. Nieprzypadkowo naród żyje w otoczeniu takiej lub innej przyrody, na takiej lub innej ziemi. Występuje tutaj wewnętrzny związek. Sama przyroda, sama ziemia określana jest przez główne dążności duszy narodowej. Zarówno rosyjskie równiny, jak i rosyjskie parowy są symbolami duszy rosyjskiej. Cały układ ziemi rosyjskiej świadczy o tym, jak trudno człowiekowi opanować tę ziemię, nadając jej formę, podporządkować ją kulturze. Człowiek rosyjski znajduje się we władzy swej przyrody, we władzy swej ziemi, we władzy żywiułu. Oznacza to, iż w układzie duszy człowieka rosyjskiego treść wymyka się formie, duch nie jest w stanie ośwładać żywiłem duchowo-cieleśnym. W samym układzie ziemi rosyjskiej wyczuwa się opór, jaki napotyka człowiek rosyjski w swym dążeniu do samodziścyplinowania ducha. Dusza rozplywa się po nieskończonej równinie, uchodzi w nieskończone przestrzenie. Pościągają ją dal, nieskończoność. Nie może ona żyć w wytyczonych i zróżnicowanych formach kultury, lecz dąży ku temu, co ostateczne i krótkie, gdyż nie znane są jej granice i formy życia, nie napotyka dyscyplinujących zarysów i granic w układzie swej ziemi, w rodzimym żywiu. Jest to — ze względu na swe główne nastawienie — dusza apokaliptyczna, niezwykle wyczulona na prądy mistyczne i apokaliptyczne. Nie przypomina twierdzy, jak dusza człowieka europejskiego. Nie chroni jej religijna i kulturalna dyscyplina, otwiera się na wszystkie strony, zmierza ku krótkom historii. Bez trudności odrywa się od wszelkiej gleby i daje się unosić wichrom w nieskończone dale. Tkwi w niej skłonność do wędrowania po nieskończonych równinach ziemi rosyjskiej. Niedostatek formy, słabość dyscypliny prowadzi do tego, iż człowiek rosyjski pozbawiony jest prawdziwego instynktu samozachowawczego, łatwo niszczy sam siebie, spala się, rozplywa się w przestrzeni. A. Bieli w cudownym wierszu poświęconym Rosji wypowiedział wspaniale słowa:

*Zgin w przestrzeni, zgin
Rosjo, Rosjo moja.*

Dusza rosyjska zdolna jest dojść do urzeczzenia zagładą. Niewiele rzeczy ceni, do niewielu spraw mocno się przywiązuje. W odróżnieniu od duszy człowieka zachodnioeuropejskiego nie odczuwa silnej więzi z kulturą, nie poddaje się łatwo ograniczającemu oddziaływaniu tradycji. Człowiek rosyjski nadzwyczaj łatwo przeżywa kryzys kultury, nie poznawszy jeszcze kultury w dogłębny sposób. Stąd charakterystyczny dlań nihilizm. Człowiek rosyjski lekko wyrzeka się nauki i sztuki, państwa i gospodarki, buntuje się przeciwko wiecom oziębłości i dąży do nieznanego królestwa, zmierza w nieznaną dale. Dusza rosyjska skłonna jest do radykalnych eksperymentów, na jakie

me zdobywały się dusza europejska, która jest zbyt uformowana, zbyt zroznicowana, zbyt ujęta w granice, zbyt skrepowana rodzinną tradycją i przekazami kulturowymi. Tylko na duszy rosyjskiej można było przeprowadzać te eksperymenty, które przeprowadzał Dostojewski. Pisarz badał nieskończone możliwości duszy Ludzkiej. Formy i granice duszy zachodnioeuropejskiej z jej skrepowaniem kulturowym i racjonalistycznym skostnieniem byłoby przeszkoda w podobnych dociekaniach. Dlatego też Dostojewski mógł pojawić się tylko w Rosji, bowiem tylko dusza rosyjska mogła stać się materialem, który pozwalał mu dokonać jego odkryć.

Dostojewski był swoistym narodnikiem, wyznawał i propagował religijne narodnictwo. Narodnictwo to oryginalny wytwór ducha rosyjskiego. Na Zachodzie narodnictwo nie mogło się pojawić, jest to zjawisko czysto rosyjskie. Tylko w Rosji można spotkać się z owymi wiecznymi przeciwstawieniami „Inteligencji” i „ludu”, z ową idealizacją „ludu”, dochodzącą do uwielbienia, do poszukiwania w „ludzie” prawdy i Boga. Narodnictwo zawsze było oznaką słabości warstwy kulturalnej w Rosji, braku zdrowej świadomości jej własnej misji. Rosja stanowiła ogromne i ciemne królestwo chłopskie, na czele którego stał car; królestwo cechujące się nieznacznym rozwojem klas, niezbyt silną i stosunkowo słabą wyższą warstwą kulturalną, hipertrofią ochronnego aparatu państwowego. Taka struktura społeczeństwa rosyjskiego, odmienna od struktury społeczeństwa europejskiego, spowodowała, iż nasza wyższa warstwa kulturalna odczuwała swą bezsilność wobec żywiołu ludowego, wobec mrocznego oceanu ludowego, obawiała się zatonać w owym oceanie. Warstwa kulturalna była podrzytywana przez władzę carską ponad miarę rzeczywistego zapotrzebowania ludu na wyższą kulturę. Władza carska, usankcjonowana religijnie w świadomości ludu, chroniła warstwę kulturalną przed masami ludowymi, a jednocześnie przesładowała ją. Ludzie należący do tej warstwy czuli się uciskani. W XIX wieku świadomość warstwy kulturalnej, która od pewnego momentu zaczęła określać się jako „Inteligencja”, przybrała charakter tragiczny. Była to świadomość patologiczna, pozbawiona zdrowych sił. Wyższe kręgi kulturalne, nie posiadające w historii rosyjskiej trwałych tradycji kulturowych, nie odczuwające organicznego związku ze zroznicowanym społeczeństwem, składającym się z silnych klas, dumnych ze swej świętej przeszłości, znalazły się między dwoma tajemniczymi żywiołami historii rosyjskiej — między żywiołem władzy carskiej i żywiołem ludowym. Instynkt samozachowawczy kazał im idealizować raz jeden, raz drugi pierwiastek, bądź też szukać oparcia w obu jednocześnie. Warstwa kulturalna, postawiona wobec ciemnej, nieogarnionej jak ocean masy ludowej, odczuwała swą bezsilność i strach przed zagubieniem się w tej otchłani. I oto kręgi kulturalne, które wraz z pojawieniem się różnicowości przemianowały się na „Inteligencję”, skapitulowały przed żywiołem ludowym, złożyły hołd żywiołowi, który zagroził ich istnieniu. „Lud” w wyobrażeniach „Inteligencji” stał się tajemniczą siłą, obcą i zarazem fascynującą. W ludzie, jak sądzono, skryta jest tajemnica autentycznego życia, w ludzie poszukiwano jakiejś szczególnej prawdy, szukano Boga, utraconego przez warstwę kulturalną. „Inteligencja” nie czuła się organiczną częścią życia rosyjskiego, utraciła poczucie harmonii, oderwała się od korzeni. Harmonia zachowała się w „ludzie”, który żyje w sposób organiczny i zna jakiś bezpośrednią prawdę życia. Warstwa kulturalna nie była w stanie podolać swej misji kulturalnej wobec ludu, polegającej na wnoszeniu światła w mrok żywiołu ludowego. Wątpiła w swą posłannictwo, nie wierzyła w swą prawdę, podważała bezwzględną wartość kultury. Taki

stosunek do kultury, jaki panował w naszych sferach kulturalnych, nie mógł gwarantować rzeczywistego wypełnienia misji kulturalnej. Prawda kultury została zakwestionowana z religijnego, moralnego i społecznego punktu widzenia. Kultura, w przeświadczeniu „Inteligencji”, zrodziła się w nieprawdzie, okupiona była zbyt wysokimi kosztami i oznaczała zerwanie z życiem ludu, naruszenie harmonii. Kultura jest winą wobec „ludu”, odejściem od „ludu” i zlekacowaniem „ludu”. Owo poczucie winy przesładuje „Inteligencję” rosyjską na przestrzeni całego XIX wieku i osłabia jej energię kulturotwórczą. „Inteligencja” rosyjska zupełnie pozbawiona była świadomości absolutnego charakteru wartości kultury, świadomości bezwzględnie przysługującego jej prawa do tworzenia owych wartości. Wartości kulturowe poddane zostały krytyce moralnej, stały się czymś podejrzanym. To charakterystyczny rys narodnictwa rosyjskiego, które poszukiwało prawdy nie w kulturze, nie w jej obiektywnych dokonaniach, lecz w ludzie, w żywiołowym, organicznym życiu. Życie religijne wydawało się narodnikom nie formą kultury duchowej, lecz organicznym żywiołem. Charakterystyce tutaj podstawowe przeświadczenia narodnictwa rosyjskiego, abstrahując od jego różnych orientacji i odcieni. W rzeczywistości narodnictwo dzieli się na narodnictwo religijne i materialistyczne. Lecz w narodnictwie materialistycznym, które stanowiło wynaturzony wytwór naszej warstwy kulturalnej, ujawnia się ta sama psychologia, która właściwa jest również narodnictwu religijnemu. U rosyjskich socjalistów-narodników o orientacji ateistycznej występują rysy podobne, jak u narodników-słowiańców. Cechuje ich ta sama idealizacja ludu, ta sama podejrliwość wobec kultury. Zarówno nasze „prawicowe”, jak i „lewicowe” ruchy odznaczają się niekiedy zadziwiającymi podobieństwami, kryją w sobie „czarnoceciny”, wrogi kulturze żywioł. Jedną i tą samą chorobą naszego ducha narodowego przejawia się na przeciwstawnych biegach. Choroba ta polega na niedorozwoju pierwiastka personalnego, kultury jednostki, kultury osobistej odpowiedzialności i indywidualnego honoru. Na niedolności osiągnięcia autonomii duchowej, nietolerancji, poszukiwaniu prawdy nie w sobie, lecz poza sobą. Brak rygorysta w historii rosyjskiej pociągnął za sobą katastroficzne następstwa w sferze naszej kultury moralnej. Rosyjski „kolektywizm” i rosyjska „soborowość” uważane były za wielkie zalety narodu rosyjskiego, wywyższające go nad narodem Europy. Faktycznie świadczyły to jednak o tym, że osobowość, duch indywidualny nie w pełni przebudził się jeszcze w narodzie rosyjskim, że jednostka była jeszcze zbyt pogrążona w naturalnym żywiole życia ludowego. Dlatego też, w przekonaniu narodników, prawdy i Boga należało poszukiwać nie w jednostce, lecz w ludzie.

Czymże jest jednak „lud” w świadomości narodników? Cóż to za tajemnicza siła? Samo pojęcie „ludu” pozostaje nader nieścisłym i hybrydycznym. „Lud” w dominujących formach świadomości narodniczej nie był nacją, tzn. całościowym organizmem, w skład którego wchodziły wszystkie klasy i warstwy społeczne, wszystkie pokolenia historyczne; inteligent na równi ze szlachcicem, chłop, kupiec i mieszczanin na równi z robotnikiem. Słowo „lud” posiada u narodników nie tylko ów ontologiczny i jedynie prawomocny sens, lecz ma przede wszystkim sens społeczno-klasowy. „Lud” to dla nich głównie chłop i robotnicy, tzn. niższe klasy społeczeństwa, żyjące z pracy fizycznej. Z tego powodu szlachcic, fabrykant czy kupiec, podobnie jak uczonej, pisarz czy artysta nie są zaliczani do „ludu”, nie stanowią jego organicznej części, lecz przeciwstawiają się „ludowi” jako „burżuazja” czy też jako „Inteligencja”. W naszym „lewicowym”, rewolucyjnym i materialistycznym narodnictwie ostatecznie zapanowało takie właśnie społeczno-klasowe rozumienie „ludu”. Co

dziwniejsze, również w narodnictwie religijnym i w słowianofilstwie występuje owo społeczno-klasowe pojmowanie „ludu”, wchodzące w ostry konflikt z organicznym ukierunkowaniem świadomości słowianofilskiej. I dla słowianofila, i dla Dostojewskiego „lud” to przede wszystkim gmin, chłostwo, wieśniacy. Warstwy kulturalne, w ich przeświadczeniu, oderwały się od ludu i znajdują się w opozycji wobec „ludu” i prawdy ludowej. Prawda mieszka w chłostwie, a nie w szlachcie i nie w inteligencji. Chłopi chronią prawdziwą wiarę. Wyższym sferom kulturalnym odmawia się prawa do czucia się organiczną częścią narodu, prawa do swegoistego wyrażania żywiołu ludowego. Jeśli jestem szlachcinem czy kupcem, uczonym czy pisarzem, inżynierem czy lekarzem, nie mogę czuć się „ludem”, powinieniem traktować „lud” jako obcy, tajemniczy żywioł, któremu należy się podporządkować jako nosicielowi wyższej prawdy. W tej sytuacji stosunek do „ludu” i „tego, co ludowe” nie może mieć charakteru immanentnego i pozostaje stosunkiem transcendentnym. „Lud” to przede wszystkim „nic-ja”: to coś, co jest mi przeciwstawne, przed czym się koryżę, co zawiera prawdę, której w sobie nie odnajduję, to coś, przed czym czuję się winnym. Lecz taka świadomość jest świadomością niewolniczą, nie ma w niej swobody duchowej, nie ma poczucia własnej duchowej godności. Fałszywe „narodnictwo” Dostojewskiego znajduje się w sprzeczności ze wspaniałymi słowami o szlachcie rosyjskiej, włożonymi w usta Wsiewłoda: „.....Muszę wysoko cenić moje szlachectwo. W nas wytworzył się w ciągu wieków pewien — nie spotykany nigdzie indziej — wyższy, kulturalny typ człowieka, cierpiący za cały świat. Jest to typ rosyjski, a ponieważ ten typ przynależy do wyższej kulturalnej warstwy naszego narodu, więc mam zaszczyt należeć do niego. W nim ukryta jest przyszłość Rosji. Jest nas tysiąc ludzi, może trochę mniej, może trochę więcej, ale cała Rosja istniała tylko po to, by wydać ten tysiąc”¹.

Wielcy geniusze rosyjscy w szczytowych momentach swego życia duchowego i swej twórczości kulturalnej nie podolali próbie wysokich lotów i swobody ducha. Bojąc się samotności, rzucali się w dół, schodzili na niziny życia ludowego i w zespoleńiu z owym żywiołem spodziewali się odnaleźć wyższą prawdę. Wspaniali rosyjscy ludzie nie znają patosu wspinania się na wyżyny. Lękają się osamotnienia, odrzucenia, chłodu, szukają ciepła zbiorowego życia ludowego. Ta cecha w istotny sposób różni rosyjskiego geniusza Dostojewskiego od Nietzschego. I Tolstoj, i Dostojewski nie byli w stanie utrzymać się na szczycie i rzucając się w dół; przyciąga ich ciemny, nieogarniony i tajemniczy żywioł ludowy. W owym żywiole mają większą nadzieję odnaleźć prawdę niż we wspinaniu się na szczyty. Takimi byli również pierwsi wyraziaciele naszej świadomości narodowej — słowianofile. Znajdowali się oni na poziomie kultury europejskiej, byli najbardziej kulturalnymi ludźmi rosyjskimi. Pojęli, że kultura może być tylko narodowa i w tym punkcie bliżsi byli ludzom Zachodu niż nasi okcydentaliści. Lecz jednocześnie skapitulowali przed królestwem chłopskim, zatopili w jego tajemniczych głębiach. Nie znaleźli w sobie dość sił, aby obronić swą prawdę, aby wywić, iż w istocie jest ona prawdą całego narodu. Zeszli na manowce pojmowania „ludu” jako gminu, przeciwstawionego warstwie kulturalnej. Pociągano to za sobą zgubne następstwa dla naszej samoświadomości narodowej. Nasze „lewicowe”, areligijne narodnictwo zebralo fatalne owoce socjo-klasowego pojmowania „ludu”. Przepadła między „inteligencją” i „ludem” została pogłębiona i uprawomocniona. Pojęcie świadomości narodowej straciło rację bytu, możliwym okazało się jedynie pojęcie świadomości narodnickiej. Gdy tymczasem

w słowianofilstwie położono fundamenty pod organiczne rozumienie „ludu” jako narodu, jako mistycznego organizmu. Lecz słowianofile również padli ofiarą niemocy, choroby toczącej naszą warstwę kulturalną. Ta sama niemoc paraliżuje świadomość Dostojewskiego. Marksizm teoretycznie rozbił pojęcie „narodu” na klasy i zadał cios świadomości narodnickiej, lecz później sam uległ narodnickiej deformacji.

Narodnictwo Dostojewskiego to szczególny rodzaj narodnictwa — narodnictwo religijne. Lecz i słowianofile wyznawali narodnictwo religijne. A. J. Kosziew mówił, że lud rosyjski jako tylko dzięki prawosławiu, a bez prawosławia to tylko odrastwo. Słowianofile wierzili, że narod rosyjski jest najbardziej chrześcijańskim czy wręcz jedynym chrześcijańskim narodem na świecie. Jednakże religijna wiara Dostojewskiego w narod rosyjski należy już do innej epoki. Słowianofile czuli się mocno zakorzenieni w ziemi, czuli pod sobą twardy grunt. Byli ludźmi znającymi życie, ceniącymi wygodę życia. Silnie tkwili w nich jeszcze prądy ziemian rosyjskich, którzy wyróśli w gniazdach rodowych i przez całe życie pozostawali właścicielami owych gniazd. Nie można doszukać się u nich żadnego katastrofizmu, żadnych przeczuć dotyczących niewiadomego apokaliptycznej przyszłości. Dostojewski w calości należy do epoki katastrofistycznego światowidzenia, do epoki religijnie zwróconej ku Apokalipsie. Jego mejanistyczna świadomość narodowa zrykała uniwersalną, ogólnowiatową charakter, ogarnia losy całego świata. Słowianofile w porównaniu z nim byli mimo wszystko prowincjonalni. Stosunek Dostojewskiego do Europy jest zupełnie inny niż w wypadku słowianofilów, nieporównanie bardziej złożony i pełen napięcia. Zmienia się również jego stosunek do historii rosyjskiej. Dostojewski nie jest już skłonny do idealizowania przedpiotrowej Rosji. Pisarz przywiązuje ogromne znaczenie do Petersburga, do Piotrowskiego okresu historii rosyjskiej. Jest on pisarzem tej epoki. Interesują go losy człowieka w petersburskiej, Piotrowskiej Rosji: złożone, tragiczne doświadczenia rosyjskiego talacza, który w tym czasie oderwał się od głębi ojczyzny. Dostojewski nawijuje tutaj do Puuszkina. Życie go przyciąga słowianofiliom: Petersburga, tak genialnie przezeń opisana. Życie moskiewskich ziemian i chłopów jest mu zupełnie obce. Zajmuje go wyłącznie „inteligencja” rosyjska w petersburskim okresie historii rosyjskiej. Jest pełen przeczuć nadchodzących katastrof. Wyraża epokę, w której rozpoczęła się już wewnętrzna rewolucja. Dostojewski nie był słowianofilem w tradycyjnym sensie tego słowa, podobnie jak nie był również słowianofilem K. Leontiew. Są to ludzie należący do nowej formacji. Słowianofile nie posiadali owego wyjątkowego dynamizmu właściwego Dostojewskiemu.

W Dzienniku pisarza odnajdujemy wiele negatywnych wypowiedzi o słowianofilach, nie zawsze sprawiedliwych: Słowianofile mają rzadką umiejętność nierozpoznawania swoich i nierozumienia niegus w dzisiejszej rzeczywistości. Dostojewski broni okcydentalistów na przykład słowianofila. Czyżby okcydentaliści nie mieli takiego samego wyczucia rosyjskiego ducha i narodowości, jak słowianofile? (...) Chcieliśmy tylko podkreślić nieco marzycielski element słowianofilstwa, który doprowadza niekiedy do zupełnego zapoznania swoich i do kompletnego rozdziału z rzeczywistością. Tak że w każdym razie okcydentalizm był jednak bardziej realny od słowianofilstwa i mimo wszystkich pomysłów posuwał się jednak do przodu, podczas gdy słowianofilstwo w ogóle nie ruszało się z miejsca, a nawet poczytywało to sobie za wielką zaszczyt. Okcydentalizm śmiało zadawał sobie ostatnie pytanie: z bólem je rozstrzygnął i — poprzez sumienie — wrócił jednak na grunt ludowości, uznając połączenie z elementem ludowym i ratunek w powrocie do głębi. My ze swej strony ogłaszamy jako fakt — i niechciami wierzmy — jego nieomyślność — że w obecnym, nieomal powszechnym (...) powrocie do głębi, świadomym i niewiadomym, słowianofile mieli zbyt mały udział, a nawet może w ogóle go nie mieli. Dostojewski ceni okcydentalistów za ich doświadczenie, za bardziej złożoną świadomość, za dynamizm woli. Oburza go to, iż słowianofile po jaśniejszym doświadczeniu się wobec trudnego procesu życiowego, wobec ruchu literackiego i patrzący na wszystko z góry. Dla Dostojewskiego ci wszyscy „chłopcy rosyjscy” —

¹ Cytaty z *Mindzka* podano w tłumaczeniu M. Bogdanowej i K. Bieżyńskiego (F. Dostojewski: *Mindzka. Powieść*, Warszawa 1956).

² Wszystkie cytaty z *Dziennika pisarza* podano w tłumaczeniu M. Leiniewskiej.

ateści, socjaliści i anarchiści — są przejawem ducha rosyjskiego. Również nasza okcydentalistyczna literatura jest przejawem ducha rosyjskiego. Pisarz opowiada się za tragicznym realizmem życia, a przeciwko idealizmowi słowianofilów. Dostojewski rozumiał owe przemiany duchowe, które dokonywały się w Rosji. W swej proroczej świadomości wywijał naturę owych zmian i ukazywał ich przebiegającą konsekwencję. Stał na stanowisku doświadczenia duchowego, postulował konieczność poddania się duchowej próbie. Natomiast słowianofili w czasach Dostojewskiego, w swym drugim pokoleniu, przeszli rozumieć jakiekolwiek zmiany, bali się wszelkich eksperymentów. Były to dwa zupełnie różne typy stosunku do życia. Głoszona przez Dostojewskiego koncepcja „gleby” jest znacznie głębsza niż idea „gleby” w ujęciu słowianofilów. Dostojewski dostrzega głębię rosyjską w najgłębszych warstwach, jakie odnawiają się w wyniku trzęsienia ziemi czy w zapadlinach. Nie jest to zwyczajne przywiązanie do gleby, lecz zjawisko ontologiczne, rozpoznanie ducha narodowego w głębinach bytu.

Zdumiewa stosunek Dostojewskiego do Europy. Szczególnie interesujące są w tej kwestii słowa Wiersłowa, w które Dostojewski włożył swe najczulsze myśli o Europie. Wiele swych myśli pisarz wkłada w usta Wiersłowa. Człowiek rosyjski jest człowiekiem uniwersalnym i najbardziej wolnym na świecie.

... Oni (Europejczy — M.B.) nie są wolni. Może ja jeden w całej Europie — ja, z duszą pełną rosyjskiego smutku — byłem wtedy człowiekiem wolnym (...). Każdy Francuz może służyć nie tylko swojej ojczyźnie, ale nawet całej ludzkości, pod tym jedynie warunkiem, że zostanie przede wszystkim Francuzem; to samo można powiedzieć o Anglii i Niemcu. Jedyńie Rosjanin już w naszych czasach, to znaczy o wiele wcześniej, niż wszystko będzie podsumowane, obdarzony jest pewnymi zdolnościami i staje się najbardziej Rosjaninem wtedy właśnie, gdy staje się Europejczykiem. To najistotniejsza różnica, wyodrębniająca nas od innych narodów — cecha nie spotykana nigdzie indziej. We Francji — jestem Francuzem, w Niemczech — Niemcem, w starożytniej Grecji — Grekiem, i właśnie dlatego pozostaje najdroższym, prawdziwym Rosjaninem, najwierniejszym sługą Rosji, ponieważ reprezentuje jej najbardziej zasadniczą myśl. Rosjaninowi Europa jest równie droga, jak Rosja. Każdy jej kamień jest dla niego cenny i bliski — jest tak samo naszym ojczyzną jak Rosja. O, więcej jeszcze! Niki nie może bardziej kochać Rosji niż ja, a jednak nigdy nie robiłem sobie wyrzutów: że Wenecja, Rzym, Paryż, ze swymi skarbnicami nauki i sztuki, są mi droższe niż Rosja. O, Rosjanie kochają te stare, cudze kamienie, te osobliwości starego świata Boga, te okruciny dawnych wieków i zwierząt; są może droższe nam niż im (...). Rosja jednak żyje nie dla siebie, ale dla idei; znamię to (...). Że od stulecia blisko Rosja żyje nie dla siebie, lecz dla Europy. Takich słów nie mogły wypowiedzieć żaden słowianofil. Ten sam motyw pojawia się również w wypowiedzi Iwana Karamazowa. Do Europy chce jechać, Alosza, stąd właśnie pojadę; choć wiodę z góry, że jadę na cmentarz, ale na najdroższy w świecie cmentarz. Tam spoczywają drodzy zmarli, każdy kamień nad nimi świadczy o tak żarliwie przeżytym życiu, o tak namietnej wierze w ich bohaterstwo, w ich prawdę, w ich walkę i w ich naukę, że, wiem to, z góry, padną na ziemię i będą całować owe kamienie i zlewać je łzami, chociaż jednocześnie będą wierzyli całym sercem, że wszystko to cmentarzysko i nie ponadto³. Podobna myśl powtarza się w Dzienniku pisarza: O, czy wiecie, panowie, jak nam jest droga — nam marzycielom-słowianofilom, podług was nienawidzącym Europy, ta właśnie «kraina świętych cudów»? Czy wiecie, jak nam są drogie te «cudów», jak kochamy i czcimy, bardziej niż po bratersko kochamy i czcimy wielkie załudniające ją narody i wszystko to wielkie i piękne, czego dokonali? Czy wiecie, jak nas męczy i niepokoją losy tej drogiej i bratniej krainy.

³ Cytylaty z *Braci Karamazow* w tłumaczeniu A. Waśa.

ile leż nas kosztują, jak nam się serce ścisła o nie, jakim łękiem przejmują nas ciemne chmury, coraz bardziej zasnawające jej niebo? Nie, panowie Europejczy i okcydentaliści nigdyście tak nie kochali Europy jak my, marzyciele-słowianofile, my — podług was — jej odwieczni wrogowie. W taki sposób nie mówili ani słowianofile, ani okcydentaliści. Jeden tylko K. Leontiew, który nie był ani słowianofilem, ani okcydentalistą, mógł wypowiedzieć o przeszłości Europy podobne słowa. Rosyjscy myśliciele religijni w rodzaju Dostojewskiego i Leontiewa nie odrzucaли wielkiej kultury Europy Zachodniej. Szanowali tę kulturę bardziej niż współczesni Europejczycy. Odrzucaли dzisiejszą cywilizację europejską, jej „burzuażny”, mieszczański duch, demaskowali zdradę wielkiej przeszłości i nakazów kultury europejskiej, pochodzących z przeszłości.

Przeciwstawienie Rosji i Europy dla wielu pisarzy i myślicieli rosyjskich było jedynie przeciwstawieniem dwóch rodzajów ducha, dwóch typów kultury; było jedynie formą walki duchowej z tendencjami cywilizacji współczesnej, tłumiącej ducha. Słowianofilstwo, apologia Wschodu były swoistą aberracją świadomości. Dwie formy ducha ścierają się ze sobą w świecie i w następstwie zdrady chrześcijańskich podstaw kultury zwycięża duch cywilizacji mieszczańskiej. Duch materialistyczny zdominował ducha religijnego, przywiązanie do bogów ziemskich przesłoniło niebo. Taka jest właśnie światowa tendencja cywilizacji współczesnej. Po raz pierwszy ujawniła się ona z pełną wyrazistością w życiu narodów europejskich. Ratunkiem dla Rosji stało się jej „zacofanie”. I oto pojawia się pokusa, aby uznać, że owa światowa tendencja nie ma władzy nad Rosją i narodem rosyjskim, że jest ona wyłącznie zjawiskiem odnoszącym się do Zachodu i narodów europejskich. Religijne nurty myśli i literatury rosyjskiej zabarwiły się ideami słowianofilskimi. Był to kolor obronny. Niemcy na początku XIX wieku, w epoce wielkiego rozkwitu niemieckiego idealizmu i ruchu romantycznego, doświadczyli podobnych nastrojów i wytworzyli podobną samowiedzę. Duch idealistyczny, nastawienie romantyczne, afirmacja wyższych interesów duchowych prezentowane były jako duch niemiecki, nastawienie niemieckie, interesy niemieckie i przeciwstawiane antyduchowej orientacji „Zachodu” — Francji i Anglii. Towarzyszył temu nader intensywny rozwój niemieckiej świadomości mesjanistycznej. Lecz później Niemcy wkroczyli na drogę materializmu i zdradzili swe wyższe powołanie duchowe. Walka dwóch rodzajów ducha, walka religijnej kultury i religijnej cywilizacji zawsze była immanentną właściwością Europy Zachodniej, rozgrywała się na gruncie europejskim. Francuscy romantycy, symboliści, katolicy XIX wieku (Barbey d'Aurevilly, Villers de L'Isle-Adam, Huysmans, L. Bloy) całą swą istotą i w całym swym pełnym cierpieniu życiu przeciwstawiali się panującemu duchowi wieku, ti europejskiej i francuskiej cywilizacji XIX stulecia, która raniła ich nie mniej niż słowianofilów — Dostojewskiego i K. Leontiewa. Zwalczali się ku średniowieczu jako swej ojczyźnie duchowej. Również Nietzsche wyrażał namietnym marzeniem o tragicznej, dionizyjskiej kulturze był wyraziścielem żarliwego i chorobliwego protestu przeciwko tryumfującemu duchowi cywilizacji europejskiej.

Wątek ten ma więc charakter światowy i nie może być pojmowany jako przeciwstawienie Rosji i Europy, Wschodu i Zachodu. Polega on na przeciwstawieniu dwóch rodzajów ducha, dwóch typów kultury zarówno w obrębie Europy, jak i w obrębie Rosji, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Wybrany Rosjanom, najwybitniejszym i najoryginalniejszym naszym myślicielem i pisarzem dane było odczuć do konfliktu ostrzeżenie już ludziom Zachodu, bardziej skrupowanym przez charakter swej historii kulturalnej. Nawet Herzen wykazał pod tym względem większą wrażliwość niż Europej-

czyży lat czterdziestych. Nie należało wszakże wyprowadzać stąd wniosku, że owa światowa tendencja współczesnej cywilizacji, ów areligijny duch nie uzyska w Rosji przewagi i nie spowoduje uszczerbku ducha religijnego. W Rosji pojawili się marksisci i odnieśli sukces. I w Rosji toczy się walka dwóch postaci ducha, dwóch typów kultury, lub ściślej — walka ducha z siłami osłabiającymi ducha, walka autentycznej kultury z cywilizacją. I w Rosji może zapanować nie duch, nie kultura. Ducha i kulturę nie tylko zbliżam do siebie, lecz utożsamiam ze sobą, ponieważ kultura w swej istocie jest zawsze duchowna. Nie duchowna może być tylko cywilizacja, natomiast kultura jest zawsze związana z święconą tradycją, z kultem przodków. Dostojewski ostrzeż o innych doświadczyć owej dwoistości nadchodzących czasów, narastania antychrystusowego ducha. Ujawnił rozwój tego ducha w Rosji, przede wszystkim w Rosji. Natomiast K. Leontiew w ostatnim okresie swego życia wątpił w to, że Rosja zdola jeszcze wytworzyć nowy typ kwitnącej kultury, przeciwny wyrodniczej cywilizacji europejskiej i przypominający dawne świetne kultury Europy. Wpadł w rozpacz, dostrzegłszy w Rosji tryumf nienawistnej mu światowej siły unifikującej. I dlatego wypowiedział budzące lęk słowa, iż być może jedyną misją religijną, jaką ma do spełnienia Rosja, jest wyłonienie Antychrysta. W ten sposób idea religijnego narodnictwa uległa u nas samorozpadowi, bieg historii rosyjskiej zadął jej śmiertelny cios. Tragiczne okazały się również losy rosyjskiej idei mesjanistycznej.

Każdy wielki naród wierzy i wierzyć powinien — o ile, rzecz jasna, chce długo żyć — że w nim właśnie, i tylko w nim, tkwi zbawienie świata, że po to żyje, by stać na czele narodów, przylgnąć je do siebie, wchłonąć i prowadzić harmonijnie zespolone do ostatecznie przeznaczonego im celu. Tak formułuje Dostojewski w Dzienniku pisarza swój postulat mesjanistycznej świadomości narodowej. W tak pojętej świadomości mesjanistycznej od samego początku brak jest poczucia narodowej wyjątkowości, narodowego partykularyzmu. Mesjanistyczna świadomość narodu jest świadomością uniwersalną, kosmiczną. Naród mesjanistyczny powołany jest do tego, aby służyć sprawie zbawienia wszystkich narodów, całego świata. I takie zadanie powszechnego zbawienia Dostojewski stawia przed narodem rosyjskim, narodem „noszącym w sobie Boga”. Mesjanizm nie jest nacjonalizmem. Mesjanizm pretenduje do czegoś znacznie większego niż nacjonalizm. Lecz me ma w nim poczucia narodowej wyjątkowości, narodowej samoufirmitacji. Słowianofilów w przeważającej mierze cechowała świadomość nacjonalistyczna. Wierzyli oni, iż naród rosyjski repente napuścił typ kultury chrześcijańskiej. Jednakże nie domagali się uznania, iż naród rosyjski powinien zbawiać wszystkie narody i cały świat, wyjawiać prawdę kosmiczną. W uniwersalnym geniuszu Puszkina Dostojewski odkrywa ogólnoludski charakter rosyjskiego ducha narodowego. Zadzwia go w Puszkine „dłonoś ogromnej nierzłowności na wszystko, co abec, i zupełnego przeistaczania się w geniusze innych narodów — przeistaczania się niemal abstrakcyjnego (...). Zdolność ta jest zdolnością całkowicie rosyjską, narodową, i Puszkini tylko dzielą ją z całym naszym narodem. W opozycji do słowianofilów Dostojewski stwierdza, że „nasze dążenie do Europy, nawet ze wszystkich jej zasilepieniami i skrajnościami, było nie tylko szlachne i rozsądne w zasadzie, lecz i narodowe, całkowicie się zgadzało z dążeniami naszego ducha narodowego, i koniec końców bętporne ma również wyższy cel (...). Dusza rosyjska, geniusz narodu rosyjskiego może lepiej od innych narodów potrzebują zawrzeć w sobie idee ogólnoludzkiego jednoczenia, braterskiej miłości... Dostojewski z genialną przenikliwością odkrywa, iż niespokojne i buntownicze talucio i pielgrzymowanie ducha rosyjskiego jest zjawiskiem głęboko narodowym, przejawem rosyjskiego ducha narodowego. W Aleku Puszkini już znalazł i genialnie ukazał tego niszczącego wędrowca po ziemi ojczyjst, tego historycznego rosyjskiego cierpienika... Dalszym losom owego wędrowca poświęcona jest cała twórczość Dostojewskiego. Postać ta interesowała pisarza najbardziej. Ludzie związani z ziemią, zakorzenieni w ziemi, wiodący ustabilizowane życie nie wzbudzały jego zainteresowania... Rosyjskiemu wędrowniowi potrzebne jest właśnie

powszechne szczęście, aby się mógł uspokoić, czegoś mniejszego nie przyjmie... W rosyjskim taluczu, w rosyjskim odzściępieniu ujawnia się ogólnoludzki duch narodu rosyjskiego. Myśli Dostojewskiego również w tej kwestii są antynacjonalistyczne, a antynacjonalizm owa jest rezultatem dynamizmu myśli ciągle poszukującej. Rosyjski wędrowiec oderwał się od głębi ludowej. Ten właśnie grzech pociąga za sobą bezpłodność jego twórczych zamierzeń. Lecz wędrowiec rosyjski, którego Dostojewski uważał za wytwór rosyjskiego jasiępiństwa i pogardliwie nazywał „gentilhome russe et citoyen du monde”, jest zjawiskiem głęboko rosyjskim i występującym tylko w Rosji. Podobnych antynacjonalistycznych rozważań o „rosyjskim taluczu” nie mogłaby ponieść w sobie bardziej utadczona myśl słowianofilska. Dostojewski kochał rosyjskiego wędrowca i był ogromnie zainteresowany jego losem. Pisarz traktował „Inteligencję” rosyjską, która oderwała się od „ludu”, jako zjawisko narodowe. Fakt ten ma duże znaczenie dla zrozumienia światowoczuca Dostojewskiego. Dlatego religijne nagnośnienie Dostojewskiego było nader złożonym połączeniem antynacjonalistycznych myśli. Dostojewski wynosił na piedestał „prawdę ludową”, zrywał do poszukiwania „prawdy ludowej i prawdy w ludzie”. „Lud” zaś pojmował raz jako mistyczny organizm, duszę narodu, wspaniałą i tajemniczą całość, raz jako „prosty” lud, chłopstwo. Przejawiała się w tym typowa niejasność i zagmatwanie naszej świadomości narodowej. Lecz można przeczyć inaczej rozumieć misję talucza rosyjskiego. W swoim własnym wnętrzu może on odkryć i utwidocić swoje bytowanie ludowy i stać się dzięki temu przedziwnie ludowy. Cidz wnętrze każdego człowieka rosyjskiego ma w istocie swego charakter ludowy. To, co „ludowe”, nie znajduje się poza nim, nie znajduje się w chłopie, lecz we mnie, w najgłębszych warstwach mojego własnego bytu, nie będącego już zamkniętą monadą. Tak właśnie immanentny stosunek do „ludu” i tego, co „ludowe”, jest jedynie ludowy. Nie jestem oderwany od „ludu” z tego rzekomo powodu, iż znajduję się na powierzchni, a nie w głębi życia ludu. Aby stać się „ludowym”, nie są mi już potrzebni żadni chłopci, żaden grm, wszę tylko zwrócić się ku własnemu wnętrzu. To samo odnosi się również do świadomości religijnej. Czym jest zatem owa „prawda ludowa”, odkrywana we własnym wnętrzu? Dostojewski nie zapożyczył jej od chłopów, od gminu, któremu jest ona faktycznie obca, lecz odnalazł ją w głębinach własnego ducha. To właśnie Dostojewski jest „ludem” i to w stopniu o wiele większym niż całe chłopstwo Rosji... Masja Rosjanina jest bezprzecznym misją ogólnoczucającą i ogólnoludzką. Stał się prawdziwym Rosjaninem, zupełnym Rosjaninem, może znaczy tylko i w ostatecznym rachunku, trzeba to podkreślić) stał się bratem wszystkich ludzi, wszechczłowiekiem, jeśli się tak można wyrazić. O, całe to nasze słowianofilstwo i okcydentalizm jest tylko jednym wielkim nieporozumieniem, co prawda historycznie nieniekłomnym. Dla prawdziwego Rosjanina Europa i los całego wielkiego aryjskiego plemienia są równie drogie, jak sama Rosja. Jak los własnej ziemi ojczyjst, gdyż naszym losem jest właśnie powszechne zbliżowanie... Takie pojmowanie rosyjskiego polonistnika i rosyjskiej idei i było bardziej zbliża Dostojewskiego do W. Solowjowa niż do słowianofilów lub późniejszych rosyjskich nacjonalistów. Lecz w mesjanistycznej świadomości Dostojewskiego można odkryć sprzeczności i zagrożenia właściwe każdej świadomości mesjanistycznej.

Idea mesjanistyczna jest tworem narodu żydowskiego, wybranego narodu bożego, wśród którego miał pojawić się Mesjasz. I oprócz mesjanizmu żydowskiego nie istnieje żaden inny mesjanizm. Żydowski mesjanizm znalazł potwierdzenie w objawieniu się Chrystusa. Lecz po tym zdarzeniu w granicach świata chrześcijańskiego nie jest już możliwa mesjanistyczna świadomość narodu. Wybrany naród bożym jest cała chrześcijańska wspólnota. Poszczególne narody mają do spełnienia swe misje, lecz nie są to misje mesjanistyczne. Mesjanizm żydowski opierał się na zbliżeniu i utożsamieniu pierwiastka religijnego i narodowego. Świadomość mesjanistyczna nie jest świadomością nacjonalistyczną, zawsze wszak partykularną, lecz — świadomością uniwersalną. Naród żydowski nie uważał się za jeden z narodów wśród innych narodów, lecz — za jedyny naród boży, powołany do zbawienia świata, założenia Państwa Bożego na ziemi. I dlatego każda świadomość mesjanistyczna, która pojawi się

w obrębie świata chrześcijańskiego, będzie zawsze rejuذاizacją chrześcijaństwa, cofnięciem się do dawnego żydowskiego utożsamienia tego, co religijne, z tym, co narodowe. W starodawnych ambicjach ludu rosyjskiego, aby uznać Rosję za Trzeci Rzym, zawierały się niewątpliwie elementy judaizmu na gruncie chrześcijańskim. W jeszcze większym stopniu u judaizm występuje w mesjanizmie polskim. Rosyjska świadomość mesjanistyczna, która wywodzi się z idei Trzeciego Rzymu, utrzymuje się na przestrzeni całego XIX stulecia i osiąga swe apogeum w twórczości wielkich rosyjskich myślicieli i pisarzy. W wieku XX ujawnił się w całej pełni tragiczny los rosyjskiej idei mesjanistycznej. Imperatorska Rosja mało przypominała Trzeci Rzym. Według Dostojewskiego, Kościół w Rosji „znajdował się w stanie paraliżu”, był w poniżający sposób podporządkowany Cesarzowi. Rosyjscy wyznawcy mesjanizmu marzyli o Przyszłej Stolicy, lecz swej stolicy nie posiadali. Mieli nadzieję, że w Rosji powstanie nowe królestwo, tysiąclecie Królestwo Chrystusowe. I oto padła Imperatorska Rosja, dokonała się rewolucja, pękły łańcuchy wiążące Kościół rosyjski z rosyjskim państwem. I naród rosyjski podjął próbę zbudowania nieznanego dotąd w świecie królestwa. Lecz zamiast Trzeciego Rzymu stworzył Trzecią Międzynarodówkę. I świadomości tych, którzy tworzyli Trzecią Międzynarodówkę, także okazała się na swój sposób świadomością mesjanistyczną. W swym własnym przeświadczeniu byli oni nosicielami światła ze Wschodu, które powinno oświecić znajdujące się w „burżuazyjnym” mroku narody Zachodu. Takie oto były dyle rosyjskiej świadomości mesjanistycznej. Cechuje ona nie tylko mnicza Filofeja, lecz również Bakunina. Lecz świadczy to o tym, iż w samej podstawie świadomości mesjanistycznej kryje się fałsz religijny, kryje się fałszywe przekonanie o więzi między tym, co religijne, i tym, co narodowe. Grzech bałwochwalstwa narodowego leży u podstaw świadomości mesjanistycznej i grzech ten pociąga za sobą nieuniknioną karę.

Sprzeczności, pokusy i grzechy rosyjskiej idei mesjanistycznej ilustruje postać Szatowa. Lecz czy sam Dostojewski zdolał uwolnić się od poglądów Szatowa? Oczywiście, pisarz nie jest Szatowem, lecz przeciwko Szatowowi i coś z tej postaci było w nim samym. Wszyscy bohaterowie Dostojewskiego są częścią jego własnej duszy, momentami jego drogi ideowej. Szatow mówi do Stawrogina: Czy pan wie, jaki dziś naród, jedyny na świecie noszący Boga w sobie, ma odnowić i zbawić świat w imię nowego Boga? Jedyny, któremu dane są klucze życia i nowego świata? Każdy naród dopóty jest narodem, dopóki ma własnego wyłącznego Boga, a innych bogów odrzuca bez żadnego miłosierdzia...⁴ To właśnie jest cofnięciem się do pogańskiego partykularyzmu. Lecz dalej Szatow ostatecznie przekształca się w judaisę o uniwersalistycznych pretensjach. Gdy wielki naród nie wierzy, że w nim jednym jest prawda (właśnie w nim i właśnie wyłącznie), gdy nie wierzy, że on jeden może wszystkich wskrzesić i zbawić swoją prawdą, gdy nie wierzy, że jest do tego powołany — przestaje natychmiast być wielkim narodem, staje się jedynie materiałem etnograficznym (...) Lecz prawda jest jedna, więc tylko jeden naród może mieć prawdziwego Boga, chociażby inne narody miały własnych, wielkich bogów. Jedyny naród umający w sobie Bogas — to naród rosyjski. Wówczas Stawrogin zadaje Szatowowi fatalne pytanie: czy pan sam wierzy w Boga?

Wierzę w Rosję i wierzę w jej prawosławie... Wierzę w ciało Chrystusowe... Wierzę, że Chrystus powtórnie zstąpi na ziemię w Rosji... Wierzę... — krzyknął zapamiętale.

— Lecz w Boga? W Boga?

— Będę... będę wierzył w Boga.

W tym frajującym dialogu sam Dostojewski demaskuje fałsz religijnego narodnictwa, fałsz bałwochwalczej czci dla narodu, obnaża niebezpieczeństwo narodnickiej świadomości mesjanistycznej. Wielu Rosjan uwierzyło w naród wcześniej niż w Boga, uwierzyło w naród bardziej niż w Boga, i poprzez naród chciało dojść do Boga. Pokusa bałwochwalczego stosunku do narodu jest pokusą rosyjską. W świadomości rosyjskiej to, co religijne, i to, co narodowe, jest tak ze sobą zmieszane, że trudno je oddzielić. W rosyjskim prawosławiu owo pomieszanie prowadziło niekiedy do utożsamienia tego, co religijne, z tym, co narodowe. Lud rosyjski wierzył w rosyjskiego Chrystusa. Chrystus jest Bogiem ludowym, bogiem chłopstwa rosyjskiego, jego obraz ma rysy rosyjskie. Lecz to właśnie jest pogańskim odchyleniem w rosyjskim prawosławiu. Narodowa izolacja religijna i poczucie własnej wyjątkowości, osobobnie i od chrześcijaństwa zachodniego i od zdecydowanie negatywny doń stosunek, szczególnie do świata katolickiego — wszystko to znajduje się w jawnej sprzeczności z uniwersalnym duchem chrześcijaństwa. Każdy naród, podobnie jak każda indywidualność, w sposób swoisty odbiera i wyraża wiarę chrześcijańską. Również chrześcijaństwo narodu rosyjskiego powinno być chrześcijaństwem swoistym, powinno posiadać swoje i indywidualne rysy. W niczym nie przeczy to powszechnemu charakterowi chrześcijaństwa, ponieważ wszechjędzia chrześcijańska jest wszechjędzią konkretną, a nie abstrakcyjną. Jednakże chrześcijaństwo rosyjskie narzucone było na niebezpieczeństwo dominowania uniwersalnego Logosu przez żywioł narodowy, pierwiastka męskiego przez żeński, duszy przez ducha. Niebezpieczeństwo to zagrażało również samemu Dostojewskiemu. Często głosi on nie Boga ogólnoludowego, lecz rosyjskiego. Nietolerancja Dostojewskiego jest judaistycznym rysem w jego religijności. Postać Szatowa jest fascynująca właśnie dlatego, iż łączy się w niej dwa żywioły — rewolucyjny i „czarnoseciny”, ujawnia się ich pokrewieństwo. Rosyjskiego rewolucjonisty-maksymalistę często nie sposób odróżnić od rosyjskiego „czarnoseciny”, zachodzi między nimi zadziwiające podobieństwo. Obaj ulegają tej samej pokusie bałwochwalczego wyniesienia ludu. Żywioł ludowy ma ci rozum, paraliżuje i rozkłada ich osobowość. I jeden, i drugi należą do opętanych. Dostojewski potrafił to zauważyć, ponieważ w sobie samym wyczuwał jednocześnie pierwiastek rewolucyjny i „czarnoseciny”. Pisarz odkrył w ludzie rosyjskim przerażający, namiętny i pożądliwy żywioł, którego nie zauważyli nasi pisarze-narodnicy. Nieprzypadkowo w łonie ludu rosyjskiego powstało chłystowstwo — sekta typowo rosyjska, w której rosyjskie prawosławie zmieszało się z odwiecznym rosyjskim pogaństwem, z ludowym pierwiastkiem dionizysm. Wówczas, gdy religijność rosyjska przybiera ekstatyczne formy, z reguły ujawniają się w niej elementy chłystowstwa. Żywioł ludowy okazuje się silniejszy od światła uniwersalnego Logosu.

W narodzie rosyjskim uległa zakłóceniu równowaga między pierwiastkiem męskim i żeńskim, między duchem i duszą. I tutaj należy szukać przyczyn wszelkich schorzeń naszej świadomości religijnej i narodowej. Trafnie wyczuł i z niezwykłą siłą przedstawił ów przerażający żywioł ludu rosyjskiego A. Biely w powieści *Srebrny gołąb*. Rosja nie jest Zachodem, ale nie jest również Wschodem. Jest ona wielkim Wschodo-Zachodem, spotykają się w niej i wzajemnie na siebie oddziałują pierwiastki wschodnie i zachodnie. Na tym polega złożoność i zagadkowość Rosji.

Dostojewski posiadał dar proroczy. Dar ów zweryfikowała historia. Ze szczególną siłą ujawniło się to wówczas, gdy obchodziliśmy czterdziestą rocznicę śmierci pisarza. Jednakże sprawdzili się głównie negatywne, a nie pozytywne proroctwa Dostojewskiego, dotyczące Rosji i narodu rosyjskiego. *Biesy* to powieść proroczą. Obecnie jest

⁴ Cytaty z *Biesów* w przekładzie T. Zagórskiego i Z. Podgórnica

to jasne dla wszystkich. Lecz nie znalazły potwierdzenia liczne optymistyczne przepowiednie Dostojewskiego, którymi przepełniony jest *Dziennik pisarza*. Z uderką czytamy dzisiaj stronicie mówiące o rosyjskim Konstantynopolu, o Białym Czarze, o narodzie rosyjskim jako jedynym chrześcijańskim narodzie w świecie. W jednej zwłaszcza kwestii Dostojewski popełnił ogromny błąd i okazał się złym prorokiem. Pisarz sądził, iż inteligencja zarażona jest ateizmem i socjalizmem. Wierzył wszakże, iż naród nie ulegnie tej pokusie i pozostanie wierny Prawdzie Chrystusowej. Była to aberracja świadomości narodnickiej. Religijne narodnictwo Dostojewskiego spowodowało osłabienie jego daru proroczego. Rewolucja rosyjska odrzuciła rosyjskie narodnictwo religijne, zdemaskowała iluzje i samooklamywanie się świadomości narodnickiej. „Lud” zdradził chrześcijaństwo, „inteligencja” zaś zaczyna powracać do chrześcijaństwa. Najważniejszy zaś wniosek sprowadza się do tego, iż należy ostatecznie przezwyciężyć wszelkie klasowe podejście do spraw religijnego życia narodu. Ani słowianofile, ani Dostojewski nie potrafili w pełni uwolnić się od owego klasowego punktu widzenia. Trzeba zwrócić się w stronę osoby ludzkiej i szukać ratunku w pogłębionym życiu duchowym. I jest to bardziej zgodne z głównym kierunkiem poszukiwań duchowych samego Dostojewskiego. Dobiega kresu słowianofilstwo, dogorywa okcydentalizm, nie jest już możliwe w żadnej formie rosyjskie narodnictwo. Wstępujemy w nowy wymiar bytu. I musimy wypracować nową, uduchowioną, odważniejszą świadomość religijną i narodową. Dostojewski może w ogromnym stopniu przyczynić się do wytworzenia owej nowej świadomości. Na jego przykładzie możemy analizować nasze pokusy i grzechy. Naród rosyjski poszukujący dróg prowadzących do nowego życia, do duchowego odrodzenia musi nabyć pokory i wyrazić skruchę, musi poddać ducha surowej samodyscyplinie. Tylko wówczas odzyska swe siły duchowe. Wyrzeczenie się mesjanistycznych ambicji powinno umocnić narodowe posłannictwo Rosji. Przewycięzenie narodnictwa powinno umocnić osobę i przywrócić godność jej duchowo-kulturalnej misji.

Przełożył: Tadeusz Szkołot

Prezentowany tekst stanowi nieznacznie skrócony ródz. VII książki N. Biedniewa *Miłoszerczanie Dostojewskiego* (Praga 1923). Tłumaczenia dokonano na podstawie wydania: YMCA — Press 1968, s. 163-194

ZOFIA GRZESIAK

DZWONY PASCHALNE

Niedzielnny poranek był piękny. Wiosenne niebo przypominało szafirową szatę bez odrobiny kurzu, z lekkim polyskiem czerwieni spadającej ze wschodzącego słońca. Szara mgła klebiła się na moczarach chyłała się do góry, odsłaniając nasycony wodą kobierzec zielonych traw.

Cerkiewne dzwony wesolo dzwoniły. Jarzma skrzypiały, woly taborem ciągnęły czysto wymyte wozy, na których stały kobialki z paszką. Dzieci i kobiety w barwnych chustkach, z mnóstwem koralików na wychudzonych szyjach, z wielką pożądliwością spoglądały na zawartość znajdującą się pod białymi jak śnieg płóciennymi chustami. Szczęśliwogodniowy post wygłodził ciało, żołądki aż piszczały.

Słońce przygrzewa. Wróble jak oszalałe skaczą ćwierkając po obsppanych pachnących baziami wierzbach. Skowronki wiszą dzwoniąc w przestworzach, koła turkoczą i napelniają wesołością dusze gospodarzy, którzy spodziewają się, że urodzaj będzie w tym roku dobry. Pascha jest chwała Bogu ciepła, wody opadły, bydło ma dużo paszy, a żyto rośnie w oczach. Wiśniowe sady są aż białe od kwiatów. Przez całą drogę, jak okiem sięgnąć, ciągną zaprzęgi z paszką do święcenia. „Isus woskres, woistienno woskres”, pozdrawiają siebie gospodarze nawzajem.

Dzisiaj każdy jest po spowiedzi, każdy stara się w tym wielkim dniu nie grzeszyć, nikogo nie gniewać, choćby przez ten jeden dzień, w którym panuje ogromna radość.

„Cztery kopiejki, piątą dam-dam-dam”, biją cerkiewne dzwony. Dzwoni cerkiewny dzwon w Horodcu, dzwoni w Korostu, a ich spżowe głosy, jakby współzawodniczyły ze sobą, nawet z Werbeza słychać jak wiatr niesie odgłos dzwonów, jakby gdzieś stado ptaków dzwoniło. Choć ranek jest już późny, a cienie rzucone słońcem cofnęły się pod stodoły, dymu z kominów nie widać. Kminy też świętują, tylko bociany na strzechach, stojąc na jednej nodze klekoczą, dziękując Bogu po swojemu za ciepły ranek, za obfitość żab rechoczących w sitowiu. Dzisiaj w piecu nikt nie pali, wszyscy świętują. Kobiety przed samą Paszką miały pełne ręce roboty, kilka nocy za koleją nie spały. Trzeba było chałę wybielić, krosna z domu wyrzucić i płótna świeżo utkane kijanką uprać, by były białe, i gąsiątka pilnować, bo wyglodniały jastrzęb tylko czeka, żeby porwać złapane gąsiątka.

Kto jest choć trochę bogatszy ten bije wieprza, żeby kielbasy

narobić, trzeba też zrobić odrobinę masła i prosie gryczaną kaszą nadziać i upiec, a najtrudniej to samą paschę przygotować.

Dawniej było inaczej — wspomina macocha. — Upiekło się stos palanin, z kopę błinów, prosiakowi wsadziło się do ryja kawał chrzanu, umailo barwinkiem, do tego z pięć, sześć kraszanek, batiuszka pościelił i już. Teraz musi być całkiem inaczej — mówi zmęczonym głosem do pasierbicy i do swej córki Hapki. — Teraz musi być koniecznie biała mąka z drożdżami, szafranem i cukrem, a diabli wiedzą jak takie ciasto upiec. W dzień od chleba nie rozczynisz, bo kwasem przejdzie.

Nareszcie nie wszystkie kłopoty minęły. Okragłe buły niby weselne korowaje leżą obok upieczonego prosiaka. Macocha przytrzymuje kobiałkę ręką, by się nie wywróciła i obciaga białą chustkę przykrywającą paschę, by kurz unoszący się na drodze nie dostał się do wewnątrz. Obok macochy siedzi jej pasierbica, a z drugiej strony kobiałki, jej córka Hapoczka. Stiopa prowadzi woły na postronku. Mijają ich po drodze parobcy ubrani świątecznie i barwnie. Kolnierze wyszywane czarną i czerwoną nicią, zapinane na perłowe guziki z boku. Gdźnienigdzie tylko widać staromodną kurtę, obszytą welnianym sznurkiem, którą ma na sobie jakiś stary gospodarz. Trudno mu jakoś przyzwyczaić się do czarnych kaftanów i sztrukowych spodni zasznurowanych na kolanach i wsadzonych do błyszczących butów z cholewami.

Dziewczęta też przeważnie w wysokich, sznurowanych do kolan mazurskich buciach. Czarne albo żółte pończochy, które bardzo często zsuwają się z nóg i trzeba je podwiązać sznurkiem lub gumką wpijającą się w ciało, że aż wytrzymać nie można. I kwiecie spódnice, obszyte kolorowymi wstążkami i sfaldowane jak harmonia z aksamiitną listwą na dole, szeroką na dłoń. Głowy ich niczym ogród z kwiatami, a chustki micnią się różnymi kolorami jak tęcza. Jakiegoż koloru na tych chustkach nie znajdziesz: i czerwony jak krew, i zielony jak las, i niebieski jak niebo, i żółty jak słonecznik. Na dodatek te kolory na głowach zmieszane z najróżniejszymi kwiatami, jakie Bóg stworzył, a człowiek podpatrzył i pracowitą ręką na dziewczęce głowy przenosił.

Tylko stare gospodynie nie zdradzają dawnych obyczajów i nakryły sobie głowy czepcami z namitką z czerwonym rancikiem, na pamięć ich młodych lat, kiedy jeszcze czarnych kaftanów nikt nie znał. „Gospodarze ubierali się we własne sukno i Boga chwalili” — myśli niejedna z nich, odwracając głowę by nie zakłóć w tym wielkim dniu, kiedy każde stworzenie pana Boga chwali i śpiewa „Isus woskres, woistienno woskres”.

Pajka również ubrała się dzisiaj ładnie, bo jak długo można płakać i rozpaczać? Młodość domaga się swego. Chciałoby się pościćwać i na wieczornicy potańczyć i chciałoby się w kimś od nowa zakochać, bo co do poprzedniego to już nawet mowy nie ma, choć jeszcze od czasu do czasu jakby ktoś wyrwał kawał serca, a najgorzej wtedy, kiedy słyszy wśród młodych parobków jego głos.

Jest taka przekłeta miłość, która trzyma się pazurami. Kiedy jeszcze żył jego syn, wtedy jakby trochę zapomniała, gdyż serce,

rozum i wszystkie myśli były zajęte Pajczkiem. Rzadko przychodził na myśl jego przekłety ojciec, choć tak był podobny do niego, jakby to jedna i ta sama twarz. Wtedy tylko myślała jak go nakarmić, napoić i samej się nażreć, by mały nie ciągnął pustyj piersi. I wystarczało. Teraz już nie wystarcza, bo na małym kopczyku kwitnie dmuchawiec, posiany bożym wiatrem, a nad nią kwitnie tęsknota i to za kim, aż wstyd się przyznać.

„Chrystos woskres, woistienno woskres” slychać naokoło. Pajka powtarza szeptem te słowa i patrzy na jaskrawo ubrane wesole dziewczęta, a tam z tyłu idzie obok Aleksandry, jej syn Josip. Niesie przewieszony przez ramię słomiany koszyk nakryty szarym płótnem i znowawszy się z ich wożem, woła głośno: „Chrystos woskres!”

Pajka objęła go wzrokiem. Aleksandry syn nie był ubrany jak ci, co szli przodem. Na nogach miał łapcie i siwe znoszone spodnie, mocno zasznurowane w kostkach sznurami z końskiego włosia, a do tego wytarty, stary pinżak. Tylko czapka z lśniącym daszkiem była taka sama jak u innych. „Aleksandry syn nosi się po starykowski. Ukraść nie umie, sprzedać nie ma co, to i kupić nie ma za co...” — pomyślała Pajka.

Za Josipem dosyć daleko kuśtykał opierając się na sękatym kijku jego dziadek, stary Paweł. Co też oni włożyli do słomianej koszałki? Czy choć mają jedną białą bułkę? Pajka wzdrygnęła w ślad za kolyszącą się na ramieniu Josipa śmieszna słomianą koszałką.

Dzwony dzwoniły coraz głębiej. Był to znak, że cerkiew się zbliża. Wokół cerkwi na zielonej murawie stało mnóstwo furmanek zaprzężonych w konie i woły; nawet kilka pańskich fajetonów i bryczek pomalowanych na brązowo stało nieco z boku. To przyjechała pościć paschę dziedziczka Pawlina ze swoją siostrą Teodorą i Czapelką z córkami.

Be, be, be, ksobe, — podganiał Stiopa swoje duże, rogate woły bliżej do środka, by nie znalazły się za bardzo w tyle. Miał wielką ochotę stanąć obok bogatego Timoszki, Szymona i innych znanych z zamożności gospodarzy.

Wstydzić się nie miał czego. Jego wypasione holendry miały rozłożyste rogi i lśniącą sieć jakby masłem posmarowaną, a kobiałka z paschą ważyła więcej niż pud, aż się zasapał taka była ciężka. Charyta, jego nieslubna żona, wszystkich ponakładala do kobiałki. Krag kielbasy, dziesięć kraszanek, gułkę masła, miskę sera ze śmietaną i dużego prosiaka, takiego, że wystarczy go jeść aż do przewodniej niedzieli. „Żeby tylko batiuszka nabożeństwo szybko odprawił i kazania nie ciągnął do południa tylko szybko paschę święconą wodą pokropił!” — myśli Stiopa wciągając nozdrzami różne zapachy cisnące się silą do lakomego gardła.

W cerkwi śpiewa wielki chór. Śpiewają wszystkie wiejskie szlachcianki. Diakona córka, piękna Marusia, co kuma się ze zwykłymi wiejskimi parobkami, a jest taka dorodna, że aż oczy swoją urodą młodym wysmala, i nauczyciela obie córy, które uczyły się śpiewu w szkołach, i Czeska, której mąż się zastrzelił, bo mu coś na tym świecie przeschadzało, i kilka zwykłych młodych, wraz z Anną Totowiczanką, co przez okragły rok śpiewa w cerkiewnym chórze.

Nareszcie nabożeństwo odprawione. Świaszczenik schodzi z kazalnicy, cały w złocie, które na nim lśni niby słońce. Diakon grubym głosem ciągnie „Hospodi pomiluj, Hospodi pomiluj nas”, aż ciarki przechodzą po ciele. Ot, nasz diakon wyhodował sobie głos — myśli Stioipa, patrząc na potężne ciało opięte czarną do samej ziemi sięgającą riasą. „Chrystos woskres”, drży cerkiew w palisadach. — Woistienno woskres — odpowiada tłum wiernych.

Pajka z pochyloną głową stoi obok bocznych drzwi. Choć nie patrzy, widzi, że jej dawny kochanek stoi obok dziewczyny. Ona ma chabrową chustkę na głowie, a po jego włosach skaczą promienie słoneczne.

Nogi pod Pajką się uginają, ucieka wzrokiem z tamtej strony i zaczyna patrzeć na obraz Matki Boskiej, przed którą pałą się dwie duże woskowe świece. Niedaleko niej stoi Josip i żegna się dwoma palcami powtarzając za diakonem „Hospodi pomiluj, Hospodi pomiluj”, a zamiast patrzeć na ikonostas, patrzy na Pajkę i tak mu błogo na sercu, że ona widzi, iż Andrusza stoi razem ze swoją dziewczyną, że ostatnią zapowiedź dzisiaj batiuszka ogłosi. Szkoda mu, że Pajka tak się mitrzy, że jej oczy biegną w tamtą stronę, a potem się cofają, jakby zobaczyły coś bardzo strasznego. Ale kłamka nareszcie zapadnie. Przestanie się ludzi, obmyśli, obduma, zacznie myśleć o kim innym i może się zgodzi.

Odwraca głowę od ikonostasu, spuszcza oczy i szuka na cerkiewnej podłodze jej stóp, czy są ozute w jego lipowe łapcie. Cóż, taki podarek mógł jej tylko dać. Salisowej chustki nie miał za co jej kupić, bo wesel po świętych koladach było w tym roku niewiele, w dodatku takiego muzykanta jak jego dziadek, starszy Pawlej, nikt już nie chce brać. Młodzi, którzy się żenia, zastrzegają sobie, by na ich weselu była prawdziwa orkiestra ze skrzypcami, z kłanietem i z dużym bębnem, by grali krakowiaki, walcze i skoczne polki, a nie jak jego dziadek co to gra na wystruganych skrzypcach „Ty do mene, ja do tebe”. Chłopey z dziewczuchami chcą już tańczyć po nowemu z oblaupywaniem, z przyciskiem, aż mało nie wślą na siebie, tak się w tańcu przytulają i przytupują. „Ja wiem — myśli Josip — gdybym był choć trochę zamożniejszy, lub choć gospodarskim synem, a nie znajdując Karasińskiego, co mnie zmajsztrował i gdybym ja miał choć kawaleczek pola i kilka sztuk bydła w chlewie, inaczej by o mnie Pajka myślała. Przecież ze mnie kawaler jak się patrzy. Dziewuchy się za mną oglądają, tylko żadna by nie chciała wyjść za mnie za mąż, bom nie chozajaskim synem, tylko leśniczego bajstrem. Ale Pajka również nie ma się czym chwalić” — rozważa Josip ni to ze smutkiem, ni to z zadowoleniem.

Świaszczenik najpierw poświęcił koszyczki trzymane białymi rączkami, pachnącymi mocniej niż kadzidło, potem kobiałki co zamożniejszych gospodarzy. Na ostatek rzucił kilka kropel święconej wody na śmieszny sromiany koszyk starego Pawleja. Wozy zakrzypiały, i niby tabor wojenny wracali wierni ze święconą paschą do domu.

Pajka na wóz nie usiadła. Wiedziała, że macocha nie wytrzyma i przygada, iż świaszczenik ogłosił ostatnią zapowiedź Andruszy, że Andrej Nikolajewicz Liń pojmie za żonę Chwedosiję Iwanowną

Saprun. Obrzuciła smutnym wzrokiem cerkiew i zwróciwszy się do ojca rzekła: — Wy jedźcie do domu, ja pójdę pieszo. I nie patrz na nikogo poszła na cmentarz. Musiała pójść. Chciała synka pozdrowić, powiedzieć mu „Isus woskres” i dać mu znać, że jego batko się żeni.

— A ty dokąd? — zawołał ojciec. — Chyba zdurniała. Jestem głodny, że mało nie zemdleję z głodu, a ona się gdzieś powlokła. Po śniadaniu mogłaby pójść na mohylki, a nie teraz.

Pajka nic nie odrzekła, nawet się nie obejrzała.

— Ot little nasienie, choćbyś nie wiem co robił, ona zawsze chodzi swoimi drogami, nawet w Wielikden, nawet kiedy Isus Chrystos woskres.

— Jedź, czego stoisz? — zwróciła się macocha do Stioipy, podgarniając posarbowaną sinką koszulę, jakie nosiły kobiety w Horodcu i Swaryniach. Choć już sporo lat minęło jak żyje na wiarę ze Stepanem, ubierała się wciąż po swojemu, nawet onuce miała farbrowane.

— Ksobe — klepnęła wola po boku. — Nie będziemy czekali. Nie jest małą dziewczynką. Wie, że dzisiaj jest Wielikden, że Isus Chrystos woskres i trzeba zjeść święcone śniadanie po bożemu.

Pajka nie słyszała o czym rozmawiała macocha z jej ojcem, tylko od razu odnalazła mogilkę swego synka. Kopczyk był już zarośnięty zielonym barwinkiem. Wokół niego kwitły żółte dumchawce, a gdzieś niedzicie biała kaszka kołysała się na cieniułkitych lodyżce.

Dotknęła ręką krzyża, siedział mocno w ziemi, choć wiosenna woda z pola płynęła tędy wartko. Ukłękła, głowę oparła o mogilkę. Była zimna, przyjemnie chłodziła rozpalone czoło. Odmówiła „Ojce nasz” i modlitwę za spokój duszy synka, i dodała szeptem: „Pajczku, powiedz Bogu, że twój batko z nas zakpił, że już wyszła trzecia zapowiedź. I poprosz synku Boga, by pomógł twej matce zrzucić ten ciężki kamień z pleców, bo już go dosyć dźwigała”.

Wstała z kłęczek. Otrzepała ziemię ze świętecznej spódnicy i powoli, powoli, jakby nabierała rozmachu, zaczęła schodzić w dół do bramy.

— Isus woskres.

— Woistienno woskres — odrzekła, nie widząc, kto ją pozdrowia.

— Należałoby się pocałować — powiedział ten sam głos.

Raptem odwróciła głowę.

— To ty? Ty jakoś zawsze tam wyrośniesz, gdzie cię nie posieją.

MĘTNA WODA

Minęło już pół roku jak Pajka mieszka razem ze świekrą w obskurnej starej chacie. Codziennie, jak obyczaj każe, wstaje rano, bierze koromysło z wiadrami, idzie przez wygon w dół do rzeki i czerpie wodę mętą jak pomyje, w której czasem nawet płynię jakiś osiżłgła padlina. Ze studni, którą dwa lata temu wykopał koło Ogrodnika, Pajka nie ma prawa czerpać wody, bo jej świekra Aleksandra nie dołożyła ani pięciu groszy na kręgi i ani razu nie machnęła łopatą, gdy

wszyscy gospodarze pracowali po kilka dni bez przerwy. Stara Kłęda i Dziuba wydzyrały się wtedy przysięgając, że wiadra na głowie roztzaskają, gdy Aleksandra, co Karasińskiemu buty językiem lizala, choć jeden, jedyny raz pokaże się przy studni. Dlatego zaraz na drugi dzień po ślubie z Jospim, swachy z drużkami nie poprowadziły Pajki do studni, tylko przez ogród w dół do rzeki. Josipa dziadek, ślepy Paweł, grał na skrzypcach weselnego marsza, swachy śpiewały żartobliwe piosenki.

Pajka stojąc po kolana w rzece, czerpała wodę rozbeltaną jak serwatka. Czerpała, wylewała i znowu czerpała, a woda wciąż była mętna, niezdatna do picia. Stary Paweł ciągnął smyczkiem od ucha do ucha i grał coraz głośniej, Kirgiz — niby jego zięć, niby mąż czy kochanek jego córki Aleksandry — bębnił na bębunku, dzwonił blaszkami, a swachy jedna przez drugą rechocząc wołały: — Molo-ducho, wejźdź głębiej do wody, nie bój się! A družbanci dodawali: — Podnieś wyżej spódnicę, nachyl się niżej, od razu czystszejś wodę naczepiesz.

Posłusznie zadarła spódnicę i weszła głębiej prawie po pas do rzeki, aż woda zaczęła przelewać się przez cholewy nowiutkich chromowych butów.

Od tego czasu minęło już ponad pół roku. Zapomniała nawet, kiedy to było. Jakos to wszystko nie trzyma się w jej głowie. Nie może też powiedzieć, czy jest jej dobrze w świątki, czy źle. Czy jest głodna, czy najedzona, czy przywykła do tej chaty, czy nie? Jedno tylko wie, że woli gdy jej Josipa nie ma w domu, wtedy jakby było na sercu różniej i weseliej.

Tego dnia schodziła do rzeki nie przez wygon, jak zawsze, tylko ścieżką przez Dziubaszkowy jęczmień. Nowe blaszane wiadra, które kupiła za własne pieniądze, подарowane jej przez weselnych gości, dzwoniły uderzając jedno o drugie. Mokry jęczmień czepiał się wąsami spódnicę, mocno rosą opalone łydki. Nagle usłyszała, że zadudniły czyjeś kroki, ktoś, jakby biegł z przeciwnej strony jęczmienia. Obróciła głowę i mało nie upadła z wrażenia. W poprzek zagonu gwałtownie zadyśniano Andrusza. Ten sam Andrusza, z którym co dzień, co noc serce aż skowytało z bólu, żalu i tęsknoty.

Zrównawszy się z nią stanął jak wrzuty i wyprostował się podszedł bliżej. W białej jak śnieg koszuli z wyszywanym wysokim kołnierzem zapiętym na trzy perłowe guziczki, uśmiechał się jak dawniej białymi jak rzepa zębami.

— Dobrydzie, Pajko. Czy nie bliżej po wodę do studni? Ty chyba, Pajko, naumyślnie przybiegłaś do rzeki, by się ze mną spotkać?

I jakby miał do niej to samo prawo co dawniej, położył jedną rękę na jej karku, a drugą uszczypnął mocno w pierś.

— Pokaż no się Pajko jak wyglądasz w zamężnym czepcu z kimbałką? — Zatarłszy ją, że aż koromysło zsunęło się z ramienia, a wiadra z łoskotem pospadały w jęczmień.

Pajka oszołomiona stała bez ruchu, jakby czekała na tę chwilę od niewiadomo kiedy, jakby jej ciało bezwolnie samo rwało się do jego ramion, choć wiedziała, że nie przystoi, że nie zasłużył, że nie wart jej miłości, że powinna mu plunąć w te diabelskie ślepia. Stała jednak

milcząc w miejscu, a jej drżące ciało rozpręzło się i miękło jak ciasto. Czula jak gorąca krew tętni w jej skroniach, oblewała ją żarem, że mało się nie spała.

— Odejdź ode mnie, Andrusza, wykrztusiła z trudem, nie odpychając go jednak od siebie.

— Dlaczego odejdź? — spytał śmiejąc się weselo i dodał: — Przecież wiem, że uż piszczałaś tak chciałaś się ze mną zobaczyć, a jak się nadarzyła okazja to ty niby manaszka odejść i odejść, choć jestem pewny, że byś mnie trzymała pod pierzyną calutką noc, gdyby tylko było można — zarechotał przyciskając ją do siebie jak dawniej.

— Teraz, Pajko, mamy znowu prawo do siebie — rzekł powoli owiewając ją gorącym oddechem. — Ty masz swego Josipa Woszywca, ja swoją Nastusę. Czy mogą nam zabronić od czasu do czasu się widywać czy nawet odnowić nasze kochanie? Pajko, my z tobą jesteśmy stworzeni do kochania — ciągnął rozradowany Andrusza, patrząc na nią bystrzymi oczami.

Milcząc, spoglądała ukradkiem na jego lukawate brwi, czarne jak u Cygana i nad nosem zrosnione, na wysoko sklepione jasne czoło i na włochatą jak u niedźwiedzia szeroką pierś, lyskającą spod rozpiętej koszuli, i drżała jak osika. Gdyby Andrusza wyszedł jej naprzeciw w nocy, lub gdzieś w lesie, z dala od zabudowań, rzuciłaby mu się na szyję i napiła swe gorące ciało upragnioną miłością. A potem mogłaby się ze wstydu utopić i błądzić po rozstajnych drogach jak toplanica, by straszyć złych ludzi.

— Andruszko, żebyś ty wiedział jak mi jest trudno i gorzko — szepnęła przymilnie jak niegdyś.

— Dlaczego znowu tak trudno? — spytał tym razem bez uśmiechu. — Wyszłaś sława Bohu za mąż za syna Aleksandry. Niedługo na pewno urodzisz mu syna — objął wzrokiem jej biodra. — W swojej chacie masz muzykanta grającego na wszystkich weselach, Kirgiza, najlepszego szewca we wsi, co lata wszystkie wiejskie patynki, i jeszcze na pewno różne inne wygody — zachichota klepiąc ją mocną dlonią po plecach.

— Przestań, Andruszko się ze mnie naśmiewać — prosiła błagalnie. I tym razem jak dawniej, miał nad nią tę samą władzę, jakiej żaden człowiek, ani Bóg, ani czar nad nią nie miał.

Minuty szybko biegły, a w duszy bez słów coś szepotało: "Pajko opamiętaj się. Odepchnij od siebie tę nieczystą siłę. Ratuj swoją duszę. Przypomnij sobie ile przez niego wycierpiałaś. Ile hańby, ile wstydu przez tyle czasu dźwigałaś. Czy taką krótką masz pamięć?"

Ociężałe, powolutku, wydosłała się z jego ramion i nachyliła się po wiadra leżące nieopodal w jęczmieniu. Andrusza, jakby tylko na to czekał, zwałił się na nią i przydusił ją swoim rozpalonym żądzą ciałem. Nad nimi szeleścił wosaty jęczmień i głaskając kłosami krył ich przed ludzkim okiem.

— Andruszko, miły, złoty, kochany — szepotała upojona, całując go gorącymi ustami. — Andruszko, ukochanie moje, nie daj mi zginać z tęsknoty za tobą. Przychoźdź do mnie choć raz na jakiś czas, bym bez pory nie umarła. Obcałowywała jego odsłoniętą włochatą pierś.

— Ej, Pajko, nie zawsze będę mógł do ciebie przychodzić. Mam w gospodarstwie dużo roboty, mogę jeszcze tej jesieni dostać kartę powołania do wojska. Ludzie powiadają, że wkrótce wybuchnie wojna. Może razem z twoim Woszywcem będziemy w jednym pułku służyli.

— Ej tam, w jednym pułku, z moim Woszywcem — rzekła leżąc na wznak w słońcu z obnażonymi piersiami. Po chwili przytuliwszy się mocno do niego, dodała: — Ot, tak to, Andruszko, ty się ożeniłeś, ja wyszłam za mąż. Prawie w tym samym czasie staliśmy przed ikonostasem, przestrzeni było między nami mniej, niż tego jęczmienia, tylko ślubny pierścień zamiast na mój palec nałożyłeś Nastce. Powiedz, Andruszko, czy nie zrobiłeś mi krzywdy? — spojrzała mu głęboko w oczy.

— Może i zrobiłem — odparł i tuląc ją do siebie dodał — Pajko, nie wspominaj tego co było, to już dawno minęło. Tak widać musiało być. Gdyby Bóg w niebiosach — Andrusza podniósł palec do góry — przeznaczył nas dla siebie, to byśmy się pobrali. Lecz widać, że święty Petr w mojej metryce zakontował: raba twoja, Andrusza, będzie Nastka. Może święty Petr się pomylił i zamiast Pajka machnął piórem Nastka, a jak sama wiesz, świętego pisma ani skreślić, ani wymazać nie można.

Uśmiechnęła się smutno. — Po twojemu, Andruszko, nawet święty Petr zapomniał mego imienia. Toż mnie na chrzcie świętym ochrztili Jowhenia, a nie Pajka.

— Dla mnie byłaś Pajka i Pajką zostaniesz. Jakoś Pajka składniej się wymawia niż Jowhenia — zamknął jej usta namiętnym pocałunkiem.

— Och Andruszko! Andruszko! — westchnęła, obejmując go smagłymi ramionami i przyciskając żarliwie do siebie. Gdyby ci mogła wszyściutko powiedzieć, albo gdybyś rozciął moje serce na krzyż, jak gospodynie bochenek chleba — poprowadziła jego palec po swoich piersiach — to byś zobaczył, że moja krew tak kipi, jak wrzątek w garnku, a słuchać to byś mógł przez calutęki rok, tyle ono by ci naopowiadało.

— E, co to pomoże? — machnął ręką niecierpliwie. — Powiedziałem ci już raz, że lepiej o tym nie wspominać. I głowy sobie i mnie tym nie suszyć. Pomyśl lepiej, Pajko, co będzie. Tylko patrzeć jak zaczniesz się taka zawierucha, że ludzka krew popłynie jak rzeka, że każdy chłop zamiast baby będzie przyciskał żelazny karabin, że wszystkich młodych zabiorą na wojnę, a dla was zostaną tylko tacy, jak stary Paweł i mój stułetnik, głuchy jak pień, dziadek. Czy to warto rozpamiętywać co było? Czy nie lepiej, Pajko, abyśmy się z sobą nakochali ile wlezie, żebyśmy pamiętali, że był taki Andrusza i taka Pajka, co umieli się kochać jak nikt. Ech Pajko! Pajko! — spojrzal na nią zamglonym wzrokiem. — Co użyjemy teraz, to będzie nasze. Wszystko jedno czy ja się ożeniłem, czy ty wyszłaś za mąż, grunt, że nam jest ze sobą dobrze, gdy tak leżymy obok siebie w Dziubasz-kowym jęczmieniu. Nad nami czyste bezchmurne niebo, słoneczko świeci, ptaszęta świergocą...

— Nie! — pokręciła nerwowo głową. — Może tobie, mój miły, jest

i tak dobrze, ale ja chciałabym, żeby twoja Naścia umarła, żebyś owdowiał. Może i mnie byłoby wtedy z tobą dobrze. A tak... — westchnęła głęboko i zamilkła.

Czula gorącą falę rozedhdzącą się po całym ciele. Czula jak plonie jej twarz, jak gwałtownie bije jej serce. Zlekła się swych nieopatrnych słów, które krążyły potajemnie w jej głowie, a które mogły Andruszkę rozgniewać i wszystko popsuć.

Nie! nie! — Andrusza pokręcił energicznie głową. — Czemu miałaby umrzeć? Jest sława Bohu zdrowa — mruknął ponuro, patrząc w bok. — Mnie na wojnie zabiją. Twego Woszywca zabiją, tylko wy, jurne baby, zostaniecie i wystarczy was po siedem na jednego. Kto zostanie żywy i wróci do domu, będzie sobie mógł harem zalożyć, jak jaki Mahometa. Ot, wtedy będą baby za włosy się tarmosić, jedna drugiej kulakami do oczu skakać i chłopa sobie wydzierać...

Pajka milczała. Klęcząc zaczęła podnosić pomięty jęczmień. Na jej serdecznym palcu migotała miedziana obrączka. Andrusza też się podniósł, otrząpł płóciennę portki. Obciągnął wyszywaną przez Nastkę koszulę, podniósł z ziemi skrzany mikolajewski pas. Chuchnął na dwugłowego orla i zaczął go czyścić rąbkami Pajczynej zapaski. Sztykował się to odejścia.

Pajka z zazdrością przyglądała się wyszywanej koszuli z cienkiego płótna. Ona też wskoczyłaby za niego w ogień — pomyślała z nienawiścią o Nastce.

Gdzieś ze strony lasu zaturkotał wóz. Ktoś wracał z zarzeczka, czy z lasu.

— Andruszko, kućnij — przyciągnęła go do siebie. — Usiądź tu, obok mnie — popchnęła go w jęczmienną gęstwinę. — Ktoś nas zobaczy i co wtedy będzie — powiedziała przyciskając go do ziemi, bardzo przestraszona.

Usiadł posłusznie na ziemi obok niej i położywszy głowę na jej kolanach, zaczął szeptać: — Wiesz co, Pajko, zaczyna mnie znowu coś koricie. Coś mnie znowu ciągnie do ciebie. Jesteś teraz o wiele piękniejsza w tym małżeńskim czepcu, z tą kimbalką. A jeszcze nie tak dawno mówił mi Danilo Żaruk, że tyś się zupełnie zeszkapiła, a teraz ho! ho! — mruknął do niej okiem. — Wyglądasz jak rumiane jabłuszko, a stan jak u nienaruszonej dziewicy. A ludzie plotą, że nie ma u Woszywca co jeść. Żebyśmy tak zdrowy byli, znowu miałbym wielką ochotę do twojej komory zaglądać, gdyby tylko twój Woszywiec nie stał pode drzwiami na warcie — zachichotał radośnie, rozpoczynając po raz drugi płóciennę portki.

Pajka drząc przyglądała się palcom jego rąk, widząc jak z pospiechu czy pożądania się trzęsą. Widziała też jego twarz, która w jej oczach stała się nagle bardzo piękna, jakby nieludzka, po to by ją zniewolić i po raz drugi zaprzępać.

— Pajko — odezwał się Andrusza miękim głosem. — Może Bóg da i wcale tej wojny nie będzie? Może zostanie nadliczbowym? To my znowu, Pajko, ze sobą jak dawniej. Cni mi się za tobą, Pajko. Pocałował ją czule w usta i uszczypnął mocno jej jędrne udo. — Moja Nastka to taka rozkepsza, rozgotowana dynia. Ciało ma jak rzadkie

ciasto. Do tego sucha jak szczipa i zimna jak lód. Żebyś nawet czorta wziął do pomocy, to jej nie rozgrzejesz, nie rozruszysz, leży nieruchawa jak kłoda. Ty, Pajko, to co innego. Ciebie tylko dotknąć, a stajesz się jak rozpalony piec, nawet nieboszczyk by się koło ciebie rozgrzał — zachichotał przygniatając ją swoim jurnym ciałem do ziemi.

Pierwszy raz Pajka zaśmiała się bardzo głośno. Jej oczy rozgorzały jak płomienie i radośnie spoglądały na Andruszka, który jak jej się zdawało, należał znowu do niej.

Turkot wozu się oddalił. Pajka podniosła głowę, rozchyliła gęsty jęczmień i spojrzała ukradkiem na wygon, na którym jak raz już nie było nikogo. Zerwała się na nogi, podniosła koromysło z wiadrami.

— Ty tu jeszcze posiedź trochę, Andruszko, pokąj ją dojdę do rzeki. Gdy zacznę czerpać wodę, wtedy przebiegnij na poprzek jęczmienia. Nie bój się. Guziaczki pojechali do młyna. Nieprędko wrócą. Jęczmienia nie żałuj, na biednego nie popadło — pocałowała go w usta i szczęśliwa jak nigdy pobiegła w dół.

Zofia Grzesiak

Już po raz trzeci zamieszczamy na naszych łamach prozę Zofii Grzesiak (wcześniejsze pozycje to „Pajka”, „Akcent” 1986, nr 2 oraz „Malka”, „Akcent” 1987, nr 3; pisarka publikowała także w „Więzi” i „Folks-szytme”), a wiele informacji na jej temat można znaleźć w wydanej w Ameryce książce Małgorzaty Niezabitowskiej i Tomasza Tomaszewskiego *Remnants. The Last Jews of Poland*. Friendly Press, New York 1986), ale dotychczas nie pisaliśmy nigdy o samej autorce. Czas najwyższy to uczynić, bowiem mamy nadzieję, że niedługo jej nazwisko stanie się znane szerszym kręgom czytelników i krytyków dzięki autobiograficznej powieści *Między Horynlem a Słuczą*, którą wyda wkrótce Państwowy Instytut Wydawniczy. Pierwsza pozycja książkowa pisarki być może zainteresuje również innych wydawców jej twórczością, liczącą około dwudziestu tysięcy stron. Łada dzień pisarka zadebiutuje także w Ameryce — nowojorskie pismo kobiece „Lilith” opublikuje fragment jej powieści.

To że proza Zofii Grzesiak w ogóle ujrzała światło dzienne, należy zawdzięczać ludziom, którzy z niełatwym wysiłkiem przełamali jej opory oraz męstwo, w którym ma pisarka wernego czytelnika i prawdziwą podporę duchową. Ona sama bowiem jest osobą bardzo skromną, zupełnie pozbawioną wiary we własne siły. Jeden z jej kompleksów wynika z faktu, że nie posiada żadnego formalnego wykształcenia oprócz kilku klas chederu. Co więcej, jej językiem ojczystym jest jidysz; po polsku zaczęła mówić dopiero w wieku dwudziestu paru lat, a pisać przed około trzydziestu laty (dzisiaj Zofia Grzesiak ma 74 lata). Nie dziwno więc, że zdarza jej się popełniać błędy gramatyczne czy ortograficzne. W żadnym jednak stopniu nie odabia to wartości jej prozy, charakteryzującej się dużą siłą obrazowania, niekonwencjonalnym rysunkiem psychologicznym postaci i umiejętnością podpatrywania szczegółów obyczajowych. Niewyczerpanym źródłem jej twórczej inspiracji, widocznym także wyraźnie w bogatym języku pisarki, są tereny, z których pochodzi, ta część Kresów, gdzie Polacy, Żydzi i Ukraińcy aż do wybuchu drugiej wojny światowej tworzyli unikalną wspólnotę.

Kultura żydowska i ukraińska znajduje największe odbicie w twórczości Zofii Grzesiak. O ile czymś stosunkowo naturalnym wydaje się umiejętność oddania specyfiki życia wspólnoty żydowskiej, o tyle zadziwia jej doskonała znajomość realiów życia ludności ukraińskiej. Jako przykład interesującego obrazowania przez nią tej wspólnoty mogą służyć dwa zamieszczone w tym numerze fragmenty, jak również prezentowana przez nas wcześniej „Pajka”.

Mimo że wszystkie jej powieści nie pozbawione są dramatyzmu, uступаą one pod tym względem wspomnianej wyżej powieści-autobiografii, którą nakreśliło samo

ubliżające w oczepidwie i tragiczne wydarzenia życia. Zofia Grzesiak nosi bowiem swe obcane imię i nazwisko dopiero od 1941 roku, kiedy fałszywe dokumenty miały pomóc jej w ratowaniu życia. Do tego czasu nazywała się Nechum Szwarzblat. Jej ojciec był kantorem w Kryczysku, rodzinnej wsi pisarki. Wychowywała się zatem w religijnej, ortodoksyjnej atmosferze tradycyjnego chasydzkiego domu. Jeszcze przed wybuchem wojny poznała swego obecnego męża, Tadeusza, ale wtedy małżeństwo nie wchodziło w ogóle w rachubę. Poślubienie katolika oznaczałoby odstąpienie od wiary. Wybuch wojny zmienił całkowicie sytuację. Tradycje przestały mieć pierwszoplanowe znaczenie w czasie, gdy przede wszystkim chodziło o ratowanie życia. Fakt, że pisarce udało się przetrwać wojnę, należy zawdzięczać zaradności i hartowi ducha jej męża, który, jak mówi pani Zofia, nie pozwolił zatonąć ich małemu stateczkowi wielokrotnie znajdującemu się na granicy odczłani. Koniec wojny zastał ich w obozie pracy w Wiedniu. Wrócili do Polski, początkowo osiedli w Pile, następnie przenieśli się do Lublina, gdzie mieszkają do dzisiaj. Pani Zofia wychowała córkę, wnuka, dochowała się już prawnuka. Ciągłe zabiegana, z trudem znajduje czas, aby pisać. Cicha i nieśmiała, nabiera pewności siebie tylko wtedy, gdy ma okazję czytać na głos fragmenty swej twórczości. Zyskuje wtedy na kilkanaście minut niewyłąk siłę, która sprawia, że jej proza nabiera jeszcze więcej życia, nieczym w mistrzowskim aktorskim wykonaniu

M. A.G.



Kościół w Chełmie. Fot. Janusz Urban.

Lwów — na krawędzi nachylonej ku Zachodowi miasto obrzeżone smugą Wschodu

*Wszedł jest dobry, wy Lwowie nalepi,
tam hulasz fajnu, fatun must: jak szpie,
Lwów ci się klajstym do serca przylepi
i z swych pierśi da za frajtr ple.
Tam jest murowa, klawu, wyginiasta.
Wysoki Zamyk kłania ci się w pas
Smieja si ludzi, imęci cały miastu
i kudyż ma rzewyslanu twarz*

(z audycji „Na Wesołej Lwowskiej Fall”)

Lwów został założony ok. 1250 r. przez księcia przemyskiego Daniłę i później nazwany imieniem jego syna Lwa, który miasto ufortyfikował i zbudował tu pierwszy zamek. Karię swą Lwów zawdzięcza Haliczowi, który parę lat wcześniej został prawie doszczętnie zniszczony przez Tatarów. Miasto Lwów nosiło różne nazwy: najpierw (co jest zupełnie nieznane) nazywano je po prostu Hołobosie męsto czyli główne miasto, stąd zachowane nazwy podmiejskie wsi: Hołobos Wielkie i Hołobos Małe. Nazywano to miasto Lwi — Grodem czyli Łeopolis, Lemburga, Lemburgiem, Lembergim, Castrum Liwów, Liwowem (wymowa czternastowieczna) i Lwem oraz Lwiem.

Pierwsza wzmianka o Lwowie zachowała się w Halicko-Wołyńskim Latopisie i dotyczy pożaru Chelma, który był tak wielki, że lunę można było dostrzec we Lwowie: „pożea Cholmu buła taka welyka, szczo jji baczyla aż u Lwowi”.

Lwów leży nad Peltwią, w głębokiej kotlinie między wzgórzami Roztocza Rawskiego i pierwszymi wierzchołkami wyżyn podolskich. Do Roztocza należą jeszcze Góra św. Jura i Góra Wronowskiej lub Szembeka, na której Austriacy wystawili w ubiegłym wieku Cytadę. Do wzgórz podolskich należą już Góra Zamkowa, na szczycie której w czternastowiecznej Unii Lubelskiej usypano kopiec. Szczyt kopca sięga 413 m nad poziom morza a średniece miasto znajduje się na wysokości 260 m, czyli różnica poziomów wynosi 150 m. Z kopca rozciąga się wspaniały, niezapomniany widok na miasto i okolicę. Na zachód i północny-zachód można oglądać wzgórza Roztocza, a wśród nich podmiejskie Brzuchowice, na północ za Zamarstynowem równiny Pobuża, na wschód widać strome zbocza Piaskowej Góry, wzgórze Zniesienia i Lonszańówki, Czartowskią Skalę, w dni pogodne można nawet dostrzec zarysy Woroniaków za Oleskiem a na południu poszarpaną linie Beskidów Stryjskich z górami Paraszką i Zieloną pod Skiem¹.

Lwów leży więc na pograniczu kilku krain geograficznych, a także jak wiadomo, na europejskim dziale wód. Większa część miasta wraz z Peltwią należy do dorzecza Bałtyku, ale okolice Dworca Głównego i prawie całe wzgórze Kortumówka należą do dorzecza Morza Czarnego. We Lwowie krzyżują się też zasięgi fauny i flory Południa i Północy. Np. sasanka wołyńska sięga najdalej na północny-zachód po Piaskową Górę a brzoza karłowata ma najdalej na południe położone stanowisko w podlowskich lasach Roztocza.

Lwów to miasto parków i ogrodów. Ma ich podobno najwięcej w Europie. Kiedy w czasie I wojny światowej Rosjanie zajęli miasto, Austriacy chcąc ich zohydzić w opinii uciekinierów, rozpuścili plotkę, że Mikołaj II kazał zniszczyć wszystkie drzewa w Parku Stryjskim. Do tego parku, pełnego wawozów i wzgórz, trzeba jeszcze dodać dawny ogród Jezuicki, późniejszy Park Kosciuszki (dzisiaj park Iwana Franko), Park Wysoki Zamek, Park Pohulanka i ogromny park Szewczenkowski Gaj na dawnej Lonszańówce, na Kajzerwaldzie, gdzie powstał przepiękny skansen ludowej architektury, poczynając od Bukowiny i Zakarpacia a kończąc na Polesiu.

Lwów to miasto pogranicza kultur i religii, to miasto, w którym w użyciu było wiele języków, choć przez wiele wieków dominującym był polski: Jest to jedyne w świecie miasto, gdzie do 1944 r. byli trzy arcybiskupstwa (katolickie, greckokatolickie i ormiańskie). Już na początku XIV w. posiadał Lwów 8 cerkwi, 2 kościoły katolickie, 2 kościoły ormiańskie.

„Za czasów ruskich” Lwów był mały i prawie przylepiony do Łysej Góry, której szczyt splantowano później budując Kopiec Unii. Po tym dawnym mieście prawie nie (poza nazwami) się nie zachowało. Gdy jednak nawet dzisiaj idziemy z Rynku ulicą Krakowską, to po niedługiej chwili dojdziemy do Starego Rynku. Tu w tej okolicy, zasiedlanej później przez Żydów, było serce najstarszego Lwowa.

Po włączeniu Lwowa do Polski przez Kazimierza Wielkiego w 1349 r. na Polance (398 m nad poziomem morza) został wzniesiony Wysoki Zamek, jak pisało, do muzycznej lutni podobny. Z zamku tego zachowały się dzisiaj jedynie małe fragmenty, część murów posłużyła do wzmacniania budowli Kopca. Na dole nad Peltwią wzniesiono drugi zamek: Niski Zamek. Był on w tym miejscu, gdzie później wzniesiono Muzeum Przemysłu (dzisiaj Muzeum Lenina). Wysoki Zamek był mało przydatny, bo brakowało tam wody, natomiast Niski Zamek był chętnie odwiedzany przez królów polskich: Władysława Jagiełłę, Władysława Warneńczyka², Jana Olbrachta, Zygmunta Staroży i Zygmunta Augusta.

Parę razy była już mowa o Peltwi. W dawnych czasach ta rzeka wypływająca z Koziej Górki i łącząca się w mieście w jedną całość z kilku potoków, tworzyła szereg stawków, napędzała kół młynów i broniła miasta, bo dostarczała jego fosom wody³. Dzisiaj płynie przez Lwów pod ziemią, w kanałach i tylko można się domyślić (i to nie bardzo), że na trasach spacerowych ul. Akademickiej (dzisiaj Prospekt Szewczenki), Wólów Hetermańskich (dzisiaj Prospekt Lenina) pełnych sklepów i zabieganych turystów spaceruje się nad wodami Peltwi. A przepiękny Teatr Miejski stoi okrzakiem wprost na rzecze. Jest to jedna z osobliwości miasta. Można o nich pisać dość dużo. Np. kto dziś pamięta o tym, że Lwów miał miniaturową linię kolei jakby górskiej, z serpentynami. Była to trasa Lwów — Podzam-

¹ Jan Parandowski pisał: „(...) ućeni określiłi charakter Lwowa, całym swym ciężarem nachylonego ku Zachodowi, ale na samej krawędzi, obrzeżonego smugą Wschodu. Nie ma duszy lwowskiej, która by nie miała na sobie budki cienia smagłości, od powiewów Czarnego morza. Są tu w istocie jakiejś rozstaje, jakiejś drogi wytknięte przez las, a wiatry jeszcze nie ubite, nie udeptane przez życie, które spudziwio się i oczekuje („Wiadomości Literackie” 1934, nr 33, s. 14).

² Dzisiaj jest to centrum kultury ukraińskiej Zachodniej Ukrainy, a być może jest to w ogóle centrum, serce „ukraińskiego”. Np. w dyskusji o krakowskim stole „Prawdy” SSZR nazi obceżył dom, W. Jaworski powiedział: „w stołicy Ukrainy jest wylowione kilka ukraińskich żółci” („Prawda” 3 IV 1989 r.).

³ Pierwszy budył składany władcy polskiemu miał miejsce na Rynku lwowskim iłaz, gospodar młotanki złożył tu budył Władysława W. Warneńczyka.

⁴ We Lwowie był np. cech rybaków i cech młynarski (nubny wodne)

cze, Lwów — Łyczaków. Na niedługim przecież odcinku pociąg pokonuje tu siedemdziesięciodwumetrowe wzniesienie! Kto pamięta łyczakowskie czy kleparowskie „czerechy”, swoistą krzyżówkę wiśni i czereśni. Kto wie, że Lwów, cierpiący na niedostatek wody, ma na niewielkim rynku aż cztery studnie: Neptuna, Diany, Amfitidy i Adonisa. Kiedy w czasie zaciętych listopadowych (w 1918 r.) walk o Lwów Ukraińcy oddali miastu wodę, uratowały mieszkańców studnie. Później na Ratuszu ktoś wniósł projekt, aby odznaczyć lwowskie studnie zasłużone w walce o miasto.

Wielką osobliwością, nigdzie nie spotykaną była lwowska mowa, ów lwowski balak. Opowiadano, że w Warszawie na którymś z dworców spotyka się dwóch mężczyzn i jeden z nich głośno woła: „Ta joj tato, ta ty tu, ta i ja tu”. Dwóch przechodzących andrusów słyszy te słowa i jeden do drugiego mówi: „Patrz, Felek, Japończyki przyjechali...”

Z lwowskim balakiem kojarzą się podmiejskie piosenki, np. o szynku Bombacha na rogu dawnej Kazimierzowskiej i Rzeźnickiej (niedaleko Teatru Miejskiego).

*U Bombacha fajna wiara,
wina precli, ćmi cygara.
Oj, diridi, rach, ciach, ciach,
ruchaj, ruchaj, uha, dana,
oj, diridi, rach, ciach, ciach,
ruchaj, ruchaj uha!
Szac chłopaki, lwowskie dzieci
Każdy ładny, aż się świeci.
Oj, diridi...
Już szklankami hebra dzwoni,
Jużku szpila na harmonii
Oj, diridi...
Wtem nadchodzi ciemna sztuka
i na sali szpargi szuku.
Oj, diridi...
My du niego czaru - maru:
Hulaj za drzwi, ty bataru!
Oj, diridi...
A jak nas przynosi grzeczni
upijemy si syrdeczni.
Oj, diridi...
Niech si dowi, że my Lwowi
so chłopaki honorowi.
Oj, diridi...
Ni ma to jak batar lwowski,
lecz nalepszy łyczakowski
Oj, diridi...
Kaźda hebra je murowa,
lecz nalepsza z Łyczakowa
Oj, diridi...*

Hebrycy czyli kompanie łyczakowskie, kleparowskie, gródeckie czy zamarstynowskie, adze podobno mieszkał najgorszy element, którego się Lwów wstydził i wyrzekał, przeszły do legend i piosenek. Na Zamarstynowie (na północ od Wysokiego Zamku), na owym złym Zamarstynowie — Sommersteinie, jak mówili mieszkający tam Żydzi, jedyną wspaniałą budowlą była fabryka wódek Baczewskiego. Na Łyczakowie, który dzielił się na dolny i górny, sięgający aż za cmentarz, mieszkali prawie wyłącznie „mazurzy”, czyli Polacy. Można tu było dojechać wygodnie od Dworca tramwajem „jedyńką”. „Jedyńka” była pierwszym lwowskim tramwajem elektrycznym

uruchomionym już w 1894 r. Trasę od Dworca na Łyczaków tramwaj podzielony na trzy klasy: wytworną, pierwszą i drugą pokonywał podobno w 32 minuty. Dzisiaj „jedyńka” kursuje jak dawniej od Dworca do wylotu Łyczakowskiej (dziś Lenina) i poprzez Rynek zawraca do Dworca Głównego. Najlepszymi dzielnicami Lwowa zamieszkałymi przede wszystkim przez inteligencję było Hałickie koło Parku Kilińskiego czyli Stryjskiego oraz willowy Nowy Świat w południowo-zachodniej części miasta. Z kolei Żółkiewskie koło Wysokiego Zamku było zamieszkałe prawie wyłącznie przez Żydów. Było ich we Lwowie około 30%. Ukraińców ponad 10%, Niemców 0,8%, a pozostała ludność była polska. Równocześnie jednak językiem polskim posługiwało się już na początku stulecia aż 86% ludności.

Dzisiaj najbardziej polskimi miejscami we Lwowie są: Katedra Łacińska i cmentarz Łyczakowski.

Katedra Łacińska zawiódła swę powstanie Kazimierzowi Wielkiemu, który w 1360 r. polecił wznosić tu wielki kościół katolicki.



Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie (Dzielo Antoniego Popiela).
Fot. Waldemar Michałski

Budowa Katedry trwała długo ponad sto lat, a jednak nie została zakończona. Rzuca się np. w oczy dysproporcja między obszernym prezbiterium i dość krótkimi nawami. Katedra, tak jak dawniej, pełna jest rozmodlonych i rozspiewanych wiernych. W niedziele można tu spotkać Polaków ze wszystkich dzielnic Lwowa, są też turyści z kraju. Jest to jeden z dwóch czynnych kościołów katolickich we Lwowie (drugi barokowy kościół św. Antoniego znajduje się na Lyczakowie).

Najpiękniejszym fragmentem Katedry jest kaplica grobowa Pawła i Marcina Kampianów, lekarzy lwowskich, znanych urzędników miejskich. Wnętrze kaplicy ozdabia piękny marmurowy ołtarz, na ścianach bocznych umieszczone są busty burmistrza Marcina i jego ojca Pawła. Na zewnętrznej ścianie kaplicy znajdują się trzy najpiękniejsze we Lwowie manierystyczne płaskorzeźby. Przedstawiają one scenę złożenia Chrystusa do grobu, Zmartwychwstania oraz ukazania się Chrystusa Marii Magdalenie.



Nagrobek Seweryny Gosczyńskiej na cmentarzu Lyczakowski.
Fot. Waldemar Michalski.

Nieco wcześniej niż kaplica Kampianów powstała stojąca obok prezbiterium Katedry Kaplica Boimów. Była to kaplica grobowa rodu Boimów, lwowskich kupców, uczonych, lekarzy. Fundatorem kaplicy był Jerzy Boim i jego żona Jadwiga. Ich syn Paweł był burmistrzem Lwowa oraz doktorem filozofii i medycyny. Kaplica Boimów jest dziełem niezwyklej i nie ma do niej niczego podobnego na całym świecie. Cała jej fasada pokryta jest bogactwem manierystycznej dekoracji. Znajdują się tu medaliony z prorokami, kolumniki pełne ozdób, muszkarony, kartusze, statuetki apostołów. Jeszcze piękniejsze jest wnętrze z przepiękną renesansową kopułą i bardzo bogatym ołtarzem na ścianie wschodniej. Kaplica ta na pewno należy do najpiękniejszych i najbardziej oryginalnych zabytków Lwowa.

Cmentarz Lyczakowski, jedna z najciekawszych nekropolii w Europie, powstał w końcu lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku na stoku pagórkowy spadających ku zachodowi, ku miastu. Już przy wejściu spotykamy nagrobki ludzi dobrze znanych w historii miasta i Polski. W centralnym miejscu alei zasłużonych znajduje się pomnik Juliana Konstantego Ordona, w pobliżu grób Stanisława Szczepanowskiego, który tak się zasłużył dla rozwoju przemysłu naftowego w Galicji. Onże w sejmie krajowym powiedział: „Będąc Polakiem całą duszą, żądam także najdalej idącej sprawiedliwości dla Rusinów”. Nieco dalej groby i grobowce Zapolskiej, Konopnickiej, Grottgera, Goszczyńskiego, Szajnochy, Kubali i wielu innych ludzi związanych z historią miasta i kraju. Są tu groby powstańców kosiufzkowskich, listopadowych, styczniowych, a na stoku południowym (ku Pohulance) dawny zrujnowany cmentarz obrońców Lwowa. Tu wzniesiono rotundową kaplicę i katakumbę, a także luk trumfalny, z zachowanym do dziś napisem „Mortui sunt, ut liberi vivamus”.

Symbolem patriotyzmu i bohaterstwa stał się jeden z młodych obrońców miasta w 1918 r. czternastoletni Jurek Bitschan, który zginął w czasie walk na cmentarzu Lyczakowskim i został pochowany na Cmentarzu Orłat. Jeszcze dzisiaj starsi ludzie pamiętają piosenkę anonimowych autorów o Jurku, jakiej uczyli się w przedwojennych szkołach w całej Polsce:

*Mamo najdroższa, bądź zdrowa,
do braci idę w bój.
Twoje uczyły mnie słowa,
nauczył przykład twój (...)
Toczy się walka zacięta,
obfity śmierci plon,
biją się polskie orlecia
ze wszystkich Lwowa stron.
Bije się Jurek w szeregu,
cmentarnych broni wzgórz,
krew się czerwieni na śniegu,
lecz cóż tam krew, ach cóż!
Jurek na chwilę upada
i znów podnosi się,
Wtem pędzi wrogów gromada.
Do swoich znów się rwie.
Rwie się, lecz pada na nowo.
O mamo, nie płacz, nie!
Niebios przeczysta Królowo,
Ty dalej prowadź mnie.
Żył walczyli do rana,
do złotych słońca zór.
Ale bez Jurka Bitschana,
ho Jurek spoczął już.*

Składając kwiaty na grobach bliskich i zapalając świeczkę w dniu pierwszego listopada lwowianie pielęgnują też groby tych, co dobrze się zasłużyli.

*Ni tylko przy swoich kszontaju si ludzi
I tu Kunupnickiej festi swiaty i si pali.
Wielu tagzy osob przy grobach si truci
Zapolskiej, Urdona, Szajnochy, Kubali.
Gruttigiera, Guszczyńskiego oraz jury innych.
Co ci zasluzyli dla Polski i Lwowa;
Bardzo dobrzy wimy, co jesteście winni
Tym, co na cmyntarzu lezu Lyczakowa...³*

Wróćmy jednak do humoru i uśmiechu, którego w tym rozpiewanym mieście nigdy nie brakowało. Gdy się idzie od Rynku ul. Ruską, to w dali ponad cerkwią Wołoską góruje kościół Karmelitów. Wśród masy nagrobków i pobożnych napisów, jakie tam można oglądać, w pamięci utkwił mi przede wszystkim napis z osiemnastowiecznego nagrobka!

*Tu leży Piotr Branicki (+ 1762)
Człowiek zhyt ulomny,
Przez cały czas mego
Życia do rozpusty skłonny.*

Przypomina się budynek Galicyjskiej Kasy Oszczędności (dzisiaj Muzeum Etnografii i Rzemiosł Artystycznych) na Prospekcie Lenina, dawniej Legionów, dawniej Karola Ludwika (brata Franciszka Józefa), dawniej po prostu Szeroka czyli Breite Gasse. Otóż na tym budynku umieszczona jest Statua Wolności, mniejsza co prawda niż w Nowym Jorku, ale za to wygodnie sobie siedzi. Przypomina się oczywiście legenda: Wesołej Lwowskiej Fali z dialogami Szczepka (Kazimierza Wajdy) i Tonka (Henryka Vogelfangera). Na pięćciolecie audycji Kornel Makuszyński przysłał im wzruszający telegram tej treści: *Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje we Lwowie. O mój Szczepko i Tonko, ja daj Wam Boże zdrowie!*

Będąc we Lwowie trzeba przejść się po „korzo”, od dawnego Uniwersytetu, od ulicy Mochnackiego, od pomnika Fredry (dziś we Wrocławiu), pomnika K. Ujejskiego (dziś w Szczecinie), poprzez plac Mariacki, gdzie pomnik Mickiewicza, aż do Teatru Miejskiego, po drodze mijając pomnik Jana III (dziś w Gdańsku). O tym trakcie spacerowym jakże pięknie pisał Józef Wittlin w zakończeniu *Mojego Lwowa*: *Zamykam oczy i widzę tłumy snujące się po Corsie, płyną od Teatru Miejskiego, ulicę Legionów, do Kasy Oszczędności, i płyną dalej pod pasą: Mikolasha. Szeroką strugą rozlewają się na placu Mariackim, mijają hotel George a i skracają w ulicę Akademicką aż do końca, do apteki Pileckiego. Tam zawracają i powoli, rytmicznie, spokojnie, odjałowują z powrotem pod Teatr Miejski. Umarli spacerują z żywymi. Umarli zatrzymują żywych, proszą o ogień do papierosa. Lwowelasi przywołują się do dam w triurmurach, do dam, które od dawna są już cieniami, Promienada cieni (...). Ukraińscy siczowcy z roku 1918 idą pod rękę z polskimi obrońcami Lwowa: z „orłami”. Duchy sokolów promienują obok żydowskich footballistów z drużyny „Hasmonea”. Tłum rośnie. Z bocznych ulic dołączają się strażacy, slugi „co stoją na branie i budy piskate” i panny, co na reünionach z samym Grottemerem tańczyły lansjera i primadonny, co występowały w pierwszych operetkach Offenbacha. Cała złota młodzież, jaką w ciągu stuleci widział Lwów, wyroliła się na*

Corso. Czarna fala wylewa się na jezdnię i wali pod pomnik Mickiewicza.

Pomnik Mickiewicza na placu Mariackim (dzisiaj Placu Mickiewicza), to na pewno najpiękniejszy pomnik miasta. Wzniosło go wielkimi pocie po uroczystościach na stulecie urodzin (1898) gdy przybył tu syn poety, Władysław (Władysławowi przyznano dożywotnią pensję z kasy miejskiej). Mickiewicz stoi przy wyniosłej kolumnie i wyciąga rękę po lirę, która podaje mu skrzydlata panna⁴. I piękna muza przyfrunęła od kamienicy Sprechera, dawniej najwyższej, bo aż pięćpiętrowej kamienicy we Lwowie. Dziś na jej parterze miesi się specjalistyczna księgarnia „Dom knigi”, gdzie nie brakuje polskich książek.

Z Placu Mickiewicza otwiera się widok na jeden z najpiękniejszych kościołów Lwowa — kościół Bernardyński. Jak pisał Wittlin, mógłby kościół Bernardyński uchodzić za najpiękniejszy we Lwowie, gdyby nie miał poł tużyna konkurentów. Na pewno należy do nich cerkiew Uspienia Bogurodzicy czyli Wołoska, kościół Dominikanów i Święty Jur, dawne serce kościoła greckokatolickiego⁵.



Politechnika Lwowska. Fot. Waldemar Michalski

Gdy patrzę na wieżę u Bernardynów, gdzie tak wiele ołtarzy, rzeźb dzisiaj w części rozmontowanych (gdzie nawet władze muzealne miasta przechowywać — dane z 1988 r. — popiersie Feliksa Dzierżyńskiego) to przypominam sobie lwowskie dzwony. Zamilkły, bo im zamilknąć kazano w okresie pogardy i zastój. Dzisiaj niektóre zaczynają się nieśmiało odzywać. Otóż dzwony u Bernardynów zawsze wydawały godzinę o pięć minut wcześniej niż dzwony ratuszowe, a to na pamiątkę czasu, gdy braciaśkie klasztoru wcześniej o pięć minut niż strażnik ratuszowy dostrzegł skradających się pod miasto bodające Tatarów. Lwów miał też, tak jak Kraków, swój hejnał, odgrywany z wieży ratuszowej do nieszczęs-

⁴ Gdy zastanawiałem się nad projektem pomnika Mickiewicza z kolumną to Adam Krechowicki powiedział popierając ten projekt: *Tym kształtem czel się zna kile bod... z... w ojeunik... W... atickiewicz i jest po dziś dzień szermierzem myśli narodowej, najczłowieczniej w jej obronie.*

⁵ Miał Lwów szerokie do współpracy projektantów architektury. Wspaniały, kategorii „zerowej” kościół Dominikanów i również wspaniały, Katedrę św. Jura projektował i budował Jan de Witt, późniejszy komendant twierdzy w Kamieńcu Podolskim. Osmiesięcznym z przępnym portykiem fasady bocznej i, oczywiście, słynną kopułą na cylindrycznej podstawie to dzieło Józefa Bema

³ Jest to fragment wiersza Witolda Szolginia.

nego roku 1527, w którym miasto spłonęło⁸. Po gotyku zostało niewiele: jakieś fragmenty murów, Katedra. Późniejszy Lwów był już renesansowy, barokowy, secesyjny. I potem miasta nie szczędziły nieszczęścia: wojny, oblężenia, najazdy. Dumne, kresowe miasto odparło wszystkie napady: Tatarów, Wołochów, Turków, Rusinów Chmielnickiego, albo siłą oręża albo sutymi okupami pieniężnymi. Dopiero za czasów saskich, w czasie nieszczęsnej wojny sasko-rosyjsko-szwedzkiej, wojska Karola XII zdobywają i grabią miasto, obkładając je ogromną kontrybucją (200 tys. dukatów). W 1769 r. miasto zajmują Rosjanie, a w trzy lata później przekazują je Austriakom. Panin podobno odradzał to Katarzynie II bo, jak się wyraził. Lwów jest dla Polski tym, czym Moskwa dla Rosjan.

W czasie I wojny światowej miasto znów zajmują Rosjanie, później jeszcze na krótko wracają Austriacy. W 1918 r. we Lwowie rozgorzały bratobójcze walki. Front przebiegał przez ulice, przez domy. Na pierwszej linii znalazła się Politechnika, Ossolineum, cmentarz Łyczakowski. Miasto wróciło do Polski, ale już we wrześniu 1939 r. zostało zajęte przez Armię Czerwoną, później przez Niemców. W wyniku porozumień teherańskich, a zwłaszcza jaltańskich oraz porozumień i traktatów polsko-radzieckich Lwów pozostał w Związku Radzieckim, jako główne miasto radzieckiej Zachodniej Ukrainy. Zdecydowana większość ludności polskiej opuściła Lwów i przeniosła się do Polski w nowych granicach. Przez lata cule udawano, jakby już nie było Polaków we Lwowie, jakby należało zapomnieć o pamiątkach przeszłości, o sentymentach. Doszło do wielu zakłaman, a w niektórych publikacjach do obsesyjnych, wręcz paranooidalnych akcentów antypolskich, „białopolskich”. Starano się zatrzeć jak najwięcej z tego, co się zatrzeć nie da: pozmieniano nazwy olbrzymiej większości ulic, placów, niszczone groby, tablice. Doszło nawet do tego, że sporą część książek, skarbów piśmiennictwa polskiego, usuniętych z lwowskiej Biblioteki Narodowej (d. Ossolineum) zamiast zwrócić Polsce zwalono na stos w dawnym barokowym kościele Ojców Jezuitów, gdzie dach jest dziurawy, bo nie ma go kto naprawić. Wśród materiałów znajdujących się w tym kościele, są też unikalne komplety czasopism polskich z XIX w., których nie ma w żadnych polskich zbiorach (niedawno pisarze wrocławscy zgłosili wniosek przyjęty przez zjazd ZLP, dotyczący wystąpienia o zwrot polskich książek i czasopism, będących własnością naszego narodu).

Czas kończyć te refleksje. O Lwowie można napisać całe tomy⁹. Czas się żegnać z miastem. Z dala widać już niestety, trzy wieże kościoła Elżbiety, a tuż obok Dworzec:

*Żegnaj siostru, żegnaj braci,
Wiem, że żaluję w sercach maci,
Władzy płakać wam nie bioniu,
Na Kuściolach dzwony dzwoniu,
Z dala widać już niestety
wieży Kuściola Elżbiety.*

⁸ Jeden z budowniczych Kopca Jan Bonczak Pawłowski był twórcą zwyczaju, aby raz do roku z wietrzniatki, w dniu 3 maja trąbić w rocznicę pamiętnej Konstytucji.

⁹ O zabytkach Lwowa i Ziemi Czerwulskiej pisał także po wojnie prof. Mieczysław Gębarowicz, zmarły we Lwowie w 1984 r. Pamiętam jego słowa z *Autohagiografii* (...): *choć straciłem wszystkie zdrowe prace tytuły i stanowią, nie uważam się za bankruta*. (M. Gębarowicz: *Autohagiografia*, „Znak” 1982, nr 5, s. 417). O języku Lwowa i kresów pisała Z. Kurzowa, o lwowskich piosenkach ułuczonych J. Habela i Z. Kurzowa.

*ach, już zbliża się
nam udyżdu czas,
a winę żegnam, żegnam was!*¹⁰

Stanisław Jedynak

¹⁰ Fragment *Marszu lwowskich dzieci*, anonimowej piosenki lwowskiej, która, jak wiadomo, ma taki początek:

*W dzień dyżdu i ponoru
Z Cydadeli idą Góry
zrywami lwowski dzieci
idu tułac się po wieci.*

Książki nadesłane

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Etnolingwistyka. Pod redakcją Jerzego Bartmińskiego. Tom 1, Ss. 203, nakład 500 egz., cena zł. 500.

Nicolas Boileau Despreaux: *L'art poétique* — *sztuka poetycka*. Przekład i opracowanie Maria Grzędzińska. Ss. 87, nakład 2000 egz., cena zł. 300.

Ekspresjonizm w literaturze *Młodej Polski na tle literatury polskiej i obcej XX wieku*. Pod redakcją Eugenii Loch. Ss. 305, nakład 500 egz., cena zł. 500.

Dzieciństwo romanizacyjne w literaturze pozytywizmu i Młodej Polski. Pod redakcją Eugenii Loch. Ss. 384, nakład 750 egz., cena zł. 750.

Rola poezji i senatowa w II Rzeczypospolitej. Pod redakcją Jana Jachymka. Ss. 310, nakład 300 egz., cena zł. 450.

Racja stanu. Historia, teoria, współczesność. Pod redakcją Edwarda Olszewskiego. Ss. 184, nakład 750 egz., cena zł. 640.

Sezonowe rytmy przyrody w terminologii przyrodnika — fenologia Sergiusza Rabinina i ujęcia przyrodnika — grafika Zbigniewa Joźwika. Ss. 28, nakład 1000 egz., cena zł. 450.

Spitzbergen w grafice i rysunkach Zbigniewa Joźwika. Ss. 35, nakład 1000 egz., cena zł. 2000.

Stan i potrzeby badań nad oświatą i wychowaniem w Królestwie Polskim w latach 1815–1915. Pod redakcją Ryszarda Kuchy i Karola Poznańskiego. Ss. 356, nakład 300 egz., cena zł. 735.

Techniki kwestionariuszowe w diagnostyce psychologicznej. Wybrane zagadnienia. Pod redakcją Radosława Ł. Drewla. Ss. 253, nakład 1000 egz., cena zł. 500.

JAN BILL

Wycieczka do historii X-XI 1939

Szary świt
Na pustym stole
Rozsypał
Domki z kart
Nic już nie chroni
Gestów ani słów
Patrzę w okno
Szyba ma rysę
Rysa dzieli na pół
Uschnięte drzewa i świat
Myśli i przekonania
Tylko deszcz
Jest niepodzielny
Śpiewa w rynnach
„W dzień deszczowy i ponury
Z Cytadeli idą z góry
Szeregami lwowskie dzieci...”

Fin de siecle

Katarynka
Kręte schodki
Skrzypią pod górkę
Poddasze
Zardzewiały klucz
Posklejane figurki
Z porcelany
Wytarty plusz
Popielniczki
Stare niedopałki

Pamięć i kurz.

Wiara

Obudzę się przecież
Z ciężką głową

Z piekącymi oczami
Ale obudzę

Z odrętwienia
Zapomnienia
Ze wspomnień
Które boją
Więcej
Niż są warte.

Lwów, 1988

Jan Bill

Książki nadesłane

Państwowe Wydawnictwo Naukowe

Józef I. Embowski: *Empatio. Studium psychologiczne*. Ss. 282, nakład 5000 egz., cena zł 1000.—

Rüdiger Rogoll: *Aby być sobą. Wprowadzenie do analizy transakcyjnej*. Przełożył Antoni Tomkiewicz. Ss. 148, nakład 20 300 egz., cena zł 900.—

Andrzej Semianowski: *Zasady konwencjonalistycznej filozofii nauki*. Ss. 157, nakład 1500 egz.

Mieczysław Lipiecki: *ramienik adiutanta marszałka Piłsudskiego*. Ss. 364 + ilustracje, nakład 80 000 egz.

Hubert Sylwestrak: *Od Arzementa do piezokwarcu*. Ss. 371, nakład 6000 egz. nietytułowa Problemy, t. 291.

John Watkins: *Nauka a sceptycyzm*. Przełożyli Ewa i Andrzej Chmieleccy. Przedmowa opatrzyła Irena Szumilewicz-Lachman. Ss. 299, nakład 4000 egz., cena zł 1500.—

Henryk Lebedziński: *Przekład: nauka ogólna wobec teorii entai*. Ss. 260, nakład 1000 egz., cena zł 850.—

Szymon Salomonowicz: *Sylwetki spod kłopoty*. Ss. 160, nakład 15 300 egz.

Sergiusz Michalski: *Protestanci a sztuka. Spor o obrazy w Europie nowożytnej*. Ss. 372, nakład 3000 egz., cena zł 1800.—

SUBSTANCJA PIEKŁA

W 1978 r. w czasopiśmie „Wseswit” ukazał się artykuł Wadima Skuratowskiego, jednego z najciekawszych ukraińskich krytyków i kulturoznawców, zatytułowany *Szewczenko w kontekście literatury światowej*, w którym wyjątkowość Szewczenki rozpatrywano z jednego tylko, ale bardzo ważnego punktu widzenia — demokracji światowej kultury, niełatwego przyswajania przez nią wszystkich aspektów życia prostego ludu, odzwierciedlania go nie tylko w burleskowych sentymalnie-pejzażowych obrazach (w tym rozumieniu powiedzmy, że i chłopki potrafią kochać), a w całym bogactwie jego duchowych aktywów, w całej jego humanistycznej głębi i tragizmie.

Rozpatrując ten proces w dość szerokim kontekście kultury europejskiej i światowej Skuratowski wyodrębnia dwie — by tak powiedzieć — przeciwstawne tendencje: z jednej strony ruch wyszukanej, elitarnej kultury społecznymi schodami w dół — z pełnych przepychu pierwszych pięt do „piwnic”, z salonów do „zagrzebionych suternów”, z drugiej zaś wdzieranie się wczorajszych niewolników i zwyczajnych ludzi ze społecznego dna na wyższe stopnie społecznej hierarchii i próby opanowania przez nich kulturalnego kodu tam opracowanego i dopracowanego. Przy czym, jak słusznie zauważa badacz, ruch intelektualistów w stronę owych „braci niższych” miał przede wszystkim charakter „wycieczkowy”, egzotyczny, a ich „reportaże z piekła” przeniesione do arystokratycznych salonów były na swój sposób wzruszające, ale i dość ograniczone. Co do ruchu „braci niższych” ku intelektualnej elicie to też podlegał on ograniczeniom: inercja pańskiej kultury, ciężar wypracowanych przez nią kanonów ideowo-tematycznych i formalnych okazywały się na tyle potężne, że żaden z wczorajszych niewolników czy pańszczyźnianych chłopów nie mógł pokonać ich ram, nie potrafił wyrwać się poza kliwne epigonstwo.

Stuletnia niedola mas — pisze Skuratowski — nie miała swych własnych literackich ust, nie wypowiadała się nimi, nie przebiła się własnym artystycznym głosem, w najlepszym razie „odzywała się” tylko w folklorze. Dopiero Szewczenko jako pierwszy w historii (i nie literatury, a ludzkości) naruszył tę tysiącletnią niemotę, dopiero poprzez niego objawiła się słowem a nie krzykiem, zadźwięczała, jak mówili średniowieczni teologowie, „substancja piekła”. Jej straszną, na wskrosz przepalona cierpieniem „materia”. To nie Orfeusz zstąpił do piekła — to nagle zaśpiewały nowym głosem, zadźwięczały wszystkie jego kamienie, wszystkie ściany i sklepienia. Po raz pierwszy słowem poety przemówiły światy, zamknięte na siedem pieczęci przed kulturą elitarną, przed jej wszystkimi, sporadycznymi, literackimi ekspedycjami. Nie znak zbliżył się do zjawiska i je zakrył, znak wymysłony i dopracowany w najlepszych intelektualnych i estetycznych laboratoriach: samo zjawisko ni na jotę nie zmieniając swej istoty, nie tracąc swojej ontologicznej natury, stało się znakiem i przemówiło samo za

siebie. Tak bywa tylko w kosmogoniach, w największych światopoglądowych prąsyntemach.

Nie będziemy zagłębiać się dalej w tę poważną problematykę filozoficzno-literaturoznawczą, skądinąd świetnie opacowaną przez amerykańskiego badacza George’a A. Grabivitcha w książce *Poeta jako mitotwórca* (Harvard, 1982) podkreśliśmy tylko w ślad za Skuratowskim oczywisty fakt, że takie „samouświadomienie się” świata ma istotne przewagi w porównaniu z wchodzeniem w ten świat z boku, dokładniej ze społecznego szczytu, co nieuchronnie grozi pewnymi aberracjami wzroku i mistyfikowaniem tych czy innych aspektów rzeczywistości.

Dość wiać najbliższy i najbardziej dla nas wszystkich oczywisty przykład — przykład Puszkina, niewątpliwie jednego z najwybitniejszych poetów słowiańszczyzny, którego stosunki z imperatorską oficjalnością dalekie były od idylli i którego pamięta się bardziej jako wolnomysliciela i liberała niż monarchistę i wielkodzierżawcę. Czymże jednak, jak nie wspomnianą aberracją wzroku, koniecznością przyjmowania pożądanego za rzeczywistość, mistyfikowania nie na zbyt chwałebnych poczynaniach swego „patrona”, zdominowane są wiersze poświęcone bożemu pomazaniwcowi Mikołajowi I?

*O, nie, nie schlebiam, swoją część
Nieprzymuszenie mu oddając:
Uczucia mężnie wyrażając
Pozwalam sercu śpiewać pieśń.
Po prostu pokochałem go,
Za rządy prawe sercem płacąc:
Wojnę (sic!), nadzieję oraz praca
On życie nagłe w Rosję technął.
O, nie, choć młodość kipi w nim,
Pragnienia zemsty on nie czuje
I jawnie karząc, już szykuje
Tajemnie miłosierdzia czyn.
Płynął mój na wygnaniu czas,
Z dala od bliskich znam udrękę.
Lecz do mnie on swą carską rękę
Wyciągnął — jestem znów wśród was.
To on wyzwolił moją myśl
I on się dla mnie stał natchnieniem.
Serdeczne czując rozrzewnienie,
Jak hymn nie słać mógł go dziś?*²⁸

Zauważył, że Szewczenko, wyzwolony z poddaństwa za sprzyjanie Mikołajowi I, miał nie mniejsze powody, żeby calować „carską rękę” z „serdecznym rozrzewnieniem”, niż jego rosyjski kolega, zwolniony z „wyznania”, to znaczy z własnego obszarcznego majątku Michajłowskoje. Co więcej, nikt z bliskich przyjaciół Szewczenki w owym czasie nie został posłany przez Mikołaja I na katorgę, nie mówiąc już o szubienicy, więc i moralnych oporów przed takim calowaniem katowskiej dłoni mógłby Szewczenko nie odczuwać. Jednak oprócz czysto osobistych powodów do miłości czy nienawiści miał Szewczenko powody znacznie ważniejsze, praktycznie niezależne od prywatnych sympatii czy antypatii: miał naród, nieustannie katowany i zniewalany, o którym zapomnieć nie mógł, niezależnie od żadnych prywatnych lask imperatora — chociaż prywatnie członek Carskiej Akademii Sztuk T. G. Szewczenko cenił być może te laski nie mniej niż dworzanin i kamerjunker A. S. Puszkina. Jako poeta nie należał

²⁸ Fragmenty utworów, pod którymi nie podaję nazwiska tłumacza zostały przełożone przeze mnie (przyp. B. Z.).

jednak ani do cara ani do ojczyzny, ani nawet do samego siebie, a zatem i jego spojrzenie na całą imperatorską hierarchię było wyjątkowo prawdziwe i bezwzględne:

*Oto ten raj? dworacy
Złotem szamerowani;
A oto i on sam,
Wysoki, zagniewany,
Wychodzi; obok niego
Caryca nieboga,
Jak opienka wyschnięta,
Cienka, długonoga (...)
Za hoską parą — dwór, dwór,
Srebrzem i złotem kapie,
Jak wieprze wypasione —
Pyskate, hrzuchate!...
Spoceni, lecz się cisną
By stanąć jak najbliżej
Ich samych: wszak uderzyć
Albo może figę
Dać zechęć, choć malenką,
Choć pół, żeby tylko
Pod sam pysk.*

Warto także zaznaczyć, że w przeciwieństwie do Puszkina, który ulegał rozpowszechnionym niestety do dzisiaj wśród rosyjskiej (i nie tylko rosyjskiej) inteligencji nastrojom paternalizmu, Szewczenko w zasadzie nie widział różnicy między „najwyższym” a jego „administracją” — właściwie ten odzwierciedlony przez Szewczenkę biurokratyczny system władzy od czasów Mikołaja Wiesiatła do czasów Iwana Groznego zmienił się bardzo niewiele.

*Patrzę, car podchodzi
Do najstarszego ... i w pysk
Juk nie przyłożył
Oblizal się nieborak
I w koldun mniejszemu,
Aż zahuczało! A ten
Jeszcze mniejszego
Wali w plecy, ten mniejszy
Całkiem malego,
Ten plotki. A plotki
Już za progiem
Juk ruszą przez ulice
I dawaj tłamsić
Prawosławnych,
Ci zaś lamentują,
A krzyczą, a zazdroszczą
„Bawi się nasz ojezulek, baw!”
Hura!.. Hura!.. a, a, a...”*

W najmniejszym stopniu nie chciałbym, aby dokonane tutaj zestawienia wydały się komuś usiłowaniem zepchnięcia Puszkina — poety bez wątpienia wybitnego i szanowanego przez nas niezależnie od jego takich czy innych poglądów społeczno-politycznych czy sformułowań — z należnego mu miejsca w kulturze rosyjskiej i światowej. Najmniej chciałbym upodobnić się do literaturoznawcy — wulgaryzatora, który z wysokości swej społeczno-historycznej wszechwiedzy i bez wątpienia słusznej marksistowsko-leninowskiej metodologii karci mistrzów za to, że tego, powiedzmy, nie przewi-

dzieli, tego nie przedstawili do końca i w ogóle na skutek swych klasowych, narodowych i wszelkich innych ograniczeń okazali się tylko „niższymi stopniami” rakiety nośnej, która wyniosła na orbitę współczesności najwyższe osiągnięcie światowej kultury — mistrzostwo realizmu socjalistycznego.

W istocie problem jest znacznie bardziej złożony. Polega przede wszystkim na tym, że przykład Puszkina (jakikolwiek inny również) pokazuje, jak wąski i kręty był szlak światowej kultury prowadzący do niskich, najgłębiej załudnionych pięt ludzkiego społeczeństwa, ile trudu i cierpień wymagało od niej zwyczajnie, nie zaciemniane żadnymi imperatorskimi ani innymi mistyfikacjami spojrzenie na sprawy, zdawało się, oczywiście i jak konieczne, na swój sposób prowadzące, było zjawienie się w tej kulturze fenomenu Szewczenki z jego niewiarygodnym wręcz pogodzeniem estetycznego blasku cywilizacji pierwszopiętrowej i społecznej przenikliwości wielomilionowych, wszystko wiedzących, ale niemych mieszkańców podziemi.

Kiedy Puszkין zachwycił się Piotrem Pierwszym i jego poczynaniami, nie był ani trochę dwulicowy — szczerze wierzył w ideę imperatorskiego „raju”, oświeconej monarchii, której podwaliny, jak sądził, Piotr Pierwszy właśnie zakładał: on sam był prostym spadkobiercą ludzi, dla których ten „raj” stworzono i całkiem naturalne, że wolał nie myśleć o imperatorskim „piekle”:

*Kocham cię, Grodzie mój Piotrowy;
Twych zwartych kształtów kocham ład,
Prąd Newy władny i surowy,
Nadbrzeżny granit...*

(tłum. Julian Tuwim)

W Szewczenoc, który podniósł się z samych głębin imperatorskiego „piekła”, Petersburg budził, co zrozumiałe, całkiem inne skojarzenia:

*O boże nasz miłosierny!
O carze okrutny,
Carze przeklęty, obłudny,
Potworze niesyty!
Coś z kozakami uczył?
Szlachetnymi kośćciami
Zasypałeś błota;
Stolicę zbudowałeś
Na trupach zakatowanych!*

Inne skojarzenia wywołuje u poety także obraz Piotra:

*A on rękę wyciąga,
Jakby chciał cały świat
Zagarnąć. Ktoż to taki?
I oto czytam.
Co wykute w skałę:
„Pierwszemu — druga”.
Taki cud pokazała.
Teraz już wiem:
Pierwszy to ten, co krzyżował
Naszą Ukrainę,
A druga dobiła
Nieszczęśliwą wdowę,
Katy! katy! ludojady!
Najedli się oboje,
Nakradli; a co zgięli*

*Na tamien świat ze sobą?
Tak, jakhym czytal
Historię Ukrainy.
Stoję i zamieram...*

Jak mało to podobne do znanego nam wszystkim początku *Jeźdźca Miedzianego*:

*Na brzegu, nad pustkowiem fal,
Stal ON — i z wielką patrzył w dal
Zadumę (...)*

*I dumał on:
„Będzie grozić stąd Szwedowi.
Tu stanie miasto, stanie tron
Na złość dufnemu sąsiadowi.
Naturę nam sądzono stąd
Wyrząbać okno na Europę.
Przy morzu twardo stawie stopę.
Niech tu poznawać nowy ląd
Zjeżdżają wszystkie flagi w gości!
Zahulać nam tu na wolności...”*

(tłum. Julian Tuwim)

Faktycznie obaj poeci piszą o tym samym, ale piszą różnymi społecznie i kulturalnie „językami”, „językami” różnych idealów i pragnień, różnych spojrzeń na świat i rozumienie narodu. To, co w jednym systemie społeczno-językowym podniosło i eufemistycznie nazywa się „zahulaniem na wolności”, w drugim zyskuje proste i otwarte miano „świat cały... zagrabić”. To, co w jednym systemie powściąga wyszukaność sformułowania „Nie patrzył na oczysty kraj — znał jego przeznaczenie”, w drugim rozsyfrowuje się twardo i nieubłaganie: „Ukrzyżował naszą Ukrainę”. To wreszcie, co w jednym systemie wieloznacznie określane jest jako „sławny zastęp orłów Katarzyny”, w drugim charakteryzowane jest krótko i szorstko:

*Katy! katy! ludojady!
Najedli się oboje,
Nukradli...*

Można by dzisiaj oczywiście z delikatności i nie pytać o tę całą krew, „szlachetne koci” i „trupcy zakatowanych” złożone u podstawin imperium, gdyby do dzisiaj nie trwało wysławianie wszystkich tych smutnie wiadomych „orłów”, gdyby we wszystkich miastach Związku, a Ukrainy szczególnie, nie pyszniły się ulice marszałka Suworowa — wodza, który nie prowadził żadnej (podkreśliam — żadnej!) sprawiedliwej wojny i który był w najprostszym znaczeniu tego słowa zandarmem Europy, gdyby do dzisiaj nie przedrukowywano z przychylnymi komentarzami wierszy typu *Oszczętem Rosji* czy *Rocznica Borodino* i nie cytowano nawet na szpaltach centralnych gazet niemal jak aktualnego hasła, godnego praktycznej realizacji:

*Słowiańskie strumienie czy w morze rosyjskie wpłyną?
Czy ono wyschnie? oto jest pytanie.*

A tymczasem tych wierszy wystydziło się nawet niektórzy współcześni Puszkina, dla przykładu jego bliski przyjaciel, książę P. A. Wiazemski w liście do O. I. Turgieniewa dość zgryźliwie kwituje scisie carską reakcję Puszkina na polskie powstanie 1830/31 r.

Naturalnie, ci Rosjanie, którzy i dziś uważają się za spadkobierców rosyjskiego imperium, jego żalostnej wielkości i jeszcze żalostniejszego

go wszechświatowskiego i wszechświatowego mesjanizmu, mają pełne wewnętrzne prawo aby szanować wszystkich jego twórców i propagatorów, jego „szczyty” i „orły”. Ale na odwrót, czy ktokolwiek ma prawo żądać takiego samego szacunku od przedstawicieli innych narodów, zwłaszcza tych, które same były ofiarami — często krwawymi! — imperialnej ekspansji, urzeczywistnianej przez takich czy innych piotrów i katarzyny, jermaków i suworówów, jermolowczy — i nie ma ich liczby — aż do stalinów i molotowów którzy w niebagatelny sposób przyczynili się do żywego i tożsamości kultury swych wymienionych wcześniej poprzedników.

Toteż gdy rosyjski uczeń w natężeniu uczy się wierszy w rodzaju:

*Dokąd twierdzi naszych szczyt cofniemy?
Za Bug, do Worskli, do Lemanu!
Spuszczą Bogdanowa wiedy
I Wołyni przw kim pozostaną?
Gdy huntownicy prawa pozna,
Czy Litwę się oderwie od nas?
Nasz Kijów stary, złotogłowy!...*

pozostaje to problemem głównie wewnętrznym, problemem narodowej (i międzynarodowej) etyki, pedagogiki, obywatelskości, kiedy jednak podobne wiersze proponuje się także uczniom ukraińskim osetyńskim, litewskim, wygląda to jak narodowy nietakt, a pewnie i bluźnierstwo.

W kontekście tej, niestety aktualnej i obecnie, polemiki, ciekawę będzie zestawie poemat Szewczenki *Kaukaz*, jeśli nie z wyżej wymienionymi, nabył już odpychających wierszami, to przynajmniej z tematycznie spokrewnionym epilogiem Puszkina do poematu *Jeniec Kaukazu*, gdzie spojrzenie poety na problemy „kaukaskie” w zasadzie nie różni się niczym od jego spojrzenia na problemy „małoruskie”, „polskie” itp., a więc jest spojrzeniem nie tyle poety co dworzanina i kamerjunkra:

*(...) i czas sławny,
Niedawną porę tę wyśpiewam,
Kiedy zwęszywszy proch bojowy
Nad Kaukaz palający gniewem
Uniosł się orzeł nasz dwugłowy:*

*(...)
Ciebie chcę śpiewać, Kotłarewskij,
Biezu Kaukazu! Gdyś po głazach
Podobny burzy szedł niebieskiej,
Twój marsz jak czarna biał zaraza
I niszczył ludy.*

(tłum. Włodzimierz Słobodnik)

Dla Szewczenki podobny „śpiew” był nie do pomyślenia i nie przypadkiem jego *Kaukaz* zaczyna się od wyraźnie polemicznego wobec *Jenca Kaukazu* obrazu — obrazu rozpiętego w górach Prometeusza katowanego, kto wie, czy nie przez tego samego, wysławianego nie tylko przez Puszkina „dwugłowego orla”. Co więcej, cała ta imperialna retoryka, cała nie wywierzona i do dzisiaj kolonizatorska demagogia, paradowana jest tu zadziwiająco konsekwentnie i zgryźliwie (tu i w dalszych cytatach podkreślenia moje — M.R.):

*Tam on — car Rosji z łaski bożej
Nędzarz do cna obrałował,
Pozwałił ziemi, mienia, słowa
I nadal szczuje (...)*

Posłuchaj! Myśmy wykształceni,

Umumy czytać boże słowo

I czy w koszarach, czy w więzieniu

Aż po cesarską sien tronową

Chodzimy w złocie — chociaż goli.

Do nas — po wiedzę! My podamy,

Jak liczyć garsikę mąki, soli,

Myśmy chrześcijanie. Szkoły, chramy,

Dobra najwyższe posiadamy...

Jedno nas tylko w oczy kole:

Dla czegoś sakra u was stoi,

Chociaż nie od nas tam się wzięła?

I słońce — też nie nasze dzieło.

A jednak darmo was ogrzewa...

Chleba nie rzucim wam z powrotem.

Jak byle kundlum na podwórku

(tłum. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz)

Wszystkie te owoce oświecenia i cywilizacji, które jakoby niósł zniewolonym narodom rosyjski carat i które szczerze zachwycali Puszkin (*Jedynowładczą ręką rozsiewał oświecenie* — pisał, jak pamiętamy, o Piotrze Pierwszym), wysmiał Szewczenko przenikliwie i z gryzącą ironią:

Oświeceni! a więc chcemy

I innych oświecić.

Słońce prawdy niech zobaczą

Biedne, ślepe dzieci!..

Pokażemy wszystkim! tylko

W garść wziąć się nam dajcie —

Jak umacniać więzien kraty.

Wykuwać kajdany

Jak je nosić. Jak wplatać

Gruźlowate baty —

Nauczmy was wszystkiego,

Tylko góry może

Nam oddajcie... bośmy wzięli

Już pole, i morze.

Za półtora dziesięciolecia postępową myśl rosyjską ustami Hercega sformułuje wreszcie naprawdę uczciwie i sprawiedliwie, demokratycznie stanowisko europejskiego inteligenta tak wobec kwestii polskiej jak i maloruskiej — stanowisko zgodne z zasadami socjal-demokratycznej teorii i praktyki stosunków międzynarodowych. *Wszyscy jesteśmy jeszcze w takim stopniu niewolnikami, że wykorzystuje się nas do zniewalania innych narodu* — bezwzględnie stwierdził z tych samych pobudek w roku 1901 W. I. Lenin.

Szewczenko, wyszedłszy z zniewolonych społeczeństwie i narodowo nizin, już w latach czterdziestych minionego stulecia widział i rozumiał to, czego za romantycznym blichtrzem imperialnej wielkości nie zauważali lub zauważać nie chcieli nawet niewątpliwie uczciwi i utalentowani przedstawiciele ówczesnej inteligencji dworskiej. Przed oczami ukraińskiego poety nadzwyczaj żywo stało niemal dwustuletnie doświadczenie „oświecenia” jego własnego narodu pod uciskiem rosyjskich kolonizatorów, doświadczenie więcej niż smutne: wykonywać krótkotrwałą rolę intelektualnego krwiodawcy przy realizacji Piotrowych reform i posłuszny przez pewien czas jako wojskowo-polityczny bufor w zmaganiach Rosji z Turkami i Polakami

mi na południowym zachodzie, Ukraina zmieniła się w końcu w głuchą prowincję, bezkresny spichlerz imperium, zamieszkały nie — jak kiedyś — przez wolnych chłopów, a przez feudalnych niewolników, nie przez oświeconych ludzi, którzy zadziwiali kiedyś zajeżdżających tu wędrowców powszechną niemal umiejętnością czytania i pisania, a przez niepiśmienną masę, nie przez wielomilionowy naród z własnym wojskiem, kościołem, szkołami i akademią, literaturą i malarstwem, architekturą i muzyką, a przez chimeryczne, jakające się plemię, niepewne swego pochodzenia ani swej prawdziwej tożsamości.

Nowożytni ukraińscy szewczenkolodzy, wykonujący „państwowe zamówienia” rozpaczliwie usiłują przekonać czytelników, że Szewczenko, powiedzmy, „nie docenił Bohdana Chmielnickiego” i że jego wyraznie negatywny stosunek do ugod w Pieriejasławiu to następstwo „ograczenia” poety i jego „krótkowzroczności”. Odwrotnie jednak: czy potrzeba szczególnej dalekowzroczności, aby w katastrofalnym położeniu własnego narodu dostrzec następstwo narodowego i społecznego ucisku, następstwo konsekwentnie realizowanego kolonialnego ludobójstwa?

Wezwania do jedności Słowian w ustach carskich satrapów mogły wzbudzać u Szewczenki tylko sardoniczny uśmiech, kto jak kto ale on znał cenę tej „jedności” pod egidą jedynowładcy Wszechrosji; trudno zresztą było nie pamiętać, że wezwania by „zaprzyjaźnić się” z rosyjskim carem kierowane były wyłącznie do Słowian północnych i zachodnich, a więc tych, którzy (do czasu) znajdowali się poza granicami imperium rosyjskiego. Co do Słowian wschodnich, którzy już „złżyli”, „podac sobie ręce” a więc zaprzyjaźnić się z jego wysokością, rozmowa była całkiem inna: „Zadnej odrębności języka maloruskiego nie było, me ma i być nie może”, „narzcza, jakich używa prosty lud, to ten sam język rosyjski, tylko zepsuty wpływami Polsk”, „ogólnorosyjski język tak samo zrozumieli jest dla Malorusów jak i Wielkorusów, i nawet znacznie zrozumieliśmy niż teraz stwarzany dla nich przez niektórych Malorusów i szczególnie Polaków (!) tak zwany język ukraiński” (Okólnik ministra spraw wewnętrznych Wajucjewa z 18 lipca 1863 r.).

Włączyć się w dyżurny chór carskiej żurnalistyki i zakrzyknąć w ślad za Puszkinem „Ukorz się, Kaukazie — idzie Jermolow!” — Szewczenko po prostu nie mógł: popioły ojców i dziadów zbity bolesnie pałły mu piers, a ponadto los go obdarzył zbyt przenikliwym wzrokiem i wyostrozonym sumieniem, aby usprawiedliwiać kolejną carską awanturę pięknymi słowami:

Bośmy nie Turcy... Wiedziecie o tym —

Myśmy chrześcijanie... W Petersburgu

Sami żyjemy niebogato...

Gdybysmy bliżej się poznali,

To wiele byście skorzystali!

Niezmierzona przestrzeń mamy na to —

Choćby sybirskich ziem równina!

A ciemnie — mnóstwo! Wojska — roje!

I od Wołocha aż do Fina

Każdy w języku milczy swoim.

Każdemu błogo w tej krainie!

(...)

I choć z was ludzie nieuczni,

I świętym krzyżem nie ochrzczeni,

My nauczmy was rabować

Według naszego obyczaju.

Więc żeby się do rajy wkuścić,

Masz jak najwięcej kraść i łupić...

No i rodzinę swą przyprowadź!
 Czegoż my tylko nie umiemy!
 Mnóstwo się u nas rzeczy dzieje:
 Gwiazdy się liczy, hreczkę sieje,
 Kłniemy Francuzów, sprzedajemy
 Albo przy kartach przegrywamy
 Swych pańszczyźnianych... Chociaż wiemy,
 Że to chrześcijanie — lecz to chamy.
 Nie plantatorzy z nas, jaśnie.

(tłum. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz)

Zrozumiałe, że ideał Szewczenki miał być niezmiernie odległy i od wymarzonego przez Puszkina „złania się” słowiańskich strumieni w rosyjskim morzu, i od wpatliwych przewidywań wielkowladczej idylli, odległy na tyle, że ryzykując osobistą wolnością, pomyślnością, zyciem, musiał poeta mimo wszystko napisać coś całkiem przeciwnego dwugłowemu orlu, który rozbija serce Prometeusza:

Szarpie, ale życiodajnej
 Krwi mu nie wypije,
 Znow i znow się serce śmieje
 I uparcie żyje.
 I w nas także duch nie słabnie
 I nie słabnie wola,
 Nie uprąci chciwa ręka
 Na dnie morskim pola,
 Nie zakuje wolnej duszy,
 Słowa nie przemoże,
 Nie ubliży Twojej chwały.
 Wiecznie żywy Boże.

(tłum. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz)

Takiego poglądu na świat nie mogła dać żadnemu swojemu poecie dotychczasowa arystokratyczna kultura, me tylko rosyjska, ale i europejska. Przy całej wzruszającej *Córki kapitana*, „ludzkich” poezji Byrona i wypraw do robotniczych piwnic Wiktora Hugo było to spożycie z zewnątrz a nie od środka, było to mniej lub bardziej interesujące spożycie na problem, ale nie jego „samoobjawienie”, „samo wyrażenie się” w najwęższej skali ludzkiej uczuci i myśli.

Bez wątplenia miał rację Władimir Skuratowski w swym bezwzględnie rozgromionym przez „malanaczuków” artykule z 1978 r. do którego głównych założeń nadszedł czas, jak myśle, twórczo powrócić. Z Szewczenką — pisał autor — przemówiły całe społeczne kontynenty *leśno* zarysowane na elitarnych kulturalogicznych mapach, nie znane dotąd masyw ludzkiej hiedy, po raz pierwszy zażrzmiał pełną siłą ten tragiczny akompaniament światowej historii, którego tak długo nie czuła lub nie chciała czuć kultura, osamotniona na swych „czarodziejskich górach”. W istocie dopiero od Szewczenki (zrozumiałe, że w światopoglądowym, a nie wąskim historyczno-genetycznym sensie) zaczyna się długi i dramatyczny proces demokratyzacji światowej literatury, powszechne odnowienie jej etosu, jej heroicznego zmagania, by jak najbardziej przekonująco opowiedzieć o wszystkich „martwych domach”, wszystkich hekatombach nowej i najnowszej historii o całym jej tragicznym, „bilansie”... „Kobzarz” — to jeden z wzorów takiej, prawdę powiedziawszy osamotnionej, poezji.

Przełożył Bohdan Zadura

JAN KIELEWICZ

WEGETARIANIN

Zwolniono mnie przed zakończeniem dwuletniego śledztwa. Wprawdzie nie ulegało wątpliwości, że jestem „wragom naroda”, „wredicielem” i w ogóle — „socjalno-opasnym elementem”, że jestem kontrewolucjonistą, szpiegiem i dywersantem, jednakże — okazało się — i takich burzących wyrodków jak ja spotkał akt wielkiej łaski. Któręś letniego dnia otworzyły się przede mną podwoje samarkandzkiego więzienia.

Szczęki już mi się podgoiły, boki także. Czulem się nawet nieźle, na miarę więzienną oczyściła, ale byłem okropnie wyczerpany. Dwuletni pobyt w różnych kryminalach i przestawanie z sędziami śledczymi (miałem ich kilku) dokonały swego. Wychudłem, opadłem z sił. Pęd świeżego powietrza, który ogarnął mnie na ulicy, odurzył mnie, omroczył jak większa doza alkoholu. Bezsilny, ślaniałem się na nogach, wbrew woli nasładować pijanego; co chwila siadałem na chodniku dla odpoczynku. Do stacji kolejowej było kilometrów trzy: szedłem kilka godzin. Miałem na sobie strzępy ubrania cywilnego, woreczek z jakimiś szmatami i bodajże z trzysta gramów razowego chleba. Byłem wolny!

Pojechaliśmy z kolegami, równie zdezolowanymi jak ja, na poszukiwanie pracy. W Samarkandzie, mieście okręgowym, nie wolno nam było, według obowiązujących przepisów, pozostawać. O udaniu się bezpośrednio do formującej się Armii Polskiej nie można było nawet marzyć. W „wojenkomatach” i innych urzędach nie bardzo się orientowali w położeniu, kazali czekać: „Otdychajcie niemożko”. Czekać — to najstraszniejsza broń biurokracji. W państwie, gdzie jest ma prawo tylko ten kto pracuje, a kto pracuje także głoduje, udzielona rada zakrawała na ironię. Aby nabyć prawo kupienia dziennie kilkuset gramów chleba po urzędowej cenie, należało płacić pewną ilością sił, tych sił, których ostatki kołatały się w nas jeszcze.

Na dachu towarowego wagonu pojechaliśmy do miejscowości o niezbyt zachęcającej nazwie — do Dżumy, odległej 28 km od Samarkandy, położonej w pazardgowskim rejonie. Tu część z nas udała się do okolicznych kolchozów, część — ja w niej — została zatrudniona w Żegot „Ziarno” — przystajnym składzie przesyłkowym zboża. Kolchozy zwoziły tu na arbach nałożony kontyngent zboża, który na miejscu podlegał dodatkowemu oczyszczaniu i ekspedycji do głównych magazynów państwowych.

Otrzymałem pracę w charakterze tragarza. Pracę ciężką, akordową, płatną po 34 kopiejki od załadowanej tony zboża. Zadanie

moje me wysilało mózgu, ale wymagało krzepkich mięśni. Należało napelnić worki ziarnem, zważyć i zanieść do wagonu. Mimo najlepszych chęci, przy naszym zdrowiu i odżywianiu, robotnik mógł załadować dziennie nie więcej niż 4-6 ton. Zarobek miesięczny „gruszczyka” wynosił zatem śmieszłą sumę 60 rubli. Był to „raz-cenok” przedwojenny i wtedy głodowy, zachowany mimo horrendalnej wyższości cen. Nie znalazł się nikt wśród zarządzających, kto by zajął się podwyższeniem płacy. Dwie zasadnicze korzyści wypływały wszakże z naszego zatrudnienia: chroniło przed aresztowaniem za włóczęgostwo i dawało możliwość nabywania chleba po cenie urzędowej. Przysługiwało mi, jako ciężko pracującemu, 800 g chleba dziennie, a to już stanowiło wiele.

Pracowaliśmy, wypróbowana metoda sowiecka, zgrupowani w sześciuosobowe brigiady, a to w celu zracjonalizowania i podniesienia wydajności naszego trudu. Brigada miała wyznaczoną dzienną normę, jeśli jej nie wykonała — płaćla karę za „pierstoj wagonow”.

Pracowaliśmy po jednadenastu godzinach dziennie, z godzinną przerwą obiadową. Stołówka, z której mogliśmy korzystać, znajdowała się w MISiE (Motornio-traktornaja Stacja), oddalonej 3 kilometrów od stacji. W porze wydawania posiłków zbierała się tam duża kolejka, odpadała zatem możliwość korzystania z tej utylitarniej instytucji. Poza chlebem, inne artykuły żywnościowe zdobywało się własnym przemyślem, sprytem, podstępem.

Mieszkałmiś w jednoizbowej kachbie uzbeckiej, nie opodal miejsca pracy. Po usilnych zabiegach i długich targach wynajął ją nam właściciel, gdy wreszcie przyrodzone skąpstwo przeczyciżyło weń wstręt do wpuszczania pod swój dach niewiernych, zjadających psy i osły, odprowadzających jakieś tajemnicze praktyki. Za lepszych czasów w kachbie pędziły poczywiy żywoty owce i kozy i stąd przesiąkła ona charakterystyczną wonią zwierzęcego potu i ekskrementów. Małych rozmiarów, zaledwie dwumetrowej szerokości, nie mogła nas za dnia pomieścić. Spało w niej... 11 ludzi, zbitych na glinianym klepisku, dotykając głowami lub nogami przeciwegłych ścian. Część izdebki oddzielonej przepierzeniem — to była „sypialka” dla naszych pań. Mieszkały z nami trzy kobiety. Były to Polki, nauczycielki szkół powszechnych, obecnie zatrudnione przy czyszczeniu zboża — sproletaryzowane, podobnie jak my w nędzy.

„Zwiedujuszczyj”. Izaak Mojsajewicz Śpiwak, mieszkał w pobliżu nas, w domu mieszcącym biura i kasę składu. Tęgi, w siłę wieku mężczyzna o semickich rysach, z siwiejącymi skroniami i szarzącą się łysiną robił wrażenie zażywnego malomiasieczkowego handlarza. W istocie pochodził z Charkowa, był synem kupieckiej rodziny żydowskiej, wynaradawiającej się. Od czasów gimnazjalnych należał do partii, brał udział w rewolucji październikowej i zajmował kilka odpowiedzialnych stanowisk. Za jakieś niedopatrzzenie aresztowany, wykluczony został z partii i skazany na osiem lat więzienia. Odbył cztery. Okazało się potem, że pisał ofiarą trockistów, zwolniono go, przywrócono do łask, ale do partii już go nie przyjęto. Cztery lata spędzone na dalekiej północy mogły weń zaszczyć niebezpieczne idee o trzeciej rewolucji.

Izaak Mojsajewicz okazał się przystępnym, gadatliwym człowiekiem. Typowy w Rosji półinteligent, naszpikowany ewangelią komunistyczną, popularną literaturą i gazetowymi mądrościami, sypał frazesami sowieckiego schematu, dwięciznymi słowy maskującymi fałszywą treść. Tęgi był w dyalektyce. Zbiegały się w nim semicka docieklwość umysłu i rosyjska filozofia rezygnacji, przebiegłość i naiwność, podstęp i szczerzość. Lubił gawędzić z robotnikami, zwłaszcza pochodzącymi spoza Rosji. Ciekawił go świat nigdy nie widziany, przedstawiany w literaturze partyjnej jako otchłań niewoli, wyzysku, intryg i upadku.

Cierpiał niedostatek. 450 rubli miesięcznej pensji daleko nie pokrywały wydatków związanych z utrzymaniem chorej żony i czworga nieletnich dzieci. Czarny rynek o coraz bardziej kurczącej się podaży i wzrastających zawrotnie cenach — to był potwór ssący gotówkę. Za każdy znoszony łach, za kawalek skamieniałego owczego sera, za litr mleka Uzbekcy ze wschodnią służalczością drożyli się bezczelnie. Toteż z trudem wetowało się Śpiwakowi. Może dlatego rozumiał nasze położenie i nam współczuł. Pomóc nie był w stanie, na równi z nami żył w bojaźni i niedostatku.

Zaczęłam kraść. Kradłem co się dało, było często i dużo. Nie byłem zresztą odosobniony w okradaniu socjalistycznego państwa, kradli wszyscy ratując się od śmierci głodowej. Tam, gdzie eksploatacja przekracza nie tylko granicę niewolnictwa, ale i miarę rozsądku — ludzie muszą kłamać i kraść. System otumaniania, terroru i wyzysku nie wychowuje lojalnego obywatela — między państwem a społeczeństwem istnieje zasada wzajemności, w której wstępne kroki stawiają czynniki rządzące. Wymogi życia zwyciężają wszelką niedorzeczność.

Kradłem pszenicę i worki. Niezauważony napelniałem ziarnem kieszenie i pod różnymi pozorami oddalałem się na stronę przysypując zawartość do woreczka. Kilogram pszenicy kosztował na czarnym rynku 8, potem 20, a wreszcie — 50 rubli. Dziennie, przy sprzyjających warunkach udawało mi się „zwezić” do 2 kg ziarna. Część sprzedawałem, część gotowałem, spożywając z mlekiem, nabytym w drodze handlu wymiennego. Niektórzy z moich kolegów pracowali w kolchozie im. Puszkina — najbogatszym ze 116 kolchozów rejonu — pilnując sadów. Ci kradli owoce, gotowali je bez cukru i często ofiarowali nam wiaderko kompotu. Niekiedy udawało mi się ukraść worek. Owijałem nim ciało, narzucałem ubranie i tak, przytulił nicco, odchodziłem od pracy. Worki były stosunkowo drogie, poza tym z worków szły nam nasze towarzyszkii ubrania.

Poprawiły się nam cośkolwiek warunki, docierały do nas coraz uporzeczysze pogłoski o formowaniu się Armii Polskiej — zakielkowała nadzieja. „Żyto” stało wiesielej”.

Którejś nocy udawało się moim kolegom-kolchoźnikom ukraść barana. Uzbekcy narobili tyle wrzasku, jakby chodziło o całe stado. Podejrzewali Polaków, przymawiali, węszyli, ale nie śmieli atakować. Koledzy moi posiadali poważną praktykę złodziejską, a w dziedzinie ukrywania zdobyczy i zacierania śladów nie daliby się ubiec żadnemu mistrzowi.

W dwa dni potem żarliśmy pyszną baraninę.

Dzień skwarny i duszny, jakich mało w październiku w Uzbekistanie, wytapiał z ciała strugi potu. Spiekota legła żarem na workach, koszula lgnęła do grzbietu, trudno było oddychać, nie sposób pracować. Zdołany, niecierpliwie oczekiwałem przerwy obiadowej. Kusił mnie niewątpliwie przedsmak baraniny, przyrządzonej przez panie, których sztuka kulinarna, oceniana przez wilczo głodnych spożywców, dystansowała wszelkie pochwały.

W kaszbie było niesamowicie gorąco. Z pokazanym ochłapem mięsa i nie mniejszą pajdą razowca siadłem na odwróconym korycie z węgla szopy, ocienionej odośnionym drzewem kasztanowym. Przeżywałem właśnie niebiańskie rozkosze gryzienia, żucia, polkania i zapełniania bezdni żołądkowej, gdy dostrzegłem zbliżającego się z dala Izaaka Mojsiejewicza.

Szedł na obiad, jak zwykle niespiesznym krokiem, zatopiony w myślach. Zauważył mnie dopiero, gdy znalazł się tuż nad mną.

— Aaa, Iwan Władysławowicz, to wy? Co, obiad jecie? — pytał bez potrzeby, byle coś mówić. Nagle: — Co wy jecie?

— Mięso.

— Mięso?! — wzdygnął się, odwrócił nieco głowę, grymas wstrętu wykrzywił mu twarz. — Brrr! Ja mięsa me mogę, za skarby nie biorę do ust. Wy szczęśliwy, że tego nie przeżywać...

— Nie możecie jeść mięsa? Dlaczego? Jesteście chorzy? Zębów nie macie?

— Ani jedno, ani drugie, po prostu wstręt nieodparty czuję do mięsa, uraz, który mnie przesłał już do dziesięciu prawie lat. Wstrząsnął mną pewne wydarzenie, którego zapomnieć nie mogę, ale — machnął ręką — to długa historia, nie warto wspominać.

— Opowiedzcie, Izaak Mojsiejewicz — prosiłem.

Wahał się, ale widząc, że spalaszczałem już resztki mięsa, siadł przy mnie na korycie. Milczał przez chwilę, zbierał myśli.

— Było to w roku 1928 — zaczął — w okresie przeprowadzanej przez partię kolektywizacji wsi. Chłopi, żyjący z własnością prywatną, wrosli od wieków w ziemię, przeciwstawiali się biernie i aktywnie reformie, bronili się uporczywie i rozpaczliwie z iście chłopską wytrwałością. Partia do prac uświadamiających rzuciła na wieś najlepsze, najbardziej wypróbowane kadry ideowców i jednocześnie zastosowała drastyczne środki represyjne. Deportacje, więzienia, egzekucje, olbrzymie podatki w naturze, wielokrotnie przewyższające zdolności płatnicze zatwardziałych kulaków. Taktyka ta miała raz na zawsze, dobrem i złem, odzwyczaić chłopów od własnej ziemi, zmusić go do dobrowolnego wstąpienia do kolektywu. Natrafiliśmy na fanatyczny opór. Żądza posiadania, obok instynktu istnienia, leży głęboko w naturze ludzkiej. Najtrudniejsza jest walka z człowiekiem; łatwiej przekopać międzymorski kanał, niż przepłuć warstwę społeczne, niż wypełnić przesady. Nasz „ruskiej muzyk”, jak żaden chłop na świecie, posiada wysoką granicę wytrzymałości.

Należałem do wiernych, zaufaniem ciszących się towarzyszy partyjnych, obsadzano mną odpowiedzialne stanowiska. W roku, o którym mówię, piastowałem urząd kierownika Rajzomoddi (Rejonowy Urząd Ziemi) w Białej Cerkwi. Twardy przypadł mi orzech do zgryzienia. Chłopi w obłędnym strachu przed kolchozami zasiewali tylko tyle ziemi, by starczyło na przeczcie. Partia, wobec groźby zupełnego braku żywności dla miast i armii, postanowiła mimo wszystko ściągnąć plody rolne i bydło według nalożonego świadczenia, a więc powyżej stanu faktycznego. Zastosowała najostrejsze restrykcje: za kilogram ukrytego zboża — Syberia!

Pola leżały odłogiem, rabunkowa gospodarka wyniszczyła bydło — wieś ogolociła się do szępcu. Głód, straszliwy głód, jakich niewiele zanotowała historia, kataklizm gorszy od okropnej epidemii, padł na kraj. Ukraina — najżyźniejsza ziemia na świecie, aksamiitny czarnoziem, życiodajna próchnica — zdolna wyżywić miliony nawet podczas największego nieurodzaju, zamieniła się wówczas w pustynię, na której masowo ginęli ludzie z wyczerpania i głodu. Chłopi zjedli wszystkie psy, koty, korzenie, słomę, trawę — wszystko strawne czy niestrawne, co można było pakować do pustych trzewi i — chudli, puchli, błędnie staniący na nogach. Najpierw dzieci, potem starszych skosiła śmierć, wymierały rodziny, wymierały całe osiedla. Rzeczą powszechną stały się grabieże, morderstwa. Dantejski obraz piekła — to sielanka w porównaniu z tym, co się działo. I tu w kącie poszły wszelkie nadzieje.

A organa partyjne stały rozkaz za rozkazem: dostarczyć „niemieślnie” kontyngenty płodów rolnych.

Pewnego mroźnego grudniowego dnia pojechaliśmy na przednoworoczną inspekcję rejonu: Arkady Mitrofanowicz Didenko — sekretarz okręgowego komitetu partyjnego, młody, ze wszech miar zdolny człowiek; Wasyl Artimowicz Sezonow — przewodniczący rejonowego sovietu i ja. Jechaliśmy saniami, zaprzężonymi w dwa kozackie koniki. Mróz, skuwający ziemię od kilku dni, wzmagal się zasilany przez porwisty wichur dający od stepu. Od koni i naszych kozuchów były gęste opary. Zwały śniegu i ośiedź mroźna — biel klująca w oczy — to był cały świat. Zamiast nieba — grube, czarne zwały chmur, zwisające tuż nad głową. Wiatr je tarmosił, skupiał bląd przepędzał.

Powozil Wasyl Artimowicz, chłop na schwał, stary rewolucjonista i katorżnik. Trzaskal wesoło z bata i pohukiwał na konie, rwące i tak co sił. Sankowanie przy pełnym żołądku (zjedliśmy obiad w stolówce NKWD), w ciepłej odzieży i przy orzeźwiającym powietrzu zrobiło nam dobrze. Zapomnieliśmy o naszej misji, obezprzytomnił nas pęd, odurzyło ciepło i własny bezwład. Są momenty, kiedy człowiek znajduje pełnię szczęścia — w bezduśności.

Przybyliśmy do Jezirnicki, dużej wsi, będącej przed rewolucją majątkiem polskich „pomieszczyków”, hr. Branickich. Polaczki uciekły za granicę, my ziemię rozdaliśmy feudalnym chłopom. Teraz postanowiliśmy ich skolektywizować, aby położyć kres eksploatacji człowieka przez człowieka. Nie dawali się te „prochowsy” kapitalistyczne! Zasmakowała im ziemia, a przy tym bali się komuny jak

ognia. Buntowali się, zdychali z głodu, a nie ustępowali. Chłop bardziej ceni ziemię, niż własne życie, nędzne i nikczemne.

Siedzieliśmy przy piecu u „predsediatelia” wsi tow. Jefremowa. Nasz to był człowiek, muzyk, najbiedniejszy z całej okolicy, gnieżdzący się z ułomną żoną i sześciorgiem nieletnich dzieci w jednoizbowej lepiance. Prostack, analfabeta, bojący się nas, chłopów, własnego cienia, Boga i diabła, oniesmielony własnym stanowiskiem, bezzadny, desperowany

— Tawarszczu! — błagał — tu się nic nie da wydostać. Wieś umiera! Umiera, powiadam! Głód, chłód i śmierć... Co dzień w ktorejs z chat ktoś się kończy, nieraz po kilku z jednej rodziny... Ludzie rozum postradali, chodzą na wpół obłąkani, straszni... Rozpacz bierze, rozpacz...

— Dobrze im tak! — zachnął się tow. Didenko. — Mówisz, że głód ich rozumu pozbawia, nie, odwrotnie, nauczy ich rozumu. Albo-albo, albo do kolchozu, albo śmierć! My takich nie potrzebujemy, niech zdechną: są przesiąknęci zgnilym kapitalistycznym duchem. My wychowamy nowe pokolenie komunistów, ludzi wolnych, umiejących żyć w kolektywie. Zbudujemy nowy świat, świat przyszłości, co stare — unicestwimy. My, bolszewicy, dla idei poświęcamy wszystko. Prawdziwa rewolucja nie zna kompromisu...

Jefremow niewiele zrozumiał z tej perory. — Ale przecież... — bąknął niesmiało — przecież łitość...

— Durny jesteście, towarzyszu! Bawicie się w sentymenty. Może jeszcze z Bogiem tu wyjedziecie, co? — ozwał się Sezonow. — Tkwią w was jeszcze, jak widać, burżuazyjne przesady, małoduszność człowieka wychowanego na okrucinach ze stołu kapitalisty. U nas nie ma litości, jest idea! Małoż to nas, komunistów zginęło zanim zdobyliśmy władzę? Nas kto żałował?

— Ale tu cały naród ginie. Żal ściska, kiedy się patrzy, jak gasną dzieci...

— Co z tobą gadać! Ty nam powiedz lepiej, kto ich buntuje. Na pewno jest tu taki... My jego, ponimajesz...

Zapałal wieczór. Jefremow poszedł zalażyć konie. Wrócił ode dr...

— Nie wozmożno! Posmotrijcie!

Rzeczywiście. Śnieżyca, wzmagająca się już uprzednio, teraz — rozszrona — zamieniła się we wścieklą zamięć. Z nieba, z rozdartych chmur wałita nieprzebrana masa, istny potop puszystych śnieżyn, gwałtowny wichur skręcał je w wir i rozgierał na wsze strony. Białe chaos. Świąta, przesłoniętone kurzawą i szybko zapadającym mrokiem, nie było widać na trzy kroki. Jak tu odnaleźć drożę!

— Co my teraz zrobimy?

Postanowiliśmy nocować, nie innego nam zresztą nie pozostawało. Jefremow radził nam udać się do pobliskiej chaty:

— Kulaczka... sama jedna... dwa dni temu zmarł jej mąż, wczoraj syn... Duża chata, sporo miejsca...

Poszliśmy. Zanim dotarliśmy do odległej o sto metrów chaty, wyglądaliśmy jak bałwany śnieżne, nawet twarze pokryła nam powłoka tającego śniegu.

Śpiwak przerwał opowiadanie. Dobył machorki, urwał kawałek gazety — skrcił. Wypuścił przez nos kłęb sinego dymu, otarł pot z czoła.

— Przy świetle kaganka — ciągnął dalej — trudno było coś dostrzec w chacie. Zwolna z półmroku wyłoniły się zarysy sprzętów, ikon zdobnych zasuszonymi kwiatami, piec i przy nim staruszka lat około siedemdziesięciu, przeraźliwie chuda, z jarzącymi, prawie błędnymi oczami, osadzonymi głęboko w oczodolach. Świdrowała nas podejrzliwie, z nie ukrywającą bojaźnią.

— Zdrastujcie! Chcecie nocować? — mówiła skrzecziwym głosem. — Pożalujsta, czemu nie? Chata duża, w samom diele, ale słomy nie mam...

Zrzuciliśmy kożuchy, strzepali śnieg z butów.

— Nie martwcie się, mateczko, przepijmy się na kożuchach. Zgotujcie nas za to „kapiatku”. — Mieliliśmy ze sobą bochenek chleba i kawałek sera, od biedy można było się posilić.

— Głodni jesteście, milenkijce, co? — spytała stara. — Wiem: gołód. Biedaczki wy moje, dawnieście zapewne nie jedli — poczęła krzątać się koło kuchni. Zajęci dyskusją nad problemami kolektywizacji, nie zwracaliśmy na nią uwagi. Towarzysz Didenko długo i wyczerpująco, z talentem krasomówczym, z którego słynał w partii, malował radosne życie przyszłych kolchozów, stawiających rewolucyjny krok naprzód, podwalinę budującego się komunizmu.

Uderzył nas miły zapach gotującego się mięsa. Tak, mięsa! Oskoma śliną napelniła nam usta. Znacząco spojrzeliśmy po sobie: przesadził Jefremow z tym głodem, mają mięso, kryją przed państwem i pożerają po kryjomu! Iłeż to krów, cieląt, owiec pozabijano, zamrozili i pochowali. Trzeba będzie pogadać z Jefremowem. Do bani z takim „predsediatelom”!

Zjedliśmy po kawałku cieleciny z chlebem, popili wrzątkiem. Mięso było czepe, bez przyprawy, gotowane tylko na wodzie, ale — mięso. Dawno czegoś podobnego nie jedliśmy. Syci legliśmy spać.

Rano, skoro świt, „chadziajka” krzątała się już koło kuchni; przyniosła wody, nastawiła garnki — gotowała. Znowu mięso. Nie uległo już najmniejszej wątpliwości, że wykryliśmy sabotażystkę, chowającą artykuły pierwszej potrzeby. Po śniadaniu tow. Sezonow przystąpił do indagacji.

— Powiedzieć, mateczko, skąd wy macie mięso? — spytał ostrym, urzędowym tonem.

Bahina przestraszyła się na dobre. Drżała.

— Gosp... towariszcz... ja... ja znacza się... no...

— Gadaj szybko, gdzie masz schowane mięso! My, ponimajesz, z tobą cackać się nie będziemy. Zawołamy milicję, cały chutor przetrząśniemy, ziemię rozkopimy. My szukać umiemy, potrafimy znaleźć...

— Pokażę — trzęsła się stara — pokażę, tylko nie krzyczcie, nie bijcie, nie zabijajcie!

Zaprowadziła nas do małego chlewu splecionego z wikliny, jakich dużo na Ukrainie. Otworła na ścieżkę drzwi.

Włosy nam się zjęzły. Na ziemi, w poprzek chlewa, przysypane częściowo śniegiem, leżały dwa trupy. Dwu mężczyzn. Większy trup był cały, mniejszy — miał odrąbane obie ręce, jedną nogę do pachwiny, drugą — poniżej kolana.

— To mąż i syn, Waniuszka... Zjadam ich po kawałku... Golod!... Pożyje jeszcze trochę... im wszystko jedno... A potem, potem może ktoś mnie zje... i stara zaniósła się od suchego, skrzecznego śmiechu — spazmatycznego, obłędnego śmiechu. Oczy zabłyśły jej dziko.

Dostałem wymiotów, silnych jak nigdy w życiu, podobnie tow. Didenko. Jedyne Sezonow ani drgnął, ale i on był błąd jak chustka. Uciekliśmy. Gonił nas okropny obraz, chłostał histeryczny śmiech. Wpadliśmy, goniąc po śniegu, do zagrody Jęfremowa.

— Zaprzęgaj konie! — ryknął Didenko. — Skoriej!

— Towarzystwo, wejdźcie do chaty, ogrzać się trochę.

— Dawaj konie, mówię!

Wsiadliśmy do san. Sezonow podciął konie co sił. Pomknęliśmy naprzód, na przelaj, na ślepo, byle prędzej — na złamanie karku. Nic zamieniliśmy ani słowa.

— Tak, mój drogi, od owego czasu nie jadam mięsa. Nie mogę, uraz, i-dio-syn-kraz-ja, rozumiesz? Dostaje bólów, mdłości na widok ludzi spożywających mięso. Żona wie o tym i nigdy nie gotuje dla mnie potraw mięsnych. Sama je, ale nigdy w mojej obecności.

Śpiwak zwiesił głowę. W milczeniu skrzył papierosa, po czym zdźwignął się ociężale i poszedł do domu.

Jan Kielewicz

JAN KIELEWICZ urodził się w 1912 roku w Płocku. Po ukończeniu tamtejszego gimnazjum wstąpił na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego, lecz z braku warunków materialnych przerwał studia.

Działalność literacką rozpoczął w roku 1937, publikując wiersze i artykuły na łamach czasopism, m.in. w dodatku kulturalnym „IKC”. Pod koniec roku 1938 skończył powieść obyczajową *Powierzenie przegrza* — przyjęta przez wydawnictwo Przeworskiego nie ukazała się ona jednak z powodu wybuchu wojny.

Wywieziony do ZSRR, po wydotaniu się na Zachód współpracował z pismami emigracyjnymi i wojskowymi na frontowym Wschodzie oraz w Anglii takimi jak „Goniec Karpaci”, „Na Szlaku Kresowej”, „Orzeł Biały”, „Dziennik Żołnierza” czy „Ochońszczyca”. Uczestniczył aktywnie w początkowej fazie działań bojowych we Włoszech, pisząc raporty z przebiegu walk. Następnie przydzielony został do Kwatery Prasowej 2 Korpusu, później był korespondentem wojennym i współredaktorem dwutygodnika ilustrowanego „Parada”, wydawanego dla żołnierzy polskich w Kairze sumpten brytyjskiego Ministerstwa Informacji. W r. 1946 Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu A.P. wydał zbiór jego reportaży *W odniedze walki*.

Po demobilizacji osiadł w Argentynie. Oddany pracy zarobkowej pisywał dorywczo do „Wiadomości” i „Dziennika Żołnierza” (Londyn), pisma „Nowiny Kurier” w Tel-Awiewie i „Ludu” (Kurytyba). Jest stałym współpracownikiem wychodzącego w Buenos Aires „Głosu Polaka”. W roku 1977 wydał w Argentynie tomik fraszek *Płytka i głęboko* ilustrowany przez Kazimierza Wilkojcia.

(J.S.)

WALDEMAR DAGILIS

Z PROBLEMÓW KULTURY UKRAIŃSKIEJ W II RZECZYPOSPOLITEJ

Ukraińska mniejszość narodowa w II Rzeczypospolitej, licząca około 5 mln, była mało zróżnicowana pod względem społeczno-zawodowym. Chłopi stanowili ponad 80%, podczas gdy inteligencja zaledwie 0,5%. W skład tej nielicznej grupy ukraińskiej inteligencji wchodził nauczyciele, duchowni grekokatolicy i prawosławni oraz pracownicy spółdzielczości i stowarzyszeń społecznych. Podjęli oni niełatwą walkę o zachowanie praw narodowych mniejszości ukraińskiej w odródnym państwie polskim, którego polityka zmierzała do asymilacji, zwłaszcza na Kresach Wschodnich, będących od dawna terenem antagonizmów narodowościowych polsko-ukraińskich.

Oficjalnie mniejszość ukraińska, podobnie jak inne mniejszości narodowe wchodzące w skład Rzeczypospolitej Polskiej, miała zagwarantowane prawa wolności religijnej, używania ojczystego języka, prowadzenia zakładów wychowawczych i szkół. Państwo polskie zobowiązało się do utrzymywania szkół publicznych dla mniejszości narodowych i popierania ich działalności kulturalnej, religijnej i oświatowej. Powyższe postanowienia, zawarte w dwunastu artykułach tzw. małego traktatu wersalskiego (o ochronie mniejszości narodowych), podpisała Polska w czerwcu 1919 roku.

W artykule siódmym traktatu ryskiego, podpisanego przez Polskę z Rosją i Ukrainą Radziecką w 1921 roku, obie strony gwarantowały takie same prawa mniejszościom narodowym. Odnosny tekst tego traktatu głosił:

Rosja i Ukraina Radziecka zapewniają osobom narodowości polskiej znajdujących się w Rosji, Ukrainie i Białorusi na zasadzie równouprawnienia narodowości, wszystkie prawa zabezpieczające swobodny rozwój kultury i języka oraz wykonywanie obyczajów religijnych. Wzajemnie Polska zapewnia osobom narodowości rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej, znajdujących się w Polsce, wszystkie te prawa¹.

Wreszcie konstytucja z 17 marca 1921 r. zapewniała mniejszościom opiekę społeczno-kulturalną, czyli ochronę życia, wolności i mienia oraz prawo sprawowania urzędów, zachowania swej narodowości i używania swojej mowy, a także wolności sumienia i wyznania. W artykule 110 konstytucji była mowa, że *obywatele polscy, należący do mniejszości narodowych, wyznaniowych lub językowych, mają równe z innymi obywatelami prawo zakładania, nadzoru i utrzymywania swoim własnym kosztem zakładów wychowawczych oraz używania w nich swobodnie swej mowy i wykonywania przepisów swej religii²*. Przewidywano także samo prawo do zakładania prywatnych szkół³.

W praktyce postanowienia konstytucyjne i gwarancje między narodowe nie zawsze były przestrzegane. Już po opanowaniu Galicji

¹ M. Iwanicki: *Omnia i szkolnictwo ukraińskie w Polsce w latach 1918-1939* Siedlce 1975, s. 43.

² Tamże, s. 45.

Wschodniej przez Polskę nastąpiło zahamowanie rozwoju szkolnictwa ukraińskiego. W okresie rządów austriackich istniały w Galicji szkoły ludowe z polskim lub ukraińskim językiem nauczania w gminach narodowościowo jednolitych oraz z polskim językiem wykładowym i z nauką języka ukraińskiego jako przedmiotu lub na odwrót w gminach narodowościowo mieszanych. Istniało też pięć ukraińskich gimnazjów państwowych i siedem gimnazjów prywatnych oraz trzy gimnazja dwujęzyczne, polsko-ukraińskie. Na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego nie było natomiast żadnego ukraińskiego szkolnictwa na skutek polityki rusyfikacyjnej caratu.

Władze polskie po przejęciu ziem wschodnich przyznały Ukraincom prawo do nauczania w ojczystym języku i zezwalały na zakładanie szkół prywatnych, ale wprowadziły też do szkół ukraińskich obowiązkowe nauczanie języka polskiego w wymiarze co najmniej dwóch godzin tygodniowo, poczynając od drugiej lub trzeciej klasy. Popierały też zakładanie szkół dwujęzycznych, polsko-ukraińskich. Kadre nauczycielskie poddano kontroli władz państwowych. Nauczycieli ukraińskich uznanych za niebezpiecznych z państwowego punktu widzenia przenoszono do miejscowości etnicznie polskich, a na ich miejsce przysyłano nauczycieli Polaków, nieraz nie znających języka ukraińskiego. Protestował przeciwko temu poseł ukraiński Paweł Wasyrzucuk. W Sejmie 17 X 1923 r.: *Nauczyciele ukraiński — mówili — translokowani są do terenów wyłącznie etnicznie polskich, natomiast tam [na Wołyni] pakuje się za wszelką cenę bezwarunkowo mało wykwalifikowanych nauczycieli Polaków*¹.

Taka polityka kadrowa spowodowała spadek liczby ukraińskich szkół powszechnych z 2996 w roku szkolnym 1922/23 do 2532 w roku szkolnym 1924/25, a liczby szkół prywatnych z 29 do 25 w tych samych latach. Zwiększyła się natomiast liczba ukraińskich gimnazjów ogólnokształcących z 12 do 16 w roku szkolnym 1923/24². Zlikwidowano całkowicie słabe szkolnictwo ukraińskie na Chełmszczyźnie, Podlasiu i Polesiu, motywując to względami na bezpieczeństwo państwa. Wytyczne Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z lutego 1924 roku mówiły: *Należy wykorzystać posiadanie własnej państwowości, aby etnograficznie terytorium polskie uczynić bardziej zwartym i nadać mu granice dogodne i obronne na wschodzie, np. linie Czurzona. W tej części Państwa język polski winien być wyłącznym w szkolnictwie, przy nabożeństwach (poza liturgią). Po drugiej stronie tej linii można czynić ostrożne koncesje mniejszościom narodowym, nie dopuszczając do przewagi ich nad kresową ludnością polską i nie paraliżując naturalnej ekspansji żywiołu polskiego. Pod tym względem linia polityczna winna być opracowana szczegółowo pod względem czasu i terytorium. Np. można dać Rusinom uniwersytet we Lwowie (oczywiście za odpowiednią cenę), natomiast na Polesiu, będącym i strategicznie i moralnym węzłem pozycji polskiej, należy utrzymać wyłączność szkoły polskiej*³.

Nie bez znaczenia było zarządzenie lwowskiego kuratorium szkolnego z 29 X 1923 roku znoszące przymiotnik „ukraiński” i zastępujące go przymiotnikiem „ruski” w odniesieniu do szkół ukraińskich, które zaczęto teraz nazywać szkołami „ruskimi”. Nazwa „Rusin”, „ruski” przylgnęła do nieświadomionej narodowo ludności ukraińskiej. Podczas spisu ludności w 1931 r. 3,2 mln podało język ukraiński jako swój ojczysty, a 1,2 mln język „ruski”⁴. Posłużyło to

władzom do podkreślenia podziału Ukraińców na uświadomionych i nieuświadomionych narodowo. W 1936 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało okólnik wyjaśniający, że oba terminy: „ruski” i „ukraiński” odnoszą się do ludności o tym samym języku ojczystym i obu ich na równi używać można. Uświadomieni działacze ukraińscy protestowali przeciwko używaniu określenia „Rusin” w odniesieniu do ukraińskiej mniejszości narodowej.

Wspomniane zarządzenie Kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowskiego z 1923 r. zmierzało do polonizacji szkolnictwa ukraińskiego. Zalecały wprowadzenie języka polskiego jako urzędowego w szkołach ukraińskich: państwowych i prywatnych. Rozmowy nauczycieli z uczniami i ich rodzicami miały się odbywać w języku polskim. Było to już jawne pogwałcenie traktatu wersalskiego i konstytucji, toteż strona ukraińska gwałtownie protestowała.

Walkę o prawa narodowe i o swobodny rozwój kultury ludności ukraińskiej podjęły ukraińskie organizacje kulturalno-oświatowe. Na ich czoło wysunęły się: Ukraińskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Proświta” (Oświata) i Ukraińskie Towarzystwo Pedagogiczne „Ridna Szkoła” (Ojczysta Szkoła). Oba powstały jeszcze w XIX wieku („Proświta” w 1868 r., „Ridna Szkoła” w 1881 r.) i w swojej działalności posiadały spore doświadczenie.

Celem „Proświty” było krzewienie oświaty wśród ludu, gromadzenie pamiętek narodowych, publikowanie pism i broszur. Organem prasowym „Proświty” było czasopismo „Narodna Proświta”, które docierało do ludności ukraińskiej prawie w całej Polsce i udostępniane było bezpłatnie. „Proświta” działała przede wszystkim w Małopolsce Wschodniej (b. Galicji), ale posiadała swoje placówki na Wołyniu, Podlasiu i Chełmszczyźnie — a więc wszędzie tam, gdzie były skupiska ludności ukraińskiej. Na terenach, gdzie przeważała nieświadomiona masa chłopska (Wołyń, Polesie), „Proświta” wysyłała ukraińskie książki i czasopisma, zakładała biblioteki, czytelnie, chóry i kółka teatralne. Organizowała też kursy dla analfabetów, których liczba na wsiach ukraińskich była w pierwszych latach istnienia II Rzeczypospolitej bardzo duża.

W tych latach władze polskie nie stawiały działalności „Proświty” żadnych przeszkód, a nawet udzielały jej pomocy finansowej.

Zadaniem Towarzystwa Pedagogicznego „Ridna Szkoła” było zakładanie ukraińskich szkół prywatnych. Szkoły te utrzymywane były ze składek społeczności ukraińskiej. Nauka i wychowanie uczniów miały przebiegać w duchu narodowym i chrześcijańskim. Starano się zachować niezależność od wpływów partii politycznych i lojalność wobec państwa polskiego. Później jednak, w latach trzydziestych, zaczęły przenikać do szkolnictwa ukraińskiego elementy nacjonalistyczne, nastawione wrogo do Polski.

Obok tych dwóch czołowych stowarzyszeń kulturalno-oświatowych działały inne. W 1919 r. powstało w Chełmie Ukraińskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe „Ridna Chata” (Ojczysty Dom). Stawiało ono sobie cele podobne do celów „Proświty”. Terenem działalności „Ridnej Chaty” miały być Chełmszczyzna i Podlasie. Już po dwóch latach władze polskie zakazały tej działalności w związku z polityką wzmocnienia żywiołu polskiego na tych obszarach, które w okresie zaborów poddawane były intensywnej rusyfikacji. „Ridna Chata” rozpoczęła wtedy pracę konspiracyjną, a w roku 1922 uzyskała zezwolenie na działalność legalną pod nazwą „Stowarzyszenie Rusińskie”, przy czym nałożono na nią pewne ograniczenia. Nie mogli być jej członkami uczniowie czy żołnierze narodowości ukraińskiej. Zarząd „Ridnej Chaty” dostał się pod wpływły Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, co było przyczyną ostatecznej likwidacji Towarzystwa przez władze polskie w 1930 r.

¹ St. Mauersberg: *Szkolnictwo powszechne dla mniejszości narodowych w Polsce w latach 1918-1939*. Wrocław 1968, s. 66.

² Tamże, s. 64-65.

³ Tamże, s. 67.

⁴ J. Zarowski: *Spółczesność Drugiej Rzeczypospolitej 1919-1932*. Warszawa 1973, s. 382.

Ważną rolę spełniało Towarzystwo Naukowe im. T. Szewczeni, istniejące we Lwowie od 1899 r. Jego celem było popieranie rozwoju ukraińskiej nauki. Prace naukowe Towarzystwa prowadzone były w trzech sekcjach: matematycznej, przyrodniczo-lekarskiej i historyczno-filozoficznej oraz w sześciu komisjach: geograficznej, fizjograficznej, demograficznej, ochrony przyrody, medycznej i nauk technicznych. Towarzystwo zajmowało się też kształceniem kadr naukowych i wydawało prace naukowe. Posiadało własną bibliotekę, muzeum przyrodnicze, księgarnię i drukarnię.

Pracę kulturalno-naukową wśród kobiet ukraińskich prowadził „Sojuz Ukrainok” (Związek Ukrainek). Organizacja ta dzieliła się również na kilka sekcji: gospodarczą, spółdzielczą, kulturalno-oświatową, artystyczną i młodzieżową. Na czele „Sojuszu Ukrainok” stała Milena Rudnicka, posłanka na Sejm z ramienia klubu ukraińskiego.

Z innych ukraińskich stowarzyszeń kulturalno-społecznych można wymienić zawodowe organizacje nauczycielskie: „Uczytelska Hromada” i „Wzaimna Pomoc”; organizację studencką „Osnowa”; Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy im. I. Franko, Pedagogiczne Towarzystwo Naukowe, Towarzystwo „Skala”, prowadzące czytelnice.

Najboleśniejszą sprawą dla ukraińskiego życia naukowego był brak własnego uniwersytetu w Polsce. Walka o jego założenie miała długą historię. W okresie zaboru austriackiego Ukraińcy posiadali osiem katedr na uniwersytecie lwowskim. Ponieważ dochodziło do ciągłych zadrżeń i konfliktów ze studentami polskimi, strona ukraińska zaczęła domagać się po 1900 roku od władz austriackich zezwolenia na otwarcie własnego uniwersytetu. W 1912 r. rząd w Wiedniu, mimo sprzeciwu posłów polskich do parlamentu monarchii, taką zgodę wyraził. Wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił realizację planu. Po opanowaniu Galicji Wschodniej przez wojska polskie w 1918-1919 r. nastąpiły represje wobec studiującej młodzieży ukraińskiej. Katedry ukraińskie na uniwersytecie lwowskim zlikwidowano. Na studia miano przyjmować tylko tych kandydatów, którzy wykazali się obywatelstwem polskim i służbą w wojsku polskim.

W odpowiedzi na te drastyczne posunięcia władz polskich Ukraińcy podjęli próbę zorganizowania kursów uniwersyteckich przy Towarzystwie Naukowym im. T. Szewczeni. Towarzystwo Ukraińskich Naukowych Wykładowców im. Piotra Mohyly i Lwowski Bractwie Staropigijnym. Władze polskie zakazały prowadzenia wykładów w języku ukraińskim i policyjnie egzekwowały tych zarządzeń. Wtedy ukraiński świat naukowy postanowił prowadzić konspiracyjne zajęcia uniwersyteckie. W 1921 r. powołano we Lwowie Tajny Uniwersytet Ukraiński z trzema wydziałami: filozoficznym, prawniczym i medycznym. Wybrano potajemnie senat, dziekanów i prodziekanów poszczególnych wydziałów. Pierwszym rektorem tej konspiracyjnej uczelni został przewodniczący Towarzystwa im. Szewczeni Wasyl Szczurak.

Pomimo trudnych warunków i zrykań administracyjnych Tajny Uniwersytet Ukraiński istniał aż do roku 1925, a liczba studentów przekraczała tysiąc.

Na przełomie 1921 i 1922 r. powołano też tajną Politechnikę Ukraińską we Lwowie. Studiowało na niej około 100 studentów na czterech wydziałach.

Władze polskie odmówiły legalizacji obu uczelni i nie honorowały ich dyplomów. Uznawano je natomiast w Austrii i w Czechosłowacji, gdzie istniał w Pradze uniwersytet ukraiński. Tam też udawała się na studia młodzież ukraińska z Polski.

Jednak zobowiązania międzynarodowe i konstytucja Rzeczypos-

politej Polskiej, jak i skargi Ukraińców na Polskę w Lidze Narodów, zmusiły rząd polski do zajęcia się sprawą uniwersytetu ukraińskiego.

W ustawie o samorządach wojewódzkich z 26 września 1922 roku, postanowiono między innymi: *Sejm RP uchwali utworzenie uniwersytetu ruskiego i zapewni mu potrzebne środki finansowe ze skarbu państwa. Uniwersytet ten, zorganizowany autonomicznie, zgodnie z przepisami szkół akademickich, podlegać będzie bezpośrednio Ministrowi WRIOP*.

W marcu 1923 r. posłowie ukraińscy w Sejmie postawili sprawę uniwersytetu ukraińskiego w związku z planem przekazania Uniwersytetowi im. Jana Kazimierza we Lwowie budynku po sejmie galicyjskim. Poseł Sergiusz Chrucki powiedział wówczas: *Dopóki sprawa uniwersytetu lwowskiego nie będzie rozstrzygnięta dla nas w ten sposób, ażeby we Lwowie utworzono samodzielny uniwersytet ukraiński jako rekompensatę za odebranie Ukraińcom praw na utrakwistycznym uniwersytecie [lwowskim] w czasach austriackich, dopóty, nie możemy zdać od nas, abysmy dali nasz placet na jakikolwiek rozszerzenie praw czy majątku obecnego uniwersytetu we Lwowie*.

Ministerstwo WRIOP w kwietniu 1923 r. przygotowało projekt założenia uniwersytetu „ruskiego”, ale nie we Lwowie, gdzie było duże skupisko ludności ukraińskiej, lecz w Warszawie, w środowisku etnicznie polskim. W ten sposób zamierzano odeprowadzić tę wyższą uczelnię od wpływów politycznych stronnictw ukraińskich, jak też od kontaktów z ukraińskimi towarzystwami kulturalno-oświatowymi, licznymi w Małopolsce Wschodniej. Założącej uniwersytetu ukraińskiego miały być Wyższe Ukraińskie Kursy Naukowe na Uniwersytecie Warszawskim. Zamierzano zatrudnić kadrę profesorską z Uniwersytetu Ukraińskiego w Pradze Czeskiej. Strona ukraińska zażądała jednak, by siedzibą uniwersytetu był Lwów oraz żeby uwzględnić zaliczenia studiów na tajnym uniwersytecie i powierzyć obsadę pracowników w nowej uczelni wyłącznie Ukraińcom.

To z kolei przyjęte zostało nieprzychylnie przez władze polskie i sprawę odłożono. Powrócono do niej w czerwcu 1923 r. w Sejmie, kiedy posłowie ukraińscy i białoruscy wystąpili z wnioskiem o zwiększenie ilości szkół ukraińskich i białoruskich oraz legalizację tajnego uniwersytetu i tajnej politechniki ukraińskiej. Wnioski te Sejm odrzucił.

Jesienią 1923 roku i na początku roku 1924 spadły represje na ludność ukraińską w odwet za akcje sabotażowe nacjonalistów ukraińskich na Kresach Wschodnich. Zlikwidowano wówczas socjalistyczne towarzystwa kulturalno-oświatowe jak „Wola” i „Sokół” i zamknięto Bibliotekę im. Iwana Franko. Poddano kontroli prasę ukraińską, zawieszono szereg ukraińskich pism na Wołyniu.

W lipcu 1924 r. Sejm uchwalił słynne ustawy kresowe rządu władysława Grabskiego, mające uregulować stosunki prawne na Kresach Wschodnich. W punkcie pierwszym pod nazwą *Ustawa o języku państwowym i języku urzędowania rządowych i samorządowych władz administracyjnych* postanowiono, że językiem państwowym jest język polski i używanie go obowiązuje we wszystkich władzach centralnych, urzędach, w wojsku, na kolejach i w urzędach telefonicznych. Dopuszczono natomiast używanie języka mniejszości narodowych w obradach, protokołach i obwieśzczeniach urzędów gminnych, sejmików miejskich, powiatowych i wojewódzkich na terenach województw: lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego, wołyńskiego i poleskiego. Pozwalano też na układanie podań i oświadczeń w języku macierzystym ludności tych obszarów.

¹ M. Iwanicki: *Oświata i szkolnictwo ukraińskie...*, s. 179-180.

² M. Papierzyńska-Turk: *Sprawa ukraińska w Drugiej Rzeczypospolitej 1922-1926*, Kraków 1979, s. 262.

W punkcie drugim pt. *Ustawa o języku urzędowania sądów i urzędów prokuratorskich i notarialnych* zobowiązuje się sądy do prowadzenia rozpraw w języku polskim z udziałem tłumaczy. Dozwolone było składanie w języku ukraińskim, białoruskim czy litewskim skarg, wniosków i podań, z tym, że na żądanie urzędów obowiązywało dodatkowe tłumaczenie na język państwowy (polski).

Punkt trzeci nosił nazwę *Ustawa zawierająca niektóre postanowienia o organizacji szkolnictwa*. Autorem tej ustawy był brat premiera i minister oświaty, Stanisław Grabski. Ustawa wprowadzała na terenach województw wschodnich szkoły utrakwistyczne tj. dwujęzyczne. *W myśl zasady godzenia i łączenia, dla zgodnego współzycia ludności narodowo mieszaných ziem a nie dzielenia jej -- jest szkoła wspólna, wychowująca na dobrych obywateli Państwa dzięki narodowości polskiej i niepolskiej w wzajemnym szacunku ich narodowych właściwości*⁹ — głosił artykuł ustawy.

Szkoła z językiem nauczania danej narodowości — ukraińskiej, białoruskiej lub litewskiej miała — w myśl ustawy — powstawać tam, gdzie żądał tego rodzice co najmniej 40 dzieci uczęszczających do danej szkoły. Jeśli jednak co najmniej 20 rodziców żądało szkoły z językiem państwowym (w tej samej szkole), wówczas powstawała szkoła dwujęzyczna — z językiem polskim i językiem mniejszości (jesz nawet stanowiła ona w szkole większość), jako językami wykładowymi.

Projekt tych ustaw wywołał duże poruszenie w Sejmie. Posłowie mniejszości narodowych protestowali, domagając się autonomii dla Kresów Wschodnich. Stanisław Grabski odpowiadał, że *celem tych ustaw nie jest podniecenie walk narodowościowych i językowych, ale ich łagodzenie i dlatego muszą one stać na stanowisku ułatwień dla ludzi, którzy językiem macierzystym jest język ruski czy białoruski, ale nie na stanowisku gry politycznej o to, czy dana ziemia ma otrzymać zaburwienie bardziej lub mniej polskie, bardziej lub mniej ruskie czy białoruskie*¹⁰.

Posel Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” i współautor ustaw Stanisław Thugutt mówił, że *wartość tych ustaw będzie nie tylko praktyczna, ale polegać będzie na pewnych ustaleniach teoretycznych i uzgodnieniach co do niektórych rzeczy. Gdybyśmy raz na zawsze zgodzili się, że w tej Polsce należy żyć na zasadzie uszanowania wzajemnych aspiracji, na zasadzie szanowania swoich kultur, swoich języków, na zasadzie przyzwyczajania się do siebie, skoro już wspólnie w tym państwie mieszkać musimy, to uczynilibyśmy bardzo duży krok naprzód*¹¹.

Innego zdania byli posłowie klubu ukraińskiego. Posel Chrućki ostro skrytykował ustawy. *Zawierają one* — mówił — *jednak pewne momenty, przeciwko którym posłowie ukraińscy muszą jak najbardziej kategorycznie zaprotestować: jest to zmierzająca do spolonizowania ludności ukraińskiej zasada utrakwizmu oraz nierówne potraktowanie całosci ziem zamieszkałych przez ludność ukraińską, pominięcie Chełmszczyzny, Podlasia i Lemkowszczyzny... Wobec tych zasad zakładamy najkategoryczniejszy protest przeciwko przedłożonym projektom ustaw*¹².

Sejm uchwalił odnośnie ustawy 31 lipca 1924 r. Obowiązywały one do końca istnienia II Rzeczypospolitej. Mimo oporu różnych ugrupowań ukraińskich władze przystąpiły do realizacji ustawy o szkolnictwie. Ich celem było tworzenie jak największej liczby szkół utrakwistycznych i polskich, przy likwidacji szkół ukraińskich i in-

nych mniejszości. Liczba szkół powszechnych z ukraińskim językiem nauczania spadała z roku na rok. Utrakwizacji poddano również szkoły średnie i zawodowe. W szkołach utrakwistycznych więcej godzin przeznaczono na naukę języka polskiego niż języków mniejszości narodowych. Absurdem z pedagogicznego punktu widzenia był fakt, że naukę czytania i pisanja rozpoczynały dzieci niepolskie w języku polskim. W ich ojczystym języku prowadzić miano pogadanki. Dopiero w drugiej klasie dzieci ukraińskie, białoruskie czy litewskie mogły się ucząc czytać i pisać w swoim własnym języku. W języku polskim uczono też rachunków z geometrią, historii Polski i nauki o Polsce współczesnej.

W szkołach średnich obowiązywało nauczanie literatury polskiej i geografii w języku polskim. W innych przedmiotach najważniejsze terminy podawano w obu językach. Jak widać w szkołach dwujęzycznych język polski był uprzywilejowany. Wprawdzie nie zawsze w praktyce przestrzegano tych zasad nauczania, ale brak było kadry nauczycielskiej wśród Ukraińców czy Białorusinów i często zastępowano ich Polakami. Wszystko to prowadziło do polonizacji szkolnictwa na Kresach Wschodnich.

Przez cały okres międzywojenny trwała w Sejmie walka posłów ukraińskich o anulowanie tej ustawy szkolnej. Już 14 XII 1926 r. poseł Paweł Waszynek oskarżał Stanisława Grabskiego, że *zniszczył szkolnictwo ukraińskie doszczętnie*¹³.

Również wielu polityków polskich, zwłaszcza z lewicy, wypowiadało się przeciwko utrakwizmowi. Thugutt, który był współautorem ustaw z lipca 1924 r., wierząc, że przychylny się one do zgodnego współzycia różnych narodowości na Kresach Wschodnich, stwierdził potem, że *władze łamią swoje zobowiązania. Muszę z żalem stwierdzić* — mówił — *że podejrzenia mniejszości, iż ustawy te nie będą w praktyce wykonywane, podejrzenia, które odrzucilem stanowczo, sprawdzili się w pewnej mierze, zwłaszcza jeśli chodzi o ustawę szkolną. Miałem to okazję stwierdzić aż nadto często, odbierając potem mnóstwo skarg na działalność niższych urzędów przy obliczaniu ilości dzieci obcoemniennych i żądań rodziców założenia szkoły z obcym językiem nauczania*¹⁴.

Stanisław Grabski bronił ustawy o szkole dwujęzycznej przed atakami lewicy i stronnictw ukraińskich. *Jako minister oświaty pilnowałem usilnie* — twierdził — *wy kuratorzy orzekający o języku nauczania na podstawie żądań zgłoszonych przez rodziców działaw szkolnej wprowadzili w życie ustawę z najskrupulatniejszą sprawdliwością. W tym celu osobiście wspośl z pp. kuratorami: poleskim, wolskim i łowoskim przejechałem zgłoszone podania*¹⁵.

Obronę swojej polityki szkolnej zaimplementował Grabski w broszurze *Szkoła na ziemiach wschodnich*. *Żądanie więc rewizji ustawy z 1924 r. i skasowania dopiero co wprowadzonej nauki dwujęzycznej — jest żądaniem wyłącznie politycznym* — pisał — *Nie można na to zamknąć oczu (...)* Szkoła państwowa w państwie polskim musi wychowywać młodzież, zarówno niepolską jak polską na dobrych obywateli polskich, a więc dać jej polską kulturę ducha, wskazać w niej zamilowanie polskiej literatury, sztuki, kult polskich bohaterów, duszę przy należności do państwa polskiego, poczucie wspólnej z narodem polskim tradycji dziejowej i jeśli nie jednoci to co najmniej rasowego i językowego pokrewieństwa z polską ludnością kraju... *Naród polski jako suweren państwa polskiego ma obowiązek dbać o zadośćuczynienie istniejącej u ludności ruskiej i białoruskiej potrzebie nauki macierzystego języka. Ma on wszakże również obowiązek wobec przyszłych swych pokoleń*

⁹ M. Iwanicki: *Oświata i szkolnictwo ukraińskie...*, s. 140.

¹⁰ M. Piąprzyska-Turek: *Sprawa ukraińska...*, s. 229-230.

¹¹ Tamże, s. 228-229.

¹² Tamże, s. 231.

¹³ St. Mauersberg: *Szkolnictwo powszechne dla mniejszości narodowych...*, s. 81.

¹⁴ M. Piąprzyska-Turek: *Sprawa ukraińska...*, s. 258.

¹⁵ Tamże.

przekazanie im nieuszczerplonego w niczym dziedzictwa państwowego, a więc wychowania młodzieży ruskiej i białoruskiej w poczuciu jednolitej i nierozdzielności państwa polskiego. Zadanie to wypełnić może skutecznie tylko szkoła, skupiająca razem dla wspólnej nauki młodzież ruską i białoruską z młodzieżą polską (...)»¹⁴.

Poglądy Grabskiego były zgodne ze stanowiskiem Narodowej Demokracji, z którą był związany. Encjenda uważała ustawy z 31 VII 1924 r. za maksimum ustępstw dla mniejszości narodowych, a zarazem za podstawę ich asymilacji w ramach państwa polskiego.

W tym samym czasie tj. w lipcu 1924 r. rząd Władysława Grabskiego powołał do sprawy uniwersytetu ukraińskiego. Powołana przez rząd komisja postanowiła utworzyć Instytut Ruski przy Umwersytecie Jagiellońskim z dwoma fakultetami: filozofii i prawa oraz rozpocząć przygotowania do utworzenia Uniwersytetu Ruskiego w Krakowie.

Jednocześnie przeprowadzano aresztowania wśród wykładowców i studentów Tajnego Uniwersytetu Ukraińskiego i Politechniki Ukraińskiej we Lwowie. W 1925 r. obie te uczelnie przestały istnieć. Rząd rozpoczął rozmowy z uczonymi ukraińskimi w kraju i za granicą, zwłaszcza z Romanem Smal-Stockim, który przybył z Londynu do Warszawy. Strona ukraińska obstawała przy tym, żeby uniwersytet założyć we Lwowie, Stanisławowie lub Przemyślu, tam, gdzie były duże skupiska ludności ukraińskiej. Na to rząd znowu nie chciał się zgodzić, gdyż chodziło mu o poddanie nowej ukraińskiej uczelni wpływowi nauki polskiej. Wobec niemożności dojścia do porozumienia władze polskie zaniechały organizowania uniwersytetu ukraińskiego. Utworzono jedynie Studium Ruthenium i Katedrę Filozofii Ruskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Dalsze zabiegi wokół utworzenia uniwersytetu podjęte przez Smal-Stockiego i innych uczonych ukraińskich nie dały rezultatu wobec oporu ukraińskich partii politycznych, które domagały się samodzielności nauki ukraińskiej. Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO) oświadczyło, że *sprawa uniwersytetu jest sprawą polityczną, a tym samym może być rozwiązana tylko przez polityczne przedstawicielstwo narodu ukraińskiego, udział zaś uczonych ukraińskich w tzw. komisji organizacyjnej przed podjęciem decyzji ukraińskich czynników politycznych musi być wykluczony*¹⁵.

Również Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna wydała oświadczenie w podobnym tonie: *Sprawa ukraińskich szkół wyższych nie jest sprawą poszczególnych osób, czy nawet instytucji, lecz całego ukraińskiego narodu i do rozwiązania jej, jak i wszystkich politycznych spraw jest powołane wyłącznie polityczne przedstawicielstwo ukraińskiego narodu — Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna... Za jedyną możliwą siedzibę Ukraińskiego Uniwersytetu, Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna uważa miasto Lwów*¹⁶.

Projekt klubu ukraińskiego w Sejmie w sprawie założenia uniwersytetu został odrzucony. Prawica polska była zdecydowanie przeciwna utworzeniu uniwersytetu ukraińskiego. Obawiała się, żeby nie stał się on ośrodkiem nacjonalizmu ukraińskiego i agitacji antypaństwowej. Inne stronnictwa polskie, gotowe do ustępstw na rzecz Ukraińców, popierały jednak stanowisko rządu, żeby poddać nowo utworzoną uczelnię kontroli władz państwowych. Z tych względów wykluczono Lwów jako miejsce uniwersytetu.

„Gazeta Lwowska” pisała: *Miasto będące ostoją polskości na południowo-wschodnich kresach, nie może stać się ostoją nowej fali*

ludzi, prądów, których stosunek do państwa wypada pod znakiem zapytania¹⁷.

Lewica polska, zwłaszcza Polska Partia Socjalistyczna, opowiadała się za zadośćuczynieniem ukraińskim aspiracjom. Lewicowy miesięcznik „Droga” wyzywał do niezwłocznego otwarcia uniwersytetu we Lwowie. W artykule *W kwestii uniwersytetu ukraińskiego w Polsce* Seweryn Danilowicz pisał: *Jeśli Rząd polski zupełnie słusznie wymaga od ukraińskich obywateli Rzeczypospolitej polskiej lojalności w przestrzeganiu ustaw państwowych, to przede wszystkim sam powinien takowe lojalnie spełnić w stosunku do obywateli ukraińskich i rzetelnie i lojalnie wykonać ustawę o założeniu państwowego uniwersytetu ukraińskiego. Ukraiński uniwersytet na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, to nie jest separatyzm, jak krzyczą hałaśliwi pseudopatrioci z przeciwnych obozów, to jest jedyny i główny pomost do łączności i zgody Ukraińców z Polakami*¹⁸.

Po przewrocie majowym w 1926 r. wydawało się, że nastąpią zmiany w polityce narodowościowej państwa. Rządzący obóz Piłsudskiego próbował pozyskać sobie mniejszości narodowe za cenę przyznania im pewnych ustępstw gospodarczych i kulturalnych. Znowu sprawa uniwersytetu ukraińskiego stała na porządku dziennym polityki wewnętrznej państwa polskiego. Tadeusz Hołówo, pilsudczyk i zwolennik kompromisu z mniejszościami, członek Komisji Rzeczników do Spraw Mniejszości Narodowych, opowiadał się za utworzeniem uniwersytetu we Lwowie. Lwów — pisał — *ma tyle w sobie polskości, tak jest tam bujne życie naukowe i kulturalne, że nie ulega wątpliwości, iż będzie oddziaływał psychicznie i kulturalnie zbliżać do nas młodzież ukraińską*¹⁹.

W tajnych referatach Hołówo opowiadał jednak za Stanisławem, jako miejscem ukraińskiej uczelni, gdyż uważał za niekorzystne istnienie dwóch uniwersytetów w jednym mieście. Proponował przenieść na Wołyń, gdzie nie było takich nastrojów antypolskich jak w Galicji Wschodniej, Ukraińską Akademię Rolniczą z Podiebradów w Czechosłowacji. Jesienią 1926 r. odbył w tej sprawie podróż do Czechosłowacji, ale jego misja skończyła się niepowodzeniem.

Na posiedzeniu Rady Ministrów 18 sierpnia 1926 r. zapowiedziano przychylenie rozpatrzenie kwestii kreowania uniwersytetu ruskiego oraz wdrożenie kroków celem przeniesienia uczelni ruskiej z Czechosłowacji do kraju²⁰. Nie zrealizowano jednak tych zapowiedzi. Encjenda wystąpiła gwałtownie przeciwko rządowemu projektowi. Doszło do antyukraińskich manifestacji ludności polskiej na Kresach Wschodnich. 18 X 1926 r. nacjonaliści ukraińscy zamordowali kuratora szkolnego lwowskiego Stanisława Sobieskiego, odpowiedzialnego za utrzymywanie szkolnictwa mniejszościowego we Lwowskim Okręgu Szkolnym. W obliczu rozbudzenia się wrogości nacjonalistycznej z obu stron rząd wycofał się z projektu otwarcia ukraińskiego uniwersytetu. Rządy sanacyjne, podobnie jak rządy przedmajowe, wbrew swoim zapowiedziom nie uwzględniały ukraińskich postulatów kulturalno-naukowych. Nie utworzono nigdy ukraińskiego uniwersytetu w II Rzeczypospolitej. Nie zaprzestano też do końca okresu międzywojennego utrzymywania polityki szkolnej. W czerwcu 1928 r. Sejm odrzucił wniosek klubu ukraińskiego w sprawie *szkół z ukraińskim, białoruskim względnie litewskim językiem nauczania*. Posłowie ukraińscy domagali się wprowadzenia szkół z językiem wykładowym mniejszości narodowych w gminach posiadających

¹⁴ „Gazeta Lwowska” z 8 IV 1923, nr 80.

¹⁵ „Droga” 1925, nr 7, s. 42-44.

¹⁶ A. Chojnowski: *Koncepcje polityki narodowościowej rządu polskich w latach 1917-1939*. Wrocław 1979, s. 65.

¹⁷ Tamże, s. 66.

¹⁴ St. Grabski: *Szkola na ziemiach wschodnich*. Warszawa 1927, t. 4, s. 11.

¹⁵ M. Papierzynska-Turek: *Sprawa ukraińska...*, s. 267.

¹⁶ Tamże.

więcej niż 50% ludności ukraińskiej, białoruskiej względnie litewskiej oraz osobnych szkół w gminach (...), w których znajduje się 20 dzieci w wieku szkolnym ukraińskich, białoruskich względnie litewskich¹³.

W roku 1930 doszło do ponownego zaostreżenia sytuacji na Kresach Wschodnich. Akcje sabotażowe ukraińskich ugrupowań nacjonalistycznych wywołały represje władz wobec ludności ukraińskiej. Zamknięto dwa gimnazja prywatne prowadzone przez „Ridną Szkołę” w Rohatynie i w Drohobyczu oraz gimnazjum w Tarnopolu. Rozwiązano ukraińską organizację harcerską „Plast” pod zarzutem jej udziału w akcjach sabotażowych.

Represje te wywołały ponowny wybuch nacjonalizmu ukraińskiego. Odezwa Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów głosiła: *Na ukraińskiej ziemi (...) ukraińska szkoła, ukraiński nauczyciel, ukraińskie nauczanie (...) ukraiński duch (...) Ukraińcy! (...) Stawajcie do walki z polską historią! Precz z nauczycielem Polakiem z ukraińskiej ziemi! (...) Wszyscy pod sztandar walki o ukraińską szkołę! Wszyscy pod sztandar Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów!*¹⁴

Inna ulotka OUN wyzywała do niszczenia polskich książek i napadów na polskich nauczycieli. Wypadki takie rzeczywiście się zdarzały. Po obu stronach odezwały się jednak głosy rozsądku. W 1932 r. ukazał się tygodnik polityczno-kulturalny „Biuletyn Polsko-Ukraiński”. Było to czasopismo dwujęzyczne propagujące współpracę obu narodów. Grupa skupiona wokół „Biuletynu” uznawała termin „ukraiński”, odrzucając określenie „ruski”, domagała się pluralizmu językowego w administracji i w szkolnictwie na ziemiach wschodnich, poszanowania dla ukraińskich pamiątek historycznych, zniesienia szkół utrakwistycznych i upaństwowienia ukraińskiego szkolnictwa prywatnego oraz otwarcia szkół zamkniętych w wyniku pacyfikacji.

Sytuację ukraińskiego szkolnictwa skomplikowała *Ustawa o ustroju szkolnictwa*, tzw. *ustawa Jędrzejowiczowa* (od nazwiska ówczesnego ministra oświaty Janusza Jędrzejowicza) z 11 marca 1932 roku. Lansowała ona teorię wychowania państwowego. Szkoły prywatne, zakłady naukowe i wychowawcze podporządkowano Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Od nauczycieli żądano deklaracji lojalności w stosunku do państwa. Jeżeli nie wykazali się jej lojalnością, można ich było usunąć, a szkołę zamknąć. Ustawa ta uderzała w ukraińskie szkolnictwo prywatne prowadzone przez „Ridną Szkołę” i częściowo pozostające pod wpływem ugrupowań nacjonalistycznych. Poddane ono teraz zostało pod nadzór państwa. Niektóre gimnazja prywatne przekształcono w szkoły powszechne. Zmniejszyła się liczba absolwentów szkół średnich.

W Warszawie od 1930 r. istniał Ukraiński Instytut Naukowy, również podporządkowany Ministerstwu WRoP. Był on jakby namiastką nie założonego uniwersytetu ukraińskiego. Jego zadaniem było prowadzenie studiów z dziedziny życia gospodarczego, kultury i historii Ukrainy i historii kościoła ukraińskiego. Wykłady odbywały się w języku ukraińskim i polskim. Instytut upoważniony był do prowadzenia kursów języka ukraińskiego w całym kraju, ogłaszania drukiem prac naukowych, tłumaczeń i podręczników. Obsadzony został przez emigrantów ukraińskich. Nie zdobył sobie uznania w szerszych kręgach społeczeństwa ukraińskiego, które zarzucało mu tendencje popolskie.

W r. 1936 powołano również katedrę języka ukraińskiego na Uniwersytecie Łwowskim. Liczba studentów ukraińskich była jednak mała.

Jedyną wyższą uczelnią ukraińską w Polsce była Akademia Teo-

logiczna we Lwowie. Powstała ona w 1928 r., a jej rektorem został ks. dr J. Słippy. Oprócz teologii prowadzono tutaj zajęcia z literatury, historii, sztuki, archeologii, antropologii i językoznawstwa, a w 1937 r. otwarto wydział filozoficzny i planowano wprowadzić wydziały prawa i medycyny. Przy Akademii istniało Teologiczne Towarzystwo Naukowe, którego prezesem był ksiądz rektor Słippy. Towarzystwo prowadziło działalność wychowawczą, organizowało wykłady, odczyty i zjazdy naukowe. Wydawano kwartalnik „Bohosławie” i miesięcznik „Nywa”. Akademia kształciła kadry duchowieństwa grekokatolickiego.

Oprócz kościoła grekokatolickiego dużą rolę w życiu ludności ukraińskiej odgrywała cerkiew prawosławna. Granica wyznaniowa przebiegała wzdłuż kordonu sokalskiego — dawniej granicy między Austro-Węgrami a Rosją. W Małopolsce Wschodniej przeważali grekokatolicy, na Wołyniu, Polesiu, Chełmszczyźnie i Podlasiu było wielu wyznawców prawosławia.

Polityka władz polskich, zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego, zmierziała do polonizacji mniejszości narodowych. Minister spraw wojсковych gen. Tadeusz Kasprzycki podkreślił na odprawie dowódców wojskowych okręgów korpusów 2 lipca 1936 r., że państwo dążyć będzie do poddania wyznawców *poszczególnych wyznań pod asymilacyjny wpływ polskiej kultury (...)* a tam gdzie to możliwe, jak np. (...) w odniesieniu do mniejszości słowiańskich proces spolszczenia się na terenie życia religijno-kościelnego otoczyć wyraźną i zdecydowaną opieką¹⁵.

W praktyce przejawiało się to w tzw. akcji rewindykacyjnej na Kresach Wschodnich. Miała ona polegać na przywracaniu polskości tych jednostek czy grup ludności, których przodkowie poczuli się do przynależności narodowej lub kulturalnej polskiej oraz na akcji wyznaniowej związanej z powrotem do wyznań swych ojców, tj. konwersji z wyznania i obrządków niełacińskich na wyznanie i obrządek rzymskokatolicki¹⁶.

Poddano repolonizacji tzw. szlachtę zagrodową na Kresach Wschodnich. Na ludność prawosławną zaczęto wywierać naciski w celu przejścia na katolicyzm. W ciągu dwóch lat „akcji rewindykacyjnej” zaledwie 10% ludności prawosławnej przyjęło obrządek rzymskokatolicki. Jednak zamknięto ponad 100 cerkwi na Wołyniu, Podlasiu i Chełmszczyźnie. Polityka ta została ostro potępiona między innymi przez „Biuletyn Polsko-Ukraiński”. Pismo to zlikwidowano pod koniec 1938 r.

Plany polonizacyjne rządu szły jeszcze dalej. Przewidywano anulowanie ustawy samorządowej z 26 IX 1922 r. oraz rewizję ustaw z lipca 1924 r. Zamierzano przeprowadzić całkowitą polonizację szkolnictwa. Szkoły ukraińskie i utrakwistyczne miały być zamienione na polskie. Ustawę Grabskiego uznano teraz za sprzeczną z interesem narodu, gdyż stwarzała podstawy rutenizacji mniejszości polskiej w miejscowościach o większości ruskiej¹⁷.

Planowano zwiększyć osadnictwo polskie na Kresach Wschodnich. Wytyczne Ministerstwa WRoP na 1939 rok mówiły już bez ogródek, że polityka państwowa zmierza (...) do zwiększenia wszędzie, gdzie to tylko możliwe, ekspansji kultury polskiej. Możemy jednak sobie powiedzieć, iż w stosunku do (...) województwa wileńskiego, nowogrodzkiego, poleskiego, białoruskiego, lubelskiego i trzech powiatów północnych województwa wołyńskiego stawiamy sobie za cel polonizację (...) Dziś jeszcze mamy trzy średnie szkoły prawosławne: w Krzemieńcu, Wilnie i w Warszawie. Dwie pierwsze będą zlik-

¹³ „Sprawy Narodowotwórcze”, 1929, nr 1, s. 66.

¹⁴ St. Maureberg: *Szkolnictwo powszechne...*, s. 89.

¹⁵ A. Chojnowski: *Koncepcje polityki narodowościowej...*, s. 227.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ Tamże, s. 237.

widowane w lipcu 1940 r. (...). Gdy zaś równocześnie zważymy, iż księdzem może być tylko osoba, która ukończyła Wydział Teologiczny w Warszawie lub Państwowe Liceum Prawosławne, to łatwo można zrozumieć, iż o ile chodziło o nowe kadry księży prawosławnych, Państwo uzyskało maksimum kontroli¹⁸.

Planów tych nie zdążyły już władze zrealizować, ale straty, jakie poniosła kultura ukraińska w dwudziestoleciu międzywojennym, były i tak znaczne.

Posel ukraiński Dmytro Wetykanowicz tak podsumował sytuację szkolnictwa ukraińskiego w swoim wystąpieniu sejmowym 20 lutego 1939 r. Gdy przez dwadzieścia lat szkolnictwo i oświata polska rozwinęły się bardzo poważnie, szkolnictwo ukraińskie cofnęło się na całej linii, doszło prawie do zupełnego zaniku. Zupełnie zlikwidowano nasze zawiązki szkolnictwa wyższego, zlikwidowano seminaria nauczycielskie, zlikwidowano gimnazjum państwowe w Tarnopolu, jedynie na całe Podole, wreszcie szkolnictwo powszechne z 3600 doszło do 450, według oficjalnej statystyki, szkół z językiem wykładowym ukraińskim i to przeważnie niżej zorganizowanych. Istnieje paręset szkół utrakwistycznych, jednak są to właściwie szkoły polskie, gdzie większość przedmiotów jest w języku polskim. Gdy dodamy, że przeważnie w tych szkołach uczy nauczycielstwo polskie, nie mające kwalifikacji do nauczania języka ukraińskiego, to jasną jest rzeczą, że te szkoły hardly mało kultywują naukę i kulturę ukraińską¹⁹.

Antagonizmy narodowościowe polsko-ukraińskie i walki polityczne najbardziej odbiły się właśnie na ukraińskim szkolnictwie i ukraińskich instytucjach kulturalno-oświatowych. Mimo to oświata ukraińska rozwijała się najlepiej w porównaniu z oświatą innych mniejszości słowiańskich w Polsce. Inteligencja ukraińska, chociaż nieliczna, była najbardziej uświadomiona narodowo spośród tych mniejszości, ale zarazem wrogo nastawiona do państwa polskiego, które nie zrealizowało narodowych i kulturalnych potrzeb ukraińców. W tych warunkach rosły wpływy ukraińskich nacjonalistów, co w przyszłości tragicznie zaważyło na stosunkach polsko-ukraińskich.

Waldemar Dagiels

¹⁸ Tamże, s. 238-239

¹⁹ St. Mauersberg: *Szkolnictwo powszechne...*, s. 102-103



Cerkiew w Sosnowcu. Fot. Janusz Urban.

ZYGMUNT MAŃKOWSKI

Dokument w kwestii ukraińskiej

Przedstawiony tu in extenso dokument: *Wytyczne Wojewody Lubelskiego dotyczące ustosunkowania się władz do zagadnienia ukraińskiego* został przedstawiony przez Wojewodę Lubelskiego Józefa Koźmickiego na tajnej konferencji w Lublinie w dniu 31 stycznia 1935 roku. W konferencji tej udział wzięli obok Wojewody członkowie sztabu Dowództwa Korpusu II: gen. bryg. Mieczysław Smorawinski, Kierownik Samodzielnego Referatu Bezpieczeństwa Wojennego mjr dypl. Braclawski, Kierownik Samodzielnego Referatu Informacyjnego kpt. Wacław Michowski, plk dypl. Iwanowski oraz kpt. Nowak. W tej roku wnikiwie, wszechstronnie i całościowo omawiano sprawę „mniejszości ukraińskiej” na terenie województwa, a szczególnie jej liczebności, rozłożenia terytorialnego oraz postawy wobec władz oraz ludności polskiej. Wszystko to w kontekście rosnącego zagrożenia zewnętrznego kraju, możliwości „wojny od wschodu”, która mogłaby zaktywizować na tyłach frontu elementy mniejszościowe i tym sposobem osłabić polski opór. Referujący tę sprawę eksperci wojskowi stwierdzili, że z punktu widzenia obrony kraju rozmieszczenie mniejszości ukraińskiej jest wysoce niekorzystne, że pas przygraniczny o głębokości 250 km jest niemal w 89% zamieszkały przez ludność ukraińską i żydowską i że w odniesieniu do województwa lubelskiego dotyczy to szczególnie graniczący z Wołyniem „Chelmszczyzny”. Jest faktem, że w latach trzydziestych problem ukraiński nabrzmiewał ze szczególną siłą. Złożył się na to niemal gwałtowny wzrost świadomości narodowej Ukraińców (poczęły już zanikać różnego rodzaju eufemizmy określające Ukraińców jako „Rusinów”, „Tutejszych” itp.), odczuwalna przez nich coraz bardziej dyskryminacja (narodowa, ekonomiczna...) ale także oddziaływanie sił zewnętrznych: ZSRR, III Rzeszy, Czechosłowacji i innych, które wspierały narodowe i polityczne ruchy Ukraińców wszystkimi możliwymi środkami. Problem komplikował fakt ochrony mniejszości narodowych w Polsce przez międzynarodowe traktaty, w tym Mały Traktat Wersalski oraz Traktat Ryski. Znaczące gwarancje dla nich zapisane były w podstawowych aktach prawnych Rzeczypospolitej, w tym w konstytucji z 1921 roku. Ukraińców w II Rzeczypospolitej było dużo i właściwie do tej pory nie wiemy ile. Długotrwałe spory w tej sprawie określały ich liczbę na od 3 do 7,5 mln. Problem polegał jednak na tym, że byli skupieni na wschodnich obszarach kraju i tam stanowili grupę zwartą oraz przeważającą (np. na Wołyniu ale nie tylko). Niezwykle intensywne było ich życie religijne podzielone zresztą pomiędzy wyznania greckokatolickie (ok. 60 proc. ogółu) oraz prawosławne. Pod względem politycznym w tym środowisku szczególną aktywnością wyróżniały się Ukraińskie Narodowo-Demokratyczne Zjednoczenie (UNDO) oraz skrajnie nacjonalistyczna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (UON) przy

której formowano, z dalekosyżnym celem, Ukraińską Organizację Wojskową (UWO). Rostała siła i działalność Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy a zupełnie nikła działalność przejawiali kręgi filipolskie postulujące „autonomiczną Ukrainę u boku Polski”. W każdym razie wśród Ukraińców zupełnie odkryte były dążenia do (wyjąwszy kręgi komunistyczne) niepodległości oraz uczucia nienawiści do Polaków. Temu stanowiły rzeczy sprzyjały niekonsekwencje i błędy polskich czynników rządowych i politycznych, które w istocie nie posiadały zrącalizowanej polityki wobec tej mniejszości miotając się pomiędzy koncepcjami pełnej asymilacji narodowej (kręgi endeckie) a asymilacji państwowej (sanacja). Na to jednak było już stanowczo za późno.

Uczestników tajnej konferencji w Urzędzie Wojewódzkim interesowało właściwie jedno: jakie podjąć działania w wypadku wojny mniejszość ukraińska nie zagroziła frontowi, a więc bezpieczeństwu Ojczyzny. W toku konferencji pojawił się jednak jeszcze jeden doniosły problem: jak przezwyciężyć skutki („głębokie ślady”) długotrwałej rusyfikacji tej mniejszości, szczególnie w sferze wyznaniowej (umocnienie prawosławia, sytuacja uniów). W tej mierze stanowisko wojskowych ekspertów było jednoznaczne. Na Konferencji 31 stycznia 1935 roku przedstawiając go w imieniu sztabu DOK II kpt. Michowski powiedział: *Państwo musi wychylić się szkodliwej dla siebie, za daleko posuniętej i nieuczciwej istoty i stosunkami na tym terenie tolerancji. W imię własnej egzystencji musi na terenie Chełmszczyzny zlikwidować całkowicie zagrożenie mniejszości ukraińskiej, a przynajmniej sprowadzić je do roli drobnego zagrożenia, jakim jest sprawa kolonistów czeskich na Wołyniu i niemieckich w powiecie chełmskim. Postulaty wojska szły tak daleko, że Wojewoda Lubelski czuł się zmuszony do złożenia oświadczenia takiej treści: *Polityka silnej ręki w stosunku do ohywateli nastrojonych do państwa nieprzychylnie, nie jest metodą eksterminacji narodowości, której musimy unikać. Jednocześnie przyznał on, że społeczeństwo polskie nie jest przygotowane do przyjęcia „pozytywnego programu działań wobec Ukraińców”. Długo jeszcze Polak prawosławny — stwierdził on — będzie neofita, moskalem czy hajdamaki i będąc wykluczonym ze społeczeństwa ludzkich endeów u nas będzie ohywałem niepewnym, drugoklasowym. W toku konferencji wojskowi przedstawili kategorię program działań na najbliższą przyszłość. Domagali się od władz wojewódzkich m.in.: ograniczenia sieci cerkwi prawosławnych, przemieszczenia żywołu ukraińskiego z polskim, usunięcia z szeregu służby leśnej wszystkich Ukraińców, usunięcia w Chełmskiem ze szkolnictwa „wszystkich” nauczycieli Ukraińców, zwolnienia niepolskiego elementu z kolejniactwa oraz drogownictwa. Podsumowując konferencję wojewoda Różniecki przedstawił opracowane w swoim gabinecie wytyczne, które miały stać się obowiązującymi zadaniami całego wojewódzkiego aparatu administracyjnego na najbliższe lata. Dziś z perspektywy lat dokument ten wydaje się interesujący i godny przytoczenia. Powinien skłonić do określonych przemysłów związanych z rozwijającą się obecnie w kraju dyskusją na temat naszego stosunku do mniejszości narodowych... Jak wiemy, rozpoczęła się ona de facto od owego słynnego zwrócenia się Kardynała Wyszyńskiego do biskupów niemieckich: *przebaczymy i prosimy o przebaczenie, które dla wielu było nie do przyjęcia a które jest oczywiste i przejmujące ludzkie. Albowiem nie ma w historii wypadku aby dwa duże państwa sąsiadujące ze sobą narody naprawdę nie miały sobie wzajemnie nic do wybaczenia i nie powinny siebie przepraszać. Tak jest i ze sprawą ukraińską, litewską, żydowską a także niemiecką.***

Wracając do owej konferencji i wytycznych wojewody należy choć-

by w kilku słowach powiedzieć o skutkach owej tajnej decyzji. Przejawili się one przede wszystkim w jednej dziedzinie, która musi w nas, mimo wszystko, wywołać stan głębokiego zaniepokojenia. Oto w czerwcu i lipcu 1938 roku mimo licznych protestów oraz dramatycznej samoobrony na ziemi lubelskiej dokonano akcji likwidacyjnej „zbędnych cerkwi”. W wyniku tej akcji nadzorowanej przez wojsko, do której wciągnięto policję państwową, straż pożarną i organizacje paramilitarne ogółem przebrano 127 obiektów kultu religijnego, w tym 91 cerkwi, 10 kaplic i 26 domów modlitwy. Niektóre obiekty kultu prawosławnego przekazano kościołowi katolickiemu, niektóre oddano na inne cele. Sprawa nabrała ogromnego rozgłosu i nie przyniosła Polsce dobrej opinii. Rzecz ta, jak i inne związane z działaniami władz wobec mniejszości narodowych w dziejach Polski zasługują na głębsze studia. Jeśli bowiem Polska jest integralną częścią Europy i jeśli tworzy się obecnie nowa jakość w stosunkach międzynarodowych to problem współżycia z innymi staje się zagadnieniem numer jeden.

Original prezentowanego tekstu znajduje się w Archiwum Państwowym w Lublinie w zespole „urząd wojewody”.

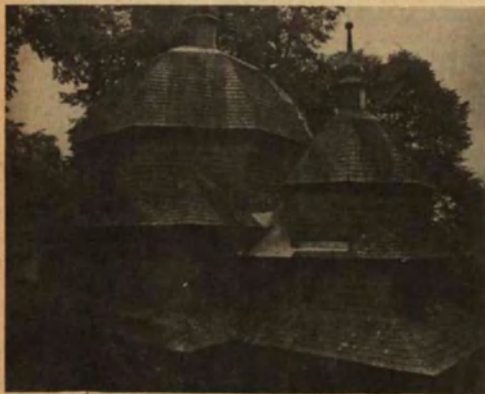
Wytyczne wojewody lubelskiego dotyczące ustosunkowania się władz do zagadnienia ukraińskiego na terenie województwa lubelskiego z 31 stycznia 1935 roku

- 1) Element ukraiński można pozyskać trwałe dla Państwa oraz kultury i narodowości polskiej tylko metodami politycznymi, obliczonymi na dłuższy okres działania, nie powodującymi uprzedzeń i zadrzażeń.
- 2) Pozytywne rozwiązanie zagadnienia mniejszościowego ukraińskiego wymaga prowadzenia planowej i skoordynowanej akcji, przy czym w poszczególnych powiatach winny być ustalone gminy, a nawet miejscowości, wymagające otoczenia ich specjalną opieką.
- 3) Teren Województwa Lubelskiego winien być bezwzględnie odseparowany od wpływów ukraińskich i propagand ukraińskiej płynącej z Wołynia i Małopolski.
- 4) Należy starać się nie dopuszczać do drukowania na terenie Województwa Lubelskiego jakichkolwiek wydawnictw ukraińskich. Kolportaż wydawnictw z Wołynia i Małopolski jest niepożądany i jako taki winien napotkać się z odpowiednim przeciwdziałaniem.
- 5) Urzędy państwowe i samorządowe, stanowiska nauczycieli, organa policyjne oraz służba kolejowa, poczta, drogową i leśną, winny być obsadzone materiałem polskim doborowym, tak pod względem inteligencji i wyszkolenia, jak i wartości ideowej i moralnej.
- 6) W urzędach Ukrainy jako interesanci winni być traktowani sprawiedliwie i taktownie na równi z Polakami.
- 7) W działalności władz państwowych i polskich organizacji unikać należy wszystkiego, co by mogło u ludności ukraińskiej wywołać poczucie drugorzędności.
- 8) Ludność ukraińską należy wciągać do współpracy na gruncie samorządu oraz polskich organizacji gospodarczych i kulturalno-oświatowych, wykluczając z tej pracy elementy szowinistyczne. Jak najszerzej należy popierać współżycie obu odłamów ludności, również na gruncie życia prywatnego.

- 9) Nic należy dopuszczać do powstania jakichkolwiek organizacji czysto ukraińskich. Nie dotyczy to oddziałów Ukraińskiego Centralnego Komitetu, o ile nie spowodują one powstania na terenie nacjonalistycznego ruchu ukraińskiego.
- 10) Na terenach narodowościowo mieszanym ludność polska musi się czuć gospodarzami. Kultura polska musi w zdecydowany sposób promieniować na tereny narodowościowo mieszane. Żywiół polski wzmocnić należy nie tylko ilościowo lecz i jakościowo pod względem kulturalnym i gospodarczym.
- 11) Obwody szkolne winny być tak organizowane, by budynki szkolne znajdowały się w miejscowościach o przewadze ludności polskiej. Podnieść należy stopień organizacyjny szkoły w celu zwiększenia w szkole ilości dzieci polskich i grupowania większej ilości nauczycieli.
- 12) Szkoły winny być zaopatrywane w niezbędne pomoce naukowe z zakresu nauki o Polsce (mapy Polski, portrety, obrazy, biblioteka, radio) zaś młodzieży szkolna prawosławna w podręczniki do nauki religii prawosławnej w języku polskim. Budżety władz samorządowych winny w związku z tym uwzględnić odpowiednio poważne kwoty na omawiane cele.
- 13) W projektach budowli szkolnych winny być uwzględnione pomieszczenia na świetlice dla celów akcji oświatowej. Należy organizować świetlice dla dorosłych, zaopatrzyć je w odpowiednie subwencje na ich prowadzenie i wyposażenie.
- 14) Przy szkołach organizować należy kółła absolwentów, chóry, zespoły teatralne i muzyczne, systematyczne kursy wieczorowe i uniwersytety dla dorosłych, kursy kroju i szycia obejmujące elementarny program wychowania obywatelskiego. Omawiane przedsięwzięcia powinny być subwencjonowane przede wszystkim przez organa samorządowe.
- 15) Organizować należy biblioteki ruchome i odpowiednie dla nich centrale, domy ludowe i świetlice międzyorganizacyjne. Szczególnie ważne jest organizowanie wycieczek zbiorowych tak młodzieży szkolnej i pozaszkolnej, jak i dorosłych do tych ośrodków Państwa, które świadczą o jego potęgę, wysokię kulturze i dorobku gospodarczym.
- 16) Młodzież ukraińską w szkołach powszechnych i średnich otoczyć należy troskliwą opieką. Wybitnie uzdolnione jednostki spośród młodzieży winny znajdować szczególną opiekę i winny być kierowane na właściwą drogę w perspektywie wyzyskania ich jako przodowników pracy społecznej. Łącznie z tym konieczna jest polityka stypendialna umożliwiająca dalsze kształcenie wybitnych jednostek spośród elementu mniejszościowego. Młodzież ukraińska po ukończeniu szkół średnich kierowana być winna na wyższe studia nie do Lwowa, a do szkół wyższych w innych miastach Polski.
- 17) Organizacje prorządowe powinny ściśle wiązać swoją akcję społeczno-oświatową z powiatową komisją oświaty pozaszkolnej, nie tworząc komórek organizacyjnych oświatowo-społecznych o nieskoordynowanej działalności.
- 18) Przy obsadzie kadr przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego oraz oficerów Związku Strzeleckiego, personel powinien być specjalnie doborany.
- 19) W skład Związku Strzeleckiego winien wchodzić wyłącznie element polski. Związek Rezerwistów i podobne organizacje nie powinny być tworzone w miejscowościach zamieszkałych tylko przez ludność ukraińską, zwłaszcza o ile dana miejscowość znana jest z nastrojów nacjonalistycznych lub komunistycznych.
- 20) Z pieśni żołnierskich winien być eliminowany repertuar kabaretowy, a natomiast winny być wprowadzane pieśni ludowe, m.in. z tekstem polskim do melodii ukraińskich.
- 21) Organizować należy pokazy siły zbrojnej Państwa ze specjalnym naciskiem na nawiązanie dalszego zwycięstwa z miejscową ludnością w czasie ćwiczeń i manewrów.
- 22) Należy dążyć do polonizacji prawosławia. Dążyć należy do używania języka polskiego przy nauce religii w szkołach i w kazaniach duchownych, szczególnie w czasie odpustów oraz w ogóle uroczystości kościelnych i państwowych. Oddziaływać należy na rodziców, by żądali nauczania w języku polskim. Inspirować należy wydawanie druków religijnych w języku polskim oraz żądania, aby czasopismo „Słowo” i „Woskresienie Cztenije”, wychodzące w Warszawie, dla terenu Województwa Lubelskiego były wydawane w języku polskim. Starać się, aby inicjatywa w tej sprawie wychodziła od społeczeństwa.
- 23) Winny być ustalone podręczniki jedynie dopuszczalne dla wykładów religii i spowodować należy z kolei duchownych do prowadzenia wykładów wyłącznie z tych podręczników. Spowodować wydanie podręcznika poświęconemu historii cerkwi oraz innych brakujących w języku polskim. Ludność prawosławna powinna być stale zaopatrywana w większą ilość podręczników polskich do nauki religii.
- 24) Jako wykładowcy religii prawosławnej winni być eliminowani zdecydowani nacjonaliści ukraińscy natomiast popierać należy duchownych wyraźnie lojalnych, narodowościowo niezorientowanych lub współdziałających z władzami państwowymi. Duchowni nieetatowi, jako wykładowcy religii winni być używani wyjątkowo.
- 25) Sieć partii prawosławnych winna nie przekraczać liczby istotnie potrzebnych dla zaspokojenia potrzeb religijnych, wzorując się przy tym na gęstości parafii rzymskokatolickich. Przeciwdziałać się winno nasyłaniu duchownych nieetatowych. Duchownych prawosławnych nie można pozostawiać w odosobnieniu towarzyskim i społecznym.
- 26) Akcja uniijna nie odpowiada interesom państwa, wobec czego nie zasługuje na poparcie, zwłaszcza o ile źródłem jej jest Małopolska Wschodnia.
- 27) Polski element osadniczy winien podlegać odpowiedniej selekcji. Małowartościowe jednostki winny być zastępowane jednostkami o wysokich walorach społecznych i państwowych.
- 28) Osadnikom winna być zapewniona szczególna opieka władz państwowych. Koniecznym jest udzielanie, jak najdalej idących ulg w splatach zaległości z tytułu pożyczek na kupno gruntu lub inwestycje, jak również ułatwienie osadnikom możliwości korzystania z ustaw odłożeniowych.
- 29) Na większych zespołach osadniczych osadzać się winno przodowników gospodarczo-społecznych. Mogą tu być wzięci wychowankowie szkół rolniczych, ośmieszonych których stosować należy specjalne pomoce kredytowe na koszty kupna i urządzenia gospodarstwa przykładowego.
- 30) Osadnicy polscy, stanowiący element dodatni, winni jak najszybciej uzyskać tytuł własności. Uregulowanie tytułu własności i zw. popówek wymaga jak najspieszniejszego załatwienia.
- 31) Przy parcelacji prywatnej winny być stosowane zasady analogiczne, jak przy parcelacji rządowej. Zezwalać należy na parcelację tylko wtedy, gdy omawiane zasady nie zostaną pogwałcone

i mają przede wszystkim na uwadze element polski. Uwzględnienie elementu ukraińskiego uzależnione winno być od stopnia istotnej lojalności i nastroju do Państwa. Nabywcy polscy winni podlegać ścisłej selekcji. Wszelkie pomoce kredytowe przy parcelacji stosować należy proporcjonalnie do wartości państwowej petentów.

- 32) Melioracje rolne winny być przeprowadzone przede wszystkim we wsiach polskich lub z wybitną przewagą ludności polskiej, a dopiero w drugim rzędzie tam, gdzie ludność niepolka jest całkowicie lojalna.
- 33) Przy prowadzeniu akcji komasacyjnej uwzględniać należy przede wszystkim wieś polską, a następnie o ludności mieszanej, mieszając dotychczasowych ich mieszkańców i nie tworząc oddzielnych grup polskich lub ukraińskich.
- 34) Przestrzegać należy, by wszystkie spółdzielnie dopełniały odpowiednich wymogów rejestracyjnych. Spółdzielnie w odpowiedni sposób niezarejestrowane istnieć nie mogą.
- 35) Usilnie należy popierać spółdzielczość, jako platformę współpracy polsko-ukraińskiej, przy czym paraliżować należy tendencje do zakładania spółdzielni czysto ukraińskich i utrzymywanie przez niektóre spółdzielnie kontaktu ze Lwowem. Cały ruch spółdzielczy winien być nastawiony w kierunku na Warszawę.



Cerkiew w Hrebennem. Fot. Janusz Urban.

TEOTYN ROTT-ŻEBROWSKI

ZAMILKŁE ECHA...

Wspomnienie to napisałem na apel „Sygnałów dnia” i przelałem do Polskiego Radia w kwietniu 1978 r. Chodziło wówczas o opis przeżyć związanych z Dniem Zwycięstwa.

Tekst mój, co jest zrozumiałe, nie tylko nie został wykorzystany przez „Sygnały”, ale nawet nie został odtworzony w spisie słuchaczy, którzy nadesłali listy o Dniu Zwycięstwa, dołączonym do publikacji *Ten jeden dzień*, wydanej przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą w Warszawie w 1978 r. Nazwisko moje zostało całkowicie pominięte a maszynopis, chociaż o to „Sygnały dnia” prosiłem, nigdy nie został mu zwrócony.

Poprawiony i uzupełniony tekst proszę traktować jako dokument. Oświadczam, że nie ma w nim nic fikcyjnego. Nazwy miejscowe, imiona i nazwiska lub tylko nazwiska w wypadkach, gdy imię uleciało mi z pamięci, oraz fakty są prawdziwe. Fakty te (oby tylko wszystkie!) stanowią rejestr najważniejszych i najciekawszych wydarzeń w moim rodzinnym miasteczku i przyległych miejscowościach.

9 maja 1945 roku — wstałem, jak zwykle, dość późno. Słońce było już wysoko i jako biała kula przedzierало się przez biegące z zachodu siwe, gęste obłoki. Która była godzina? Trudno powiedzieć. Stary zegar milcząco wisiał na ścianie. Zresztą chłopom z zapadłej wsi wileńskiej zegar nie był potrzebny — wstawało się, gdy słońce wschodziło, szło się spać, gdy zachodziło. Stary ojczym (ojciec zmarł na długo przed wojną) dawno był już w polu, przygotowywał ziemię pod siewy. Fela, moja młodsza siostra, z mamą pracowała w ogrodzie. Tylko ja wylegiwałem się do woli. Miałem zresztą do tego prawo, bo kilka dni temu wróciłem ze szpitala. Wróciłem jako inwalida Wojny Ojczyźnianej dwukrotnie ranny, raz — lekko i raz — ciężko. Lekko — w rękę jeszcze jesienią 1944 r., na skutek czego w szpitalu polowym przebywałem niecały miesiąc. Ciężko ranny byłem w brzuch w końcu stycznia 1945 r. Udało się lekarzom — przecięli brzuch z góry do dołu, wyrzucili ponad pół metra podziurawionych jelit, zeszyli i... żyję. Byłem w różnych szpitalach wojskowych w Prusach Wschodnich, w Wilnie, wreszcie sanitarnym pociągami wywieziono mnie do miasta Gorki. I oto w pierwszych dniach maja wróciłem do domu, do Hermanowicz, a ścisłej — na Łysą Górę — naszą kolonię klinem wcisniętą między rzekę Dźisnę i wpadającą do niej wartką Plawienkę. W polu pracować jeszcze nie moge. Dlatego wysypiam się za wszystkie czasy.

W ciągu tygodnia zdążyli odwiedzić mnie bliżsi i dalsi sąsiedzi — z Hermanowicz i z Premian, leżących za Plawienką, wieść bowiem o moim powrocie rozeszła się błyskawicznie po okolicy. Ja natomiast jeszcze prawie nigdzie nie byłem. Odwiedziłem tylko stryjka Adolfa, mego ojca chrzestnego i sąsiada Waskę Fiedotowa.

U Waski byłem trzy dni temu. Któregoś dnia o zmroku poszła mama po wodę do Plawienki i dość długo jej nie było. Wróciła podniecona i jakoś dziwnie tajemniczo oznajmiła:

— Nigdy w życiu nie zgadniesz, z kim się spotkałam!

Zgadywać nie próbowałam, mama więc w wielkiej tajemnicy zastrzegł się, aby nie mówić o tym Feli, powiedziała, że spotkała się z Waską, który blisko miesiąc temu uciekł z frontu lotewskiego i ukrywał się w domu. Prosił, abym go odwiedziła.

Prósilem o odesłanie do Wojska Polskiego — mówił cicho ciągle spoglądając lekliwie w okno. — Wyśmiali tylko. „Wojsko Polskie dla Polaków” — odpowiedzieli — „a ty starowiej, znaczy ruski, dla ciebie Armia Czerwona”. Nie pomogli tłumaczenia, że jako obywatel polski służyłem w Wojsku Polskim, że kapralem nawet byłem. Jak jakiegoś aresztanta wadzili do ciężarówki i pod konwojem odwieźli do Dyneburga, a stamtąd do jednostki i wprost pod kulomioty niemieckie. Ludzi nie oszczędzają. Im mniej pozostanie nas — zachodniaków, tym dla nich — bolszewików — lepiej. Iu tam naszych zginęło! Słyszałeś zapewne, że obaj synowie Safrona Nikitina polegli? A iu poranionych zostało! Sam walczyłeś, więc wiesz doskonale. Za pierwszych razem miałem szczęście. Ale kiedy drugi raz pognano na niemieckie okopy, uciekłem w nocy z pierwszej linii. O co niby mam się bić? Może o kolchozy? Dłanie! Kto szwagra mego Karpe i za co aresztował w 1940 roku? Kto siostrę z małymi dziećmi wywoził do Kazachstanu?

Karpa był starowiej z Otok leżących koło Hermanowicz. Służył w Wojsku Polskim zaraz po pierwszej wojnie światowej. Był silnie zbudowany i widocznie okazał się dobrym żołnierzem, skoro miał stopień plutonowego. Dostał też posadę gajowego w lasach hrabiego Zyberk-Platera.

— A historię brata Fiodora znasz? — ciągnął Waska. — Prawda, i Iodur rzeczywiście zawiął, ale przecież nie na tyle, aby go bez sądu zabić! To mord!

Fiodor był młodszy ode mnie o rok lub dwa. W marcu 1944 roku został przez nowo utworzony rząd białoruski zmobilizowany do Białoruskiej Armii Krajowej i służył w niej niecałe pięć miesięcy. Młody i dobrze zbudowany zwrócił uwagę swoich zwierzchników, i został wkrótce podoficerem. Gdy w wyniku ofensywy Armii Czerwonej w czerwcu wyzwolona została Białoruś, Fiodor rzucił szeregi B.K.A. i ukrył się u swoich krewnych. Ktoś jednak doniósł nowej władzy. Fiodora aresztowali. Odesłany został do Głębokiego i oddany władzom NKWD. Przy bliżej nie ustalonych okolicznościach został zastrzelony na ulicy w Głębkiem. Najprawdopodobniej po przesłuchaniu konwojowany był do więzienia w Berezeczu. Próbował widocznie uciekać.

— Mówisz, że to dezerżja? Nie podobnego! Nie mieli oni prawa nas mobilizować. Ziemię naszą siłą zostały odebrane Polsce. Żadnego paktu co do ziem wschodnich nie było. Błwimy i pozostajemy nadal obywatelami polskimi. Mieli do mobilizacji tej takie samo prawo jak ci, co zmobilizowali Fiodora lub Rodionowcy do twojego brata Janka.

Była to smutna historia, zakończyła się jednak szczęśliwie. Jednostka wojskowa pułkownika Rodionowa w 1943 r. stacjonowała w Łuzkach. Złożona była z byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Zaczął się werbunek. Nie dał on jednak wielkich rezultatów i wtedy chwycono się innego sposobu — w porozumieniu z władzami niemieckimi ogłoszono mobilizację. Było to na początku lipca przed zwiastami. Brano przy tym najmłodsze roczniki, między nimi 1925 — rocznik mego brata. Rozesłano nawet imienne zawiadomienia. W razie niestawienia się na komisję lekarską grozono najwyższą karą — rozstrzelaniem. Nie byliśmy absolutnie zorientowani w sytuacji, a czasu do namysłu było niewiele. Po krótkiej naradzie rodzinnej zdecydowaliśmy, aby Janek na komisję się zgłosił. Sądziłmy bowiem, że jedynego pracownika z gospodarstwa nie zabiorą — ojczym przekroczył szeszedziesiątkę, ja zaś byłem

nauczycielem. Przeliczyliśmy się jednak — Janka, jak wielu innych, w tej liczbie również Antoniego Chodkiewicza, nie patrząc na żadne przepisy, zakwalifikowano do służby wojskowej, zabierając dowody tożsamości — ausweisy. Tegoż samego dnia pod konwojem odprawiono ich do Łuzek a potem odesłano do Dokszy — jak najdalej od domu. Postanowilem ratować brata. Napisałem podanie załączając odpowiednie dokumenty wystawione przez kolegów z gminy, gdzie ojczymowi i mamie dodano po kilka lat i gdzie ziemi było więcej niż w rzeczywistości. Podanie napisałem po rosyjsku i po niemiecku. Załączone dokumenty również były w obu językach. Tłumaczenia dokonał nasz nauczyciel Stanisław Hybala, o którym będzie jeszcze mowa. Oba podania zawiołem osobiste do Dokszy. Miałem tam swego znajomego — nauczyciela Romaszę, który ułatwił mi dojście do sztabu i był jednocześnie tłumaczem. Sądziłem, że na takie podanie sztab niemiecki zareaguje zwolnieniem brata. Nie powiem, olicer niemiecki cierpliwie wysłuchał, przeczytał podanie i dokumenty i przyrzekł przedstawić to wszystko nieobecnemu w tym dniu majorowi. Pełen nadziei wróciłem do domu. Nie minął nawet tydzień, że w połowie sierpnia gruchnęła wieść, że armia pułkownika Rodionowa przeszła na stronę czerwonej partyzantki. Korzystając z tego Janek i jego kolega z Premian, syn starowieira Filata, uciekli do domu. Jakis chłop dał im stare ubrania w zamian za mundury niemieckie. Kryjąc się od Niemców i od partyzantów, idąc tylko lasami i polami, wyczerpani z sił po tygodniu dotarli do domu. Moi koledzy z gminy wyszli z nim nowe ausweisy. Za to wszystko spotka Janka w przyszłości kara. Gdy po skończonej wojnie będzie Janek służył w Milicji Obywatelskiej i pełnił funkcję komendanta posterunku w Poznaniu, zostanie aresztowany, pozbawiony stanowiska i przesiedzi sześć miesięcy w więzieniu w Mrowinie pod Poznaniem. Antoni Chodkiewicz nie odważy się uciec do domu. Przez całą zimą będzie służył w partyzancie. Wczesną wiosną odda się jednak w ręce B.K.A. Zostanie wywieziony na roboty do Niemiec. Po wojnie do kraju już nie wróci. Zamiastka w RFN.

Na moje pytanie, co zamierza dalej czynić, Waska odpowiedział:

— Będę czekał końca wojny. A potem, co Bóg da. Może Polscy oddadzą nasze ziemie? Przecież większość zapisała się do Polski i zdecydowana większość zachodniaków służy w Wojsku Polskim.

Niedługo musiał Waska czekać końca wojny. Była potem amnestia dla dezerterów-zachodniaków. Ujawnił się. Zachorował jednak na gruźlicę i w 1947 r. zmarł.

Kończyłem śniadanie, gdy do mamy i Feli przybiegła zadyszana i rozszesniona Katia, nasza sąsiadka z Flawienki. Gestykulowała i widocznie coś ciekawego i wesołego opowiadała, gdyż po minach mamy i Feli widziałem, że z czegoś się bardzo cieszą. Spieszyłem się z dojadaniem i w zamiarze wyjścia do ogrodu, gdyż byłem ciekawy, co się stać mogło. Zobaczyłem jednak, że wszystkie trzy kobiety idą do mieszkanka.

— Koniec wojny! Niemcy podpisali kapitulację! — głośno wykrzyknęła Katia wchodząc do kuchni.

To, że koniec wojny bliski, czuliśmy od dawna. Jednak wieść ta ucieszyła mnie bardzo. Zapytawszy, skąd pochodzi wiadomość, otrzymałem od Katii wyjaśnienie, że przekazał ją Kirsanow, którego syn Pietia walczył w Armii Czerwonej. Kirsanow z kolei usłyszał to od jakiejś kobiety ze Stolicy, która chodziła na pocztę do Hermanowicz. Nikt w okolicy nie miał radia. Wkrótce po napasni na Związek Radziecki radia głośnikowe trzeba było zawieźć do sielsowietu, słuchawkowe zaś zabronili mieć Niemcy, toteż teraz w najbliższej okolicy radia nikt nie miał, gazety zaś przychodziły z opóźnieniem. I chociaż wiadomość ta nie była jeszcze sprawdzona, uwierzyliśmy w jej prawdziwość święcie.

— Jeżeli do tego czasu Jankowi nie się stało, to już wróci cały — powiedziała Fela.

Janek służył w Wojsku Polskim. Listy przychodziły z miesięcznym prawie opóźnieniem. Wiedzieliśmy tylko tyle, że jest na tyłach i udziału w walkach jeszcze nie brał. Tymczasem Janek brał udział w bitwach na terenie południowych Niemiec.

— Co z Tonią i jej dziećmi zrobią? — westchnęła mama — powinni mi zwrócić wolność.

Antonina, nasza najstarsza siostra, wyszła za mąż za policjanta jeszcze w 1929 r. Miała troje dzieci — córkę i dwóch synów. W dniu 17 września miał jej Stanisław Sochacki, wykonując rozkaz, uciekł przed Armią Czerwoną na Łotwę. Po areszcie państw nadbałtyckich, aresztowany i kilkakrotnie przesłuchiwany przez NKWD, zesłany był do obozu pracy w okolicach Archangielska. Po hitlerowskiej napaści na Związek Radziecki, wypuszczony na wolność, wstąpił do Armii Andersa. Był następnie na Bliskim Wschodzie, we Włoszech, udziału jednak w bitwie pod Monte Cassino nie brał. Po zakończonej wojnie wrócił do kraju i połączył się ze swoją rodziną. Na stałe zamieszkał w Ilawie. W 1979 r. hucznie obchodziliśmy ich pięćdziesięciolecie pożycia małżeńskiego.

A co z Fiedorowiczami? A może i Janka wypuszczą z więzienia? — mówiła dalej mama.

Nasza następna siostra Stanisława wyszła za mąż w latach trzydziestych za Jana Fiedorowicza. Był on synem Józefa, który przez dwie kadencje piastował urząd wojska w sąsiedniej gminie Pohost. Mieszkał w zaskianku Kolaniec. Wywodzący się ze spolonizowanej szlachty białoruskiej, miał jeszcze duże gospodarstwo rolne liczące około 60 ha ziemi ornej i tyleż lasu z nieużytkami. Najstarszy syn jego Jan ożenił się z naszą siostrą, co w mniemaniu wszystkich było wielką karierą. Oprócz Janka miał Józef jeszcze dwóch synów i córkę. Dawniej Kolaniec i przyległy las Strażniki był własnością ojca Józefa. Na początku XX wieku podzielili on majątek między swoich trzech synów. Najmłodszemu Józefowi przypadł w udziale stary drewniany ale dobrze trzymający się dworek na niewielkim wzgórzu obsadzony od drogi na kilka kilometrów widocznymi wysokimi świerkami. Wkrótce po ożenieniu się Janek, mój szwagier, otrzymał od ojca przypadające mu 20 ha ornej ziemi, część lasu, wystawił nowy dom i nowe budynki gospodarcze. Pozostali synowie — Józef i Witold — jako, urzędnicy pracowali gdzieś w Wilnie. Po wybuchu wojny wrócili do ojca. Józef był już żonaty, przyjechał więc z żoną. Zimą 1940 r. w mroźną noc styczniową przyjechało NKWD z zamiarem wywiezienia wszystkich w głąb Syberii. Stary ojciec, ciępiący na serce, tak się przeraził wywozu, że zmarł na zawał. Chora była na grype również matka. Ją też zostawili. Wywiezieni zostali tylko młodzi — Józef z żoną, Witold i Jadwiga. Oddzielnie mieszkający Janek uniknął wywozu. Janek pochował ojca, chorą zaś matkę zabrał do siebie. Nie wstała ona już nigdy z łóżka i wczesną wiosną zmarła. W opustoszałym dworku uczyniono selsowiet. Kiedy Niemcy dokonali napadu na Związek Radziecki, Janek objął w tymczasowe posiadanie ojcowiznę i wprowadził się do dworku. Ziemię wdzierzał miejscowym chłopom. Gdy rozwinęła się partyzantka, nękany przez nocne wizyty, opuścił dworek i wprowadził się z powrotem do swego domu, od dzierżawców zaś w ostatnich dwóch latach nie wziął żadnej zapłaty. Kiedy Niemcy przeprowadzili na tamtych terenach wiosną 1944 r. pacyfikację, został zabrany i wywieziony do Głębokiego. Mieli go wywieźć na roboty do Niemiec. Przy pomocy złota udało się Janka wykupić. Jesienią 1944 r. nowa władza radziecka kazała mu uiszczyć kontyngent w postaci zboża, mięsa i innych płodów rolnych od całych Kolaniec. Było to zadanie nie do wykonania. Został

więc aresztowany i jako sabotażysta osadzony w obozie pracy w Orszy.

Janek już nigdy nie połączył się ze swoją rodziną. Zdecyduje się zostać Białorusinem sądząc, że go przedzję z więzienia wypuszczą. O możliwości wyjazdu do Polski jesienią 1944 r. Janek nie mógł jeszcze wiedzieć. Mając w pamięci losy Polaków z 1940 i 1941 r. sądził, że dobrze robi. Pomylił się jednak. Gdy na skutek amnestii wypuszczą go z więzienia, nie zostanie w Kolanicach swojej żony i synka, nie będzie nikogo i na Łysej Górze, będziemy wszyscy w Polsce. Rozpocznie pracę jako robotnik rolny w sowchozie Horodziec, byłej posiadłości hrabiego Zyberk-Plattera, ożeni się po raz drugi i z nową żoną i synkiem umrze tragicznie, zaccadziwszy się w małym pokoiku — mieszkaniu dla robotników sowchozu przerebionym ze stajni.

Wypuszczeni na wolność po napaści Hitlera na Związek Radziecki Józef i Witold przejdą szlak bojowy z Armią Andersa, za walki zaś pod Monte Cassino Witold otrzyma wysokie odznaczenie. Do kraju nie wrócą. Nie wróci i Jadzia — wyjdzie za mąż za oficera Armii Czerwonej i zostanie w Związku Radzieckim. Nie zapomni jednak starej ojczyzny, ani języka. Ożywną korespondencję nawiąże z mną, gdy mój jej już w randze pułkownika, pojedzie na emeryturę. — Wróć, jeżeli dożyłi dnia dzisiejszego, i moi bracia — mówiła Katia.

Było ich trzech. Najstarszy Arseniusz został powołany do Armii Czerwonej wczesną wiosną w 1941 r. i po nim został ślad zaginiony. Eliasz zaś, wraz z moim bratem Jankiem, służący w Wojsku Polskim, doczeka się szczęśliwie końca wojny, do Premian już nie wróci. Osiądną na Ziemiach Odzyskanych, przyjmie wiarę katolicką, ożeni się z Polką. Gdy przekazał swoje gospodarstwo rolne państwu zamieszka w Kołobrzegu nawiąże z nimi ściślejszy kontakt. Najmłodszy Andrzej zaciągnięty w 1945 r. do Armii Czerwonej wróci zdrowy i cały.

Wszedł do chaty nasz ojczym Justyn Jermakowicz. Przedwcześnie ostiwiał i pomarszczony wyglądał na zgrzybiałego starca. Twarz miał rozczesloną. Przyszedł obwieścić nam tę samą nowinę, że wojna skończona. Wiadomość tę przekazał mu nasz sąsiad Piotr Rowda. Ojczym także miał nadzieję, że doczeka się swych synów. Nie wiedział wtedy, biedak, że jeden z nich był już zabity — poległ w walce z Niemcami gdzieś pod Budzysynem. Nie ujrzy już i drugiego syna, umrze w jesieni nie doczekawszy się jego powrotu.

— W południe na rynku ma być mityng — oznajmił.

Postanowiliśmy pójść. Nęciła mnie chęć spotkania się ze znajomymi i ożerzenia Hermanowicz. Gdy wracalem z wojny, z Głębokiego do Kuchci, gdzie mieszkała ciocia Maryla, częściowo szedłem pieszo, częściowo jechałem przypadkowo spotkany chłopskim wozem, potem do domu wiozła mnie ciocia Maryla. Sądziliśmy, że przed zmrokiem będziemy na Łysej Górze. Droga była jednak poryta ciężarówkami, most na Mniucy był spalony, trzeba było obejść. Było już zupełnie ciemno, gdy ciocia wiozła mnie przez Hermanowicz. Nikt nas i my nikogo nie widzieliśmy. Ubraliśmy buty z cholewami, sznel wojskowy i czapkę uszatę wkrótce wyszedłem z domu.

Pierwszym człowiekiem, którego spotkałem, był nasz sąsiad zza Pławienki Salfon Nikitin. Niestary jeszcze czterdziestoparoletni człowiek był siwy, ubranie miało podarte i zabłocone. Wyprowadził z pluga konia po skończonej orce.

— Dzień dobry, Pawłowiczu! — odpowiedział na moje pozdrowienie Salfon. — Dobrze wyglądasz. Zazdrościsz waszej matce, a moich synów nie ma — powiedział smutno, odwrócił się, by ukradkiem otrzeć łzy. — Nie cieszy mnie koniec wojny.

Nie rozmawiałem z nim długo. Żał mi było jego synów — Wawili i Iwki. Obaj zginęli — pierwszy jeszcze w jesieni 1944 r., drugi wezszą wiosną 1945 r. Obaj polegli na łotewskim froncie. Wawila, gdy zginął, miał 19. Iwka tylko 18 lat. Poczulem jakiś wstyd przed Safronem, wstyd, że żyję i zdrowy, chociaż inwalida, stoję przed nim. Oczarował mnie nastrojem smutku i przynęcenia. Pośpiesznie więc się oddaliśmy.

Ze stryjdem Adolfem i stryjenką Karoliną już się widziałem. Było jednak po drodze, postanowiłem więc wstąpić na chwilę. O kapitulacji Niemiec i tutaj już wiadano — wiadomo, kolonia ich znajdowała się przy drodze i bliżej miasteczka. Siwy i przygarbiony stryjczek wydał mi się dzisiaj o wiele młodszy, niż ostatnim razem. Stryjenka poczęstowała mnie herbatą lipową z miodem.

Od Wielkanocy coś mi leży na płucach, a i serce ciągle boli. Miod przyniosły mi dziewczyski Roczenki — mówiła stawiając przede mną słoik z miodem — oczyszcza płuca i wzmacnia serce. Mile dziewczyski. Mogłbyś się z którąś ożenić.

W ciągu roku stryjenka poczętniała jakoś, policzki miała opadnięte, była przygarbiona, kasłała co chwila i mówiła jakoś cicho.

I tu z końcem wojny wiązano nadzieję, że urzą wnet iedynego swego syna Mariana, który był na wojnie i córkę Tecię, wywiezioną na roboty do Rzeszy.

Pamiętałem zachowanie się stryjczaka, gdy ogłoszona została mobilizacja. Pełen smutku i przynęcenia poszedłem do stryja pożegnać się. Stryjenka, tak jak i moja mama, ukradkiem ocierała łzy. Stryj był całkiem spokojny, a może spokojnego udawał.

— Zabierają was, powiadasz, na wojnę? — mówił. — Mego Mariana też biorą. Nie robcie paniki. Tak już los mężczyźn. W czasie pierwszej wojny światowej walczyliśmy my, teraz kolej na was. Nas też pozabierali, ale prawie wszyscyśmy wrócili. Zabitych z Hermanowicz było tylko trzech ludzi, w tym niestety i nasz brat Julian. Rannych było więcej — twój ojciec, Orlukiewicz, Mochat, Rowda, Karpa i Diemientjew. Wojna obecna, powiadasz, jest bardziej okrutna i technika zabijania wyższa? Prawda, ale koniec jej bliżki. Może nawet nie zdążyce powołać prochu. A może i powalczycie i ochę. Co tu ukrywać — ktoś zginie, kogoś ranią. Od tego wojna. Ale jakoś tam będzie. Po co na zapas się martwić. Nikt nie uniknie swego przeznaczenia.

Kończyłem właśnie herbatę, gdy do izby weszła Bielinsowa, żona Romualda. Dziadek nasz ożenił się już z młodą wdową, która miała synka Jana Bielimsa. Jan Bielims — nazywaliśmy go strykiem — i jego żona już nie żyli. Zmarli w czasie okupacji. Mieli dwóch synów — Kswerego i Romualda. Kswery był leśniczym i dlatego został aresztowany przez NKWD, a rodzina wywieziona do południowej Syberii. Romuald i jego starszy syn zostali zmobilizowani. Ojciec, ze względu na stan zdrowia, nie walczył — w głębi Rosji pracował w jakiejś fabryce amunicji. Teraz na jej głowie było już całe 15-hektarowe gospodarstwo. Trzeba było zaościć i zasiać, opatrzyć mwentarz. Osmoletni Alek niewiele mógł pomóc. Syn Józik miał tylko 17 lat, kiedy razem z nami poszedł na wojnę. Nie wiedział jeszcze Bielinsowa, jaki list był w drodze. Cieszyła się tymczasem wraz z nami z końca wojny. Po kilku dniach przyjdzie okrutny list z czarna obwódką z wiescią, że Józik zginął gdzieś pod Budzysznem.

Nie sądzono pędzić stryjkowi i stryjenkę spotkać się ze swoimi dziećmi — umrze stryjenka jesienią, ज्या zaś do grobu włożą sąsiedzi i stryja.

Przed miasteczkiem spotkałem się jeszcze z Sergiuszem Diemientjewem. Tak jak wszyscy przygotowywał ziemię pod zasiew. On też oddał swoich dwóch synów na wojnę. Starszy — Wanka zaciągnięty został do Armii Czerwonej jeszcze na początku 1940 r., młodszy

Waśka zmobilizowany był w lipcu 1944 r. Obaj synowie służyli teraz w Wojsku Polskim. Starszy w pierwszej armii Wojska Polskiego młodszy w armii drugiej. Starszy wróci do domu bez jednej ręki, młodszy zginie już po zakończeniu wojny, od granatu, głaszcz ryby w rzecze.

Już w miasteczku spotkałem stojącego przed swoim domem Henryka Wysockiego. Wypytał mnie o zdrowie. Powiedział kilka pochlebnych zdań o moim wyglądzie. On też cieszył się z końca wojny. Synów nie miał, ale miał dwie córki wywiezione na roboty do Rzeszy. Jeszcze wtedy nie wiedział, że starsza z nich zginęła w czasie bombardowania miasta. Drugą córkę również już nie ujrzę. Wyjdzie ona za mąż za Poznaniaka. Do starej matki z mężem i wnuczkami w odwiedziny przyjeżdże dopiero po śmierci Sitala.

Naprzeciwko domu Wysockiego stał dom plebanii popa staro-wiorów Iwana Aleksiejewa. Popem w Hermanowiczach został Alek-siejew zaraz po pierwszej wojnie światowej. To jego staraniem wybudowana została drewniana cerkiewka. Zawsze wydawał mi się stary, nosił bowiem długą brodę, długie włosy i najczęściej czarny kapelus z lub zimą — czarną papachę. Gdy pierwszy raz ujrzalem portret Lwa Tołstoją, wydało mi się, że oglądam portret Iwana Aleksiejewa. Wiernych nie miał wielu, głównym więc źródłem jego utrzymania było nieduże gospodarstwo rolne, które sam uprawiał w szkole uczył religii na tych samych prawach, co ksiądz katolicki, pop prawosławny i rabin. W czasie uroczystości państwowych — 3 maja i 11 listopada zajmował miejsce na trybunie. Raz nawet, na 10-letcie odzyskania niepodległości, na uroczystej akademii wygłosił przemówienie, po rosyjsku naturalnie, zakończone polskim okrzykiem — „Niech żyje Polska niepodległa!”. Miał trzy córki i dwóch synów. Pierwszą wydał za mąż jeszcze w tej parafii, gdzie poprzednio sprawował urząd proboszcza i tej nie pamiętam. Drugą córkę slynącą z urody, bo i rzeczywiście była piękna, wydał w latach trzydziestych za Mikołaja Agafonowa, syna najbogatszego staro-wiera w naszym miasteczku. Z najstarszym synem Anfinem wzrastałem razem — bawilem się w krasnoludki, urządzaliśmy sportowe wysięgi, łowiliśmy ryby, kapałiśmy się w Dziśnie i Plawience. Chodziliśmy na grzyby i jagody do lasu. Gdy dorosiliśmy, organizowaliśmy zabawy taneczne i wieczorki towarzyskie. Po skończonej szkole pracował Anfim jako buchalter w miejscowej Spółdzielni Spożywców, powstałej z inicjatywy naszych nauczycieli — Stanisława Hybala i Jarosława Winiańskiego. Anfim był najpiękniejszym chłopcem w okolicy. Nie dziwne, że go kochały się w nim wszystkie niemal panny. Odbywał mi też każdą, którą chciał. W czasie okupacji grał przestępnie istniejącej Spółdzielni Spożywców, pracował jako buchalter w gminie, potem, gdy rozwinęła się czerwona partyzantka i urząd przeniesiony został do Szarkowszczyzny, wjechał tam. Młodszy, Kalina początkowo pomagał ojcu w rolnictwie i uczył się jakiegos fachu, wolał jednak zostać również urzędnikiem w Szarkowszczyźnie. Po powrocie z wojny dowiedzieliśmy się od Feli, że obaj z cofającymi się Niemcami opuścili Szarkowszczyznę — organizowali i iowiem Związek Młodzieży Białoruskiej i nosili karabiny niemieckie.

Wysoco niewłaściwym nietakiem byłoby nie wstąpić do popa. Przez ostatni rok pop zmienił się bardzo. Jego lekko przyproszona siwą brodą była teraz niemal biała, białe miał i skronie. O losach swoich synów nie wiedział nic. Z końca wojny cieszył się również. Nie był jednak zadowolony i tego nie ukrywał, że na Wileriszczyźnie utrwaliła się władza radziecka.

— A może da Bóg, ziemie te znów odejdą do Polski — westchnął. Żona popa również postarała, była jednak jak i dawniej ruchliwa i gadatliwa. Poczęstowała mnie mlekiem, nazywała Tomikiem Paw-

łowiczem i w wielkim sekrecie przed popem, gdy ten się oddalił do swoich zajęć, powiedziała, że Anfim jest w Górze, że w obawie przed represjami zmienił nazwisko i pracuje jako robotnik kolejowy. O losach Kaliny nie wiedziela.

Gdy po 32 latach zawiłam znów do Hermanowicz, nie będzie już pocziwiej starszaki. Stuletni pop Aleksiejew, biały jak śnieg, chodzący o kulach, me pozna mnie, zapomni nawet moje imię i nazwisko. Błagał będzie innie o jedno — abym odnalazł moją syna Kalinę. Poruszę niebo i ziemię. Będę pisał do krewnych i znajomych rozrzuconych po całym świecie i odnajdę Kalinę w RFN. Spotkam się z Animem i dowiem się, że K. G. B. odszuka go, dostanie swoje 10 lat, przesiedzi jednak tylko 2 lata.

Wstąpiłem następnie do kowala Adolfa Ananicz. Jeden z pierwszych odwiedził mnie kilka dni temu na Łysej Górze, jego syn Józef był bowiem moim serdecznym przyjacielem. Chciałem się zobaczyć z matką Józefa i jego żoną Larysą. Ciekawy byłam Tamary — Tomki, jak ją zdrobniale nazywano, małej córeczki Józka.

Kowal pracował w kuźni, skąd donosiły się od czasu do czasu uderzenia młotem o kowadło. Nie było również Larysy — była nauczycielką i pracowała w szkole. Zastąpiłem w domu żonę Adolfa z wnuczką.

Józek był starszy ode mnie o blisko dwa lata, razem chodziliśmy jednak do szkoły. Naszym przyjacielem był Broniek Ławryńczuk, starszy o rok od Józka, nasz pierwszy nauczyciel tańca i organizator zabaw w 1939 r. w Hermanowiczach. Broniek miał uroczą siostrę ciocięcną Julcię, w której nieszczęśliwie zakochany był Józek. Ponieważ najlepiej kłini wybija się kłinem, Józek zapoznał się, a potem wieczorami zaczął odwiedzać młodzikutkę, przysłane ze Wschodniej Białorusi, nauczycielki. Było ich trzy — Larysa, Tamara i Pola. Pierwsze dwie mieszkały razem w byłym domu hrabiego Szryrny. Hrabia już me żył. Żonę zaś ucieczkę w końcu 1939 r. ułatwił jeden z nielicznych polskich komunistów piastujący wówczas stanowisko wójta. Swoją pałac sprzedał hrabia gminie zaraz po pierwszej wojnie światowej i tam utworzono szkołę. Stara miłość u Józka powoli wygasła, aż wreszcie padła bomba — w przeddzień 1 maja 1941 r. Józek ożenił się z Larysą. Ponieważ ojciec Józka słynął z pobożności — pomagał księdzu w nabożeństwach, ubierał go, chodził w białej komży z buławą, którą potraszał torując przejście dla prefekta, kiedy ten zbierał od wiernych datki na kościół — wymógł na synie, aby ten wziął w tajemnicy przed wszystkimi ślub kościelny, okazało się bowiem, że Larysa pochodziła z katolickiej rodziny spod Witebska i znała na pamięć modlitwy. Ślub kościelny odbył się w nocy 3 maja. Świećca się jedna tylko świeca. Jako świadkowie ślubu był stary kościelny i ja. Obecni byli na ślubie rodzice Józka. Udowodnił Józek w ten sposób, że uważał mnie za swego najlepszego przyjaciela. Pamiętała o tym i Larysa mając córeczkę imię swojej przyjaciółki i nazywając ją zdrobniale Tomka. W połowie czerwca Józek z żoną wyjechał do rodziców Larysy. Po napadzie Niemców na Związek Radziecki Józek zwany został na przesłuchanie do NKWD i już nie wrócił. Larysa wraz z frontem wycofała się w głąb Rosji. Tam, w 1942 r. urodziła się Tomka. Po wyzwoleniu Białorusi przejechała z córeczką do rodziców męża. Czekala wraz z nimi na jakąkolwiek wiadomość o Józku. Nie doczekała się jej już nigdy. Siostra Józka Regina wywieczona była na roboty do Niemiec. Wyjdzie tam za męża i swoich starych rodziców odwiedzi dopiero po śmierci Stalina. Następnie syn Jan służył w Wojsku Polskim. Wojnę przeżył i na stałe osiadł na Śląsku. Najmłodszy Franciszek był teraz milicjantem. Własnie poganiał matkę, aby pospieszyła na wiec, który miał się zaraz odbywać na rynku. Zmusił i ojca. Został on jakąś pilną robotą i tak jak był — umorusany poszedł z nami na rynek.

Grupkę naszą dogonił Stefan Kossak. Właściwie to w innym celu wybrał się do miasteczka, ale dowiedziawszy się po drodze o zakonczem wojny, postanowił również wziąć udział w wiecu. Był ubrany w stary, polatany płaszcz, na głowie miał czapkę zimową. Na moi widok sponspniał. Rozumiałem go doskonale — przypomniałem mu jego jedynego syna Kostka, z którym razem w czasie okupacji uczylimy w Łuzkach. Pierwsza żona Stefana, matka Kostka umarła. Ożenił się Kossak po raz drugi, ale nie miał już dzieci. Uczęż w Łuzkach zakochał się był Kostek w swojej byłej uczennicy — Janeczce Łatanowskiej. Kostek był prawosławny, Janeczka — katoliczka. W dodatku było to jeszcze młode dziewczę i nie mogło być mowy o zamałżpożciu. Kostek Łatanowski, człowiek energiczny i przedsiębiorczy, czas jakiś tolerował odwiedziny Kostka, zwłaszcza że me on sam wieczorami do Janeczki przychodził. Miał również Kostek groźnego rywala w osobie Władka Talapilly — początkującego poety. Czasami bywałem i ja u Janeczki, ale w towarzystwie Kostka i Władka. Pewnego razu jednak Łatanowski nie wytrzymał i przepędził Kostka zabroniszony mu wstępu do swego domu. Zrozpaczonego Kostek zrobił największe w świecie głupstwo — pieszko udał się do Głębokiego i wstąpił do bliżej nieznanej mi białoruskiej jednostki wojskowej walczącej z partyzantami. O losie swego syna Kossak nie nie wiedział i dlatego był smutny, ja zaś o nie nie pytałem.

Kostek wojnę przeżył. Osiadł na Ziemiach Odzyskanych za Wrocławiem. Dwukrotnie odwiedzi mnie na wsi w Wielkopolsce, gdzie po wojnie uczyłem, i zalecał się będzie do mojej przyszłej żony. Odszuka go jednak Bezpięka i K. G. B. — zostanie aresztowany i wywieziony do Rosji. Dostanie tam 15 lat. Odsiedzi jednak tylko pięć i wkrótce po śmierci Stalina wróci do Hermanowicz. Na stałe osiadł w Szarkowiczynie już nie jako nauczyciel, tylko jako inżynier budowlany. Janeczka wyjdzie za męża i wyjdzie do Polski. Spotkam się z Kostkiem po 30 latach w Tallinie u mojej siostry ciocięcną Mani, dokąd przyjedzie z Animem, aby się z nią zobaczyć.

Gdy przyszliśmy na rynek, mityng już się zaczął. Na cokole byłego pomnika Józefa Piłsudskiego stało kilku ludzi — przedstawiciele miejscowej władzy. Przemawiał właśnie jakiś wojskowy, przed pomnikiem zaś stała spora gromadka dzieci i ich nauczycielki, wśród których od razu rozpoznałem Larysę, koleżankę Wandę Wierchowiczównę, panią Winiąską i jeszcze jedną osobę, której czas dłuższy nie mogłem sobie przypomnieć. Poza dziećmi stała tam nieliczna gromada kobiet i kilkunastu mężczyzn, których mobilizacja ze względu na wiek nie objęła. Nasze nadejście, domyśliłem się raczej moje, wywołało pewne zamieszanie. Wszystkie twarze obróciły się w naszą stronę. Rozpoczęły się szept, które po jakimś czasie ustały, albowiem głos zabrał przewodniczący sielsowietu Mikołajonek z Borka. Miał dar wymowy, mówił płynnie i kwiecień. Używał znanych zwrotów wziętych z prasy i przemieniał przewódców, co było wówczas modne. Starał się mówić po rosyjsku, jednak co jakiś czas padały słowa i zwroty białoruskie lub polskie.

Miał dwóch synów walczących w Wojsku Polskim. Swnowie wojnę przeżyja. Niejednokrotnie będę się z nimi spotykał u znajomych i krewnych z okazji różnych uroczystości rodzinnych. Ojciec zaś będzie zdjęty ze stanowiska za udzielenie noclegu polskiemu partyzantom. Dostanie swoje 10 lat. Nie dożyje śmierci Stalina i umrze w więzieniu.

W czasie przemówienia przewodniczącego podszedł do mnie Wikencjusz Krywkó.

Wikencjusz — to pierwszy mieszkaniec Hermanowicz, który wrócił z wojny, ja byłem drugi. Był młodszy ode mnie o dwa, może trzy lata. Wrócił otrzymawszy, zamiast sanatorium, trzymiesięczny

urlop — był bowiem ranny w rękę. Było to w końcu marca. Z końcem wojny wiązał wielkie nadzieje — sądził, że go do służby już nie powołają.

Ojciec jego — Józef Krywko, tak jak większość gospodarzy w Hermanowiczach, miał około 20-hektarowe gospodarstwo. Miał trzech synów i córkę. Rodzina była zbyt liczna i w każdej chwili mogli kogoś wywieźć na roboty do Rzeszy. Prawda, dobrym ich znajomym był Mikołaj Żuj, wójt gminy w Hermanowiczach w czasie okupacji, który po utworzeniu powiatów awansował na naczelnika w Szarkowszczyźnie. Za radą właśnie Mikołaja najmłodszy Wikencjusz zgłosił się do pracy w spółdzielni krawieckiej w Szarkowszczyźnie, która wykonywała głównie zamówienia dla Niemców.

Mikołaj Żuj był również i moim dobrym znajomym i przyjacielem mego stryjczonego brata Stanisława, o którym wspomnę nieco później. To on, chcąc ratować mego brata Janka, wystawił mi dokumenty, gdzie były dodane lata ojczymowi i mamie oraz powiększona ilość posiadanych hektarów. On również przyczynił się do wydania Jankowi nowego ausweisu. Kiedy Niemcy wydali rozkaz odwiezienia do Głębokiego naszych dzwónów z kościoła, Stach porozumiał się z Żujem i postanowił dzwony uratować. Dzwony były zdjęte w obecności dość liczного tłumu. Do odwiezienia wyznaczony został Stach mający najpóźniej konie w Hermanowiczach. Dla pozorów próbował nawet upierać się, ale skrzyżnany przez wójta musiał się zgodzić. Dzwony zostały załadowane na wóz i Stach pojechał na swoją kolonię, aby najaztury skoro świt wyruszyć w drogę. W nocy najpóźniej dwa dzwony zostały zakopane w miejscu wiadomym tylko memu bratu. Z dwoma najmniejszymi dzwonami Stach pojechał do Głębokiego i uzyskał potwierdzenie w postaci przyłożonej pieczątki, że transport dostarczył. Zaznaczyć należy, że oprócz dzwónów zawiózł Stach inny łom.

Ukrywając się przed K.G.B. zmienił Żuj nazwisko na Żuk i rozpoczął pracę jako urzędnik na Ziemiach Odzyskanych. Będzie jednak wykryty. O nakazie aresztowania uprzedził go jeden z pracowników Bezpieki. Żuj ucieknął. Będzie się ukrywał u Stacha na wsi, potem u kolegów w Szczecinie. Uda mu się w końcu uciec do Niemiec.

Wracamy jednak do Wikencjusza. Pracując w Szarkowszczyźnie w soboty chodził Wikencjusz do domu na święto i po prowiant na następny tydzień. Wczesną wiosną 1944 r. gdy szedł do domu, on i jeszcze jeden mieszkaniec Hermanowicz, mąż Genowefy Czajowskiej Sieluk, imienia nie pamiętam, zatrzymani zostali i uprowadzeni przez partyzantów. Po przesłuchaniu przez oficerów pozostali w oddziale. Zagrożono im, że jeżeli uciekną, gospodarstwo ojca i żony zostanie spalone. Wkrótce potem ruszyła się wieść, że Wikencjusz i Sieluk chodzą z partyzantami. Ponieważ i Niemcy karali rodziców za synów w partyzancie spaleni gospodarstwa najstarszy syn Mikołaj dobrowolnie wstąpił do powstałego w końcu marca w Łużkach batalionu B.K.A. Po wyzwoleniu Białorusi Mikołaj wrócił do domu, zostaje następnie zmobilizowany i służy w Wojsku Polskim. Po zakończeniu wojny odwiedził mnie Mikołaj na wsi w Wielkopolsce, gdzie otrzymał pierwszą posadę w szkole podstawowej. I będzie to ostatnie nasze spotkanie. Średni brat Bazyli, mój rówieśnik, został na początku wiosny 1941 r. powołany do służby w Armii Czerwonej. Brał udział w walce i dostał się do niewoli niemieckiej. W jesieni 1941 r. z niewoli uciekł i wrócił do domu. Pracował na roli, początkowo trzymał się z dala od wszystkiego, za namową Żuja pełnił wreszcie funkcję soltysa. W lipcu 1944 r. został zmobilizowany. Służy w Armii Czerwonej. Listy przychodzą rzadko.

Pocałowaliśmy się z Wikencjuszem i już resztę dnia spędziłem w jego towarzystwie.

Przemówienie Mikołajonka dobiegało końca. Trzej czerwonoarmiści obsługujący linie telefoniczne oddali trzykrotną salwę w powietrze i tak się mityng zakończył.

— Niech żyją inwalidzi Wielkiej Wojny Ojczyźnianej! — czyjs męski głos rozległ się w tłumie. I tłum, w którym przewały dziecięce głosiki, wrzasnął:

— Hura!!!

Był to okrzyk na moją i Wikencjusza cześć.

Tłum zaczął się rozchodzić. Podszedłem do nauczycielek. Przywitałem się. Rozpoczęła się zwykła w takich wypadkach rozmowa. Usłyszałem kilka komplementów, że nie się nie zmieniał, że dobrze wyglądam. Pytano, czy zamierzam nadal pracować jako nauczyciel. Podeszła do mnie i ta nauczycielka, której nie mogłem początkowo rozpoznać. Niewiele różniła się od starszych uczennic dygnawszy zapytała, czy ją poznaję. Była to moja uczennica z Łużek Janina Morozówna. Pochodziła właściwie z naszej gminy, ale w czasie okupacji uczyla się w Łużkach, gdyż miała tam ciocię.

Nieco dłużej porozmawiałem z najstarszą nauczycielką — panią Winiańską. Pozostała ona jedną nauczycielką spośród licznego grona polskich nauczycieli uczących w Hermanowiczach. Szkoła była polska i zdecydowana większość nauczycieli pochodziła z Polski centralnej. Już niektórzy nauczyciele, przeżywając wojnę, nie stawili się do pracy w dniu 1 września 1939 r. Tak na przykład uczynił Ludwik Zych. Miał tu nawet narzeczoną, ale nie przyjechał. Dopiął jednak celu — po wojnie odszuka ją i się ożeni. Potem przez wiele lat razem uczyć będziemy w Krotoszynie. Nauczyciele, którzy służyli w Wojsku Polskim, a byli to najczęściej oficerowie rezerwy, zostali przez NKWD aresztowani, a ich rodziny wywiezione. Taki los spotkał Kazimierza Gondę, kierownika szkoły w Hermanowiczach, młodego nauczyciela Cichego, również z Hermanowicz, Terleckiego — kierownika szkoły w Szkunicach i innych, których zapamiętać nie zdołam. Inni nauczyciele, pochodzący z Polski centralnej lub mający tam krewnych, po kryjomu uciekali do Generalnej Guberni, sądząc nawnie, że lepiej im będzie pod okupacją niemiecką. Tak na przykład uczynił Olińferko ożeniony z Wardalówną z Tarnowa. Pochodzący z Kresów znał Olińferko język białoruski. Początkowo więc za władzy radzieckiej był kierownikiem szkoły, ale wkrótce został nim przysłany ze Wschodniej Białorusi Dubowski. Korzystając z przerwy noworocznej w nauce 1941 r. Olińferkowice uciekli z Hermanowicz. Przewodnik przeprowadził ich przez granicę niemiecko-radziecką pojedynczo. Pierwszego dnia granicę przekroczył on i szczęśliwie, drugiego dnia ona. Została jednak złapana przez straż graniczną. Siedziała w więzieniu, potem służyła w Armii Andersa. Gdy Niemcy zajęli Białoruś, Olińferko wrócił w swoje ojczyste strony. Dalsze ich losy nie są mi znane. Z polskich nauczycieli niemieckiej okupacji oczekali się tylko Winiańscy i Stanisław Hybala. Ten ostatni jako rdzenny Polak z Krakowa miał być wywieziony na roboty do Niemiec. Dzięki jednak znajomym w Głębokiem udało mu się uzyskać posadę rachmistrza w Podolszczyźnie, majątku hrabiego Szryrny, z którego Niemcy uczynili swój majątek rolny przysyłając jako zarządców Holendrów noszących zielone mundury. Gdy rozwinęła się partyzantka, Hybala przeniesiony został do Szarkowszczyzny, gdzie sprawował już funkcję głównego buchaltera nad wszystkimi majątkami niemieckimi w powiecie. Ponieważ w majątkach tych ludzie rozkradali mienie i jego stan nie zgadzał się ze stanem w księgach, a to groziło aresztowaniem i poważnymi konsekwencjami, Hybala ratując siebie i innych uciekł do lasu i wstąpił do AK. Po wyzwoleniu Białorusi oddział ich został przez Armię Czerwoną rozbrojony, a jego żołnierze wywiezieni w głąb Rosji, gdzie pracowali w różnych

fabrykach. Do kraju wrócił w 1947 r. Spotkam się z moim pierwszym nauczycielem po blisko trzydziestu latach.

Od pani Winiawskiej dowiedziałem się, że mąż jej, Jarosław żyje i służy w Armii Czerwonej. Wojnę przeżył i z żoną przyjechał do Polski. Zamieszkali w Pasleku.

Nie tylko nauczyciele, ale w ogóle każdy polski przedwojenny inteligent uznawany był przez NKWD za wroga nowego ustroju i pod najmniejszym pretekstem wsadzany od więzienia. Aresztowani zostali Dziwulski i Ptak, którzy byli wojtami naszej gminy. Ten ostatni urządził swój sprawozdanie niecały miesiąc, gdyż wybrany został krótko przed wybuchem wojny. Aresztowany został Wróblewski, wieloletni pracownik naszej gminy. Uczyniono to samo z byłymi legionistami. W naszym miasteczku było ich trzech — Draus, odznaczony krzyżem Virtuti Militari pracujący jako urzędnik w gminie. Malinowski, stróż mostu w Hermanowiczach, stary i niepozorny człowieczyna i Ostropolski, restaurator. Ten ostatni krótko przed wojną wyprowadził się z naszego miasteczka i zamieszkał w sąsiednim powiecie. On i jego 17-letni syn zostali aresztowani przez NKWD. Żony z młodszy 16-letnim synem nie wywieziono jednak do Kazachstanu. Sam Ostropolski zmarł w więzieniu, był bowiem otyły i cierpiał na serce. Amnestionowany syn służył w Wojsku Polskim i zginął pod Lenino. Po przyjeździe Niemców młodszy syn wstąpił do czarnej policji. Był następnie agentem, a potem żołnierzem AK. Zginął już po wojnie w jakiejś potyczce z milicją radziecką. Stara matka sama wyjechała do Polski i zamieszkała w Olsztynie. Nawiaże kontakt z moją najstarszą siostrą.

Los legionistów podzielił i zawodowi podoficerowie. W naszym miasteczku co prawda był tylko jeden — komendant Strzelców Lemieszewski. Aresztowani zostali leśniczowie i niektórzy gajowci. Była już tu mowa o Ksawerym Bielinie i Karpie, szwagrze Waśki.

Krótko jednak pozwolono mi rozmawiać z nauczycielkami — podszedł do nas ów człowiek, co wzniosł okrzyk na naszą cześć i zabrał mnie. Był to Bronisław Gińko, kierownik i zarazem sprzedawca jedynego sklepu w Hermanowiczach — daleki mój szwagier, ożeniony był bowiem z moją cioteczną siostrą z linii ojca. Gińko wzięwszy mnie i Wikencjusza pod rękę powiedział:

— Historyczny dzień, trzeba go jak przystało uczcić — i poprowadził nas w stronę swego sklepu.

Wkrótce potem siedzieliśmy za stołem w małym pokoiku na zapleczu sklepu. Oprócz gospodarza i nas inwalidów za stołem znalazł się mój brat stryjczyń Leon, syn zabitego w czasie pierwszej wojny światowej Juliana, Solowiej i Jan Kotowicz.

Leon miał niewielkie gospodarstwo rolne. Głównym jednak zajęciem jego było dróźnictwo — naprawiał drogi i stawiał mosty. To samo robił w czasie okupacji. Jako fachowiec nie był wzięty na wojnę. W czasie okupacji miał łączność z polskimi partyzantami. Gdy przyjeżdżał do Polski i będzie pracował w nadlesnictwie łączności tej nie zerwie. Po kilku latach zrozumie swój błąd, ucieknie od towarzyszy do Gdańska i wstąpi do Partii. Umrze tragicznie przejechany przez samochód. Ciężko ranny powie żonie, że go byli Akowcy prześladowali i celowo przejechali, ponieważ się bali, że ich wyda. Niepotrzebnie. O jego przynależności do AK wiedziałem — skarżył się nieraz na swych byłych towarzyszy, ale wydawać ich nigdy nie miał zamiaru.

Solowiej przed wojną był sekretarzem w naszej gminie. Przeniesiony został do nas z innego miasteczka, gdzie się ożenił z Żydówką. Chcąc zerwać z tamtym środowiskiem, gdyż liczna rodzina żony nie uznawała tego związku, poprosił o przeniesienie. Tak się znalazł w Hermanowiczach. Miał dość liczną rodzinę — kilkoro dzieci, prawie same dziewczyski. Jako sekretarz pracował za władzy radzieck-

kiej i w czasie okupacji. Gdy władza przeniesiona została do Szarkowszczyzny, pozostał w Hermanowiczach i pracował jako zakrystian w naszym kościele. Nie miał wrogów i dlatego wraz z rodziną doczekał się końca wojny. Wyjechał do Polski. Spotkam się z nim po kilku latach, gdy przyjeździe odwiedzić znajomego lekarza, a przy okazji i mnie.

Los Żydów w Hermanowiczach, tak jak i w innych miasteczkach na Wilenszczyźnie, był tragiczny — uchowali się tylko nieliczni. Już w jesieni 1941 r. nasi Żydzi zostali wyprowadzeni do Szarkowszczyzny. Ten ponury widok oglądałem z okien szkoły. W Szarkowszczyźnie stworzono dla nich getto. W Hermanowiczach pozostawiono tylko dwie rodziny — braci Sosnowików, miejscowych aptekarzy. Los jednego z nich — Borysa — był tragiczny: on, jego żona i dwudziestoletni syn rozstrzelani zostali przez Niemców. Drugi z braci — Moska — uchowal się dzięki temu, że syn jego Munka wyprowadził całą rodzinę do lasu. Uchowal się również mój szkolny kolega Milner Aba i jego siostra Ada. Udało im się uciec do lasu w czasie likwidacji getta w Szarkowszczyźnie. Uciekli z getta i drugi mój kolega szkolny Dawid Rzeźnik. Był to naiwny i nieśmiały chłopak. Przyszedł do Hermanowicz i odwiedzając swoich znajomych przypadkowo spotkał swego kolegę szkolnego Wacława Rubnikowicza, przezywanego Kotem, wówczas policjanta niemieckiego, który (co zgrosło!) zastrzelił Dawidka. Spotka też Kota zasłużona kara, ale o tym w innym miejscu. Przy życiu pozostał również, tym razem dzięki NKWD, Aron Byk. Aresztowany został przez nieporozumienie — jako oficer polski. Arycyk, jak go nazywano, był młodym, energicznym i przedsiębiorczym Żydem. Przed wojną trudnił się rolnictwem, wydzierzał w obszarńnikó sady owocowe, pośredniczył w skupie świń. Przy władzy radzieckiej w 1940 r. został administracyjnym dyrektorem nowo powstałego szpitalika w Hermanowiczach. Jedyną przedwojenną organizacją, do której należeli nasi Żydzi, była Straż Ogniowa. W organizacji tej pełnił Arycyk ważną funkcję — obsługiwał motopompę i z tego tytułu na strażackiej czapce miał dwie gwiazdki. Zdjęcie strażaków, w mundurach i czapkach, gdzie w środku siedział Arycyk, wpadło w ręce pracowników NKWD. Dla nich był to niezbyt dowód — Arycyk był porucznikiem. Został aresztowany. O tym, że uznano go za oficera, dowiedziałem się od dyrektora szkoły Dubowskiego. Pamiętam jak rozśmiałem się — Arycyk bowiem, jako nadliczbowy, nie służył nawet w wojsku, na co Dubowski odpowiedział, że aby zostać oficerem u nich nie trzeba służyć w wojsku — wystarczy pełnić ważną funkcję, no chociażby w straży ogniowej. Zasada ta stosowana była i w Polsce, o czym ja, chociaż i obywatel polski, nie miałem pojęcia. Powiedział, że jestem naiwnikiem, że więcej wierzę plotkom, niż faktom. Prawdziwość tego faktu potwierdził sam Arycyk, gdy po wielu latach przypadkowo spotkam go we Wrocławiu sprzedającego jabłka na rynku.

— I trzeba było do tego się przyznać — mówił Arycyk.

Najciekawsze było to, że z więzienia jako porucznik skierowany został do Armii Andersa. Organizatorzy armii uwierzyli jednak w prawdziwość słów Arycyka i nie służył on ani w Armii Andersa, ani w Armii Kościuszkowskiej. W czasie gomulkowskiej nagonki na Żydów wyjechał do Izraela.

Duszą towarzystwa, jak zwykle, był Leon — żartował, zachęcał do picia, opowiadał śmieszne historyjki.

Nastroj był wesoły. Zasiępony siedział tylko Jan Kotowicz. Może przecezuwał swój tragiczny los? Był on szczerem. Poza tym był przed wojną i w czasie okupacji kościelnym. Miał dwóch synów — starszego Jana, imienia młodszego nie pamiętam, przezywanego go Guzem. Janek, mój i Anfima kolega, przed wojną pracował we wspomnianej

wyżej Spółdzielni Spożywców. W czasie okupacji pracował jako urzędnik w miejscowej gminie, potem w Szarkowszczyźnie. Janek zdezerterował. Uda mu się potem zbiec do Polski, następnie do Niemiec. Na stałe osiedlił się w Australii. Po wielu latach, dzięki Hybale, nawiązałem z nim kontakt. Młodszy należał do Związku Młodzieży Białoruskiej i nosił karabin niemiecki. Ukrwał się wraz z bratem, ale nie będzie miał szczęścia — zostanie schwytany, osądzony na 15 lat więzienia i umrze nie doczekawszy się amnestii. Ojca i matkę wywożą do Kazachstanu. Ojciec tam umrze, matka po śmierci Stalina wróci do Hermanowicz.

Po jakimś czasie, ni z tego, ni z owego, rozwinęła się dyskusja polityczna.

— A ja wam powiadam — mówił Leon — nikt z nas do Polski nie wyjdzie. Przecież zdecydowana większość zapisała się na wyjazd — cała ludność Szyszek, Szyłek, Krasowszczyzny, Bojar, Lipowa, większość ludności Białego Dworu, Dziwiewa, Stolicy, no i Hermanowicz. Stan taki obserwuje się w sąsiednich gminach — Łużkach, Pohoście, Zalesiu, Szarkowszczyźnie, Plissie i innych. Tak jest na całej Wileńszczyźnie. Te zapisy, to nie innego, tylko plebiscyt. Wypadł on na korzyść Polski. Jeszcze nigdzie na świecie większości nikt nie wywoził. Teraz trzeba się bic, nie z bronią w ręku naturalnie, tylko przez rząd na arenie międzynarodowej, o przyłączenie nas do Polski.

— Przez rząd, powiadasz — zaoponował Solowiej — przez który? Warszawski czy Londyński? Gdyby może nie było tego Warszawskiego, to można by było coś uzyskać, ale Warszawski — robi tak, jak mu Stalin nakazuje. Pisał mi z Wojska Polskiego mój brat: „U nas taka Polska, jak za Żużi była Białorus”.

— A ja wam powiadam — zabrał głos Gińko — Stalin to mądry wódz. Prawda, dała nam się władza sowiecka we znaki, ale to nie wina Stalina. To była robota Żydów. Teraz, kiedy Żydów nie ma, można żyć — nikogo niewinnego jeszcze nie posadzili, nikogo nie wywieźli, nawet zdezerterow me robią krzywdy. Dają tylko karne bataliony, a mają przecież prawo rozstrzelawać. I z religii się nie wysmiewają, zezwalają nawet nauczycielom i milicjantom chodzić do kościoła i cerkwi. Aż przyjemnie patrzeć, gdy za stołem przydialnym obok bolszewików siadają ksiądz i pop — tego nawet Polacy nie robili. I nie razi, gdy ksiądz z ambony zapowiada o zebraniach, przypomina o kontyngencie. A może i kolchozów nie będzie? Właściwie, to my tutaj w Hermanowiczach rządzący się sami: przewodniczący sełsiowietu — nasz człowiek, nauczycielki nasze. Co prawda Łarysa ze Wschodniej Białorusi, ale wyszła za naszego chłopca i ślub w kościele brała. Dyrektorem szkoły zostaniesz ty — zwrócił się do mnie. — Kierowniczką poczty jest Nina Rowdówna, ty, Leonie, jesteś głównym majstrem drogowym i dobrze mosty budujesz. Ty, Solowiej, jak i przed wojną — sekretarzujesz w sełsiowietach. Milicjantem jest Franek — syn naszego poczciwego kowala, Wódka cię, zagryzie też jest czym. No, powiedzcie, kiedy nam było tak dobrze?

— Ty zawsze widzisz świat w jaskrawych barwach — zabiera głos Kotowicz. — To tylko tymczasowa — wojenna polityka. Przyjdzie czas, będą sadzić i wywozić. I kościoły pozamykają, a nas wszystkich do kolchozów zapędzą i będą traktować jak bydło robocze wykonujące państwowe plany gospodarcze.

Ze likwidował Stalin obszarników i burżujów, to mu się tylko pochwała należy — ciągnął Solowiej — ale dlaczego likwidował bogatych chłopów, inteligencję, wywoził na Sybir i do Kazachstanu, tego do dziś zrozumieć nie mogę.

— Stalin sadzał nawet polskich komunistów — wtrącił Kotowicz. Nie było ich co prawda wielu. W naszej okolicy bodajże tylko dwóch — Chodanionek ze Stolicy i Szyran z Łużek. Imion nie pamiętam.

Pierwszego przeżył Wujkiem. Za przynależność do Partii Komunistycznej i działalność agitacyjną w Polsce sanacyjnej był trzykrotnie sądzony i przesiedlany łącznie w sławnej Berezie Kartuskiej przeszło 10 lat. Po przyłączeniu Wileńszczyzny do Związku Radzieckiego pełnił w Hermanowiczach początkowo funkcję woja, potem przewodniczącego sełsiowietu. Aresztowany rzekomo za małą aktywność w likwidowaniu obszarników i branie od nich łapówek — nie dowiemy się już nigdy, gdzie i kiedy zakończył życie.

Znane są natomiast losy drugiego komunisty — lekarza Szyrana z Łużek. Jeszcze jako student medycyny w Wilnie związał się Szyran z ruchem komunistycznym. Sądzony był dwukrotnie. Pierwszy raz otrzymał wyrok z zawieszeniem. Za drugim razem dostał trzy lata, ale przesiedlany niespełna rok, gdyż wypuszczony został na skutek amnestii. W październiku 1939 r. wybraliśmy go na deputowanego zjazdu, który uchwalił przyłączenie Zachodniej Białorusi i Ukrainy do Związku Radzieckiego. Początkowo był bardzo aktywny, jeździł po okolicznych miasteczkach i przemawiał, przemawiał... Wreszcie zamilkł i odsunął się od władzy. Został aresztowany przez NKWD w maju 1941 r. i siedział w Berezeczcu pod Głębokiem, gdzie za czasów polskich były koszały wojskowe, zamienione przez władzę radziecką na więzienie. Świadcem śmierci Szyrana był stryj Adolf. Wspomniana już wyżej córka Teci pracowała przed wojną jako nauczycielka w Haponach za Łużkami. Pracowała tamże i za władzy radzieckiej. Na wieść o napaści Niemiec w dniu 22 czerwca 1941 r. stryj zaprzęgił konia i pojechał po córkę. Gdy był już w Łużkach spotkał konwoj więźniów z Berezeczca prowadzonych przez NKWD na wschód. Stryj miał dobrego konia, zabrany więc został w podwozy. Towarzyszył konwojowi aż za Witebsk. Wrócił do domu po blisko dwa tygodniach. Opowiedział, że na własne oczy widział, jak Szyrana zastrzelił enkawudzysta, ponieważ ten, wyczerpany, nie mógł już iść dalej. Byli i inni w ten sposób załatwiani.

W tym miejscu warto wspomnieć o losach niedoszłych komunistów. Jednym z nich był mój wujeczny brat Atanazy Kosnoszek. Służąc w latach trzydziestych w wojsku polskim zetknął się z ideami komunizmu. Wróciwszy do domu gdzieś w 1935-36 roku uciekł do Związku Radzieckiego zostawiając krótką notatkę na stronnicach książki, co robi. I oto po wielu, wielu latach już po śmierci Stalina, Atanazy dał znać, że żyje. Otóż posądzony został o szpiegostwo, zesłany do Workuty, gdzie w kopalni węgla spędził najlepsze lata swojej młodości. Dwa — trzy lata przed wojną do Związku Radzieckiego uciekł Piotr Mamuc z Cieresch, wsi leżącej przy naszym miasteczku. Był uczniem trzeciej czy też czwartej klasy gimnazjalnej. Ponieważ ojciec Piotra był ubogim rolnikiem, kształcił się na koszt gminy. Sądziłszy, że po przyłączeniu Zachodniej Białorusi Mamuc wróci do rodziców lub co najmniej napisze. Otóż nie dał żadnego znaku o sobie nie tylko w latach 1939-41, ale i później. I trzeci wypadek: Tym razem legalnie trzy — cztery lata przed wojną do Związku Radzieckiego wyjechała Rachela Szubicz. Była sierotą i wychowywała się u dalekich krewnych dość zamożnych Żydów w naszym miasteczku. W latach trzydziestych odnaleźli się bliźni krewni, do których legalnie wyjechała. W 1940 r. dowiem się od jej bliźni szkolnej koleżanki Zeldy Byk, siostry Arona, że Rachela po roku poprosila kogoś o powrót do Polski i... znalazła się za kratami.

— Nie mogę również zrozumieć — ciągnął dalej Solowiej — sensu walki z religią. No, powiedzcie, co z tego czynią księża i popi? Religia potrzebna jest zwłaszcza dzieciom i starcom. Dzieciom — aby poznały, co jest dobro, a co zło. Nie zabijaj, nie kradnij, nie cudzołóż, nie kłam i miłuj bliźniego swego. Kto ich tego nauczy? Starcom — aby osłodził resztki życia, że człowiek, to nie tylko proch, w który się obróci, lecz i ta część myśląca co nie zginie po śmierci.

Zaczęła się wymiana zdań na tematy religijne. Wszyscy zgadzali się z Solowiejem, że religia jest ludziom potrzebna.

— Jednak wybór religii i wierzeń trzeba pozostawić człowiekowi — powiedział Leon.

— Wcale nie — odezwał się Kotowicz. — Polakom — wiara katolicka, ruskim — wiara prawosławna. Tak już ustanowiono prawie tysiąc lat temu i po co zmieniać?

— A Białorusinom? — odezwał się Ginko

— Żadnych tam Białorusinów nie ma. Wymyślił ich najpierw Polacy, aby car nie zrusyfikował chłopów, kiedyś byli pod jego zaborem, potem komuniści, aby szlachę zrusyfikować, wreszcie Hitler, aby całkowicie Polaków zniszczyć.

— A jednak i my na co dzień posługujemy się tym językiem — oponował Ginko.

— Jaki tam język! — zaperzył się Kotowicz. — Chłopska mowa i tyle! Co to za naród, skoro nie ma nawet własnej religii.

— Mówił mi mądry człowiek — zaczął Ginko — zresztą wy go dobrze znacie, ksiądz Klenowski, daleki nasz krewny, że religia taka była — unijacka. Tylko car ją zlikwidował.

— Niepotrzebne są spory i kłótnie. Gadajcie, co chcecie, a jednak naród białoruski jest. Nikt go nie wymyślał. On ma takie same prawa do istnienia, co Polacy i Rosjanie. Trzeba tylko taki ustrój wprowadzić, aby go Polak nie polonizował, a Rosjanie nie rusyfikował. I religię katolicką można głosić w języku białoruskim. Mają do tego prawo — zawyrokał Solowiej.

— Tacy, jak pan, zbalaucili mego syna, i co z tego wyszło! — zakrzykiwał Kotowicz.

Solowiej się oburzył. Mówić zaczęli wszyscy naraz. Leon tymczasem uspokajał Solowieja. Ginko zajął się Kotowiczem. Wreszcie przyszło do zgody. Na pojednanie Ginko przyniósł jeszcze jedną flaszkę.

Byli to ludzie 10—15 lat starsi ode mnie i Wikencjusza. Nie czuliśmy się zbyt dobrze, razili nas i dyskusja na tematy polityczne i religijne. Pod pretekstem, że jako ranny w brzuch, więcej pić nie mogę, podziękowałem Gincze za miłe popołudnie i opuściłem szumnie towarzystwo. Wraz ze mną wszedł i Wikencjusz.

Wyszliśmy na świeże powietrze. Wiatr uciął. Chmurki przerezedziły się i słonko świeciło jasno. Na rynku nie było nikogo. Miasteczko, a raczej jego ruiny, wyglądało jakbv wymarłe. Zewsząd sterczały wysokie kominy, gdyż większość budynków była spalona. Szkoła — były pałac Szzyrnia, okazałe domy, w których mieścił się posterunek policji, urząd gminy, remiza strażacka, plebania, dom katolicki, restauracja Olechnowicza, młyn — spalone zostały przez partyzantów, aby Niemcy nie mieli gdzie się zakwaterować. Dom Leona i trzy domy braci Fiedotowów spłonęły od zapalających kuli czarnego policjanta, który dobrze podpiity wystrzelił na zbiórkę i trafił w słomianą strzechę domu Leona, od którego zapaliły się inne domy. Wreszcie kilka domów spłonęło podczas bombardowania przez niemieckie samoloty w czasie wycofywania się z Białorusi. Małe nasze miasteczko, liczące przed wojną nieco ponad tysiąc mieszkańców, z czego prawie połowę stanowili Żydzi, było teraz prawie wyludnione.

— Wiesz, ta młodziutka nauczycielka bardzo mi się podoba — mówił Wikencjusz. — Może byśmy tak wstąpił do niej?

— Chętnie, tylko nie wiem, gdzie mieszka — odpowiedziałem.

Bardzo łatwo się dowiedzieć. Wystarczy zapytać pierwszego lepszego dzieciaka. Hej ty! — krzyknął na przebiegającego bosonogo chłopaka. — Powiedz no, gdzie mieszka Morozówna?

— U ciotki Agaty — była odpowiedź.

— No widzisz! Wstąpimy?

— Wstąpimy — zgodziłem się

Ciotka Agata mieszkała od 1942 r. samotnie. Męża jej bowiem, pełniąc funkcję milicjanta w okresie, gdy utrzymywała się władza radziecka w 1939 r., aresztowali i wywieźli Niemcy i po nim wszelki ślad zaginął. Podobną funkcję pełnił Andrzej Rowda, brat naszego sąsiada. On też był aresztowany i przepadł bez wieści. Miała Agata dwie młodziutkie córki, które w 1942 r. zostały wywiezione na roboty do Rzeszy. Po upływie pół roku odesłano starszą z powrotem do domu z powodu nieokreślonej choroby — miała bowiem, mimo swoich 18 lat, bardzo wysokie ciśnienie i wkrótce zmarła. Młodsza pracowała na roli u jakiegoś bauera. Po wojnie wyjechała za męża za syna swego gospodarza i matkę odwiedzi w kilka lat po śmierci Stalina.

Janezka Morozówna mieszkała teraz u ciotki Agaty. Na nasz widok lekko się zaróżowiła i zawstydzila. Nie spodziewała się naszej wizyty i dlatego ubrana była w jakąś bliżej nieokreślonego koloru i mocno podniszczoną sukienkę. Siedziała za stołem i przygotowywała się do lekcji.

— Uczę się właściwie razem z uczniami — tłumaczyła się — jestem od nich mądrzejsza tylko o jedną lekcję naprzód.

Jak się okazało, była nauczycielką języka rosyjskiego i oprócz tego prowadziła klasę drugą. Uczyła więc przedmiotu, którego w czasie okupacji nie uczono. Starala się rozmawiać z nami po białorusku, ale co chwila używała zwrotów rosyjskich. Na moją propozycję, aby rozmawiać po rosyjsku, chętnie się zgodziła. Okazało się jednak, że używa zwrotów i słów białoruskich. Po polsku również mówić nie umiała, była bowiem prawosławna, a do szkoły polskiej chodziła krótko.

— I tak ze mnie nauczycielka — westchnęła.

Ciotka Agata, która znała mnie i Wikencjusza od dziecka, poczęstowała nas herbatą.

Miała Morozówna starszego brata. Imienia nie pamiętam, widziałem go bodaj jeden — dwa razy w życiu. Od Janezki dowiedziałem się, że nie żyje. Był on kolegą młodszego syna Kotowicza, należał do Związku Młodzieży Białoruskiej i działał w Szarkowszczyźnie. Po wyzwoleniu Białorusi wrócił do wsi ojcowskiej, gdzie nikt o działalności jego nie wiedział. Zdezerterował. Schwytano go jednak i wysłano do batalionu karnego. W drugiej połowie stycznia 1945 r. umarł w szpitalu na skutek odniesionych ran.

Gdyby ktoś doniósł, że należał do tej organizacji, dostałby tych 10 lat, ale żyłby, a tak nie mam już brata.

Wyszliśmy od Agaty krótko przed zachodem słońca. Chciałem pożegnać się z Wikencjuszem, lecz ten namówił mnie, abym poszedł do niego.

Mam trochę samogonu i smaczną zasuszoną kiełbasę. Znajdzie się i jeszcze coś u mamy. Właściwie to my nie jedliśmy jeszcze obiadu. Zagryzła u Gienki była do niczego. Zresztą innej nie mógł postawić.

Zgodziłem się. Śliśmy na skróty — sięczkami i rowami. Przecho-dząc koło zagrody stryja Michała spotkał się z Bronią, żoną Władka. Stryj Michał zmarł, gdy służyliśmy w wojsku. Miał dwóch synów — Władka i Stanisława. Stanisław służył teraz w Wojsku Polskim. Władek ożeniony był jeszcze przed wojną. Służył w ułanach. Już w marcu 1939 r. został zmobilizowany i wysłany nad niemieckie granice gdzieś na Prusach Wschodnich. Lecz — co było dla nas wszystkich wielką, radosną niespodzianką — w połowie sierpnia wrócił do domu. Druga mobilizacja przeprowadzona w końcu sierpnia, nie objęła go. I tak Władek nie brał udziału w kampanii wrześniowej. Po aneksji wschodnich ziem Rzeczypospolitej siedział w domu. Z faktu tego był bardzo niezadowolony. Zaczął pić. Miał sporo kolegów. Najbliższymi byli: Wacław Kotowicz z Lipowa, Józef Chodkiewicz z Premian, Konstanty Ralkiewicz i Michał Fiedosi-

jew z Hermanowicz. Ten ostatni był starowicem. I oto ich wszystkich, gdzieś w lutym 1940 r., w nocy, zwyczajem NKWD, aresztowano. Prawda, wszyscy służyli w wojsku, lecz nikt z nich nie miał wyższego stopnia niż kapral. Należeli jednak do Związku Rezerwistów i nosili odpowiednie umundurowanie. Ralkiewicz zaś pomagał Lemieszewskiemu w ćwiczeniu Strzelców.

Po kilku latach dowiem się, że aresztowani byli pod zarzutem organizowania tajnego związku do walki ze Związkiem Radzieckim, że Władek w tym celu już przed wybuchem wojny z granicy niemieckiej skierowany został na granicę wschodnią.

— I co najgorsze — stwierdzi Władek — do tego trzeba było się przyznać.

Po hitlerowskiej napaści na Związek Radziecki otrzymali amnestię, służyli w Armii Andersa. Władek z Fiedosiejewem brali udział w bitwie pod Monte Casino. Do kraju wrócą tylko żonaci — Władek i Ralkiewicz.

Były także w Hermanowiczach przykłady aresztowań, które wywoływały zdumienie.

Oto najciekawsze. Typowym rozbijaką i chuliganem w Hermanowiczach był Justyn Świątógór. Był silny, zادیorny, często się upijał i urządzał awantury w miasteczku, kończąc się tym, że go musiała policja wśwadczać do aresztu. Był żonaty i miał sporą gromadkę dzieci. Po pijanemu i na trzeźwo wyzywał żonę wulgarnymi wyrazami i nieraz ją bił, że musiała nocować u sąsiadów. Podejmował się każdej pracy i na trzeźwo pracował sumiennie i uczciwie. Kiedy nie miał pracy, szedł do restauracji Kunciewicz czy Olechnowicza. Przysiadł się do pijących. Jeżeli dali mu wypić, nie robił krzywdy. Nie przyjęli do swego towarzystwa — wyzywał najgorszymi wyrazami i niekiedy wszczyniał bójkę, która kończyła się wezwaniem policji i zamknięciem Justyka, jak go nazywano, w areszcie. Zdarzały się i takie wypadki, kiedy ktoś mający do kogoś urazę stawiał Justykowi wódkę i polecał zbić wskazanego osobnika. Justyk zadanie wykonywał „uczciwie”. Ale bywało i tak, że wypiwszy wódkę, podchodził do ofiary i ożminal.

Ten a ten postawił mi wódkę, abym dał ci w mordę. Nie uczynię tego, jeżeli mi postawisz.

Był on aresztowany przez NKWD a żona z dziećmi wywieziona do Kazachstanu. Ktoś mśsząc że za pobicie donosił nowej władzy, że był tajnym policjantem. Uwierzono! Była to oczywiście nieprawda. Amnestionowany służył w Armii Andersa. Po latach dowiem się od Władka, że spotkał Justyka po bitwie pod Monte Casino w stopniu sierżanta! Okazuje się, że i chuligan może być dobrym żołnierzem.

Innego typu chuliganem w naszym miasteczku był bratanek naszego kowala — Jan Anamcz popularny w całej okolicy pod przezwiskiem Mily. Na trzeźwo był normalnym człowiekiem. Wystarczyło jednak, aby popił, gdy go głowy przychodziły mu różne figle. Otwierał chlewiy i chlewiki wpuszczając kozy, owce lub świnię. Zamieniał gospodarzom konie i krowy. Spuszczał z uwięzi pśv. Pukał wieczorami do okien. Straszyl kobiety kolo cementarza. Pod oknem pewnego pobożnisia podnosił i opuszczał porwaną Żydowi kozę, która podnoszona beczła. Pobożnis zaczął głośno się modlić, podszedłszy wreszcie do okna zapytał: „Czego, pokutująca duszo, potrzebujesz?” Na to padła odpowiedź: „wódk!” Najwięcej pocił Żydom. Często za swe psoty przesiadywał w areszcie. Po przyłączeniu Wileńszczyzny do Związku Radzieckiego ożenił się i na czas jakiś uspokoił. Zapisał się nawet na wieczorowy kurs języka rosyjskiego, z którego jednak szybko zrezygnował. Po jakimś czasie zaczął znów pic. nie pocił już jednak, ale wywoływał często domowe awantury. Po przyściściu Niemców zaczął przesiadać wódkę. Bił ich, rabował, raz zgwałcił nawet młodą Żydówkę. Kiedy Żydzi wyprowadzeni

zostali do Szarkowszczyzny, nie uspokoił się — pil wódkę, ubliżał ludziom, wszczyniał kłótnie i bójki. Władczę w miasteczku sprawowała wówczas powołana przez Niemców czarna policja. Za chuliganstwo już nieraz siedział w areszcie. Kiedy pewnego razu do Hermanowicz przyjechała niemiecka żandarmeria, a Mily za nowy wyczyn chuligański dostał się do aresztu, ta postanowiła wymierzyć mu najwyższą karę. Przy zebranych mieszkańcach miasteczka publicznie został na rynku rozstrzelany.

Bronia, żona Władka, w męskich spodniach i długich butach, wyprzęgała konia. Dwoje umorusanych dzieci darło się w niebogłosy. Próbowala je uspokoić, lecz tylko nasze zjawienie powstrzymało wybuchy płaczu. Stały zasmarkane i przylgdały się przybyzszom.

— Dła was wojna się skończyła, dła mnie ona jeszcze trwa — powiedziała smutno. Zrozumieliśmy, co ma na myśli i pożegnawszy się posłizżyli dalej.

Szliśmy teraz omijając kolonie Ablama, Orlukiewiczza. Sieluków i Worobieja.

— Jak radzi sobie Worobie? — zapytałem Wikencjusza. — Czy są jakieś wieści o Miszce?

— Jakoś sobie radzi — odpowiedział zagadnięty — a o Miszce nic nie słychać.

Najhogatszym chłopem w Hermanowiczach przed wojną był właśnie Włodzimierz Worobie. Kulackiej gospodarki, jak ją nazywano, dorobił się własnymi rękami. Był nieślubnym dzieckiem wyrobniczy i od siódmego roku życia zarabiał musiał na własne utrzymanie. Początkowo jako pastuszek bydła, potem jako parobek u gospodarzy. Po ożenieniu się wyjechał z żoną do kopalni węgla kamiennego na Ukrainę. Tam urodziły mu się dzieci — dwóch synów i córka. Krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej nabył w Hermanowiczach nieduże gospodarstwo rolne, na którym osadził żonę z dziećmi, a sam wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie wrócił do Hermanowicz i u hrabiego Szryna wykupił leżące na uboczu grunty. Po komasacji okazało się, że ma przeszło 20-hektarowe gospodarstwo. Na kolonii, która teraz mijaliśmy, wybudował duży i piękny, chociaż drewniany dom oraz nowe budynki gospodarskie. Starszy syn jego Paweł próbował zalecać się do mojej najstarszej siostry. Jednak różnica wiar, gdyż Worobie był prawosławny i policjant Sochacki, stanęły mu na przeszkodzie. Nieszczęśliwa miłość wynęła go za ocean — śladem ojca wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie wkrótce dorobił się majątku. Córka wyszła za mąż za wspomnianego wyżej Stefana Kossaka, ojca Kostka. Najmłodszy syn Michał w dzieciństwie długo i ciężko chorował — na ospę i na nieinemedine i przez dłuższy czas leżał w gorsecie, aby nie mieć garba. Do szkoły chodził krótko, ukończył zaledwie 4 klasy. W wojsku ze względu na stan zdrowia nie służył. Nie należał również do żadnej organizacji. W 1940 r. ojca uznano za kulaka, syn zaś znalazł się za kratami. Pretekstem do aresztowania Miszki dla pracownika NKWD były drobne zjścice. Oto w dzień wyborów w miejscowym klubie odbywała się zabawa taneczna. Dobrze podchmielony Miszka poszedł na zabawę. W wejścia natknął się na drugiego podchmielonego. Z bliżej nie ustalonej przyczyny doszło do ostrej wymiany zdań i szarpaniny. Nieszczęście chciało, że w tym momencie wchodził na zabawę enkawudzysta. Zauważywszy Miszkę zabrał go i zamknął w miejscowym areszcie. Nazajutrz zjechał sąd. Poszkodowany złożył krótką relację: „Miszka był pijany, nadepnął mi na nogę, ja go odrąciłem, zaczęliśmy się wyzywać i to wszystko”. Sądził, że za to nie będzie żadnej kary. Ale gdzie tam! Enkawudzysta zrobił z tego faktu nie tyle jakie oskarżenie: syn kulaka upił się w dzień wyborów, mówił brzykie wyrazy w lokalu, gdzie wisiały portrety Lenina i Stalina, rozpoczął bójkę, chcąc rozpedzić kul-

turalnie bawiący się młodzież. Dostał Miszka trzy lata zesłania do obozu pracy. Miszka jednak wkrótce się odeszła. Oto krótko przed moim wyjazdem do Polski przyjdzie do mnie jego matka z prośbą, abym napisał podanie do Związku Patriotów Polskich w Moskwie o interwencję u władz, aby Miszkę wypuszczono z łagrów. Podanie napiszę, ale nie odniesie ono żadnego skutku — Miszka w łagrze przesiedzi do śmierci Stalina i wróci do Hermanowicz, gdy rodziców nie będzie już na świecie. Nie pożyje i on długo — wkrótce umrze na zapalenie płuc.

Za bojki na zabawach było kilka sądów. Nie było zwykłego wielkiego dochodzenia. Najczęściej obie strony dostawały obóz pracy — od jednego roku począwszy. Była to najniższa kara.

Trzy lata za dostal młody, ale żonaty już kowal z Nowosielców mający również nieduże gospodarstwo rolne. Oto będąc raz w miasteczku naszmiewał się z wozaków, którzy zmęczeni wracali po pracy. Każdy gospodarz w zależności od posiadanych hektarów i koni musiał wywieźć z lasu nad rzekę określoną ilość drzewa. Ten, kto koni nie miał, ściąć określoną ilość. Termin końcowej zwózki był dość odległy. Kowalów — nazywał się Rubnikowicz — otrzymał też swój przydział. Do zwózki nie spieszył się czekając na ocieplenie, trzymał bowiem w tym czasie dość silny mróz. Do wracających z lasu miał wyrzec mniej więcej tak:

— Glupcy, w taki mróz męczyć siebie i konie! Nie lepiej to poczekać na ocieplenie.

Śmiał się przy tym, że nie zarobił nawet na kwaterek wódki, aby się rozgrzać. Wyrzekł podobno i takie słowa jak:

Cieszyć się z władzy sowieckiej, która zmusza was do pracy niewolniczej.

Traf chciał, że słowa te słyszał przypadkowo przechodzący milicjant. Uznał to za antypaństwową agitację i Rubnikowicza zaarrestował. Nazajutrz osądzony został na trzy lata pracy w obozie. Dodać należy, że Rubnikowicz służył w wojsku i należał do Związku Rezerwy, co w oskarżeniu zostało odpowiednio naświetlone: pomagał wrogiemu aparatowi ucisku w ujarzmianiu pracujących mas.

Amnestionowany służył w Armii Andersa. Zginął pod Monte Cassino.

Odbył się w miasteczku naszym jeszcze jeden sąd, w wyniku którego trzy lata przymusowych robót dostał Tichon Smirnow — osiemnastoletni, początkujący chuligan. Oto w pewną sobotę wieczorem poszedł Tiszka, jak go nazywano, do zakładu fryzjerskiego. Prowadził go Żyd — uciekinier z Polski centralnej. Gdy wstawał Tiszka z krzesła fryzjerskiego, „wysockoły mu wróbel”. Nie dał jednak poznać po sobie, że się zawstydzil. Nie przeprosiwszy zebranych potrafną jeszcze nogą, „wypuszczając następne wróbelki”. Obrażeni klienci wezwali przechodzącego akurat milicjanta. Został aresztowany i nazajutrz osądzony. W oskarżeniu mówilo się między innymi o znieważeniu portretu wodza — w zakładzie bowiem wisiał wycięty z gazety portret Stalina.

Powoli zapadł zmrok. Wreszcie, minąwszy kolonię Worobieja, zauważyliśmy leżące w rowie człowieka. Był to Ginko. Spity prawie do nieprzytomności nie mógł już o własnych siłach iść dalej. Z trudem udało nam się go podnieść, a z jeszcze większym doprowadzić do domu. Z jego belkotu dowiedzieliśmy się, że po naszym odejściu przyszedł jeszcze Jurkiewicz, nasz organizator i Adolf Ananicz. Uczta zaczęła się od nowa. Ktoćwicz pobit Solowaja. Leon dostał po nosie, gdy rozdzielał bijących się, tak że mu krew pociekła.

— A wy gdzie byliście, że tak późno wracacie? — zapytał nas.

Powiedzieliśmy.

— U Morozówny powiedziałcie? Fajna dziewczuszka. Tomek, żeń się z Morozówną — ty nauczyciel i ona nauczycielka. Dobrana para.

Zostaniesz kierownikiem szkoły. Sprowadzimy księdza Klenowskiego. Ja będę kierownikiem wszystkich sklepów i będziemy najglówniejszymi.

— Morozówna — prawosławna, Tomek zaś katolik. Nie pasuje — zaoponował Wikencjusz.

— To nie ma nic do rzeczy. Matka Tomka, sam wiesz, też była prawosławna. Zresztą Klenowski zaprowadzi unię — tak jak to kiedyś było.

Wieczorny chłód otarzał Ginkę — łatwiej już było go prowadzić.

— Zapisałem do Polski — to prawda. Ale nie pojedę. Żył będę tu, gdzie żyli nasi ojcowie i dziadkowie. Wojna nauczyła Stalina, że trzeba szanować każdego człowieka i dać mu swobodę w myśleniu i mówieniu. Polak, Białorusin czy Moskal (tak nazywano na Wileńszczyźnie starowierów) żyli dawniej w zgodzie, niech więc nadal w zgodzie żyją. Jesteśmy przecież Słowianami i waśni między nami być nie powinno. Działo się w czasie tej wojny u nas niedobrze jeden służył Hitlerowi, drugi Stalinowi i najczęściej wbrew swojej woli. Ot, na przykład, ty, Wikencjusz, i twój brat Mikołaj. Ale koniec już wszystkiego. Będzie amnestia, zapamiętajcie moje słowa, dla wszystkich. Stalin — to mądry człowiek.

Byliśmy tymczasem już pod domem Ginki. Zaszczekał pies, na ganek wyszła żona Bronka, moja cioteczna siostra z linii ojca.

Uczciłem koniec wojny, żono, jak widzisz, nie byle z kim — z bohaterami Wojny Ojczyźnianej. Dobranoc, chłopcy! Niech żyje Stalin!

Gospodarstwo Krywki leżało pod lasem, ściślej przy zagajniku przylegającym do lasu. Przybycie nasze zasygnalizowały dwa duże psy. Nieliczna rodzina — stary ojciec, matka i niezamężna jeszcze córka zabierali się do spania — wszyscy byli zmęczeni po całodziennym trudzie, nazajutrz zaś trzeba było znowu wstac do roboty. Gospodarstwo przecież duże, a rąk do pracy mało. Przyjszcie nasze jednak wszystkich ożywiło. Zaraz zaskwierczała patelnia i po kwadransie jedliśmy już kolację. Tak jak obiecał Wikencjusz — na stole stała również butelka samogonu. Stary ojciec wypił za nasze zdrowie, potem jeszcze za koniec wojny, wspomnieli o Mikołaju i Bazyliu i zaraz się pożegnali. Uczyniła to samo matka. Siostra tymczasem przyrzędała dla nas posłanie w dużym pokoju.

Znałem doskonale ten pokój. To tutaj nie jeden raz tańczyliśmy w 1939 i 1940 roku. Zabawy te organizowali Mikołaj i Bazyli. Brał w nich zawsze udział Bronek Ławrynczuk, przyprowadzający Julcię, w której podkochiwał się skrycie Bazyli. Zakochany w Julci był i Janek Chodkiewicz. Nie obojętna oczywiście była Julcia i dla mnie. Przygrywał nam na harmonii Piotr Chodkiewicz, czasem również wórwał mu na skrzypkach jego brat Antoni. Było to bardzo przyjemne zabawy. Uczestniczyli w nich głównie dwie rodziny — Krywków i Chodkiewiczów.

Chodkiewiczze wywodzili się ze starej spolonizowanej szlachty białoruskiej. Dawniej całe Premiany stanowiły ich własność. W końcu jednak XIX wieku zadłużony dziadek obecnych Chodkiewiczów większą część swego majątku sprzedał chłopom, przeważnie starowierom. Resztę ziemi otrzymali dwaj jego synowie — starszy Jan i młodszy Andrzej. Niektórzy synowie Jana ożenili się przed wojną i gospodarstwo uległo rozdrobieniu. Synowie Andrzeja nie byli żonaci, gospodarstwo ich było dość duże i uznane zostało za kulackie.

Ile się zmieniło! Mikołaj i Bronka w Wojsku Polskim, Bazyli w Armii Czerwonej, Józek się ożenił, Julcia wyszła za mąż, Antek był w Armii Rodionowej, potem w partyzancie. Janek był czarnym policjantem. Wiadomo — uciekli z Niemcami. Czy żyje jeszcze? Starszy jego brat Sylwester był w B.K.A. i też uciekł. Piotr służy

w Armii Czerwonej. Antoninę Chodkiewiczównę, do której zalecał się Broniek, wywieziono do Niemiec. Ie zagadnień, ile tematów! Trzeba mieć talent Szolochowa, aby spisać dzieje małego naddzińskiego miasteczka i przyległych wsi. Wszyscy już dawno posnęli. Moje rozmyślenia zaś nie dawały mi zasnąć. W ogóle po długim ranieniu usypiałem z wielkim trudem i najdrobniejszy hałas budził mnie natychmiast.

Wtem zaszecekał pies. Zawtórował mu drugi. Ale bardzo krótko. Tak, że nikogo nie zdążyły obudzić. Po pewnym czasie do okna, przy którym spałem, ktoś zapukał w szybę. Wyjrzałem — na dworze stało trzech ludzi. Pсы lasily się, a więc nie byli to obcy. Obudzilem Wikencjusza. Był przerażony i nie mógł w pierwszej chwili wykrztusić żadnego słowa.

— To... widzisz... zapomniałem ci powiedzieć... to Bazyli. Ale ty przecież nie wydasz?

Drzwi do ganku zapomniano na noc zaryglować i gdy Wikencjusz kończył ostatnią frazę, Bazyli i jego towarzysze byli już w pokoju. Jeden z nich potknąwszy się o krzesło zaklął i po głosie poznałem Janka Chodkiewicza — czarnego policjanta.

— Kto u ciebie? — z przestraszem w głosie zapytał Bazyli.

— Ja, Tomek — odpowiedziałem.

Nastąpiła cisza, która wydała mi się bardzo długa.

— Słyszałem, że z wojny wróciłeś... — powoli cedził słowa Bazyli.

— Wróciłem — odpowiedziałem.

— Za przepierzeniem tymczasem już też nie spano. W białiznie wszedł ojciec.

— Chodźcie do spiżarni, tam sobie porozmawiacie — powiedział. Spiżarnia przylegała do kuchni. Zatkawszy jedynie małe okienko ojciec zaświecił lampę naftową.

Tak, byli to Bazyli i Jan Chodkiewicz. Trzecim był Józef Karpiński z Ciereszek — również czarny policjant. Ojciec Karpińskiego miał nędzne i lichę gospodarstwo rolne, chełpił się jednak swym szlachectwem pochodzeniem. Ubrani byli w stare lachmany, ale uzbrojeni w automaty. W drzwiach pokazały się w narzuconych na ramiona płaszczach rozroczbrane i przerażone kobiety.

— Z frontu uciekliście? — zapytałem pomyślawszy o Waśce Fiedotowie.

— Nie — padła krótka odpowiedź.

— Dezerterujecie?

— Też nie — mówił Chodkiewicz. — Jesteśmy żołnierzami AK.

— A z kim i o co walczycie?

— Na razie z nikim. Naszym wrogiem również jest ten, kto we wrześniu zadał nam cios w plecy. Stoimy z bronią u nogi. Na rozkaz rozpoczniemy walkę. Tu Polska była i Polska być musi. Jak trzeba będzie, to i ty, i Wikencjusz pomożecie.

— My inwalidzi — odpowiedziałem.

— Zostawcie politykę w spokoju — mówił ojciec. — Wypijcie sobie za spotkanie. Zagryźcie czym chata bogata — kielbaską i słoninką. Byliście przecież kolegami i przyjaciółmi. Bądźcie nimi nadal. Wojna się skończyła.

— Jak dla kogo — posępnie wyrzekł Karpiński.

— O ile mi wiadomo — wtrąciłem — to jeszcze niedawno zwalczałeś AK-owców. Na rozkaz Niemców aresztowałeś księdza Mosiulanisa (był prefektem w Hermanowiczach potem w czasie okupacji proboszczem w Łużkach), Michniewicza, Łopackiego i innych. Pundzisa zaś z Białego Dworu, jego żonę i dzieci rozstrzelaliście, a gospodarstwo spaliście.

— To nie nasza robota — mówił Karpiński. — Mosiulanisa i innych wydał folksdeutsch Witwicki, Pundziszosa zaś rozstrzelali i spalili Rodionowcy nie za przynależność do AK, bo o tym wiedział

nie mogli, lecz za udzielenie partyzantom schronienia. Przyłapano na gorącym uczynku — w stodole nocował cały oddział partyzantów.

— A co miał człowiek zrobić, gdy do niego przyszli uzbrojeni? — mówił ojciec.

— Służąc zewnętrznie w czarnej policji niemieckiej — ciągnął Karpiński — byliśmy z Jankiem jednocześnie AK-owcami — uprzedzaliśmy naszych zwierzchników o zamierzaniach wroga przez tajnych agentów, a także ich samych jeżeli wiedzieliśmy, że którzy z nich został wykryty.

Znałem taki przypadek. W Podolszczyźnie agentem AK był Wysocki. Uprzedzony przez któregoś z policjantów uciekł do lasu. Policjanci przyszli, nie znalazłszy winowajcy zgwałcili 16-letnią dorodną córeczkę i żonę, potem obie zostały rozstrzelane, a gospodarstwo spalone. Cudem udało się uciec jedynie 14-letniemu synowi.

— Byli i tacy policjanci — podjął Janek — którzy byli czerwonymi partyzantami. Takim był Zubko z Bojar i Rymczonek z Dzikiewa. Dlaczego akcja na batalion B.K.A. w Szarkowszczyźnie była udana? Proszę pomyśleć — maly oddział, złożony z dwudziestu kilku ludzi napadał na cały batalion! Akcja by się nie udała, gdyby nie było takich doradców, jak Zubko i Rymczonek.

— Batalion był nie uzbrojony i nie umundurowany — wtrąciłem.

— Właśnie, nie chodziło partyzantom o wybitcie żołnierzy B.K.A., byli to ludzie zniewoleni, ale o rozpedzenie ich do domu, zabicie ich dowódców, zabicie gestapowców, uwolnienie więźniów i pochwytnie tego nicponia Kota. I akcja się udała!

Akcja ta rzeczywiście nie miała sobie równych w okolicy. Fama ludzka głosiła, że czynu tego dokonał cały pułk partyzancki. I pomyśleć, że uczyniła to mała garstka śmialców.

— Polegli wówczas Sieluk i kilku było rannych — wtrącił Wikencjusz. — Ja w akcji bezpośredniego udziału nie brałem. Byłem w odwodzie zabezpieczając tyły.

— Czy to prawda, że Kota skazanego przez sąd polowy przywiązano do suchego drzewa, a pod nim rozpalono ognisko? — zapytał Wikencjusz.

— Nie blem przy tym — odpowiedział Wikencjusz — i potwierdzić tego nie mogę. Raczej była to plotka puszczona przez partyzantów, aby nastraszyć podobnych Kotowi nicponi.

Siedzieliśmy w spiżarni długo. W czasie rozmowy wyjaśniło się, że listy, które przychodziły do Bazylego rzekomo z Armii Czerwonej, pisał Bazyli w domu. Siostra zawoziła go do Polocka, Witebska lub do innych odległych miejscowości i wrzucała do skrzynki pocztowej. I list mający numer pocztu polowej nie mógł mieć i stempla z miejscowości. Wymyślonego numeru pocztu polowej nikt nie sprawdzał. Nikomu i do głowy nie przychodziło, że Bazyli dezerterował. Obiecałem moim kolegom, że o spotkaniu nie powiem nikomu i dotrzymałem słowa. AK-owcy poszli spać do stodoly, my z Wikencjuszem na swoje posłania.

I tak się zakończył mój pierwszy Dzień Zwycięstwa.

Przedstawieni AK-owcy nie rozwina w Hermanowiczach i w okolicy szerszej akcji. Jedynie we własnej obronie zabijają jednego milicjanta, zginie w jednej z potyczek i Jan Chlodkiewicz. Karpiński ucieknie do Polski, potem do Niemiec. Bazyli będzie schwytany i zasądzony na 20 lat, odsiedzi jednak niecałe 10 i wróci do Hermanowicz. Przedtem jednak, wwiązany miesięczny urlop, przyjedzie Mikołaj. Miał zamiar się ożenić, gdyż miał w Nowosielcach pannę i z żoną przyjechać do Polski. Będzie jednak aresztowany za dobrowolne wstąpienie do B.K.A. i osądzony na 10 lat. Po śmierci Stalina zrehabilitowany — w Wojsku Polskim bowiem za zasługi bojowe otrzymał Krzyż Walecznych — również wróci do Hermanowicz.

Rodzina Krywków — ojciec, matka i córka — wywieziona zostanie na zesłanie, gdzie starzy rodzice zakończą swe życie. Za udzielanie gościn i noclegów oraz ukrywanie AK-owców po 10 lat dostana córki Roczni. Ich ojciec i matka umrą na zesłaniu.

„Cioci Poli”, jak o tym pisali w swych listach żołnierze służący w Wojsku Polskim, Polacy z Wileńszczyzny nie doczekają się i wielu z nich wyjedzie do Polski. Wyjedzie i Gińko, porzuci jednak karierę handlową. Jego marzenie, aby ksiądz Klenowski był duszpasterzem naszej parafii, urzeczywistni brat mój Stach — do Róży bowiem, gdzie osiadł, pościaga swoich krewnych i znajomych, proboszczem zaś zostanie Klenowski.

A teraz spojrzmy na mapę Polski. Nie na tę dzisiejszą, lecz przedwojenną. Województwo wileńskie wysunięte było najdalej na północ. Powiat dzisiejsi odszukać łatwo — miasteczko Dżisna leży bowiem nad Dżwiną u ujścia do niej rzeki Dżisny. Nie znajdzie jednak Czytelnik Hermanowicz, nie znajdzie nawet na największych mapach, jakimi posługiwano się w szkołach. Leżą one niecałe 40 km na zachód od Dżisny również nad rzeką Dżisną o około 3 km na wschód od ujścia do niej Mniucy. Nie znajdzie Czytelnik i innych miasteczek naszego powiatu — Łużek, Prozorok, Porpliszca, Mosarza, Jazna i innych. Było ich w naszym powiecie ponad dziesięć.

To, co się działo w moim rodzinnym miasteczku i w pobliskich wsiach nie było odoobnione — wszędzie, gdzie na mocy układu Ribbentrop-Mołotow ziemie Polski znalazły się pod rządami ZSRR, a potem, po napadzie Hitlera pod rządami Rzeszy było podobnie, a często jeszcze gorzej.

Lublin 1981 r.

Teotyln Rott-Zebrowski

ALEKSANDER JUREWICZ

Kronika lidzka, 1986 (III część książki-poematu „Lida”)

Obłoki nad Lidą

Mamie

Obłoki nad Lidą, ciężkie
obłoki — jakby z ołowiu albo milczenia
Stracone z oczu tak jak to miasto
Już nie tu po nas, nie tutaj
nie ma — pamięć szamocze się
w ślepych zaułkach, wyblakłych
zdjęciach, tuinie domu...
(Że kiedyś tutaj Twoja młodość
Że kiedyś ja biegałem tutaj — — —)
Wszystko kruszeje jakby z popiołu.
Spomiędzy murów jęk się urywa
jak ciche łkanie tuż przed agonią —
to dzikie gęsi w ostatnim locie
albo ktoś rozgniółł jarzębinę?
I miasta nie ma, nawet się nie
śni — tylko obłoki, pierwsze
obłoki.

Dom się zapada

Dom się zapada, jak zorza
gaśnie. Mech łśni na dachu,
Komin się trząsć z wiecznego
zimna, i sucha studnia
z umarłym echem. Choć skrzypi
furtka nikt tu nie wchodzi.
Szczury na strych niepewne jutra.
A słońce wschodzi jakby bez
wiary, rzeka zarasta zatrutym
zielskiem. Dom umiera
naszą śmiercią —
jęcząc, pękając, resztkami
sił wbija się w ziemię.

Śliwki w ogrodzie pękają
z trzaskiem, furtka wciąż skrzypi
jakby wołała kogoś
z daleka; dom się zapada
na naszych oczach.

FUNDACJA

na Rzecz Pomocy Szkołom Polskim i
Placówkom Kulturalno-Oświatowym na
Terytorium ZSRR im. T. Goniowicza

Adres: ul. Kazimierza Wielkiego 9/80
20-611 Lublin, tel. 55-29-24

Konta Bankowe:

a) złotówkowe — BPH Kraków, II O/Lublin
nr 324207-433-132-3

b) dewizowa — NBP Oddział Ogrzewowy
(dolarowe US) Lublin, ul. Chopina 8
43010-47005-181-6787

WSPÓŁBRACIA Z KIESZÓW OCZEKUJĄ TWOJEJ POMOCY!

Fundacja wspiera
polskie szkolnictwo
i kulturę w ZSRR
poprzez:

- prenumeratę czasopism
- druk podręczników
- wydruk książek
- dostarczanie szkółom środków audio-wizualnych
- zapewnienie szkół we wszelkie inne pomoce
- stypendia
- kurse, spotkania, specjalistyczne poradnictwo
- organizowanie imprez itd.

Pokój dzieciństwa

Gdzieś tutaj były rozrzucone
klocki, szpulki po niciach
ulożone w pociąg, koń na biegunach
z wyrwaną grzywą, książka otwarta
na zdjęciu Stalina.

Tu stało radio, tutaj łóżeczko,
szczerbaty nocnik, kłon
za oknem coś opowiadał gdy wiatr
nieśmiało trącał o szybę.

Kot się wygrzewał na piecu
z dziadkiem, ojciec wciąż śpiewał
przy swej maszynie, skwierały
bliny tuż obok w kuchni...

Gdzieś tutaj, kiedyś, chyba
naprawdę, chyba niedawno...

Granica

Tego nie można ci zapamiętać
O tym nie będziesz umiał milczeć — — —
Walizka wraz z tobą wrasta
w ziemię. Kola pociągu toczą się
w miejscu nie mogąc minąć
Granicy. Zaorane pola, pojedyncze
drzewa w oddali — to już gdzieś tutaj,
może tam gdzie urywa się niebo, może
tam gdzie dym z niewidocznego ogniska,
może w innym pociągu,
może innego dnia...

Po co tam wracasz? Niczego tam
nie znajdziesz — mówili — Jablonie
w tamtym sadzie ścięto, zapomnij...
A tobie śpiewa łoskot tego
i tamtego pociągu trochę już inną pieśnią
i obok nikt nie płacze, znowu
musisz uczyć się tych kilku nazw
Grodno — Lida — Krupowo
Wieszysz w walizce glód nazwany
dzieciństwem, wieszysz strach że
naprawdę nikogo tam
nie ma, że tylko pusto i pusto,
tylko ten wiatr...

Powrót

Pamiętam?...

Na tym podwórku w to niebo patrząc

z zadartą głową „Gusi, gusi...” wołałem
nie wiedząc że za parę dni
też podążę ich szlakiem
Pamiętam?...

Wieczorne muczenie krów gnanych z łąk
przez głupiego Antoskę i ciepło
mleka kapiącego po brodzie
nocne szelesty myszy pod podłogą
i śpiew rwący się w dolinie
Pamiętam?...

Jak w starym śnie albo majakach
ten dom i jego sien
omaszyla gont dachu i umarła
studnię. Noga zapada się w jesienne
błoto i pani Malinowska wsparta
o łaskę stoi na ganku. Ciężkie krople
deszczu wiłają wygnańca, są jak niewyplakane
do tej pory łzy. Kamień wypływam
z gardła i rzucam
za siebie.
Pamiętam?

Zaspiewaj jeszcze nad tą wodą

W tej rzece kiedyś plawiono konie
Teraz już nawet księżyc w niej
nie łni. Zarasta zielskiem,
Gniją w niej liście. Dawno nikogo
tutaj nie było; Ważka na chwilę ale
już leci.
Dziewczyny kiedyś nad jej brzegiem...
Mężczyźni kiedyś nad tą wodą...
Nigdzie ich nie ma — Gdzieś poznikali
Albo pomarli Listów
nie piszą Nie przyjeżdżają.
Choć martwa plynie wciąż w czyichś
żylach. Woda odbija się w jakichś
oczach. I tylko brzegi błazną
jak ręce w mroku.

Ze snu w sen

Sen już się spełnia, ból już nie boli.
Babcia na progu tak bardzo krucha, chleb
trzyma w ręku i szklankę bimbru, nie zmyłam —
mówi — tej krwi z podłogi gdy
skaleczyłeś nogę w ogrodzie, wejdź już
do domu, nie byłeś tutaj przecież



Lida, odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza, 2 VII 1989. Fot. Mieczysław Chwojnicki.

tak dawno, już nie pamiętasz
chyba niczego...
Cień jakiś chowa się za szafą i jabłko
toczy się po stole, kubek z którego nie
zdążyłeś dopić, zegar zatrzymał się
na piątej, a popiół jeszcze ciepły w piecu.
To tutaj pierwszy raz uderzyło
serce, z pękniętego sufitu
osuwają się gwiazdy, stoisz na progu
dawnego pokoju i nie potrafisz
dalej przejść; może zblądziłeś nie pod
to niebo? to nie ten klangor wypędził
z domu? nie tutaj szedłeś? Znowu odrywasz
bandaż z tej rany, sen się nie goi,
ból się nie spełnia.

Jesien 1987

Aleksander Jurewicz

KRZYSZTOF WOŹNIAKOWSKI

Od Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego do Związku Polaków na Litwie

W latach międzywojennych mniejszość polska zamieszkująca ówczesną Litwę tzw. Kowieńską dysponowała kilkoma organizacjami, spośród których najczęściej wymieniana się towarzystwo oświatowe „Pochodnia”. Po utracie niepodległości przez Polskę i zmianie granic funkcjonował w Wilnie nieoficjalny Komitet Polski (XI 1939 — VII 1940). Wreszcie bezpośrednio po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej do pewnego stopnia reprezentacją interesów litewskich Polaków można nazwać wileński oddział Związku Patriotów Polskich. Z chwilą zakończenia działalności ZPP (10 VIII 1946) polska ludność Litewskiej SRR (jak zresztą i innych republik radzieckich) na 42 lata straciła możliwość zrzeszania się według kryteriów narodowych. W oczywisty sposób odbiło się to negatywnie na podtrzymywaniu rodzimej kultury. Sytuacja uległa zmianie dopiero w r. 1988, w momencie powstania Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie (SSKPL) po jedenastu miesiącach przeobrażonego w Związek Polaków na Litwie (ZPL) — niewątpliwie najbardziej dynamicznej z 10 aktualnie istniejących organizacji Polonii radzieckiej¹.

Polski ruch stowarzyszeniowy na Litwie był inicjatywą całkowicie spontaniczną i oddolną, nie jest jednak tajemnicą, iż byłby niemożliwy bez sprzyjającego klimatu „pierestrojki” wyrażającego się m.in. uchwałami XIX Ogólnozwiązkowej Konferencji Partynę KPZR, nową polsko-radziecką umową o współpracy naukowej i kulturalnej oraz — już na terenie republiki — uchwałą KC KPL dalszymu rozwijaniu aktywności społeczno-politycznej zamieszkujących na terenie Litewskiej SRR grup narodowych i lepszym zaspokajaniu ich słuszych interesów i wymagań w dziedzinie języka i kultu-

¹ Poza Litewską SRR działają (wg stanu z sierpnia 1989):

- Litewskiej SRR — Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie (Ryga)
— Ośrodek Kulturalno-Oświatowy Polaków „Promień” (Dnauwspilij)
- Łotewskiej SRR — Estońskie Towarzystwo Kultury Polskiej „Polonia” (Tallin)
- Białoruskiej SRR — Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. A. Mickiewicza (Grodno)
- Ukraińskiej SRR — Klub Miłośników Kultury Polskiej (Lida)
- Rosyjskiej FSRR — Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (Lwów)
— Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe na Ukrainie (Kiów)
— Klub Kulturalno-Oświatowy „Polonia” (Leningrad)
— Klub „Wisła” (Irkućk)

Poza irkućkim Klubem „Wisła” założonym w 1969 i będącym raczej klubem sympatyków Polski niż organizacją ściśle polonijną wszystkie pozostałe organizacje powstały w l. 1988-1989

ry². Ta ostatnia stwarzała teoretyczno-polityczne zaplecze do podjęcia działań, z czego nie omieszkało skorzystać. Powstała 11-osobowa grupa inicjatywna złożona głównie z dziennikarzy „Czerwonego „Sztandaru”, która w lokalu redakcji zorganizowała 5 V 1988 spotkanie przekształcone w zebranie założycielskie Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie. Omówiono projekt statutu i wyłoniono tymczasowy Zarząd Główny z dziennikarzem Janem Sienkiewiczem na czele³.

16 VI 1988 SSKPL zostało zarejestrowane przy Litewskim Funduszu Kultury, który jednocześnie zatwierdził jego statut. Paragraf 7 precyzował zestaw celów i zadań SSKPL, w tym najważniejsze:

1. krzewienie i popieranie języka i kultury polskiej, kształtowanie świadomości narodowej Polaków na Litwie;
2. prezentacja i szeroka popularyzacja osiągnięć Polaków na Litwie we wszystkich dziedzinach życia społecznego republiki;
3. zacieśnianie więzi kulturalnych z PRL;
4. wszechstronne zapoznanie Polaków na Litwie z życiem narodu polskiego, jego historią, kulturą, nauką;
5. przeciwstawianie się wszelkiego rodzaju nacjonalistycznym przesłanom, uprzedzeniom, stereotypom utrudniającym wzajemne zrozumienie i harmonijną współpracę między obywatelami republiki.

Pierwszym poważnym przedsięwzięciem tymczasowych władz SSKPL było zorganizowanie wraz z redakcją „Czerwonego Sztandaru” spotkania społeczności polskiej Wilenszczyzny w Domu Prasy w Wilnie 26 VII 1988. Sformułowano wtedy zestaw postulatów w sprawach narodowych mający charakter perspektywicznego programu działań Stowarzyszenia, a dotyczących m.in. stanu polskich przedszkoli i szkół, podręczników szkolnych, gwarancji dla polskich kandydatów na studia, tworzenia polskich instytucji i zespołów oświatowo-kulturalnych, zapewnienia językowski polskiemu gwarancji prawnych, wydawania czasopism i książek polskojęzycznych, odpowiedniej reprezentacji ludności polskiej w regionalnych i centralnych władzach i in.⁴

Od września 1988 rozpoczął się szybko postępujący proces tworzenia lokalnych ogniw Stowarzyszenia (kół i oddziałów). O ich aktywności informował „Czerwony Sztandar” w swojej specjalnej rubryce *Serwis informacyjny Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie*⁵.

Już w sierpniu władze SSKPL doprowadziły do skierowania na studia do Polski 18-osobowej grupy maturzystów. 16 X 1988 w ramach obchodów 190-lecia urodzin Mickiewicza zorganizowano wycieczkę śladami poety na trasie Wilno-Bieniakonie-Bolcieniki-Switez z udziałem ponad 1000 uczestników w 35 autobusach. Zorganizowano także cykl imprez muzycznych, literackich i teatralnych w dn. 16-17 XII 1988 a także publicznych wykładów doc. Jana Ciechanowicza *Wkład Polaków do kultury i nauki Litwy, Białorusi, Ukrainy i Rosji* (31 I – 4 IV 1989).

Osobna uwaga należy się pionierskiemu przedsięwzięciu w postaci I Zimowych Igrzysk Polaków na Litwie (Wojdaty, 27-29 I 1989) z udziałem reprezentantów Polonii litewskiej i ukraińskiej i Stanisławem Marusarzem jako gościem honorowym. Jednym z celów

² Tekst (przedruk z „Komunistas” 1988 nr 5): „Czerwony Sztandar” 1988 nr 184. Zleceńdowana większość cytowanych dokumentów i wypowiedzi publikowana była na łamach wilenskiego „Czerwonego Sztandaru” – organu KC Komunistycznej Partii Litwy, jedynego dziennika polskojęzycznego w ZSRR.

³ Sienkiewicz, *rozprawy* w: *Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie* m. *Litewskim Funduszu Kultury*, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 117.

⁴ Por. K. Marczyk, J. Sienkiewicz, *Wobec rodaków rozmowy. Ze spotkania społeczności polskiej w Domu Prasy*, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 205.

⁵ „Czerwony Sztandar” 1988 nr 233, 253, 254, 269, 283, 296 I 1989 nr 2, 31, 37, 39, 56.

Igrzysk było wyłonienie przedstawicielstwa na II Zimowe Igrzyska Polonijne (Zakopane, 18-26 II 1989), w których polscy sportowcy z ZSRR uczestniczyli po raz pierwszy.

Niespodziewanie Stowarzyszenie stało się stroną konfliktu polsko-litewskiego, którego źródłem a następnie rozstrządnikiem stały się bulwersujące społeczność mniejszościową publikacje prasowe z lat 1988-1989 powstałe głównie (choć nie wyłącznie) pod piórami aktywistów skupiającego Litwinów Wilenszczyzny stowarzyszenia „Vilnja” i niektórych działaczy „Sajudisu”, sprowadzające się do tego, że na Litwie nie ma Polaków lecz są tylko polonizowani Litwini, których winno się – również przy pomocy metod administracyjnych – przywrócić litewskości⁶. W tym kontekście zdecydowanie najgorzej ułożyły się relacje między SSKPL (i szerzej – całą społecznością polską) a zajmującą szczególnie ekstremistyczne stanowisko „Vilnią”, żądającą m.in. przymusowego rozszerzenia szkolnictwa litewskojęzycznego wśród nielitewskich mniejszości republiki. Można tu wręcz mówić o obustronnie często manifestowanej jawnej wrogości. Grupa inicjatywna organizującego się od czerwca 1988 „Sajudisu” uznając, że stosunek Polaków do litewskiego odrodzenia narodowego nie jest obojętny wystąpiła z inicjatywą spotkania i dyskusji. Po początkowych nieporozumieniach natury organizacyjnej pierwsze spotkanie „Sajudisu” i SSKPL odbyło się 17 VIII 1988, niestety skończyło się właściwie fiaskiem⁷.

Przedstawiciele SSKPL wzięli udział w konferencji organizacji narodowościowych LSSR rozpatrującej projekt *Ogólnego programu „Sajudisu”* (15 X 1988). Postanowiono poinformować Litewski Ruch na Rzecz Przebudowy o konieczności wcielenia w życie postulatów polskiej grupy narodowej. Delegacja polska zaproponowała też nową rozszerzoną wersję rozdziału *Ogólnego programu o narodowościach*, domagając się paritetu dla mniejszości o organizacjach państwowych, partyjnych i związkowych oraz zakazu poniżania godności, kultury i języka mniejszości. Z ramienia SSKPL delegatami na Zjazd Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy (Wilno, 22-23 X 1988) zostali pracownik naukowy Zygmunt Mackiewicz i frzer Stanisław Walukiewicz. O ile sędzić z opublikowanych po polsku i dostępnych pisańcem materiałów zjazdowych, forum „Sajudisu” w ogóle nie zareagowało na propozycje SSKPL, natomiast w programowym referacie Virgilijusa Cepaitisa ostro potępiono „Czerwony Sztandar”, zdaniem mówcy odpowiedzialny za pełen rezerwy stosunek Polaków do Ruchu⁸. Tym bardziej nie wpłynęło to na przełamanie dyktanda i – do dziś – udział Polaków w „Sajudisie” jest minimalny.

3 XI 1988 odbył się tzw. „okrągły stół” zespołu „Czerwonego Sztandaru” i kierownictwa SSKPL z członkami nowo wybranej Rady Sejmu Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy prof. Vytautasem Landsbergisem, ks. Vaclovasem Aliulise, pisarzem Virgilij-

⁶ Por.: J. Sienkiewicz, *Historia dokumentalna pewnej nagonki*, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 69. Niektóre ze szczególnie bulwersujących publikacji „Czerwony Sztandar” przedrukowywał w extenso (np. W. Martinkas: *Błąd przebieg naprawy* 1988 nr 242; I. Szuchelionis: *O co tu wreszcie*, 1989 nr 18; R. Swiderawicz: *Prawda, której nie można negować*, 1989 nr 51; M. Martinaitis, Z. Zinkiewiczis, A. Zalatorius: *Prawda powinna zatriumfować*, 1989 nr 55).

⁷ Spotkanie tym razem się odbyło: „Czerwony Sztandar” 1988 nr 188; J. Sienkiewicz, *W poszukiwaniu wspólnej platformy. Po spotkaniu społeczności polskiej z członkami Grupy Inicjatywnej Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy*, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 192; K. Sienius: *Jak i dlaczego poczułem się „litewcem”* (czyli pewne myśli odnośnie ostatniego zorganizowanego spotkania z Sajudisem (Ruch na Rzecz Przebudowy)), „Czerwony Sztandar” 1988 nr 196.

⁸ Pełne teksty propozycji w: *Spotkania, posłania, wnioski*, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 241.

⁹ Zob. zwł: *Mówią delegaci zjazdu*, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 245 (tekst przemówienia V. Cepaitisa w nr 247).

sem Ćepaitisem i prof. Bronisławem Kuzmickasem poświęcony zarzutom wobec gazety i polskim postulatam narodowościowym. Nie padła z ich ust odpowiedź, dlaczego nie było reakcji na propozycję SSKPL, natomiast ponownie zarzuty izolowania się Polaków. Zdaniem członków Rady nieuzasadnione były postulaty stałego procentowego udziału Polaków w zarządzaniu krajem i wśród studentów szkół wyższych, gdyż winny tu decydować osobiste predyspozycje i zdolności a nie narodowość. Sprzeciwili się też tworzeniu polskojęzycznych grup na uczelniach lotewskich do m.in. faktiem, że polscy Litwini też w PRL nie studiują po litewsku. Atak na „Czerwony Sztandar” został wyjaśniony faktem, że dziennik jest organem KC KPL i realizuje przede wszystkim jego linię polityczną. Nie wszystkie sygnalizowane przez stronę polską kwestie doczekały się odpowiedzi (jak np. sprawa retransmisji polskiej TV czy ewentualność polskich nabożeństw w Katedrze Wileńskiej) niemniej – na tle wcześniejszych doświadczeń – listopadowy „okraglvis stolis” zdawał się sygnalizować początek poważnych pertraktacji¹⁰.

Pojawiło się jednak nowe ognisko zapalne. Dnia 18 XI 1988 X Sesja Rady Najwyższej LSSR jedenastej kadencji podjęła decyzję o uzupełnieniu Konstytucji LSSR artykułem następującej treści:

„Językiem państwowym Litewskiej SRR jest język litewski. Litewska SRR zapewnia używanie języka litewskiego w działalności organów państwowych i społecznych, w sferze oświaty ludowej, kultury, nauki, produkcji, w innych instytucjach, przedsiębiorstwach i organizacjach. Państwo troszczy się o wszechstronny rozwój języka litewskiego i naukę języka litewskiego. Stwarza się warunki do rozwijania również innych używanych w Litewskiej SRR języków, do opanowywania języka rosyjskiego i wykorzystywania go jako środka obcowania międzynarodowości narodów ZSRR a równocześnie skierowała do publicznej dyskusji projekt dekretu Prezydium Rady Najwyższej LSSR o używaniu języka litewskiego i innych języków (zob.: „Czerwony Sztandar” 1988 nr 267).

Ościągający stosunek Stowarzyszenia do projektu dekretu Prezydium Rady Najwyższej LSSR wyraził opublikowany 10 XII 1988 dokument Zarządu Głównego Język państwowy a Polacy na Litwie. Wyrażono w nim wszechstronne poparcie dla konstytucyjnego upanostwienia języka litewskiego, zwracano wszakże uwagę, że projekt nie przewiduje stworzenia innym językom (w tym polskiemu) należytych warunków funkcjonowania i proponowano szczególne poprawki. Ich podstawowy sens zawierał się w postulowanym uzupełnieniu dekretu o następujący passus:

W regionie zamieszkałym przez znaczny odsetek Polaków (rejonu wileńskiego, szalczynińskiego, szweneńskiego, irakaiskiego, szwyrnickiego oraz poszczególne apłunki w innych rejonach republiki) na równi z państwowym językiem litewskim na mocy uchwał terenowych Rad Deputowanych Ludowych może być używany w różnych sferach życia język polski¹¹.

W niewiele później ogłoszonym artykule programowym prezes ZG SSKPL Jan Sienkiewicz starał się umieścić powyższy postulat w kontekście radzieckich doświadczeń lat dwudziestych i wcześniejszych trzydziestych¹².

Niestety, dekret Prezydium Rady Najwyższej LSSR o używaniu języka państwowego Litewskiej SRR z 25 I 1989 (znamienna różnica

tytułu w stosunku do pierwotnego projektu) nie uwzględniał żadnego z postulatów SSKPL a także bardzo znacznie ograniczał możliwość posługiwania się rosyjskim. Wszystkie przedsiębiorstwa, organizacje i instytucje zostały zobowiązane do przejścia w ciągu dwóch lat na język państwowy, wyłącznie w tym języku dopuszczano organizowanie zjazdów, narad i konferencji, zostały wskazane funkcje i stanowiska z obowiązującą znajomością języka litewskiego. Sprawy ludności nielitewskiej regulowane były w następujących sposób:

„Innojęzycznej ludności republiki na jej życzenie stwarza się odpowiednie warunki do organizacji dziecięcych instytucji przedszkolnych, lekcyj i szkół ogólnokształcących, przygotowania dla nich wychowawców i nauczycieli, wydawania książek i gazet w języku ojczystym, zakładania towarzystw języka i kultury, klubów, muzeów, teatrów, zespołów artystycznych.

W utworzonych dla innojęzycznej ludności dziecięcych placówkach przedszkolnych, szkołach i organizacjach kultury do prowadzenia biurowości wewnętrznej może być używany stosowny język („Czerwony Sztandar” 1989 nr 22).

Dokument spowodował jednak ogromne rozczarowanie i niezadowolone społeczności polskiej, która poczuła się dyskryminowana otrzymaniem zamiast upragnionych gwarancji prawnych jedynie mato konkretną obietnicę „stwarzania odpowiednich warunków” kultury i oświaty. W tej atmosferze doszło do zbliżenia między SSKPL a alternatywnym wobec „Sajudis”, powstałym 2 XI 1988 Socjalistycznym Ruchem na Rzecz Przebudowy na Litwie „Vienybė Jedinstvo-Jedność”, grupującym niemal wyłącznie nie-Litwinów (głównie Rosjan). Opowiadając się, podobnie jak „Sajudis” za reformami i przebudową, „Jedinstvo” odróżnia się w warstwie programowej mocnym akcentowaniem swego marksistowsko-leninowskiego charakteru, uznawaniem kierowniczej roli partii komunistycznej oraz deklarowaniem walki o demokratyzację stosunków narodowościowych w republice, przeciwko wszelkim nacjonalizmom. W praktyce ruch ten stał się mocno wewnętrznie zrozniczonym rzecznikiem nie-litewskiej ludności LSSR. Zbliżenie SSKPL i „Jedinstwa” nie miało charakteru oficjalnej współpracy czy koincydencji, wynikało raczej z podobieństwa sytuacji, w jakiej po 25 I 1989 znaleźli się litewscy Polacy i Rosjanie. Przez „Sajudis” zostało przyjęte zdecydowanie niechętnie i wpłynęło na pogorszenie i tak kiepskich stosunków z SSKPL, tym bardziej iż Polacy zaczęli współuczestniczyć w demonstracjach „Jedinstwa” przeciwko dekretowi Prezydium Rady Najwyższej LSSR.

Analizując sytuację pisał w lutym 1989 jeden z wybitnych działaczy Stowarzyszenia – pedagog Wacław Baranowski:

Uważam, że winniśmy uzmysłowić sobie, iż jesteśmy obywatelami Litwy. Losy, perspektywy rozwoju republiki są powiązane również z naszą postawą i naszym stosunkowaniem się do zachodzących obecnie zmian. Jak dotąd, powiedzmy szczerze, stosunek Polaków nie tylko Polaków, do tych spraw jest różny: jedni nadal zachowują passywność, inni są odpowiednio zaangażowani, jeszcze inni odczuwają pewien niepokój.

Bodajże najważniejszym powodem niepokoju jest Dekret „O używaniu języka państwowego”. Ze względu na jego lakoniczność, Polacy nie odczytali w tym dokumencie prawa dotyczącego mowy ojczystej, niestety, komentarze do poszczególnych apłików, nawet owych kompetentnych, nie przekonują, jako że odczytywane są między wierszami i nie są uduktowane prawnie. Właśnie dlatego społeczeństwo odbiera je jako rozważania prywatne. Sam fakt tak gęstych komentarzy świadczy raczej o tym, że Dekret nie jest jasno i jednoznacznie sformułowany. Moim zdaniem powinien się ukazać oddzielny dekret o używaniu innych języków. Rzeczowa i rozsądna treść takiego w dużej mierze rozczładowałaby atmosferę napięcia i nieufności.

¹⁰ Wspólnie odnawiamy nasz dom rodzinny [1] Wstęp do dialogu [2] Szczera rozmowa. Spotkanie zrelacjonowali K. Adamowicz, J. Sienkiewicz, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 267.

¹¹ Tekst: Język państwowy a Polacy na Litwie. Propozycje Zarządu Głównego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie do projektu dekretu Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRR „O używaniu języka litewskiego i innych języków”, „Czerwony Sztandar” 1988 nr 285 (sąd cyt.).

¹² J. Sienkiewicz: Polonia radziecka – definicja, problemy i sposoby ich rozwiązywania, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 12.



Polacy z Niemenczyzna, 15 IX 1989. Fot. Mieczysław Chwojnicki

Czy ta nieufność pewnej grupy Polaków uwarunkowana jest tylko powyższym dokumentem?

Nie tylko. Początek działania Ruchu na Rzecz Przebudowy („Sajudis”) napawał nas nadzieją i optymizmem, niestety z powodu nieprzemyślnych wystąpień poszczególnych osób zaczęły się rodzić niepokoje i z troską [mowa o publikacjach prasowych odbieranych jako antypolskie]. Wydaje mi się jednak, że osoby te nie reprezentują zdania ani Ruchu na Rzecz Przebudowy, ani partii i rządu, ani też szerokich mas społeczeństwa. Jednak ich rozważania, powielane przez środki masowego przekazu, miały odpowiedni wpływ na opinię społeczną i bułnie się odebrali nie tylko Polacy. Dziś cel podobnych poczynań jest jasny — zasiał ziarno nieufności a może nawet odsunąć mniejszości narodowe od zachodzących procesów, co z kolei spowodowało wiele nieskoordynowanych działań, poszukiwanie własnych ścieżek, które nie prowadzą do wspólnego celu¹³.

Baranowski odnosił się negatywnie do dochodzenia racji drogą wiewowania i opowiadał się za kontynuowaniem dialogu ze stroną litewską, w tym z „Sajudisem”. Za dialogiem optowali również kręgi, które nie negują strat i krzywd doznanych przez Polaków uznawali, że i polska strona, w tym wysłzywane nie wprost ale czytelnie kierownictwo SSKPL, nie jest wolna od nacjonalistycznych uprzedzeń¹⁴.

Niestety, od marca i kwietnia 1989 nastąpił kolejny wzrost napięcia polsko-litewskiego ewidentnie zainicjowany nie przez stronę polską. Mowa przede wszystkim o kampanii przeciwko dziennikowi „Czerwony Sztandar”. M.in. wysunięte przez tzw. Radę Koordynacyjną Organizacji Młodzieżowych Litwy i grupę stowarzyszeń kulturalnych nie znajdujące potwierdzenia w materiałach oskarżenie polskojęzycznego dziennika o podjudzanie wrań narodowych, fałszowanie historii i wręcz działalność antyrządową oraz żądanie likwidacji gazety spowodowały konsolidację Polaków wokół gazety i wygaszali dopiero po skierowaniu obszernego listu-protestu na ręce I sekretarza KC KPL Algirdasa Brazauskasa, wystosowanego przez redakcję i biuro partyjne „Czerwonego Sztandaru”. Bulwersowała

również prowadzona w sposób wyjątkowo napastliwy i wypaczający fakty nagonka na jednego ze współzałożycieli i czołowych działaczy SSKPL — znanego z niechętnego stosunku do „Sajudis” doc. Jana Ciechanowicza, oskarżonego (jak wykazały badania komisji Ministerstwa Szkolnictwa LSSR — bezpodstawnie) o obrażenie w listopadzie 1988 litewskich uczuć narodowych i w efekcie w marcu 1989 zwolnionego z zajmowanego zaledwie od kilku miesięcy stanowiska prodziekana w Wileńskim Państwowym Instytucie Pedagogicznym pod pretekstem niewypelnienia obowiązków służbowych.

W takim pełnym napięć czasie SSKPL spotkało się z poparciem ze strony kierownictwa Komunistycznej Partii Litwy. 1 III 1989 przedstawiciele Stowarzyszenia zostali przyjęci przez I sekretarza KC Algirdasa Brazauskasa. W komunikacie prasowym czytamy: *Omówiono problemy społeczności polskiej w republice, sprawy Stowarzyszenia. Podkreślono konieczność powołania kompetentnej komisji do zbadania położenia Polaków na Litwie, tendencji i dynamiki rozwoju gospodarczego, społecznego i kulturalnego regionu, w którym ludność polska stanowi większość. Analiza taka miałaby posłużyć do opracowania konkretnego postępowania dla wyrównania poziomu rozwoju z przeciętną republiką, przyspieszenia awansu społecznego i kulturalnego Polaków na Litwie („Czerwony Sztandar” 1989 nr 52).*

Na spotkaniu omówiono sprawę potrzeby posiadania przez Stowarzyszenie własnego biuletynu informacyjnego, wydawania miesięcznika społeczno-kulturalnego, a także założenia ośrodka kulturalnego Polaków Wileńszczyzny.

Niewiele później I sekretarz Brazauskas po raz pierwszy w dziejach LSSR spotkał się — w ramach aktualnie toczącej kampanii przedwyborczej — z szeroką reprezentacją Polaków Wileńszczyzny w wileńskim Domu Prasy 11 III 1989. Wyowiedział wówczas publicznie od dawna oczekiwane od władz słowa, stanowiące odgad istoty argument SSKPL w sporach z oponentami:

Podzielać odczucie pewnej krzywdy, jakie mogło się rodzić wśród Polaków, gdy zaczęto upowszechniać teorię, że miejscowi Polacy to rzekomo spolonizowani Litwini. Nie możemy tej teorii tolerować. Ludność polską zamieszkałą na terytorium Litwy należy uważać za rdzenną, tak samo i litewską, Polaków i Litwinów od wieków łączyły wspólne losy: historia, kultura a nawet państwo („Czerwony Sztandar” 1989 nr 61).

Kampania sprawozdawczo-wyborcza mająca zgodnie ze statutem zamknąć roczny okres funkcjonowania tymczasowego Zarządu Głównego SSKPL i zarazem zakończyć na obecnym etapie proces kształtowania się terenowych struktur Stowarzyszenia nałożyła się na ważne w życiu całego Związku Radzieckiego wydarzenie. Były nim wybory deputowanych ludowych ZSRR (28 III 1989). Stowarzyszenie postanowiło włączyć się w ogólnokrajową kampanię i — w taktycznym sojuszu z „Jedinstwem” — głosić głównie Polaków i Rosjan przeprowadzilo z sukcesem wśród kandydatów z LSSR elekcję dwóch Polaków. W obu przypadkach sukces przyniosły dopiero kolejne tury głosowania: 9 IV 1989 w powiernym głosowaniu w Wileńskim Państwodzielnym Narodowościowo-Terytorialnym Okręgu Wyborczym nr 686 został wybrany doc. Jan Ciechanowicz, pracownik Katedry Filozofii Wileńskiego Państwowego Instytutu Pedagogicznego a 14 V 1989 w powiernym głosowaniu w Wileńskim Węjskim Narodowościowo-Terytorialnym Okręgu Wyborczym nr 230 wyłoniono Anietą Bradawskiego, dyrektora Wileńskiego Sowchozu-Technikum. Nie można, niestety, przemilczeć faktu, że przeciwko obu polskim kandydatom szowinistycznie nastawiona część społeczeństwa litewskiego prowadziła bezwzględna kampanię pomówień, zniesławień i dyskredytacji, jednym z jej elementów było np. wspomniane już usunięcie doc. Jana Ciechanow-

¹³ W. Baranowski: *Chcemy zacząć od rzeczowej rozmowy*. „Czerwony Sztandar” 1989 nr 44.

¹⁴ H. Osiński: *W imię sprawiedliwości*. „Czerwony Sztandar” 1989 nr 89. Podobne stanowisko zajmuje też konsekwentnie ogromnie zasłużona dla kultury polskiej na Litwie I. Rymowicz, kierowniczka i reżyser Polskiego Teatru Ludowego (listy prywatne do autora tego zskazu z l. 1968-1989).

wicza ze stanowiska prodziekana. Ciechanowiczowi przyszło zmierzyć się z jednym z liderów „Sajudisu” Virgilijusem Cepaitisem. W przypadku Ciechanowicza nie bez znaczenia był również jego indywidualny ale w pełni wyrażający idee SSKPL program wyborczy „pięciu S”: socjalizm — samorządność — samofinansowanie — sprawiedliwość — solidarność, zawierający m.in. w rozwinięciu tych hasła żądanie oficjalnej prawnej rehabilitacji Polonii radzieckiej, jako jednej z najeźdźcą doświadczonych ofiar stalinizmu, obrony wszystkich narodów i języków ZSRR oraz pełnej wolności religijnej. Pomyślny dla SSKPL wynik wyborów deputowanych ludowych (Ciechanowicz i Brodawski okazali się zresztą jedynymi Polakami na Zjeździe Deputowanych Ludowych ZSRR) stał się zarazem najbardziej efektywnym sukcesem Stowarzyszenia u schyłku pierwszego roku jego istnienia i bardzo poważnie wpłynął na przemiany, jakie nastąpiły na I Zjeździe.

Po jedenastu miesiącach działalności Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie zrzeszyło w szeregu ponad 12 000 członków — w tym w ponad 150 kołach (rejon wileński — 50, sowieckich — 50, Wilno — ponad 30, rejon trocki — 10, święcian — 10, szyrwimski — 2, Kowno — 1, rejon ignaliński — 1. Podsumowaniem tego okresu stał się I Zjazd SSKPL, obiadujący w wileńskim Replu kaniśm Pałacu Związków Zawodowych 15-16 V 1989. Wzięło w nim udział 736 (z 740 wybranych) delegatów oraz liczne grono zaproszonych gości, m.in. przedstawiciele nowo powstałych stowarzyszeń polonijnych Ukrainy, Białorusi, Łotwy, Estonii i Leningradu oraz zaproszeni reprezentanci Towarzystwa Łączności z Polonią „Polonia” a także Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy oraz Towarzystw Miłośników Wilna i Wileńszczyzny i in.¹⁴

Kluczowym momentem obrad stał się referat programowy Jana Sienkiewicza. Po krótkim scharakteryzowaniu niespełna rocznych dziejów i dokonani SSKPL prezes powiedział:

„Z miesiąca na miesiąc przekonywaliśmy się coraz bardziej, że kultura i oświata mają szansę funkcjonowania i rozwoju pod warunkiem, że zapewnią im prawa obywatelskie, zapewnią im sprawiedliwość społeczną. Statut, ułożony w maju ubiegłego roku nie odpowiada już temu, co się pojawiło w naszym życiu. Przed Zjazdem więc się dogadaliśmy go na nowo. Proponowane zmiany dotyczą podstawowych punktów.

Status organizacji. Uważamy, że zakładanie jednej organizacji społecznej przy innej organizacji — w naszym przypadku przy Litewskim Funduszu Kultury — jest reliktem z okresu stagnacji, oznaką braku zaufania. Nie widzimy też logiki w przebywaniu pod jednym dachem z naszym przeciwnikiem ideowym, którego celem — dowodzą jego mnożące się — jest zniszczenie nawet śladów polskości na Wileńszczyźnie. Mówię o Towarzystwie „Vilnija”.

Nazwa organizacji. Spokaliśmy się z zarzutami, nawet w środowisku naszych sympatyków, dlaczego się wracamy do spraw politycznych, jak i oświaty ostatnie wybory. Argument brzmiał: nie nam prawa w to się wtrącać, jesteśmy bowiem stowarzyszeniem społeczno-kulturalnym. Te dwa przymiotniki sztucznie zawężyły nam pole działania. Działalność gospodarcza. Do nowych należą również w Statucie [paragraf] przewidujący tworzenie wydzielonych struktur do prowadze-

nia działalności gospodarczej we wszystkich możliwych formach. Nie jesteśmy na dotacji, entuzjazm zaś ma to do siebie, że czasem wygasa. Aby być organizacją samodzielną, musimy na siebie zarobić. Uwzględniając powyższe proponuję na miejsce Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie przy Litewskim Funduszu Kultury powołać niezależny i samorządny, posiadający osobowość prawną Związek Polaków na Litwie oraz zwrócić się do Rządu Republiki Litewskiej o rejestrację prawnej Związku. Nasz zjazd stałby się jednocześnie zjazdem założycielskim Związku Polaków na Litwie”.

Propozycja została przyjęta owacyjnie i od tego momentu obrady przekształciły się w Zjazd Założycielski nowej organizacji. W dalszym ciągu swego przemówienia Jan Sienkiewicz wyraził zaniepokojenie narastającymi procesami podejrzenia i nieufności między Litwinami i Polakami. Zapewnił, że miejscowi Polacy uważają Litwę za swoją ojczyznę. Wyraził również poparcie dla głównego celu „Sajudisu” — dążenia do samostanowienia narodu litewskiego o własnym losie i państwie. Jednocześnie kolejny raz podniósł problem prawnych gwarancji dla języka polskiego i kwestię równoprawienia Polaków w dostępie do szkół wszystkich szczebli. Podniósł też zagadnienie stworzenia ogólnozwiązkowej, oświatowo-kulturalnej i społecznej organizacji Polaków w całym Związku Radzieckim. Na zakończenie wyraził przekonanie, iż wszystkie różnice i rozbieżności poglądów dotyczące kwestii polskiej winny być rozstrzygane wyłącznie „drogą prawną, drogą dialogu i wzajemnego szacunku me zaś administracyjnego nacisku czy wręcz lekceważenia racji innej strony”.

Burliwa dyskusja, w której w ciągu obu dni obrad wzięły udział 52 osoby w dużym stopniu toczyła się wokół kwestii tzw. 8%. Niemal powszechnie uznano, że jeśli Polacy stanowią około 8% ogólnej liczby ludności LSRR i wnoszą wkład w jej rozwój — winni otrzymać 8% części dochodu narodowego i w takim stopniu partycypować w całym życiu kulturalnym, oświatowym i gospodarczym, co jak dotąd ma miejsce w skali nieporównanie mniejszej. Podnoszono sprawy niebezpiecznego kurczenia się stanu posiadania szkolnictwa polskojęzycznego, braku polskiego ruchu wydawniczego, kadr nauczycielskich, polskiego duchowieństwa. Domagano się kultywowania pamięci żołnierzy wileńskiej AK, używania tradycyjnego polskiego nazewnictwa geograficznego, opieki nad polskimi zabytkami i pomnikami kultury.

Dwudniowe obrady zostały zakończone uchwaleniem poprawionej wersji statutu organizacji oraz wyborem nowych władz, w tym 15-osobowego Zarządu Głównego Związku Polaków na Litwie. Z jego składu wyłonili się 10-osobowe Prezydium z wybranym ponownie Janem Sienkiewiczem jako prezesem i adwokatem Czesławem Okliczychem — wiceprezesem.

Merytoryczne podsumowanie dyskusji przybrało postać bloku rezolucji, odczw i postan ostatecznie precyzujących stanowisko

¹⁴ Cyt. za artykułem Dziś silni słowem, jutro — czynem. I Zjazd Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie. „Czerwony Sztandar” 1989 nr 90. Władającym się niecałkowicie z przytoczonym z minimalnymi skrótami referatu J. Sienkiewicza. Ponieważ w momencie przygotowywania niniejszego szkicu integralna wersja uzupelnionego statutu nie została jeszcze opublikowana — cytowany fragment referatu jest podstawowym źródłem porównującym uchwaleń kierunek dokonanych przeobrażeń organizacyjnych. Wiceprezes Związku Polaków na Litwie Cz. Okliczycki następująco prezentuje kulisy zmiany profilu SSKPL.

¹⁵ Idea przeobrażenia organizacji zrodziła się na tam poluprywatnym spotkaniu z Janem „Sajudis”. Byłem z naszej strony ja i prezes Sienkiewicz, z ich m. in. Lendbergis i Bonczovs. Dali nam do zrozumienia, że my nie jesteśmy dla nich partnerami do rozmów. Mówili, wy od kulturalistów i teatryków, a my, jako ruch, jesteśmy z nimi ogromnie tacy. Nie wiemy na jakim poziomie z nimi rozmawiać. Wtedy zapadła decyzja, żeby być niezależnym, samorządnym związkiem. To i tak brzmi lepiej niż stowarzyszenie. (Skłóciłem bracia. „Prawo i Życie” 1989 nr 30).

¹⁶ Por. J. Ciechanowicz: Program pięciu S. Platforma wyborcza kandydata na deputowanego ludowego ZSRR. „Czerwony Sztandar” 1989 nr 62.

¹⁷ Autor szkicu brał udział w Zjeździe jako gość honorowy, stąd przedstawiona rekonstrukcja przebiegu obrad opiera się, poza materiałami drukowanymi, również na poczynionych wówczas na gorąco obserwacjach i notatkach.

Związku wobec węzłowych problemów mniejszości polskiej, Litwy Radzieckiej i ZSRR¹⁸. Grupę przyjętych dokumentów otwierało siedem rezolucji. Pierwsza *O transformowaniu SSKPL w Związek Polaków na Litwie* sankcjonowała formalnie podjętą przez akłamację decyzję delegatów. Rezolucja *O rozwoju społecznym, gospodarczym i kulturalnym Wileńszczyzny* wyrażała z troską o powodu wielostronnego zacofania regionu w stosunku do innych ziem litewskich, uznawała Wileńszczyznę za nieodłączną część ZSRR a jednocześnie dawała wyraz przeświadczeniu iż „optymalnym sposobem rozwiązania problemów Wileńszczyzny byłoby utworzenie tu polskiej narodowej formacji autonomicznej” i zwracała się do władz Litwy i ZSRR o „poparcie dla inicjatyw kilkunastu rad apilnkowych Wileńszczyzny, które uchwały nadanie sobie statusu narodowych KC polskich”. W kolejnej, zatytułowanej *O propozycjach na Plenum KC KPZR w kwestiach stosunków narodowościowych* popierano ideę tworzenia form autonomii narodowych mniejszości na terytoriach, gdzie stanowią znaczne skupiska, domagano się powołania komisji do spraw mniejszości narodowych na wszystkich szczeblach rad, uchwalenia ogólnozwiązkowej ustawy o językach mniejszości narodowych oraz zwracano się do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o „anulowanie ustaw przyjętych w latach 30-tych, które postawiły ludność polską poza prawem i stały się podstawą do masowych represji i ludobójstwa na narodzie polskim w ZSRR” i o rehabilitację wszystkich represjonowanych Polaków. Dokument *W sprawie projektu Konstytucji Litewskiej SRR* przynosił szereg szczegółowych postulatów wynikających z założenia iż „suwerenność narodowa należy się jednakowo każdej narodowości”. Rezolucja *O zabezpieczeniu potrzeb ludzi wierzących* apelowała o nieobrażanie uczuć narodowych wiernych, wskazywała na drastyczny brak na Litwie polskiego duchowieństwa oraz literatury religijnej w języku polskim a także zwracała się do władz kościelnych Litwy o stworzenie warunków do odprawiania w Katedrze Wileńskiej nabożeństw również w języku polskim. W dokumencie *O retransmisji Telewizji Polskiej i audycji polskich w Telewizji i Radu litewskich* apelowano o załatwienie przeciągającej się od dwóch lat sprawy retransmisji i przedłużenie czasu trwania polskojęzycznych audycji radiowych i telewizyjnych. Sformulowana w ostrej tonacji rezolucja *O roli środków masowego przekazu w kształtowaniu stosunków narodowościowych* zdecydowanie potępiała cykl publikacji czasopism „Kalba Vilnius”, „Tarybinis Mokytas” i „Literatura ir Menas” uznanych za oszczerce wypadki antypolskie oraz wyrażała niepokój, iż nikt w litewskim społeczeństwie nie zdobył się na ich potępienie. Stanowczo żądała zaprzestania akcji antypolskiej i apelowała o zaangażowanie się władz republiki w obronę gazety „Czerwony Sztandar”.

Zjazd uchwalił też *Posłanie (...) do rodaków w Polsce, do Polonii świata* niejako zgłaszające akces do „wspólnego polskiego stołu” i wyrażające myśl, że ponad wszystkimi podziałami winno pozostawać „poczucie przynależności narodowej, wspólnoty wiary, mowy i pamięci historycznej”. *Posłanie (...) do Narodu Litewskiego* aprobowало proces odrodzenia narodowego Litwinów, przypominało, że Polacy są też rdzenną ludnością republiki i konkludowało z nadzieją, że „brak wzajemnego zrozumienia, tolerancji i zaufania (...) jest przejściowy” a porozumienie nieuchronne. Szczególną wagę posiadała *Odezwa do Polaków na Litwie* wyzywająca do jedności narodowej i zgodnej pracy w historycznej chwili przemian oraz — na niewątpliwy wzór prawd Polaków w Niemczech z r. 1938 — proklamująca pięć prawd Polaków na Litwie:

1. Jesteśmy Polakami
 2. Litwa — Ojczyzna, Polska — Macierzą naszą
 3. Ziemia ojców — naszą ziemią
 4. Mowa i wiara dziadów — mową i wiarą wnuków
 5. Polak Polakowi i ludziom wszystkim — bratem
- Zebrani zostali też poinformowani, że z upoważnienia macierzystych organizacji obecnych na Zjeździe niekonstytuowała się „grupa robocza do spraw stworzenia ogólnozwiązkowego stowarzyszenia polskiego w ZSRR” i przygotowania przyszłego zjazdu Polaków ZSRR.

Mniej więcej od maja 1989 odnotować należy rozejście się dróg Związku i jego dotychczasowego faktycznego sojusznika — Socjalistycznego Ruchu na Rzecz Przebudowy na Litwie „Vienybė — Jedinstwo — Jedność”. Przyczyna leży w pogłębiających się wewnętrznych sprzecznościach „Jedinstwa”, w wyniku których na zjeździe tego ruchu (Wilno, 13-14 V 1989) doszło do przejścia władzy przez skupioną wokół W. Iwanowa orientację awanturniczą i stojącą na pozycjach szowinizmu rosyjskiego oraz antysemityzmu a w efekcie — wystąpienia z „Jedinstwa” grupy założycieli ze szczególnie przyjaznym Polakom dotychczasowym przywódcą prof. Iwanem Kuczerowem.

Między ZPL a „Sajudisem” nadal, niestety, trwa nieufność. Bezpośrednio po zakonczeniu Zjazdu Założycielskiego ZPL, członkowie Rady Sejmu „Sajudis” Bromus Kuzmickas i Virgilijus Cepaitis wystosowali do „Czerwonego Sztandaru” list krytycznie oceniający przebieg obrad, zarzucający uczestnikom nieumiejętność trzeźwej oceny własnej sytuacji i ustawiczne posługiwanie się straszeniem lituanizacji przy lekceważeniu rusyfikacji a także tendencje separatystyczne¹⁹. W czerwcu 1989 — jak informował w wywiadach



Jan Sienkiewicz (z lewej) — prezes Zarządu Głównego Związku Polaków na Litwie i doc. dr Jan Ciechanowicz — pracownik naukowy Wileńskiego Państwowego Instytutu Pedagogicznego. Fot. Mieczysław Chwojnicki.

¹⁸ Druk: *Rezolucje i Zjazd Związku Polaków na Litwie*. „Czerwony Sztandar” 1989 nr 138 (zale wszystkie cytaty: ob. rezolucje uchwalone 16 IV zostały opublikowane dopiero 14 VI 1989).

¹⁹ Odrzeczono: *społem czy oddzielnie? List do redakcji*. „Czerwony Sztandar” 1989 nr 101.

Czesław Okinczyc — przywódca Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy prof. Landsbergis miał przyznać, że „Sajudis” popełnił wobec Polaków wiele błędów i przyczynił się do odepchnięcia ich od siebie²⁰. Reorientacja dotychczasowego pełnego podejrzenia układu jednak nie nastąpiła ponieważ z nową siłą wybuchła cementująca istniejące podziały dyskusja o polskiej autonomii w LSRR; popartej, jak pisaliśmy wyżej, oficjalnie przez ZPL. Działania powyższe wywołały zaniepokojenie i sprzeciw strony litewskiej: od „Sajudisu” — poprzez oficjalne *Oświadczenie Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRR* (określające uchwały o proklamowaniu polskich apiliniek narodowych jako sprzeczne z Konstytucją LSRR i kompetencjami terenowych rad a tym samym nieważne) aż do potępienia przez I sekretarza KC KPL Algirdasa Brazauskę na XVIII Plenum KC partii.

Strona litewska, poczynając od przewodniczącego Komisji Liturgicznej Episkopatu a kończąc na konsultancie działu ideologicznego KC KRL uznawała koncepcję narodowo-terytorialnej autonomii polskiej za ideę antylitewską, konfrontacyjną, niezgodną z prawem i będącą próbą „oberwania Litwie kęsa” przy pomocy Moskwy. Strona polska interpretowała tę samą koncepcję jako skutek uporczywego braku reakcji władz litewskich na wielokrotne prośby, wnioski i petycje w sprawie gwarancji prawnych dla języka polskiego i podkreślała, że ewentualny Polski Narodowy Obwód Autonomiczny nie jest żadnym zagrożeniem dla integralności terytorium LSRR²¹. Swójśmiśm pendants do dyskusji stało się wystąpienie Jana Ciechanowicza na XII Sesji Rady Najwyższej LSRR 5 VII 1989:

Kiedy Moskwa próbuje rozstrzygać problemy Litwy bez wiedzy Litwinów, jesteście oburzeni i jest to sprawiedliwe. Kiedy natomiast próbuje rozstrzygać problemy Polaków litewskich nie pytając ich o zdanie, myślę, że nie jest to przyjemne dla Polaków litewskich (...). Działalce i przywódcy „Sajudisu” w Moskwie (...) popierali (...) dążenie do autonomii Krymskich Tatarów, Niemców Półwyspa, innych mniejszości narodowych innych republik. Dlaczego więc u siebie w domu ci sami działalce nie są w stanie wykazać takiej dobrej woli i zrozumienia dla swej mniejszości narodowej. Ta (...) podwójna moralność budzi u mnie obojętność pewnie wątpliwość²².

Niejąk w odpowiedzi uchwalona została *Odezwa Rady Najwyższej Litewskiej SRR do Polaków Litwy*, w której czytamy m.in.:

Rada Najwyższa Litewskiej SRR wyraża zdecydowaną opinię, że terytorium Litwy jest jednolite, niepodzielne i że odpowiada to dążeniom narodowym i historycznym a także woli większości mieszkańców Republiki. Wychodząc z tego założenia Rada Najwyższa Litewskiej SRR wzywa terenowe Rady Deputowanych Ludowych do odwołania powziętych przez nie uchwał o utworzeniu polskich apiliniek autonomicznych jako sprzecznych z Konstytucją Litewskiej SRR²³. *Odezwa* rozemocjonowała środowisko polskie w skali porównywalnej jedynie z wcześniejszą wymianą opinii o upaństwowieniu języku litewskiego.

Opublikowany 19 VII 1989 projekt ustawy *O narodowościach*

zamieszkałych w Litewskiej SRR²⁴ rozczarował zdecydowanie całą społeczność polską, co postanowiono zmanifestować publicznie. Związek Polaków na Litwie czynnie włączył się w ogólnorepublikańskie żałobne obchody 50-lecia paktu Ribbentrop-Mołotow (współpracując w tym zakresie — co warto podkreślić — m.in. z „Sajudisem”). 22 VIII 1989 w wileńskim Parku Górnym odbył się wielotysięczny wiec, podczas którego wśród innych mówców zabrał również głos prezes ZG ZPL Jan Sienkiewicz. Następnego dnia, 23 VIII, miała miejsce tzw. akcja „Szlak Bałtycki” — żywy łańcuch ludzi mieszkających Litwy, Łotwy i Estonii na trasie Wilno-Tallin, przy udziale Polaków litewskich. Bezpośrednio po jej zakończeniu odbył się przy szosie Wilno-Ukmerge (Wilkomierz) wiec ZPL. Przyjęto na nim rezolucję krytykującą ogólnikowość projektu ustawy, będącej jak oceniono „przykładem braku odpowiedzialności i lekceważenia problemu ludności polskiej”. Szczegółowej merytorycznej krytyce poddał projekt działacz ZPL — członek Sądu Najwyższego LSRR Józef Tomaszewicz. Jego zdaniem dokument o narodowościach winien mieć charakter ustawy konstytucyjnej i kłaść zwłaszcza nacisk na „zakaz modyfikacji na wzór innej narodowości oryginalnych imion, geograficznych i innych nazw, mających korzenie w kulturze innej narodowości” oraz na zrównanie języka mniejszości z językiem państwowym w stosunkach oficjalnych na terenach zwarcie zamieszkiwanych przez mniejszość. Z upoważnienia Wileńskiego Oddziału Miejskiego ZPL Tomaszewicz wraz z innymi Polakami-prawnikami stworzył komisję do opracowania szczegółowych propozycji zmian projektu²⁵.

Sierpniowe wiec i trwające ciągle spory oraz dyskusje zamykają jednocześnie półroczny „hybrydyczny” okres w dziejach organizacji, w świetle prawa pozostającej wciąż niesamodzielnym SSKPL. Dopiero dnia 24 VIII 1989 (jak skrupulatnie odnotowano, o godz. 15.00) oficjalnie Rada Ministrów LSRR zarejestrowała Związek Polaków na Litwie z formalnoprawnego punktu widzenia otwierając tym samym nową fazę jego historii.

wrzesień 1989

Krzysztof Woźniakowski

²⁴ *Ustawa Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej „O narodowościach zamieszkałych w Litewskiej SRR”*. Projekt, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 191.

²⁵ R. Parylak: *Dzieln dzielnicy i publika przyznać: Z powodzenia zarząd Wileńskiego Miejskiego Oddziału Związku Polaków na Litwie*, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 203.

²⁰ *Skłonił bractwa... ju*.

²¹ Szczegółowa relacja z dyskusji „okrągłego stołu” na temat autonomii, zob.: J. Podmorski, J. Ostrowski: *Stół okrągły i nieuprawniony obywatel. Rozmowa przy okrągłym stole: jaka autonomia jest nam potrzebna?*, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 152.

²² Wystąpienie deputowanego ludowego ZSRR J. Ciechanowicza na Sesji Rady Najwyższej Litewskiej SRR, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 157.

²³ *Odezwa Rady Najwyższej Litewskiej SRR do Polaków Litwy*, „Czerwony Sztandar” 1989 nr 159. Jak wynika z artykułu J. Rogoźnicza (*Jaka au onomia jest nam potrzebna?*), „Czerwony Sztandar” 1989 nr 165) podobna rezolucję przyjął także Sejm „Sajudisu”, która nie została jeszcze ogłoszona po polsku i nie jest w oryginale znana autorowi szkicu.

ROMUALD MIECZKOWSKI

W podwórzu u Mickiewicza

Nie wróci tu nigdy poeta
co z miastem cierpiał
i na obczyźnie je sławił
w jego domu martwa cisza
Zaulek Bernardyński
prowadzi donikąd —
po niedawnym pożarze
sąd jeszcze pozostał
cichną w nadpalonych murach
filomackie westchnienia

I nie zawzięta Grażyna
hardym wzrokiem
zatrzyma przechodnia —
a stara kobieta
w poszczerbionej bramie
z wyblakłym herbem
próbuję za pół darmo
sprzedać polne kwiaty

maj 87

Recepta na wiersz

Dać ścian bezdusznych
margines
pióro albo gwóźdź
wiarę lub niepewność
serca —

i wyrzucić klucz
przez okratowane okno

do zdziczałego ogrodu

22 września 87

* * *

Przygarniasz do siebie
Tatarów i Greków
gościnnie jesteś dla wszystkich

Czemu więc nie potrafisz
ustrzec swoich dzieci
co rozproszone po świecie
tęsknią
Ojczyzno

Wilno, 29 lipca 87

Romuald Mieczkowski



Wilno. Ołtarz w Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej

SELIM CHAZBIJEWICZ

TATARZY W POLSKIEJ LITERATURZE WILEŃSZCZYNIE

*Król Leński prosił u niego posiłków przeciw swym wrogom. Wskutek czego wysłał kilka tysięcy swego walecznego wojska, a kiedy otrzymali zwycięstwo, na prośbę króla pozostali w jego posiadłościach obcypani wszelkimi oznakami łask monarszych, jako to posiadłościami ziemskimi, pysznymi kaftanami i hogaciwami. Imię zaś tego króla, który był jakby podporą utrzymującyą islam w kraju giurów, jest Witold — pisał anonimowy autor, Tatar litewski, w *Traktacie o Tatarach polskich* sporządzonym w roku 1558 dla sultana Sulejmana Wspaniałego. Pierwszą zaś relację o pobycie Tatarów na Litwie dał kronikarz franciszkanin Łukasz Wąding w roku 1324 za panowania księcia Giedymina. Na Litwie też, w Trokach, urodził się Hładzy Gergy, twórca i pierwszy władca Chanatu Krymskiego.*

Tatarzy, którzy osiedli na Litwie za czasów Giedymina, rozplynęli się wśród ludności litewskiej. Zostali po nich ślady w litewskich i ruskich nazwiskach takich jak Akrazk, Berendje, Kierdej, Korsak.

Tatarzy osiedleni na Litwie za Wielkiego Księcia Witolda zachowali wszystkie prawa obywatelskie. Otrzymałszy ziemię i pozwolenie na małżeństwa z chrześcijanami zaczęli powoli wraść w litewską ziemię, a potomkowie ich, nie znający już innej ojczyzny, tę właśnie traktowali jak własną; pamięć o mistycznej Azji coraz bardziej stawała się li tylko metafizyczną nostalgią przekazywaną synom przez ojców wśród litewskich puszcz, pól, wsi i zascianków. Najstarsze zwarte osiedla tatarskie, których mieszkancy zachowali swoją narodową i religijną tożsamość, powstały w okolicach Troku, nad rzeką Wąką, gdzie znajduje się i gniazdo rodowe autora niniejszego szkicu.

Powoli zaczęli Tatarzy wtapiać się w pejzaż kulturowy Wielkiego Księstwa, zaczęli też krainie, w której z czasem powstawała mozaika kultur, wiar, ras i narodowości, a także języków i tożsamości, nadawać swojskie orientalny charakter, gdzie kopułki drewnianych meczetów sąsiadowały z podobnymi kopułkami kościołów, cerkwi, synagog, czy kiczyn. Stosunkowo nieliczni, lecz widoczni przez odmienną swą tradycję, religii i obyczajów, a także wyglądu zewnętrznego, stawali się zauważalni dla autorów piszących o ziemiach Wielkiego Księstwa, a i sami dawali też świadectwo swojemu istnieniu w nowej, coraz bardziej własnej ojczyźnie, próbowali wyrażać swoje oryginalne poczucie tożsamości.

Spotykamy ich we wzmiankach kronikarskich Jana Długosza, Macieja Miechowity, Marcina Kromera oraz w późniejszych, barokowych pamiętnikach, diariuszach, relacjach. Przewijają się przez dzieła Wacława Potockiego, Wespazjana Kochowskiego, mają swe miejsce w *Opisie obyczajów za panowania króla Augusta III* Jędrzeja Kitowicza. Pisze o nich w swojej kronice Marcin Bielski, zaś M. Strykowski w *Kronice polskiej, litewskiej, żmudzkiej i wszystkich Rusi... pisanej prozą i wierszem, która nigdy przedtem świata nie*

widziała, wydanej w Krakowie w 1582 roku, jedno z opowiadań tytułowe: *O porażeniu wojska krzyżackiego przez Polaków i Tatarów litewskich pod Niessową i Puckiem*.

W jednej z piosenki Jana Kochanowskiego mowa jest o zwycięskiej wyprawie kawalerii Rzeczypospolitej aż za Wolgę, podczas wojen polsko-moskiewskich za Stefana Batorego. W tym jednym tego rodzaju rajdzie w historii polsko-litewskiej kawalerii uczestniczyli iżnie litewscy Tatarzy w chorągwiach Krzysztofa Radziwiłła i Filona Kmity. Pozwól sobie zacytować ów fragment:

*Litewscy Tatarowie i Kozacy śmieli
Z Toropieckimi syny na tenże dzień mieli
Potrzebę nie bez krwi: ciż plac otrzymali
I z tej liczby niemało więźniów nawiazali.
Szmailla też przypomnę, który Tatarzyna
Szczęśniaka i drugiego bojarskiego syna
Tamże przywiódł do ciebie (Radziwiłł...)...*

W dobie tatarskiej byli też litewscy Tatarzy przedmiotem rzadkiej co prawda literatury antyislamicznej. W roku 1617 wychodzi w Wilnie dzieło jezuitę ukrywającego się pod pseudonimem Piotr Czciwoski zatytułowane *Afzurkan Tatarski prawdziwy na czterdzięści części podzielony, gdzie znajduje się wiele obelżywych treści i oskarżeń, m.in. oskarżenia o czary*. W odpowiedzi na te zarzuty Tatar litewski Jakub Azulewicz napisał *Apologię Tatarów*, zaginęła ona niestety podczas drugiej wojny światowej.

Gdy Rzeczpospolita chyliła się ku upadkowi, o jej niepodległość walczył również Tatarzy. Jako jedyni innowiercy uczestniczą w Konfederacji Barskiej, zaś 8 czerwca 1794 roku Tatar litewski, gen. Józef Bielak obejmuje dowództwo korpusu litewskiego armii Naczelnika Kościuszk.

Wiek dziewiętnasty, wiek romantyzmu, niewoli i nieustannej walki o Niepodległą Rzeczpospolitą, nie pominął zawirowaniem historii o litewsko-polskich Tatarów. Zauważyła ich też polska literatura. Znaleźli się już nie tylko na kartach kronik, wzmianek czy relacji historycznych, lecz trafiła do wierszy, poematów, powieści, gawęd literackich, stali się przedmiotem naukowych i popularizatorskich prac historycznych, etnograficznych, czy krajoznawczo-geograficznych. O Tatarach litewskich pisał Tadeusz Czacki w *Pomnikach historii i literatury polskiej* Kraków 1835, Tadeusz Narbutt w *Dziełach starożytnych narodu litewskiego*, tom I-IX, Wilno 1839, Józef Ignacy Kraszewski w pracy *Wilno od początków jego do roku 1750*, wydanie A. Zawadzkiego, Wilno 1840, J. Jaroszewicz w pracy *Obraz Litwy pod względem cywilizacyjnym od czasów najdawniejszych do końca wieku XVIII*, Wilno 1844—1845, t. 1—2. Sporo miejsca Tatarom litewsko-polskim poświęcił Józef Wolff w dziele heraldycznym *Kniaźstwo litewsko-ruscy*, Warszawa 1895, gdzie znalazł się rozdział *Kniaźstwo tatarskie*. Orientalista Antoni Muchliński wydaje w roku 1858, w tomie 6 „Teki Wilenskiej” *Zdanie sprawy o Tatarach litewskich*, pod tym tytułem publikując tłumaczenie *Traktatu o Tatarach litewskich*, które cytowałem na początku tego szkicu.

Wątki tatarskie znajdujemy u naszych trzech wieszczów, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, oraz u innych pisarzy romantycznych. Adam Mickiewicz, dzieciństwo i młodość spędzający w Nowogródzkiem i w Wilnie stykał się tam z kulturą i tradycją rodzimych, litewskich Tatarów. W Wilnie, na Łukiszkach, w okolicy meczetu i cmentarza tatarskiego, mizuru, spędzał nieraz chwile zadumy. Motywy tatarskie znajdujemy w *Panu Tadeuszu* (historia rodu Birbaszów), jak też w *Kursie literatur słowiańskich*.

Juliusz Słowacki zaś w poemacie *Beniowski*, w pieśni VII, pisze o Tatarach polsko-litewskich:

*Są to od dawna zagnieźdzone ptaki
W Litwie... lud prosty, lecz jeszcze oracza
Połota wschodnią trzyma się i znaki,
Które na twarzach rycerstwa wylacza,
Widome dotąd z wieńcułczego lica
Błyszczą jak krzywych mieczów błyskawica...*

Wątki tatarskie znalazły się w młodzieńczej powieści poetyckiej Zygmunta Krasniewskiego *Agaj Han*, piękny fragment dotyczący litewskich Tatarów zawiera *Pamiętniki kwatera* Ignacego Chodźki, reprezentujące popularny w romantyzmie gatunek gawędy literackiej. Znajdujemy też tematykę w *Pamiętnikach Soplicy* i w powieści historycznej *Widziko* Henryka Rzewuskiego. Paulina Wilkońska, żona Augusta Wilkońskiego, współtwórca cyganerii warszawskiej, w swoich *Pamiętnikach* pisze o Tatarze litewskim Janie Taraku Murzie Buczakim, autorze pierwszego przekładu *Koranu* na język polski.

Tatarzy litewscy, jak też Tatarzy w ogóle, wiele miejsca zajmują w twórczości Michała Czykowskiego, Sadyka Paszy, by wspomnieć *Dziwne życie Polaków i Polek*, czy powieści ukraińskie ze słynnym *Wernyhóra* na czele. Piszą i wzmiankują o Tatarach Teodor Tomasz Jeż, Józef Ignacy Kraszewski, Adolf Dygasinski (nowela *Bracia Tatarzy*). Fragmenty poświęcone litewskim Tatarom spotykamy w powieściach historycznych Kazimierza Przerwy Tetmajera oraz na kartach *Nieoty* Tadeusza Micńskiego, żonatego z Marią z Baranowskich, która pochodziła ze chrystianizowanej gałęzi starego tatarskiego rodu Tuhan Mirza Baranowskich. Wiele miejsca tatarskim osadom i samym Tatarom poświęcił w swojej 4-tomowej monografii *Powiat Oszmianski* (Petersburg, 1896-1900) Czesław Jankowski, późniejszy prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie, przyjaciel Tatarów litewskich.

Fragmenty dotyczące Tatarów w dziełach barda Wileńszczyzny Władysława Syrokomy są jakby uwiecznieniem ich litewsko-wileńskich dziejów, wpisaniem w literacki i kulturowy kanon Wileńszczyzny i Wilna.

Postać Aleksandra Hózman Mirzy Sulkiewicza, współzałożyciela PPS, bliskiego przyjaciela Marszałka Józefa Piłsudskiego, który poległ w 1916 roku jako żołnierz I Brygady, uwieczniona została przez Andrzeja Strugę w noweli *Na stacji*. W Sulkiewiczzu, litewskim Tatarze, przechowywującym przed rokiem 1914 nielegalną literaturę PPS w domu w Zaułku Mahometariskim, którego również Juliusz Kaden Bandrowski uczynił bohaterem swego *Spotkania*, łączy się trzy symbole stanowiące o istocie dwudziestowiecznej mitologii narodowej polsko-litewskich Tatarów: — Wilno, Kresy, Piłsudski, a on sam stanowi widomy symbol wtopienia się litewskich Tatarów w kresową polskość.

Dwudziestowieczność egzystywna i naukowe piśmiennictwo na temat litewskich Tatarów zapoczątkowała w 1924 r. praca Juliana Talko Hrynciewicza profesora *Uj Muslimowie*, czyli tak zwani *Tatarzy litewscy*. W okresie międzywojennym, w czasopiśmie naukowym, wydawanym przez Związek Kulturalno-Oświatowy Tatarów Rzeczypospolitej, prace na temat litewskich Tatarów publikowali między innymi: Tadeusz Strykiewicz-Korzon — *Szkic historyczny o Tatarach litewskich w Mińsku Litewskim i jego okolicach*, „Rocznik Tatarski”, Wilno 1932, t. I, oraz Stanisław Kryczyński, największy jak dotąd badacz dziejów litewskich Tatarów, który jako t. III tegoż „Rocznika Tatarskiego” wydał jedyną dotąd kompetentną i świetnie

napisaną monografię *Tatarzy litewscy — próba monografii historyczno-etnograficznej*. Wilno 1938, s. 1-318.

Po drugiej wojnie światowej Tatarami zajmują się Aleksander Dubiński, Jan Tyszkiewicz, Czesław Łapicz, Jacek Sobczak, Arkadiusz Kołodziejczyk, Stanisław Dumin, Ali Miskiewicz, oraz niezjący już badacze: Ananiasz Zajaczkowski i Jan Reychman, zaś egzystyję historyczną związaną z tym tematem uprawia Leszek Podhorodecki.

Trzeba też wspomnieć o Wiesławie Antonin Lasockim, który publikuje eseje i prace publicystyczne na emigracji; ostatnio nakładem Instytutu i Muzeum im. gen. Wł. Sikorskiego w Londynie ukazała się broszura pt. *Pod tatarskim huncikiem*.

Wilno zaś i Wileńszczyzna są dziś jak zdrowie, ile je trzeba cenić, ten tylko odgalił dość istotną rolę historyczno-polityczną, ale odcisnął swoje piętno na kształcie tego, co nazwać można kulturową ekologią.

Kultura Europy Środkowowschodniej, tak specyficzna i tak inna od reszty półwyspu Azji, jakim jest Europa, najbardziej żywą tkankę duchową zgromadziła w obszarze Międzymorza, na zwieleniu między Bałtykiem a Morzem Czarnym. W tej przestrzeni geograficznej i duchowej Tatarzy krymscy, budziacy, dobruzy, jak też i litewscy nie tylko odegrali dość istotną rolę historyczno-polityczną, ale odcisnęli swoje piętno na kształcie tego, co nazwać można kulturową ekologią.

Wzmianki o litewskich Tatarach pojawiają się w *Rodzinnej Europie* Czesława Miłozna, w jego esejach i relacjach wspomnieniowych o Wilnie, wzmianki takie są w powieści Tadeusza Konwickiego *Kronika wypadków miłosnych*, w prozie i poezji niezjącego już Macieja Józefa Kononowicza, pisarza z Nowogrodzkiego, sporadycznie pojawiają się też w publicystyce niezalczej.

Już Franciszek Mickiewicz, brat Adama, w swoich *Pamiętnikach* dał pewną wizję wileńsko-nowogrodzkiej kresowej codzienności i ukazał Tatarów litewskich w świetle mniej literacko odświeżnym. Codziennosc jest przedmiotem prozy jednego z największych polskich prozaików Józefa Mackiewicza. Tę codzienność wileńską, rzeczywistosc obnażoną do drastycznosci ukazuje Mackiewicz z pozycji „krajowca”, tj. na plan pierwszy wysuwa ziemie Wielkiego Księstwa i przywiązanie do niej. Przyjmuje punkt widzenia bliski narodom wydziedziczonym, Ukraincom, Kozakom doniskim i kubaniskim, Tatarom krymskim, astrachaniskim, narodom Kaukazu, Turkmenom. Litewscy Tatarzy przemyskają w tej mozaice przede wszystkim jako obserwatorzy, zagubieni, wyrwani ze swych gniazd, bezbronni życiowo i ideowo. Nie damo Józef Mackiewicz, na emigracji, w rubryce narodowosci pisal: Europa Wschodnia. Kultura Wielkiego Księstwa nie do pomyslenia byla bez kultury Międzymorza, bez kultury Besarabii, Krymu, ludów karpaccich, kultury ormianskiej, tureckiej, ruskiej i oczywiscie polskiej. Te tradycje kultur, wiar i ras tkwily w twórczosci Mackiewicza i niewykluczone, iz byl on prekursorem tworzącym się kulturowej formacji, formacji trójkąta: Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne. Wilno Mackiewicza jest Wilnem krajowca, Wilnem Tataru, Karaima, „bialego” Rosjanina, Litwina, Żyda, Polaka, traktującego nieraz swoja wileńskosc czy kresowosc jako podstawa opcj polityczną, swiatopogladowa, czy w skrajnych wypadkach etniczną.

Inaczej jest w *Rodzie Abacow*, czy w *Wilczych łapkach* Zbigniewa Zakiewicza, gdzie wiaty autobiograficzne autora pochodzenia tatarskiego spaltaja się z mistyczna nostalgia za utraconą kraja dziecinstwa, obie bowiem książki są pisane z pozycji narratora-dziecka, z tęsknotą za litewskim szlacheckim zasciankiem, za wioszczką

i majątkiem, który był kosmosem dziecięcej wyobraźni. Cichy, mały dworek gdzieś koło Mołodeczna czy Dowbuiszek, ten stracony i odzyskany mity, mit Polski gniazdownej i rodowej, jest układem odniesienia i skarbnicą wartości etycznych. Osobisty mit Zakiewicza jest też mitem pewnej formacji Polaków, w tym też Polaków z historycznego wyboru — Tatarów Rzeczypospolitej.

Sami litewscy Tatarzy, jak już wspomniałem, nie raz próbowali artykułować swoje istnienie, wyrażać swą samowiedzę. Populację litewsko-polskich Tatarów na początku jej zaistnienia w Wielkim Księstwie Litewskim, w Rzeczypospolitej, tworzyli przede wszystkim ludzie, których głównym i podstawowym zajęciem była wojna i to, co z wojną związane. Z czasem Tatarzy coraz bardziej wstapili w ziemię jako szlachta, rzemieślnicy i ogrodnicy w miastach. Warstwa ziemianńska coraz bardziej asymilowała się z otoczeniem. Wśród Tatarów litewskich dużo było drobnej szlachty zagrodowej, i właśnie z niej powstała w XIX wieku inteligencja mużmańsko-tatarska na Wileńszczyźnie. Przetwarzyli wśród niej reszki rodowej mitologii i hierarchii Złotej Ordy i one nie raz decydowały o roli jednostki w tej społeczności.

Ziemiańscy tatarscy więc i Tatarzy zagrodowi wiedli prym w życiu kulturalnym, świadomie nawiązywali do tradycji przodków, utrwalali ją, dawali jej wyraz w publikacjach, pracach naukowych i literackich, oni formułowali niejako w imieniu reszty współplemienców wykładnię świadomości etnicznej, samowiedzy społecznej, historyczno-politycznej, kulturowej.

Odszetek inteligencji wśród litewskich Tatarów w XIX w., zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku był bardzo duży. Większy niż wśród innych mniejszości narodowych na kresach. Bardzo często tradycje zawodowe stanowiły tradycje rodzinne, a zajęcia typowe dla inteligencji tamtych czasów przechodziły z ojca na syna. Wśród litewskich Tatarów przeważały zawody związane z konkretnym obszarem rzeczywistości, a więc prawników, lekarzy, inżynierów, zawodowych oficerów, absolwentów uniwersyteckich kierunków nauk ścisłych (matematyki, chemii, przyrodniczoświatowej).

Literatura (tworzona przez litewskich Tatarów to przede wszystkim esejystyka i publicystyka, jak również literatura naukowa, orientalistyczna. Stosunkowo mało było poezji i prozy artystycznej. Wzmiankowałem już o *Traktacie o Tatarach polskich* z roku 1558, oraz o *Apologii Tatarów* Jakuba Azulewicza z początków XVII wieku. W XIX wieku ukazuje się kolejne, tym razem pierwsze drukowane, dzieło polskiego Tataru. Jego pełny tytuł brzmi: *Wykład wiary mahometankiej czyli islamskiej wyjęty z części Koranu i przykazania Proroka Chadiśmiego zwanego i ułożony przez: Mahometanina Józefa z Konkirantów Subulewskiego. Szczęśliwego Granicznego Apelacynego Powiatu Nowogrodzkiego, Wilno 1830, s. 88.*

W roku 1858, w Warszawie, nakładem księgarni A. Nowoleckiego, wychodzi przekład *Koranu* na język polski, dokonany przez Tataro polsko-litewskiego z Podlasia, Jana Murza Tarak Buczackiego. Pracę nad przekładem zaczął ojciec Jana, Selim Tarak Murza Buczacki. Po śmierci ojca Jan dokończył dzieła oraz i on zmarł nie ukończywszy wszystkich prac edytorskich. Podjął się tego orientalista Władysław Kosiński, opatrzył tłumaczenie objaśnieniami, przekładem modlitw, szkicem Juliana Bartoszewicza o Arabach przed islamem, stosunkach Polaków z Tatarami i o dziejach Tatarów w Polsce.

Wydana w r. 1896 w Warszawie pośmiertnie przez Antoniego Krumana praca Macieja Tuhan Baranowskiego *Z notat i przekładów litewskiego Tataru* niezamierzenie narobiła trochę zamieszania w badaniach naukowych traktujących o polskich Tatarach, bowiem mitologia rodu Tuhan Baranowskich potraktowana została jako dokument badawczy.

Z początkiem dwudziestego wieku polsko-litewscy Tatarzy podjęli świadomą pracę nad sformułowaniem swojej ideowej tożsamości, rekonstrukcją i podtrzymaniem narodowych i historyczno-religijnych tradycji, dążąc do pogłębienia własnej kulturowej, społecznej i politycznej identyfikacji. Owa organizacyjna praca była przez przedstawicieli inteligencji tatarskiej traktowana nie raz w kategoriach mesjanizmu, niekiedy świadomie nawiązywano w tej materii do Mickiewicza.

W roku 1907 powstało w Petersburgu nielegalne Kolo Akademików Mużmalanów Polskich, zaś jego uczestnicy mieli za zadanie zbieranie i utrwalanie własnych tradycji etnicznych i religijnych. Po wybuchu niepodległości, w roku 1918, a właściwie już rok wcześniej, po rewolucji lutowej w Rosji, w 1917 roku, powstał Komitet Tatarów Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy. Stanowił on reprezentację narodową polskich i litewskich Tatarów. Staraniem Komitetu powstał w 1919 roku Pulk Jazdy Tatarskiej im. płk. Mustafy Achmatowicza, który uczestniczył w wojnie w 1920 roku, a jego oddziały jako pierwsze regularne jednostki Wojska Polskiego weszły do Kijowa. Komitet Tatarów Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy miał swoją siedzibę w Wilnie. Tam też, w roku 1926 powstały dwie organizacje Tatarów polskich, o zasięgu ogólnopolskim: Mużmański Związek Religijny w RP, na czele którego stał mufti, głowa wyznania mużmańskiego w Polsce (był nim dr orientalistyki i filozofii Jakub Szynkiewicz) i organizacja etniczna, Związek Kulturalno-Oświatowy Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej, na czele którego stała Rada Centralna z prezesem (w latach 1926-1938 był nim Olgierd Najman Mirza Kryczyński, były wiceminister sprawiedliwości Mużmańskiej Republiki Azerbejdżanu, istniejącej na fali wojny domowej w Rosji w latach 1918-1921).

Przez dwadzieścia lat Wilno było białym centrum religijnym, kulturalnym i społecznym polskich Tatarów. Mużmalanie-Tatarzy polscy czynnie też uczestniczyli w wileńskim ruchu kulturalnym. Jednym z organizatorów Uniwersytetu Stefana Batorego był prof. Stefan Bazarewski, prezes Mużmańskiej Gminy Wyznaniowej w Wilnie i inicjator powołania Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów RP. Obie organizacje wydawać zaczęły swoje organy prasowe. I tak w latach 1934-1939 Oddział Wileński Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów RP oraz Muftiat wydawały miesięcznik „Życie Tatarskie”. W Warszawie, w latach 1930-1931 oraz 1934-1937, jako organ Mużmańskiej Gminy m. st. Warszawy, wychodził kwartalnik „Przegląd Islamski”. W latach 1932-1938 ukazywały się 3 tomy wydawnictwa naukowego Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów RP pt. „Rocznik Tatarski”.

„Przegląd islamski” był pismem przede wszystkim religijnym i kulturalnym wywodzącym się z ideologii panislamizmu. „Życie Tatarskie” o zacięciu społecznym, poruszało przeważnie tematykę etniczną i narodową Tatarów, zaś „Roczniki Tatarskie” miały charakter naukowy i koncentrowały się na historii, religii i etnografii Tatarów polsko-litewskich. Do rangi symbolu urasta artykuł wstępnym I tomu „Rocznika Tatarskiego”, wydany w Wilnie w 1932 roku, *Pamięć Wielkiego Księcia Witolda*, w którym oddają Tatarzy hołd pamięci Wielkiego Księcia, a w jego osobie cześć tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, pamięć i spuściznę którego głęboko w sercach chowają. A Wilno i Wileńska Ziemia, wraz z jej duchowym klimatem, krajobrazem, wraz z swojskim światem wartości, z najpiękniejszą tradycją przodków, jest dla Tatarów polskich odeszłą krainą szczęścia, mitem arkadii.

Na temat związków Tatarów z Ziemią Wileńską i samym Wilnem pisali Leon Najman Mirza Kryczyński *Tatarzy polscy a Wschód mużmański*. „Rocznik Tatarski” t. 2, Wilno 1935. *Zabytki orientali-*

ne w Wilnie. „Przegląd Islamski”, Warszawa 1930, z. 4, *Historia meczetu w Wilnie*, Wilno 1937, *Dobra losajskie*, Wilno 1930, *Historia meczetów w Łowczycach i Nowogródku*, „Przegląd Islamski”, Warszawa 1934, z. 3-4, Stanisław Kryczyński *Zygmunt August a Tatarzy litewscy*, „Przegląd Islamski”, Warszawa 1934, z. 3-4, Stefan Tuhan Mirza Baranowski *Tatarzy na Litwie*, „Życie Tatarskie”, Wilno 1939, nr 9, *Życia Tatarów na Litwie*, „Życie Tatarskie”, Wilno 1939, nr 2, Ali Woronowicz *Przyczynki do historii meczetów w Polsce*, „Życie Tatarskie”, Wilno 1937, nr 12.

W pracach tych dał dokładny rys historyczny osiedlenia Tatarów w Wilnie i Wileńskiej Ziemi, ich związku z życiem Wilna, ich dziejów na tle dziejów Wileńszczyzny. Omawiano historię meczetu w Wilnie, mizaru, czyli cmentarza tatarskiego, historię gminy muzułmańskiej, historię tatarskiego muzułmańskiego szkolnictwa religijnego na Wileńszczyźnie i oryginalnej literatury religijnej litewskich Tatarów, powstałej na wileńskiej ziemi.

Pisano też wiersze, wspomnienia, prozę poetycką. Stanisław Kryczyński, pod pseudonimem Stanisław Radwan, zamieścił w I tomie „Rocznika Tatarskiego” wiersze oraz piękny poemat prozą. Jego fragment pozwolę sobie zacytować:

A potem —

*W odwiedziny do sąsiadów — Tatarów po staropolsku — rzemien-
nym dyszlem — od folwarku do folwarku! aż wreszcie — Dowbuciszki,
serce osmańskich tatarszczyzny.*

Dowbuciszki —

gwarna, pracowita wieś, rozrzucona szeroko nad zieloną kotliną,

przecięta srebrnym strumieniem —

*brzęk sierpów, wibrujący w czystym powietrzu metalicznym dygu-
tem — iskrzygot studziennych żurawi — od ilu już wieków pobrzmiwa
tą melodyjną muzyką stary, tatarski ząścianek?*

*W zielonych kulach ocieżyłych leśnią dojrzalością drzew przeblyska
małenki, kolorowy meczet... przy meczecie — cienisty cmentarz.*

Dziś już tego nie ma. Świat ów, świat litewskich miasteczek, wileńskich ząścianków, rodowych siedzib, odwiecznych gniazd szlacheckich, małych meczetów wśród lasów i puszczy wileńszczyzny, zdeptyany soldackim butem, zniszczony obłądną ideą, istnieje li tylko w świadomości tych, dla których Wilno, Wileńszczyzna, kresy, Rzeczpospolita są tęsknotą dnia i obsesją nocy.

Selim Chazbijewicz

URSZULA OSYPIUK, STEFAN SYMOTIUK

Upadek Polski jako „pre-figura” upadku Europy (O genezie katastrofizmu Witkacego)

Do kanonu interpretacyjnego historiozofii Witkacego należy sytuowanie go w licznej rodzinie europejskich katastrofistów: Spenglera, Ortega y Gasseta, Simmla, Bierdiajewa i in. Powstaje iluzja, jak gdyby polski dekadentyzm, którego kontynuatorem jest Witkiewicz niewątpliwie, był zjawiskiem towarzyszącym tym przecuciom kryzysu i upadku, jakie zarysowały się w Europie u schyłku la belle époque, a wzmogły się po kataklizmie I-szej wojny światowej. Tymczasem w pesymizmie, poczuciu klęski, w masochistycznym samobiczowaniu się Polska była pogrążona znacznie wcześniej (i dłużej) niż kultura Zachodu. Obysęga katastrofy powracała po każdym nieudanym powstaniu, po każdej kolejnej fali zylek, emigracji, rozczarowań.

Myśli pojawiające się w pesymizmie zachodnioeuropejskim jako przecucia — w Polsce nosiły znamie bilansów, zachodnie prognozy tu były diagnozyami. Tamtejsze „nastroje” — tu były jętrzącymi się namietnościami. Dla historiozofów krajowej „szkoły krakowskiej”, „warszawskiej”, „poznańskiej”, dla kręgów emigracji paryskiej lub londyńskiej Polska była laboratorium kryzysu światowego. Zarysem losu wszystkich europejskich demokracji, liberalizmu, indywidualizmu, pacyfizmu w obliczu potęg organizacji, dyscypliny, biurokracji i militarystyki.

Szczególnie masochistyczny typ polskiego katastrofizmu artykułował się w publicystyce, „szkoły krakowskiej” na czele z M. Bobrzyńskim. Uformowali oni też literackie pokolenie krakowskiego dekadentyzmu (Przybyszewski, częściowo Wyspiański). Życie i twórczość Przybyszewskiego były wręcz wcieleniem się „Polaka” z pism Bobrzyńskiego. Też, że Polacy to naród zgubiony przez anarchizm, beznamiętność, bezplanowość, sentymentalny emocjonalizm i szaleńcze gesty — Przybyszewski sprawdzał na sobie samym z namietnością stygmatyka. Tragizmem swojej biografii replikował on tragizm upadku narodu, taki — jaki zbiorowej wyobraźni narzucił Bobrzyński. Podobne masochistyczne tendencje wystąpią później w twórczości Gombrowicza, choć zabarwione groteską.

Los Polski inny wymiar zyskuje w katastrofizmie Witkacego. Tu nie amorficzna jednostka, nie pojedynczy „nieudacznik”, lecz cała cywilizacja europejska (a nawet cała ludzkość) ma w swoich losach replikować upadek Polski. Słychać tu sztycherzą pociechę dla dziejów upadłego narodu: „za wami pójdą inni”. Przybyszewski i Gombrowicz byli masochistyczni. Witkacy jest sadystyczny. Sztydzi z całej cywilizacji stworzonej przez rasę białą, która idzie dokładnie koleinami ewolucji ustrojowej i kulturowej Polski i którą czeka dokładnie ten sam los. Nie pisze już nie na skalę „Przestróg dla Polski”. Pisze „Przestrogi dla Europy”.

Myśl, że dzieje Polski — w złym i dobrym — są prekursorskie wobec losu Europy stanowiła częsty motyw publicystyki polskiej XIX w. „Summariuszem” argumentacji za tą ideą stała się książeczka

Antonia Chłonińskiego *Duch dziejów Polski*. Nie przeczył on, że wartości i instytucje konstytutywne dla polskiego kręgu kulturowego przeżyły się do przyszłego upadku. Lecz to w barbarzyństwie i amoralności potęg sąsiadnych znajdował zasadniczą przyczynę tego stanu. Stało się jednak tak, że narody Zachodu poszły właśnie śladem polskich wartości i instytucji. W XIX w. dokonano tam pomniejszenia roli państwa (do „stróża nocnego”), zaś ustrój parlamentarny stał się wręcz kopią polskiego sejmikowania (włącznie z biatykami i awanturowaniem się posłów), uznano zasady tolerancji, swobody wypowiedzi, elekcji władzy wykonawczej, zasadę upowszechniania drobnej własności, emancypacji kobiet itd. Doszło w końcu — stwierdza Chłoniński u schyłku I-szej wojny światowej — do tej samej konfrontacji żywiołu demokratycznego z despotyzmem, jaki wcześniej stał się udziałem Polaków. Tym razem rozpadła się mocarstwa będące „wzięciami narodów”. Z tryumfem konkluduje publicysta: *Ludy Europy, przytłoczone nadmiarem klęsk, jakie zważyło na ich barki dotychczasowe pannywanie siły nad prawem, w poszukiwaniu trwałych zabezpieczeń przed powtórzeniem się podobnych katastrof zwracają się z namigitą tęsknotą ku zasadom, jakie stanowią rdzeń i sens naszego bytu dziejowego. Państwu pojmanemu jako absolut i podporządkowującemu żywych ludzi swym oderwanym celom, chcą przeciwstawić organizację państwową, dla której celem jest człowiek. Przewiduje fizyczną, podniesioną do znaczenia rozciągającego czynnik w polityce — panowanie praw moralnych. Wzajemnemu pożeraniu się narodów — współżycie i współdziałanie (...). Zasady, których głęboką hołdą mądrość pojęły narody Europy dopiero wśród straszliwych cierpien światowej wojny, te zasady my Polacy stosowaliśmy już przez setki lat w granicach, jakie pojęciem o społeczeństwie zakresił rozwój epoki. Idee, do których należy przyszłość świata — są nasze!*

Optymizm Chłonińskiego już w kilkanaście lat później mógł być traktowany ironicznie. Rzeczywiście, Europa weszła w stadium charakterystyczne dla schyłkowego okresu cywilizacji polskiej: z jednej strony rozpasany konsumpcjonizm, przypominający „Czasy Saskie”, zalew rynków przez produkcję masową, krzykliwa reklama i kult użycia. Z zaś z drugiej strony — nieustająca wibracja społeczna, niepokój, rosnące napięcie o przynębiających perspektywach. Ponadto, mimo że cała Europa zdawała się przypominać Polskę czasów saskich, to nastąpiło jawne odrodzenie — i to w skali globalnej — poprzedniego układu politycznego. Jak dawniej Polska tkwiła między zaborem i ekspansyjnymi mocami Rosji i Niemiec, tak teraz — zdawało się — podobny układ odwrócił się w skali kontynentów. Rozkładająca się zbitka europejskich narodów i państw otoczona jest znów przez asetyczne i zorganizowane społeczeństwo wschodnie — tym razem Chiny. Z zaś z Zachodu uprzemysłowiona Ameryka emanuje fluidy na „spolonizowaną” nieswiadomie Europę. Chiny „przejęły” dawne cechy Rosji z wizji polskich katastrofistów: jej absolutyzm, potęgę demograficzną i przetrzenną, organizację, dyscyplinę, militaryzm i ekspansję. Z zaś Ameryka symbolizowała inne „mrowisk ludzkie”, stęchnięte, zurbanizowane, wchłaniające rzesze emigrantów, imperium automatyzacji („tayloryzacji”). Symbolizuje dawne Niemcy, które jawiły się Polakom jako kraj wysokiej techniki, gospodarności, rynek wchłaniający polską siłę roboczą i zalewający kraj swoimi produktami.

W tej nowej epoce dokonuje się zatem inna repetycja losów Polski: wszystkie narody europejskie tkwią obecnie między młotem a kowadłem Azji i Ameryki, jak poprzednio Polska między Rosją a Nie-

mcami. Proporcje sił są identyczne. Czyż autonomia kulturowa i polityczna, którą w tych warunkach utracił jeden naród — może być zachowana przez grupę narodów?

Zasada „entropii” historycznej u M. Bobrzyńskiego

Sztandarowa postać polskiego katastrofizmu — M. Bobrzyński, nie był bynajmniej fatalistą. Chętnie nawet uznawał heurystyczną wartość myślenia historycznego wedle formuły: „co by było... gdyby...”. Nie twierdzi on, że przyczyny upadku Polski tkwią we wrodzonym temperamencie, czy charakterze narodowym Polaków. Przyczyny wewnętrzne upadku Polski, to tylko podjęcie błędnej decyzji strategicznej rozwoju. Było nią „rozproszenie” sił ludzkich na pustych rubieżach wschodnich, miast skumulować je w węższej przestrzeni rdzennej Polski i tu umocnić się demograficznie, gospodarczo, urbanizacyjnie i politycznie. Błędna decyzja stała się pierwszym ogniem łańcucha błędów historycznych. Układ konieczności uznano za system cnot, które zinterioryzowały się i utrwały w postaci narodowej „osobowości”. Co jednak z decyzji się wywodzi — decyzja może zostać zmieniona.

Już ta podstawowa diagnoza Bobrzyńskiego może być uznana za myśl o bardziej uniwersalnym znaczeniu, gdyż właśnie dziewiętnastowieczna Europa weszła w stadium masowego pozabawiania się „nadmiarem” ludności, wielkiego ruchu emigracyjnego, obejmującego wiele jednostek energicznych i przedsiębiorczych, tracąc tym samym tę „gęstość” społeczną, która niezbędna jest do stabilnego trwania.

Następstwem dekoncentracji ludnościowej, dowodzi bowiem na przykładzie Polski M. Bobrzyński, jest spadek dynamiki historycznej. To jej właśnie skutkiem jest, pisze: tolerancja wynikająca „z braku silnych religijnych przekonań”². *W całym społeczeństwie znika talent, charakter i polityczny rozum. (...) Bo naród ten nie posiadał w sobie potrzebnej siły przekonań, nie wstrząsały nim niemierności, nie miał wielkich charakterów, które by dla obrony zasad poświęciły miły spokój i samych siebie gotowe były wystawić na karę. Wszystkie nasze najwybitniejsze osobistości z trzech ostatnich stuleci: Tarnowski, Zamoyski, Żebryzdowski, Żółkiewski, Lubomirski, Potocki, Czartoryscy, nie mówią o mniejszych, to ostatecznie postaci bez krwi i życia, które nie tylko w dobrym, ale nawet w złym nie zdolały się wnieść do rozmiarów notę, do prawdziwej dramatyczności! Panuje tu „pusta chełpliwość, stawiająca się wyżej od innych zachodnich narodów, produjących w cywilizacji”³. A wszystko to dlatego, iż na Polskę spadło ołbrzymie zadanie cywilizowania i kolonizowania niezmierzonych ruskich i litewskich obszarów. Spelniała je z chłubą, ale zadanie to pochłonęło nasze najwybitniejsze siły, rozproszyło je na dalekie Wschód, zamiast co by się miały na ciśniejszej przestrzeni wznieść, zjednoczyć i do głębszego a ruchliwszego obudzić życia (...) Bez unii nie mogliśmy się jednak ostać a unia nas wewnętrznie strawiła. Takie jest błędne koło naszego upadku”⁴. Natomiast uciśk ludu przez szlachtę, czy poniżenie miast, czy rozstrój moralny i przyciemnienie inteligencji. Wszystko to były podrzędne zjawiska! Społeczne rozproszenie niesie ze sobą zestaw takich właśnie cech: indywidualizm, antyintelektualizm, kult przeciętności, egalitaryzm, brak wytrwałości, prymat życia rodzinnego nad publicznym i feminizacja kultury.*

² M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, Warszawa 1986, s. 422.

³ tamże, s. 449, 451-452.

⁴ tamże, s. 457.

⁵ tamże, s. 453.

⁶ tamże, s. 450.

¹ A. Chłoniński, *Duch dziejów Polski*, Kraków 1918, s. 11-12.

Wyraźne jest podobieństwo zarysowanej w ten sposób społecznej katastrofy ze sformułowaną przez Clausiusa teorią „entropii”. Ponieważ jednak entropia w pojęciu ówczesnego przyrodoznawstwa obejmuje swoją „śmiercią cieplną” cały wszechświat, zaś proces ten w skali społecznej u Bobrzyńskiego dotyczy tylko Polski, to poniekąd ten właśnie kraj staje się lokalną reprezentacją procesów kosmicznych. Dzieje innych narodów widziane były bowiem jako anty-entropie (centralizacja państwowa, ograniczenie wolności, nietolerancja jako wyraz mocnych uczuć, racjonalizm w widzeniu świata, kuli silnych jednostek przywódczych, umiar i wytrwałość, ograniczenie roli rodziny i kobiety w życiu publicznym). Lider krakowskich katastrofistów nie porównywał nawet upadku Polski z notorycznymi przecież w dziejach przypadkami tego typu, choćby Grecji, Persji. Rzymu czy większości narodów środkowej Europy, ani nie tworzył ogólniejszej teorii upadku historycznego (choć niewątpliwie jako „immanentysta” pozostawał w związku z Gibbonem i Taine’em). Tym bardziej więc lokalna entropia narodu polskiego stawała się symbolem procesów nie historycznych, ale kosmicznych. Rozproszenie społeczne nabiera tym samym charakteru nie-ludzkiego, obcego, rzeczowego, anonimowego. I ten sam sposób odczuwania procesu historycznej entropii odkrywamy potem w katastrofizmie Witkacego. Funkcję taką spełnia u niego nie-ludzki świat techniki, który wdziera się swoją mocą w życie społeczne, gleichschaltuje je, atomizuje. Wszystko to zaś ma kontekst polityczny. Witkacy bowiem podpisywał się zapewne pod opinią Gambetty: „lokomotywa głośnie za demokracją”. Tyle, że podobnie jest z drukarnią, kinem, kawiarnią, Jancyniem, tanim budownictwem i szeregiem tego typu czynników. Upowszechnia się komfort życia i „używania życia”. To są zaś zjawiska nieźle znane z Polski.

Kultura masowa Europy — repetycja „Czasów Saskich”.

„Demokratyzacja” o jakiej myśli się na kartach pism Witkacego nie ma nic wspólnego z systemem reprezentacji społecznej. To raczej demonstracyjne władztwo mas, które mocami cywilizacji skupione są w wielkie zgromadzenia: na stadionach, w fabrykach, kinach, placach publicznych. Produkcja masowa i kultura masowa przynoszą ze sobą nadmiar chleba i igrzysk. Wszystko ulega ekspresjonistycznemu powiększeniu. Konsumpcja staje się Wielkim Zarciem („Swinia zarła” — mówi Witkacy z nienawiścią w *Nienasyceniu*), następuje wielka teatralizacja życia, powszechne „puszenie się”, bez żadnego uzasadnienia, poziom świadomości społecznej urabianej przez gazety i literaturę brukową bliższy jest ogólnemu ogłupieniu. Życie biegnie wśród wódek, zakąsek, opilstwa i objętości, na ile omamniających, rozkładających wszystko w bezzmysłową kaskadę dźwięków smiertelno-kłocznych, już nie normalno-bajkowej muzyki!

Cywilizacja europejska odkrywa się karnawałowym kostiumem, który przesyłania dawny mieszczański porządek. Nowe tempo życia oddaje muzyka jazzowa, królująca w miejscach publicznych oraz szalone tempo filmu nieme. Film stał się dla Witkacego wzorcem dla postulatu reformy teatru w kierunku awangardowym. To jednak, co jest treścią tej atmosfery społecznej, jaką odzwierciedla kino nieme, co wynosi na piedestał zabawną postać Chaplina, to znana aura bawienia się w Polsce czasów saskich, kiedy to — jak pisał Kitowicz: *To było największym zamiarem owego traktamentu i ukontentowaniu gospodarza, kiedy słyszał nożajut: od służącego, jako żaden z gości trzeźwo nie odszedł, jako jeden potoczywszy się, wszystkie schody — tocząc się kłębem — przemierzyl, jako drugiego zaniesiono*

do stacji jako nieżywego; jak ów zbił sobie róg głowy o ścianę; jako tamci dwaj skłóciwszy się — pyski sobie powycinali; jako wreszcie ten jęłomość — chybiwszy krokiem — upadł w błoto, a do tego zęb o kamień wybił. Mamy tu scenkę prototypową dla techniki scenicznego Witkacego.

Tak jak w rozpatrywaniu czasów saskich, tak w gorączkowości epoki kultury masowej konsumuje się na pokaz i do wytrzymalosci organizmu. Pijaństwo koniecznie musi dojść do stanu zamroczenia, a towarzyszy mu aura „bratania się” oraz manifestacyjnego „puszenia”. Pycha ujawnia tu całą swoją pustkę. Dostatek, komfort, luksus nie są celami samymi w sobie. Mają wytworzyć zbiorową szczęśliwość, a jednocześnie niwelować społeczeństwo, często poprzez degradację jednostek, jaką opisuje Kitowicz. Chaplin, Buster Keaton, Lloyd George zdają się wkraść na ekran prosto z kart *Opisu obyczajów za panowania Augusta III*. Po kilku stuleciach ascetyzmu, wyteżonej pracy, racjonalnej organizacji i ludu świat wkroczył wreszcie na szlaki „polonizacji”. Zaczął żyć w atmosferze koniunkturalnej prosperity, przeniknęło go poczucie prowizoryczności, doraźności i tymczasowości. Primitywizacja gustów i zmanierowanie literatury w okresie baroku, intelektualny poziom *Nowych Aten* Chmielowskiego, trywializm kalendarzy stanowiących główną lekturę szlachecką są zapowiedzią literatury brukowej i „gazet popołudniowych” w Europie współczesnej. Awanturnictwo „partii” szlacheckich, ich hałaśliwość i „pobieżliwość szabelką” odnajdujemy w polityce partii i rządów europejskich, zaś chętelne puszenie się własną „siłą” widać w prądach radykalnych, u demagogów, szukających taniej popularności. Taką postacią jest Gnebon Puczymorda — karykatura Mussoliniego, w jednym z dramatów Witkacego. Kultura masowa przerosła nawet groźbą swoich konsekwencji „przywary szlacheckie”. Brak autentyczności i wiary w cokolwiek, beznadziejna płaskość życia, niepewność ludzkiego losu, ogólny marazm i zblazowanie, powszechna ignorancja. Przerazająca relatywność tych wszystkich wartości, którym Witkacy chciał przypisać status uniwersalny. A przy tym wszystkim również, znana z czasów saskich, namiętność krzątania się wokół swoich małych interesów, tendencja do „urządzania się”, małostkowa zapobiegliwość, tępy egoizm, podatność na plotki i niewybredne sensacje. Demonstracyjna konsumpcja i małostkowy egoizm są dwoma stronami tego samego procesu homogenizacji. Zawierają w sobie ustojniowaną afirmację wobec świata, wyrażającą niechęć do kształtowania go. Toteż nawet religijność tej epoki w dziejach Europy przypomina powierzchowną i „letnią” religijność szlachty polskiej. Jest ona obszarem zachowań stadnych, otwierając pole dla penetracji duchowej Europy przez cywilizację azjatycką, w której religijność była zawsze immanentystyczna, nihilistyczna i w świecie powierzchowny sposób afirmacyjna. To przenikanie duchowości azjatyckiej w obręb kultury europejskiej wyraża się w „masowej hipnozie”: *Wszyscy toneli w zachwiecie nad innymi i tym samym, nie wiedząc o tym, potęgowali własny zachwyt nad samymi sobą. Roztapiali się w sobie dobroci powszechnej co drobniejsze nienawiści, a nawet większe zaczęły się powoli łagodzić. Szczęście dżewaniłów, widoczne jak na dłoni wzbudzało tak szaloną zazdrość w otoczeniu, że całe masy ludzi, nie wierząc w nic podobnego do nauki Murli Bingu, albo wierząc w coś zupełnie innego, zaczęły z czysto pragmatycznych powodów grawitować w jej kierunku, by skończyć w masowej hipnozie i poddaniu się jej niezbyt zrozumiałym zasadom*. Skłonność do „działań stadnych”

* S. I. Witkiewicz, *Nienasycenie*, Warszawa 1982, s. 280.

* J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, opr. T. Potlak, Ossolineum 1970, s. 443.

* S. I. Witkiewicz, dz. cyt., s. 364.

była tym rodzajem irracjonalizmu, który w swoich analizach losów Polski wysuwał się często na plan pierwszy w rozważaniach polskich katastrofistów. Odwoływano się albo do schematów makro-historiozoficznych „męczennictwa” i „pielgrzymstwa” narodu wzorowanych na „Biblii”, albo też do popularnej „psychologii tłumu”, jaką znajdujemy u Le Bona. Tej psychologii nie unika jednak również, mimo pozornego „racjonalizmu”, M. Bobrzyński ani Witkacy. Obaj przyjmują za pewnik, że „rozproszenie” demograficzne (pierwszy), a „icchnicyzacja” (drugi) muszą prowadzić do degeneracji kultury. Degeneracja ta odbywa się jednak równolegle z presją sil zewnętrznych. Tu zaś jest rzeczą nie do ustalenia: czy paroksyzm „używania życia” jest sposobem zagłuszenia lęku przed nadciągającymi mocami zewnętrznymi, czy też stan ten jest samostoi i dopiero wytarza w sobie pustkę, „wysysając” z zewnątrz niebezpieczne fluidy owych odległych mocy. Nie rozstrzygnięty spór o „wewnętrzne” i „zewnętrzne” przyczyny upadku Polski rzutuje na niejasności w wizji Witkacego „upadku Europy” i stopnia determinującego wpływu techniki na ten upadek.

Niemniej: nieuchronność upadku Europy jest ewidentna, na podobieństwo upadku Polski. Tak jak Polska uległa lepiej zorganizowanym sąsiadom, tak Europa ulegnie Chinom. Tak jak w Polsce istnieli jawni sojusznicy potęg zewnętrznych, tak też kolektywizm, który się tu rozszerza toruje drogę dalekim armiom chińskim. A w końcu: nie chodzi tu przecież o żaden upadek w sensie eksterminacji fizycznej. Jest to tylko upadek w sensie wcielenia w większą strukturę polityczno-cywilizacyjną. Polska „nie zginęła” przecież, w sensie zaniku ludzi, miast, języka itp. Utraciła tylko „duszę”, jaka właściwa jest bytom autonomicznym. Podobnie „me zginie” i Europa. A co do duszy tej ostatniej — czy już nie została stracona? Czy Europa nie stała się już „krajem nadwiślańskim” wśród kontynentów?

Witkacowski model „elchej katastrofy”.

Myśmy - pisał M. Bobrzyński — kiedy nas rozbięli sąsiedzi, od żadnego z nich ani obszaru, ani liczb ludności, ani dostatków, ani inteligencji nie byli stosunkowo słabsi, każdego nawet jeśli nie w jednym, to w drugim przewyższaliśmy kierunku, a jednak myśmy jedni i to bez walki, bez walki prawdziwej, na jaką nas by było stać, upadli¹⁰. Sąd jawnie niesprawiedliwy i przeciwstawiający się heroicznemu obrazowi oporu narodowego, powstań, buntów itd. Nie sam jednak Bobrzyński w dziejach polskiej myśli katastroficznej uległ „spiskowej” teorii rozwoju historycznego, wedle której jakiś rodzaj zmywu (milczącego lub ukrytego) leży u podstaw biegu dziejów. Czy bowiem „bierność” narodu wobec zagrożenia nie była rodzajem „zmywu”? Czy nie dochodziło również do jawnych zmywów destrukcyjnych (np. Targowicy)? A wreszcie toczyły się też zmywy dworów, rządów i monarchów, które owocowały decyzjami militarnymi. Ten obraz upadku wznosił w Polsce tym mocniej, im bardziej głośno w „sprawie polskiej” wypowiadała się europejska opinia publiczna, gazety, autorytety moralne i polityczne, a jednocześnie rządy krajów zachodnich bez wyjątku umywały ręce od jakichkolwiek praktycznych, energicznych działań w tej sprawie. Groza procesów schyłku polegała na ciszy sil knujących intrygi, robiących to skrycie, tajnie, „milcząc”¹¹.

¹⁰ M. Bobrzyński, dz. cyt., s. 448.

¹¹ Atmosfera chorobliwej podejrzliwości i domysłów przenika całą społeczność. *Nienasyca*: *Mówiona o tajnych konferencjach Kozłowskiu*: *Żdęcanie o czwartym nad ranem w czarnym gabinecie (...)* Ale kto to byli ci panowie: ten Cyfrobatorowicz, ten Boroeder, ten Koldaryk wreszcie! *Mityczne postaci* — a ktoż za tym stał jak mur... *„Ale w jakim celu, w jakim celu?”* — szeptała cicho Rzeczpospolita Polska. Dz. cyt., s. 282.

Obraz takich właśnie zjawisk ugruntował się dość wcześniej w mentalności europejskiej. Dla protestantów taką przeciwną siłą był zakon jezuitów, dla nacjonalistów — łoże masoniści, dla zwolenników „ładu i porządku” grupy anarchistycznych „militantów”. G. W. F. Hegel w całą swoją historiozofię wmontował wizerunek „chytrego ducha dziejów”, który kieruje się postępowem. Obraz „zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego” E. Gibbona kulminował w opisie religii, która *lagodnie wkładała się w umysł ludzkie i czerpiąc wciąż nowe siły z tego, że ją zwalczano, wzrastała w ciszy i w cieniu, aby ostatecznie wnieść na ruiny Kapitola triumfalny proporzec*¹². H. Taine w lekkością elity francuskiej i w „rozkładowym” działaniu oświeceniowych salonów upatrywał katastrofę systemu monarchistycznego. Choroba zaczyna się zawsze przed upadkiem. Czyny ona realne, obliczalne moce systemów pozorami i iluzją, gdyż część z nich paraliżuje od wewnątrz. Toteż ludzie zaskoczeni są zawsze tym, jak całość pozornie silna załamuje się gwałtownie i radykalnie. Taki też los — mniema Witkacy — czeka Europę, która ledwie co dzięki swojej flocie, nauce, rzęsdom emigrantów zapanowała nad całym globem.

W polskim katastrofizmie motyw „zmywu” pojawił się już poznajac od pierwszych kronikarzy. To dwuznaczna opinia Kościłła oraz społeczeństwa zachodnich wobec Zakonu Krzyżackiego omal nie doprowadziła do zagłady młodego państwa chrześcijańskiego. To zdrada naraziła na śmierć Władysława Warneńczyka oraz kwiat rycerstwa polskiego pod Warną. To nierozumna ośdziej Wiednia wzmocniła fałszywych Austriaków, którzy zagarnęli wkrótce trzecią część kraju. Możemy też zauważyć, że w obliczu nadciągającego ze wschodu niebezpieczeństwa w fabule *Nienasyca*, nadal postawa reszty zagrożonego kontynentu jest obudna. Co prawda przy pomocy kredytów chroni on polską państwowość przed kryzysem, lecz wyruszający do walki Generalny Kwatermistrz Kocmłuchowicz dysponuje wyłącznie polskimi oddziałami. A przecież, wedle jego obliczeń są one wystarczające do eliminacji „trzech czwartych” wojska chińskiego, jakże wzrosłyby jego szanse przy zjednoczonym oporze reszty państw. Te jednak czekają na wynik starcia u granic polskich, powtarzając odwieczny schemat. Błąd ich jest zresztą repetycją błędów Polski — ta bowiem również nigdy nie zdobyła się na mobilizację wszystkich swoich sił ludzkich i militarnych. Wnioski z tego wyciąga sam Kocmłuchowski oferując najęzdzcom pomoc w podbiu reszty Europy. Brzmi tu wielokrotny głos historyków polskich, którzy post factum doradzali Janowi Sobieskiemu pozostawienie Austrii na pożarcie Imperium Otomańskiemu.

Witkacowski katastrofizm ugruntowany jest jednak w tej tradycji, w której upadającym wartościom nie towarzyszy zgłęk, wstrząs, zewnętrzna dramatyczność¹³. Całoci historyczny oczekują tu swego końca w milczeniu i dezorientacji, nie wolając specjalnie o ratunek — wiedzą, że nie nadzieje — a umęczona indywidualna osobowość, konająca pod ciężarem egalitarnych mas nie śmie wydobyć z siebie ostatniego krzyku bólu i rozpacz, by nie zakłócić tej ciszy, która poprzedza wielkie wydarzenia. *Kraj zmienił się w jedną wielką poczekalnię; o tak szalonym napięciu potencjałów czekania, jakiego dotąd w historii nie notowano. Może zaledwie Żydy czekali tak na Mesjasza, jak u nas wszyscy niewiedomo czego*¹⁴.

¹² E. Gibbon, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, II, Z. Kienzyński, t. 2: Warszawa 1975, s. 1.

¹³ Celny opis takiego wędzenia dziejów zawiera praca J. Lempickiego. *Historiozofia Hipolita Taine’a*, s. Kraków 1938.

¹⁴ S. I. Witkiewicz, dz. cyt., s. 191-192.

Gdzie szukać należy tego spisku, złowrogiej intrygi, która najpierw położyła kres istnieniu „Rzeczosobliwej Polskiej”, teraz zaś spycha w przepaść tryumfującą niedawno Europę? Czy ma on miejsce w splocie okoliczności, które wymuszają podejmowanie błędnych decyzji (jaką dla Bobrzyńskiego była „unia”), czy to w psychologii tłumów i szalonych przywódców tkwi moment irracjonalny, czy decyduje trend cywilizacyjny wymuszający totalny pragmatyzm, utylizaryzm i stagnację?

Przypomnieć trzeba, że myśli Witkacego odnośnie tej sprawy wypowiediane były już w atmosferze narastających kampanii przeciwko „spiskowi międzynarodowego finansy” oraz „światowego zydostwa”. Diagnozy zaś stawiane przez naszego katastrofistę przeniknięte są oświeceniowo-pozytywistycznym rygoryzmem myślenia społecznego. Katastrofa nie ma u niego charakteru zdarzenia historycznego, za które kogośkolwiek byłby „winien”. Jest ona zakodowana w „naturze ludzkiej”, ma charakter antropologiczny. Przyszłość należy po prostu do ludzi, o których Witkiewicz-ojciec pisał w jednym z listów do syna: *Ludzie trzeźwych rozmożyło się u nas w ostatnich latach znacznie ponad istniejącą potrzebę życia. (...) występują oni ze swoją mądrością chleba powszedniego i dnia dzisiejszego — nie widząc, że w przyszłości i z beznadziejnym materializmem wycekkują jedynie wartości realnych, to jest tego, co można dostać nie walcząc, co jest resztą prac i walk dawnych pokoleń, co leży gotowe i zaspokaja potrzeby powszechnego egoizmu*¹¹. I jeszcze: *Ludzie trzeźwi, to jest ciastni i pospolici potrafią przeżyć jedynie pospolitość własnych dusz i krótkowidzowo umysłów, przyjmując tylko wartość tego, co się w ostatczym rachunku daje obliczyć na pieniądze*¹².

Rozwój społeczny miał w sobie upadek od początku zakodowany, żył z nim w postaci zarodka, który rozrastał się w miarę rozwoju kultury masowej i demokracji. Postępująca homogenizacja przyspieszyła powolny upadek. Moment przejścia w „nową rzeczywistość” społeczna ma tu być taki, że nikt go w zasadzie nie zauważy. „Cichota” tej zagwarantowana jest przesłankami naturalistycznej proweniencji. Ludzie zawierzili, że domek z ogródkiem, wycieczki po całym świecie i spopularyzowana wiedza są jedynym rozwiązaniem szczęśliwych wolnych chwil przyszłego człowieka; własnego ciała, własnej kobiety i własnej szczęśliwości do zębów — tego nigdy się nie wyrzekną¹³.

Jak zauważyliśmy w wielu dramatach i powieściach Witkacego, natychmiast po każdorazowym „wstrząsie” historycznym z dnia na dzień przywrócona zostaje „normalizacja” życia zbiorowego, na bazie banalnej, potocznej codzienności. Tak jakby nic się nie „zdarzyło”. Odradzanie się istnienia ludzkiego wokół tak rudymenarnych zabiegów, jak jedzenie, mycie się, ubieranie itp. wielokrotnie już bulwersowało świadków „wielkich wydarzeń” historycznych, których zaskakiwało, jako łatwo wczorajsi ich uczestnicy przechodzą nad nimi „do porządku dziennego” już nazajutrz. Życie gatunkowe na tym poziomie zdaje się nie ulegać drganiom pod wpływem żadnych fluktuacji historycznych: wojen, rewolucji, zagłady. Toteż ludzkości nie zagraża unicestwienie o charakterze apokaliptycznym. Grozi jej tylko amputacja pewnego wymiaru istnienia (zdolności odczuwania metafizyczności istnienia), a więc katastrofu istotną, lecz częściową. Upadki takie nie hamują nawet dynamiki w działaniach praktycznych. Odwrotnie — mogą je umożliwiać. Pozytywiści polscy powoływali się nawet dość często na przykład

Czechów, którzy po utracie swojej szlachty w bitwie pod Białą Górą, zatrucili całkowicie uprzednią gorączkowość życia religijnego, natomiast skutecznie oddali się budowaniu zasobnego i dostatnego społeczeństwa mieszczańskiego, o wysokim standardzie materialnym. Taką też przemianę perswadowali Polscy pozytywiści poznający i warszawscy oraz „realiści” krakowscy. Natomiast Witkacy jako „nieuchronna przyszłość” wpisuje ją w los całej kultury europejskiej. Tyle tylko, że to co dla pozytywistów wydawało się cudowną terapią (Boy-Zeleński: „więcej mydła!”), Witkacy traktuje z szysderstwem — a jednocześnie z rezygnacją. Charakterystyczne dla Witkacego poczucie komizmu wiąże się z przekonaniem o fundamentalnej trwałości życia, któremu nie zagraża unicestwienie i które na swoim elementarnym poziomie rozwoju zdolne jest przetrwać wszelkie kryzysy i katastrofy. Życie nie jest tu podobne do trzciny, lecz ma w sobie toporną i uśmiałą wolę podnoszenia się z upadku na podobieństwo rosyjskiej „wańki-wstańki”. Jest ono gdzieś u podstaw swojej konstrukcji pewnie zabezpieczone, toteż możemy ze śmiać się podobnie, jak przy obserwacji osobnika przewracającego się na skórze od banana: wiemy że tak naprawdę nie groźnego mu się nie stanie. Toteż dzieje ludzkie mają w sobie coś z atmosfery Republiki Babińskiej, coś co stwarza wspólny mianownik między Szewcami a Królem Ubu Jaryego. To na poziomie tego „ducha barokowego” dąłoby się odnaleźć szerszy kontekst europejski dla katastrofizmów Witkacego np. w twórczości Rabalaisa etc. Dwoistość „wiatopoglądu barokowego” wywodzi się z jednej strony z potrzeby napięcia, komplikacji, gorączkowości — lecz z drugiej strony z poczucia stabilności, azylu w postaci „mojej wsi spokojnej”, w której można zamknąć się przed burzami historycznymi. Marzenie przeciętnego człowieka roku 1999, w jakim dzieje się akcja *Nienasyceńca*, o posiadaniu własnego „domka z ogródkiem” jest dalszym ciągiem owej „wsi spokojnej” z polskiej przeszłości.

J. Łempicki analizując historiozofię współczesną pisał o dwu modelach tego myślenia, na przykładzie Taine’a: *Brak tylko Taine’owi zupełnie tego historycznego krzyku, załamywania rąk, tego larum, które Spenglera rozszalało po całym świecie. Taine’owski typ kulturowy nie mają wcale tej bujności, agresywności co hallucinationes vraies i typy Spenglera. Nie brania się, nie walczą o przeżycie, nie stwarzają sytuacji dramatycznych, lecz spokojnie ustępują miejsca typom nowym. Epoki nie giną w walce o przetrwanie i konwulsjach, lecz powoli wyczerpują się. Coś ze stoicyzmu Taine’a udzieliło się epokom. Nie protestują przeciw własnej śmierci, zrywając niejasną ufnosć, że w tym przeżywa się prawo, jeśli nie niesprawiedliwość, to w każdym razie przemożne i czcigodne*¹⁴. Jest to opinia zupełnie przystająca do Bobrzyńskiego *Dziełom Polski*, z jego podtekstem w postaci wizji entropii, jako reguły rozmywania się i rozkładu dzieł staropolskich. Odnajmujemy tu też zbieżność z Witkacem, który chętnie używa formuły „wyczerpywania się” — określając ją andrusowskim słówkiem „wyprzyskanie się” (np. ks. Wyprzyłak w *Pożegnaniu jesieni*, jako przedstawiciel zamierającej epoki religijnej). Można więc odnieść do Witkacego również następujące słowa J. Łempickiego: *Tragizm pojawia się tylko wtedy, gdy ginie coś, co ma uzasadnione prawo do życia. Tymczasem u Taine’a epoki przed śmiercią wydawały do ostatniego groźna wszystko, co posiadały, tak że śmierć spotykała już niedarzą. W ten sposób nawet w śmierci tkwiło coś w rodzaju ponurej sprawiedliwości natury (...). Taine nie żałował nigdy gasnących form kultury i gatunków skazanych na wymarcie. Wyżej nad nie cenil transformizm, stanowiący jądro „Natury” i podstawę istnienia empirycznego świata. Nie wolno wnosić*

¹¹ T. Kornilowicz, *O Stanisławie Witkiewiczu*, Kraków 1916, s. 21.

¹² tamże, s. 20-21.

¹³ S. I. Witkiewicz, *Narkotyki. Niemce dusze*, Warszawa 1979, s. 214.

¹⁴ J. Łempicki, dz. cyt., s. 123.

drobnych prywatnych oskarżeń przeciw naturze¹⁰. Ton identyczny dominuje w pisarstwie Witkacego, lecz różni go od Taine'a — jak i od Spenglera — nuta szyderstwa. Zdaje się tkwić szczypta sadyzmu w tym, jak Witkacy traktuje przyszłość Cywilizacji Europejskiej, jak chętnie sytuuje ją na miejscu „przedupadkowego rozkwitu” dawnej Polski.

Można w powyższym krytycyzmie i dezynwolturze emocjonalnej dopatrywać się tego samego resentymentu, z którym wielu polskich myślicieli historycznych, szczególnie po upadku kolejnych powstań, odnosiło się do krajów zachodnich: „spotka was to samo” i „pójdziecie tą samą drogą”.

Urszula Osypiuk, Stefan Symotiuk

¹⁰ tamże, s. 123-124.



Pomnik ofiar obozu koncentracyjnego na Majdanku. Fot. Janusz Urban

WACŁAW IWANIUK

Bilans

Obieram owoc pomarańczy
Żółte lupiny spadają do kosza
Są jak przekwitłe płatki anemonu
Którego sezon się skończył.

Na dworze pierwsza zieleń
Wiosna w tym roku przyszła opieszale
W ogrodzie jeszcze resztki zimowego snu
Przez gałęzie świerku który tu wyrósł samopus
(wciąż stare piękno pomaga nam żyć)
Patrzę na skradające się pod drzewami cienie.
Szare niebo milczy nie przejawia magii wieczności
Choć są tacy co wierzą że w nim sedno sprawy.
Patrzymy sobie w oczy nie tając milczenia.

W kuchni wieczorne feerie
Włączam elektryczny piecyk
Rozpalone fajerki błyszczą
Jak pierścienie na planecie Saturna
W imbryku syczy woda
Nowy kran przecieka
A tak wierzę w postęp
Ja katoda życiowych pomylek.

Za oknem siewcy rozpraszają mgły
Zieleń otwiera oczy
Nic nie wie o Wrześniu.

Nie śledziłem losów wojennych przestępców
Nigdy nie otwierałem wrót do żadnych komór.
Słowa w wierszu
Z każdym dniem stają się pełniejsze.

To nie dzwon to kości w Muzeach
Rozmawiają między sobą wieloma językami
Grecy Polacy Żydzi —
A jednak ocaleli bo wiara ocala.
Chciałbym się spotkać na moście z Szymborską
Zapytać Świrszczyńską jak czuje się Tam
Zajrzeć przez ramię co pisze Urszula Koziol

Jaką podróż i gdzie planuje Ewa Lipska.
 W stu ciemnych labiryntach męczy mnie sto spraw
 Wszystkie z pół moich bitew
 Nie ma już miejsca na liryczny wiersz
 Na szczebiot Rózi na Dobrej
 Na gwar Domińskiego
 Który namawia Piętaka by pisał o Wielowsi.
 Wciąż się trzymam matki plisowanych fałd
 Słucham jak podczas mszy rozmawia z aniołami.

Wieczorem czytam wiersze poety jednego dnia.

Droga

Tyle ich było, a tej pięknej drogi
 od domu mego ojca w żyznej okolicy
 wśród wysokich jęczmieni z wąsami
 polskich szlagonów, emaliowanej złotem
 pszenicy, kwitnących koniczyń w muzycznym
 szturmie pszczół — tej rodzinnej drogi
 nie mogę wypłenić z mojej wyobraźni.
 Jej nawierzchnia zależna od pór roku
 była z twardej gliny i kamiennych brył
 w porę wgniecionych gdy ojciec półkoszkiem
 wioził nas, szczęśliwą czeredę, na mszę
 do kościoła o smukłej wieży bez historycznych
 dat. A przecież nasza ziemia była sytym
 spichrzem, równie wielcy Polacy o
 historycznych czynach rodzili się tu.
 W kronikach parafialnych, jak w wawelskich
 grobach, żyją do dziś; rody broczące sławą.
 Ojcowie naszych ojców i nasi ojcowie
 tą właśnie drogą w sennym krajobrazie
 szli na czwartkowe jarmarki z
 sienkiewiczowską butą, by z rana
 w otwartym kościele przymilać się Bogu
 a wieczorem podziękować Mu za utarg
 w żydowskiej karczmie vis-a-vis.

Toronto, 25 lipca 1989

Wiersz o Ameryce

Tak się zgadaliśmy o Ameryce
 że Ameryka to i Ameryka tamto
 że rynsztoki w Nowym Jorku spływają brudami

zaś na Czterdziestej Trzeciej
 same prostytutki i narkomani.
 To prawda że w Porcie na rubieżach Miasta
 stoi Dziwka głosząca wolność
 ale sam Manhattan jest kłępkciem ciemności
 czasem leci w górę
 czasem pełźnie jak ślimak w stronę Portu
 gdzie odpoczywają międzynarodowe stalowe molochy
 pełne turystów lub emigracyjnych plwocin.
 Tak, Ameryka, chyba nie dobrego
 o niej nie można powiedzieć
 po opisach krajowych turystów
 oraz chciwych sławy literatów
 na kursach przyjaźni w Iowa
 gdzie Amerykanie rozdają dolary
 oraz uczą oszczędnego życia
 literatów z Nadwiślańskiego kraju.
 A ja zmęczony podróżami
 nuchętniej czytam tutejszych Whitmanów
 wsłuchany w ich precyzyjne zdania.
 Ich słowa nie zacinają się
 kalka pamięci jakby z aksamitu
 wiersze rozwijają kolorowe skrzydła
 unosząc w świat nową Amerykę
 inną od jej wczorajszych orłów.
 W ich cieniu rodzi się niemowlę mego wiersza
 słuchamy wspólnie chórów stojących przy Skale
 każde ich miasto nazywa się Plymouth.
 Pragnę przeto podziękować poetom Ameryki
 i tym którzy pilotują gronostaje ich słów
 po broadwayowskich świątyniach
 za to że ich Posąg Wolności
 serdecznym ruchem wyciągnął do mnie rękę.

Toronto, 24 września 1987

Wacław Iwaniuk

WACŁAW IWANIUK, poeta i eseista, ur. w 1915 r. w Chełmie. Debiutował w 1936 r. tomem wierszy pt. *Pelna czernca*. W 1939 r. wyjechał jako specjalista od zagadnień emigracyjnych do Argentyny. W czasie wojny — żołnierz Brygady Podbalańskiej i Dywizji Pancerniej — walczył na froncie zachodnioeuropejskim. Po wojnie osiadł w Kanadzie. Opublikował wiele książek w polskich wydawnictwach emigracyjnych. W br. w Wydawnictwie Literackim ukazał się większy wybór jego poezji. W następnym numerze zamieścimy nowe wiersze i prozę Wacława Iwaniuka wraz z omówieniem jego twórczości przygotowanymi przez J. Kryszaka i J. Świącha.

DANUTA MOSTWIN

ŁAŃCUCH POKOLEŃ

Człowiek współczesny, zagubiony w coraz bardziej skomplikowanych i zmechanizowanych warunkach życia, szuka samego siebie wśród milionów innych, do których chce, a jednocześnie nie chce być podobnym. Pytanie, które często sobie zadaje, biegnie dwoma równoległymi torami: Kim jestem? i Gdzie należę?

Dlaczego teraz, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, poszukiwanie własnej tożsamości nabralo specjalnego znaczenia? Wytłumaczenia należałoby szukać przede wszystkim w skutkach ostatniej wojny i w postępie technicznym ostatniego półwiecza. Wojna w skali dotąd niespotykanej przemieszczała ludność całego świata, zwłaszcza część Europy i obu Ameryk. Postęp techniczny przybliżył ludzi geograficznie, skurczył kulę ziemską, a jednocześnie uzależnił nas od technologii, nieraz odbierając indywidualną inicjatywę i sterylizując stosunki uczuciowe. Jeden ze skutków okropności wojny to osłabienie dawnych autorytetów: autorytetu ojca — głowy rodziny, który strzegł jej bezpieczeństwa i całości oraz ojca — symbolu, a więc Kościoła, państwa i instytucji naukowych. Nowe wartości moralne są jeszcze nieokreślone i luźne. Przyszłość staje się mniej ważna niż chwila obecna. Pozbawiony dawnego oparcia, zachwiany w swoim zaufaniu do religii jak pomostu wieczności, człowiek szuka wokół siebie czegoś, co nie przemija, a przynosi ulgę w niepewności współczesnego życia.

Na krótko tylko i z wielką trudnością tolerujemy niepewność, stan zawieszania w próżni. Potrzebujemy przynależności do czegoś silniejszego i większego od nas, gdyż przynależność ta jest jednym z warunków wewnętrznego spokoju, psychicznej równowagi. Uczestnictwo w grupie, sprawie, idei wydaje się gwarantować bezpieczeństwo, poczucie pewności, że ja, jako jednostka, nie zniknę, nie rozplynę się zupełnie w obojętnym niebycie. Przynależności potrzebujemy, jak wody i powietrza. Jest w nas pragnienie ciągłości. Lecz nie tylko tak na przyszłość, którą wielu zapewniamy dzieci, innym osobiste dokonania. Oglądamy się wstecz i odczuwamy głód trwania w czasie przeszłym. Pragniemy, aby to przeszłość gwarantowała nam przyszłość i stała się jej zwierciadłem. Szukamy więc śladów sprzed lat, dziesięcioleci i stuleci, które w jakiś sposób łączą jednostkę z jej rodzinną linią. Szukamy własnego ognia w łańcuchu podobnych ogniw. Ta trwałość — odnaleziona — daje poczucie bezpieczeństwa, umocnienia we własnej wartości, krzepi, podjuje most do wieczności, w którym jednostka jest niezbędnym przęselem.

Zagadnienie tożsamości i potrzeba przynależności, trwania w czasie przeszłym i przyszłym są problemami ogólnoludzkimi. Mają one jednak specjalny wydźwięk dla polskiego emigranta. Analizując problem tożsamości, przemiany w jej strukturze i wpływ warunków zewnętrznych na te przemiany u emigranta polskiego w Ameryce lat

siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, opieram się na wynikach badań przeprowadzonych w roku 1970, 1984, a także na wnioskach z ostatniej ankiety w roku 1987.

Tożsamość jest pojęciem abstrakcyjnym. Wyobrażamy ją sobie jako dynamiczną konstrukcję, w której stale coś się zmienia i przemieszcza. Jedne przeszła słabną, inne nabierają elastyczności, powstają nowe połączenia i niespodziewane związki, niektóre elementy ulegają zaś przesunięciu tak wielkim, że wydają się niemożliwe do odnalezienia, jak muszelki zagrzebane w morzu oceanicznego piasku. Trwają jednak. Nic co raz stało się częścią układu tożsamości nie ginie. Może stać się niezuważalne i dać znać o sobie dopiero w chwili podejmowania ważnej decyzji albo w przełomowych okresach życia gdy targają nami silne wichry emocji: euforii, rozpacz, przerażenia. Elastyczna, wzbogacająca się z biegiem lat życia i doświadczeń, nasza tożsamość czerpie z otoczenia nowy budulec, nabiera finezji, zyskuje na indywidualności. Sądzimy, że w konstrukcję tożsamości wbudowane są te wszystkie pierwiastki, które od najwcześniejszego dzieciństwa przyjmowałyśmy z naszego otoczenia. Są to zakodowane przez nas oceny, które w stosunku do nas stosowali ci inni, na których nam zależało, których kochaliśmy, szanowali, których baliśmy się a przede wszystkim ci, od których zależało osobiste bezpieczeństwo. Przejęte już jako własne, są tymi kryteriami, którymi oceniamy sami siebie. Amerykański psycholog Erik Erikson, sam emigrant, pisał, że „wszystkie nasze dawne światy albo otoczenia pozostają w nas na zawsze”.

Przez całe życie, chcąc czy nie chcąc, świadomie i podświadomie uczymy się o sobie poprzez innych. Ci inni są lustrem, w którym się oglądamy. Sprawdzamy się w ich oczach.

Jeśli przez dziesięć, piętnaście, albo dwadzieścia lat nasze otoczenie raz po raz utwierdzało nas w przekonaniu, że jesteśmy Polakami (choćabyż tak niewinnie jak w znanym każdemu pytaniu: Oh, you have an accent! Where do you come from?) nasze przekonanie o własnej polskości niełatwo się zachwieje. Jeśli okres „wpajania” w nas, że należymy do narodu polskiego, był dłuższy i przypadł na najwrażliwsze z punktu widzenia rozwoju lata życia (pomiędzy 2-5), przekonanie o własnej polskości będzie jeszcze trwalsze. Nie myślę tu o wyborze świadomych. Świadomie możemy pragnąć z różnych przyczyn przybrać narodowość inną: amerykańską, kanadyjską, australijską. Problem w tym, że nasza tożsamość odrzuca ten wybór i zadreczamy się, nieraz sami nie wiedząc dlaczego. Oskarżamy nasze polskie doświadczenia o nasz stan psychiczny i czujemy się rozbić, nawet chorzy fizycznie. Jest to stan niemożności przyjęcia samego siebie. Chcielibyśmy być inni, ale nasza tożsamość nie daje się oszukać.

Wróćmy do pojęcia „polskości”. Ulega ono nieraz jakby nowotworowemu przerostowi ze szkodą dla innych naszych ludzkich uczuć. Dzieje się to często wtedy, gdy ludzie, których kochaliśmy jako dzieci, którzy stali się naszym modelem postępowania, dawali nam do zrozumienia w słowach, w zachowaniu i bez słów, że mało zdefiniowane pojęcie „polskość” należy sobie przyswoić w całości, stać przed nim „na baczność”. Broń Boże, nie brzojsząc tego atomu, nie analizować! Jako przykład niech posłuży „definicja” co to znaczy być Polakiem, która ukazała się w latach siedemdziesiątych w tygodniku parafialnym brooklińskiej parafii św. Stanisława w Nowym Jorku.

Polakiem jest ten, który mówi po polsku, kocha polską ojczyznę i pracuje z poświęceniem dla jej dobra... Polakiem jest ten, który nawet w godzinie śmierci modli się do Boga za Polskę i nawet na łóżu śmierci myśli o Polsce. „Definicja” ta, wynikająca niewątpliwie z jak

najszlachetniejszych intencji, jest jednak błędna i nie obejmuje milionów Polaków rozsiąanych po świecie, a przede wszystkim jest sprzeczna z realistycznym i rozsądnym pojmowaniem przynależności narodowej.

Po przeczytaniu artykułu w tygodniku parafialnym stwierdziłam, że chociaż uważam się za Polkę, jestem w błędzie, ponieważ „nie żyję tylko dla Polski”, ale również i dla innych spraw (amerykańskich i ogólnoludzkich), które mocno mnie obchodzą. Co więcej ośmielałam się spojrzeć krytycznie na moją etniczną tożsamość i usiłuję uwolnić się od jej zachłanności w stosunku do całej mojej osoby. Możliwe, że bezskutecznie, ale w każdym razie się nie poddaję.

„Definicję” zacytowałam z troską, że aż tak bez reszty mogą nami zawiądnąć symbole.

Wróćmy do struktury naszej tożsamości. Założmy, że jest to układ o różnych stanach napięcia periodycznie powracających, nazwijmy te różne napięcia — fazami. Jedną z faz tożsamości jest faza etniczną, którą nieraz nazywamy tożsamością etniczną. Faza ta to nasze osady o sobie jako ludziach związanych kulturowo z grupą etniczną polską, należących do historii tej grupy. Spróbujmy wizualizować z tej fazy (obracamy się cały czas w abstrakcji, gdyż tylko w ten sposób możemy zbliżyć się do czegoś tak nieuchwytnego jak nasza podświadomość) nasz stosunek do symbolu „polskość”.

Zastanówmy się, jakie znaczenie może mieć ten symbol dla człowieka, który się nim legitymuje i który może być Polakiem-Amerykaninem, Polakiem-Kanadyjczykiem, Polakiem-Zydem, Polakiem obywatel francuskim (bo czy możemy powiedzieć Polakiem-Francuzem? Polakiem-Anglikiem? Polacy, obywatele brytyjski przekonywali mnie, że nie), czy też Polakiem z Francji, Polakiem z Anglii, Polakiem-Australijczykiem, Polakiem-Argentynijczykiem, Polakiem z Niemiec i tak dalej, bo ile państw pod słońcem — wszędzie odcisnęła się stopa polska. Polacy ruszali w świat o różnym czasie, dla najroźniejszych powodów, z których zdawali sobie, albo nie zdawali sprawy. Najpierw popędziła ich historia wojenna (nie włączam w moje rozważania wczesnej emigracji ekonomicznej), potem tragiczny egzystencjalny w uściskach ręki nie Polce, a ostatnio coraz bardziej pragnienie lepszego życia.

Polak mieszkający w kraju prawdopodobnie mało się zastanawia nad polskością jako integralną częścią własnej tożsamości, chyba że doświadczy go kryzys wewnętrzny, osobisty zmuszający do takiej refleksji.

Jak bardzo aktualne na emigracji jest pojęcie „polskość”, niech posłuży cytata z artykułu wybitnej publicystki Stefani Kossowskiej w londyńskim „Tygodniku Polskim” z 1 kwietnia 1989 roku:

W żadnym języku nie istnieje odpowiednik naszego wyrażenia „polskość”. Kto słyszał o „francuskości”, „niemieckości”, „angielskości”? Jest coś podejrzanego w stworzeniu i trzymaniu się tego pojęcia. Jakby sztucznym słowem trzeba było podparć niepewną treść. Powtarza się je w kraju i na emigracji, rozpisuje się o nim ankietę, wola się je na ratunek, zachęca się nim i gani, doprowadzając je do spowieszczenia, aż często się zapomina co miało znaczyć.

Pomimo ostrzeżeń Stefani Kossowskiej na temat niepewnej treści wyrażenia „polskość”, postaram się je nieco „rozgrześć”. Stwierdziłam już, że jest to symbol, a symbol to znak, godło, emblemat z treścią alegoryczną ukrytą pod znakiem. O tym, że Polacy kochają symbole, godła, pojęcia nie sprzeciwiam, a często wzruszając, wiemy. Polskość więc jako symbol przemawia do wyobraźni Polaków. Czy polskość to narodowość? Czy pomiędzy poczuciem narodowościowym a polskością należałoby postawić znak równości?

Starając się rozdzielić pojęcia „polskość” i „narodowość” natrafiamy na duże trudności. Według słownika (1968) *polskość to zespół cech polskich i przynależność do narodu polskiego, a narodowość, ogół cech właściwych danemu narodowi (...)* poczucie przynależności do jakiegoś narodu. Wielki słownik Karłowicza (Karłowicz, Kryński, Niedźwiedzki z roku 1908, a wznowiony przez PIW w roku 1952) określa *polskość jako charakter polski, obyczaj polski, właściwości życia polskiego, polszczyznę (a więc język — dopisek mój)* i dodaje jeszcze *narodowość polską*. O narodowości pisze słownik Karłowicza, że jest to *ogół właściwości odróżniających jeden naród od drugiego, cechy narodowe, odrębność narodowa*. Wielki Słownik Polsko-Angielski z roku 1969 rozgranicza nieco bardziej dwa terminy podając pod „narodowość” — przynależność, a pod „polskość” — pochodzenie i charakterystyczne cechy narodowe, a więc również narodowość.

Najbardziej przemawia do mnie słownik Karłowicza. Polskość to obyczaj, a więc tradycyjne obrzędy wielkanocne, bożonarodzeniowe, „Zielone świątki”, sposób przygotowywania potraw, zachowania w przełomowych okresach życia. Charakter polski wymagałby osobnego omówienia, chociaż bowiem niektórzy naukowcy negują istnienie „charakteru narodowego”, nie należę do nich i stwierdzam, że cechy charakteru narodowego nie są jedynie „imaginacją antropologów”. Karłowicz w „polskość” włącza i język polski — „polszczyznę”. (Stefania Kossowska twierdzi, że kluczem do „polskości” jest język jego pełna znajomość w słowie i piśmie, która... prowadzi do poznania istoty ducha i tradycji narodu...) Ale określając „polskość” Karłowicz dodaje do składników ukrywających się pod symbolem jeszcze narodowość polską.

Zabłądziłszy więc w semantyczny meander i należałoby zacząć dyskusję, która dążyłaby do ustalenia definicji tych dwóch terminów i naszego do nich stosunku. Czy to ważne? Wydaje mi się, że bardzo ważne. Przede wszystkim dla zdrowia psychicznego emigracji i jej następnych pokoleń.

W jednej z wczesnych książek napisanych w latach dwudziestych na temat grup mniejszościowych autorka, Amerykanka, wspomina wydarzenie, którego była świadkiem w polskiej dzielnicy:

Grupa uśmiechniętych, dobrze odzianych i ubranych dzieci (prawdopodobnie z polskiej szkoły parafialnej) śpiewała piosenkę mniej więcej tej treści: My nieszczerne sieroty, wygnani, płacemy tu i usychamy z tęsknoty za naszą ukochaną ojczyzną.

Dzieci te wyrastały (nieświadomie) w poczuciu krzywdy i nieprzynależności do kraju (Ameryki), który był im życzliwy, umożliwiał spokojny rozwój umysłowy i fizyczny i ofiarował bezpieczny dom. Nie dziwnego, że jako już dorośli nie dążyli do uczestnictwa w aktywnym życiu Stanów i dopiero pokolenia ich potomków poczuły się prawdziwymi Polish-Americans.

Poczucie polskości w sytuacji, która wymaga stałego zamieszkania w kraju innym niż Polska, nie wyklucza uczucia wdzięczności, życzliwości do kraju, który umożliwił nam spokojną egzystencję i rozwój osobisty. Z tej życzliwości i wdzięczności, z sympatii do otoczenia wynika po pewnym czasie uczucie lojalności wobec społeczeństwa, które nas przyjęło i w którym możemy swobodnie funkcjonować. Profesor Margaret Mead, antropolog, autorka wielu prac z dziedziny badania grup społecznych, podczas jednego z indywidualnych seminariów ze mną (które utrzymałam na taśmie), na wiosnę roku 1969 dyskutując problem lojalności Polaków powiedział:

Związek pomiędzy rodzicami, a dziećmi wyraża się w przekonaniu: Nie wróć do Polski, ponieważ dzieci moi będą już Amerykanami. To dzieci pierwsze zbliżają się do Stanów Zjednoczonych... Jest to

tylko możliwe u Polaków, ten rodzaj lojalności... tylko jedna, zasadnicza, głęboka lojalność. Jest to idealny rodzaj lojalności do Stanów: podporządkowuje się prawu, płaci podatki, jestem dobrym obywatelem, ale to wszystko nie zmienia mojej tożsamości — jestem Polakiem.

Oddzielenie polskości od narodowości to założenie, że nie tylko mieszkający nad Wisłą i w obrębie państwa polskiego odczuwają polskość, niejako uprawnieni do tego z racji swego tam przebywania, nie tylko ludzie mówiący biegle po polsku, nie tylko Polacy-katolicy, ale również Polacy-protestanci, Polacy-żydzi, Polacy-bezwyznaniowi. A dalej, że kilkanaście milionów osób poza granicami państwa polskiego odczuwa polskość niezależnie od terenu, na którym się znajdują. Odczuwanie to jest na różnych poziomach, w różnych wymiarach, biegnie w wielu kierunkach. Najważniejsze: to poczucie polskości jest ludzom przyznawane się do niego, potrzebne. Nadaje pełnię ich życiu poprzez wprowadzenie wartości, które uznają za swoje.

Polskość oderwana od narodowości, nie związana prawnie ani terenowo z państwem polskim, ta, która jest udziałem milionów emigrantów polskich, ich dzieci, wnuków i prawnuków, tych, którzy w Polsce się urodzili i wychowali i tych, którzy nigdy w niej nie byli, w swej najgłębszej istocie nie różni się od polskości odczuwanej przez mieszkańców Polski, jest wężem kulturowym. Jest to faza etniczna tożsamości. U każdego będzie ona inna, chociaż pewne wartości będą się powtarzały.

Jakie są te wzory etniczności zarysowujące się słabiej, albo mocniej w tożsamości osób pochodzenia polskiego? Moglibyśmy dyskutować o nich przez długie godziny. Moja lista będzie niepełna i natrafi niewątpliwie na uwagi krytyczne. Trzeba jednak w jakiś sposób zacząć, aby lepiej zrozumieć nasze narodowe abstrakcje. Powtarzającymi się cechami są: stosunek do Boga, albo do Najwyższej Istoty, stosunek do przyrody, gościnność, domatorstwo, chęć osiedlenia się, posiadania „własnego” kawałka ziemi, własnego domu, poczucie dumy z pracy dobrze wykonanej, wyolbrzymione i przewrażliwione poczucie osobistego honoru, trudności w uznaniu zasług innego Polaka, ale i odczuwanie dumy ze światowych osiągnięć Polaków, „twardość” i upór.

Zmieniając otoczenie, przenosząc się do nowego kraju, jesteśmy przez pierwsze lata tak zaabsorbowani uczeniem się na nowo, że mało zwracamy uwagę na to, co się wokół nas dzieje. A dzieje się bardzo dużo. Według teorii systemów, teorii ekologicznej i z badań behawiorystycznych wiemy, że pomiędzy organizmem i jego otoczeniem dokonuje się nieustanna wymiana. Jest w nią zaangażowany cały człowiek: jego ustrój biologiczny i jego struktura psychiczna. Dopiero później, gdy warunki naszego bytowania na emigracji ustabilizują się, gdy zaspokojone zostaną podstawowe potrzeby: dachu nad głową, pracy, wyżywienia, gdy na pytanie „Where are you from?” coraz spokojniej odpowiadamy, że emigrowaliśmy z Polski, gdy wiadomości z kraju od najbliższych nie rozszarpują już nas emocjonalnie, wtedy zaczynamy myśleć inaczej. Zaczynamy spoglądać na siebie dogłębiej i rejestrować zmiany jakie w nas zaszły pod wpływem nowego otoczenia, naszej przybranej ojczyzny, zmiany, których narastania nie zauważyliśmy, albo nie chcieliśmy zauważyć. Pytania: Kim jestem? i Gdzie należę? zjawiają się po raz pierwszy, niespodziewanie. Zwykle jest to chwila przełomowa, naładowana emocją, domagająca się natychmiastowej decyzji i deklaracji: „tu należę”. Tragedia kraju pochodzenia (jakieś tragiczne wypadki w Polsce), wybór papieża, utworzenie „Solidarności”, osobiste doświadczenia, którymi nie sposób podzielić się z otoczeniem — takie i podobne zdarzenia są katalizatorami, dzięki którym pojawia

się po raz pierwszy pytanie: Kim jestem? Dlaczego tak gwałtownie reaguję na wiadomości, które nie powinny mną, oddalonym od Polski, zdecydowanym na emigrację, tak wstrząsnąć? Kim jestem? dotyczą aspektu historycznego, kulturowego i genetycznego. Wynika z pragnienia ciągłości, przetrwania pomostu poza siebie, szukania oparcia w czasie przeszłym. Przynależność do łańcucha pokoleń, w którym polskość (różnie rozumiana jako symbol, wartość, czy też zespół charakterystycznych cech) jest spoiwem (wężem łączącym), spełnia (do pewnego stopnia) potrzebę duszy ludzkiej uczestnictwa w zbiorowości, zakorzenienia w przeszłości, gwarancji nie-zniknięcia, a przetrwania. Przyczynia się więc do utrzymania psychicznej równowagi, ratuje nas od asteroidalnego zawieszenia w próżni.

Gdzie należę? określa w czasie bieżącym przynależność terytorialną i prawną, wynika ze stosunku uczuciowego — zyczliwości i wdzięczności dla kraju, który umożliwia mi swobodny rozwój. Z uczuć tych wypływa lojalność. Ta lojalność nie koliduje z potrzebą przynależności do łańcucha pokoleń. Przeciwnie, im głębiej, otwartiej przyjmujemy siebie jako ogniw w tym łańcuchu, do którego przynależymy poprzez historię, kulturę i genetykę, a przede wszystkim przez świadomy (i podświadomy) wybór, tym szersza i silniejsza staje się nasza lojalność wobec otaczającego nas „domu”.

Bask Lane, kwiecień 1989

Danuta Mastwin

Książki nadesłane

Redakcja Wydawnictw
Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

Ryszard Iwan: *Prawa, obowiązki i zagrożenia narodu według prymasa Stefana Wyszyńskiego*. Ss. 78, nakład 1025 egz.

Chrześcijański Wschód a kultura polska. Studia pod redakcją Ryszarda Łuźnego. Ss. 389, nakład 10 000 egz., cena zł. 2800. —

Józef Łobodowski: *List do kraju. Poezje*. Wyb. i oprac. Jerzy Świąch. Ss. 194, nakład 3000 egz., cena zł. 2500. —

Wykłady z psychologii w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w roku akademickim 1987/88. Pod redakcją Andrzeja Januszewskiego, Zenona Uchnasta i Tadeusza Witkowskiego. Ss. 290, nakład 1000 egz., cena zł. 2000. —

Wacław Orszajca: *Mnie nie nie łpaka*. Poezje. Ss. 100, nakład 3000 egz., cena zł. 1700. —

THOMAS J. NAPIERKOWSKI

Polscy sąsiedzi

Proza Anthony'ego Bukoskiego

Znany amerykański filozof i komentator zjawisk społecznych, Michael Novak stwierdził w swojej książce *The Rise of the Unmelttable Ethnics*: Kształcąc się w Ameryce młody człowiek z grupy etnicznej natrafia na takie nazwiska jak: „Bret”, „McAlister”, „Dodsworth”. I dochodzi do wniosku, że nie, co dotyczy jego własnego życia, nie jest godne „literatury”.

Sytuacja Amerykanów polskiego pochodzenia jest jednak jeszcze gorsza. Jak już pisałem gdzieś indziej, obraz Amerykanów polskiego pochodzenia w literaturze amerykańskiej akceptowanej przez krytykę i mającej ogólnonarodowy zasięg jest naprawdę ponury, zaś wyniki szczegółowej pracy na ten temat jasno ukazują naturę tego problemu¹.

Pierwszym wnioskiem tej pracy jest fakt, że Polacy w Ameryce mają bardzo niewielki udział w tworzeniu literatury, która wzbudziła zainteresowanie kręgów literackich czy szerokich rzesz czytelników na terenie Ameryki — z pewnością nie jest on proporcjonalny do udziału procentowego Polaków w całej populacji. Niedostateczność to jednak tylko początek problemu. Utwory, które dotyczą Amerykanów polskiego pochodzenia cechuje brak wyrazistego rysunku charakteru postaci, częste zdawanie się na negatywne stereotypy i — w niektórych przypadkach — przedstawianie całych społeczności jako nie tylko zacofanych i zdeprawowanych, ale wręcz jako podludzi. Sytuacja jest tak rozpaczalna, że właściwie w powszechnie uznawanej literaturze Ameryki nie istnieje ani jeden pełny, trójwymiarowy obraz Amerykanina polskiego pochodzenia, który byłby pozytywny i nie opierał się na jakimś stereotypie.

Wynika to z faktu, że w literaturze amerykańskiej istnieje przemożna tendencja do wykorzystywania Amerykanów polskiego pochodzenia jako symboli: prawie nikt nie traktuje ich jako ludzi, ani nie próbuje ukazać ich życia jako wartości samej w sobie. To prawda, że Amerykanie polskiego pochodzenia służą czasem jako symbole pozytywne, stanowiąc ożywczy element społeczeństwa amerykańskiego; ale jeśli chodzi o poziom literacki i rysunek charakteru postaci, to poza nielicznymi wyjątkami nawet te symbole pozytywne stanowią przeważnie ludzi, którym brak kultury lub ideałów i których cechuje niska inteligencja. Czytelnikom narzuca się wniosek, iż Amerykanie

polskiego pochodzenia stanowią świetne symbole, ale budzą odrazę jako istoty ludzkie.

Warto wymienić jeszcze jedną cechę rysunku postaci. Utwory, w których występują Amerykanie polskiego pochodzenia eksponując często cechy zwierzęce wykorzystywane przy opisie charakteru, zachowania i wyglądu zewnętrznego bohaterów.

Równie godne uwagi są też doświadczenia i aspekty życia polskich Amerykanów pomijane przez całą tę literaturę. Ruch labourystowski, wrogość w stosunku do uprzywilejowanych rodowitych Amerykanów, bariera językowa, dyskryminacja, życie religijne i związane z nim zmagania, ściśle więzy rodzinne, pogarda, sukces i upór, mają swoje miejsce w życiu i historii niemal każdego Amerykanina polskiego pochodzenia. A jednak tym sprawom poświęca się dziwnie mało uwagi. Tak jak gdyby pisarze nie potrafili nawet dostrzec tych doświadczeń, które ukształtowały tożsamość polskich emigrantów w Ameryce. Jak na ironię, tym nielicznym utworom, w których poruszane są te kwestie, często odmawia się jakichkolwiek wartości, lub interpretuje się je jako alegorie. Na przykład opowiadanie Flannery O'Connor *The Displaced Person* jest rozpatrywane niemal wyłącznie jako alegoria religijna, nie zaś dzieje uciekiniera z Polski.

I wreszcie, u źródła problemu tkwi ów dziwny fakt, iż zaden z uznanych przez krytyków czy szeroko rozpoznanych utworów należących do literatury amerykańskiej, a przedstawianych we wspomnianej pracy, nie został napisany przez Amerykanina polskiego pochodzenia.

Krótko mówiąc, obraz życia Amerykanina polskiego pochodzenia w literaturze amerykańskiej prowadzi do wniosku, że w jego społeczności i życiu „nie istnieje coś takiego jak zespół obyczajów, że nie ma możliwości zachowywania obrzędów czy utrzymywania kontaktów z innymi”, które dawałyby mu siłę przetrwania. Jest to oczywiście absurd, ale mimo to taki obraz rzeczywistości zyskał sobie prawo bytu, bowiem niewielu Amerykanów polskiego pochodzenia posiada odpowiednią wiedzę i autorytet, lub interesuje się tym problemem na tyle by ten obraz odrzucić, a poza tym do niedawna zaden z nich nie zabierał głosu w tej sprawie.

Na szczęście na przestrzeni kilku ostatnich lat Polonia zaczęła dochodzić do głosu. Wprowadzam tu rozróżnienie pomiędzy pisarzami amerykańskimi polskiego pochodzenia, którzy dają wyraz swoim doświadczeniom amerykańskim, a pisarzami urodzonymi w Polsce, którzy piszą o Polsce lub o kwestiach dotyczących życia w Ameryce nie związanych z problemami etnicznymi. Do tej ostatniej grupy należą tak wybitne postaci jak Czesław Miłosz, W. S. Kunicki i Jerzy Kosinski, którzy zapewnili sobie pozycję w literaturze światowej. Do pierwszych grup należą tacy pisarze jak Anne Pellowski, John Guzowski i Daniel Michalski, którzy jeszcze ugruntowują swoją pozycję i pełnoprawność doświadczeń Amerykanów polskiego pochodzenia jako tematu utworów należących do literatury amerykańskiej. Dzieła pisarzy urodzonych w Polsce mają niebagatelne znaczenie, tym razem zajmijmy się jednak pisarzami amerykańskimi polskiego pochodzenia. Szczególnie interesuje nas jeden z nich: Anthony Bukoski, którego twórczość i osiągnięcia chciałbym tu omówić.

Anthony Bukoski urodził się osiemnastego października 1945 r. w East End, tzn. w polskiej dzielnicy miasta Superior w stanie Wisconsin. Przez pierwsze lata jego życia rodzina Bukoskiego mieszkała w mieszkaniu nad sklepem żelaznym. W 1950 roku zgromadziła fundusze wystarczające na nabycie domu w tej samej części East Endu, domu w którym Bukoski mieszka obecnie ze swoją żoną.

¹ Michael Novak. *The Rise of the Unmelttable Ethnics*, New York: The Macmillan Company, 1971, s. 169.

² Moja praca, do której się odwołuję to *The Image of Polish Americans in American Literature*, w: „Polish American Studies”, Vol. XI, nr 1 (Wiosna 1983): s. 5-44. Praca ta ukazała się w języku polskim w: *Polonia amerykańska. Przeszłość i współczesność* pod redakcją Hieronima Kubiaka, Eugeniusza Kusielowicza i Tadeusza Gromady, Ossolineum, 1988, s. 581-608.

³ W streszczeniu, które występuje w tekście wykorzystuję z niewielkimi zmianami swój artykuł *Anne Pellowski. A Voice for Polonia* w „Polish American Studies”, Vol. XLII, nr 2 (Jesień 1985): s. 89-97.

Bukoski uczęszczał do lokalnej parafialnej szkoły elementarnej — Szkoły św. Wojciecha, która zajmuje istotne miejsce w wielu jego opowiadaniach. Po ukończeniu szkoły podstawowej, został posłany, kosztem pewnych wyrzeczeń ze strony rodziny, do Cathedral High School, bowiem ojciec uważał za rzecz istotną by jego syn otrzymał staranne katolickie wykształcenie. Po ukończeniu tej szkoły Bukoski, jak wielu innych mieszkańców tego biednego portowego miasta, który mieli ambicję zdobycia wyższego wykształcenia, rozpoczął naukę w studium nauczycielskim stanu Wisconsin w Superior. Szybko jednak stracił zainteresowanie studiami i pragnąc wyostać się z Superior i uwolnić się od „ciężaru domu”, w czerwcu 1964 roku zaciągnął się do marynarki. W czasie służby w marynarce przebywał w Wietnamie. Po uzyskaniu w 1967 r. zezwolenia na zakończenie służby, natychmiast podjął naukę w college u stanowym w Superior, zabierając się do studiów ze wzmocnionym zapalem i kończąc je z wyróżnieniem w 1970 r.; specjalizował się w literaturze. Wkrótce potem poślubił Elaine Zabaski i przeniósł się do Providence na Rhode Island, gdzie dzięki specjalnej pożyczce przysługującej tym, którzy odbyli służbę wojskową uzyskał magisterium w Brown University.

Po trzech latach uczenia w wyższej szkole nauczycielskiej w Walpole w stanie Massachusetts, Bukoski został przyjęty do Programu Pisarskiego Uniwersytetu w Iowa. Podanie o przyjęcie do niego łączyło się z koniecznością przedstawienia probek prozy i właśnie opowiadania, które napisał Bukoski dla dopełnienia swego podania stanowią początek jego kariery pisarskiej. W 1976 r. uzyskał dyplom i pozostał na Uniwersytecie w Iowa by kontynuować studia doktoranckie. Pracując nad swoim doktoratem Bukoski nauczał w różnych college ach i uniwersytetach i w dalszym ciągu pisał prozę, drukując wiele opowiadań w różnych czasopiśmie literackich. W 1984 zrobił doktorat i przyjął propozycję pracy na wydziale Northwestern State University w Louisiane, ale wkrótce potem powrócił do pracy w swojej alma mater, Wisconsin State w Superior, gdzie jest zatrudniony do dziś.

Ta zwięzła biografia okazuje się, jak wkrótce zobaczymy, pomocna przy analizie kariery zawodowej i prozy Bukoskiego, a to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego że dowodzi silnych związków Bukoskiego ze społecznością Amerykanów polskiego pochodzenia, związków, które pisarz podtrzymuje (biografia Bukoskiego stawia go w roli polsko-amerykańskiego „everymana” jego pokolenia) i po drugie, dlatego, że, jak sam przyznaje, większość jego opowiadań ma charakter autobiograficzny lub choćby w niewielkim stopniu odzwierciedla „duchowy i uczuciowy obraz jego osobowości”.

Kariera pisarska Bukoskiego zyskała silne podstawy, a jednocześnie nabrała całkiem innego wyrazu w 1986 r. po wydaniu pierwszego tomu opowiadań *Twelve Below Zero* (*Dwanaście poniżej zera*). Tom ten zawierał 15 opowiadań Bukoskiego, z których większość była wcześniej drukowana w różnych czasopiśmie i ujawniała sporą zręczność autora w posługiwaniu się groteską. Czytelnik natrafi w tym zbiorze np. na postać kobiety tak ciężkiej, że trzeba ją transportować za pomocą dźwigu i taczki (*The Happiness Farm*) czy pracownika młyna o imieniu Beany, który wyładowuje swoje niezadowolone z małżeństwa, strzelając z działka przeciwzwołowego do różnych obiektów, między innymi pralki i trzech „bezbronnych suszarek” (*Route of the Zephyrs*). Postaci w tych opowiadaniach to przeważnie wyrużki społeczeństwa i samotnicy żyjący w lasach północy lub na dalekim Poludniu.

Ogółem rzecz biorąc, tom *Twelve Below Zero* został przyjęty bardzo przychylnie. Na przykład W. P. Kinsella, uznany pisarz kanadyjski, w notce na okładce książki porównał Bukoskiego do

Carson McCullers i Flannery O'Connor, zaś Shirley Ann Grau, pochodząca z Poludnia powieściopisarka i autorka opowiadań, laureatka Pulitzera, w swojej recenzji zbioru stwierdziła, że jest to początek kariery pisarskiej autora o „prawdziwym talencie”. Inni recenzenci określili ten tom jako zaskakujący, z którym należy się liczyć, zaś jego autora uznali za pisarza o autentycznym talencie literackim.

Były jednak i głosy krytyczne. Jeden z recenzentów podkreślał dwuznaczność groteski Bukoskiego kwestionując porównanie go do Flannery O'Connor. O'Connor, twierdził, wykorzystuje groteskę w celach religijnych: dla wyeksponowania doświadczenia przez człowieka samego siebie jako istoty złożonej z ciała i duszy, istoty zakorzenionej w naturze, ale tęskniącej do przekroczenia jej granic. Bukoski natomiast, jak utrzymywał recenzent, zdaje się uciekać do groteski dla celów o wiele bardziej konwencjonalnych, dla wyrażenia irracjonalnego kosmicznego porządku. Inny recenzent, sam używając naciąganej metafory, okazał się jeszcze surowy, twierdząc sławczo, iż mimo niezaprzeczalnego talentu Bukoskiego, groteska w jego utworach polega na korzystaniu ze starych przepisów, według których już dawno temu gotowali dohrze hardziej doświadczeni kucharze.

Dla kariery pisarskiej Bukoskiego najistotniejszym spośród elementów składających się na przyjęcie tomu *Twelve Below Zero* był fakt, iż szczególną uwagę zwrócono na opowiadania *The Children of Strangers* (*Dzieci obcych ludzi*), jedno z dwóch w zbiorze, które wcześniej nie były drukowane i jedynę o tematyce związanej z Amerykanami polskiego pochodzenia. Określone co najmniej przez jednego z krytyków jako najlepsze opowiadanie w całej książce, nie korzysta z groteski i dowodzi zręcznego posługiwania się naturalizmem, wzbogaconym artystycznie, lecz dyskretnie przez wprowadzenie luster jako symbolu eksponującego swoistą epifanię Ralpha Slipkowskiego, związaną z przemianami jednolitego etnicznie charakteru jego pokolenia, dzielnicy i parafii. Prócz oryginalności stylu i tematyki wyróżnia się spośród innych opowiadań tego tomu skalą i głębią polećnych i nierazko sprzecznych uczuć, którym daje wyraz.

Najwyraźniej zachęcony oddźwiękiem, jaki wzbudziły *Dzieci obcych ludzi*, w ciągu ostatnich paru lat Bukoski coraz częściej czerpie inspirację i tematykę swojej prozy ze związku, jaki go łączy z Polonią amerykańską. Analiza trzech spośród tych opowiadań *Tango of the Bearers of the Dead*, *A Chance of Snow* i *The Pulaski Guards* ujawnia wagę tej decyzji dla twórczości Bukoskiego a zarazem dla Polonii.

Tango of the Bearers of the Dead jest błyskotliwie napisanym opowiadaniem o młodziźniecej namietności babki i jej cudzołóstwie wspomnianym w czasie czuwania nad ciałem zmarłego męża, z którym przeżyła pięćdziesiąt lat. Fabułę opowiadania pogłębia obecność dorosłego wnuka, który chciałby poznać przeszłość, babka natomiast rozpaczliwie stara się o niej zapomnieć. Wzmagu to złożoność opowiadania i powieksza jego i tak już silną głębię uczuciową. *Tango of the Bearers of the Dead* mistrowsko osadza uniwersalną historię w środowisku polskich emigrantów w Ameryce ukazując ogromną dbałość o szczegóły i intensywność stanów emocjonalnych, subtelnie przeplatając dwa zagadnienia szczególnie związane z problemami etnicznymi: wkraczanie przeszłości w teraźniejszość i odmienności perspektywy widzenia rzeczywistości przez różne pokolenia, szczególnie zaś różnice pomiędzy pierwszym a trzecim pokoleniem żyjącym w Ameryce.

Podobnie jak *Tango of the Bearers of the Dead*, tak i *A Chance of Snow* posiada podwójny wątek. Jest to opowiadanie o Łukaszu Cedzyńskim, polskim marynarzu wpływającym na statkach handlowych, który ucieka ze statku w Superior, i o rodzinie Kiszczyk

Dorastająca córka, Agnes Elizabeth Kiszewski (pełniąc funkcję narratora utworu), przychodzi z pomocą Cedyzińskiemu. Akcja opowiadania ogranicza się do niewiarygodnych wysiłków Kiszewskich by ukryć marynarza i mu pomóc oraz momentu podjęcia przez Cedyzińskiego ostatecznej decyzji o powrocie do Polski. Realistyczne szczegóły narracji i wprowadzenie młodocianego narratora, pozwalają Bukowskiemu poruszyć parę istotnych kwestii dotyczących doświadczeń Polaków w Ameryce. Należą do nich: trudności związane z asymilacją (lub „dopasowaniem się”, mówiąc słowami Agnes), które odczuwają zarówno wcześniejsi polscy emigranci, jak i niedawni uciekinier ze statku, fascynacja Amerykanów polskiego pochodzenia krajem ojczystym, wyraźna w trzecim pokoleniu oraz różnice między Amerykanami polskiego pochodzenia a rdzennymi Polakami.

Wracając do opowiadania o trzech pokoleniach, utwór *The Pulaski Guards* koncentruje naszą uwagę na relacji pomiędzy babcią Syzmonska, która leży w domu starców bliska śmierci i jej wnukiem Walterem, biorącym na siebie w większym stopniu niż jej własne dzieci cały ciężar opieki nad babką. Uciekając się do zabiegów wprowadzenia drugoplanowego, lustrzanego wątku, Bukoski re-lacjonuje też historię Leny Kancer, starej Żydówki polskiego pochodzenia, która także stale przebywa w tym domu i wymaga ogromnego poświęcenia ze strony swego syna i wnuka. I tym razem akcja jest ograniczona do minimum, a główne wydarzenia to wstąpienie Waltera, częściowo dla pocieszenia babki, która martwi się, że jej dzieci zatracają odrębność etniczną, do Straży Pułaskiego, lokalnego bractwa połońskiego oraz mające głębokie znaczenie spotkanie Waltera z panem Kanerem, synem Leny. Opowiadanie prezentuje umiejętnie postawy trzech pokoleń rodziny Syzmonska związane z ich polskim i polsko-amerykańskim pochodzeniem i kulturą, stosunki polsko-żydowskie zarówno w Polsce, jak i w Ameryce oraz historię i rolę bractw w polsko-amerykańskiej społeczności.

Jedną z niewątpliwych korzyści, jakie odniósł Bukoski pisząc swoje polskie opowiadania to wyrobienie dojrzałego stylu pisarskiego i fakt, że jego głos jako pisarza stał się bardziej określony. Zamiast odwoływać się do niejednoznacznej groteski, Bukoski zaczął się posługiwać z dużą wprawą tym, co można by nazwać zmodyfikowanym „symbolicznym naturalizmem”. W większości „polskich” opowiadań daje się zauważyć prawdopodobieństwo i autentyzm przywołujące na myśl naturalizm. Ich cechą charakterystyczną jest fakt, iż watek jest wspomagan przez dobór miejscowości, nazwisk i innych szczegółów. Zawsze „mistrzowski odmalowujący scenę”³. Bukoski ujawnił teraz zdolność do „tworzenia całych światów”, światów rzeczywistych i pełnych życia, przekonywająco odmalowanych, nie dlatego że przypominają do złudzenia życie, które zna większość jego nie polskich czytelników, ale dlatego że jest w nich „wewnętrzna prawda i wiatalność”. Bukoski otworzył drzwi do domów polskich Amerykanów, czego przed nim niewielu zdołało dokonać.

Dwie cechy charakterystyczne wyróżniają jednak naturalizm Bukoskiego. Pierwsza to jego znaczenie symboliczne, niemal mityczne. Wiele spośród najlepszych opowiadań Bukoskiego wzbogaca obecność jednego zawyczaj szczegółu — na przykład w opowiadaniu *Tango of the Bearers of the Dead* jest to zegarek męża, w *Dieciach obcych ludzi* — lustra. Szczegóły te pogłębiają wymowę opowiadań i czynią je bardziej klarownymi.

Co więcej, naturalizm Bukoskiego nie tworzy deterministycznego lub bezosobowego obrazu wszechświata. Nie należy tego błędnie rozumieć: Bukoski nie cofa się przed ciemną, czy nawet brutalną stroną rzeczywistości, ale także nie zatrzymuje się na niej. W kulturze

polskiej w Ameryce, zarejestrowanej w opowiadaniach Bukoskiego jest przenikliwość i siła zbacza, podtrzymująca życie.

Bukoski osiągnął także dojrzałość w posługiwaniu się językiem i dialogiem dla wykomentowania punktów widzenia, postaci i scenarii. Od dawna przyznawano, że Bukoski odznacza się świetnym słuchem jeśli chodzi o tworzenie dialogów, teraz wzbogacił jeszcze tę zdolność o powstanie na przestrzeni trzech pokoleń osobliwości językowe środowiska polsko-amerykańskiego. Na przykład babka Syzmonska ma skłonności do makaronizowania, używania zniekształconych konstrukcji gramatycznych i fonologicznych uproszczeń, charakterystycznych dla starszych Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy nauczyli się angielskiego w późnym okresie życia: — *Noisy cow — she said. — Malo mleką daje... You great talker... Your father and uncle say teese things to me. All you noisy cow*³. Podobnie Agnes Kiszewski, przedstawicielka trzeciego pokolenia polskich emigrantów w Ameryce, nagrawa się ze swojego młodszego brata przezywając go „Gacie” i w obecności swoich przyjaciół zwraca się do niego per „Kiszewski”. W opowiadaniach Bukoskiego, „straszny” także widmo złej polszczyzny. Nie zawsze można stwierdzić czy jest to zamierzony efekt: wadliwe posługiwanie się językiem polskim, nawet wśród starszego pokolenia, jest w środowiskach polonijnych częstym zjawiskiem. Wzmiana to tylko prawdopodobieństwo polskich opowiadań.

Talent pisarski Bukoskiego ujawnia się najpełniej i najdojrzałej w kreśleniu rysunku postaci. Bohaterowie wcześniejszych opowiadań byli niewątpliwie łatwi do zapamiętania, jest jednak stosunkowo nie-trudno odwarzać samotników i wyrzutków społeczeństwa, jako że są to postaci jednowymiarowe i na ogół stereotypowe. W polskich opowiadaniach Bukoski podjął wyzwanie przedstawiania szerokiego spektrum postaci. Są tu: sędziwi dziadkowie, ich dzieci w średnim wieku, młodzież, Amerykanie polskiego pochodzenia i Polacy. „WASP-y” (White Anglo Saxon Protestant — Biali Anglosaski Protestant, termin używany w odniesieniu do Amerykanów angielskiego pochodzenia — przyp. tłum.) i Żydzi amerykańscy; dociekliwi i obojętni, pewni siebie i mialsi. Co więcej, rysując tak różnorodne postaci Bukoski odniósł spory sukces, tworząc bohaterów o znacznej głębi i złożoności — jest to niejako klucz do jego sukcesu, jako że proza ta koncentruje się raczej na osobowościach niż na wydarzeniach. W rozwoju możliwości Bukoskiego jeśli chodzi o kreślenie bohaterów szczególnie duże wrażenie czyni fakt wypracowania umiejętności czuwania się w psychice głównych postaci i ujawniania ich najbardziej skrytych reakcji wobec otoczenia. Jednym z mechanizmów tej szczególnej zdolności jest odważne wprowadzenie przez pisarza narracji w pierwszą osobie, szczególnie narracji prowadzonej, jak to już wcześniej zauważyliśmy, przez kobiety, zarówno młode dziewczęta jak i starszki. Niewielu pisarzy, i tym bardziej młodych pisarzy, tak wnikliwie analizowało psychikę kobiety, co jest istotną cechą prozy dotyczącej polskich emigrantów w Ameryce, ze względu na ważną rolę kobiet w życiu Polonii.

Zwrócenie się Bukoskiego ku tematom związanym z polskimi emigrantami i wyrobienie dojrzałego stylu literackiego przyczyniły się do wzrostu jego pozycji jako pisarza. Przede wszystkim jego polskie opowiadania drukowane były w poważnych czasopiśmiech jak np. „Writers' Forum”, „Beloit Fiction Journal”, „North Dakota Quarterly” i „Southern Humanities Review”. Należy też zwrócić uwagę na zasięg geograficzny tych czasopism i na fakt, że większość z nich nie ukazuje się na terenach najgłębszej zaludnionych przez Polaków. Nie można także po prostu powiedzieć, że jego opowiadania zostały jedynie przyjęte do druku, niektóre z nich zyskały

³ — Rycząca krowa — mówiła — mało mleką daje... Ty straszna gadula... Twoj ojciec i wuj mówią mi te rzeczy. Wszystko ty, rycząca krowa” (przyp. tłum.)

szczególne wyróżnienia i uznanie. Alexander Blackburn, wydawca „Writers' Forum”, określił *A Chance of Snow* jako jedno z najlepszych opowiadań, jakie wydrukował w swoim czasopiśmie na przestrzeni lat, zaś opowiadanie *The Pulaski Guards* zostało ostatnio wyróżnione nagrodą Theodora Christiana Iloepfnera jako najlepsze opowiadanie wydrukowane w „Southern Humanities Review” w 1988 r. I wreszcie, wiosną 1989 roku Bukoski otrzymał stypendium swojego uniwersytetu na napisanie czterech innych opowiadań o East End, polskiej dzielnicy Superior.

Nie ulega wątpliwości, że Tony Bukoski zyskał wiele sięgając po swoje polsko-amerykańskie korzenie, Polonia zaś, ze swej strony zyskała także. Brak miejsca zaważył z konieczności naszą analizę do dwóch zagadnień z tym związanych.

Tony Bukoski dostarcza Ameryce niespotykanego niemal wcześniej literackiego zapisu dotyczącego trzech głównych punktów oparcia społeczności polskiej w Ameryce: rodziny, sąsiedztwa i parafii. Podobnie jak Paul Wrobel w swej książce *Our Way*, stanowiącej chyba najbardziej znaczące studium na temat Amerykanów polskiego pochodzenia należących do klasy robotniczej, Bukoski dowodzi swoim czytelnikom, że w środowiskach polonijnych rodzina jest najważniejszą strukturą pośredniczącą między jednostką a całością społeczeństwa; sąsiedztwo daje poczucie tożsamości w sensie geograficznym, społecznym i psychologicznym; a rzymskokatolicka parafia to ośrodek organizacji społecznej i kierownictwa duchowego. Poza tym, opowiadania, które poruszają te tematykę, podnoszą bardzo istotne kwestie dotyczące doświadczeń Polaków w Ameryce: pamięć i zapomnienie, fascynacja Polską, dziedzictwo etniczne, jego utrata i ponowne odkrywanie, zdolność pojmowania przeszłości. Bukoski, w swych stosunkowo nielicznych polskich opowiadaniach, wspomina także o innych kwestiach i doświadczeniach, które mają duże znaczenie dla Polonii: o ruchu labourzystowskim w Ameryce, o związkach polsko-żydowskich i stosunkach Amerykanów polskiego pochodzenia do innych mniejszości etnicznych w Ameryce. To, że Bukoski o tym pisze, ważne jest dlatego, iż właśnie te kwestie i doświadczenia pomijane są zupełnie w nielicznych utworach innych autorów, które dotyczą Amerykanów polskiego pochodzenia.

Przedstawiając szerszej publiczności rodziny polskich emigrantów w Ameryce, oprowadzając ją po polonijnych opłotkach i zapraszając do polonijnych kościołów, Bukoski ukazuje wielu Amerykanom po raz pierwszy życie ich rodaków polskiego pochodzenia. Co więcej, owi sąsiedzi, których spotykają Amerykanie, to nie symbole czy stereotypy, ale istoty ludzkie o złożonym życiu wewnętrznym. Nie są na ogół bohaterami ani świętymi, ale ludźmi, którzy mają pełny udział w każdym ludzkim doświadczeniu, a doświadczenia te są uwarunkowane przez ich polskie pochodzenie. Są to ludzie, w których życiu, w mniejszym lub większym stopniu, widoczny jest fakt, iż należą do starej i dumnej cywilizacji, wykazują dojrzałość i świadomość wartości wynikających z kontaktu z przeszłością. Staje się coraz bardziej jasne, że tylko ci, którzy doświadczyli kontaktu z tą społecznością, mogą ją wiernie odzwierciedlać.

Tony Bukoski żarzył się ujawnieniem się, narażając się na niebezpieczeństwa nie tylko dlatego, że jest inny, ale i dlatego, że próbuje obalić obraz siebie samego i swej społeczności narzucony przez zewnętrznych obserwatorów. W ten sposób odnalazł właściwy sobie ton i stał się kimś więcej niż zdolnym pisarzem: stał się dobrym pisarzem, odnoszącym coraz większe sukcesy. Proza Bukoskiego to żywa pamięć Polonii, a jego sukces świadczy o tym, że Ameryka słucha.

Przełożyła Ewa Pyczek

ANTHONY BUKOSKI

DZIECI OBCYCH LUDZI

Ralph i Josephine Slipkowski mieszkają na Raspberry Avenue¹ w parterowym domu z dwoma sypialniami — nie jest on malinowy, ale zielony, wykończony białą farbą. Ma mosiężną gałkę przy drzwiach i kołatkę w kształcie amerykańskiego orła, której nikt nie używa. Latem cieszy oko stojąca tuż przy drzwiach skrzynka petunii, nieco dalej rosną mietki, za domem nagietki. Piękny klon cukrowy zdobi ich podwórkę w mieście Superior² w stanie Wisconsin, mieście posiadającym dworzec kolejowy i port, mieście, którego dewiza — „Tu jest przednio, bo szyny ku morzu biegną” — zrodziła się na posiedzeniu Izby Handlowej w hotelu Androy na Tower Avenue. Kiedy zdarzy się, że przez jakiś czas nie pada, Ralph Slipkowski kosi i podlewa trawnik. Nożem i łopatą okopuje go wzdłuż chodnika, żeby wypełnić chwasty. Ralph jest zawsze pod ręką, gdy Josephine potrzebuje otuchy, szczególnie ostatnio, kiedy coraz częściej czuje się niepewnie. Wielu ludziom trudno sobie wyobrazić, iż ktoś, kto mieszka w ładnie utrzymanym domu i uważa za punkt honoru dbałość o jego wygląd, może przeżywać jakiegokolwiek rozterki. Wielu ludziom nie przyszłoby to do głowy, bo domy takie jak ten powinny świadczyć o osiągniętej przez właściciela stabilizacji i być oznaką ładnie utrzymanego życia. Parterowy dom Josie i Ralpha jest nowoczesny, ale problemy Josie do takich nie należą.

Gdy Josie i Ralph przeglądają się w lustrze wiszącym w dużym pokoju, widzą dwoje podpadających ludzi. Ralph spędził wiele czasu w pokojach z lustrami. Tego wieczoru Josephine układa włosy, jej mąż zakłada krawaty. W gruncie rzeczy tylko Josie pojmuje, co się wokół niej dzieje. Od kiedy zaczęło się owo powątpiewanie nie widzi przed sobą jasnej przyszłości. Powodem tych wątpliwości nie jest ani rodzina, ani jej własne ja. Istnieje jednak jakiś powód. Sama myśl o tym, nazywa to nawet „kresem czasu”, ale nigdy przy Ralphie. Bo właśnie Ralph nie zauważa tego, co się dzieje, myśli Josie. Nie dostrzega znaku „Koniec” stojącego tu oto przed nim w lustrze, lub też zaraz za progiem na ulicy. Ralph był dobry i troskliwy przez całe ich wspólne małżeńskie życie. Dzieciaki też. Ale on po prostu nie widzi, co się dzieje. Nie ma powodów do obaw; nie potrafi odczytać znaku w lustrze.

¹ Raspberry Avenue — ulica Malinowa (przyp. tłum.)

² Superior — nazwa znacząca: przedni, pierwszorzędnny (przyp. tłum.)

— Drogie, naprawdę dobre lustra można odróżnić, dotykając szkła opuszkami palca — mówi Ralph. — Pomiędzy miejscem, którego dotyka twój palec, a tym gdzie zaczyna się drugi, jest odbicie jednej ósmej cala, lub nawet więcej. Tanie lustra nie dają takiego głębokiego odbicia jak drogie. W drogich lustrach lepią człowieka widuć.

Dębowa toaletka z najkosztowniejszym lustrem Josie i Ralpa stoi w domu przy uliczce wysadzanej wiązami, gdzie domy niegdyś były zadbane, a teraz są coraz bardziej odrapane i zniszczone. Domy w Superior podupadają, kiedy się o nie nie dba, nie maluje się ich, kiedy różne drobne sprawy nie idą właściwym torem. A stało się tak, odkąd ludzie stracili pracę. Chłodne, deszczowe i mgliste wiosny i lata pogarszają jeszcze stan ludzi i ich domów, ale nie domu Ralpa Slipkowskiego, który nawet na emeryturze zachowuje się jak skrupulatny, niezmordowany pracownik, zwłaszcza w pokoju obwieszonym dokoła lustrami. Lustro na dębowej toalecie tkwi, niczym serce, w samym środku domu.

Parę mil od domu Ralpa i Josie mieszkają cztery zakonnice. *Szkola Wojciecha*³. Nazwiska jej uczniów to na przykład Marecki, Mizinski, Symyk, Lalko i Urbanak. Są oni jako uczniowie bardziej pracowici i trzeźwo myślący niż niegdyś ich rodzice, bo oto zdarzyło się coś osobliwego. Stanislaus Wysinski, sąsiad państwa Slipkowskich doprowadził raz swego syna do okna i wskazując na grupę robotników układających tory linii Great Northern powiedział: „Bierz się do roboty w szkole, synu, inaczej, na stare lata, będziesz sywał piach na podkłady kolejowe!” A Josef Stasiak, którego wnuk rzucił naukę i poszedł do pracy przy rozładunku węgla, powiedział, usiłując nakłonić go do powrotu do szkoły: „*Chcieś, teraz masz?*”. Ralph Slipkowski tak samo postępował ze swoimi synami. Życie Ralpa, Josie mogłaby to potwierdzić, nie było łatwe. Liczył na coś więcej, może zakład fryzjerski obsługujący jednocześnie trzech, czterech klientów. Chciał jak najlepiej dla chłopców. Ale przecież na czas kiedy nie chciał im się uczyć musiał ustanowić pewne prawo: „To jest mój zakład. Dopóki jesteście w moim zakładzie” — mawiał — „macie robić to, co ja każę”.

— Tak, Ralph — mówi Josephine — nawet jeśli życie siostr nie jest łatwe — jedna z nich musi zajmować się praniem, gotowaniem i sprzątnięciem — to przynajmniej mają jakieś zajęcia. Siostra Bronisława jest ostatnią ze starej gwardii. Pomyśl tylko, ile lat tutaj spędziła!

Ralph wchodzi do dużego pokoju. Podejmując z góry skazaną na niepowodzenie próbę walki z nadchodzącą starością Josie stroi się przed lustrem.

— Czy dobrze leży ten krawat? — pyta Ralph.

— Te dzieciaki z sąsiedztwa doprowadzają siostry do szalu... Tak, Ralph... dobrze leży... Siostry wracają jedna za drugą prosto do Domu Prowincjalnego. Ale ostatnio jest chyba jeszcze gorzej.

³ W tym i innych miejscach zachowałam charakterystyczną, zniekształconą pisownię (przyp. tłum.)

Ralph wciąż ma włosy Butch Wax. Wciąż jeszcze go używa — od dwudziestu ośmiu lat. Także od dwudziestu ośmiu lat — odkąd są małżeństwem — chodzi na mszę, wprawdzie nieregularnie. Ralph i Josie wiele dyskutowali, gdy chłopcy osiągnęli wiek szkolny, zanim pozwolili, by uczęszczali do szkoły św. Wojciecha. — To mój obowiązek dać im katolickie wykształcenie — twierdziła wówczas Josie. — Dlaczego i ty tego nie czujesz?

— Szkoły państwowe są niele — powiedział Ralph — ale jeżeli przy tym obstajesz, niech tak będzie.

Chłopcy skończyli już szkołę i odeszli, odjeżdżają starzy znajomi — myśli Josie — *ich domy zbezczeszczone*. Myśli o tym jak władze miejskie przenoszą ubogie rodziny do pustych domów w okolicy, kiedy nie ma już miejsca w państwowych kwaterach przy stoczni Frasersa. To nie jest żadna celowa akcja, z tego zdaje sobie sprawę, to nie działanie wymierzone przeciw niej i Ralphowi, ale tak się akurat składa, że większość pustych domów znajduje się w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Niektórzy Polacy zmarli, inni wyjechali w poszukiwaniu pracy. Miasto kupuje ich domy za cenę dużo niższą od wartości rynkowej i zaraz potem wdzierają się tu nowi przybysze. Teraz dzieci obcych tłuką szkołę na chodnikach, pędzą po uliczkach na uczących motorach i pozwalają psom biegać po ulicy. Skąd pochodzą ci ludzie, którzy rozrzucają żelastwo po podwórzu, zastanawia się Josephine, z okolic Iron River czy Brule? Jej mąż raz jeszcze spogląda w lustro, bez lęku ogląda własne odbicie w drugim lustrze stojącym na toalecie jego babki.

Josephine poprawia kolnierzyk, spryskuje lakierem VO 5 jakiś niesforny lok. Ralph Slipkowski wciąż kręci się po pokoju. Chłopcy odeszli, myśli Josie, starzej się. Czy łatwo było wychowywać dwoje dzieci, prowadzić dom i jeszcze nie wpaść w długi, kiedy zakład był nieczynny albo Ralph chorował? — myśli. Przypomina sobie jak się borykali z trudnościami, jak wtedy, gdy Ralph zaczął pracować w nowym miejscu — w zakładzie prowadzonym przez dwie osoby — i przekonał się, że jego wspólnik lubi flirtować z kobietami. Klienci Ralpa wiedzieli już o tym wcześniej. Interes szedł marnie dopóki Ralph nie zaczął pracować sam.

Przez ostatnie parę miesięcy, czy nawet rok siostry zajmowały myśli Josie, tak samo jak lustra — myśli Ralpa. Siostry mieszkają w sąsiedztwie nowych przybyszów, którzy nie dostali mieszkań przy stoczni. Siostra Stella, siostra Cecilia i siostra Apollonia przybyły tu i odeszły. Miały kornety z białego, sztywnego, nakrochmalonego materiału. Kwefy odstawały im ostro od szyi. Lakierowane różańce kołysały się u pasa w takt kroków. Ale siostra Bronisława ma teraz trzy nowe siostry do towarzysstwa. Dobre siostry ze szkoły Wojciecha troszczą się z prawdziwym oddaniem o szaty liturgiczne ojca Nowaka, zamawiają świece wotywnie, zamiatają w zakrystii, prowadzą chór, szkoła ministrantów, prowadzą lekcje, nadzorują, modlą się. Przed obiadem modliły się przez parę godzin.

Ale mimo modlitwy i suplikacji, podupadają, myśli Josephine. Nawet wrażliwi ósmoklasiści spostrzegają, że siostry starzej się, że ich własni rodzice zapominają język ojczysty, że społeczność, no

cóż... zaczyna podupadać. W początkowych latach istnienia szkoły, uczniowie siostry Bronisławy w coś jeszcze wierzyli. W roku 1916, kiedy położono kamień węgielny, czuli dziedzictwo krwi, a ona była niejako cząstką tej spuszcziny. Wzbudzała w nich bojaźń i podziw. Siostra Bronisława, nauczycielka niesfornej polskiej młodzieży, kształciła ich, nauczala nas, mnie — myśli Josie — pracować pilnie w szkole i w domu, szanować polską flagę i wznosić w wierze. Dziś — sąsiedzi zeszli na psy z ludźmi innej wiary, albo i żadnej wiary. — Wyprzedzają nas ludzie bez tradycji, Ralph, którzy korzystają z pomocy społecznej — mówi Josie do męża.

On spogląda teraz w lustro wiszące w sypialni. Bez żadnych obaw chodzi od lustra do lustra, z pokoju do pokoju, dobre lustro, kiepskie lustro. Najlepiej widzi własne odbicie w drogim lustrze stojącym na toalecie jego babki. Doprawdy, jest to takie świetne lustro, że niemal widzi w nim przeszłość. Dla tego fryzjera, jedynego właściciela i gospodarza zakładu przy zbiegu ulic Belknap i Ogden w Superior, jego własna przeszłość nie była nigdy przedmiotem troski.

— Ralph Slipkowski! — woła ona.

On nadchodzi z wytwornym gestem. — Tak, jestem gotowy — mówi. Jego włosy są siwe. Układają się dobrze i lśni na nich Butch Wax. Siwizna harmonizuje z jego tweedową marynarką. — Zaczyna się o wpół do ósmej, prawda? — pyta. Z jego twarzy promieniuje życzliwość. — Pożegnajmy tę naszą staruszkę. — Podzwania kluczykami do samochodu. Podaje Josephine palto. W duszy Josie panuje wczesna zima. To co nadchodzi, okaże się jeszcze gorsze, myśli. Wątpliwe, czy będzie to w stanie przeżyć. Już nawet wyginięcie byłoby chyba lepsze niż wątpliwości, myśli.

— Ułożyło nam się wcale nieźle, prawda Ralph?

W samochodzie myśli o siostrze Bronisławie. Przez chwilę nie wie z kim rozmawia, tak jakby ta pocziwa siostra była tu razem z nim.

— Jak szybko mija chwile — mówi głośno Josie.

Słyszysz stulimiony śmiech Ralpha. — Co takiego? — pyta.

— Byłam myślami przy siostrze. Słuchasz, Ralph? Nie zadawał sobie trudu.

Rozumiesz cię, Ralph, kochanie. On prowadzi samochód, jest zadowolony z siebie. Zrobiłeś wiele dobrego dla sióstr i dla księdza, myśli Josie. Nasi synowie dorosli i odeszli od nas. A nawet jeśli teraz nie słuchasz: przez cały czas tego co mówię, to jakie to ma znaczenie? Słuchałeś uważnie przez dwadzieścia osiem lat. Chodzi po prostu o to, że nie wiem co kryje przeszłość. Przegrywamy. Widzę jasno, że przemija ta siła, która tkwiła w naszej rodzinie, w naszym pokoleniu. Nasi chłopcy, Al i Terry, nie mają w sobie tej mocy, jaką przywoływały siostry ze starego kraju. Jesteśmy u schyłku, Ralphe Slipkowski, i ja hoję się tego.

Ralph sprawdza w lusterku, co dzieje się z tyłu na szosie. Włącza kierunkowskaz, skręca na Piątą Ulicę. Przejeżdża obok Zakładów Hydraulicznych Van Damme'a i Biblioteki w East End.

Ty nie ponosisz winy, jesteś przeciwnym człowiekiem i nie masz wielu wad. Ty, Al i Terry nigdy nie przeczyłicie historii tak jak ja. Czasami hoję się o siebie samą. Dom, w którym wyrosłam był niezwykle i święty.

W szufladach przechowywano gromnice, w kilku pokojach była woda święcona. Czarna krepa na drzwiach oznaczała śmierć. Kiedy upuściliśmy chleb na podłogę, babcia kałała nam go całować. Historia mnie prześladowe. Ty i chłopcy nie wiecie nawet jak bardzo. A dziś musimy uważać co się dzieje i zamykać drzwi na klucz, kiedy wychodzimy z domu.

Ralph prowadzi samochód bez wysiłku, nucąc pod nosem. Mija Northern Block. Skręca w następną ulicę za skrzyżowaniem obok apteki i banku.

Patrząc przez okno, Josephine widzi panią Pawłowską i panią Fronckiewicz, dwie Polki idące razem pod rękę. Zmierzały w tym samym kierunku co państwo Slipkowsi. Machają do nich. Ralph skręca gwałtownie w Czwartą Ulicę.

— Ci starzy ludzie... — mówi.

Ale z myśli Josephine ich obraz nie znika tak łatwo, bo przecież w ponure zimowe godziny — grudzień, styczeń, luty, marzec, część kwietnia — pani Cieslicki, pani Kiszewski, pan Pomerinski, pan Tomazewski, siostra Bronisława, wszyscy gromadzą się na nabożeństwo w kościele dla polskich emigrantów. Wówczas tak jak każdego innego dnia przychodzą na mszę. Nawet gdy pogoda nie sprzyja, siostry i Niemodli już parafianie modlą się jak o każdej innej porze roku. Nic im w tym nie przeszkodzi. Dlaczego niosą ich tutaj stare zmęczone nogi? Dlaczego znękanie dusze zrywają się zimą, by iść do zimnego kościoła, gdzie czasem mszę odprawia przyjezdny ksiądz? Ci starzy ludzie przychodzą o szóstej rano na mszę przyjezdnego księdza, a potem czekają na mszę ojca Nowaka o ósmej. Przez całe lata Josie Slipkowski utwierdzała w ten sposób swoją wiarę, utwierdzała swoją wiarę poprzez wiarę innych. Z czasem uświadomiła sobie, że spośród tych wszystkich starych ludzi, do których należała i jej własna babka, Babusia, spośród wszystkich tych emigrantów z Poznania i Szczecina, Warszawy i Białegostoku, przynajmniej ktoś jeden musiał żywić coś więcej niż prostą, ślepa wiarę, kiedy przychodził rano na modlitwę. Ten człowiek — chłop z okolic Łodzi, piekarnik z Katowic, pan z Zielonej Góry — musiał mieć pewność, czy to tutaj, czy jeszcze w szlonek kraju, że warto rano wstać. Tym właśnie przewyższają polscy emigranci tych nowych przybyszów, myśli Josie: poczuciem ciągłości, wiarą, która przetrwała lata i przeszła wiele dróg.

Szkoła Wojciecha znajduje się przy Trzeciej Ulicy i Dwudziestej Drugiej Alei. Wyglądając przez okno można stąd zobaczyć King Midas Flour, stację wydłunkową nafty, Hog Island i Minnesota Point. Tego wieczora sam ojciec Nowak uruchamia kościelny dzwon. Ralph zatrzymuje samochód przed garażem pani Konczak, która wychodzi z domu powiewając czerwoną chustką. — To dohrze — mówi pani Konczak, i Ralph z Josie przyłączają się do pozostałych parafian. Z dołu dochodzi zapach kawy i kwiatów, dymu papierosowego i różnych pieczonych przysmaków. Słychać głosy parafian — ogólny gwar przepłata się ze śmiechem i śpiewem. Pan Adam Burbul, państwo Tomazewski, Augie i Louie Fronckiewicz z matką i siostrami,

dobra, cierpliwa Helen Stromko z taniego sklepiku, państwo Nicolski, Johanna Havanac, pani Cieslicki, pani Podgorak — tego czwartkowego wieczora zebralo się dwadzieścia osób. Jakże Josephine Slipkowskiej żaluje, że nie widza tego Ali Terry, którzy przez osiem lat przychodzili do tej sali grać w koszykówkę, a także jej nieżyjący już babcia i dziadek, Babusia i Dziadus.

Anthony Coda, kolega szkolny z roku 1934, z czerwono-białymi goździkami w kłapie marynarki, stoi przy drzwiach, a z nim Matthew Barbul. Ralph przynosi krzesło dla Josephine. Gdy milkną dźwięki kościelnego dzwonu, pojawia się ojciec Nowak. Na scenie siedzi siostra Bronisława. Parafianie śpiewają *Jeszcze Polska nie zginęła*.

Jak my przegrywamy, myśli Josephine Slipkowskiej. Próż lat spędzonych w Szkole Wojciecha, po czym będzie można poznać tych młodych, którzy zmieniają nazwiska i wyjeżdżają? Co zostaje oprócz szkoły? Oprócz siostry Bronisławy?...

Josephine przypomina sobie, że matka jej opowiadała jak kiedyś, dawno temu, siostra Bronisława chodziła od drzwi do drzwi okolicznych domów, których mieszkańcy odbywali kwarantannę. Fioletowa kartka na drzwiach oznaczała tyfus, czerwona — szkarlatynę. Przyklejał je Wydział Zdrowia. Siostra Bronisława pytała: — Czy potrzebuje pani coś do jedzenia, pani Zimski? Drzewo na opał wyrzuczone z morza... drzewo z lasu? — Nie, ona nie była słaba, myśli Josie.

Beżowa i zielona farba na ścianach sali gimnastycznej wypłwiała i poodpryskiwała; twarda drewniana podłoga, choć ostatnio pasetowana, jest tak wypraczona, że nie tu nie pomoże naprawa. Wzdłuż ścian biegają rury ogrzewcze. Towarzystwo Różańcowe udekorowało je białoczerwonymi flagami. Obecni są wszyscy starzy parafianie.

— Ci starzy Polacy nie pozostaną już z nami długo — mówi Josephine do Ralph'a. Sama siostra jest tutaj już od pół wieku, myśli Josie. Może nawet nie minie tydzień czy miesiąc i przeczytamy w gazecie, że wszyscy oni odeszli na zawsze.

Niektórzy starszuszkiwie nie znają wcale angielskiego. Ci, którzy znają, śpiewają teraz, czekając aż ojciec zdąży odchrząknąć, „*Joining Poland's sons and daughters, we'll be Poles forever*”⁴. Próż jego głosu nie słyhać, w sali panuje cisza.

— Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowo uroczysty — mówi. — Przybyliśmy tutaj na twoją cześć, Siostron Bronisławo.

Trzymając ręce na kolanach, siostra pochyla się do przodu. Wpatruje się w ojca Nowaka, spogląda w dół na parafian zebranych w sali gimnastycznej. Trzyma teraz, trochę niepewnie, dar — czerwona szkatulka przewiązana białą kokardą: szkaplerz, myśli Josie Slipkowskiej. *Żywoty świętych* opakowane w polskie barwy narodowe. Siostra Bronisława przyciska książkę do siebie patrząc na ściany, które zna już od tak dawna, i na ludzi: na polskiego księdza, na byłego nowiejusza, na właściciela sklepu spożywczego, redaktora gazety, nauczyciela, urzędnika bankowego i zwrotniczego z Great Northern. Nie wiedząc, jak się ma zachować, przyciska dar do

krucyfiksu wiszącego na jej szyi na złotym łańcuszku. Podarunkowi towarzyszą podziękowania parafian. Wstają by ją okłaskiwać.

— Co to? — pyta zaskoczona.

Ojciec Nowak czyta list od biskupa z gratulacjami i życzeniami. Później, kiedy inni składają podziękowania siostrze Bronisławie, siostra Digna gra na pianinie *Boże coś Polskę*. W starej sali dźwięczą melodie, które nie dają ludziom spokoju, napelniają smutkiem, przesładując niezapomnianą muzyką przeszłości. Co można powiedzieć o tej muzyce? Chopin... Paderewski... Jest romantyczna i pełna czułości.

Obcy przybywają w taki sam sposób jak to miało miejsce przez stulecie. Właśnie gdy siostra Bronisława wraz z innymi śpiewa po raz drugi *Jeszcze Polska*, słyszą skrzypnięcie drzwi otwieranych powoli i niedbale, potem odgłos kroków. Widząc światła w sali gimnastycznej przybysze liczyli pewnie na to, że będą mogli rzucić parę razy piłką do kosza. Starzy Polacy, zastylgli w oczekiwaniu na najście, słysząc jak tamci gadają, żują gumę i odbijają piłkę. W sali zalega cisza, słyhać tylko, jak od czasu do czasu ktoś zakasze lub skrzypnie krzesłem. Nawet ojciec Nowak z listem biskupa w kieszeni marynarki i siostra Bronisława siedząca na krześle na podium zwracają wzrok ku wejściu znajdującemu się u podłoża schodów, przewidując hulaśliwie, gwałtowne wtargnięcie intruzów w ich życie.

Dwaj chłopcy w podartych kurtkach wkraczają tu tak wyzywająco, jakby mieli do tego prawo. Te dzieci obcych zawładnęły już okolicą, a teraz biorą się za szkołę. Przechodzą i wychodzą niczym nie skrępowani. Kiedy młodszy wchodzi się po ulicach, ich starsi bracia zaczepiają słabych i cichych.

Widząc starych Polaków, obaj chłopcy zatrzymują się. Przygarbieni, żując swoją gumę, wpatrują się w twarz Polki, której wiek i kultura nie dla nich nie znaczą. Jeden z chłopców ma ziemistą, niezdrową cerę i sine kręgi pod oczami. Drugi, próbując zapuścić wąsy, wyhodował kilka sterzących włosków nad górną wargą. Dwaj chłopcy, licząc nie więcej jak trzynaście czy czternaście lat, stoją niezdecydowani. Nie są uczniami tej szkoły. Może nigdy dotąd nie byli w tej sali gimnastycznej. A może, widząc państwa Nowozinski, Alberta Roubala, państwa Stefanki i dwadzieścia innych osób, odkryli ów „kres czasu” Josephine Slipkowskiej i nie potrafili się uwolnić, aby zapaść w ciemność i noc, jeszcze nie teraz. Bo natrafiając na tę grupę starszuchów odkryli przeszłość. To pobudza ich wyobraźnię.

Na froncie zachodnim w 1939 polscy kawalerzyści wnosząc łniące szable atakowali niemieckie czołgi. Wyzywający buńczuczny donkiszoterij z żołnierze z minionego stulecia rzucili się do ataku w erę mechaniczną i zniknęli w kłębach dymu. W tym samym czasie w Polsce, młodzi lotnicy odbywali manewry na szybowcach. Kiedy Polska ostatecznie poniosła klęskę, Polskie Radio nadało poloneza i zamilkło. Rozgłoszona zakończyła program akcentem przeznaczonym dla marzycieli.

To, co się dzieje obecnie w sali gimnastycznej polskiej szkoły, wygląda jak gdyby dziwnym zrządzeniem losu dwaj intruzi odkryli

⁴ Angielskie słowa hymnu polskiego (przepr. tłum.)

przecinkę w lesie, przez którą widać kawalerzystów pędzących do swego ostatniego, szalonego, śmiertelnego ataku. W tej jednej krótkiej chwili po raz pierwszy dostrzegają obaj szlachetne rysy swoich sąsiadów. Z tego jak ci starzy ludzie zebraли się by uhonorować zakonnicę, widać wyraźnie, że podtrzymują swoją tradycję i wiarę. Podczas gdy Josephine przez parę miesięcy pełnych bezustannych wątpliwości obserwowala, aby w końcu uznać je za fakt, lekceważenie z jakim ci nowi przybysze odnoszą się do innych, tym dzieciom obcych ludzi wystarczyła minuta, by przebiec stulecia walk i znudzić się. Znużeni tą chwilą chłopcy nie dbają już o to, co tego wieczoru zostało przed nimi odkryte. Można by im mówić o Sobieskim atakującym Turków, myśli Josie, o Dąbrowskim, który modlił się w swym namiocie o szczęśliwy powrót do kraju, o placzącej Czarnej Madonnie ze zranionym polczkiem, o Unrugu i bitwie o Hel. Można rzucić na szalę Tadeusza Kościuszkę uwalniającego Warszawę od Rosjan wiosną 1794, a dwóch intruzów nawet to nie wzruszy. Wszystkie te opowieści rozbrzmiewają w powietrzu wokół nich. To one zamieszkują lustra w polskich domach i zmarszczki na twarzach staruszków, ich oczy i pokłady pamięci.

Ale ci intruzi nie zaznali jeszcze wątpliwości. Odbijając piłkę, spstrzegają stół z jedzeniem i ciastem przygotowanym dla siostry Bronisławy. Jeden z chłopców szykuje się do strzału. Spadająca piłka rozdziera papierową dekorację przymocowaną do siatki. Następuje długa, okropna, nieprzyjemna chwila, gdy obaj podchodzą leniwym krokiem do stołu, na którym stoją różne przysmaki, gorące dania, szynki, sery, marynaty i duży biały tort. Niech się najedzą, myśli Josephine Slipkowski. Niech się najedzą do syta, niech nas mają dość, niech nas zostawią w spokoju. Dopóki żyją ci staruszkowie, myśli, zawsze gdzieś będzie grany polonez.

Jest jednak człowiek, który widzi teraz wszystko inaczej — to jej mąż, Ralph. Przez całe życie dostrzegał tylko jasną stronę rzeczywistości i pozostawiał innych ludzi samym sobie. Ale tego wieczoru w sali gimnastycznej widzieli go intruzi i przeszli tuż obok niego. Bezczelnie uśmiechnięci nie patrzyli na niego, ale przez niego, jak gdyby znaczący tyle co nic na tym świecie. I wtedy właśnie w jego umyśle powstała jakaś nowa wizja rzeczywistości. To nie Josie, ale Ralph Slipkowski myśli teraz o zmianach, które widać w lustrze. W wizji tej dostrzega jak w dniach, które nadejdą coraz częściej bunt będący rozdzieraniem miast, a prezydenci i dygnitarze będą chwytni i szykanowani. To nie Josie, lecz Ralph zmienił swój sposób myślenia. I teraz — rzecz niesłychana — nagle zaczyna odczuwać lęk przed spojrzeniem w lustro.

Przełożyła Ewa Pyrek

SÁNDOR CSÓÖRI

Poczucie nieskończoności (odpowiedź na ankietę Libération)

Dlaczego piszę? Nie potrafiłem udzielić dokładnej odpowiedzi na to pytanie ani dotychczas, ani, jak sądzę, nie będę umiał tego zrobić w przyszłości. Nie dlatego, by moje pobudki miały być mroczne i zagmatwane; po prostu są tak różnorodne, wręcz przeczą sobie wzajemnie i czasem nawet mnie samego zaskakują. Teraz na przykład krzątam się wokół nawiedzzonego przez śnieżycę drewnianego domku w lesie, oglądam łączące na śniegu pożywane dachówki, nadwerężony dach i przypominam mi się wojna, ruiny, wśród których wyrastałem; ale nawet teraz, oglądając symboliczne rekwiizyty mojej niedoli nie biadam nad stratą. Przeciwnie, zaczyna we mnie rosnąć jakaś znajoma przekora: każdy poeta żyje ze strat, ta dobroczynna świadomość wyzwala mnie spod przymusu chwili i mimowolnie przypominam sobie tego węża, który w sierpniu minionego roku zjawił się w moim ogrodzie, zlustrował teren, obwąchał drzewa i dopiero pojawienie się mojej przyjaciółki sprawiło, że skrył się w dziupli jednej z mych stareńkich czerśni. Napisałbym najchętniej wiersz o tej pełnej wstydlivosti, współczesnej scenie biblijnej. Dlaczego właśnie o tym? I dlaczego akurat teraz? Może przez to napięcie pomiędzy porami roku? Kto wie? Lecz i teraz niemal słyszę szelest suchej trawy pod bruchem węża, a ptaki latają wysoko nad ogrodem i z ich dziobów opuszczają się ku ziemi długie żółte wstęgi. Czuję, że zaglądam do nieba, do planów bożych i rozgrzewa mnie karnawałowa ruchliwość lata... Człowiek chce pisać pewnie dlatego, na pewno dlatego, bo pisanie nie jest niczym innym, jak tylko pocuciem nieskończoności. Nieskończoność w każdej odmianie. Nawet radość nie jest prawdziwą radością bez perspektywy, a śmierć nie jest prawdziwą śmiercią, jeśli wraz z nią i świat nie przemija. Kiedy piszę — jestem wolny, bardziej wolny, niż kiedykolwiek indziej. „Życie jest grą przegraną z góry” — powiada wielu tworzących pisarzy — ale na szczęście pisanie stanowi jakąś pociechę, a nawet rekompensatę. Jest to mądrość bolesna i gorzka, umysł nawet się nie broni przed jej przyjęciem — a pomimo to ja nigdy nie odczuwałem, że pisanie jest jakąś rekompensatą. Kto tworzy, ten nikogo nie zastępuje i niczego nie rekompensuje, przeciwnie: legalizuje nowe warunki i nowe wymogi, tworzy nowy styl, który zawsze powstrzymuje upadek.

To, co tu jednym tchem powiedziałem, sformułował we mnie żegający w dżungli wierszy Robinson. Poeta, który nawet gdy mówi o skromności, naprawdę żyć może tylko ku pełni i który w najdrobniejszym szczególe ujmuje własną wielkość.

Natomiast prozaik i eseista, który jest we mnie drugim obliczem owego Robinsona, obliczem dziennym i porządkującym, na pytanie „dlaczego piszę?” może udzielić znacznie jaśniejszej odpowiedzi.

Przejdźmy od razu do istoty rzeczy.

Tu, w Europie Środkowej, po wojnie upaństwowiona polityka próbowała upaństwić niemal wszystko. Osobowość, wyobraźnię,

przeszłość, przyszłość, uśmiech, nawet formy oporu. Na początku — trzydzieści parę lat temu — robiła to brutalnie, później — bardziej delikatnie, uprzejmie i z pewnymi gwarancjami, ale zawsze równie nieustępliwie. Nie znosiła w żadnym stopniu człowieka autonomicznego, już przez samo swe istnienie był on uważany za buntownika. W ten sposób polityka stała się przeciw własnemu „pozytkowi”. Aby ludzie będący u władzy posiadali jednak jakąś legitymację było wskazane, by pewne wartości dysponowały choć pozorną niezależnością i samodzielnnością. Za takie wartości uważano między innymi sport i literaturę. Wiadomo powszechnie, że przez ostatnie okresy historii węgierskiej — z wyjątkiem nielicznych momentów rewolucyjnych — polityka była na ogół konserwatywna, natomiast literatura — mówiąc w sposób nieco uproszczony — lewicowa. I ta tradycja utrzymywała się nawet w najokrutniejszych latach. Taką ma genezę ten — pochlebny dla pisarzy — paradoks, że na Węgrzech napisane słowo, niepokojące poetyckie cięśnięcie, szczątkiem, a politycy niezaradko najwyższą ceną w literaturze to, czego najsurowiej zabraniają.

Ta szczególna sytuacja, dzięki której literatura pełni wyjątkową rolę, posiada nie tylko aspekt ideowy, lecz także i stronę praktyczną. Mam odwagę napisać bez owijania w bawełnę, że przymus mówienia prawdy — choćby prawdy ukrytej — kryje się na ogół w literaturze. Prasie wolno kłamać: wyolbrzymiać lub bagatelizować, politycy mogą snuć intrzygi i koloryzować rzeczywistość, mają nawet na to glejt, ale literatura natychmiast umiera, gdy zaczyna gadać od rzeczy. Prawdy zaś nie tylko chronią się w literaturze, lecz — prowadząc niejako życie rodzinne — płodzą nowe prawdy. Przyznam, że to upajające uczucie, gdy właśnie podczas pisania człowiek uświadamia sobie coś nowego i potrafi to także sformułować. W takich przypadkach pisanie jest prawdziwie męską robotą.

Lecz pisarza żyjącego w tym regionie politycznym i geograficznym zmuszają do pisania sprawy stanowiące jednocześnie źródło jego sekretne go samoudręczenia. Gdy mówię o języku ojczystym, myślę o losie mniejszości węgierskiej. Prawie trzy miliony Węgrów żyje poza granicami swej ojczyzny, żyje jako mniejszość, przede wszystkim w Rumunii i w Czechosłowacji. Codzienna rzeczywistość wiąże ich politycznie i bytowo z krajami sąsiednimi — lecz język ojczysty i kultura łączy z Węgrami. Zawierane po kolejnych wojnach traktaty pokojowe zapewniały im rozmaite pozorne prawa po to, by mogli znieść swój schizofreniczny los. W dzisiejszych czasach sąsiednie państwa kolejno likwidują resztki owych pozornych praw. Ich narodowym celem jest pełna asymilacja mniejszości węgierskiej. Tragizmem przykładem całkowitego wyniszczenia szkolnictwa w języku mniejszości jest fakt, że do 1958 roku Węgry mieli w Rumunii swój uniwersytet i liczną szkołę wyższą; stopniowo jej tracili i obecnie, po dwudziestu latach rozpaczliwej walki udało im się uchronić już tylko jedną szkołę średnią.

Czy pisarz może pisać w języku węgierskim bez poczucia winy i bez rozpacz, gdy wie, że za język, w którym pisze, upokarza się ludzi i skazuje się ich na ciemną śmierć duchową? Europa długo nie wierzyła wieściom o komorach gazowych. Dzisiejsza Europa też nie wierzy, że mordowanie ducha mniejszości odbywa się w białych dzień, w asfście uśmiechniętych twarzy, przy hasłach polityki uznanej za wielko-duszną.

Przyznaję więc, że oprócz pobudek estetycznych i etycznych do pisania skłania mnie także i ta nieustająca rozpacz: może uda mi się w tym języku ojczystym — po węgiersku — napisać zdania, które przemówią w zastępstwie tych zmuszonych do milczenia. Uwierzyć żywym, byśmy później nie musieli wierzyć umarłym, gdy mówią o niepojętych i straszliwych prawdach życia.

Państwo a wyobraźnia pisarza

Zmarły przed trzema laty (w 1983 r. — przyp. tłum.) Gyula Illyés w jednym z dawnych zapisów w dzienniku zauważa, że im więcej kipiących skrajnymi emocjami dramatów grają teatry w kraju, tym — dowodnie — mniej dramatów rozgrywa się na zrewolucjonizowanych ulicach. Czyli — snując te myśli dalej — im więcej prawdy rozbieżnie się to naga na otwartej scenie, tym mniej będzie odartych do naga ofiar tragicznych zająk.

Sądząc, że w blasku eksplozji tej myśli widzę jasno, iż pisarz, który ją sformułował jako refleksję i przestrożę, przynależał do Europy z racji swej mentalności, kultury, poglądów historycznych, lecz nie przez swój los. Co najmniej od czasów Victora Hugo pisarzem żyjącym w Europie Zachodniej ani się śni wiązać tak silnie literaturę ze społeczeństwem. Każde z nich uważają za twór odrębny. Jestem przekonany, że na twarzy Człowieka Opuszczonego Blandelaira'a dostrzeżlibym jeszcze po latach wyraz oburzenia, gdyby się okazało, że był on zdany nie na łaskę fatum, potępienia czy miłości karmiącej się miodem demonów, lecz po prostu — na łaskę społeczeństwa.

Poezi środowkoeuropejskiej dobrze znają z domowych luster tę wystudiowaną minę, to wyniosłe oblicze, ale mogą sobie pozwolić na jego obserwowanie tylko przez krótki czas. Skradając się w kątku lustra nieskończoność przedko i brutalnie zakrywa jakiś cień: to cień zbuntowanych lub niezdolnych do buntu tłumów, cien władzy, to znów, po raz nie wiadomo który, cień rewolucji i wojen, które nigdy nie bywają ani odległe, ani zwycięskie. Państwo a literatura? W tych częściach świata, gdzie narody od stuleci żyją w częściowej lub całkowitej zależności, w odbitym świetle tego czy innego mocarstwa, przez co i same społeczeństwa tworzą wypaczony porządek, tam i polityk, i pisarz są tak samo zdani na łaskę losu, jak owi rodzice, którzy wydali na świat kalekie, garbate dziecko. Ponadto w tej zagmatwanej sytuacji są także zdani na siebie nawzajem. Choć wokół kwitną migdałowce i lipy, choć wielkie deszcze majowe spacerują sobie po wzgórzach — oni zdolni są zapomnieć o wspólnym nieszczęściu tylko na ułamek chwili. Zawsze zmagają się z poczuciem kary bożej, złego losu.

Lecz odrzucmy już porównania, by nie rozpraszyły naszej uwagi. Spójrzmy raczej, jaka jest przylotowa taka przeszłością i takim losem historycznym sytuacja obecna.

W wyniku zawartego po wojnie pokoju Węgry — wraz z pozostałymi, krajami środkowo- i południowoeuropejskimi — przeszły z kręgu wpływów Niemiec w strefę interesów Związku Radzieckiego. Z systemu na polity feudalnego w świat początkującej demokracji. Może, przebolewamy swe straty, dałoby sobie jakoś radę, ale zimna wojna zamroziła je ostatecznie w nowej sytuacji. Tereny dawniej jedynie częściowo uzależnione państwa, teraz przyniósł tonom — ciężarem maszyną dyktatura. Obywatel doznawał okaleczenia albo dlatego, że się przystosowywał, albo dlatego, że zaczynał być bez wyobraźni. I chodził na palcach, jakby właśnie grzebano poległych na wojnie. Paranoja wojenna bowiem stała się narzędziem kształtowania społeczeństwa. Znow się okazało, że władza potrafi zniszczyć strach nie tylko przez stosowanie przemocy, zamykanie w więzieniach, lecz także przez budzenie poczucia winy.

Gdyby choć istniały instytucje, lub gdyby już istniejących całkowicie nie niszczyły nowe państwo, które ogłosiło się demokratycznym, wówczas jednostki i wspólnoty mogłyby znaleźć w nich coś w rodzaju ochrony, jak członkowie obywatelskich społeczeństw zachodnich, ale działająca według wojskowej logiki potężna władza i w czasach powojennych utrzymała ideal hierarchii wojskowej jako

formę, która się świetnie sprawdziła. Przeto w społeczeństwie także istnieli marszałkowie, majorzy i sierżanci, przede wszystkim jednak istnieli szeregowcy. I dlatego nasze życie przez całe lata pełne było rozkazów dziennych, alarmów, karcerów, kaci i czołgania się w błocie.

Powstanie węgierskie w 1956 roku stanowiło pierwszą ostrą krytykę tego paranoicznego, chorobliwie obciążonego elementami wojakowskimi okresu powojennego. A po nim nastąpiła „krytyka” czeska i polska.

Nie popeliłam chyba poważnego wykroczenia stylistycznego, używając pojęć literackich zamiast politycznych. Przenikają one nasz temat. Fakt, że w Europie Środkowej status państwa od wieków jest zależny i to na dodatek zależny tymczasowo, skazał na wieczną szczytłokowatość formy parlamentarnej, powstałe wprawdzie wbrew władzy zewnętrznej, ale też wbrew wewnętrznej władzy moralnej, to jest — wbrew duchowi narodu. Dlatego poważniejsze organizacje polityczne miały szanse działania tylko przez krótki okres. Gdy pojawiła się jakakolwiek opozycja, sił starczało jej tylko na utrzymanie się przy życiu przez jakiś czas; na organizowanie wokół siebie ruchu — już nie. Nie przypadkiem w krajach włóczonych pomiędzy Wschód i Zachód zmiany ustrojów nigdy nie zaczynały się tak, że jedna czy druga partia porwawszy za sobą tłumy ogłaszała wybory i powoływała nowy rząd. U nas zawsze zmieniają się najpierw serca. Styl mówienia i milczenia. Ton wierszy i powieściowych dialogów. I ów nowy styl nieuchronnie wynosi na światło dzienne nowe prawdy i nowe relacje. Wszystko to zaś, pojawiający się i nawarstwiający w kulturze, zmienia nie tylko duszę, lecz domaga się także zmian w społeczeństwie. Decydujące przewroty w ciągu ostatnich czterdziestu lat w Europie Środkowej niemal bez wyjątku rozpoczynały się od zachodzących w literaturze procesów oczyszczenia i od niepośluszných wizji pisarzy.

Oglądana z takiej perspektywy, zrozumiałaś się staje rola cenzury w naszych krajach. Władza państwowa jest nawet skłonna znieść z pogody ducha, że jej obywatele pragną być oświeceni i biegle w naukach, ale gdyby ich moralność i sumienia miały się tak udoskonalać, jak ich umysły — tego by już nie zniosła. Pełny człowiek — to człowiek autonomiczny. A także: istota historyczna, jednocześnie żyjąca we własnej epoce i w dziejach. Już samo takie istnienie jest negacją tymczasowości i niedostatku. Takiego człowieka rzeczywistość trzeba ograniczać, bo gotów jeszcze wyrósł spod zakazów i samemu stać się miarą.

Istnieją poligony, na których ćwiczą się rewolucjonisi i terroryści. Literatura jest u nas takim poligonem. Hała treningową odgrywa moralność. Obozem szkoleniowym człowieka autonomicznego. Nie twierdzę, że prawda wygnana z prasy, z życia publicznego i mów polityków tylko to się jeszcze może chronić, lecz jestem pewien, że tylko to może naprawdę nabrać sił.

Literaturę Europy Środkowej promieniują na odległość opozycyjnością. Przede wszystkim dlatego, że nie są niezaletne. Lub osiąga godną uwagi suwerenność tylko na krótkie przejściowe okresy. Naturalnie główny cel ich opozycyjności jest nie polityczny, lecz moralny. W naszych stronach bowiem państwo to zawsze tylko rama tymczasowa, wspólnota gospodarki i polityki zagranicznej; naród zaś, w przeciwieństwie doń, jest jednością historyczną i kulturalną. Pisarz zawsze i od nowa mógł rozliczać państwo z narodu jako ideału.

Obok ideału narodu drugim ideałem literatury była Europa. Przeciwnieństwo własnych deformacji — Europa, ziemianna i klasyczna. Pisarze Zachodu nigdy nie poznali owej triady, stanowiącej zapalnik bolesnych konfliktów: triady państwa, jednostki i narodu. Oni znają tylko porządek dwudzielny, według którego rozgranicza

się na przykład sferę duchową i świecką, a więc: jednostka a państwo, literatura a państwo, i tak dalej.

Lecz po drugiej wojnie światowej wiele się zmieniło. Cytujać Milana Kunderę — „Zachód porwany” nie pociągał nas już tak bardzo, jak dawniej. Nie chcieliśmy upodabniać się do tego, co nie było już podobne do samego siebie. A Sowieci? Oni mieli wpływ tylko na kulturę państwową. Na sferę pozapaństwową wpływali w tym samym stopniu, co duże ptaki na zapyłanie kwiatów. A potem to, co w Jakim usankcjonowała polityka, przypieczętował mijający czas. Ludy Europy Środkowej usamodzielnili się. Najwięcej nauczyły je własne porażki i własna rzeczywistość.

Piszę z obawą, że istnieją na świecie cywilizowane kraje dobrobytu, w których wolność stała się artykułem powszechnego użytku. Towarem przeznaczonym do konsumpcji, osiągalnym jak marmurowa wanna, kolorowy telewizor czy mgazynujący pożyteczne wiadomości komputer. W naszych krajach po wolność trzeba jeszcze stać w kolejkę, jak w Polsce po mięso.

Wiem, że to sytuacja nieczłonna i upokarzająca, nie porównywalna z niczym, bowiem wolność nie posiada alternatywy, tylko przeciwności. A jednak owa rosnąca z dnia na dzień, z roku na rok zdolność, z jaką potrafimy ocenić naszą sytuację, wydaje mi się szczególnym darem. Czuję, że to czegoś się nam jeszcze przyda. Jak wytłumaczyć to przeczuć? Mieszkańcy naszej strefy mogą powiedzieć wszyscy razem i każdy z osobna: w tym wieku przydarzyło się nam wszelkie zło, jakie może zniszczyć jednostki i narody. Przemyśliśmy apokalipsy wewnętrzne i zewnętrzne. Lecz to, że jednak je przeżyliśmy, wraz z nie odstupującymi nas naszymi zmarłymi i wraz z obrabowanymi ze swej istoty braćmi, uzbroido nas w coś w rodzaju „niemej filozofii” i „niemej świadomości politycznej”. W nieprzebrannym gąszczu codziennie zmieniających się interpretacji świata dobrane jest wiedzieć, że jedyną prawdziwą rzeczywistością bytu jest własna rzeczywistość człowieka. To, co nakazuje mu nie tylko przeżyć, lecz także niewzruszenie trwać.

Nie ma już na świecie miejsc uprzywilejowanych. Jeśli zachwieje się równowaga — świat w każdej części istotnie to odczuje i wszystkim przyniesie obok dobra także i zło. Wschód ma swoje, Zachód swoje powody cierpienia. Pozornie rozdziela je niebo i ziemia. Rzeczywiście, wszak nikt nie ucieka na Wschód. A jednak mieszkańcy Europy Środkowej swym własnym gorzkim losem negują tę ogromną różnicę. Od czterdziestu lat na własnej skórze czujemy bowiem nieustannie podwójny warunek, jaki nam stawia życie: żywym trzeba pozostać nie tylko cielesnie, lecz i duchowo. A to nie jest możliwe bez tradycyjnej metafizyki i kultury. Lecz by nastąpiło używienie kulturalne, podobne do wielkich europejskich epok odnowy, jakimi były renesans czy oświecenie, trzeba, by do literatury, do muzyki, do filozofii napłynęły nowe siły duchowe. Jestem głęboko przekonany, że wielka wiara i wielka siła duchowa może pomimo wszelkiego opóźnienia wybuchnąć właśnie tam, gdzie ludy w przeszłości i obecnie poddane są wielkim cierpieniom.

Mysząc zaś w kategoriach kultury uniwersalnej — także właśnie tu dostrzegam największą szansę. Bo państwo może być takie i siakie, upodajace lub doskonałe, ale nigdy nie może być genialne. Do prawdziwego odrodzenia, do prawdziwej odnowy zdolny jest tylko geniusz. Przeto tak długo, jak długo obok ludzi przewodzących w naukach i polityce nie staną twórcy, których wielkość jest wielkością miłej i uczuć, póty nie zostanie rozwiązany dyalekt tożsamości całej ludzkości, narodów i tożsamości zanurzonego w nich pojedynczego człowieka.

Przełożyła Teresa Worowska

przekroje

PAWEŁ HETMAŃSKI

DZIECI BAAL SZEM TOWA

*Na niedziornianym zwieczniku
modlą się Plejady —*

*(Niebly Sacha, C. narodził się, Bismarck
Ryszard Ryszard)*

Chasydzi w pół poetyckich prozach Stanisława Vincenza (*Na wysokiej połoninie*), w pół powieściowych wierszach Czesława Miłozza (*Przyprawcie chasydzki*). W pamięci ludu polskiego, który zwie ich „chusytami”: pobozny jak chusy — słyszy się i dziś jeszcze na Wschodzie. *Korzyści czerpane z szkieletów obcych* — pisze Alina Caba, autorka *Wizerunku Żyda w polskiej kulturze ludowej* — w sposób szczególny dotyczyły cadyków, których autorzytet wyrósł z tradycji kabalistycznej. Ukoronowaniem jej rozwoju był chasydizm, prąd religijny zapoczątkowany w XVIII wieku przez Izraela z Miedziborza (1700-1760), znanego Baal Szem Tow. Działalność Baala (...) zmierzała do stworzenia nowej ludowej religijności, opartej na mistycznym wiążeniu. Ludzie, którzy osiągnęli jego najwyższy stopień — kontakt z Bogiem, stawali się cadykami („szn. «Sprawiedliwym»”); przywódcami, nauczycielami i pośrednikami między ziemią a niebiosami. Wokół nich skupiali się gminy pobożnych chasydów. Autorzytet takich rabinów był atrakcyjny nie tylko w judaizmie. Wywierali on wokół siebie na ludność chrześcijańską. Ale chasydizm wcale nie był jednorodny. Grubsze różnice były uchwytne choćby geograficznie. I toteż Michał Strzemiński, autor *Waskusowian*, który wspomina ostatnich w Polsce przedwojennych chasydów, zastrzega się: Różnieli byli chasydzi i rozmaicie przebiegał ich regionalny rozwój. W chasydizmie dochodziło zarówno do skrajnej redukcji rabinizmu (grupy litewsko-białoruskie), jak i do jego szczytów (radościowej rabinizmu (grupy litewsko-białoruskie)). Obok zaniku mistycyzmu (grupy litewsko-białoruskie) obserwowaliśmy jego wywołanie (pozaflakowskie Białorusi, niektóre regiony Polski i Ukrainy). Mitycznym ten podziwiamy na płonach Marja Chagali, pochodzącego z Witebska (a przecież podobno w tym samym Witebsku działali bardzo antymistyczni chasydzi typu „litewskiego”). Odmiany regionalne nie ukazują jeszcze prawdziwej niestaimości chasydizmu. Są naskórkim, pod którym widnieć właściwie, ruhielny i niebylewale skomplikowany organizm. Kosmos sprowadzony na Ziemię pod postacią gmin czyli „roztańczonych” grup ubogich wyznawców Jahwe. Rój gwiazd, a każda bliźczyz własnym, niepowtarzalnym światłem — tak podmiotowo był ten ekstatyczny, mistyczny ruch. W chasydizmie Sprawiedliwi i Widzący są jak gwiazdy wśród plejad wiernych. Każdy co znacniejszy cadyk, każdy prorok czy mędrzec stawał się indywidualistą, osobowocią i z czasem tworzył — otoczony uczniami — swoją szkołę. Nie dziwne, że historia chasydizmu jest historią cadyków, zapisana ich czynami, cudami i naukami. Nad polskimi Kresami wschodnimi i ziemiami Galicji długo słychać było głosy dysputujących żydowskich mędrców, kłócących się uczniów i wiążących z różnych filozoficzno-mistycznych matczyńskich czy też raczej „cadyczków”.

Sądziwszy chasydyzm i kultury polskiej zamaczyło się nie tylko obopólnym zaciekawieniem w duchu tolerancji, choć mistycy jak ćma kultu żydowska budźni także — rzadziej na szczęście — uczucia złe, pogardę, niezrozumienie, irracjonalną nienawiść. W sensie głębszym można jednak mówić o inspiracjach chasydzkich w stylu i poetyce niektórych polskich dzieł sztuki. Zjawiska się tam podobnie jak inspiracje buddyjskie, protestanckie, prawosławne czy inaczej i lepiej znane niderlandzkie.

włoskie, bizantyjskie, dalekowschodnie. Dzieła, które mam na myśli, są żywymi świadectwami środowisk o wschodnioeuropejskiego pogranicza narodów, kultur i wyznań. Chasydizm pędzi tu żywot może i najbardziej barwny, na pewno legendarny, ale tkwi na dalekim marginesie, poza powszechną świadomością. Dzieje się tak z ogromną krzywdą dla mądrości cadyków i dla kultury, którą ze swoim ludem tworzyli zwłaszcza przez kilka dziesięcioleci XVIII wieku, najpierw za życia Baal Szem Towa, potem za życia rabina Nachmana z Bracława, zmarłego w 1810 roku ostatniego z żydowskich mistyków wielkiego formatu. Dziesięciolecie następujące po złotej erze chasydizmu nie miały już tej temperatury, co nie oznacza, że ruch zamknął — „ubogich Pana” społkac nie ma na dzisiejszych ulicach Nowego Jorku i innych miast Stanów Zjednoczonych. Tak więc chasydizm nieznany, daleki niby przastara, mało już czytelny, spowiła w zasłony przemijającego czasu legenda, znalazł się na marginesie polskiego pogranicza kultur w rezultacie paradoksu: jego bogactwo i różnorodność przytłaczają, czynili ziaristami istoty tego ruchu mistycznego niepoznawalną. Niełatwo bliżej określić wpływ Baal Szem Towa i jego mistycznych dzieci — cadyków, uczniów i wiernych z gmin — na wyznawców oficjalnego mozaizmu i na ortodoksów judaizmu konserwatywnego. Portret chasyda w dziełach sztuki polskiej jest z kolei obrazem bardzo pobieżnym, dominują w nim rysy zewnętrzne i ogólniki. Michał Strzemiński powiada: wszyscy pisarze polscy piszący o chasydizmie robią błędy. Mlą się. Opierają się wyłącznie na regionalnych kryteriach, więc ich uogólnienia muszą być błędne. Jakkolwiek by napisali, zawsze jest źle. (...) A stosunek chasydów do Kabali? Chyba był bardzo zróżnicowany. Zresztą chasydizm wywarł tak wielki wpływ na wszystkich ortodoksów aszkenazyjskiej kultury religijnej, że wytyceni linii podziału pomiędzy chasydami a niechasydzkimi ortodoksami może być przeprowadzone prawdopodobnie tylko przez nieliczne specjalistów.

Uogólnieniu trzeba przeciwstawić obraz szczegółowy, który jedynie odbija wewnętrzna różnorodność chasydizmu. Uogólnienie ekstatycznej mistyki chasydów pozwala wprawdzie mówić o naukach cadyków: na przykład w kontekście Plotyna, Mistra Ickharta, Lao-tse, Jakuba Böhme, a sam ruch chasydów porównywać do zewnętrznie podobnej religijnosci pierwszych chrześcijan, begin i beginarów, mistyków hiszpańskich, mistichów z świętej góry Athos czy świętych irlandzkie, lecz owe trafne, porównawcze i syntetyzujące spostrzeżenia nie wyczerpują złośliw mistyki bogatej jak życie samo, które cadykowie Europy wschodniej ponownie przeprowadzili do nieba. W widzeniu zewnętrzny natchniony chasyd przypomina pogrążonego w ekstazie św. Jana od Krzyża tak samo, jak na przykład tańczącego derwisza czy „połkającego” słońce wojownika murzyńskiego i konstatacja taka jest cenna, gdyż skłania do namysłu nad istotą życia wewnętrzne, które kryje w sobie tajemnicę wspólne wszystkim ludziom. Różne są drogi, które wiedą do rozwiązania owych tajemnic albo do wyzwolenia zakrytych mocy, różne są nauki o istocie duszy i przewodniki mistycznych peregrinacji. Widzenie „od wewnątrz”, perspektywa szczegółowa, detaliczna i widzenie „od zewnątrz”, perspektywa ogólna, panorama życia są stronami poznania jednego zjawiska, tworzą jego pełnię i jedność. Pełnia nie jest dostępna, gdy jeden z dwu paradigmatów procesu poznawczego zanika. Obraz chasydizmu w kulturze polskiej jest nie tyle półowiczny, ile właśnie „zawsze błędny”: perspektywa szczegółowa zastępuje perspektywę panoramiczną, fragment uderza kłując, scenka rozdzajowa odgrywa rolę eposu. Czy nie dlatego jesteśmy tak bezradni na widok chasydzkich inspiacji w naszej sztuce?

Pytanie o istotę każdego pogranicza narodów, kultur i wyznań dotyczy najpierw tolerancji i jej probierzy, które chronią tożsamość wszystkich współżycieli na pograniczu ludów, gmin wyznaniowych i wspólnot. Pogranicza są trzywarstwowe, wykształcają je: jak powiedziałby archeolog — trzy pokłady. Pokład pierwszy tworzą „ja” wewnętrzne, „ja”, które są opoką grupowych czy gminnych tożsamości: „ja” Żydów, „ja” Litwinów, „ja” Polaków, „ja” Niemców, „ja” Białorusinów, „ja” Ukraińców, a raczej „ja” narodu, kultury i religijnosci żydowskiej, „ja” narodu, kultury i religijnosci polskiej, i tak dalej. Są to „ja” bardzo złożone, ale spójne i niebylewale „twarde”, jak tylko „twarde” są zbiorowe podświadomości. Pokład drugi to zewnętrzna, szaty współżyciela narodu, różnic manifestujące przynależność do grup narodowych albo do gmin wyznaniowych, cechy z dala widoczne, obce, mentalność, sposób bycia, moda, preferencje, akcesoria. „Ja” widziane z zewnątrz czyli „ty” narodów, kultur i wyznań. Pokład trzeci tworzy głębokie „my”, „my”

ciowicze, międzyлюдzkie, etnicie elementarny wspólny ludzom wszystkich narodów i wyznań: nie zabijaj, nie czyn drugiemu co tobie niemile, reguły moralne, które na pogranicznach nabierają dodatkowej wymowy. Pokład pierwszy, mocne zbiorowe „ja” wewnętrzne: samowoję planety, to, co niepodległe, sakralne, tożsame tylko ze sobą i nieprzenikalne, własne dla swoich i zawsze cudze dla obcych. Pokład drugi, „ty” czyli „ja” uwewnętrznione: ruch konstelacji, wymiana dóbr duchowych, przenikanie, dyskurs, dialog. Pokład trzeci, międzyлюдzki „my”: porozumienie i współpocie ponad różnicami i podziałami. Tolerancja znajduje swoją ekspresję w pokładach drugim i trzecim, w „ty” i w „my” narodów, kultur i wyznań, ale jej probierzem jest pokład pierwszy, mocne „ja” grup i gmin — od pełnej, nie zagrożonej tożsamości po tożsamość zagrożoną przez brak tolerancji i agresję. Opoka tolerancji: dialog zewnętrzny, szat, spokonia „ty” z „ty” — i jednia głębiokiego międzyлюдzkiego „my”. Probierz tolerancji: wewnętrzne „ja” narodów, kultur i wyznań, których tożsamość winna być poszanowana mimo odmienności i cudzości. Pokład pierwszy po przestrzeni tożsamości, a na granicy między pokładem drugim i trzecim możliwa jest nawet asymilacja. Niepostrzeżalność, cechą własną danego pogranicza określają proporcje tożsamości i asymilacji, właściwe wszystkim podmiotom narodowym, kulturowym i wyznaniowym, zamieszkującym pogranicza. Na obraz szczegółowy składają się rodzaje więzi międzyлюдzkiej i przejawy tolerancji, tworzące popołpu bukiety na każdym pograniczu inny, jak różne bywają winy. Bukiet, któremu na imię *genius loci* — „Zawzięte błędny” stereotyp chasydy w powieściach Juliana Strykowskiemu. Leopolda Buczkowskiego czy Andrzeja Kusińwicza bierze się stąd, iż jest on cząstką obrazu malej ojczyzny, wschodniego pogranicza narodów, kultur i wyznań, a na pogranicznach widac najpierw kultury w ich szatach zewnętrznych. To szaty kultur — jak w opowieściach Stanisława Vincenza — ocierają się o siebie, to „zewnetrzna” spotykają się i dialogują, „ty” z „ty”, wewnętrzne „ja” odmennych kultur pozostają niepodległe. Obok dzieł sztuki polskiej, które wyrosły z dziedzictwa dialogu kultur, ich „zewnetrz” czy szat, ich „ty” — jawią się jednak także dzieła inaczej jeszcze „pograniczne”, rzadkie i nie mniej cenne, które „wlamują” się do wewnętrznej „ja” na polu cudzych kultur, łamią szczyry ich znaków i znaczeń. Nie mamy pełnej wiedzy o tych polskich wyprawach w głąb duszy rosyjskiej, niemieckiej, żydowskiej, litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej, dołnołaskiej, kaszubskiej, cygańskiej, a także jeszcze w głąb duszy włoskiej, niderlandzkiej, hiszpańskiej i dalekowschodniej. Jakże mało wiemy o wyprawach w głąb duszy chasydzkiej!

Potrąfimy dostrzeć, że pewne obrazy polskich malarzy naiwnych, a także wiele polskich wierszy, w tym ekstatyczne strofy Kazimierza Wierzyńskiego, Anny Świrskiej czy mądrościowe wernety Romana Brandstaettera, Czesława Miłosa — zdradzają cechy wyobraźni chasydzkiej. Nie jesteśmy tylko pewni, czy Franciszek Ociepka jest polskim Chagalem, czy w *Włosie i winie* Wierzyńskiego tancerz bardziej Jahwe niż Dionizos, czy w *Pierini pełni* Świrskiej śpiewa derwisz, święty Antoni, afrykański szaman, Elimelech z Letajaka czy może Jakub Łochak z Lublina, czy w *Królestwie Trzeciej Świętym* Brandstaettera więcej symboliki kabalistycznej niż talmudycznej i czy w *Przywołaniu chasydzkiej* Miłosa na pewno mowa cadyk a nie uczeń Lao-tse. Nie tak to ważne, skoro idzie o dotknięcie tej struny w człowieku, na której swoje ekstatyczne melodie wygrywał Widzacy różnych kultur i czasów. Strykowski, Buczkowski, Kuźniewicz dają świadectwo pogranicza rozumianego jako dialog „zewnetrzny”, szat, „ty” i „ty” — na drugim planie pojawia się jednia ciowiczego „my”. Podobnie wygląda plan pierwszy opowieści Vincenza, inny jest plan drugi, obok międzyлюдzkiego „my” jawią się „włamanie” do wewnętrznych „ja” niepodległych kultur. Miłosz, Świrzyńska dają świadectwo pogranicza rozumianego jako wspólne „międzyлюдzkie”, jako głębiokie „my” różnych ludzi — na drugim planie pojawia się dialog „zewnetrzny”, szat, „ty” i „ty”. To przecież znamy, o pograniczu rozumianym jako Kosmos niepodległych, wewnętrznych „ja” narodów, kultur i wyznań, o naszym pierwszym pokładzie. O dżelach „wlamujących” się do tego „ja” i mówiących z jego wnętrza — na przykład: chasydzko po polsku, jak niektóre strofy Wierzyńskiego i Brandstaettera. Swego odkrywcę od tyłu już lat datemnie wyzwekuję chasydzym Bolesława Leśmiana i chasydzym Bruno Schulza

Jest coś charakterystycznego w fakcie, że piśmiennictwo polskie nie pozostawia nam bezpośredniego zapisu chasydyzmu. Pisarze i badacze polscy nie notowali

opowieści i parabolicznych mądrości cadyków. Miejsce zapisu zajmuje opis albo niegdą. Pisarze polscy pochodzenia żydowskiego i inni nasi zaścianczani chasydzizmem mistrzowie pióra świetnie przyswoili sobie myślenie chasydzkie — ową przewrotną dialektykę, paradoks, parabolę, które mniej są retoryczne a bardziej mądrościowe i powiązane z doświadczeniem życia przeprowadzonego do nieba — lecz inspiracjom o dżwie nie towarzyszyła chęć dokładnego poznania źródła. Może dlatego, że chasydzym byłbydnak zamknięty przed obcymi, nie miał wobec nich żadnej misji i nie starał się komunikować samoojbaści? Może dlatego także, że w Polsce me było właściwie rodzimych szkół teologii i myśli metafizycznej, a mistyka w kraju Kościoła surowego, ośclego, autorytatywnego oficjalnie nie była dobrze widziana — zwłaszcza mistyka namiętna, żywiołowa, „dżka”? Z tych dwóch „może” większe znaczenie ma chyba to pierwsze.

Czym był, czym jest chasydyzm — jego niepodległe „ja” wewnętrzne — dowiadujemy się bliżej dopiero z wydanych w ostatnich latach w przekładzie polskim książek Martina Bubera (*Opowieści rabina Nachmana, Opowieści chasydów*) i Jifego Langera (*9 bram do tajemnic chasydów*). Trudno przeoczyć znaczenie tych ksiąg — są dla nas jak odnalezienie brakujące ogniwo wschodniego pogranicza kultur, chasydzkie „ja” między lepiej znanymi chasydzkimi „ty” i „my”. Nie myślę owego „ja” straszczyć — byłoby tak jak czepianie morza żyłczak. Sądzę zresztą, że opowieści i gnomy cadyków — poza nauką, jaką są same w sobie — pozwolą narecznie odczuć prawdziwą narmstot chasydyzmu i że znane nam strumienie, wiodące się z pogranicza narodów, kultur i wyznań, wódzą raz jeszcze do źródła po to, aby ukazać swoje „ja” na miejscu „ja”, a me na miejscu „ty” lub „my”.

Tutaj rzecz opatrzyć jeszcze tylko przypowieścią Symchy Bunama z Przysuchy (w przekładzie Pawła Herta), jako że przypowieści ową nieznaczą, nie zamyka, ale jeszcze tak wiele otwiera. Kiedy pewnego razu rabbi Bunam, chcąc uczyć jakiegoś człowieka, kazał mu zająć w róg w swojej botnicy, człowiek ów zaczął czynić długie przyszytowania, aby nastroić swoją duszę na właściwą interję tonów. «Głupcze — zawołał cadyk — daj!».

Martin Buber: *Opowieści rabina Nachmana*, tłum. z niemieckiego Edward Zurebki. Follonica dei Dialogues, Paris 1983, s. 117, tab. 3.

Martin Buber: *Opowieści rabina Nachmana*, tłum. z niemieckiego Edward Zurebki. Follonica dei Dialogues, Paris 1983, s. 117, tab. 3.

Jifego Langer: *9 bram do tajemnic chasydów*, tłum. z angielskiego Anna Golembowska, redaktor, przełożyła.

Przywołano csmch, słowak oach Kozub Komah, tłumaczenia naskłone Henryk Flanki, przełożyła Follonica Langer. Słw „Zam”, Kraków 1988, s. 322, tab. 2.

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA

PAMIĘĆ JAKO TERAPIA

Na początku 1989 roku ukazały się w Stanach Zjednoczonych dwie ważne książki, które — mimo że prezentują różne dziedzinę i odmienne rodzaje piśmiennictwa — łączą jednak wspólny motyw, jakim jest próba zgłębienia własnej pamięci. Także ich autorzy mają ze sobą wiele wspólnego. Eva Hoffman (z domu Wydra) jest polską Żydówką, która opuszcza Polskę wraz z rodzicami w 1959 mając trzynastkę lat i mimo początkowych trudności z zaaklimatyzowaniem się w Ameryce Północnej osiągnęła życiowy sukces, na który składają się między innymi doktorat z anglistyki na Harvardzie oraz pozycja redaktora w prestiżowym piśmie amerykańskim „New York Times Book Review”. Młodsza od niej Liana Irwin-Schwarz, pochodząca z żydowsko-katolickiej rodziny, wyjechała z Polski na początku lat siedemdziesiątych i ma przed sobą dobre zapowiadające się przyszłość naukową; omawiana pozycja stanowi kugłkową wersję jej doktoratu z socjologii obronionego na University of California w San Diego.

Lian in Translation (Zapamiętana w przekładzie) Ewy Hoffman jest swego rodzaju autobiografią. Jej trzy części — „Raj”, „Wygnanie” i „Nowy Świat” znaczą trzy

ważne etapy w życiu autorki: raj to Polska, wygnanie to Kanada, Nowy Świat to Stany Zjednoczone, a zwłaszcza Nowy Jork.

Dlaczego Polska jawi się jako raj? Przede wszystkim dlatego, że łączy się ze szczęśliwym dzieciństwem, pierwszą miłością i luksusem wolnego przemijania czasu, co dla wrzuconej w szalone tryby nowojorskiego życia literackiego autorki stanowi rzecz na zawsze utraconą. Polski raj Ewy Hoffman to przede wszystkim Kraków, który zapamiętała takim, jakim był jeszcze do połowy lat sześćdziesiątych, kiedy Nowa Huta i Skawina nie dawały w pełni zadość sobie. W miesiącach letnich raj wzbogacał się o Tatry, dokąd corocznie jechała z matką i siostrą na letnisko.

Spacer po Plantach, tramwaje i doróżki, lekcje muzyki, niedołężne lady w krakowskich kawiarniach, przylatujący we wspomnieniach trudne powojenne warunki mieszkaniowe i ideologiczną indoktrynację lat pięćdziesiątych. Kiedy rodzice decydują się na wyjazd do Kanady, dla Ewy (wtedy jeszcze pisanej przez „w”) oznacza to wygnanie z raju. Dla mnie słowo „Kanada” dźwięczy słowieszczo jak „Sahara” (myśli na pokładzie „Ratorego” oddalającego się od gdyniejskiego nadbrzeża). Nie, moje ja nie dopuszcza do myśli, że zostanę tam zabrane, nie chcę zostac wyrwana z mojego dzieciństwa, moich przyjemności, mego poczucia bezpieczeństwa, moich marzeń i na zostanie pianistką. (...) Wiele lat później na wywołonym przyjęciu w Nowym Jorku spotkałam kobietę, która powiedziała mi, że miała cudowne dzieciństwo. Jej ojciec był wysoko postawionym dyplomata w jakimś azjatyckim kraju, żyła więc otoczona przepychem i elegancją, uprzejmością służących i subtelnych żalości starszych od niej mężczyzn. Nie dziwnego, powiedziała, że kiedy w wieku lat trzynastu i na czacie jej życia dobiegła końca, poczuła, że wygnano ją z raju, którego szuka wciąż do tej pory.

Nie dziwnego. Ale dziwne jest to, z czego można sobie stworzyć raj. Opowiadałam jej, że dorastałam w robotniczym mieszkaniu w Krakowie, ścinając w trzech prostych pomieszczeniach z czterema innymi osobami, w atmosferze klótni, ponurych doniesień politycznych, pamięci o cierpieniach wojennych i codziennej walki o byt. A mimo to, kiedy przyszli echa rozstania, ja także czułam, że zostaje wypchnięta poza szczęśliwe, bezpieczne bramy Edenu (s. 4-5).

Pierwsze lata w Kanadzie stanowią rzeczywistą ciężką próbę. Problemy językowe, materialne, towarzyskie, niekające rodzinę Ewy są typowymi dla tak wielu nie tylko polskich emigrantów. Najbardziej, może przecież okazują się kontakty z innymi emigrantami, przebywającymi tam już od dłuższego czasu i ustatkowionymi w życiu. Oni najmocniej dają odczuć nowym przybyszom ich sytuację i traktując ich z nowobogacką protekcjonalnością. W sumie jednak dla Ewy i jej siostry los i tak jest łaskawszy niż dla jej rodziców. Autem jest tu młody wiek, który umożliwia stosunkowo szybką aklimatyzację. W przypadku jej młodszego o cztery lata siostry przemoc ten postępiek bardzo szybko, wkrótce przestaje nawet mówić po polsku. U Ewy, wrażliwej literacko i językowo, język angielski zaczyna stopniowo dorównywać rangą polskiemu, ale nigdy nie zaniedbuje tego ostatniego zupełnie; do dzisiaj czrećta mówi znakomicie po polsku. Nie zmienia to jednak faktu, że przez wiele lat ciągła świadomość istnienia w dwóch językach, przy jednocześnie poczuciu braku pełni w żadnym z nich, stanowić będzie ewe rodzaju barierę psychiczną. Ewa czy Ewy? Napięcie, imiona te wydają bardzo podobne, ale wymawiane znanąmu różnicę kryjące się za różnymi dźwiękami.

Wydawało by się, że z największą ciekawością czyta się autobiografie sławnych ludzi, wielkich gwiazd filmu, polityków, miliarderów, których samo nazwisko wywołuje sensację. Chociaż autorka *Lost in Translation* nie należy do tej kategorii ludzi, od jej książki trudno się oderwać. Stanowi ona fascynującą lekturę zarówno dla amerykańskiego, jak i polskiego czytelnika. Może dlatego, że wiek dwudziesty — jak podkreślił Czesław Miłosz w swoim przemówieniu w stocholmskim — jest wiekiem emigracji. Stykamy się z tym problemem na co dzień, nie dziwnego więc, że historia jednego życia staje się syntezą wielu losów ludzkich.

Inny fascynujący aspekt książki stanowi to, co zawarte jest w jej podtytuł, czyli relacja autorki z przystosowywaniem się do życia w nowym języku. Myślenie, kontakty z ludźmi, wyrażanie uczuć. Czy te same stany duchowe można jednakowo wyrazić w dwóch różnych językach? Dylemat ten symbolizuje niejako scena, kiedy Ewa stoi przed podjęciem ważnej decyzji życiowej: — Czy mam za niego wyjść — zapisałam sobie po angielsku. — Tak. — Czy mam za niego wyjść — zapisałam sobie po polsku. — Nie.

Dwa języki, a wraz z nimi dwie różne kultury, dwa różne punkty odniesienia, dyktują odmienne odpowiedzi. Nie więc dziwne, że emigranci często osiąga stan zbliżony do schizofrenii. Ewa także na pewnym etapie swego życia zaangażyła się w psychiatrię, co traktowane jest przez jej amerykańskich znajomych jako rzecz normalna. Każdy stanowiący się amerykańskim intelektualistą musi choć raz w życiu otworzyć się na psychoanalizę. Ale problem Ewy jest nieco inny niż jej przyjaciół. Poszukuje terapii na samotność i tęsknotę, którą łączy nie z kłopotami rodzinnymi czy niepowodzeniami zawodowymi, ale ze swoim wystraszonym poczuciem dwukulturowości i dwujęzyczności. Słowa angielskie nie mogą oddać stanu jej uczuć tak jak słowa polskie, z kolei cała intelektualna, racjonalna warstwa jej osobowości nasycona jest angielszczyzną. Wystawiona na ciągłą pokusę przekładania siebie z jednego języka na drugi, gubi się czasami gdzieś w pustej przestrzeni pomiędzy nimi. W końcu jednak osiąga równowagę duchową. Dochodzi do wniosku, że jej miejsce jest tu gdzie żyje teraz, w Nowym Jorku, mieście, które nie może tak idealnie jak wyidealizowany Kraków jej dzieciństwa, ale w którym czuje się dostatecznie swojsko, aby nie poddawać się uczuciom angielskiej nostalgii i polskiej tęsknoty (jej zdaniem dwa zupełnie odmienne odczucia), samotności i zagubienia.

Oprócz psychologicznej warstwy książki bardzo ciekawe są obserwacje dotyczące różnych emigrantów, poczynają od polsko-żydowskiej emigracji powojennej w Vancouver, poprzez polskich emigrantów „posolidarnościowych”, a skończywszy na uchodźcach z Ameryki Południowej. Na przykład dla ciężko pracującej Brzyliki, która wyjechała sobie zadanie ściągnięcia za sobą całej rodziny, wystarczającym powodem przemawiającym za emigracją jest fakt, że ma co jeść i które każdego wieczoru wiać gorący pryzm. Jej oczekiwania są skromne: Z kolei dla Polaków przybywających do Ameryki w ostatnich latach kraj ten stanowi ciężkie źródło frustracji i rozczarowań, bowiem ich aspiracje i oczekiwania sągają dużo wyżej. Ze zdziwieniem odkrywają, że Ameryka przestała być Ziemią Obiecana. Dawniej wyjeżdżało się do Ameryki. Dokąd wyjeżdża się teraz, kiedy dawna Ameryka już nie istnieje? — pyta jeden z dwiętych emigrantów.

Równie interesujące są obserwacje dotyczące Amerykanów o kilkupokoleniowym stażu, zwłaszcza klasy średniej, őródkiem inteligentnych ich problemy mogą się wydawać wielu Polakom egzotyczne, a nawet őrjone, co nie znaczy, że są mniej istotne, choć wielu z nas woli je lekceważyć przypisując sobie swego rodzaju monopol na zmierniwna.

Tak jak dla Ewy Hoffman pamięć stanowi inspirację duchową, a jednocześnie őrród niepokojów, Iwona Irwin-Zarecka stara się patrzeć na nią z obiektywną ciekawością i hiedza. Nie jest to jednak jedynie chłodne zainteresowanie, ale pełna zaangażowania i nie wolna od niepokojów troska o to, co na wakuje sam tytuł książki. *Neutralizing Memory* (Wyłączenie pamięci). Jest to jednak troska na tyle kontrolowana, że nie przeszkadza w uzyskaniu klarownego obrazu badanego zagadnienia. Podstawowe pytanie Irwin-Zareckiej to pytanie zadawane sobie dzisiaj przez wielu Polaków i Żydów. Dlaczego w Polsce w latach osiemdziesiątych nastąpiła taka eksplozja zainteresowania przeszłością żydowską Polski? Jakże jest podłoże tego zjawiska? Polityczne, moralne, zwykła moda? Na ile oznacza ono konfrontację z przeszłością? Jaką rolę wyznacza się Żydom wprowadzając ich znowu w miejsce długo istniejącej pustki i nieobecności?

Jako że książka pisana jest głównie z myślą o zachodnim czytelniku, zawiera obzerne i bardzo kompetentne wprowadzenie dotyczące Polski i osiemdziesiątych. Wypada się tylko cieszyć, że niektóre fragmenty tej charakterystyki, aktualnie jeszcze w trakcie przygotowywania książki do druku, a nawet w chwili jej ukazania się w marcu 1989 roku, przestały być aktualne (a przynajmniej nie są takimi teraz, w chwili kiedy piszę te słowa, czyli wieczorem 1 listopada 1989 roku; jak wiadomo w tej części Europy, zmiana o sto osiemdziesiąt stopni może dokonać się w ciągu paru godzin). Należy w ogóle podziwiać autorkę, że podjęła temat tak skomplikowany i trudny, tym trudniejszy, że siłą rzeczy operuje materiałem bardzo dwięzym, gdzie latwo o pochopne sądy, gdzie braku naturalnej weryfikacji, jaką przynosi nam wpływ czasu. Dlatego tym bardziej trzeba cenić jej ostrożność w formułowaniu sągów, poparcie niemal każdego stwierdzenia materiałami „dowodowymi”, stawianie wielu pytań, co sprawia, że praca ma nie tylko wartość informacyjną, ale inspiratorską. Ważnym elementem reprezentowanym w niej metodologii jest zwrócenie uwagi nie tylko na to, co zostało

powiedziane w kwestii stosunków polsko-żydowskich, ale także za to, co nie zostało powiedziane. Niekomiecznie musi się to wiązać z celowym przemilczeniem. Może to być przemilczenie podświadome, zwykłe próżnienie, albo czysty przypadek. W każdym razie milczenie i niedopowiedzenie odgrywać równie ważną rolę jak słowa.

O ile niektóre fragmenty książki opisujące Solidarność, stan wojenny, itp., są dość oczywiste dla większości polskich czytelników, o tyle bardzo cenne jest przedstawienie zarysu stosunków polsko-żydowskich przed i po wojnie, przyczyn, dla których Żydzi to znikali, to znów pojawiali się w oficjalnym manipulowaniu pamięcią. Źródło obecnego zainteresowania Żydami upatrzyć autorka głównie w pokoleniu 68, kiedy młodych ludzi postawiono nagle wobec kwestii żydowskiej i po raz pierwszy po wojnie antysemityzm został utożsamiony tylko i wyłącznie z nieopularnym reżimem.

Irwin-Zarecka zwraca uwagę na trzy główne ośrodki zainteresowania i szerzenia wiedzy o historii i kulturze Żydów polskich: oficjalny, opozycji katolickiej i opozycji niekatolickiej. Mimo że można się w tym dopatrzeć elementu mody, zjawiska tak charakterystycznego dla elit kulturalnych nie tylko Polski, mody tym bardziej frapującej, że mającej przez długi czas posmak owocu zakazanego, a także – w przypadku władz – świadomej polityki mającej na celu podpreparowanie swego obrazu na Zachodzie, nie sposób pominąć faktu, podkreślanego także przez innych autorów, że zainteresowanie to odzwierciedla tęsknotę za wieloetniczną Polską. *Musi upłynąć pewien czas, aby dana kultura nuciła w pełni odwołując się zmiany obejmujące całe społeczeństwo. W tym przypadku wiele Polakom potrzeba było prawie czterdziestu lat, aby zaczęły kwestionować zalety „czysto polskiej” Polski. Na tym etapie nie wiele można zrobić, aby zmienić demograficzną i kulturalną sytuację. Ale można uczynić coś, jeśli idzie o zmianę symbolicznej struktury społecznego dyskursu. A wydaje się, że zapewnienie wystosowane wobec Żydów jest właśnie jedną z tych rzeczy, które mogą uratować drogi bardziej żywej, bardziej zróżnicowanej kultury. Polacy, pozbawieni obecnie swego „naturalnego” unguo, próbują jak gdyby na nowo stworzyć Żyda (s. 95-96).*

Autorka książki pisze o „skrepowaniu, jakie przez lata otaczało tematy żydowskie, o ciężkim ładunku emocjonalnym, jakie niesie ze sobą w języku polskim samo słowo „Żyd”, rzadko posiadając neutralne brzmienie. Przełamanie tabu spowodowało wyrzucenie dwóch głównych nurtów pamięci: nostalgicznego, obejmującego tradycję wizerzenia, obrzędów, te wszystkie elementy kultury stanowiące niejako neutralny teren i nadając się do nostalgicznego wspomnienia, oraz krytycznego, obejmującego stosunki polsko-żydowskie w różnych okresach, a zwłaszcza postawy Polaków wobec Żydów w okresie holocaustu oraz spraw polskiej antysemityzmu. Dlaczego więc neutralizowanie, wyciszanie, swego rodzaju „unescodkowanie” pamięci, skoro tyle publikacji, spotkań i dyskusji? Zdaniem autorki pewne niebezpieczeństwo kryje się w tym, że Polacy zaprzęgają Żydów do swojej kultury i historii rzeczą oszczędzić ich w jakiejś odległej mitycznej przeszłości, a przeprowadzimy więc lat bardziej pełny rozrachunek ze wstydliwymi aspektami polskich postaw wobec Żydów, dokonując moralnego samozadośćuczynienia uznając to za rozdział zamknięty, do którego lepiej nie wracać.

Omawiając książkę już po wszystkich wyderzeniach związanych z kłopotami karmelitank w Oświęcimiu, tym bardziej docenia się znakomitą orientację autorki zaprezentowaną we fragmentach analizujących stosunek Kościoła do spraw polsko-żydowskich. Zwracając dużą uwagę na przepaść dzielącą odczucia Polaków i Żydów, którą sprawą Karmiele obnażyła w całej okazałości, Irwin-Zarecka podkreśla niedostateczną rolę Kościoła w polsko-żydowskim dialogu. Choćby większość ważnych inicjatyw wyszła ze środowisk inteligencji katolickiej (niezaprzeczalnie zasług „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” i „Znak”), nie zmienia to faktu, że jednoznaczne potępienie antysemityzmu oraz widzenie judaizmu jako „starożytnego brata” nie występuje wyraźnie w codziennych kontaktach Kościoła ze społeczeństwem. Poza tym Kościół nie zdobył się dotąd na krytyczną samoanalizę, jeśli idzie o swój stosunek do Żydów i ich religii w różnych okresach historycznych. Znajac rolę Kościoła w Polsce należałoby oczekiwać, że jego pełna i krytyczna refleksja nad stosunkami chrześcijaństwa do judaizmu mogłaby spowodować rzeczywistą zmianę w pojmowaniu i odczuwaniu przez obie strony tych bolesnych i nie wyjaśnionych do końca spraw. Pojednaniu polsko-żydowskie wymaga wysiłków z obydwu stron. Obie narody widzą siebie wyłącznie jako ofiary, co utrudnia dostarczenie punktu widzenia drugiej strony. Tak jak Polacy muszą przestać postrzegać Żydów jako „problem”, tak Żydzi muszą uznać

że „Polak” nie znaczy jednocześnie „antysemita”, i że Polacy doznali ogromu cierpienia pod okupacją hitlerowską. Auschwitz nie może być pozbawiony Żydów, tak jak czyniono to przez wiele lat wyciszając ich obecność, nie może też być pozbawiony Polaków.

Ewa Hoffman „unieszkodliwiająca” swoje wspomnienia używa też wewnętrznego dla Irwin-Zareckiej wyciszenia dalej stanowi źródło niepokoju. O ile w wymiarze jednostkowym wyciszanie pamięci nie jest niebezpieczne, a może mieć nawet szlachetne działanie terapeutyczne, o tyle w świadomości zbiorowej może pociągać za sobą niebezpieczne konsekwencje, pewien brak dopowiedzenia, postawienia kropki nad „i”, niebezpieczeństwo, że pamięć, wyciszona, nagle odzwie się wzburzoną głosem. Ostrzeżeniem niechaj będzie sprawa wokół klasztoru karmelitek, kiedy to przemilczenie oraz brak dokładnej informacji i zrozumienia z obydwu stron, doprowadziły do wybuchu w najbardziej drażliwych strefach polsko-żydowskiego obszaru pamięci.

Na koniec można tylko o sobie życzyć, aby obie książki ukazały się także po polsku, jako że przedstawiają dla polskiego czytelnika szczególną wartość. W przypadku pracy Irwiny Irwin-Zareckiej musiałaby to być specjalnie opracowana wersja dostosowana do potrzeb polskiego odbiorcy, jako że wiele rzeczy pisaných z myślą o czytelniku zachodnim byłoby po prostu zbędne. Obie pozycje stanowiąby okazję do głębszej refleksji, jedna nad tak aktualnym działaniem problemu emigracji, druga zaś nad naszym stosunkiem do dawnych i obecnych mniejszości, sprawą, która ciągle tak żywo daje znać o sobie w sferze kontaktów polsko-żydowskich, polsko-ukraińskich, polsko-ukraińskich, polsko-białoruskich, polsko-niemieckich, czy polsko-rosyjskich, by wymienić tylko te najważniejsze.

Ewa Hoffman, *Last to Translators: A Life in a New Language*, E. P. Dutton, New York 1989, s. 280.
Irwin-Zarecka, *Neutralizing Memory: The Jew in Contemporary Polish Transnational Publishers*, New Brunswick, New Jersey 1989, s. 206.

RENATA PRÓCINIAK

NARODZINY Z WŁASNEJ PAMIĘCI

*„Gdy byłem dzieckiem
wszystko było mi darem”
(A. Wat)*

„Jest czas rodzzenia i czas zrywania” — mówi Kohelet. Ryzyder Stein w *Epitafium* podjął próbę „zrywania” własnej biografii z drobin oderwanych i pozorne zamkniętych. W rok po zakończeniu II wojny światowej, po raz pierwszy od wielu lat, *przechadzał* do swego rodzinnego miasta. Mieszkał w parterze dwupiętrowego domu przy ulicy Nowej zreszcie. W tamtych latach był to kraj nie mała. Ulica Nowa kończyła się na dwudziestym numerze. Jednym tchem „wysycha” autor potężna sznapoprzeżnięta, współczesność (czas pisanie) — rok 1946 (czas uarracji) — lata przedwojenne (czas akcji). Dorosły człowiek z garbem przeżył, bliznami po ranach odkrył potrzebę mówienia o prywatnej przeszłości związanej z żydowską przeszłością. Kalksem. Poetyka dziecinnej spontaniczności, podziata nostalgia zaczerpnięta i stale trąconych szczegółów własnej biografii jest najpowszechniejszym sposobem powrotu do minionych lat i przeży.

Konwenia, która ongi wydawała się potężna, teraz po latach okazała się nieporozumieniem upuszczonym domem. Z frontowej ściany odpalił tynek, wykruszyły się cegły z gzymsów. Podwórza naszego już nie było. Wspaniałe płoty zostały rozebrane. Nie było już ścieżki z sopy. Pozostały zapłatanie grzyby i kupa grzywa. Smutnie jest podwójnie i samotnie człowiek, który do niego wraca. Na wspaniałe „kiedyś” nakłada się zwycięstwo „teraz”. Sytuacja sprzyja utracie tożsamości — Stein pokazuje jednak nie to, jak ją tracił, ale raczej — jak ją o nią walczył i jak ją piegiogwał. Zjawiska i emocje minionego świata były za silne, by o nich zapomnieć, zbyt bolesne, bo myślał o nich tak samo (traktować je na tym samym poziomie emocjonalnym), jak o zjawiskach świata „i tu; i teraz”.

W psychice, w sposobach myślenia autora powstał mechanizm obronny przed straszem zacieranej tożsamości. Aby ten proces przedstawić bardziej obrazowo można sięgnąć do astrofizyki, w której istnieje pojęcie „czarnych dziur” — miejsce w kosmosie, gdzie skupione w niewielkiej przestrzeni masy materii mają tak silne pole przyciągania, że znikają w nich wszystkie, nawet światło i po drugiej stronie czasu tworzy się nowa rzeczywistość, nowy Wszechświat, istniejący niezależnie od rzeczywistości, z której powstał. Ukształtowana przez utratę otoczenia tożsamość psychiczna Steina to „czarna dziura”, która jest „włazem” w ścianę czasu, przez którą na drugą stronę przedostają się kapsuły wypełnione minioną rzeczywistością. Emocje związane z utratą otoczenia są tak silne, że wyobraźnia i pamięć autora (tworzą pomost, kładkę, która umożliwia ratunek pojedynczej osobowości z katastrofy historycznej). Szczęśliwie, odpryski muszą być przeniesione przez „czarną dziurę” w inny wszechświat istniejący równoległe z realnym, materialnym. Obecność autora (narratora) w rzeczywistości, bez wszechświata, który jest kreatorem, jest niemożliwa.

Zawile i kręte drogi powrotu prowadzą na cmentarz. *Udałem się na cmentarz, gdzie została pochowana moja matka. Wysokie, częściowo już zwiastające, mury cmentarne otaczały dokoła zaminację pole. Obok purterowego domu znajdującego się przy bramie cmentarnej, letala kupą gruzów z odłamkami płyty nagrobnych i cegieł. Nawet na cmentarzu trudno odnaleźć przeszłość. Pozostały odpryski i odłamki. Tak było zaraz po wojnie. (Dzień na gruzach jednego z ementary żydowskich Kałesza wyrosło osiedle mieszkaniowe.) Nie rek wizyty (lub ich brak) znaczą. Niek porozumienia z przeszłością nawiązał Stein poprzez poruszenie emocji. Wreszcie dziełstwo to przede wszystkim epizody i obrazy związane z matką. Z nią wiążył się wspomnienie domu rodzinnego. Gdy wypływają z najdłuższych zakamarków jakiejś wyraźnej przeszłości tamtych lat, to zawsze widzę obok siebie matkę. (...) Wszelkie chropowatości życia dzikim łacie nie raniły mnie. Dzieńki jej świat w tamtych latach jest po dziś dzień dla mnie jasny i ciepły. A pogodny obraz tamtych lat przeniosłem p. zez całe życie jak skarb bezsenności. Stein z entuzjazmem słucha głosu, który dobiega i dobiega go z dalekiego świata. To, co przeżył kiedyś, było inne, szczególnie bliskie. Poczucie inności określiło go na zawsze. Powracanie nie jest zatem samooszukiwaniem się, nerwowym pograżaniem we śnie o latach minionych, lecz świadectwem ponownych narodzin bohatera. W ten sposób Stein pielęgnuje pamięć własnego siebie, pozostaje wierny nie tylko faktom, ale odrębności swoich myśli i uczuć. Unika jednocześnie pokieszenia dojrzałej refleksji za wspomnieniem. Terapię niepiszuc jest zwyciężać. Istnieje w korelacji z przeszłością. A wszystko razem tworzy wspólną tradycję.*

Brai zaprowadził mnie do chederu Kozłobrodki (...) Kozłobrodka pokazywał literę w Biblii i trzeba było za nim powtarzać literę, ale za trzecim razem on już nie nie mówił tylko wodził palcem i szmerna należało w iład za palcem szmerna literę. Gdy się nie pamiętało otrzymywało się maleńkiego przytęka w czoło, aby lepiej tam wsiadło, a gdy dalej się nie pamiętało przytęki stawały się coraz mocniejsze i boleśniejsze i wtedy nie było już rady, trzeba było wszystko dobrze pamiętać. Bohater znajduje siebie w małym świecie, w miesiącach i sytuacjach zatrzymanych w czasie. Powraca do rzeczy bliskich i bezpiecznych i może być ponownie tak wrażliwy i bezstronny, jak niegdyś mały Stein w chederze. Penetrację swoją młodość, przekonuje siebie i czytelnika, że wbrew pozorom, nie tak mało jest szpeków i gwóźdźków w poczynaniach belkank, na których można zawiesić wspomnienie. *Otwieranie drzwi prorokowi należało na moje nieszczęście do najmłodszego zyna, czyli do mnie. Ze ślicznością sercem zbliżałem się do drzwi. Gwałtownie rozszerzałem je na ościeł i co ich uśledałem. Uparcie wpatrywałem się w kłech, aby nie przepaść chwili, kiedy wino łam zaczęło ubywać, kiedy prorok zacznie pić. Nie nostalgia i bezradność określają wspomnienie, ale raczej piękno świata żydowskich obyczajów, kultury, a bardziej jeszcze gestów, ruchów, barwy głosu, intonacji, religijnej bojowni i trwogi przed karą. Moment narodzin wrażliwości bohatera jest w takiej sytuacji szczególnie znaczący. Moje życie wyglądało tak, jakby w jednym i tym samym zrywie zapisało zupełnie coś innego przed obłędem i po obłędzie. Przypomnijmy zatem, przed obłędem zapisało wspomnienie o matce, ale także o ojcu-nieuczniu, o ciocie, wujku, rodzeństwie; po obłędzie wery o własnych błędach, o poszukiwaniu wolności, o tym, co wzięło początek w polskiej szkole. Długo toczył się dwa nurty w mojej ówczesnej świadomości, wywoływały wewnętrzne konflikty, które u mnie carykowały między wolno a nie wolno. W miarę upływu lat kiedy dom rodzinny przestał dominować w moim kształtowaniu, sprzecznosci te tracily na*

astrofiki. Osobowość Steina poznaje czytelnik w dekompozycji, ale dalekiej od destrukcji. Owa dekompozycja pozwala mówić o tym, że najprostszym doświadczeniem wywołuje u osoby wrażliwej mnogość tej samej twarzy. A twarze te, nazwijmy je instakami, są naszym innym, jak zatrzymanymi marzeniami.

O spójności *Epitafium* decyduje typ opisywania, konsekwentnej emocjonalności, ale także słowami dziecka prowadzona narracja. Przeciwnie opisywane po latach, dziś czytelnik może odbierać, jak anegdoty. Uwagę zwraca frazami „wszyscy” „zawsze”. Prowadzi ona do uogólnień właściwych myśleniu dziecka — dosłownych i konkretnych. Najważniejszy jest efekt końcowy. *Najstarsza córka już zamężna, mieszkała w Rylinie. Nazywała się Korejka. Była ładna, wykształcona i też bogata. Po rzecowym stwierdzeniu następuje naiwne uogólnienie. Zawsze pierwsze dzieci są ładne i zdrowe. Rachelę była natomiast, nieukana, garbata, cięgle chorowała. Była bardzo mądra (...)* w ogóle wszyscy garbaci są mądrzy. Odkurzone wspomnienia Alanaia do przesady, egzaltowanej narracji, dziecinnej hiperbolizacji. Jeśli Stein mówi, że wino jest tanie jak baraszek, to zaraz dodaje, że można się w nim kąpać, jeśli natomiast bieda może pisać, to w mieszkaniu Jana naprawdę pisała.

Świat dziecięcych przeżyć i marzeń opuszcza człowiek dorosły. Może robi to nieświadomie, a może zakłada, że tylko dzieci i artyści potrafią głębiej o szczegółach, drobniarzach, zapachach, które podobnie jak magdalena są kluczem do minionego świata.

Izidor Stein (dziecko i artysta) umieszczonej wewnątrz opowiedzianego świata zabiegami stylistycznymi i kompozycyjnymi sprawia, że ujawnia się na naszych oczach, jak wywoływana fotografia, pogodny obraz, filar jego dorosłego życia, ów skarby bezcenny, który dla nas jest tylko emocjonalną dziurą historii. W „czarnych dziurach” tzw. pamięci zbiorowej wrze, ciela osagając monstrualne rozmiary, wszystko obryzmyje i potwornie. *Epitafium* jest świadectwem, że i tej otchłani mogą słażać się obrazy ciepłe, nasączone światłem, przypominające pokój babci, wypielonny tumanami iskierk słońca, tańczących na drobinkach kurzu. Te obrazy są cugle żywe, pozwalają komuś żyć. Kiedy takich ludzi zabraknie, będzie to epitafium dla *Epitafium*.

Epitafium Steina. *Epitafium* KAW, Warszawa 1988, ss. 146, nakład 10 550 egz.

ARKADIUSZ BAGAJEWSKI

ARCHEOLOGIA DUCHOWOŚCI POLSKIEJ — ŻMUT I UMSCHLAGPLATZ JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA

Przedrzeć się przez „żmut”, rozszarpać plataninę „żmuta”, dotrzeć do prawdy — to byłaby najkrótsza recenzja z najnowszych książek Jarosława Marka Rymkiewicza: *Żmut* i *Umschlagplatz*.

Czy w ogóle można połączyć te dwie książki w jednej recenzji? Czy winno zestawiać rzeczywistość *Żmuta* z rzeczywistością *Umschlagplatzu*?

Obydwe książki manifestują tę samą „metodologię” docierania do prawdy, zakrytej, splątanej, niczym ów „żmut”. Obydwie też nasyczone zostały różnorodnymi tworzywami: „zmyśleniem” i „prawdą”. Filologiczne dociekania sąsiadują z romanową narracją, sny i wyimaginowane rozmowy bohaterów z dociekaniami topograficznymi, obyczajowymi (*Żmut*), historyczne penetracje źródeł, romans w Otwocku latem 1937 roku, monologii Cyka Mandelbuma z monologami i rozmowami narratora — Rymkiewicza. Tworzymy wskazując układający się w pewną całość; ta rozspianka narracyjna umożliwia bowiem wielospektrowy ogląd retroskowanej rzeczywistości, rozpoznawanie „prawdy” i „zmyślenia” pozwala narratorowi zrozumieć splątana rzeczywistość, czy wytyczyć w niej jakiś linie porządkujące.

U źródeł obydwu książek leży to samo pytanie: dlaczego wyrzucamy z naszej zbiorowej świadomości pewne sytuacje, fakty, miejsca.

Istnieje przecież na Litwie Tuhanowicz, istnieje w Warszawie miejsce, które nazwane zostało Umschlagplatzem. Ale zarazem nie ma tych miejsc. Obecne są w pracach naukowych, książkach, wspomnieniach i relacjach. Tylko tam i w istocie tam także tych miejsc nie ma. Co się składało na „fizyczną” przestrzeń Umschlagplatzu, ile lip roso w tuhanowickim parku, sześć czy dziewięć, a może dwanaście? Nie wiemy, a wiedzieć chcemy.

To nie jest „burza w szklance wody”, chodzi tu o rzecz fundamentalną dla naszego pojmowania prawdy, dla niezafalowanej „duchowości polskiej”. To zestawianie, porównywanie relacji, wspomnień, dokumentów jest procesem docierania do prawdy, o ile dotrzeć do niej można, w każdym razie to proces poznawania: poprzez legendę „iść ku prawdzie – to prawdziwe wydarzeń i prawdziwe istnienia” (*Zmut*).

Zestawianie Tuhanowicz i Umschlagplatzu jest niesłowne, wiem, tak jak nie można zestawiać komina krematorium z kominem cegielni.

Jeżeli więc zestawiam, to nie dla efektu. Bo w istocie ważnym, jeśli nie głównym tematem ostatnich książek Rymkiewicza, jest próba wyjaśnienia, „co to znaczy dla życia polskiego, dla duchowości polskiej...” (*Umschlagplatz*) dziewięć czy sześć lip w Tuhanowicz, czy barak Transferteille znajdował się na Umschlagplatzu czy poza nim.

Przestrzeń Tuhanowicz i przestrzeń Umschlagplatzu zostały bowiem zafałszowane, jedna przez legendę, druga przez ideologię.

W Tuhanowiczach nie ma dzińdworku i lip, na Umschlagplatzu mieści się jakąd bazar PKS, stacja bezynowa...

Dłatego narrator jednej i drugiej książki (trudno tu w zasadzie wprowadzić jakiejś kwalifikację gatunkową, bo to i esej, i naukowe rozprawy, romanse, „monografie”), narrator-detektyw stara się w płatinie „*żmuta*” dotrzeć do prawdy, buduje hipotezy, później je weryfikuje, ustala poszlaki, śledzi drobne za poszary i nie znaczące ślady, owe warkocze, wąski, portrety (*Zmut*), białe pentofelki i jedwabne pończotki Chai (*Umschlagplatz*) – bo to ważne zarówno dla „śledzwa” (które ma doprowadzić do prawdy), jak i przede wszystkim ważne dla życia, właśnie życia, które przemigło, ale dzięki owym wątkom, pentofelkom... zwyciężyło czas.

Te wąski, pentofelki są ważne dla egzystencji Maryli i Chai, tak ważne jak myśli, pragnienia, oczekiwania. A pewnie i od nich ważniejsze, bo pozostały poza czasem, w ocieplającej wyobraźni Są.

Dłatego podstawowy imperatyw każdej detektywistycznej szukać owych śladów sprówdza się do umieszczenia w duchowości polskiej prawdziwego wizerunku rzeczy, miejsc, wydarzeń i ludzi.

Ta wręcz obsesja narratora, zobaczyć żywych ludzi, wieszca, którego bolą zęby na przykład, uprawnienia każdy sposób prowadzenia narracji: wymaginowane rozmowy, wymaginowane sny obok narracji „naukowej”; w *Umschlagplatzu* narrator wręcz utożsamia się z postacią leyka Mandelbauma, a także chłopca ze zdjęcia, które obiegło cały świat, Artura Siemiątkę.

Dłatego tak ważne jest precyzyjne wytyczenie granic Umschlagplatzu, bo ważne jest, czy ta właśnie ulica, ten właśnie dom, to właśnie przejście przynależą do tej przestrzeni śmierci, zniewolenia, upodlenia.

Bo te lipy, budynki demaskują legendę i zafałszowanie, nie ma ich, ale stoją i rosną w prawdziwej przestrzeni Umschlagplatzu i Tuhanowicz.

Bezprzeznaczne sam pomyśł *Zmuta*, polegający na odjęciu od tradycyjnych kanonów mickiewiczologii w rekonstrukcji biografii poety, wart jest uznania.

Porzucenie kontekstu literackiego na rzecz romantowej powieści detektywistycznej-filologicznej, w której Mickiewicz, ślimaki, Maryla, pan Kowalski nie są jeszcze śpiewani: Romantyczna Forma, w której na równi ważni jest Maryla i nieznana sprzączka stacji Mickiewicza, to niewątpliwie próba innego spojrzenia na narodowy romantyzm polskiego.

Rymkiewicz stara się odejść od legendy Gustawa i Maryli, coż jeśli sam tworzy nową.

I choć dopuszcza możliwość funkcjonowania wielu legend, to i tak wiemy, że w tym przypadku legenda może być tylko jedna.

Spłajane, „*zmutowane*” biografie bohaterów owej powieści i tak ułożyły się przeciw w spiskowy archetyp polskość zniewolenia.

Dotyczy to zwłaszcza ślimaków, których w Romantyczną Formę zaklął nie kto inny tylko sam Mickiewicz. Chyba już na zawsze pozostaną owymi niewinnymi

„dziećmi” z III części *Dziadów*, złożonymi na ołtarzu ojczyzny. Któż tak naprawdę – myślę o zbiorowej pamięci – ma dalsze losy tego pokolenia, o którym niegdyś tak przejmująco pisała Alina Witkowska?

Bo to, że ślimaki na zawsze pozostali archetypem polskiej młodzieży walczącej i że duchowość polska jakoś nie chce pamiętać Mickiewiczowi, że nie wziął udziału w powstaniu, jest czymś bardzo znaczącym. Czy nam się podoba czy nie, Narodowa Świętynia Patriotyczna chyba zażądała owych dwudziestoletnich żywotów „męczenników sprawy narodowej”.

Dłatego też, jak sądzę, Rymkiewiczowska legenda w zamyle twoim jest dwuznaczna. Bo narrator *Żmuta* do prawdy nie dojdzie, czasem się o nią otrze, czasem nie.

Dłatego więc z taką pasją szuka, kluczy, dowodzi? Czego w ogóle szuka? Nie interesuje go przecież bytowski, „odbrażanie” legendy Mickiewicza.

Czego więc szuka odbywając prawdziwie romantyczną podróży do dziejnicantowicznej Litwy? Czy o Mickiewicza mu chodzi? Czy o nas samych? Dłatego wiesz, wązka... dłatego? Dłatego?

Sam widzę, że i mój tekst „*zmutowuje*”, że płacze się ów „*żmut*” coraz bardziej. Czy te wązki, warkocze, lipy... które przecież układają się w całość Narodowej Pamięci, Narodowego Trwania, zniszcza legendę o Maryli i Gustawie, zniszcza taką piękna, z takim mozelem budowaną legendę?

Problem to w istocie donioślejszy; czy może być prawda legendoiwórców i prawda rozszupacyzca „*żmuta*”? Można oczywiście dojrzeć w tworzeniu legendy Gustawa i Maryli metaforę legend w ogóle, tworzonych na doraźny użytek ideologii. Bo owa niejednoznaczność w budowaniu biografii młodego Mickiewicza, odsuwana i retuszowana, czemuś służyła. Służyła przecież legendzie narodowej w końcu wieszca. Ale prawda była fałszowana...

Przynajmniej się, że o ile rozumiem, że „*żmut mickiewiczowski*” jest w istocie pretekstem do poszukiwania naszej zafałszowanej tożsamości, o tyle nowa legenda bohatera fragmentaryzacji czystości, człowieka żyjącego, zanurzonego w biologii, nie w pełni mnie przekonuje.

Wizja historyczności, cwokowanej poprzez dokument, list, sen, wierz, „*zmyślona rozmowa*” odrywa się jakby od człowieka Mickiewicza, zbyt posagowego, bo odartego z psychologii.

Podróż więc, mająca na celu zdjęcie Romantycznych Mask, mo w pełni się powiodła. Romantyczna Forma modelowała na swój sposób Romantyczną Prawdę, która prawdziwa być nie musiała.

A czy ujrzyeliśmy w Nim, a On w nas? Być może.

Ten sam pomyśł przedarcia się przez „*żmut*” do prawdy powiodł się w ostatniej książce Rymkiewicza.

Miejscu, na którym 310 000 ludzi czekało na śmierć, przestrzeń zniewolenia, Umschlagplatz, konfrontowana jest z całkiem inną przestrzenią, przestrzenią wakacyjnego romanu w Otwocku latem 1937 roku, pełną wszakże przecież holocaustu oraz z przestrzenią dzisiejszej duchowości polskiej, poszukującej odpowiedzi na pytanie o odpowiedzialność Polaków za zagładę Żydów.

Przy czym, i pragnę to mocno podkreślić, problem odpowiedzialności jest w Umschlagplatzu odniesiony tylko do zobaczenia prawdy o Umschlagplatzu. Narrator nikogo nie oskarża (pewne postawy oskarżają się same – nie wymaga komentarza takie epizody jak zachowanie się Polaków po zagładzie owiego getta, jak i z innej perspektywy ow epizod z Żydami, czekającymi na jakimś polu dwie godziny na śmierć, bo właśnie zandarmowi skoczyły się naboje i wysłał po nie przedchodzący obok chłopek – choć w tym przypadku komentarz jest potrzebny: nie można rozpatrywać tej sceny w kontekście słów lanowanych przez Bettelheima czy Hannah Arendt, że Żydzi szli na śmierć jak barany na rzeź, postawa Żydów, jak sądzę, jest w tym epizodzie wymownym oskarżeniem totalitaryzmu), pragnę jedynie poznać prawdę.

Prawda o Umschlagplatzu, zawarta w otwockim romanse i apokaliptycznym getta, wprowadza się w istocie do przyrzecza przez narratora gorzkiej lekcji dotyczącej nas samych.

Istnieć podli Polacy, tak jak podli Żydzi, i jedni, i drudzy zachowywali się okropnie. *Dziennik z getta warszawskiego* Mary Berg, może zbyt „literacki”, aby był całkowicie

wiarygodny, przynosi przegląd rozmaitych postaw w getcie — jeden epizod: sama autorka urzędują przyjeździe urodzinowe, choć dostrzega, że obok na ulicy dzieci umierają z głodu.

Istnieli też Polacy przechowujący Żydów, płacący za ten ludzki odruch własnym życiem, istnieli Żydzi tacy jak bohaterscy obrońcy getta w 1943.

Problem nie zawiera się w proporcjach, w tym ilu naprawdę było bohaterów, a ilu odszczepieńców z jednej i drugiej strony. Byli. Uświadomienie sobie tej prawdy, składającej się, czy chcemy czy nie, na duchowość polską, wymaga więc mądrego podjęcia przetrwanego, nie z winy narratora przecięt, dialogu. W tej perspektywie innego wymiaru nabierają słowa skierowane przez narratorkę do Artura Siemiatki, chłopca ze zdjścia:

Zmęczyłeś się — mówię do Artura. — To przecieć musi być bardzo niewygodne: takto stanie z podniekionymi do góry rękami. To zrobimy tak. Teraz po podłogę ręce, a ty je opuścisz: i może tego ci nie zauważa. Albo wierz co. Zrobimy inaczej. Oha! będziemy stać: z podniekionymi do góry rękami.

Tak jest uczucie, bo po prostu po ludzku. I o tym mówi *Umschlagplatz*, o moralnym sensie przyjęcia w ludzkim odruchu winy. Winy, która nie ma nie albo niewiele wspólnego ze zbiorową współpoważnością. Winy jako zagadnienia eschatologicznego. Bo *Umschlagplatz*, mimo iż wyznaczony ze zbiorowej świadomości, istnieje i może się powtórzyć w innym czasie i innym miejscu. Bo *Umschlagplatz* to zgoda na totalitaryzm i jego konsekwencje.

Jarosław Marek Rymkiewicz: *Zmiał Nomin*, Warszawa 1987, m. 232

Jarosław Marek Rymkiewicz: *Umschlagplatz*, Nowa, Warszawa 1988, m. 109

ANTONI BEDNAREK

SETEK PISARZY EMIGRACYJNYCH

Dorobek encyklopedyczny powojennej wiedzy o literaturze jest zawstydzająco niski. Wydawnictwa tego typu, aczkolwiek pozytywne i oczekiwane, nie cieszą się zbyt wielkim zainteresowaniem fachowców. Można nawet mówić o pewnego rodzaju środowiskowej mitologii, lanującej opinię o otwórczym charakterze encyklopedycznej profesji, dającej jakoby male szanse specjalistycznym, warsztatowym możliwościom badacza. Działu to przyrzeczanie do traktowania encyklopedii wyłącznie w kategoriach faktograficznego kompendium, a więc mało efektywnej formy przekazu. Dominuje przekonanie, że konwencja leksykograficzna, z natury rzeczy sprzyjająca ujęciom syntetycznym, niebity nadaje się do wnikliwych, uszczegółowionych omówień. Z drugiej jednak strony, co ciekawe, trudno daje się zaobserwować we współczesnych encyklopediach umiejętność syntezy, budowania ciągu uogólniających sformułowań, które najczęściej bywają zastępowane ogólnikami. Charakterystyczny pod tym względem jest popularny zestaw leksykonów Wiedzy Powszechnej prezentujący różne literatury świata.

Czy encyklopedia ma wyłącznie rejestrować podstawowe, wprowadzające w dany temat informacje faktograficzne? Gdzieś się chyba zagubił starożytny paradigmat, wedle którego przedkierowania tego typu miały nie tylko wyjaśnić terminologię, odnosić chronologię wydarzeń i podać ich krótkie opisy, komentarz, lecz powinny również, choćby zarysowo, zaprezentować obraz twórczości intelektualnej swego czasu lub przynajmniej nazskoczyć obiektywnie panoramę aktualnych trendów i postaw myślowych. Zwroćmy uwagę, że pojęcie encyklopedyczne w Polsce wywołują dość jednostronne reakcje recenzyjne. Najczęściej pojmają one na skrupulatnie korekcie wartości faktograficznej oraz wyrażaniu propozycji poszerzenia haseł. Tymczasem informacja encyklopedyczna jest zjawiskiem wielostopniowym i nie może być tylko zestawem wiadomości. Wazny jest sposób ich uporządkowania, niekiedy wybór i system hierarchizacji. Istotna bywa też reprezentatywność określonych szkół i metodologii.

Ukazanie się *Leksykonu polskiej literatury emigracyjnej* cieszy podwójnie. Dlatego, że wreszcie znacznego upowróżnienia doczekała się ważna część literatury polskiej i dlatego, że w ogóle pojawiła się jeszcze jedna encyklopedia literacka.

Pierwszy krajowy informator encyklopedyczny o literaturze emigracyjnej ma bez wątpienia swój cel najważniejszy i niejako podstawowy — przekazać jak najwięcej danych biograficznych i bibliograficznych o nullo przecięt znanych masowemu odbiorcy postaciach. Kowalski doświadczało obalenie (z dokładnym uwzględnieniem chronologii) odpowiednio kolejne życia prywatnego i profesjonalnego autora, jego powiązania intelektualne ze środowiskami kraju, w którym przebywał, działalność społeczną i polityczną. Zostało to podane zgodnie z wymogami leksykografii w sposób rzeczowy, konkretny i precyzyjny. Można, co najwyżej, wyśledzić kilka informacji, które wydają się zbędne, gdyż odnoszą się do rzeczy zupełnie nieistotnych dla wiedzy o piarzu, jak na przykład to, że Bohdanowiczowa w latach 1926-38 mieszkała „przy mezu” lub Bielawowie „cierpił na nadciśnienie”. Jeśli idzie o zamykającą każde hasło bibliografię przedmiotową, podkreślić należy dobry wybór, a zwłaszcza decyzję uwzględnienia w niej również pozycji krajowych, co pozwala czytelnikowi zdobyć wstępne rozeznanie co do lutejszej recepcji i możliwości dostępu do wiedzy o ludzich dziełach, które latami docierały do przeciętnego odbiorcy w postaci enigmatycznych wzmianek. Nic ludzmy się, że znajomości tych regionów literatury jest ciągle jeszcze niska. Praca Kowalskiego ma tu więc znaczenie szczególne, pełnię rolę popularnego przewodnika, wstępnie wprowadzającego w to, co stanie się teraz — miemy nadzieję — przedmiotem przypisywanej recepcji w wierszych kręgach odbiorców. W odniesieniu do bibliografii krajowej można mieć tylko pretensję do Kowalskiego o zbyt skąpe uwzględnienie prac dotyczących kilku wielkich nazwisk. Sadzę, że należałoby przytoczyć także artykuły (studia, interpretacje) o charakterze bardziej analitycznym (niekiedy na temat pojedynczych utworów), zamieszczone w czasopiśmie naukowych, zwłaszcza dotyczące twórczości Wierzyńskiego i Lechonia oraz wybitnych estetych (choćby kilka interesujących szkiców A. S. Kowalczyka) jak Wincenty Stempowski, Witlin.

W edytorstwie historycznoliterackim, nie mającym dobrych i bogatych tradycji encyklopedycznych, nielawo umiejętność stanowi interpretacja twórczości. Trudność polega na tym, że w ograniczonym wymogami leksykografii i krótkim tekście trzeba syntetycznie przekazać podstawowy sens utworu, jego swoistość — w sposób wiarygodny zminiaturyzowany wprawdzie, ale wyczerpujący, precyzyjny sformułowanie. Niebezpieczna może okazać się tendencja do ogólnikowości, a także elegancie metodzie zastępowania — mówiąc skróto — deficytu szerszego kontekstu (co czasem zdarza się i Kowalskiemu, por. m.in. hasło Szechter). Wazny jest odpowiedni wybór języka, który zachowując komunikatywność, przejrzystość i lapidarność nie może jednocześnie zrygnąć z fachowej terminologii. Często przybliża piszącego świadomości zadania, jakie ma do spełnienia. Odbiorcy winen jest z jednej strony fachowa informacja, z drugiej zaś odpowiednie spopularyzowanie tematu. Stąd biorą się ekwilibrystyczne poczynania, zmierzające do wyprzedkowania między językiem naukowym, krytycznoliterackim a jakimś niolektrycznym stylem „przekładu” na język potoczny. Właściwie trudno znaleźć powód rezygnacji z języka specjalistycznego — a słychać takie okazy wstyd encyklopedystów — gdyż automatyzuje on sposób mówienia o literaturze, uświadamiając odbiorcy konieczność dostosowania się do pewnego poziomu refleksji, osiągnięcia określonego pulapu umiejętności. Nie wiadomo czemu sądzi się potocznie, że wymiana myśli na tematy literackie powinna polegać na mówieniu „swoim zdaniem”, na wyrażaniu „od serca” twórczych refleksji i odczuć.

Inklinacje do takiej powierzchownej impresyjności znajdziemy u Kowalskiego, nie w rażącym nadmiarze, ale jednak... Tak jest, gdy pisze, że poetka (Bednarczykowa) „buduje swą dynamiczną grę z gestów i spojrzeń” (a cóż to, na Boga, naczyn?), gdy Dutrowskiego określa mianem „subtelnego poety i krytyka literackiego”, a Ilaupta nazywa „subtelnym prozaikiem”. Eestysta Karpińskiego to „swoista kronika ewolucji duchowej” (używając określeń „subtelny” i „swoisty” jest przechem poważnym języka encyklopedycznego — potwierdzi to każdy redaktor parafrazujący leksykografię). Zdarzają się też krytycznoliterackie wtręty odznaczające się brakiem precyzji: „imiała metaforyka” (s. 21), „nie stronił od wierszy satyrycznych, podnosząc ich tonację przez odwołanie się do poezji staropolskiej” (s. 68, podkr.

moje — A. B.) lub — w innym miejscu (s. 133) „w oryginalny sposób poruszając kwestie narodowościowe”, tu uchyliłoby się spytać: znk. jaki, na czym ta oryginalność polega?

Tyle, jeśli idzie o stronę warsztatową, a więc sprawy, które po prostu wymagają korekty. W innego rodzaju relacje wchodzą natomiast próbując rozpoznać syntetyczny obraz zjawiska, taki a nie inny profil całości, który rzecz jasna projektuję — w sposób mniej lub bardziej zamierzony — każdy gatunek dyktorski typu encyklopedycznego. Tu możemy jedynie polemizować, uznając prawo autora do własnej perspektywy oglądu, rozłożenia akcentów, pewnych preferencji itp. Jaki wobec tego jest konfliktik ogólny literatury emigracyjnej? Sądzę, że można go odczytywać u Kowalskiego dwuwarstwowo. Przede wszystkim to wielki temat wojennego losu i rozprawa z totalitaryzmem rozpiana zarówno na różnorodne fabuły, leczne reminiscencje, jak też odciskająca swoje ślady w poezji. I te opęgi tematyczną można zaakceptować. Wydaje się ona całkowicie uzasadniona, zważywszy nie tylko dominującą obecność tej problematyki, ale i potrzebę jej szczególnego wyeksponowania po to, aby zaproponować czytelnikowi bogaty a mało znany zapis doświadczeń i refleksji uzupełniających, pogłębiających, a często weryfikujących treści, władając polską wybrańską zbiorową ostatnich dziesięcioleci. Ale jednocześnie ten tak patrzona na literaturę emigracyjną wpłynął na ukształtowanie jej wizerunku jako sztuki słowa. Odnosimy wrażenie, że jest to piśmiennictwo zdecydowanie zdominowane przez poezję, powieść i po trochu memuarystykę. Czy tak jest rzeczywistość? W moim przekonaniu najwyższą jakością literatury emigracyjnej (z którą dorobek krajowy okresu powojennego w ogóle nie może się równać) tkwi w dziełach esejistycznych, a także diarystycznych. To one właśnie w znacznym stopniu wyrównują niedostatek europejskości w naszej literaturze, zarówno gdy chodzi o intelektualny poziom refleksji, jak i uniwersalność problematyki. O tym leksykon Kowalskiego powiada nam czytelnik w znikomym tylko zakresie. Nie jest tak, że autor omija, nie zauważa, czy oświeceniście przemilcza. Nie, wręcz przeciwnie, od strony bibliograficznej wszystko jest w jak najlepszym porządku... Ale omówienia tekstów są pobieżne, ogólnikowe (a nawet sloganowe), uderza bezzadność interpretacji. Trudno oprzeć się wrażeniu, że autor nieco hańbielnie za galą literatury, traktując ją marginesowo. Już zdanie ze wstępu: „uwzględniłem również kilku esejistów” — hermi niezaprzeczania. Przecież to najlepsi twórcy gatunku i jako tacy najwybitniejsi pisarze współcześni.

Kowalski najczęściej ogranicza się do odnotowania „zawartości” tematycznej zbiorów esejistycznych — i nic ponadto (widz. hasła: Czapski, Waj, Terlecki). Nawet maksymalnie rozszerzona prezentacja, kiedy to mówi się o rozległości zainteresowań, erudycji itp. (właściwie przymiotach każdego esejisty), nie przynosi żadnej formuły identyfikacyjnej, żadnego wyróżnika sztuki piśmiennej (Herling-Grudziński, Vincenz, Wittlin). No bo o czym charakterystycznym dla esejów (dla nich i tylko dla nich!) Jędrskiego dowie się czytelnik z adnotacji, że są one „oryginalne” i „podparte wielojęzyczną i wielometrażną erudycją” a także stanowią „pokaz wirtuozerii i wnikliwosci”? To można odnieść do każdego wybitnego esejisty. Podobnie jest w przypadku *Szkiców piśmiennych* Bobkowskiego. Mówi się o zapisie wrażeń estetycznych, refleksji na tematy narodowe, filozoficzne i ekonomiczne, pada także stwierdzenie, że dziennik ten odznacza się „zdumiewająco (a wedle niektórych kryteriów) podejrzaniem trafnymi prognoząmi politycznymi”. To niewąsowne wrznięcie brzmienia niepowinno, tak jak absurdalny jest — ale tu wyrzucam błąd korektorski — końcowy człon zdania: „książka namietna, będąca ostrym atakiem na mulkłość współczesnych kultur europejskich oraz ich bezwzględność (?) — podkr. moje A. B.) wobec obu totalitaryzmów”. I tak po raz kolejny zaprzeczająca została szansa właściwego zarekomendowania Bobkowskiego w kraju (pisano o nim rzadko i byle jak). A cechy wyróżniające jego dzieła są niezwykle interesujące: gatunkowy synkretizm, rozmaite konwencje stylistyczne, czy choćby postawa — rzadka w polskiej diarystyce — balwochwalczy niemal afirmacji życia, codziennej zwyczajności.

Szczególnie balamuna jednak jest jednoznaczna opinia o *Dzienniku* Tyrmanda „daje barwny obraz życia intelektualnego, artystycznego i erotycznego ówczesnej warszawskiej elity towarzyskiej”. Tylko tyle? Mniejsza już o ten obraz „życia erotycznego”, demonizujący nieco możliwości poznawcze pisarza, a i „metodologicznie” trudny do omyślenia, a coś dopiero choćby do zarysowania. Rzecz w tym, że błędne jest mniemanie, jakoby główną intencją diarysty było tu wyłącznie wazach-

stronne zilustrowanie, opisanie (zarejestrowanie) otaczającej rzeczywistości. Wiadomo przecież, że chodziło o coś więcej, o wnikliwie studium jednostki, która dokonuje wieńcejskiego systemu, próbuje określić mechanizmy totalitaryzacji, pragnąc tym samym ocalić swoją autonomię i dać przejmujące świadectwo osamotnienia.

Niezadowolona z stanu prezentacji tego nurtu literatury emigracyjnej nie można tłumaczyć brakiem umiejętności badacza. Świadczy o tym doskonały fragment omawiający esejistykę Miłosza (przy tym niemal wzorcowy, jeśli idzie o styl encyklopedyczny), a także krótka notka o *Dzienniku* Gombrowicza. Tak, ale w tym przypadku zdecydowała ranga postaci, w których dorobku wszystko jest ważne i wymaga wyczerpującego znanostu. Oczywiście nie zmieniło to w niczym prezentującego się miernie całokształtowego obrazu emigracyjnej prozy niefabularnej.

Co jeszcze, na zakończenie, można by podpowiedzieć autorowi? Otóż wydaje mi się, że w następnym wydaniu dobrze by było poszerzyć dodatkowy dział leksykonu (określony we wstępie mianem: „Instytucje wydawnicze”) o hasła dotyczące innych jeszcze przedsięwzięć dyktorskich, np. takich jak antologie, edycje okolicznościowe, kompilacja bibliograficzna itp.

Im Kowalski: *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej*. Wyd. Fundusz Inicjatyw Społecznych, Lublin 1989, s. 167.

Książki nadesłane

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Sena: Realizm Racjonalność Relatywizm

Michał Brodowski: *Warsztaty teorii i normy metodologiczne. Studium z metodologii i formalnej nauk empirycznych*. Ss. 101, nakład 300 egz., cena zł. 250.— Seria: RRR, t. 13.

O nieostrości. Pod redakcją Zbyszka Muszyńskiego. Ss. 347, nakład 300 egz., cena zł. 600.— Seria: RRR, t. 10

Jacek Pańcizek: *Metnomońska wersja logiki klasycznej. Jej związki z filozofią języka, poznania, bytu i fikcji*. Ss. 239, nakład 300 egz., cena zł. 450.— Seria: RRR, t. 14.

Froest Gellner: *Miedzy filozofią a antropologią*. Pod redakcją Andrzeja Flisa. Ss. 219, nakład 500 egz., cena zł. 470.— Seria: RRR, t. 18.

Krzysztof Jarosław Brozi: *Antropologia wartości. Ujęcie metodologiczne*. Ss. 389, nakład 300 egz., cena zł. 950.— Seria: RRR, t. 20

filozofia

TADEUSZ KWIATKOWSKI

Polska szkoła filozoficzna zwana lwowsko-warszawską i jej etos

Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska jest zjawiskiem wyjątkowym i to nie tylko w dziejach polskiej refleksji filozoficznej¹. Nie można przedstawić jej w taki sposób, w jaki prezentuje się inne szkoły filozoficzne. Nie możemy jej określić przez doktrynę filozoficzną, którą zwykle tworzy mistrz — założyciel szkoły i którą przekazuje uczniom — zwolennikom w celu rozwijania i propagowania, dając w ten sposób początek kierunkowi, czy nurtowi filozoficznemu. Tak

¹ Powstanie filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej łączy się zwykle z datą faktycznego objęcia katedry filozofii w Uniwersytecie Lwowskim przez Kazimierza Twardowskiego, tzn. z dniem 15 listopada 1895 r. (nominację na stanowisko profesora nadzwyczajnego otrzymał K. Twardowski 20 października tegoż roku). Wyodrębniła się cztery okresy rozwoju i działalności szkoły. (1) Okres wstępný, który trwał mniej więcej siedem lat i zakończył się obroną pierwszych prac doktorskich pisaných pod kierunkiem K. Twardowskiego, a tym samym — wykształceniem pierwszych współpracowników założyciela szkoły (niezależnie od nich Jan Łukasiewicz, który stał się później jednym z największych współczesnych logików świata). (2) Okres formowania się poglądów pierwszych i dalszych uczniów Twardowskiego (należą do nich, oprócz Łukasiewicza, m.in.: Władysław Witwicki, T. Czeżowski, T. Kotarbiński, K. Ajdukiewicz, Stanisław Leśniewicz, Daniela Tennerowa (później Gromska), Zygmunt Zawirski). Koniec tego okresu przypada na lata 1916-1918. (3) Okres pełnej kryształizacji szkoły w latach 1918-1930. W tym stadium (właściwie stało się to — przynajmniej częściowo — wcześniej, bowiem Łukasiewicz i Tatarkiewicz rozpracowali prace w reaktywnym Uniwersytecie Warszawskim już jesienią 1915 r.) szkoła z lwowskiej stała się lwowsko-warszawską. (4) Okres lat trzydziestych, będący okresem największego rozwoju szkoły i największych jej osiągnięć. Por. J. Woleński, *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska*, Warszawa, PWN 1985, s. 10.

Lwów — później — Warszawa były głównymi, nie jedynymi ośrodkami działania szkoły. Jej reprezentanci, zarówno filozofowie, jak i specjaliści innych dziedzin nauki znaleźli się właściwie we wszystkich polskich uniwersytetach. I tak np. w Wilnie jedną z katedr filozofii objął najpierw Tatarkiewicz (w latach 1919-1921), a po nim Czeżowski, w Poznaniu katedry psychologii otrzymali Blachowski i Jazza-Bykowski, a katedrę metodologu — Zawirski (w 1937 r. przenosił się na UJ) itd. W ten sposób oddziaływanie szkoły uzyskało znieg ogólnopolski.

Wojna bardzo przedzieliła szeregi „twardowszczyków”. W wyniku śmierci i emigracji szkoła utraciła w latach 1939-1948 34 filozofów. Ci, którzy przeżyli i pozostali w kraju rozpoczęli natchnieniem energiczną pracę nad odbudową życia polskiej filozofii. Szczególnie ofiarną była działalność Kotarbińskiego w Warszawie i Łodzi (gdzie został rektorem nowego Uniwersytetu), Mostowskiego, Osowski i Tatarkiewicza w Warszawie, Kokoszynskiego we Wrocławiu, Ślupskiego najpierw (do 1948 r.) w UMCS w Lublinie, a następnie we Wrocławiu, Ajdukiewicza w Poznaniu itd. Ich wkład w odbudowę życia filozoficznego został poważnie naruszony na początku lat pięćdziesiątych przez brutalne wprowadzenie Stalinizmu (zasłużyli się tu: A. Schaff, L. Kolakowski, B. Baczyński, H. Holland i wielu innych — „reformatorów” kultury polskiej tamtego czasu). Gdy zmiany polityczne wprowadziła jesienią 1956 r. umożliwiły względnie normalną pracę, profesorowie reprezentujący szkołę lwowsko-warszawską natchnieniem ją podjęli, wnosząc dalszy twórczy wkład w rozwój polskiej myśli filozoficznej i w wychowanie nowego pokolenia polskich filozofów.

powstały klasyczne szkoły filozoficzne: Platona, Arystotelesa, Epikura, stoików itp. W ten sposób powstawały również szkoły późniejsze, także współczesne, jak np. neokantowskie — Marburska i Baderska, fenomenologiczna szkoła E. Husserla, itd. Twórcą szkoły lwowsko-warszawskiej prof. Kazimierz Twardowski nie stworzył doktryny filozoficznej, która miałaby skupiać zwolenników, integrować szkołę i determinować jej oblicze światopoglądowe. Wprost przeciwnie: programowo odrzucał on zasadę służenia jednej, określonej doktrynie. Oto, co powiedział w przemówieniu inauguracyjnym działalności założonego przez siebie Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie, w dniu 12 lutego 1904 r.: *Polskie Towarzystwo filozoficzne nie będzie służać żadnemu kierunkowi filozoficznemu wyłącznie, abowiem pragnie objąć sobą wszelkie kierunki. Chce być wolne od wszelkiej jednostronności, chce być jak najbardziej wszechstronnym. Jedynym dogmatem Towarzystwa będzie przekonanie, że dogmatyzm jest największym wrogiem wszelkiej pracy naukowej. Chcemy, aby wszystkie kierunki pracy i poglądy w naszym Towarzystwie ku jednemu zmierzali celowi: ku wyświetleńiu prawdy. Droga ku temu jest naukowy krytycyzm². Postawa, która wyraża przytoczona wypowiedź była oczywiście charakterystyczna nie tylko dla działalności Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, lecz także — i w pierwszym rzędzie — dla działalności prof. K. Twardowskiego i jego uczniów. Była to rzeczywista, zawsze rygorystycznie przestrzegana postawa: adoktrynalna, antydogmatyczna, otwarta na krytykę naukową i zarazem krytyczna, pluralistyczna.*

Pluralizm doktryn i poglądów na świat był nie tylko uznawany w szkole lwowsko-warszawskiej zasadą tolerancji, której jedyną granicą jest wymóg niesprzeczności z wiedzą naukową, lecz także rzeczywistym atrybutem tej szkoły³. Jej przedstawiciele faktycznie reprezentowali różne, niekiedy nawet skrajnie różne poglądy na świat. Byli wśród nich wolnomysliciele, ludzie niewierzący (w znaczeniu „nie dający wiary”⁴), jak Władysław Witwicki, czy Tadeusz Kotarbiński i autentyzni katolicy, jak np. Stefan Świeżawski, czy ks. Antoni Korcik.

Nie ma zatem takiego kierunku filozoficznego, czy poglądu na świat, który byłby dla szkoły lwowsko-warszawskiej charakterystyczny. Ale szkoła ta była pluralistyczna nie tylko w tym znaczeniu. Także w sensie różnorodności zainteresowań badawczych jej członków, która ujawniała się już na etapie przygotowywania rozpraw doktorskich. Zwraca na to uwagę J. Woleński przytaczając przykłady prac doktorskich, pisaných pod kierunkiem K. Twardowskiego: *Kotarbiński pisał o etyce Milla i Spencera, Ajdukiewicz o priorytetności czasu i przestrzeni u Kanta, Czeżowski o teorii klas (zbiorów), Zawirski o ilościach par kójarzenia przedstawił, Leśniewski o -daniach egzystencjalnych: jest tu i logika, i psychologia, i historia filozofii, i etyka⁵. Podobną różnorodność dziedzin filozoficznych*

² cytuję za: J. Woleński, *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska*, s. 14-15.

³ Mam we własnych wspomnieniach przykład ilustrujący i potwierdzający tę postawę. Było to w czasie moich studiów (lata 1952-1955) na Wydziale Filozoficznym KUL. Jeden z moich ówczesnych kolegów (dziś znany profesor historii filozofii i rednicznictwa) zwrócił się do prof. S. Świeżawskiego z prośbą o kierownictwo rozprawy doktorskiej (a może pracy magisterskiej — nie pamiętam dziś już tego dokładnie). Gdy Profesor wraził zgodę, ów kolega uznał za potrzebne poinformować go, że reprezentuje marksistowski pogląd na świat. Profesor Świeżawski odpowiedział krótko: mnie interesuje wyłącznie naukowy poziom pana pracy.

⁴ Należy rozróżniać znaczeniowo terminy „niewierzący” i „ateista”. Podkreślał — jako ateista — że różnicę, między tymi, T. Kotarbiński. Obiecdwie byłem świadkiem, jak podczas dyskusji zaprotestował przeciwko nazywaniu go ateistą, tłumacząc, że jest człowiekiem niewierzącym, tzn. nie dającym wiary żadnej z dwóch odpowiedzi na to pytanie, czy Bóg istnieje, czy Bóg nie istnieje.

⁵ Por. J. Woleński, *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska*, s. 18.

reprezentowały tematy prac doktorskich pisanych pod kierunkiem znacznej części bezpośrednich lub pośrednich uczniów K. Twardowskiego: Łukasiewicza, Ajdukiewicza, Kotarbińskiego, Czeczowskiego, Dąbskiego, Ossowskich oraz innych osób. Oczywiście dziedzina reprezentowana przez temat rozprawy doktorskiej nie musiała być później głównym, ani — tym bardziej — jedynym kierunkiem refleksji danego filozofa. I pod tym względem szkoła lwowsko-warszawska okazała się bardzo różnorodna. Wspólną cechą jej członków stanowiło dobre wykształcenie w zakresie wszystkich głównych dyscyplin, tradycyjnie zaliczanych do filozofii. Różniła się natomiast zakresem własnej aktywności badawczej. W szeregu przypadków zakres ten obejmował całą filozofię w akademickim tego słowa znaczeniu, a nawet wykraczał daleko poza to pojęcie (np. uprawiana przez T. Kotarbińskiego prakseologię). Do takich „uniwersalnych” filozofów należy zaliczyć tak znakomitych przedstawicieli szkoły jak: K. Twardowski, J. Łukasiewicz, K. Ajdukiewicz, T. Kotarbiński, T. Czeczowski. Dorobek naukowy każdego z nich jest wielostronny, co nie znaczy oczywiście, że wszystkie dziedziny filozoficzne, którymi dany autor się zajmował, posiadają w jego twórczości taką samą rangę. W każdym przypadku możemy wyróżnić preferowane dziedziny, którym dany filozof poświęcił szczególnie wiele uwagi badawczej. Np. K. Ajdukiewicz specjalizował się w logice, metodologii nauk, semiotyce (logice języka) i teorii poznania. T. Kotarbiński reprezentował specjalizacje podobne, a równoległe z nimi szły jego zainteresowania zagadnieniami etyki i teorii działania, przy czym dążenia w zakresie tej ostatniej doprowadziły z czasem do powstania prakseologii. T. Czeczowski specjalizował się głównie w logice, metodologii nauk, historii logiki oraz etyce. W. Tatarkiewicz od początku swojej twórczości naukowej zajmował się głównie historią filozofii, lecz zarazem drugą jego specjalizacją była estetyka i jej dzieje.

Niekiedy, wraz z upływem czasu, specjalizacje ulegały modyfikacjom lub nawet istotnym zmianom. Tak stało się np. w przypadku J. Łukasiewicza, w którego naukowej biografii wyróżniają się dwa okresy: „filozoficzny” i „logiczny”.

Oprócz filozofów, którzy w swojej twórczości naukowej uwzględniali problematykę wielu dziedzin filozoficznych należeli do szkoły myśliciele, którzy koncentrowali swoją uwagę w zasadzie na jednej, wybranej dziedzinie badań. Postawę tę reprezentowali, między innymi, wybitni historycy filozofii S. Świeżawski, logik S. Kaczorowski i historycy logiki ks. A. Korcik.

Wymienione rodzaje pluralizmu nie wyczerpują oczywiście rodzajów różnicowań występujących w łonie szkoły lwowsko-warszawskiej. Jeden z następnych dotyczy karier naukowych jej reprezentantów. Różniły się one swoim charakterem i przebiegiem. Nie wszyscy filozofowie szkoły lwowsko-warszawskiej otrzymali stanowiska akademickie, co zresztą nie było łatwe. Z grona uczniów Twardowskiego — późniejszych wybitnych profesorów filozofii — tylko Łukasiewicz i Witwicki od początku związali się z zawodową o Uniwersytecie. Stosunkowo krótko na uniwersyteckim stanowisku czekał Tatarkiewicz. Pozostali rozpoczęli swoją pracę zawodową jako nauczyciele gimnazjalni, przy czym niektórzy pracowali na tych stanowiskach do końca swojej nauczycielskiej działalności. Do tych ostatnich należą między innymi: historycy filozofii H. Bad, logik S. Kaczorowski, psycholog S. Igel. Wszyscy oni, będąc tylko nauczycielami gimnazjalnymi, pracowali twórczo i zaznaczyli swój udział w filozofii polskiej. Ten godny podkreślenia fakt nie jest bynajmniej przypadkowy, ponieważ to, że (...) kompetentni filozofowie, nie tylko jako znawcy filozofii, ale także jako oryginalni badacze byli nauczycielami szkół średnich, stanowiło

elementem programu Twardowskiego w związku z reformą filozofii w Polsce⁶.

Jeszcze inny rodzaj różnicowania w łonie szkoły lwowsko-warszawskiej polegał na tym, że nie wszyscy filozofowie, którzy się do niej zaliczali byli uformowani przez Twardowskiego. Nie idzie tu tylko o to, że jego uczniowie mieli także innych profesorów zarówno we Lwowie (głównie M. Wartenberga i — później — R. Ingardena) jak i poza nim (np. Łukasiewicz przebywał w latach 1909-1910 w Gruzji, gdzie uczestniczył w seminariach Meinonga, Ajdukiewicz przebywał — po doktoracie w roku 1912 — na studiach w Getyndzie u Hilberta, Lesniewski studiował u Corneliusa w Monachium, a poza tym był pod dużym wpływem polskiego teoretyka prawa Petrażewskiego. Świeżawski studiował — w roku akad. 1929/1930 — pod kierunkiem E. Gilsona w Paryżu i — później — A. Zółtowskiego w Poznaniu). Każdy musiał ukończyć dodatkowy kierunek studiów (np. Ajdukiewicz studiował fizykę, Czeczowski matematykę, a Świeżawski historię), który był przedmiotem tzw. małego rygorozmu w przewodzie doktorskim (z filozofii — jako przedmiotu głównego — zdawało się tzw. wielkie rygorozum). Najbardziej interesujący i godny podkreślenia jest fakt, że niektórzy spośród przedstawicieli szkoły nie byli ani bezpośrednimi, ani pośrednimi uczniami profesorów K. Twardowskiego. Dotyczy to np. W. Tatarkiewicza i ks. I. M. Bocheńskiego. Pierwszy studiował w Marburgu i Paryżu, a do Polski przybył już ze stopniem doktora i jako autor rozprawy o Arystotelesie; drugi studiował najpierw prawo oraz ekonomię polityczną we Lwowie i Poznaniu, a następnie (po wstąpieniu w 1927 r. do zakonu Dominikanów) filozofię we Fryburgu Szwajcarskim i teologię w Anglium w Rzymie. Ich formacja naukowa nie ukształtowała się w wyniku uczestnictwa w seminarium Twardowskiego lub w seminariach jego uczniów. Nie podważa to jednak bynajmniej faktu, że działalność profesorska i naukowa Twardowskiego nie tylko kreowała, lecz także integrowała te szkoły.

Należy podkreślić fakt, że nie wszyscy filozofowie wykształceni przez Twardowskiego lub jego uczniów wybrali filozofię jako dziedzinę swojej pracy naukowej, a przynajmniej jako jej główną dziedzinę. I tak np. z grona tych „twardowszczyków” (częściowo także uczniów Łukasiewicza i Witwickiego), którzy ukończyli studia jeszcze w okresie lwowskim szkoły Twardowskiego, Władysław Szumowski — zawodowy lekarz — zajmował się historią medycyny, którą wykładał najpierw we Lwowie, a następnie w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie otrzymał odpowiednią katedrę. Poza tym: Stefan Bailej, Stefan Błachowski, Ludwik Jaxa-Bykowski i Mieczysław Kreutz poświęcili się psychologii, Bogdan Nawroczyński i Kazimierz Sośnicki — pedagogice, Ryszard Gansmiec — filologii klasycznej, Mieczysław Gębarowicz — historii sztuki, Juliusz Kleiner, Manfred Kridl i Stanisław Lempiński — polonistce, Jerzy Kurylowicz — językoznawstwu, Zygmunt Lempiński — germanistce, Ostap Ortwin — krytyce literackiej, Mieczysław Treter — teorii i historii sztuki.

J. Woleński zwraca słuszną uwagę, że istnienie grupy „twardowszczyków”, którzy nie stali się „zawodowymi” filozofami komplikuje zadanie określenia personalnego zakresu szkoły lwowsko-warszawskiej, tym bardziej, że tylko niektórzy reprezentanci tej grupy (należą do nich: Kleiner, Kreutz, Lempiński, Nawroczyński, Sośnicki i Treter) mają w swoim dorobku prace filozoficzne. J. Woleński proponuje następujące rozwiązanie tej trudności: *Może będzie najlepiej powiedzieć tak: już w okresie lwowskim szkoła wytworzyła ściśle z nią związane „otoczenie humanistyczne”*. Zgadzam się z tą formułą, lecz

⁶ Por. tamże, s. 18.

⁷ Por. tamże, s. 17.

zarazem sądzę, że wymaga ona dookreślenia. Uważam mianowicie, że zakres personalny szkoły lwowsko-warszawskiej możemy pojmować wąsko lub szeroko. W pierwszym przypadku, obejmując on grono filozofów, zwykle bezpośrednich lub pośrednich uczniów Twardowskiego, tworzących głównie (lub wyłącznie) w dziedzinie szeroko rozumianej filozofii. Dość często nazywa się szkołą lwowsko-warszawską tylko zespół wybitnych przedstawicieli tego grona. W drugim przypadku jest istotnie, że piętno formacji wykłada się na twórczości naukowej niezależnie od dziedziny nauki, do której dana twórczość należy. Formacja ta, to przede wszystkim określona, świadoma, stała postawa moralna uczoności, jego swoisty etos, oraz — związana z postawą moralną — określona postawa metodologiczna. Jej opis można zwięźle streścić w następującym twierdzeniu: etos „twardowszczyków” polegał na usilnym dążeniu do maksymalnego znawstwa narzędzi i wymogów metodologicznych oraz na usilnej stałej trosce o doskonalenie tych narzędzi i o pełną rzetelność w ich stosowaniu do eksploracji przedmiotu. Istotnymi składnikami tej postawy są zatem: 1/ odpowiednia świadomość naukoznawcza (bez której pracownik naukowy nie może być uczonym, lecz co najwyżej rzemieślnikiem w zakresie wykonywania czynności badawczych; 2/ świadomość sensu pracy badawczej oraz moralnej odpowiedzialności za jej wyniki.

Jestem głęboko przekonany, że to właśnie rozumiał Twardowski — i jego szkoła — główny cel studiów filozoficznych. Wykształcenie filozoficzne nie jest zatem — według Twardowskiego i jego szkoły — jedynie dodatkowym zasobem wiedzy, lecz właśnie formacją intelektualno-moralną, czyli swoistym składnikiem osobowości uczoności, owocującym swoistymi atrybutami jego dzieł. Atrybuty te, czyli wysoki poziom naukowy, polegający na: powadze i doniosłości rozpatrywanych problemów, rzetelności uzasadnień proponowanych rozwiązań, odkrywczości zarówno pod względem bogactwa nowych treści, jak i zastosowanych metod, jasności i ścisłości wykładu, pięknym języku — charakteryzują zarówno prace tych „twardowszczyków”, którzy poświęcili się filozofii, jak i tych, którzy uprawiali inne dyscypliny. Stwierdzamy je w równym stopniu w dziełach profesjonalnych filozofów, takich jak: Łukasiewicz, Kotarbiński, Ajdukiewicz, Witwicki, jak i dziełach Kleina, Kreutz, Balczy, Kridla, Kurylowicza, którzy poświęcili się głównie pracy w dziedzinach pozafilozoficznych.

Możemy zatem odnosić termin „szkoła lwowsko-warszawska” do szerokiego zakresu personalnego, obejmującego zarówno odpowiednią grupę filozofów profesjonalnych, jak i tych filozofów wykształconych przez Twardowskiego lub jego uczniów, którzy poświęcili swoją twórczą pracę głównie innym dziedzinom nauki. Te dwie grupy „twardowszczyków” łączy przede wszystkim wymieniona dopiero co formacja filozoficzna, czyli swoisty etos, będący ich wspólną postawą moralną i metodologiczną, ukształtowaną przez działalność nauczycielską i wychowawczą Twardowskiego lub jego współpracowników oraz — później — następców. Podkreślimy, że omawiana postawa była nie tylko efektem wychowawczej pracy Twardowskiego, lecz była ona przede wszystkim świadomością stosowaną zasadą pracy i osobistym atrybutem — jak go dziś nazywamy — nauczyciela nauczycieli. Była ona przeto — na co zwracalem już uwagę — jednym z głównych czynników integrujących szeroki i — jak widzieliśmy — bardzo zróżnicowany zakres personalny szkoły lwowsko-warszawskiej.

Termin „szkoła lwowsko-warszawska” odnosimy jednak zwykle do węższego zakresu personalnego, mianowicie do grupy filozofów związanych bezpośrednio lub pośrednio z działalnością profesor-

ską K. Twardowskiego, którzy wybrali filozofię jako podstawową dziedzinę swojej twórczości naukowej.

Ten znakomity zespół indywidualności łączyły oczywiście istotne cechy integracyjne. Wspomniana już, wspólna postawa moralna i metodologiczna charakteryzuje w szczególności sposób węższy zakres osobowy szkoły, czyli zespół filozofów zawodowych. Wynika to stąd, że: 1/ filozofowie profesjonalni nie tylko reprezentowali określony etos profesora-uczonego, lecz traktowali tę postawę świadomie jako istotny element swoich programów nauczycielsko-wychowawczych oraz starali się ją wyjaśnić i uzasadnić teoretycznie; 2/ między filozofią a naukami pozafilozoficznymi (czyli tzw. naukami szczegółowymi) zachodzi różnica pod względem — jeśli wolno się tak wyrazić — statusu metodologicznego. Status metodologiczny nauk szczegółowych pozwala badaczom ograniczać się do praktycznej znajomości stosowanych przez nich metod, ponieważ one rozwijają się niejako spontanicznie wraz z rozwojem samych tych nauk i są — jak same wyniki badań na nich oparte — uznawane przez specjalistów względnie powszechnie. Natomiast program naukowego uprawiania filozofii musi świadomie zakładać refleksję naukoznawczą, a zwłaszcza metodologiczną. Realizacja tego programu jest bowiem niemożliwa bez wyraźnego, jasnego i rzetelnie uzasadnionego określenia warunków naukowości w ogóle, a dla dziedzin filozoficznych w szczególności.

Omawiana zasada integrująca szeroki zakres personalny szkoły lwowsko-warszawskiej oznaczała dla twórczych jej węższy zakres osobowy, czyli filozofów zawodowych, konieczność uprawiania twórczej refleksji w dziedzinach merytorycznie wyjaśniających i uzasadniających tę postawę, a mianowicie w dziedzinie etyki (deontologii) profesora-pracownika nauki oraz w dziedzinie nauk o nauce. Nie jest przeto rzeczą przypadkową, że obydwie te dziedziny należały do pola badawczych zainteresowań filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej.

Ta ostatnia uwaga dotyczy szczególnie nauk o nauce, które — zwłaszcza jeśli zaliczymy do nich logikę formalną — stanowią główny składnik pola zainteresowań większości filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej. Ale i problem etyki „zawodowej” profesora-uczonego nie był dla nich bynajmniej tematem drugorzędnym. Uwzględniłi ten problem szeroko zarówno w kontekstach rozważań poświęconych innym zagadnieniom (jako przykłady mogą posłużyć piękne prace: *O uniwersytecie i studiach uniwersyteckich* T. Czeżowskiego⁸ i *O wolności nauki* K. Ajdukiewicza⁹), jak i w pracach specjalnie temu tematowi poświęconych (takich, jak: T. Czeżowskiego *W sprawie deontologii pracownika naukowego*¹⁰ oraz *O rzetelności, obiektywności i bezstronności w badaniach naukowych*¹¹, czy Izydora Dąbskiej głos w dyskusji na temat: *Prawda i etos w życiu filozofa*¹²).

Do najbardziej istotnych reguł formułowanych i podkreślanych w omawianych tekstach należą te, które możemy streścić w trzech nakazach obowiązujących profesora-badacza, wymienionych w tytule jednej z prac T. Czeżowskiego, mianowicie w nakazach: rzetelności, obiektywności i bezstronności. Te trzy oczywiste nakazy wskazują i podkreślają naczelny obowiązek uczoności: to mianowicie, że musi on traktować dobro samej nauki jako dobro bezwzględne, z czego wynika, iż mu on obowiązek włożyć maksimum troski

⁸ Toruń, 1945, ss. 67.

⁹ w: *Nauka* Półda 1957, nr 3 (19), ss. 1-20. Przekład w: K. Ajdukiewicz *Język i poznanie*, t. 2, Warszawa, PWN 1965, ss. 266-281.

¹⁰ w: *„Etyka”* 1967, nr 2, ss. 111-121.

¹¹ w: T. Czeżowski: *Odczyty filozoficzne*, Toruń 1969, ss. 209-212.

¹² w: *„Znak”* 1984, nr 1 (130), ss. 47-48, 50, 52-53.

i wysiłku, by to dobro umacniać i powiększać. Wynika stąd także, iż nie wolno krępować swojej pracy badawczej żadnymi względami poznanowymi, a przede wszystkim podporządkowywać tej pracy względem, które mogą być z dobrem nauki niezgodne, takim, jak np.: służba określonej ideologii, polityce, czy traktowaniem autonomicznie korzystnym materialnym. Nauka może oczywiście wspierać, a nawet uzależniać od swoich osiągnięć realizację różnych celów, jednakże pod warunkiem, że są one zgodne z jej własnym dobrem. Wspierana przez naukę realizacja zgodnych z jej dobrem celów poznanowych nie determinuje w żadnym istotnym sensie wartości samej nauki, lecz co najwyżej tę wartość — w jakimś wtórnym znaczeniu — powiększa, eksponuje itd. Dobro nauki jest autonomiczne, ponieważ posiada ona autonomiczny, niezależny od innych celów działań ludzkich, własny cel: doskonałenie człowieka przez zaspokajanie zakodowanej w jego najgłębszej naturze, potrzeby wiedzy (podobnie, jak autonomicznym celem sztuki jest zaspokajanie potrzeby piękna, zaś celem etyki — zaspokajanie potrzeby dobra moralnego). Ten cel nauki wskazał i podkreślił *expressis verbis* Arystoteles w pierwszym zdaniu swoich *Metafizyk*, mówiąc: „Každy człowiek z natury swojej poznawać pragnie”. Pragnienie poznawania (wiedzy, rozumienia świata) jest przeto istotnym symbolem człowieczeństwa; zaspokajanie tego pragnienia jest więc budowaniem człowieczeństwa, czyli jego istotnym doskonałeniem. Filozofowie szkoły lwowsko-warszawskiej byli — moim zdaniem — wyznawcami tego Arystotelesowskiego poglądu, zgodnie z którym pracownik nauki powinien służyć ludzkości w jej naturalnym dążeniu do autentycznej wiedzy, czyli być kapłanem prawdy, nie prawdy objawionej przez bóstwo, lecz zdobywanej drogą rzetelnego wysiłku poznawczego. Ta właśnie służba narzuca określone wymogi moralne, ponieważ wiąże się ona z odpowiedzialnością za realizację, w jednostkach ludzkich, możliwości założonych w ich głębokiej naturze, czyli za doskonałenie ich człowieczeństwa.

Obowiązki moralne badacza potęguje fakt, że jest on zarazem profesorem, czyli jest odpowiedzialny za rzetelny przekaz wyników własnych badań oraz poznanych przez siebie rzetelnie wyników pracy innych badaczy, a także związanych z przekazywanymi treściami poznawczymi przesłań moralnych tym, którzy pragną wiedzy. Odpowiedzialność badacza pociąga zatem odpowiednie jego obowiązki jako autora publikowanych tekstów, wykładów, kierownika seminarium, uczestnika dyskusji, itd. We wszystkich tych działaniach pracownik nauki musi być rzetelny, obiektywny i bezstronny. I nie tylko w tych. Żeby bowiem mógł być rzetelnym uczonym-profesorem, musi być rzetelnym człowiekiem.

Ten ostatni pogląd pokrywa się ze znanym — przeciwstawianym doktrynie sofistów o wielości i względności cnót — stanowiskiem Sokratesa, że cnota jest jedna, zaś formy jej różniące się jedynie w zależności od dziedzin, w której się ona ujawnia jako określona, stała postawa ludzka. Filozofowie szkoły lwowsko-warszawskiej nie nawiązywali wprawdzie do tego stanowiska Sokratesa *expressis verbis*, lecz byli jego faktycznymi wyznawcami. I nie tylko ta doktryna laicyzowała się za starożytnym mędrcem. Byli także do niego podobni pod względem rzeczywistej postawy moralnej, potwierdzonej permanentnie w konkretnych sytuacjach życia i wielostronnej działalności. Byli, jak ów starożytny przyjaciel mądrości, wzorcami moralnymi jako ludzie, nauczyciele, uczeni. „Są to dżentelmeni nauki” powiedział prof. Józef Reut o Izydorze Dąbskiej i Tadeuszu Czeżowskim w rozmowie ze mną kilka dni po mojej obronie doktorskiej (I. Dąbska i T. Czeżowski byli recenzentami mojej rozprawy). Ta formuła wypowiada właściwie całą prawdę na rozważany temat, z tym, że trzeba ją odnieść do wszystkich filozofów

reprezentujących omawianą szkołę. Ich prawość, kultura odnoszenia się do innych ludzi, ofiarna życzliwość, stosunek do podejmowanych zadań i wszelkie inne przymioty składające się na moralne piękno człowieka miały u tych wspaniałych ludzi wymiar doskonały. Jestem przekonany, że tacy profesorowie jak: T. Kotarbiński, I. Dąbska, Wł. Tatarakiewicz, T. Czeżowski, K. Ajdukiewicz i wielu, wielu innych reprezentantów szkoły lwowsko-warszawskiej, nie spłamił się kłamstwem, stronniczością, brakiem odwagi, itd., a ponieważ piękna osobowość nauczyciela jest zawsze najlepszym narzędziem wychowawczym, nie przeto dziwne, że byli tak atrakcyjni dla pragnących uczyć się dobra i prawdy, zwłaszcza dla młodych.

Na zakończenie tych uwag o etycznym składniku „definicji” szkoły lwowsko-warszawskiej chcę zatrzymać się krótko nad treścią użytego dopiero co określenia „ofiarna życzliwość”. Przy swoim szerokim znaczeniu termin ten oznacza pewien pozytywny stosunek do innych ludzi. W mojej uwadze idzie o określony stosunek filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej do swoich kolegów i uczniów, czyli do ludzi, których interesuje filozofia, a zwłaszcza do tych, którzy się nią zajmują lub chcą się nią zajmować twórczo. Uważam, że ich postawa w tym zakresie była wyjątkowa, nawet gdy się uwzględni fakt, że była postawą środowiska uczonych, gdzie koleżeńską życzliwość oraz troska o rozwój młodych adeptów danej dyscypliny powinny być czymś naturalnym. Polegała ona na traktowaniu udziału w pracy kolegi, ucznia, itd., jako udziału w realizacji własnego atrakcyjnego celu. Wyrażało się to w aktywnym zainteresowaniu postępem prac kolegów, uczniów itd., w chętniej, penetrującej lekturze ich tekstów, w inspirowaniu poszukiwań, w angażowaniu się w pokonywanie trudności, na jakie natrafiali inni, i to nie tylko trudności merytoryczno-zawodowe, lecz także moralnych (w szerokim znaczeniu tego słowa), materialnych, itd. Nie zdarzało się w tym gronie, by ktoś odmówił konsultacji, recenzji, sformułowania uwag, itd., tłumacząc się pilnością własnych prac, brakiem czasu itp. Sprawy kolegów były zwykle równie pilne i ważne, jak własne. Zdarzało się nierzadko, że ofiarności zaangażowania w sprawy związane z pracami innych sięgala granic ludzkich możliwości. Przykładem takiej postawy może być uczestnictwo prof. I. Dąbskiej w moim przewodniczącym doktorskim. Zaproszenie Rady Wydziału Humanistycznego UMCS do napisania recenzji zastało Panią Profesor w szpitalu gdzie przebywała po bardzo poważnej operacji. O tym, że przyszła recenzentka moją rozprawę jest tak poważnie chora dowiedziałem się dopiero z jej listu wysłanego ze szpitala. W liście tym prof. Dąbska wyrażała obawę, że jej stan zdrowia może poważnie opóźnić napisanie recenzji i że prawdopodobnie nie będzie mogła przejechać na obronę. Wnikliwa i obszerne recenzja dotarła do rąk dziekana w niespełna trzy tygodnie później, zaś jej Autorka, mimo że wciąż jeszcze była poważnie chora i osłabiona, odbyła podróż z Krakowa do Lublina by wziąć udział w mojej obronie rozprawy i egzaminie doktorskim.

Nie byłem oczywiście wyróżniony jakimś przywilejem, lecz miałem po prostu szczęście korzystać z dobrodziejstwa pięknej profesorskiej postawy, postawy — iak śmiem twierdzić — powołanej w omawianej grupie profesorów. Odmawiali oni potrzebnego uczestnictwa w pracach i sprawach innych miłośników wiedzy tylko wtedy, gdy już nie mogli pracować. Tak np. prof. T. Czeżowski odmówił w końcu grudnia 1980 r. napisania oceny mojej pracy habilitacyjnej wyjaśniając, że nie pozwalają mu na ten trud jego siły. Wiedziałem, że jest dosłownie tak, jak napisał do mnie w tym swoim ostatnim, bardzo krótkim liście. Była to pierwsza jego odmowa uczestniczenia w moich filozoficznych sprawach w ciągu wieloletnich naszych kontaktów naukowych. Słowo „odmowa” jest tu zresztą niewłaściwe: prof.

T. Czeżowski zmarł dwa miesiące później, na początku marca 1981 r. (tydzień przed terminem mojego kolokwium habilitacyjnego).

Charakter etosu filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej wyrażał się w szczególny sposób w łączących ich stosunkach koleżeńskich. O tym, ile było w tych stosunkach pięknej przyjaźni i czułości świadczy przykład z życia katedry prof. K. Ajdukiewicza w Uniwersytecie Lwowskim, w drugiej połowie lat trzydziestych. W katedrze tej pracowało w tym czasie dwóch asystentów: logik Zygmunt Schmierer i historyk filozofii Stefan Świeżawski. Pierwszy z nich, mimo, że był bardzo zdolny i zarazem bardzo biedny, mógł być zatrudniony — ze względu na panujące w Uniwersytecie stosunki nicksorzynne dla Żydów — tylko jako asystent woltariusz. W tej sytuacji przysługujący katedrze etat starszego asystenta zajmował formalnie Świeżawski, zaś Schmierer otrzymywał jego pobory. Fakt, że Świeżawski był człowiekiem zamożnym i nie potrzebował asystenckiej pensji bynajmniej nie pomniejsza jego pięknej postawy, wyrażonej w stosunku do niezamożnego i dyskryminowanego kolegi.

Ten profesorski etos w pięknych stosunkach koleżeńskich był wyrazem miłości, lecz zarazem — jestem o tym głęboko przekonany — powszechnie w omawianej szkole zakładanej doktryny społeczno-moralnej, według której czynnikiem kreującym oraz integrującym określoną społeczność jest miłość do wspólnego dobra. Gorącym wyznawcą i propagatorem tej doktryny był święty Augustyn. Filozofowie szkoły lwowsko-warszawskiej oczywiście nie nawiązywali do tego poglądu Augustyna świadomie i wyraźnie, ani nie formułowali go *expressis verbis*; byli jednakże jego wyznawcami przez swoje koleżeńskie, profesorskie i — ogólnie — społeczne postawy. Społeczno-twórcze dobro, o którym mówi ta doktryna, musi być oczywiście niepodzielne, czyli być w całości dobrem każdego, kto je miluje. Takim dobrem jest niewątpliwie nauka, a zatem i filozofia. Miłość do niej polega przede wszystkim na trosce o jej wzrost i rozwój, a w konsekwencji także na trosce o tych, którzy mogą być tego wzrostu i rozwoju sprawcami! Naturalną konsekwencją prawdziwego umiłowania filozofii musi być przeto wzajemna, aktywna przyjaźń między filozofami oraz ich troska o pozyskiwanie nowych, zaangażowanych przyjaciół mądrości. Postawy te były fundamentalnymi zasadami pracy i wzajemnych stosunków w szkole lwowsko-warszawskiej.

Etos profesorski reprezentowany przez filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej nie był oczywiście odkryciem tej szkoły, ani — tym bardziej — nie był jej ekskluzywnym atrybutem. Postawy takie były znane od dawna, a także reprezentowane, i to bardzo często, poza środowiskiem „twardowszczyków”. Co więcej, bywały one od bardzo dawna zakładane w różnych szkołach filozoficznych i instytucjach naukowo-dydaktycznych jako istotny cel wychowawczy. Taki był przecież program wychowawczy Sokratesa, szkół Platona i Arystotelesa, a także wielu innych zarówno dawnych, jak i współczesnych. Mimo to omawiana postawa moralna może być uznawana za istotny wyróżnik filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej. Była bowiem reprezentowana w tej szkole w sposób szczególny. Jako efekt zarówno pięknego programu wychowawczego, inspirowanego w istotnym stopniu względami patriotycznymi, jak i konsekwentnych działań, realizujących ten program, w których osobisty przykład rzetelności profesora odgrywał rolę szczególnie ważną¹³. Nie wszyscy

wytrzymywali próbę mądrych, lecz zarazem niezmiernie surowych wymogów wychowawczych szkoły K. Twardowskiego — później — jego współpracowników oraz następców. Efektem wytrwalności była postawa — etos, naznaczona charakterem charyzmy, której urok pociągał. Stąd tak wielkie oddziaływanie profesorów filozofii należących do szkoły lwowsko-warszawskiej i wielki ich wpływ na kształtowanie się autorytetu profesorskiego w uczelniach Polski i to nie tylko wśród filozofów. Gdy mówimy dzisiaj (oczywiście z pewną przesadą!), że nie ma już profesorów takich, jakich spotykaliśmy dawniej, wyrażamy tęsknotę za wzorcami, które oni w istotnej mierze stworzyli, i które reprezentowali swoją bogatą osobowością.

Podkreśmy, że ranga rzetelności i wrażliwości moralnej była określana przez niektórych filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej jako warunek konieczny wszelkiej wartościowej twórczości: *Ze studium historii nauk zaczerpnąłem przekonanie, że kto nie ma zachwytu dla sztuki i piękna, kto jest nieczuły na ból i krzywdę, komu brak poczucia religijnego, słowem, kto, żyjąc tylko trzeźwym rozumem, ma ubogie życie duchowe, ten nigdy zapewne nie stworzy nic wielkiego ani w obserwatorium astronomicznym, ani w pracowni chemicznej, ani w żadnej dziedzinie wiedzy naukowej*¹⁴.

Drugi, z wymienionych wyżej, „wyróżnik” filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej, mianowicie charakterystyczna dla niej postawa metodologiczna pozostaje w ścisłym związku z omówioną dopiero co postawą moralną reprezentowaną przez filozofów tej szkoły i został już częściowo przedstawiony. Jest on bowiem — jak widzieliśmy — istotnym składnikiem etosu tych filozofów. Wymienione nakazy moralne: rzetelności, obiektywizmu i bezstronności w badaniach naukowych implikują przecież odpowiednią postawę metodologiczną. Uważam jednak za celowe poświęcić tej postawie „twardowszczyków” kilka osobnych uwag.

Jak już wiemy, postawa metodologiczna filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej polegała głównie na przyjęciu postulatu uprawiania filozofii jako refleksji naukowej. Chodziło o to, by poziom tej refleksji był zbliżony do wymogów stawianych tzw. naukom szczegółowym (co oczywiście nie znaczy, że w szkole lwowsko-warszawskiej przyjmowano powszechnie, iż metody nauk filozoficznych muszą się pokrywać z metodami nauk szczegółowych). Przyjęcie tego postulatu stworzyło naturalną niejako potrzebę dociekania naukoznawczych oraz tendencję do zajmowania się tymi dyscyplinami filozoficznymi, w zakresie których możliwość realizacji wymogów naukowych budziła najmniej wątpliwości. Obie te tendencje krzyżują się ze sobą, lecz pierwsza z nich zdobyła szybko pozycję dominującą. Najśliszej były reprezentowane badania w dziedzinie szeroko rozumianej logiki, obejmujące: teorię wypowiedzi, czyli semiotykę we wszystkich jej zakresach (tj. teorię stosunków między znakami a ich przedmiotami, czyli semantykę, teorię stosunków między znakami a osobami, które ich używają do utrwalania, przekazywania i odbierania informacji, czyli pragmatykę oraz teorię stosunków wiążących znaki w sensowne całości wyrażeniowe, czyli składnię logiczną), logikę formalną i metodologię nauk. Wiele uwagi zajmowała refleksja w zakresie teorii i filozofii nauki, zmierzająca głównie do wy-

¹³ Oto jak charakteryzuje działalność profesorską w tym zakresie założyciela szkoły lwowsko-warszawskiej T. Kotarbiński: *Ten i ten, mądry i bez miar, pracowity naukyciel zaniechał się po prostu, by lekkością Polaków nauczyć pracować tak, jak oni pracować Niemcy. Na tym terenie oczywiście, który mu był dostępnym, Chodziło głównie o kwestię charakteru. Do żywego dążyła Twardowskiego częsta opinia o Polakach: Die Polen sind ja so unzuverlässig! Niezolidni. Trudno na nas polegać. A to*

¹⁴ Por. J. Łukasiewicz: *O nauce*. Wyd. 2, Lwów, PTF 1936, s. 29.

pracowania koncepcji nauki i filozofii naukowej oraz logicznie i merytorycznie poprawnej klasyfikacji nauk.

Nie jest to oczywiście komplet dziedzin naukoznawczych należących do pola zainteresowań badawczych szkoły lwowsko-warszawskiej, lecz te, które wymienienie zajmowały pozycję niewątpliwie wyróżnioną. Zainteresowania logiką języka (semiotyką) były inspirowane z jednej strony istotnym warunkiem naukowoci, jakim jest wymóg ściślejszego i jasnego formułowania zagadnień oraz twierdzeń naukowych i jasnego ich przekazu, zaś z drugiej strony — przekonaniem, że nienaukowość filozofii, jałowość i beznadziejność sporów na jej terenie ma zwykle źródło w mętności pojęć, wieloznacznej terminologii, itd., czyli — jak to nazwał K. Twardowski — w niejasnym stylu filozofowania¹⁵. Stąd postulat jasnego stylu filozofii i zakwestionowanie — niekiedy bardzo radykalnie¹⁶ — wartości naukowej wszelkich doktryn i systemów filozoficznych, które tego postulatowi nie respektują. Niejasność tekstu filozoficznego jest bowiem — zdaniem filozofów szkoły lwowsko-warszawskiej — następstwem niejasnej myśli.

Konsekwentna realizacja postulatów jasności stylu filozoficznego była jednym z istotnych czynników włączających szkołę w nurt filozofii analitycznej¹⁷. Filozofia analityczna szkoły lwowsko-warszawskiej była oczywiście zasadniczo niezależna od odpowiednich kierunków zachodnich i niewątpliwie pod wieloma względami kierunki te przewyższała poziomem swojej refleksji. Zwraca uwagę fakt, że w szkole tej były stosowane dwie odmiany analizy: formalno-logiczna (Ajdukiewicz, Łukasiewicz, Leśniewski, Tarski) i nieformalna analiza pojęciowa (Twardowski, Witwicki, Tatariewicz, Dąbbska, a także — częściowo — Kotarbiński i Czeżowski). To rozróżnienie nie oznaczało bynajmniej rozbieżności poglądów, lecz wiązało się z przekonaniem, że — jak pisze J. Woleński¹⁸ — język potoczny daje się tylko częściowo opanować pod względem logicznym, że zatem, wobec ograniczonych możliwości logiki, muszą być dopuszczalne także nieformalne analizy pojęciowe, analizy intuicyjno-językowe.

Przyjęcie postulatów jasnego stylu filozoficznego narzucało potrzebę poszukiwania i doskonalenia narzędzi służących realizacji tego postulatów. Inspirowało przeto wielostronne badania nad językiem, dotyczące jego reguł, kategorii wyrażań oraz ich funkcji znakovych, narzędzi doskonalenia tych funkcji (takich, jak np. definicja), metod przekładu na bardziej sprawne środki ujawniania i przekazu informacji, takie, jak języki symboliczne nauk formalnych, itd. Badania te prowadzono oczywiście nie tylko w trosce o realizację postulatów jasnego stylu, który je — przynajmniej w znacznym stopniu — inspirował, lecz miały — jak wszelkie rzetelne badania teoretyczne — własny autonomiczny cel poznawczy. Miały także znaczące implikacje dla refleksji stricte filozoficznej, zwłaszcza dla teorii poznania, ujawnione głównie w pracach K. Ajdukiewicza (konsensualizm skrajalny, semantyczna teoria poznania), T. Kotarbińskiego (skraj-

ny nominalizm związany z semantyczną interpretacją jego doktryny reistycznej) i A. Tarskiego (badania dotyczące klasycznego pojęcia prawdy). Największe zasługi na polu tych semiotycznych dociekań posiadają K. Ajdukiewicz i A. Tarski, lecz również inni przedstawiciele szkoły lwowsko-warszawskiej wnieśli do tej dziedziny poważny wkład twórczego wysiłku: T. Czeżowski, T. Kotarbiński, I. Dąbbska, M. Ossowska. Wszystkich trudno byłoby wyczerpać, a jeszcze trudniej byłoby przedstawić wyczerpująco ich osiągnięcia. Podam w toku dalszych rozważań, przykłady tych osiągnięć wraz z przykładami osiągnięć naukowych szkoły lwowsko-warszawskiej w innych dziedzinach, zwłaszcza w zakresie logiki formalnej i metodologii nauki.

Badania w zakresie logiki i metodologii nauk miały również — jak o tym już wspominałem — istotny związek genetyczny z przyjętym w szkole lwowsko-warszawskiej programem naukowej refleksji filozoficznej. Służyły one realizacji tego programu w zakresie takich wymogów naukowości, jak: nakaz spójności logicznej i konsekwencji wywodów, nakaz odpowiednich (właściwych danej dziedzinie refleksji) uzasadnień itd. Świadomość potrzeby znajomości statusu metodologicznego uprawianej dyscypliny była w szkole lwowsko-warszawskiej powszechna, dlatego prawie każdy reprezentant tej szkoły zajmował się refleksją metodologiczną przynajmniej w zakresie swojej własnej dziedziny. Pokazują to doskonale przykłady wybitnych historyków filozofii: W. Tatariewicza i S. Świeżawskiego. Pierwszy z nich zawarł wyniki swoich przemyśleń metodologicznych głównie w pracy pt. *O pisaniu historii filozofii*¹⁹. Problematykę metodologiczną zawierają także prace: *Droga do filozofii*²⁰, *Nauki nomologiczne a typologiczne*²¹, *Dwa zadania periodologii*²², podręcznik *Historii filozofii* i inne. S. Świeżawski jest wyznaczką poglądów, że historyk filozofii powinien opierać swoje badania na określonej koncepcji filozofii. Koncepcja, którą sam zakładał wyróżniała, jako podstawowy składnik filozofii, filozofię bytu reprezentowaną głównie w dziełach św. Tomasza z Akwinu. Swoistym ujęciem tej koncepcji był opracowany przez profesora Świeżawskiego (przy współudziale ks. prof. A. Krapca) i jego seminarium system zagadnień zwany siatką metafizyczną. Ten swoisty kwestionariusz filozoficzny wyznaczał odpowiednio zakres i perspektywę badań nad treścią danych dzieł filozoficznych. Głównym miejscem dyskusji metodologicznych było prowadzone przez prof. S. Świeżawskiego, w ciągu szeregu lat w KUL, Wyższe Seminarium Historii Filozofii. Przedmiotem dyskusji na tym seminarium były zazwyczaj zagadnienia metodologiczne związane z bieżącymi badaniami prowadzonymi przez uczestników seminarium (byłem w latach 1953–1955 stałym protokolantem tych dyskusji). Najpełniejjsze ujęcie poglądów prof. Świeżawskiego (i jego seminarium) z zakresu metodologii historii zawiera jego znakomita książka pt. *Zagadnienie historii filozofii* (Warszawa. PWN 1966, ss. 897).

Logika formalna i metodologia nauk były jednakże uprawiane w szkole lwowsko-warszawskiej przede wszystkim jako autonomiczne dziedziny wiedzy. W latach dwudziestych i — zwłaszcza — trzydziestych stanowiły one główny zakres zainteresowań badawczych tej szkoły, szczególnie na terenie Warszawy (warszawska szkoła logiczna). Osiągnięcia naukowe w tym zakresie stawały

¹⁵ K. Twardowski poświęcił temu zagadnieniu specjalną pracę pt. *O jasnym i niejasnym stylu filozoficznym*. Por. K. Twardowski, *Wybrane pisma filozoficzne* Warszawa, PWN 1965, ss. 346–349.

¹⁶ Por. J. Łukasiewicz: *Kant i filozofia nowożytna*, „Wiadomości Literackie” 1924, s. 19, *Kartezyzm*, „Kwartalnik Filozoficzny”, 1938, s. 123–128. Łukasiewicz uważał systemy filozofii nowożytnej, takie jak Kartezjusz i Kant, za pozbawione wartości naukowej.

¹⁷ Uważam za celowe przytoczyć tu lapidarną charakterystykę tej filozofii sformułowaną przez ks. J. M. Bucheńczyka (reprezentanta szkoły lwowsko-warszawskiej) w jego odczycie jubileuszowym w listopadzie 1987 r. Brzmioło ono: *Filozofia analityczna jest to kierunek, w którym odpowiedź na postawione pytanie poprzedza i poprzedza odpowiedź na pytanie, czym jest to postawione pytanie*.

¹⁸ Por. J. Woleński: *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska*, s. 313.

¹⁹ W. Tatariewicz: *Droga do filozofii i inne rozprawy filozoficzne* Warszawa, PWN 1971, s. 63–86.

²⁰ Tamże, ss. 13–52.

²¹ Tamże, ss. 53–62.

²² Tamże, ss. 87–92.

logików polskich tamtego czasu na najwyższych pozycjach w skali światowej.

Program filozofii naukowej oraz inspirowane przez jego założenia kierunki badań, a zwłaszcza badania w zakresie teorii nauki, metodologii nauk i logiki formalnej zrodziły poglądy, że szkoła lwowsko-warszawska reprezentuje filozofię neopozytywizmu, istotnie zbliżoną do poglądów głoszonych w Kole Wiedeńskim²³. Złudzeniu temu ulegali nawet niektórzy spośród tych przedstawicieli szkoły, których zainteresowania były stosunkowo odległe od dziedzin formalno-logicznych. Np. Ś. Świczawski pisze o swoim wyborze seminarium Ajdukiewicza zamiast seminarium Ingardena: (...) u Ajdukiewicza, mimo jego bojowych nieraz ataków na werbalizm i bezsens wywodów „wielkich metafizyków”, znajdowałem wyraźną aprobatę „nawnie” realistycznego przekonania o istnieniu rzeczy niezależnie od ich spostrzegania, a więc pośrednio frontalną krytykę kartezjańskiego „cogito”. Ten rys filozofowania wydawał mi się tak fundamentalny i ważny, że on właśnie, ów obiektywizm i realizm, zbliżał mnie bardziej ku neopozytywistycznym tendencjom analitycznym Ajdukiewicza niż ku pozornie prometafizycznym drogom fenomenologii²⁴.

Atak na werbalizm i błędy rozumowania zawarte w dziełach poszczególnych metafizyków nie jest bynajmniej tym samym, co atak na metafizykę jako dziedzinę filozoficzną. Jedną z istotnych różnic między szkołą lwowsko-warszawską a neopozytywizmem Koła Wiedeńskiego polega właśnie na różnym stosunku każdej z tych szkół do metafizyki. Neopozytywiści uważali metafizykę za zbiór bezsensów, odmawiając jej dziedzinie filozoficznej wszelkiej poznawczej wartości. Szkoła lwowsko-warszawska była daleka od takiego stanowiska. Nawet najbardziej scjentystycznie nastawieni jej reprezentanci nie głosili radykalnej negacji metafizyki, natomiast znaczną część jej przedstawicieli (w tym: K. Twardowski, J. Łukasiewicz, T. Czeżowski, I. Dąbbska) przyznawała metafizyce dużą doniosłość teoretyczną i praktyczną, a nawet charakter nauki. Do tych ostatnich należał Ajdukiewicz, który me był — wbrew sugestiom, jakie niesie przytoczona wyżej wypowiedź Świczawskiego — neopozytywistą, choć był, par excellence reprezentantem filozofii analitycznej. Nie stronił on bynajmniej od zagadnień metafizyki, a przy najmniej od ich ujęć z punktu widzenia historyka filozofii i popularyzatora wiedzy filozoficznej, o czym świadczy druga część jego pięknej książki (przetłumaczonej na język angielski, portugalski i włoski) *Zagadnienia i kierunki filozofii* (Czytelnik, Warszawa 1949 i wydanie II — Czytelnik, Warszawa 1983). Osobną książkę problemom metafizyki poświęcił T. Czeżowski (mówił mi w jednej z naszych rozmów, że układał tę książkę z wielką przyjemnością). Nosi ona tytuł: *O metafizyce, jej kierunkach i zagadnieniach* (Toruń, 1948).

Filozofowie szkoły lwowsko-warszawskiej — jak już wspominałem — preferowali de facto (przynajmniej w początkowym okresie) te dyscypliny filozoficzne, które najłatwiej dawały się uprawiać jako nauki. Ten ich „minimalistyczny” program nie był jednakże — przeciwnie niż u neopozytywistów — konsekwencją określonych założeń metafizycznych, czyli nie był narzucony przez odpowiednią koncepcję filozofii. Polemikę z tezą utożsamiającą poglądy szkoły lwowsko-warszawskiej z filozofią Koła Wiedeńskiego prowadzili sami reprezentanci szkoły już w okresie między-

wojennym²⁵. Opinia ta jest zdecydowanie odrzucana w literaturze współczesnej²⁶.

Po informacje na temat osiągnięć najbardziej wybitnych przedstawicieli szkoły pozwałam sobie odesłać Szanownych Czytelników do, przywoływanej tu wielokrotnie, książki Jana Wolńskiego *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska*.

Tadeusz Kwiatkowski

²³ Jednym z powodów uznawania szkoły lwowsko-warszawskiej za odmianę neopozytywizmu był stany i realizowany w obu szkołach (tzn. w szkole polskiej i w Kole Wiedeńskim) postulat stosowania w refleksji filozoficznej, nowoczesnej logiki, zwanej wówczas logiką. Przykładem demaskowania omawianych nieporozumień była polemika J. Łukasiewicza z ks. Augustynem Jakubiniakiem (ścisłej — z jego krytyką szkoły zawartą w książce pt. *Od zakresu do treści*, Warszawa 1936) w artykule p. *Logika a filozofia* opublikowanym w „Przeglądzie Filozoficznym”, 1936, s. 115-131.

²⁴ Por. np. J. Woleński, *Kazimierz Ajdukiewicz jako filozof języka i poznania*, (w:) *Filozofia współczesna*, t. 2, Warszawa 1983, s. 106-107.

Książki nadesłane

Wydawnictwo Łubelskie

Jan Dzeduszycki: *Trzy lata wykresione z zyciorysu*. Ss. 187, nakład 100 000 egz., cena zł. 1600 —

Czesław Gryko: *Józef Chalasiński Socjologiczna teoria kultury*. Ss. 304, nakład 2500 egz., cena zł. 2500 —

Kazimiera Ilbakowiczówna: *Poezje*. Wybrała i wstępem opatrzyła Matylda Wełna. Ss. 362, nakład 60 000 egz., cena zł. 2500 —

Jerencusz J. Kamiński: *Tradycje romanu z awangardy*. Ss. 328, nakład 5000 egz., cena zł. 1800 —

Józef Kaspek: *Kronika wydarzeń w Lublinie w okresie okupacji hitlerowskiej*. Wyd. 2. Ss. 291, nakład 2000 egz., cena zł. 2500 —

Jan Lechoń: *Poezje*. Wybrała i wstępem opatrzyła Matylda Wełna. Ss. 248, nakład 50 000 egz., cena zł. 2700 —

Władysław Strumski: *Pogromcy Piłkietwca*. Ss. 288, nakład 30 000 egz., cena zł. 1800 —

Helena Chłopek: *Okruchy*. Wybór, opracowanie, postłowie Halina Szal. Ss. 94, nakład 1000 egz., cena zł. 500. — Seria: Biblioteka Stowarzyszenia Twórców Ludowych, t. 28.

Andrzej Wierciński: *Keber w czerni*. Poezje. Ss. 100, nakład 5000 egz.

²⁵ Por. np. A. Schaff: *Z zagadnień marksistowskiej teorii prawdy*. Warszawa, Książki i Wiedza 1951, s. 330.

²⁶ Por. Ś. Świczawski: *Wielki przełom 1907-1945*. Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Łubelskiego, Lublin 1989, s. 101-102.

SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK

CURIK A HEJM

Żydzi polscy z miasteczek Galicji, z wędrownych szlaków, przekupnie na targu, bachurim, pachciarze, biedota, jakbvk skrzyknął się cały *am haarec*, lud ziemi, prostaciżkowie i nieudacznicy. Obok chudy jak poeta skrzypek, barezysty, przetośnięty harmonista, brodacze z złotą trąbką, perkusista co w szybkim rytmie uderza czynielami, orkiestra. Wesoly badchan, starosta weselny, przekomarza się z biegłym w prawie chachamem. Krępy wędrowny szewc puszcza perskie oczko do obladowanego tobołkami handlarza starzyzna, chłopca na schwał, przedziwnie bujnego. Właśnie, że skromnie spuszczoną głową, mija ich młodziutka haisza. Oświecony maitur z Księgą Przedwiecznej Mądrości pod pachą wita się oschle ze sługą synagogi, szamaszem. Ze starej, drewnianej bóżnicy roznośi się gardłowy zaśpiew chazana. Przez na wpół uchylone drzwi widac binie, rabina ze świętym zwojem *Tory* i rozmodlonych, okrytych talesami mężczyzn w tefilin na czołach. Maly ryeczek przecina grupka nieopierzonych uczniow chederu w towarzyszywie pejsatego melameda. Momentalnie, choć tylko na chwile zbijają się w ciasną gromadkę na widok podążającego z naprzeciwka starca o lasce. To senior kahalu we własnej osobie, wcale nie kulawy. Laska, co przeczytać można w *Tehilim*, Księdza Psalmów śpiewającego króla Dawida, oznacza wiarę prowadzącą go po bezdrożach i w ciemnościach padolu ledz. Dziesięciu butlanim opuszczają bóżnicę. Z oddali, z dzielnicy chasydów, dobiega wysoki śpiew tańczących *anawim Jahwe*, ubogich Pana. Witają cadyka, który wrocil właśnie z podróży, maga i cudotwórcę, mecha-szefta, ucznia samego — niech światło Elohim nigdy go nie opuszcza — Chajima ben Arie Lejb Halberstamma. Cadyk wnosi laskę i ucisza harmidm, dwaj uczniowie siadają na stołkach, rozkładają na kolanach pisma. Na ulicy pojawia się sprzedawca książek pchający maly, skrzypiący wózek. Przez chwile w ciszy słonecznego południa rozlega się tylko miękki turkot kol. Uczniowie odczytują na głos pozytywne mądrości Zakonu. Chasydzi odrzucają kapelusze na tyl głowy, co jest widomym znakiem skupienia myśli na Bożych tajemnicach. Twarze jednych banalne, innych natchnione — to ci, którzy popadli w zachwycenie. Uniesienie brwi, niemy okrzyk, ekstaza, tylko oczy zawsze te same, wilgotne, ciemne, wykrojone na kształt migdałów.

Postaci ludzkie przemieszane w widzeniu prawdziwie epickim, w metafizycznej jednoczesności wydarzeń różnych i odległych w przestrzeni egzystencji, w czasie, którego rytm wyznacza kalendarz świąt i obrzędów. Cała rodzina, miszpacha jak żywa, postaci polyskujące czernią, bielą, brązami, gdzieniegdzie złotem przedmiotów liturgicz-

nych, muzycznych instrumentów, barwionych brzegów stronic w modlitewnikach. Cały kahal zaklęty w figurkach ulepionych z gliny, wypalonych w piecu ceramicznym i pokrytych polichromią. Żydzi polscy Kunegundy Jeżowskiej, jej córki Aleksandry i zięcia Feliksa Tytusja, artystów ludowych z Muszyny-Złockiego.

Przed wojną wielu Żydów zamieszkiwało Nowosądeckie. Wielu żyło w Muszynie, przydając jej szczególnego koloroty. Pani Kunegundzie zapadły w pamięci ich powiewające na wietrze hrody i pejisy, czarne chałaty, male jarmulki, odświętne, obramowane lisim futrem sztrajmle na pełnych godności głowach mężczyzn, ich pluszowe kapelusze zrondem jak skrzydło krukka. Zapadła jej w pamięci tragedia siedmiuset czterdziestu ośmiu Żydów zamieszkałych w Muszynie, z których tylko dwóch — wedle istniejących danych — przeżyło wojenną pożogę. Postanowiła utrwalić w glinie, w tym kruchym materiale prawdę o kruchości ludzkiego życia, o tragicznym losie narodu wybranego, którego synów w Muszynie już nie ma. (...) Dom trojga ludowych artystów z Muszyny-Złockiego zaludniony jest setkami ceramicznymi postaci, tworzących stałą, nieznaruszalną kolekcję¹. Najstarsze „Żydy” Kunegundy Jeżowskiej powstały bodaj w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych — najmłodsze jeszcze się nie urodziły. Figurki — każda inna, niepowtarzalna — różnią się także cechami stylu. Postaci w czarnych chałatach pana Feliksa należą do tej samej rodziny, co i figurki pani Kunegundy. Projektowane wspólnie z żoną mają jednak więcej dynamizmu, są często bardziej charakterystyczne². Słyszałem, że największe napięcie towarzyszy artystom podczas wypalania rzeźb w piecu. Nigdy dokładnie nie wiadomo, co wyjdzie.

Z figurkami z Muszyny-Złockiego zetknąłem się po raz pierwszy w mieszkaniu Romana Brandstattera. Barwna żydowska orkiestra dawała nieprzerwany popis w gabinecie autora *Jezusa z Nazarethu*. Po raz ostatni widziałem owych grajków na poznańskim Ostrowie Tumskim podczas posmiertnej wystawy dzieł sztuki i pamiątek, ofiarowanych w 1987 roku przez śp. mistrza Romana Muzeum Archidiecezjalnemu. We wspólnej gablocie leżał dziurawy i okrwawiony strzęp *Tory*, znalezionej podczas wojny za pazuchą zastrzelonego Żyda, a nad nim stała zaklęta w glinie, oniemiała żydowska orkiestra. Pisarz tak te figurki lubił, że wydały się ojcowi Janowi Górze OP niezbędne w urządzonym w klasztorze dominikańskim w Poznaniu Lectorium im. Romana Brandstattera, więc nową ich partię wnet ze Złockiego sprowadził, a lectorium upodobiło się trochę bardziej do gabinetu autora *Dębów patriarchy Izaaka*. Jesienią 1988 muszynscy Żydzi przybyli blisko mojego mieszkania, na wystawę w domu kultury. Wówczas poznałem także kolekcję Emilii Waśniowskiej — dwadzieścia figurek. Dziesięciu glinianych Żydów z błogosławieństwem pani Jeżowskiej weszło do mojego mieszkania. W Wielki Piątek 1989 jeden z nich — roztonczony chasyd — przeprowadził się do ojców jezuitów, do Wacława Oszańczy, autora *Ty za blisko, my za daleko*. Tak że trudno wiedzieć, co będzie dalej.

Pewne jest jednak, Kunegunda Jeżowska, która ulepiła z gliny polskiego Żyda i włożyła go do rozpalonego piecu, nieświadomie poruszyła struny odwiecznych tradycji symbolicznych i najnowszej historii Europy. W jej domu struny owe, dramatycznie splecione, wydają muzykę dziwną i przemijającą. Akti tworzący staje się aktem rytualnym o wiele bardziej, niż artystycznym. Lepienie człowieka, umieszczanie figurek Żydów w piecu i sama już metafizyka (wyrzyna, gliny — przenoszą działania rodziny muszynskich artystów z ich domu nad Szwecznikiem wprost do przestrzeni *genesis* i wiecznego

¹ E. Waśniowska: *W glinie zaklęty*, (w:) *Wystawa prac Kunegundy Jeżowskiej oraz Aleksandry i Feliksa Tytusów 8-18 X 1988, katalog*, DK „Dąbrówka”, Poznań, s. nb. 4-5.

² Ibidem, s. nb. 5.



Kungunda Jehowska, Aleksandra i Feliks Tyłusowie: *Orkiestra żydowska*
ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmajda

powrotu. Owa przestrzeń, z biegiem wieków napelniona mądrościami mistycznymi, gnozą, magią rytów i symboli — dziś, w czasach śmierci Boga w kulturze i niekiedy w człowieku rozproszona albo mało zrozumiała — jest prawdziwym domostwem, swojskim i trwałym, glinianym polskich Żydów.

Glina, czy jak chcą żydowscy bibliści szlam, mul, ziemia z dna oceanicznego — jest substancją naznaczoną świętością. Z gliny Bóg ulepił Adama: *Stworzył tedy Pan Bóg człowieka z prochu ziemi, natęchnął w obłocie jego dech żywota. I stał się człowiek duszą żywającą* (*Brzecz... 7*)¹. Przeto Adam nazywa siebie „utkanym w głębi ziemi” (*Tehillim 139, 15*). Jako tworzywo przeduchowione, zapłodnione przez Boga, glina — biblijny proch, szlam, ziemia — dotykana była przez człowieka dawnych kultur, zresztą nie tylko cywilizacji kręgu biblijnego, ze szczególną czcią. Z gliny człowiek lepił garnki, formował tabliczki do pisania i wznosił domostwa w Polsce trafnie zwane lepiankami, a później wypalał z niej cegły — budulec gotyckich katedr i miast, od czasów Abrahamowych uważanych za dzieła i siedziby Jahwe. Od prawików glina wypalona w ogniu jest substancją uczestniczącą w obrzędach rytualnych. Rozpina się coś w rodzaju metafizyki, a nawet mistyki gliny — w Średniowieczu substancję tę wymieniają ze czcią traktaty metafizyczne i teologiczne księgi, a już wcale nie mogą jej pominać kosmogonia, eschatologia, apokahptyka oraz rzecz prosta kabala i nauki alchemiczne.

Gliniane i kamienne figuryk wymienia już *Pismo Święte*. Najczęściej są posążkami żydowskich bóstw domowych i nazywają się *terafim*, a co ciekawe, nazwą tą obejmuje się również wszelkie przedmioty magii. W czasach nowożytnych gliniane, wypalane w ogniu figurki ludzkie najczęściej mają znaczenie magiczne — i wówczas, gdy uczestniczą w rytuałach żydowskich, i wtedy, gdy pojawiają się w polskich obrzędach ludowych.

U Żydów występują w związku z Purim, Świętem Losów, obchodzonym w 14 dniu miesiąca Adar na pamiątkę cudownego

ocalenia Judejczyków przez Mardechaja i Esterę od zguby, zgotowanej im przez Hamana. Jak podaje *Księga Estery* niecny Haman — wielki wezyr panującego nad stu dwudziestoma siedmioma prowincjami króla perskiego Achaszwerosza — obmyślił plan wymordowania wszystkich zamieszkujących ziemię od Indii do Etiopii Żydów, za co, skompromitowany przez Mardechaja i Esterę, został powieszony. Ze świętem Purim wiąże się wiele zwyczajów przez rabinów obrzędów pogańskich, mimo to praktykowanych. Przywiązani do tradycji Żydzi lepią wówczas figurki Hamana, „syna Hammedaty, Agagity, wroga Żydów”, które następnie tłuką i wrzucają do ognia na znak pokonania zła przez dobro. Ohrzęd ten symbolizuje zarazem zwycięstwo wiosny nad zimą, przy końcu której wypadła Purim i w tym znaczeniu przypomina polskie, czeskie i niemieckie, zresztą pod różnymi postaciami znane i wielu innym ludom, topienie czy palenie bałwana Marzanny albo Dziewanny. Późniejsze chronologicznie trójkątne ciastka purimowe — pamiątka spożywanych przez Daniela i jego towarzyszy *zeroim* — są pozostałością tłuczonych figurinek Hamana, wyrabianych z gliny albo z ciasta. Po Hamanie pozostał tu tylko ów kapelus — hamantasz, trójkątne ciastko z makiem⁴. Warto może dodać, że rytualne tłuczenie posążków Hamana jako żywo przypomina hinduski zwyczaj ścinania głów figurkom ludzkim ulepionym z gliny lub ciasta — na cześć bogów i w zastępstwo zakazanego, dawniejszego obrzędu składania ofiar z ludzi.

Gliniane, także z ciasta, gipsu figurki Żydów zna również folklor polski, a co zdumiewa — i tutaj, mimo zasadniczych różnic w samym obrzędowym sensie, pojawiają się one na stole świątecznym, są elementem pogańskim w okresie głęboko liturgicznym (drugie święto wielkanocne) i także — ale ciekło, nie poluteczono — symbolizują szczęście. W Polsce Żyd — choćby tylko przebraniec — na weselu, przy rozpoczęciu żniw, kolednik odwiedzający dom z powinnowaniem, postać w obrzędach żupnych, na Trzech Króli, w szopce — był pożądany i witany jako zapowiedź radości i powodzenia. *Takie same znaczenie mają figurki przedstawiające Żyda, sprzedawane w Smigus-Dyngus na Targach Dominikańskich w Krakowie. Zapewniać miały szczęście, a dzień kiedy się je oferuje nie jest bez znaczenia: jest on poświęcony zabiegom płodnościowym. Podobny podtekst mają również skarbanki w kształcie „Żyda”, do niedawna częsty motyw ludowej ceramiki. Dalekim już echem tych wizerów są motywy żydowskie w rzeźbie ludowej, podczas gdy w malarstwie prawie nie występują. Pośrednio związek z powyższymi miało głębiące przekonanie o bogactwie tej grupy⁵. Z przekonaniem o bogactwie wiązało się chyba także znaczenie tworzący, z którego jeszcze w dwudziestolecu międzywojennym wyrabiano duże i barwne postaci Żydów witających gości w domu — drogie kamieni kukru.*

Lecz „Żydy” artystów ludowych z Muszyny-Złockiego to nie są *terafim*, Hamany ani też figurki z krakowskich Targów Dominikańskich, odbywanych z okazji Emausu. Może wpisywały się do tej przestrzeni tradycji, gdyby rozumieć je tylko jako rytualne dzieła sztuki ludowej. A są przecież czymś więcej: to odwróconym w glinie wdmusnem czterdziestu ośmiu Żydów polskich, zamieszkałych przed drugą wojną światową w Muszynie i zgładzonych w szoa.

Ciału człowiecze i glina — jako substancje i jako pojęcia teologiczne — wciąż przenikają się w mistycznej myśli żydowskiej, w judaistycznej kosmogonii i eschatologii. Przenikanie się ciała i gliny, żydowska „gliniana” *genesis* i żydowski „gliniany” *eschaton*, szlam ze szlamu i w szlam, proch w proch, ludzki początek w cieło

¹ Pierwsze Księgi Mojżeszowe. *Genesis*, cap. II, 7. Cyf. w tłum. polskiego w: *Wiedza* wydania wieloletniego hebrajsko-polskim: *Piewno Księgi Mojżeszowe*, Pol. et Hebr. Pent., drukiem Adolfa Holzhausena, Wiedeń 1872, s. 3.

⁴ Por. R. Lientolowa: *Święta żydowska w przeszłości i teraźniejszości*, cz. 3, Rozprawy Polskiej Akademii Umiejętności, Wydział Filologiczny, t. 58, nr 5. Kraków 1919, s. 57 i 87.

⁵ A. Cala: *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*. Warszawa 1988, s. 78.



Kunegunda Jerzowska, Aleksandra i Feliks Tytusowie. Kantor, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmatuła.

„utkanym w głębi ziemi” i ludzki koniec w Szeolu, który znajduje się głęboko w ziemi — jest prapojciem wiecznego powrotu, niesmiertelnego Adama Kadmona. Piszący w jidysz Szlomo Rojtmn, poeta z Mohylewa Podolskiego, wyznaje:

*Nie żał się serce, że zmienię się w glinę,
moim pragnieniem: zbudować z niej ściany
po mojej śmierci, jak żywy — dziecię
od wiatru osłonię — plecami.⁶*

Niesmiertelna, ozywająca pod Tchnieniem Boga glina jest przedmiotem spekulacji — z czym konkurować może tylko złoto — żydo-

wskich mistyków, kabalistów i mistrzów alchemicznych, marzących o stworzeniu wzorem Jahwe glinianego człowieka. Wielu usiłowało uzyskać kamień filozoficzny ze złota, inni mozolili się nad wytopieniem złota ze szlamu, piasku i gliny, ale wtajemniczeni w arkana wiedzy o akcie podeptania poprzeczającym akt wywyższenia miesili glinę w poszukiwaniu energii Boskiego Tchnienia. Myślę naturalnie o Golemie, glinianym człowieku sztucznie ożywionym, którego imię wprowadzone zostało przez rabinów z pewnego wersetu Ksiąg Mojżeszowych i z hebrajskich słów Psalmu 139, 16: „Golmi rau enecha”. Lepienie Golema, akt łatwo ściągający gniew i zemstę Jahwe jako czynność bogoburczą, w myśl prastarych nauk może być przedsięwzięte tylko przez wtajemniczonych, a więc dobrze zabezpieczonych przed gniewem Bożym proroków, cudotwórców i cadyków-magów. Arkana owej wiedzy ukryte są w starych żydowskich dziełach mistycznych i apokryfach. W cudownej księdze *Sefer Raziel*, pełnej tajemnic i zaklęć, przekazanej — jak mówi tradycja — Adamowi czy też Noemu przez Raziela, anioła władającego magią (w niektórych domach żydowskich anielskie objawienia Raziela wkładano do łóżka brzemienne jako znającą Tchnienie Boże księgę dobrego porodu). W przypisywanym niekiedy patriarsze Abrahamowi traktacie *Sefer Jezirah*, który w II wieku miał spisać Rabbi Akiwa, w zapoczątkowanym przez rabiego Symeona ben Jochai a spisany w XIII wieku w Hiszpanii przez rabiego Mojżesza z Leon *Sefer ha-Zohar*, w pochodzącej z przełomu XII i XIII wieku księdze *Rekeach* Eleazara ben Jehudy z Wormacji, w spisanym w XIII wieku *Sefer ha-Bahir* rabiego Nechonii ben-Hakkanaha, w księdze *Beer ha-Gola* żyjącego w latach 1525-1609 Jehudy ben Becalela zwanego Löwem — twórcy legendarnego Golema z Pragi — i w wielu pismach mniejszego znaczenia. Księgi te tworzą tradycję *Kabbaly*, którą ortodoksyjni rabini uważali za naukę heretycką. Nie zdradzę oczywiście zaklęcia potrzebnego do ożywienia glinianego człowieka — tajemnego, niewymawialnego imienia Jahwe, a naturalnie nie chodzi tu o tetragrammaton — powiem tylko, że znajduje się ono ukryte w Księgach Starego Zakonu i jest czytelne wyłącznie dla wtajemniczonego medra. „biegłego w sztukach i mistrza szeptu”. Ponadto o samym Golemie z Pragi sporo przeczytać można u Hansa Ludwiga Helda (*Von Golem und Schem*, 1919), Chajima Blocha (*Der Prager Golem. Von seiner „Geburt“ bis zu seinem „Tod“*, 1919) czy Eduarda Petiški (*Golem i jane židovske povesti a pohádky ze staré Prahy*, 1967, edycje niemieckie w przekładzie Gustava Justa). W 1957 roku poemat *Golem* napisał także Roman Brandstaetter. Literatura tematu jest zresztą rozległa i wielojęzyczna.

Wybitnymi dziełami golemologii są paraboliczne mądrości i gnozy chasydzkich cadyków, wiele do powiedzenia ma tu także wielki Baruch Spinoza, a wiedzę o Bozym Imieniu posiadał Izrael z Międzyborza zwany Baal-Szem-Tow, Pan Dobrego Imienia, ojciec chasydizmu. Jeśli idzie o cadyka, z którym bezpośrednio stykali się chasydzi z karpackiej Muszyny, ojcowie Żydów, których wyobrażają dziś tylko gliniane rzeźby, był nim uczeń Jakuba Jicchaka z Lublina i Naftalego z Rozpęcz, reb Chajim ben Arie Lejb Halberstamm z Sącza (1793-1876), autor *Słowa Życia* (*Dywre Chajim*)⁷. Zapewne i ow sadecki cadyk posiadał tajemnicę Bożego Tchnienia, o czym świadczy tytuł jego dzieła i szkoła, z której wyszedł, nauki Widzącego z Lublina, który nigdy nie považał się wymówić głośno Imienia

⁶ Por. zwłaszcza G. Scholem, *Ursprung und Anfänge der Kabbala*, *Studia Judaica* 1932, von E. L. Ehrlich, Basel, B. 3, Berlin (West) 1962 oraz A. Safran, *Die Kabbala. Gnosis und Mystik in der Jüdischen Tradition*, Bern und München 1966.

⁷ O Chajimie z Sącza zob. M. Buber, *Opowieści chasydów*, (tłum., uwagi i posłowne P. Hertz, Poznań 1986, s. 249-251) oraz J. Langer, *9 bram do tajemnic chasydów*, tłum. A. Golewska, Kraków 1988, s. 230-234.

⁸ S. Rojtmn, *Czytając Omara Chajama*, (w:) *Antologia poezji żydowskiej (1868-1968)*, wybór, tłum. i oprac. Z. Szeps, Londyn 1980, s. 320.



Kunegunda Jeżowska, Aleksandra i Feliks Tytusowie: *Wędrowni szewcy i handlarz*, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmatała.

Bożego, zastępując je słowem *Korona, Krajn*. Z ważnych względów wysoka pozycja należy się *Golemowi* (1915), powieści tarokkowej Gustava Meyrinka, jako że jej autor — w sposób zakamufłowany — przypomina o wieloznacznym, złym i dobrym biegunie idei glinianego człowieka. Oznacza to powrót do ujęć kabaly średniowiecznej, niełatwy, bo zatamowany przez złą, raczej jednobiegunową legendę z końca XVI wieku o Golemie praskim, protoplaście bohatera *Frankensteina* czyli *Nowoczesnego Prometeusza* (1818) Mary W. Shelley i *Frankensteina* (1931), słynnego filmu Jamesa Whale. Golem, piszący się w jidysz *gejlam*, utożsamiany jest z balwanem, głupcem. Gliniany twór rabina Pragi istotnie pozbawiony był rozumu, mowy i płodności, duszę miał jeno vegetatywną, powołany został dla obrony praskiego getta i na początku dobrze wywiązywał się z zadania, ale w końcu okazał się nie dość posłuszny i jako dzieło niedoskonałe reb Löwe go zgładził. Według jednych rozpadł się w proch, według innych spoczął na dnie Weltawy, albo gdzieś w pniach praskiego getta, ale Meyrink powiada, że zmniejszył się do postaci karłowatej figurki glinianej, którą można było oglądać w starej synagodze. Inaczej niż w przypadku legendarnego osiłka znad Weltawy, ukazanego w 1920 roku w komedii *R. U. R. (Rossumi*

Universal Robots) Karela Čapka pod postacią Robota, mistyczna idea Golema nie jest jednoznaczna i wielu cadyków ze środkowej i wschodniej Europy — Damian Szewc, Shamir ben Cokar, Dawid Lomke czy magid Izrael z Kozienic — medytowało nad sposobem wyprodukowania Golema dobrego, lepszego od ludzi, w którym zło byłoby na zawsze wypalone. Idealu zapewne nie osiągnięto nigdy, ale kto wie, może inne, bardziej od praskiego prowincjonalne Golemy z Lublina, Chelma, Drohobycza, Poznania, gdzie po przeprowadzce z Pragi w roku 1592 tworzył je sam Löwe, nie wpadały w szal jakby w nie dybuk wstąpił i były lepiej ułożone? Przecież dobro, jedna ze sprzecznych cech natury ludzkiej i natury gilema jest nam w jego osobie nie tak znów obce — nawet Frankenstein miał ludzkie odruchy i budził współczucie. Dobre Golemy spotykaliśmy w dzieciństwie, w opowieściach starszych i w książkach. Za mojego dzieciństwa żyły w świecie *Kichusia majstra Lepigliny* i *Kichusia czyli przygód glinianego cudaczka* Janiny Porazińskiej oraz *Plastusiowego pamiętnika* Marii Kownackiej, współczesne dzieci spotykają je na przykład w *Nie kończącej się historii* Michaela Endego, na której kartach przechadza się Blubb Z. Cuchnących Błot i dobry skalojad Pjerrachtsark. Gliniany Kichus i plastelinowy człowieczek mieli dobre porozumienie z dziećmi, a przeprawę raczej z dorosłymi i dzikimi zwierzętami, jako że świat dorosłych nie dojrzał do współodczuwania z nieszczęśliwymi, dziećmi natury i dobrymi Golemami.

Golem Meyrinka, ujęty na sposób dawny, bliski kabale średniowiecznej, jest w pewnym stopniu odkupicielem ludzkiego zła. W końcu glina, z której został ulepiony jest jedyną substancją we wszechświecie, jaka miała bezpośredni kontakt z Bożym Tchnieniem. Meyrink, zdaje się, pamiętał o tym stale i łatwo wystawić sobie można obraz wzruszonego pisarza, gdy w 1931 roku w wiedeńskiej bibliotece Wilhelma Gleisena dotykał Pieczęci Korony z Drzewa Pomarańczowego, to jest najwyższej Cegły Sefirot, wypalanej przez Löwego w synagodze praskiej i w 1592 r. z pozostałymi Ceglami Sefirot przywiezionej przezeń do Poznania, gdzie ulepił i wypalił jeszcze Cegły Liter⁹. Według wizji Meyrinka Golem substancjalnie był tym samym, co Cegły Sefirot zwane Pieczęciami: glina zmieszana z Tchnieniem płodzącego Boga. W porządku tarokowym Golem to *Śmierć* (karta XIII). Praskie getto uważa go za istotę złowieszczą zapowiadającą nadejście serii nieszczęść. Przypomina on jednocześnie, że człowiek — z punktu widzenia Stwórcy — jest niczym innym jak czystym prochem, zmarłą ziemią szklaną, ożywioną za sprawą znanego sumemu Boga zaklęcia. Jednakże każda z kart posiada trzy sensy, a tylko w najniższym, materialnym, fatalna karta trzynasta zawierająca rysunek szkieletu z kosą ścinającą głowę sugeruje śmierć naturalną i rozkład ciała. Pozostałe stopnie interpretacji mówią o przemianie, transmutacji i przebudzeniu do nowego życia, głosząc odnowienie przez śmierć. Odpowiadająca tej karcie hebrajska litera nun jest literą życia, Elisabeth Haich ukazuje jej związek z boskim imieniem Emanuel („Bóg z nami”) i najgłębszą tajemnicą misterium pasyjnego¹⁰.

Takimi Meyrinkowymi Golemami w niemalym stopniu są gliniani Żydzi polscy z Muszyny-Złockiego. Wyobrażają zmarłych, pomordowanych — ale zmarłych przed śmiercią, za życia, w obrazach przywiezionych przez pamięć. Patrząc na nich widać, że nie żyją, że nie ma już w Polsce Żydów, lecz widzimy ich przecież jak żywych, w ruchu, w pozach i energiach. Ich milczenie powiadamia o śmierci, ale ich dynamizm i życie. Jak Golem ulepiony z gliny czekaają tylko

⁹ Na temat symboliki i losów Cegiel Liter i Cegiel Sefirot Jehuda ben Becelela zob. B. Korab-Kowalski: *Strażnik Pieczęci. Historia niewyrażona*, „Nurt” 1987, cz. 1: nr 2/258, s. 6-7, cz. 2: nr 3/259, s. 9-11.

¹⁰ J. Tomkowiak: *Tarokowy świat Gustava Meyrinka*, „Twórczość” 1985, nr 5/474, s. 102-103.

na ponowne, płodzące Tchnienie Boga, którego na początku czasów dostąpił Adam, to jest „wzięty z ziemi”. Stworzył ich wielki żal i ogromna tęsknota, może odczuwał się tu i wyrzut sumienia albo zadośćuczynienie. Są postaciami pasywnymi, idącymi przez cierpienie i zagładę do nowego życia. Przeszli przecież przez piec ceramiczny na pamiątkę przejścia ich żywej ludzkiej gliny przez piec krematorijne Treblinki, Majdanka i Oświęcimia.

Rzeźby te są jak kadisz, modlitwa za zmarłych, akt przebudzonej pamięci. Patrząc na artystów muszyńskich jak wylaniają, wyjmują z glinianej, bezkształtnej bryły postać człowieka — reb Lowe rzekłby pewnie, że tych troje krewnych reprezentuje niezbędne w inicjacji ciała żywioły ziemi, powietrza i wody, a czwarty uczestnik aktu, piec ceramiczny, ucieleśnia substancjalny ogień, niezbędny w inicjacji duszy flogiston, analogię mocnego jak żar i delikatnego jak płomy — czek Tchnienia Bożego. Kunegunda Jeżowska rzeźbi swoje polskie, zgładzone w szoał „Żydy” z przedwojennej Muszyny pod wpływem doznania, którego głęboki sens przypomina Widzenie Kości biblijnego Ezechiela, epifanię paradoksalną, zwrótną, tajemnicę wiecznego powrotu: rozpad i zmartwychwstanie ciała, podeptanie i wywyższenie ducha, obroty żywego ciała w glinę i gliny w ciało uwielbione.

Najbardziej przejmujące, poetyckie świadectwa szoał nader często ukazują zagładę polskich Żydów jako spalenie żywej ludzkiej gliny, obrót ciała w proch, rozpad i podeptanie. W obrazach takich realia zbrodni są zarazem realiami potwornego świętokradztwa, ludobójstwa, śmierci narodu, narodu wybranego, to — równocześnie z zagładą każdego pojedynczego istnienia — wydarzenie w przestrzeni sacrum, cios wymierzony w samego Boga i w symboliczne poszycie bytu, w glinę, zaczyn życia. Zbrodnia dokonywana na człowieczym ciełe jest świętokradztwem wyrządzanym Stwórcy, analogiczną zbrodnią na żywej czerwonej glinie, w której mieszka Tchnienie Boże. Wiersze



Kunegunda Jeżowska, Aleksandra i Feliks Tytusowie. *Dykutujący Żydzi*, ceramika polichromowana. Fot. Jarosław Szmutala

mówią o apokaliptycznej getta i pickle Umschlagplatzu, o komorach gazowych i piecach krematorijnych. Lecz z głębokości obrazu zagłady wciąż przetrzała ta wielka, prastara, biblijna symbolika: ciało i glina, mistyczne substancje, których przemiany toczą się przez dzieje stworzenia, życia i przemijania, przez historie sumienia, a także przez paroksyzm grzechu. Jest to źródłem nadziei, ale źródło zostało przecież zbrukane przez zbrodnię i wydalo rozpacz. „Krzyż omotała glina” — pisze Adam Włodek w dedykowanym pamięci Karola

Eichhorna wierszu *Drugi grab*. Śpiewają tak głos w głos poeci żydowscy i polscy, świadkowie szoał. *O tych, którym niebo znalazło, ziemię spod nog usunęło. / Których kości zmiażdżonych aniołom ni ludziom nie złazęcy. / O pogorzelcach ciał własnych, które na dymach rozpięto, / O zarażliwie milczących (Mieczysław Jastrun, Pamięci Józefa Oppenheima). O zbrodniczym zmieszaniu krwi i gliny, o borburchym podeptaniu ciała, gliny, której na początku czasów dotykała Ręka Boża, Manus Dei, tak samo pisze w jidysz Samuel Halkin —*

*i czerwienią odłup glina
w której dom mój i goscinia.
W dolach leżą braci zwłoki,
strzępy ciała — hól głęboki,
jednych w domu bagnet dobił,
śmierć strąciła drugich w rowy.*

*Czarne doly, czerwien gliny,
miałem kiedyś dom rodzinny.
(***, Czarne doly, czerwien gliny)*

— i po polsku Czesław Miłosz:

*Pszczoly obudowują czerwoną wątrobę,
Mrówki obudowują czarną kość,
Rozpoczyna się rozcieranie, deptanie jedwabi,
Rozpoczyna się tłuczenie szkła, drzewa, miedzi, niklu,
srebra,
pian gipsowych, blach, strun, trąbek, liści, kul, kryształów —
Pyk! Fosforyczny ogień z żółtych ścian
Pochłania ludzkie i zwierzęce włosie.*

*Pszczoly obudowują plaster plus,
Mrówki obudowują białą kość,
Rozcierany jest papier, kaucuk, płótno, skóra, len,
Włókna, materie, celuloza, włos, węzowa łuska, druty
Wali się w ogniu dach, ściana i żar ognia fundament
Jest już tylko piaseczysto, zdeptano, z jednym drzewem bez
liści*

Ziemia.

(Biedny chrześcijanin patrzy na ghetto)

Ze zbrukanego źródła, ze źródła rozpacz czerwoną, zmieszaną z krwią glinę podnoszą dziś twórcy muszyńskich rzeźb, owaładnieni pragnieniem symbolicznego odkopania źródła nadziei, zaginionego świata, prastarej czci i wiary w wieczysty powrót. Jakby za Antonim Slonimskim z *Pieśni o Januszu Korczaku* powtarzali: „kiedyś wstąpią nieśmiertelni / Z grobów Wawra i z piasków palmirskich ciężelni”. Jakby z autorem *O męczeństwie rapsođu pożgonnego*, Tadeuszem Sarneckim, wyznawali: „Komety pędzą na oślep, / lecz wierze, (...) że duch męznego człowieka / na przywołanie ponownie wśród gwiazd plonących czeka”. Czyż nie słychać tu nie tak znów dalekiego echa biblijnej przypowieści o wrzuconych do pieca na rozkaz Nabuchodonozora trzech młodzieńców, których ocalała wiara? Albo przepięknej legendy z midraszów o Abramie w piecu wapiennym, który z woli Jahwe przechadzał się między jeziorami ognia jak wśród ogrodu rozkwitających drzew?

Glinianych Żydów polskich z Muszyny-Złockiego zrodził brak. Rozpacz niemożliwej do ukojenia tęsknoty za wielobarwnym, wielonarodowym, pogranicznym światem, który stał się niepełny, który uległ spustoszeniu. Żydowie polscy pozostawili po sobie piękną,

ludową kantyczkę *Curik a hejm*. Podczas okupacji ożyła ona raz jeszcze w wierszu Pauliny Braunówny:

„A hejm” — znaczy do domu.
„Curik” — znaczy z powrotem —
I chcę wyzłazić się komuś,
Wyplakać swoją tęsknotę,
„Curik” to znaczy wrócić
„A hejm” do swego domu
I już nie-trzeba się smucić
Bo zacznieś na nowo żyć.”¹¹

Czasami zdaje mi się, że jest jeszcze w Polsce takie miejsce gdzieś w Karpatach, w Galicji, nad Szczawniczkiem, z którego płynie cicha melodia kantyczki *Curik a hejm*. Zakłęta w glinie.

Sergiusz Sterna-Wachowiak

¹¹ Wiersze A. Włodka, M. Jastruna, C. Miłostza, A. Stonińskiego, T. Sarnackiego, P. Braunówny cyt. wg: *Pieśń ujdzie calo... Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką*, oprac. i wstęp M. M. Borwicz. Warszawa-Lódź-Kraków 1947, s. 211, 221, 123, 146, 144, 230-231. Wiersz S. Halkina w tłum. Z. Szepisa cyt. wg: *Antologia poezji żydowskiej (1868-1968)*, op. cit., s. 178.

ANTONI MAŚLIŃSKI

WILEŃSKIE ARCYDZIEŁA WCZESNEGO BAROKU

Przedziwne miasto. Arcydzieło architektury, urbanistyki i natury. Opasane dwiema rzekami Wilgą i Wilenką, które przecinają stare miasto w kotlinie malowniczymi zakrętami. Nowsze dzielnice, rozrzucone zabudowane domami-dworkami, głównie drewnianymi, tonącymi w zieleni własnych naturalnych parków-ogrodów, rozłożyły się na wzgórzach, przeważnie porośniętych starym, kosownym lasem. Gdy się wydaje na jedno z takich wzgórz, na Górę Trzykrzyżską, Górę Zamkową czy Rosę, widać, jak wznosi się z dołu las wieżycy kościelnych, a gdy dzwony się rozdzwonią, nie wiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęsknią tylko do nieba głos wznoszą... *Mile miasto, jedno z najpiękniejszych miast w świecie*. Przedziwne. Podobne do Rzymu. Również w kotlinie i na wzgórzach, również opasane rzeką. Podobny układ sieci ulicznej. Gdyby tak można miasto obrócić zgodnie z ruchem wskazówek zegara o 90°, to południowa część Wilna nałożyłaby się na zachodnią część Rzymu. I tak, idąc w Rzymie od kościoła św. Piotra na Watykanie ulicą Corso Vittorio Emanuele mijamy wczesnobarokowe arcydzieła Carla Maderny, kościół S. Andrea della Valle. Zupełnie tak samo w Wilnie idąc z Ostrej Bramy główną ulicą (dawną Wielką) przechodzimy koło kościoła ostrobramskiego św. Teresy, również arcydzieła przedstawiciela wczesnego baroku Constantina Tencalli, architekta właśnie z rzymskiej szkoły Maderny, arcydzieła godnego stanąć obok rzymskich pierwowzorów. Oba kościoły nie są orientowane: ich osie biegną po linii północ-południe. Ale gdy rzymski stoi zwrócony fasadą do małego placu przyległego do ulicy, wileński przylega wzdłuż do wąskiej ulicy Ostrobramskiej, a fasadą zamyka mały, trójkątny plac, utworzony z rozpoczynającej się ulicy głównej, w tym miejscu szerokiej i stopniowo się zwężającej. Podobne będzie usytuowanie następnej pary kościołów, które spotkamy w naszej wędrówce po tejże ulicy w Rzymie i w Wilnie, tylko odwrotnie: w Rzymie pierwszy kościół wczesnego baroku II Geniu jest usytuowany wzdłużnie wobec ulicy i zamyka fasadą jej rozszerzającą się część w formie trójkątnego placu, tak jak kościół Ostrobramski w Wilnie. W Wilnie również kościół wczesnobarokowy św. Kazimierza, dzieło Jana Prochowicza z r. 1604, wielki w skali monumentalny jak kościół św. św. Piotra i Pawła w Krakowie, stoi zwrócony fasadą do trójkątnego placu przylegającego do ulicy, zamkniętego z drugiej strony neoklasycysem ratuszem Gucewicza. Te cztery porównywane kościoły są nieomylnie usytuowane pod względem urbanistyki barokowej Rzymski II Geniu i wileński św. Teresy przy Kaplicy Ostrobramskiej stanowią monumentalne zamknięcie niewielkiego trójkątnego placu.

Przestrzeń w baroku nie jest bierna. Stężona ciasną zabudową zdaje się napierać na fasadę jak sprężona woda na zapórę. Zgodnie z III zasadą Newtona, spotyka się tu ona z kontrolną fasadą, odpierającą ciśnienie przestrzeni („Raumkörper” i „plastischer Körper” wg A. E. Brinckmanna). Oba „ciała” brylowe i przestrzenne są ze sobą w ustawicznym napięciu, również wewnętrznie budowli. Od tego napięcia sił, w tym również tektonicznych, ciśnienia i oporu, masy architektoniczne pętlarz się w górę oraz wylamują w przód i w głąb. Fasada kościoła św. Teresy jest najlepszą ilustracją tego prawa, a cały trójkątny placik wraz z ulicą Ostrobramską należy do najświetniejszych kreacji baroku.

Wspinała jest fasada wileńskiego kościoła św. Teresy. Zdaje się przewyższać rangą artystyczną najbliższą jej fasadą kościoła S. Maria della Vittoria (architekt G. B. Soria), a nawet Madernowską fasadą kościoła S. Susanna w Rzymie — wspólne źródło



Żydzi lubelscy przed II wojną światową. Repr. W. Stepien



Kościół św. Teresy w Wilnie.

inspiracji dla nich obu. Lepiej wyważony jest tu stosunek wysokości do szerokości obu kondygnacji. W S. Susanna obie kondygnacje są równie wysokie i prawie tak samo szerokie, co hamuje dynamikę belkowania — siły starczą się sił ciśnienia górnej kondygnacji i oporu dolnej — mimo ruchu przebiegającego przez belkowanie poziomo z obu jego krańców ku środkowi, a to dzięki znakomitej artykulacji belkowania. U św. Teresy wyższa i zdecydowanie szersza kondygnacja dolna, nabrzmiała słami tektonicznymi, przekazuje werbrany ruch smukłej i zwartej kondygnacji wyższej, gdzie następuje stępienie sił dynamicznych, nie napotykających oporu, który w S. Susanna stawia fronton zwieńczony balustradą. Maderna rozbudował porządku kolumnowe i pilastrowe w kondygnacji dolnej pięcioprzęsłowej i górnej trójpřęsłowej — Tencalla, twórcza kościoła św. Teresy, skondensował masy architektoniczne w trójpřęsłowej kondygnacji dolnej i jednopřęsłowej górnej. Tym samym Maderna dał prymat elementowi, genetycznie biorąc, klasycyzmu-greckim (choć oczywiście w rzymskiej interpretacji), Tencalla — barokowo-rzymskim. Dzięki temu fasadę kościoła S. Susanna przenika pewien chłód — fasadę św. Teresy technię ciepłem i życiem. Maderna przemówił pełnią środków plastycznych i dekoracyjnych, posuniętych aż do granic własnych możliwości i rygorów monumentalnego stylu — Tencalla okazał zadziwiające mistrzostwo w zdyscyplinowaniu i powściągliwości, gdzie każdy środek wyrazu artystycznego nadawany jest wielokrotnie większą siłą ekspresji. Rzec by można, w fasadzie S. Susanna rozbrzmiewa wielka orkiestra — w fasadzie św. Teresy

wybiera półczyny rytm tarasowy chwały organowego. Maderna skierował uskokowo narastający ruch ku przodowi — u Tencalli jedne siły dynamiczne prą do przodu, drugie w głąb, wciągając do wnętrza. Maderna wielokrotnie — w środkowym prześle aż trzykrotnie — powtórzył motyw frontonu — Tencalla poprzestął tylko na jednym frontonie środkowego prześła górnej kondygnacji, dolną zaś ukształtował jako łuk tryumfalny, gdzie w główną, okazałą arkadę komponował organicznie ożywiony, o szlachetnym rysunku, portal barokowy z kartuszem. Maderna miał do dyspozycji sprzyjający trawertyn, Tencalla — skromną cegłę i tynk, a tylko dla detalu i dla wpływów wolutowych — piaskowiec, za to dla portalu — barwny marmur, wykwintnie kontrastujący z całością fasady. Spływy wolutowe fasady kościoła św. Teresy nie tylko przewyższają także na fasadzie S. Susanna, lecz można je śmiało zaliczyć do najpiękniejszych woli w architekturze baroku w ogóle. Ich mała, spłaszczona pionowo, górna woluta przechodzi w „schodek”, skąd prawie pionowo spływa w dół, by się po krzywej dynamicznie a zarazem łagodnie zagiąć ku poziomowi, po czym po uskoku „schodka” przejść w dużą wolutę spłaszczoną, ale już poziomo, nabrzmiałą ściśnięciem swego ciała, wspartego od skraju obeliskiem, flankującym dolną kondygnację. Spirale wolutowe są do tego potraktowane tak, jak gdyby były wykute nie



Kościół S. Susanny w Rzymie.

kościół II Gęsu, o twardym profilu, ze zbyt wąską i wątlą siłą i zredukowanym ćwierćwałkiem, nadto przeciągnięty nad pilastrami bez załamany (bez gierowania). Główny zaś kościół S. Andrea della Valle, owszem piękny, również jak w naszych kościołach gierowane nad pilastrami i również wiecie wzorem antycznym, ale nieco za mało dynamiczny, zgodnie z mało dynamiczną strukturą systemu podporowego i ciężącego, jak wyżej wspomniano. A już chłód i znaczne osłabienie dynamiki daje się odczuć w kościele św. św. Piotra i Pawła w Krakowie, budowanym według jednego badacza pod wpływem kościoła II Gęsu, według innych pod wpływem kościoła S. Andrea della Valle¹.

Fascynującą nową budowę kościoła św. Teresy w formie przepełnionej kapliczkami zasługującą na bezczajną uwagę nie tylko jako element wchodzący w skład kompozycji stanowiącej analogię do kościoła Septimiusa Severa. Dają się tu zauważyć, podobnie jak w katedrze lubelskiej, związki genetyczne i z innymi monumentami antycznego Rzymu. Architektura rzymska świadczy o świadomości jej twórców, że masa muru w architekturze to nie tylko zło konieczne, ale i potężny środek ekspresji artystycznej. Według przeciwnych założeń kształtowanie budowle renesansowe, gdzie ściana jest tylko przegrodą, zaś szkieletowa konstrukcja gotycka ścianę wyeliminowała niemal zupełnie. Natomiast masa muru odgrywa dużą rolę w architekturze starożytnego Rzymu, romańskiej i barokowej. W umiędzynosi wznoszenia i artystycznego komponowania wielkich brył architektonicznych wyraża się rzymska *gravitas*, która jest jednym z najważniejszych czynników rzymskich luków tryumfalnych, termów, bazylik Maksencjusza i Konstantyna. Waleń masę odzwierciedla należąca do architektury baroku. W kościele barokowym filar nabiera masywności z tendencją do złączenia ze ścianą zewnętrzną w jedno, jakby budowa była wykuta z jednej, niepodzielnej bryły. Klasykiem przykładem jest kościół Ostrobramski w Wilnie, jak również katedra lubelska. Filary-ściany są jakby przepięte widłami osi podłużnej kościoła smukłymi odcieniami zamkniętymi półkolniami, tworząc amfildową komunikację między przestawkami kapliczki. Amfilda jest malownicza, o kontrastach światła i cienia. Nawigujące kułowo, wsparcie na lukach pionowe ściany, dzięki jednej kaplicy od drugiej, nie pozwalają na równomierne rozproszenie się światła. Jednocześnie występuje silne wrażenie progresywnego ruchu w dal. Zupełnie tę samą koncepcję architektoniczną przedstawia antyczno-rzymska Płascina Mirabilia, zachowana część Tabularium, pałac Septimiusa Severa na Palatynie, łepidaria termów, bazylika Maksencjusza — tu szczególnie widać, że wynika to z olbrzymiej szerokości jej nawy głównej (25 m) i z wielkiej długości każdego z jej trzech przełaz jak zazwyczaj w kościołach wczesnego i dojrzałego baroku na planie podłużnym i z wielkiej długości każdego z trzech przełaz ocalałych nawy bocznej: filar musi być odpowiednio gruby dla przeciwdziałania parciu tak szerokiego sklepienia. Wspomaga go w tym filar podporowy zewnętrzny w rodzaju skarpy. Analogiczne filary odporowe zewnętrzne o profilu spłaszczone w kościołach barokowych mają zatem swój prekursora w prawdopodobnie i gęściej w architekturze antyku. Antyczna gęstość układów bryłowo-przestrzennych w kościołach barokowych odnajdujemy w ruinach rzymskich, jak to wykazywałem w swoich pracach². ROMA QUANTA FUERIT IPSA RUINA DOCEAT.

Plan przed kościołami Ostrobramskim jest proporcjonalny do gabarytu budowli, organicznie zmniejszony poprzez wąską uliczkę Ostrobramską z kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej, będącą renesansowym wnętrzem jednej z bram wawelskich w pamięć murów miejskich. Mistrzostwo baroku widać w dwóch aspektach: organicznego kształtowania całości z elementów narastających z biegiem czasu i tworzenia dzieł monumentalnych tak w wielkim jak i w małym wymiarze.

Jak wspomniano, druga para kościołów wczesnobarokowych, ustawionych fasadą do ulicy rozszerzonej w formie placu, stanowią rzymski kościół św. Andrea della Valle i wileński kościół św. Kazimierza. Oba prezentują majestatycznie swe fasady w widoku frontalnym zgodnie z zasadą dominacji w estetyce baroku. Ale gdy fasady kościoła

S. Andrea della Valle w Rzymie z fasadą Ostrobramską kościoła św. Teresy w Wilnie są, chyba najwspanialszymi fasadami kościelnymi wczesnego baroku w Europie, fasada kościoła św. Kazimierza jest rosyjską pseudorokokową przeróbką z czasów zabobnych, gdy kościół był zamieniony na cerkiew. Toteż jako jej substytut w poniższej analizie wystąpi fasada kościoła św. św. Piotra i Pawła w Krakowie. Zbudował kościół krakowski architekt królewski Giovanni Battista Trevano w 1619 r., w stylu wczesnego baroku rzymskiego. Kościół św. św. Piotra i Pawła usytuowany jest pod względem urbanistycznym podobnie jak odpowiedniki rzymski i wileński. Wprawdzie pierwotna fasada kościoła św. Kazimierza jest odmieną od omawianych bezwzględnie bo jako fasada dwuwieżowa (jak to wyraźnie widać na obrazie M. Zaleskiego z czasów po pożarze kościoła w r. 1748—49, namalowanym przed rokiem 1755), wchodzi w grę w naszych rozważaniach, stanowiąc trzecią dominującą zewnętrznią kościoła barokowego³. Kościół krakowski projektował nie tyle kł, we współudziale chociaż nie projektanci kościoła II Gęsu, G. M. Bernardone, który też zaprojektował dzisiejszą katedrę w Lublinie w r. 1586, kościół w Neszwicu i kilka innych, a jego uczeń Jan Prochowicz (wel Frankiewicz) — wspaniały kościół św. Kazimierza w Wilnie w r. 1604 (jego kopuła, ołtarz i dwuwieżowa fasada, to arcydzieła późnego baroku r. budowane po pożarze w lat 1748—49).

Można by mniemać, że kopuła jest dominanta tak silną, że nie zmiesz drugiej, również silnej. Tak było w architekturze bizantyjskiej i w projektach klasycyzmu-renańsowskich, gdzie w układzie centralnym kopuła mogły być podporządkowane kopułki mniejsze. Tymczasem przy założeniu podłużnym kościoła druga dominanta była konieczna. Architekt baroku potrafił znaleźć drugą, również silną — i obie bezbiednie z sobą pogodzić (a jak zobaczymy później — i trzecią). Druga dominanta musiała być kompletnie inna, aby nie tworzyć dysonansu z pierwszą. Taką jest właśnie fasada, która ani z kopułą nie konkuruje, ani jej nie podlega. Obie są również silne, a — o dno — me rozbiągają jednolitość stylowej całości, co jest możliwe tylko u największych mistrzów w największych formacjach stylowych. Mało tego: istnieją w baroku kościoły również czyste stylowo i wybitnie rangi architektoniczne, które doskonale obywat się bez kopuły i transeptu, zachowując tylko fasadę jako jedną dominującą, np. kościół św. Teresy w Wilnie. Architektura baroku odznacza się wyjątkowo zawartością strukturalną. Toteż w kościele bez transeptu i kopuły można widzieć nie tylko uproszczenie (w wypadku skromnego zabytku) lecz i zamierzoną koncentrację wzmacniającą osiowość założenia (Longitudinalanlage) w wypadku arcydzieła. Nie trzeba bowiem zapominać, że w kościele II Gęsu, pierwszym kościele barokowym, pogodzony układ podłużny z centralnym o gęstce renesansowej, natomiast natchnieniem do założeń czysto podłużnych była bazylika Maksencjusza. Tu i tam os kierunkowa biegnie ku absydzie bez drugiej dominacji w postaci kopuły i trzeciej — w formie ramiion transeptu. W bazylice Maksencjusza w absydzie była stolica pretora, w kościele — ołtarz.

Budowa renesansowa na planie centralnym nie potrzebuje żadnego wybranego punktu widzenia — prezentuje się ona równie dobrze z każdej strony. Inaczej w baroku. Jak zanotował Chantelou w rozmowie z Viganim w Paryżu, który widział w urbanistycznej geometrii i perspektywie. Bernini podkreślał znaczenie dobrego oka, albowiem rzeczy wydają się me jakimi jakie są, lecz jakimi się wydają. Kościół S. Andrea della Valle prezentuje się w całej okazałości w widoku skośnym z przodu. Ze skośnego punktu widzenia jako kontrast do surowego korpusu tym bardziej wspaniale wznosi się majestatyczna, dwukondygnacyjna fasada u czoła kościoła, gdy kopuła jak korona wieńczy go od góry. Fasada i kopuła, gdy się sąb sprężone na osi, dają również piramidalny efekt w widoku frontalnym. Wtedy w coraz to innym aspekcie zachodzi współgranie ze sobą fasady i kopuły w miarę zbliżania się do kościoła: z daleka kopuła jest spogiem kościoła, jak gdyby jego była miała założenie centralne; z bliska dzięki skłonom perspektywicznemu tambur kopuły chowa się za fasadą, a szczerza kopułę, zalewając tylko czołowe widoczne, mając w obec fasady i zatracając rolę drugiej dominacji, kieruje nasz wzrok jednocześnie wyżej i wzdłuż kościoła, wzmagając wrażenie, że kościół potężnie i rośnie!⁴.

To, co tu napisano, odnosi się do kościoła św. Kazimierza. Albowiem jego usytuowanie urbanistyczne jest podobne, jak wspomniano, do kościoła S. Andrea

¹ A. Bockacki: *Kościół św. Piotra i Pawła w Krakowie i jego rzymski poprzednik oraz architekt królewski Jan Trevano*. „Prace Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności”, t. 9 (1948). Bockacki widział plany tego kościoła w katedrze S. Andrea della Valle, natomiast A. Malinowski — w kościele II Gęsu (Katedra św. Piotra i Pawła w Krakowie — *Stary Kraków i problem odnowienia*. „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prace z Historii Sztuki”, 1947, t. 3, s. 7).

² Por. A. Malinowski: *Kościół poprzednik w łublinie (katedra) ma tak problematyczny architektoniczny historyczny*. „Roczniki Humanistyczne” t. 2/3 (1953).

³ M. Marcondes: *Znaczenie baroku wileńskiego XVIII wieku*. Wilno 1940. Na podstawie autorstwa.

⁴ Por. A. Malinowski: *Humanizm w sztuce od ok. s. 123-129*.

della Valle w Rzymie i w mniejszym stopniu do kościoła św. św. Piotra i Pawła w Krakowie (mały plac prostokątny ale brak drugiego placu trójkątnego, przechodzącego w ulicę). Podobnie jak krakowski monumentalny i wielki w skalę, z transeptem i kopułą, ale jednokolumnowy z głębokimi przelami kaplicznymi, bez tunelowych przebiegów w filarach-ścianach. Gdy wileński jest czysto wczesnobarokowy, krakowski jest wczesnobarokowy z cechami mamezystycznymi. Monumentalna fasada krakowska, wykonana z piaskowca, według projektu Trevany, z fundacji Zygmunta III Wazy, w stylu projektu Vignoli do kościoła II Gesu w Rzymie, gdzie stanął w samym Rzymie. Nie wiemy, jak wygląda pierwotna fasada i kopuła kościoła św. Kazimierza w Wilnie (naturalnie wczesnobarokowa sprzed pożaru, po którym wzniecono genialną dzisiejszą kopułę, także ołtarze, które szczególnie przetrwały do dzisiaj i wspaniałą, dwużwiową późnobarokową fasadę, widoczną, jak wspomniano, na obrazie M. Zaleskiego, przeobrażoną w czasie zaboru rosyjskiego na cerkiewną fasadę pseudo-rokokową przez Czajnika, która istnieje do dzisiaj). Głównym wieściadłem nawiązującym do rzymsko-josińskiego, czy tym profila, co nieco plaskie i nie aż tak świetnie i majestatycznie jak w katedrze lubelskiej, czy nawet w krakowskim kościele św. św. Piotra i Pawła. Również kapitele nie są autentyczne, jakoby wykonane przez inż. Narębskiego przed wojną w miejsce pierwotnych, zniszczonych w czasie niewoli Polski.

Idąc tym samym traktem, mijamy przed kościołem św. Kazimierza dwie cerkwie, stojące naprzeciw siebie ale odmiennie od ulicy: z prawej strony cerkiew i monaster św. Ducha, z lewej — cerkiew św. Trójcy i klasztor Bazylianów. Słusznie pisze Juliusz Kloś: *że murowana cerkiew, wzniesiona w 1638 r., w planie, układzie i kompozycji była powtarza wiernie typ kościoła jezuitów, zainicjowany w Wilnie kościołem św. Kazimierza. Cerkwie łącząci dwóch naw, główną i poprzeczną, wieńczącą wielką kopułą na ich skrzyżowaniu, nawy boczne wypełniające plan do prostokąta, podzielone na osobne kaplice, oraz dwie nieduże wieże w fasadzie frontowej świadczą o tym wpływie kulturalnym, jaki wywierała wówczas sztuka polska na rosyjską. Cerkiew po pożarze w 1749 r. została odrestaurowana, zyskując bogatą ornamentację sztukową wnętrza oraz potężny wielki ikonostas w duchu wybitnie rokokowym o charakterze polskim, nawet obrazy umieszczone w ikonostasie nie odradzają w swej technice i interpretacji ducha bizantyzyzmu. Jest to fakt tym bardziej zastanawiający, że cerkiew ta nigdy nie była w rękach uniów, lecz stanowiła główne ognisko kościoła wschodniego W. Ka. Litewskiego¹¹. Ikonostas, w typie wileńskich ołtarzy późnobarokowych, średniej rangi artystycznej, jest dziełem Jana Krzysztofa Glaubitza (vel Glaubitza).*

Cerkiew św. Trójcy ufundował w 1514 r. książę Konstanty Ostrogski, hetman wielki litewski jako votum dziękczynne na zwycięstwo nad Moskwą pod Orszą. Pierwotnie gotycka zachowała do dziś założenie trójnawowe halowe i trzy absydy półkoliste typu wschodniego. Zygmunt III przekazał w 1608 r. cerkiew i klasztor uniickim Bazylianom. Przebudowana po pożarze z 1748 otrzymała dwie piękne i smukłe wieżycy rokokowe (razem z dwiema małutkimi wieżyczkami-sterzeniami przy fasadzie od zachodu cerkiew ma cztery wieże) i okazałą bramę późnobarokową¹², którą zbudował Glaubitz. W tym klasztorze był więzien Filarci, Mickiewicz, uczestnicy Powstania Listopadowego z r. 1830-1831, więziony był tu również w latach 1838—1839 Szymon Konarski, i stał zasadz wyprawdany na straconie¹³. Tu też znajduje się cicha Konrada, w której ścianie przed wojną umurowano tablicę z inskrypcją z *Dziadłom* cz. III

D. O. M.
GUSTAVUS
OBIIT M. D. CCC. XXIII
CALENDIS NOVEMBRIS
HIC NATUS EST
CONRADUS
M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

W tej sali była siedziba Oddziału Wileńskiego Związku Literatów Polskich. Obydwali w tej także sylene Środy Literackie.

W bliskim sąsiedztwie na zachód od kościoła i klasztoru Bazylianów widnieje trójkątny plac, zwany Bosackim, od stojącego tam niedługi kościół św. Józefa Oblubienca wraz z klasztorem Karmelitank Bosych, *zburzonego doszczętnie przez Moskali w 1878 r. Kościół ten, zbudowany przez Stefana Krzysztofa Pacu w 1638 r. w pobliżu kościoła Wszystkich Świętych, odznaczał się, jak wnosić można: z dawnych rysunków i fotografii, bogatą i dobrze skomponowaną fasadą główną w duchu kwintego haroku¹⁴. Uzupełniają powyższe dane zaczerpnięte z publikacji zasłużonego badacza i konserwatora, Juliusza Kłosa, profesora Uniwersytetu Stefana Batorego, wypadają tylko wobec mecenichów jeszcze wtedy kryteriów stylowalnych skorygowane, że fasada nie jest tu „w duchu kwintego haroku” lecz w stylu wczesnego baroku Monumentalna, czysta stylowo, o wysokiej randze artystycznej, jest tak pokrewna fasadzie kościoła św. Teresy, że wolno również i ten kościół zwać się C. Tencalla tym bardziej, że ten sam jest zakon i te same lata powstania*

Tuż obok stoi kościół Wszystkich Świętych, doskonale ustygowany pod względem urbanistycznym. Stoi bowiem mimo ciastoży zabudowy staromiejskiej fasadą przy wąskiej uliczce, ale widoczny z dwóch innych uliczek, prostopadłe do niej wybiegających. Kościół wzniesiony w 1620-1631 r. z fundacji Wojciecha Chłudzińskiego, sekretarza królewskiego, wraz z klasztorem Karmelitów dawnej reguły, o planie trzynawowym typu bazylikowego, z jedną wspaniałą wieżą dostawłą do boku kościoła, jest ciekawym zabytkiem wczesnego baroku, pokrewnym kościołowi św. Teresy. Układ planu, krystalizujący się naowczas w typ state półkolei stonawowy, wraz z nawami bocznymi, podzielonemi ścianami poprzecznymi na osobne kaplice, i sklepienie bezczłowe nawy głównej, z rozłomkowaniem parzystymi pilastrami, odznacza się dohermi a ścianami na owe czasy proporcjami. Architektura zewnętrzna i wewnętrzna, poważna, pompatyczna, o energicznie modelowych szczegółach, opartej byłymi prostymi i mocnymi. Wiedza, odnowiona po pożarze w XVIII w. (wg Mariana Murawskiego z ok. 1743 r.): *ukończona jest pięknym hełmem rokokowym, przypominającym żywą dzwonicę Świętojańską. Na szczytle fasady frontowej umieszczone są posągi św. Elżyny i Elżbiety. Wnętrze kościoła, niewymiejęnie odnowione w 1904 r., robi wrażenie prześladowania jaskrawością sztucznych marmurów i polizoli, posiada 18 ołtarzy bez większej wartości artystycznej¹⁵. I ten kościół można wiązać z Tencallą ale tylko pośrednio, i z jego warsztatem. Jest on wyraźnie słabszy artystycznie. Jego fasada jest bardzo zbita — rzecz zniemia — do fasady kościoła Dominikanów w Wiedniu, który projektował Carlo Porro Tencalla. Kamień węgielny położono w 1631 r. w obecności cesarza Ferdynanda II i nuncjusza papieskiego Cinco Roccio. W stanie surowym kościół był ukończony w 1634 r., ale z powodu wykrytej słabości fundamentów budowa przedłużała się do 1682 r.¹⁶*

Wileński kościół Wszystkich Świętych nie dorównuje kościołowi Ostrobramskiemu św. Teresy, jak kościół wiedeński nie dorównuje kościołowi Ostrobramskiemu św. Teresy w Wilnie, ani fasadą, ani wnętrzem. Fasada kościoła wiedeńskiego jest wyraźnie wzorowana na fasadzie kościoła S. Maria della Vittoria w Rzymie, ale zbudował ją architekt Giovanni Battista Soria w latach 1624—26. Kościół był poświęcony pierwotnie św. Pawłowi. Wzwanie zmieniłono na pamięć ródzawu cesarstwa powstania narodowego wraz z ruchem husyckim pod Białą Górą przez wojska habsburskie Ferdynanda II w 1620 r. Jak wiadomo pomógł w tym Habsburgowi król Zygmunt III Waza, posyłając mu oddział Lisowczyków, których zabrakło akurat w tym roku Żółkiewskiemu pod Cecora¹⁷.

Wracamy na nasz szlak królewski, którym mijamy ogromny gotycki kościół, zafundowany przez Władysława Jagiełłę w 1387 r. (pierwotnie drewniany, później murywany gotycki, konsekrowany w 1427 r. przez biskupów kujawskiego i płockiego), darowany Jerolimowi przez Zygmunta Augusta w 1571 r. Stan dzisiejszy kościoła z jego genialną kompozycją 10 ołtarzy w ogromnej przestrzeni przebiturion o dwóch szczytach przestrzennych w związku z ambitem kościoła, stanowiącym unicum w Europie, z wspaniałą fasadą zachodnią i jeszcze świetniejszą wschodnią, przepięknym ogromnym organami (przy których organistą był Stanisław Moniuszko), pochodzi z okresu

¹¹ J. Kloś: *Wilno. Przewodnik krajoznawczy* (Szkic monografii na terytorium architektonicznym). Wydawnictwo Wileńskie, 1929, s. 185, 186.

¹² J. Kloś, op. cit., s. 181.

¹³ J. Kloś, op. cit., s. 182-184.

¹⁴ J. Kloś, op. cit., s. 80—191, 192.

¹⁵ J. Kloś, op. cit., s. 192, 193, 194; Murawskiego: *Znaczenie* t. 1, op. cit.

¹⁶ *Der Jesuiten: Basilika der Dominikaner*, w: *Der Jesuiten*, 1957.

¹⁷ *Roma e dintorni*, Milano 1950 R. Winkler: *Art and Architecture in Italy 1600—1750*, London 1958.

późnego baroku po pożarze kościoła w 1739 r. Fasada zachodnia zamyka główny dziedziniec (jeden z pięciu ważniejszych dziedzińców) im. ks. Piotra Skargi Pawęskiego, pierwszego rektora Akademii czyli Uniwersytetu założonego przez króla Stefana Batorego w 1578–79 r. W pobliżu znajduje się alumnat papiecki, którego piękny, arkadowy, trójkondygnacyjny dziedziniec z 1622 r. jest wzorowany na głównym dziedzińcu Uniwersytetu. Idąc dalej tą samą ulicą dochodzimy do placu katedralnego, na którym stał dolny Zamek Królewski z kościołem zamkowym, który był i znowu jest katedrą wileńską. I znowu podobnie jak w Rzymie dojdziemy do II Giesu, na piazza Venezia, na Kapitol, który jak wileński plac katedralny i zamkowy jest sercem miasta. Spod fasady katedry wileńskiej biegnie w kierunku zachodnim pod kątem prostym do starego szlaku nowa arteria z 2 połowy XIX w., ul. Adama Mickiewicza, zaś w Rzymie od Kapitolu i Piazza Venezia przepływa na północ (jak pamiętamy przy założeniu o teoretycznym obrocie Wina o 90° nalażą się na siebie sześć głównych arterii Rzymu i Wina) za Sykustusa V w XVI w. prostą arterię via del Corso — w obu miastach bulwar spacerowy.

Dolny Zamek Królewski (wzrósł wraz z zamkiem na górze Zamkowej całością części obroną była sprężona z ciężkiej rezydencjalnością. Górny, średnowieczny, pierwotnie drewniany, później murawany, gotycki, z I poł. XV w. został przez zaborców rozebrany wraz z dolnym. Obu zamki przedstawiają się imponująco na sycyżu dnie la Brauna i Hogenberga z 1576 r., na ogromnej przestrzeni od dzisiejszej katedry (wtedy kościoła zamkowego, ufundowanego przez Jagellów wraz z kościołem św. Marcina w 1387 r.), aż do rzeki Wilni. Na litografii Przybyskiego i akwareli Smuglewicza z r. 1800 oraz wileńskiego widać wspaniały zamek renesansowy wielkości i rangi zamku na Wawelu i attyką wieńczącą mur. Budowali go ci sami architekci co zamek na Wawelu, również kościół zamkowy i t. katedrę. Z monografii katedry pisał ks. pralata J. Kurczewski, natychmiastowo kaznodziei, który zmarł na katedralnej ambonie, i publikacji Wł. Zahorskiego wiemy o umowie z 1534 r. między kapitułą a Bernardem Zenobii z Rzymu, architektem i Janem Cmi ze Sieny, rzeźbiarzem na przebudowę świątyni (z gotyckiej na renesansową). Musiano ją ukończyć w r. 1555, gdyż odbywał się w niej Synod. W drugiej przebudowie, w latach 1610–1617, przekształcono katedrę na barokową. Wreszcie w latach 1777–1788 Wawrzyniec Gucewicz, studenta Stanisława Augusta Poniatowskiego, po studiach w Rzymie i w Paryżu, przebudował katedrę w stylu neoklasycznym, który ma wszelkie cechy empiru, a jest od niego o całe ćwierć wieku wcześniejszy — jak napisał Władysław Tazarkiewicz.¹⁴

Gucewicz oszczędził jednak szereg wcześniejszych kaplic, w tym archydale: kaplicę św. Kazimierza. Nadto budował jako pendani do niej zakrytą w północno-wschodnim narożniku katedry. Z fundacji króla Zygmunta III jego nadworny architekt Constantino Tencalla zbudował kaplicę św. Kazimierza w latach 1624–1636, ukończoną już za Władysława IV. Tam go pochowano a później króla Aleksandra, drugi żony króla Zygmunta Augusta: Elżbietę z Habsburgów i Barbarę Radziwiłłową oraz serce króla Władysława IV. Gdy w 1931 r. webrana Wilna zagrożona bazylicą, przystąpiono po konflikcie się powodzi do wzmocnienia jej fundamentów. (Najgrubsze sony podpierające potężne kolumny portyku wyglądały przy nich jak zapalki). W trakcie prac, nadzorowanych przez ówczesnego konserwatora na dwa województwa: wileński i nowogródzkie, Stanisława Lorentza, późniejszego profesora Uniwersytetu Warszawskiego, odkryto prochy królewskie. Przeprowadzono wszechstronne badania pod kierunkiem prof. Juliusza Kłosa, dokonano fotografii i rysunków o prof. Ferdynand Ruszczyk, dziekan Wydziału, namalował oczekując królewskie i regalia znajdujące się w krypcie. Prof. St. Lorentz sporządził opisową inventaryzację. Inż. Stefan Narębski zaprojektował trzy przewidywane lokalne monumentalne katafalki, na których spoczęły w urnach szczątki królewskie i urna zaprojektowana przez prof. Jerzego Hoppę z sercem Władysława IV. Urny spowito biało-czerwonymi draperiami, ozdobiono Orłem Rzeczypospolitej i herbami królewskimi. W obecności najwyższych przedstawicieli władz RP, województw, miejskich, uniwersyteckich, wojskowych i społeczeństwa arcybiskup metropolita wileński Romuald Jałbrzykowski z udziałem biskupa sufragana

na Kazimierza Michalkiewicza i Kapituły Bazyliki odprawił uroczyste nabożeństwo.¹⁵

Architektura kaplicy św. Kazimierza, fundowanej przez Zygmunta III, ukończonoj przez Władysława IV, jest par excellence rzymską, jak rzymski jej kościół św. Teresy. Rzymskość kaplicy pojawia się na ścianie zewnętrznej okazała marmurowa tablica erekcyjna, zwieńczona kartuszem z godłem Rzeczypospolitej; w tarczy herbowa dwia Orły i dwie Pogonie, skomponowane na krzyż. Uroczysta inskrypcja zaczyna się od słów: DIVO CASIMIRO... etc nec nec SANCTO, lecz jak na ulku Tytusa w Rzymie: SENATUS POPULUSQUE ROMANUS — DIVO TITO — DIVI WESPASIANI FILIO — VESPASIANO AUGUSTO. Humanizm emajuje już z tekstu inskrypcji, wyrzutej klasycystą antyką, tak jak i formy architektonicznej i plastycznej, zwłaszcza wewnątrz kaplicy. Wewnątrz na fryzie rzymskie orły z rozpostartymi skrzydłami, takie same jak na cokole kolumny Zygmunta w Warszawie. Wnętrze marmurowe, surowe. Szlachetnie rozczłonkowane jońsko-diagonalnymi pilastrami z kolorowego marmuru, dźwigają belkowanie z marmuru kolorowego, na nim surowy gzyms w porządku rzymsko-doryckim (lubione zestawienie porządków u Tencalli). Nad okazałą arkadą wieńczącą balkon z balustradą, wsparty na monumentalnych konsolach, jak chór organowy w kościele św. Teresy. Wspaniałe konsole są z białego marmuru, tak ja i cwikle nad arkadą, obramienia paneauz dekoracyjnych i tympanony nad niszami. Z balkonu królowie-lukłuchi Mszy, był on bowiem połączony korytarzem z zamkiem Przepiękna ściana ołtarzowa późniejsza, z 2 poł. XVII w., w stylu baroku dojrzalego, przedstawiająca Matkę Boską z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów nad srebrną trumną z relikwiami św. Kazimierza, wykonaną w technice reliefu wypukłego, w białym marmurze surowym, dzieło prawdopodobnie Perettiego stanowi bicia najwspanialsze archydale w jego oeuvre. Na ścianach bocznych kaplicy znajdują się dwa wielkie obrazy. Przedstawiają: jeden otwarcie trumny św. Kazimierza, drugi — cud przed trumną Świętego. Namalował je Michelangelo Palloni, najwybitniejszy malarz w Polsce XVII w. szkoły weneckiej, również przypuszczalnie obrazy na pendentywach pod kopułą, z których jeden przedstawia apoteozę św. Kazimierza z inskrypcją na wstęgu wznoszącej się sprzed jego ust OMNI DIE DIC MARIA, na drugim pendentywie Święty z inskrypcją CASTIGO CORPUS MEUM, na dwóch pozostałych — malowidła Franciszka Smuglewicza.

W przeszło sto lat po kaplicy Zygmunto-wskiej w katedrze na Wawelu stanęła w drugiej stolicy Rzeczypospolitej kaplica św. Kazimierza w katedrze wileńskiej. Obie są najwspanialszymi kaplicami w architekturze polskiej i obie mogą konkurować z najwybitniejszymi kaplicami renesansowymi i wczesnobarokowymi Italii. Krakowska przewyższa niejedną z włoskich kaplic, figurując w zagranicznych podręcznikach europejskiej historii architektury, np. kaplicę S. Eulalio w Mediolanie. Wartość wileńskiej nie doczekała się jeszcze zasadniczej analizy a zwłaszcza oceny.

Szczegółowe rozpatrzenie tego zagadnienia rozłożyło się do rozmiarów oddzielnej monografii, poprzedzamy więc tu na ujęciu syntetycznym postępowania dowodowego. Otóż luk triumfalny jest czystnie napięty w kompozycję bytowo-przeźrzną kaplicy św. Kazimierza. Naturalnie mutatis mutandis w stosunku do kościoła barokowego o założeniu podłużnym przetrzała ją i skondensowana. Mimo tego luk triumfalny w kaplicy św. Kazimierza jest wyraźnie zaznaczony w portalu, zwłaszcza w jego stronie wewnętrznej. Również w artykulacji trzech ścian pozostałych: ściany ołtarzowej i dwóch ścian bocznych z obrazami Palloniego. Analogicznie do kaplicy Zygmunto-wskiej, choć bez motywu arkad, zgodnie z wstęgiem środkowe każdej szalowania arkadami w odróżnieniu od renesansu. Za to prosta kolumna do bocznych ścian w obu kaplicach rozczłonkowane pilastrami, szerokie w stosunku do bocznych wąskich, są z kaplicy wileńskiej wydane głębokie, symbolizując element

¹⁴ St. Lorentz: *Album wileński*, Warszawa 1964, s. 97 i n. Kilka malowideł i krytykę królewską zob. w pracy M. Morawskiego: *Odprawy wileńskie*, *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).

¹⁵ W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy mówią o ujęciu w „K” — o nienależności rzeźby stojącej w jej ścianie (zobaczono jej sądnę rzeźbę) i wyrażenie: Otóż dwiema z Janem Odliz z Mediolanu przy pomocy 100 M. Morawskiego. Odprawy wileńskie. *Alma Mater Vilnensis*, t. 10 (1937).
W tekście niniejszym rozprawy

DOROTA KUDELSKA

Malczewski i Matejko w Przemyślu

Wystawa dzieł Jacka Malczewskiego ze zbiorów Lwowskiej Derzawnoj Kartnono Galereji w Muzeum Narodowym w Przemyślu (listopad 1987), była miłym krokiem w przetrwaniu sztucznej izolacji wprowadzonej przez powojenny układ granic między Polską i ZSRR. Wielowiekowe wspólnoty i powiązania geograficzne, gospodarczych i kulturalnych tych dwu, niepodległych przecież miast, nie ma potrzeby w tym miejscu uzasadniać. Natomiast ciągle niejasne pozostają, szczególnie dla młodszych pokoleń, zasady podziału dóbr kultury (tuż przed i po 1945 r., oraz powody dla których niedostępne były nie tylko same obiekty, ale także katalogi i wszelkiego rodzaju informacje o i oścanie nie zawsze zaginionych dzieł. O tym literatury miłej i próżno by szukać obustronnemu inwentarza sporządzanego już w spokojnych czasach ku obustronnemu pożytkowi naukowemu. Informacja nie musi zakładać rewindykacji.

Niektóre wystawy organizowane przez polskie muzea obejmowały czasem także ekspozycje przyporządkane w ZSRR, ale nie istniała dotąd tradycja stałej naprzemiennie prezentacji zbiorów. Jeszcze kilka lat temu nie można było nawet przypuszczać, iż wreszcie szeroka polska publiczność muzealna będzie mogła po raz pierwszy zobaczyć tych obrazów swoich rodaków, które zrzędzącemu losu pozostały po drugiej stronie granicy.

Współpraca między Przemyślem a Lwowem jest bardzo dobrym przykładem nawiązania zerwanych niegdyś kontaktów. Nie wszystko było od początku organizacyjnie dopracowane, czasem w arbitralności decyzji dźwięczą jeszcze niedawne przywyczajenia, ale pierwszy krok został zrobiony.

W tej chwili (lipiec 1989 r.) trwa w Przemyślu wystawa rysunków i szkiców Jana Matejki ze zbiorów galerii lwowskiej. Siłona polska pokazała już w Lwowie wystawę plakatu muzealnego i wystawę ikon. Niedługo zaś wyspedkuje trwająca obecnie w Przemyślu wystawa dziesiętnastowiecznego stroju kobiecego obejmująca także dodatki i przybory toaletowe (w części ze zbiorów muzeum w Rzeszowie).

Prezentacja prawie trzydziestu obrazów Jacka Malczewskiego wzbudziła dodatkowe zainteresowanie inicjatywą dorocznej wymiany. Od pamiętnej monograficznej wystawy poznańskiej w 1968 r. trwa renesans zainteresowania twórczością tego artysty. Dowodem tego były wpisy do Księgi Pamiątkowej — wiele osób przyjechało z najodleglejszych krańców Polski by ją obejrzeć. Podobnie było w Rzeszowie, dokąd wiosną 1988 r. przeniesiono całość wzbogacając o kilkanaście obrazów.

Sporoś dwudziestu dziesięciu obrazów prezentowanych w Przemyślu pomieszczonych w dwu salach (właściwie w sali i salku), większość nie była dotąd reprodukowana ani omawiana w literaturze. Pochodzą one zapewne z przedwojennych zbiorów prywatnych. Malczewski będąc poddany rosyjskim wybrał Galicję i spędził w zaborze austriackim większość swego życia. W samym Lwowie i wokół niego „okolicach” miał wielu przyjaciół i mecenasów, dla których i u których malował w różnych technikach obrazy sztalugowe, supraporty, bajki dla dzieci itp. Kilka z prezentowanych płócien można było znaleźć w reprodukcji czarno-białych, ale nie zawsze autorzy książek podawali informacje o pochodzeniu zdjęcia i obecnym miejscu pobytu obrazu. Tak było np. z zaskakującą rozwiązanią ikonami kolorystycznym portretem Małgorzaty i Karola Lanckorońskich reprodukowanym jedynie przez

Jadwigę Puciata-Pawłowską w monografii *Jack Malczewski* (Wrocław 1968 r.). Nie spodzianek było więcej, szczególnie wśród płócien z wczesnego okresu twórczości kiedy artysta zafascynowany był tematyką ludową. Znamy stosunkowo niewiele tych obrazów, w których sposób opisu rzeczywistości skupia się wyłącznie na zewnętrznych barwach i kształtach osób, przedmiotów i wydarzeń. Nic nie wskazuje w nich na jakiegokolwiek poszukiwania tajemniczej strony bytu, której przywykliśmy szukać w jego późniejszych obrazach. Podpis pod obrazami (zmienione w trakcie trwania wystawy na polskojęzyczne) często huźrzyły wątpliwości. Szczególnie przy obrazach o tematyce religijnej atrybucje były niedokładne (np. *Maika Boska* w pierwszej sali). Wyjątkowo dużych rozmiarów portret podpisany *Portret kobiety* przedstawiał Marię Kingę Bakową, wielokrotnie porzucając Malczewskiemu do obrazów (choćby do wiszącego niedaleko *Autoportretu z macą trzymającą berło i serce*).

Niedostępnymi informacjami o datach powstania, technikach wykonania zawieszenie i przekształcenie przy złym oświetleniu, z pięknych secesyjnych żyrandoli, w dużej mierze utrudniało oglądanie i o pochodzeniu obrazów ma ponoć w pełni zaspokoić katalog. Lwów zastrzegł sobie opracowanie merytoryczne, pozostawiając stronie polskiej wykonanie fotografii i edycję. Mimo potrzeby wykonania kolorowych reprodukcji dobrej jakości zezwolono tylko na czarno-białe fotografie. Wszystko jest już gotowe, ale przeciągając się targi o cenę druku i papieru dobrej jakości. Wciąż rosnące koszty mogą nawet doprowadzić do wydania katalogu w minimalnym nakładzie. Byłaby to wielka szkoda, bo już w czasie ich wystawy zaczęły napływać pierwsze zamówienia indywidualne i od instytucji związanych z kulturą i sztuką.

Obecnie trwa (od czerwca 1989 r.) w Przemyślu wystawa rysunków, szkiców i obrazów olejnych Jana Matejki ze zbiorów lwowskiej galerii. Czerdzieste dwa obiekty zajmują te same dwa sale muzeum. W pierwszej większość stanowią szkice i ukończone obrazy olejne, w drugiej zgromadzone rysunki ołówkiem i tuszem. Dla widza przywykłego do często reprodukowanych „historycznych machin” Matejki zaskakujący jest brak dużych formatów i odmienność tematyki. Wiszą tam portrety, pejzaże morskie spod Konstantynopola, widoki rodzime, obrazy religijne oraz szkice z wczesnych faz pracy nad obrazami historycznymi, które piętami linii i barwnych plam przypominały obrazy abstrakcyjne. Ta wystawa pokazuje warsztat malarstwa i rysunkowy Matejki. Nie nie odciąga tu uwagi widzów od zawyżają pomijanych drobiazgów. Zwracają na siebie uwagę szczególnie ołówkowe portrety męskie, wśród nich zaś autoportret Matejki z 1873 r. (został wówczas dyrektorem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych). Świeżość i energia bijąca z tej młodej jeszcze twarzy — miał wówczas 35 lat — nie zapowiadają w niczym późniejszych wierunków przedwcześnie postarzałego artysty. Wszystkie rysunki i portrety ludzkich uwidacznają pewność ręki i zmysł obserwacji autora. Cienka, wydobywająca ostre załamania linia z bliska okazuje się mieć rozrzedzane brzozy, jakby złożono się na nią setki minimalnych ruchów. Ciekawe są także widoki Wisznie: ujęcia zamku z różnych punktów widzenia dowodzą, że artysta potrafił sobie poradzić z perspektywą, czego mu czasem krytycy odmawiali.

Nie jest to wystawa spektakularna, nie obejmuje dzieł, które określić można jako reprezentacyjne, ale z pewnością warto ją zobaczyć — to Matejko inny niż zwykle. Szkoda, że nie przysłano wszystkim zapowiadającym uprzednio prac min. portrety dzieci artysty, szkiców do projektu wystroju auli Politechniki Lwowskiej oraz kilkunastu innych szkiców.

Katalog tej wystawy ma być opracowany w ten sam sposób, co poprzednio. Lektura przygotowanego przez stronę radziecką tekstu budzi jednak pewne wątpliwości merytoryczne. Konieczność ograniczenia objętości tekstu nie usprawiedliwia braku informacji podstawowych i przesławiania akcentów w zdaniach opiniujących. W niektórych nie ma ani słowa o rodzajowe tego rodzaju malarstwa i o geograficznym i historycznym kontekście sztuki Jana Matejki. Pominięto milczącym poartystycznym działaniom i patinatywnie miarę jego sztuki. A przecież to właśnie jego reprezentacja Polaków z trzech zaborów wycięła na Wawelu berło Ententy. Jedne zdanie dotyczące recepcji dzieł i związków Matejki ze Lwowem brzmiało: *Zainteresowanie twórczością Jana Matejki we Lwowie pojawiło się jeszcze za życia artysty. Nie wspomniano też o polemikach i krytyce tego malarstwa, jaka miała miejsce za życia*

Matejki. Omówienie powojennych losów obrazów sprowadza się do wymienienia zbiorów, z których pochodzą (kolekcje hr. Potockich, hr. Dzieduszyckich, hr. Dunin-Borkowskich i Muzeum im. XX Lubomirskich) bez szczególowej identyfikacji oraz przypomnienia jubileuszowej wystawy lwowskiej z 1963 r.

Być może dokładniejsze informacje znajdują się w metryczkach przy poszczególnych reprodukcjach, ale wstęp nie napawa optymizmem. Budzą się też wątpliwości i obawy o zawartości katalogu z wystawy Jacka Malczewskiego. Obrazy Matejki, w sensie przedmiotów, i tak musiały więc szczęścia — wszystkie mają nowe lub stare ramy w dobrym stanie i są oszklone. Obrazy Malczewskiego przechodziły, jak się wydaje, gorsze koleje losu. Ramy świadczyły o pochodzeniu z kilku kolekcji, nowe były zwykłymi nie dopasowanymi listewkami przybitymi wprost do płócien. Całość tak upstrzyły muchy, że tego właśnie musiały dotyczyć pierwsze wymieniane między zwiedzającymi zdania. O wszystkie te sprawy można w prosty sposób zadbać — ocyścić obiekty i skonsultować teksty. Szczegóły też są ważne!

Uchylenie furtki, dotąd uczelnie zamkniętej, budzi nadzieje na współpracę. Warunkiem jej powodzenia jest równouprawnienie i zasada kompetencji naukowej. Na razie — i nieszło to początek — okazało się, że zmiany zachodzą nie tylko na papierze, a możliwość oglądania bynajmniej nie uszczupla zbiorów muzycznych.

Dorota Kudelska

muzyka

WITOLD RUDZIŃSKI

Notatki z życia muzycznego w Wilnie i na Wileńszczyźnie w okresie dwudziestolecia międzywojennego

Po powstaniu styczniowym Wilno zostało poddane intensywniej rusyfikacji, szczególnym szykanom ulegała kultura polska. Po wyjeździe Moniuszki do Warszawy w r. 1858, przez pewien czas muzyka w Wilnie jakos wegetowała, później uległa szybkiej degradacji. Wilno stało się w muzyce ośrodkiem trzeciorzędnym, skazane na dorywcze koncerty i i prywatnych nauczycieli. Odbываły się wprawdzie przedstawienia operowe (chyba niezbyt systematycznie), grwaną nawet *Halkę*, ale po rosyjsku. W czasie mego pobytu w Wilnie wiosną 1989 r. oglądałem w Archiwum Literatury i Sztuki (Literaturos ir Meno Archivas) materiał orkiestrowy czteroaktowej *Halki*, zaadaptowanej przez Moniuszkę do warunków orkiestry wileńskiej. Na głosie instrumentów blaszanych znalazłem taki dopisek ołówkiem: *grali ta opera po Rusko (!) w Wileńskim Teatrze 1883 roku 18 Decembra w benefis Laryzinej* niżej podpisy muzyków: Obiccanowski i Pakczewski. Na głosie trąbki Es rosyjski dopisek: *Igrał Il'ja Noumowicz Kranc 7 janvaria 1885 goda* — wymowne potwierdzenie panowania języka rosyjskiego w operze. Warto przy tym przypomnieć, że Wilno było przez 80 lat pozbawione jakiegokolwiek wyższego szkolnictwa a przecież właśnie środowisko akademickie bywa zwykłe ważnym odbiorcą muzyki.

Okres po rewolucji 1905 roku odznaczał się gwałtownym ożywieniem życia narodowego. Z opowiadań rodzinnych wiem, że tysiące dzieci i młodych ludzi przyjmowało chrzest katolicki w kościołach — były to dzieci z małżeństw mieszanych, które dotąd przymusowo musiały być chrzczone w cerkwi. Pojawiały się pisma polskie, powstał teatr polski. W roku 1906 zorganizowano polskie towarzystwo śpiewacze „Lutnia”, które dysponowało własną salą koncertową, eksploatowaną później głównie przez teatr o lżejszym repertuarze, wreszcie przez operetkę. „W oparciu o „Lutnię” powstało Konserwatorium Muzyczne, które pod dyktando Adama Wyleżyńskiego działało do połowy lat trzydziestych. W pierwszych latach po wyzwoleniu magistrat wileński wspierał zarówno teatr, jak przedstawienia operowe.

Kiedy pod koniec roku 1922 jako dziewięcioletni chłopak przyjechałem z Rosji do Wilna, odbywały się jeszcze systematyczne przedstawienia operowe. Byłem wprawdzie za mały, by chodzić do opery, ale oglądałem afisze (Teiko Kiwa, słynna japońska wykonawczyni *Madame Butterfly*, L. Zamorska, dyrygował najczęściej Władysław



Uniwersytet we Lwowie. Fot. Waldemar Michalski

Szcześniaki). Starsza generacja rodziny była na tych spektaklach, o uczęszczaniu na koncerty nie słyszałem.

W połowie lat dwudziestych nastąpił prawdziwy krach życia muzycznego w Wilnie. Bezpośrednim powodem były cięcia budżetowe w magistracie, który postanowił wspierać finansowo tylko jeden teatr, mianowicie teatr dramatyczny na Pohulance. Dyrektorzy teatru (Rycenowski, później Osterwa) nie przyklądali się do podtrzymywania teatru muzycznego, chociaż ten ostatni niewątpliwie przyszykował dużą wagę do muzyki w teatrze (współpracował w nim stałe Eugeniusz Dziwulski). W ten sposób Wilno, pigię co do wielkości miasto w Polsce, jaskrawo odbiegało pod względem zakresu i poziomu życia muzycznego od pozostałych największych miast, wśród których szczególnie wyróżniały się Warszawa, Łwów i Poznań, gdzie istniały państwowe konserwatoria i teatry operowe.

W sprawozdaniach z życia muzycznego w Wilnie, nadsyłanych do „Muzyki Polskiej” przez Tadeusza Szelińskiego (czasem zastępował go Stanisław Węślawski) pisano w połowie roku 1925, że *Opera Wileńska* *życ przesłała*, chociaż ostatnio w jej repertuarze znajdowała się *Halka*, *Rigoletto*, *Traviata*, *Pajace*, *Cyrulik Sewilski*, działalność zaś zamknęto *Hrabią Moniuszką*.

Trudności przeżywała też orkiestra. Związana z teatrem straciła grunt pod nogami po likwidacji opery. Orkiestrą zaopiekował się Związek Muzyków, dając jej ochronę prawną. Uzyskano nawet dotację z Funduszu Kultury Narodowej w wysokości 5000 zł, co wystarczyło na przetrzymanie dwóch miesięcy, później już dotacji nie kontynuowano. Dawano popularne koncerty „ogrodkowe” w ogrodzie Bernardyńskim (bylem ich pilnym słuchaczem), miasto przez pewien czas finansowało koncerty szkolne, znowuż trwało to krótko. Wprawdzie jeszcze w roku 1932 pisał St. Węślawski, że w Wilnie *orkiestra jest zawsze do rozporządzenia, brak tylko środków na jej utrzymanie*, ale i to stało się iluzją, bo najpiśmiśszy opuszczało miasto, szukając lepszych warunków pracy. Adam Wyleżyński, dyrygent orkiestry i konserwatorium, człowiek niewątpliwie zasłużony dla życia muzycznego w Wilnie, szukał wytrwale, ale z mizernym skutkiem jakiegos rozwiązania. Bywały sezony, w których dawano zaledwie dwa koncerty symfoniczne, a w r. 1931/32 odbył się tylko jeden (dyrygował W. Biedrzykiewicz).

Powstało nawet Towarzystwo Filharmoniczne. Utyksiwano na brak sali. Gmach zbudowany przed I wojną światową był wprawdzie przeznaczony na siedzibę filharmonii, jednak był skutecznie eksploatowany przez kino miejskie, które przynosiło niezłe dochody, wobec czego nader rzadko dawano sale na koncerty. Wyobrażono sobie, że można by połączyć kino z działalnością orkiestry. Część muzyków mogłaby dorabiać w kinie, jak to było stałą praktyką w okresie kina niemego, chociaż w salach kinowych rzadko grały większe zespoły. Był to jednak rok 1927, właśnie powstawały pierwsze filmy dźwiękowe, pojawiły się one w Wilnie bodaj w dwa lata później i zaraz potem rozpowszechniły się w całym mieście. Muzycy w kinie stracili rację bytu.

Recitale solistów, czasem nawet wcale ciekawe: Leon Sirota, Józef Sliwiński, Zbigniew Drzewiecki, Claudio Arrau — pianiści, nawet Artur Rubinstein. Trzy jednak razy warunkami koncertu, omijał później Wilno starannie, skrzypkowie Bronisław Huberman, Josef Manen — odbywały się jednak bardzo rzadko. Szeliński tłumaczył tę sytuację (w r. 1924) położeniem Wilna, które przed I wojną światową stało się ważnym węzłem komunikacyjnym i przeżywało

rozwój ekonomiczny, po wojnie straciło zupełnie to położenie, white kłnem pomiędzy szczerze zamkniętą granicę litewską i nie wiele więcej uziwczona granicę radziecką, znalazło się „na uboczu”, tak jak przedtem było dla każdego artysty „na szlaku”. Do tej degradacji kulturalnej (głównie w zakresie muzyki) przyczynił się wkrótce światowy kryzys ekonomiczny, szczególnie silnie przeżywany w Wilnie. *Nie zapominając o Wilnie* — apelował Szeliński do wybitnych muzyków z centralnej Polski — *czy każdy dobry uczynek musi być zapłacony? Chyba nie, gdyż wtedy z dobrego uczynku staje się dobrym interesem*. Artysci jednak nie byli skorzy do robienia złych interesów w Wilnie, co się fatalnie odbijało na życiu muzycznym miasta.

Na wyróżnienie zasługowało kilka zespołów amatorskich dużej klasy. Działyły one zwykle jako chóry kościelne, dając czasem koncerty publiczne. Na czoło wybijał się chór „Echo” prowadzony przez Władysława Kalinowskiego, świetnego organistę w katedrze i profesora konserwatorium. Uzyskał on dwukrotnie nagrodę Polskiego Radia na specjalnym konkursie dla chórów. Tuż za nim szedł chór „Harfa”, kierowany przez Jana Żebrowskiego, „Harfa” odbywała m.in. koncerty wielkopiątkowe („Impropria” Pałestryny) w kościele św. Jana, podtrzymując w ten sposób tradycję moniuszkowskie, poza tym wykonywało m.in. oratoria *Cztery pory roku* i *Siedem słów Zbawiciela na krzyżu* Haydna. Czasem produkowała się „Lutnia” — ze *Siabą* *Mater Astorgi* czy *Mildą* *Moniuszki*.

Arystokracja muzyków grała w operetce, prowadzonej przez wiele lat przez dyrygenta Mieczysława Kochanowskiego (Kagana). Zyskała ona wkrótce wybitną pozycję wśród operetek polskich, latem dawała spektakle w Krynicy (słynną gwiazdą była Elna Gisted). Była też najbardziej prężna, ciesząc się popularnością i najbardziej trwała instytucją muzyczną w Wilnie. Sam ten fakt wystarczy na charakterystykę „muzyczności wileńskiej”, jak mawiał Moniuszko. Inni muzycy grali w większych knajpach; niekiedy kooptowano na koncerty lepszych muzyków z wojska. Orkiestry wojskowe były niezłe, prowadzili je tak kompetentni i ambitni dyrygenci, jak Stefan Lidzki-Siedziński, czy Bogumił Reszke. Ten ostatni dał w pewnym sezonie kilka wieczorów z własnych, znakomitych transkrypcji symfonicznych fragmentów oper Wagnera.

W roku 1928 wstąpiłem do Konserwatorium, zapragnąłem bowiem pisać opery (impulsem był oburzenie *Fausta* Murнауа z muzyką Gounoda, graną chyba ze specjalnych płyt, bo jeszcze nie był to film dźwiękowy). Od kilku lat starannie słuchałem programów Polskiego Radia, tym chętniej, że w Wilnie w tym czasie nie było już żadnej stałej (poza operetką) instytucji muzycznej. Trzeba powiedzieć, że radio w tym okresie spełniało kolosalną rolę w kształtowaniu kultury muzycznej. Dawało świetne programy, wszystko zaś szło „na żywo”, nie było jeszcze operatywnych sposobów utrwalania dźwięku, nie licząc płyt, której produkcja była pracochłonna i droga (radio dawało również koncerty z płyt firm zagranicznych). Polskie Radio w Wilnie starało się w swoim lokalnym programie wykorzystywać miejscowych muzyków, głównie solistów. Potem zaczęto nawet subdywować niektóre koncerty symfoniczne, jednak fundusze na ten cel po paru latach zostały obcięte.

Szczególne zasługi dla kultury wileńskiej, a w tym i dla kultury muzycznej, położył dyrektor programowy Polskiego Radia w Wilnie, Witold Hulewicz, autor subtelnych poezji o tematyce muzycznej (*Sonetu instrumentalne*, *Przybłęda Boży* — do dziś wznowiana powieść o Beethovenie). Doprowadził on do powstania Rady wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, w dawnym klasztorze Bazyliaków, obok Ostrej Bramy, założył Celę Konrada — domniemane

miejsce więzienia Mickiewicza. Uroczyscie obchodzone stulecie śmierci Beethovena. W Celi Konrada odbywały się imprezy literackie, także muzyczne. To właśnie dzięki Hulewiczowi koncertowała tam Stanisława Korwin-Szymanowska, siostra kompozytora, z pieśniami swego brata, tam dla wieców Mana Modrakowskiego z pieśniami młodych wedy kompozytorów polskich, Perkowski, Kondrackiego, ale też i Tadeusza Szeligowskiego — wielkie wrażenie sprawily jego *Pieśni zielone* do słów Romana Brandstettera. Właśnie Tadeusz Szeligowski, który od kilku lat osiedlił się w Wilnie, był reprezentantem ruchliwych działaczy kulturalnych, niechętnie widzianych w Wilnie jako „galileuszy z kongresowy”, jak ich żartobliwie nazywano, a namiętnie zwalczanych przez „Słowo” Mackiewiczza. Warto dodać, że nie odsuwały oni na bok miejscowych artystów: wnosili zdrowy ferment, byli i ruchliwsi, i zdolniejsi niż miejscowi, których wszakże przyciągali energicznie do współpracy. Przy pomocy Hulewicz Szeligowski założył Klub Muzyczny, utworzył filię Towarzystwa Muzyki Współczesnej, organizował koncerty. Tu występował m.in. wybitny flecista grecki Kallimachos, tam też w 1934 roku odbył się koncert młodej muzyki wileńskiej, na którym odbyła się moja pierwsza prezentacja kompozytorska, prawykonywanie *Sonaty na flet i fortepian*, którą grał mój profesor-slawista, Erwin Koschmieder, poza wszystkim świetny flecista. W parę lat później w Celi Konrada odbyło się prawykonywanie mego *I Kwartetu smykowego*.

Główną instytucją dydaktyczną było Konserwatorium Muzyczne, gromadzące najlepsze siły pedagogiczne. Mieściło się ono najpierw w lokalu Gimnazjum im. A. Mickiewicza, naprzeciw kościoła Dominikanów, potem przeniosło je do obszerniejszego lokalu na Końskiej, gdzie nawet dysponowano średniej wielkości salą koncertową. Wśród nauczycieli należał najpierw wymienić Marcelinę Kimmont-Jacynową, później profesora Konserwatorium Warszawskiego. Wychowała ona pewną grupę utalentowanych pianistów, jak Zygmunt Jeśman, Włodzimierz Trocki, Szabsaj. Uczyla fortepianu także Eleonora Kaduszkiewiczowa (byłem jej uczniem, zanim przeszedłem do klasy Stanisława Szpinalskiego), w późniejszych latach uczyla tu sprowadzona z Warszawy Zofia Romaszewska. Klasę śpiewu prowadziła Konstancja Święcicka, skrzypiec — Halka-Ledóchowska. Przedmiotów teoretycznych nauczała Jacob-Pawłowiczowa oraz Pliszko-Ranuszewiczowa. Solfeż i chór znajdował w rękę Bronisławę Gawronską (pierwszej żony kompozytora Wojciecha Gawronskiego), zasłużonej szczególnie dla nauczania muzyki w szkołach powszechnych. Prowadziła ona doskonale postawiony chór nauczycielski. Podstawą działania Konserwatorium były dosyć wysokie opłaty za naukę.

Działyły też w Wilnie inne szkoły muzyczne. W zakresie pianistyki i skrzypiec wysoki poziom reprezentował Żydowski Instytut Muzyczny (Girszowiczowa, Cecylia Krewer — pianistki). W 1919 roku założono Szkołę Organistowską im. J. Montwilli, uczył tam, a nawet później dyrektorał wspaniały już Władysław Kalinowski. Szkołę muzyczną, przeznaczoną głównie dla panienek z dobrych domów, utrzymywała Janina (?) Wojewódzka.

Prywatną szkołę śpiewu prowadziło małżeństwo — Wanda Hendrichówna i Adam Ludwig. Dawali oni interesujące popisy w postaci spektakli operowych i oratoryjnych, często przy współpracy z teatrem. W ten sposób w r. 1926 wystawili oni *Halkę* (dwuaktową, „wileńską”), innego roku śpiewano *III Litanie Ostrobramską* i *Widma* Moniuszki, w roku 1934 przedstawiono *Siostrę Anielkę*, jednoaktową Pucciniego. Po wojnie oboje Ludwigowie znaleźli się na Wybrzeżu i tam położyli wielkie zasługi przy organizacji życia muzycznego.

Na początku lat trzydziestych rozpocząłem w Konserwatorium studia ściśle kompozytorskie u Tadeusza Szeligowskiego, który niedawno odbył wyższe studia kompozytorskie u Nadi Boulanger, słynnej wtedy profesorki kompozycji w Paryżu. Uczyło się u niej kilka pokoleń Polaków (przez dwa lata, tuż przed wojną, byłem jej wychowankiem w Paryżu, po wojnie niektórzy z moich uczniów przeszli przez jej szkołę). W niezbyt licznej klasie kompozycji przełamywała się ówczesna struktura narodowościowa Wilna. Obok mnie uczyli się starsi ode mnie Polacy, Sylwester Czarnoski (również wybitny klawirzysta), Ludwik Jakajitis, Janusz Bulhak, Żydz — Ber Bagon i Teitelbaum, oraz Litwin — Siniewicz-Sinius.

Do głosu zaczęła wtedy dochodzić w Polsce młoda kadra muzyków, mniej więcej czterdziestoletnia. W roku 1934 osiedlił się w Wilnie polski laureat I Konkursu Chopinowskiego, uczeń Paderewskiego, Stanisław Szpinalski. Wspaniały muzyk, znakomity pianista, człowiek o wysokiej kulturze osobistej i błyskotliwej inteligencji. Pelen energii i inicjatywy wniósł europejski, nowoczesny styl pracy. Współł z grupą kolegów, Szeligowskim, Romaszewską i Czesławem Lewickim, młodym wtedy dyrygentem przeprowadził swego rodzaju rewolucję w Konserwatorium. Przy poparciu Ministerstwa WRiOP, a szczególnie jego referenta Stefana Sledzińskiego, przeprowadzono rozwiązanie starego Konserwatorium, które zresztą popadło w gruby deficyt; w oparciu o Radę Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych jako jednostkę prawną, uzyskano koncepcję na prowadzenie Konserwatorium, które przybrało imię Mieczysława Karłowicza. Istotną pomocą było przyznanie czterech etatów dla naczelných pedagogów w Konserwatorium Warszawskim z delegacją do Wilna, przy czym Szpinalski objął dyrekcję tej placówki. Zaangażowano też kilku młodszych pedagogów, m.in. Czesława Lewickiego (dyrygenta, przedmioty teoretyczne), oraz małżeństwo Mirę (skrzypce) i Arnolda (wiolonczela) Razlerów. Na krótko przed wojną rozpoczęto starania o upaństwowienie Konserwatorium, jak też o przejęcie orkiestry symfonicznej przez Polskie Radio, oczywiście bezskutecznie.

Wspominaliśmy już o kulturotwórczej roli Polskiego Radia, które w znaczący sposób stymulowało wileńskie życie muzyczne: wykorzystywało do swych programów miejscowych muzyków, dofinansowywało koncerty symfoniczne. Na kilka lat przed wojną uruchomiono niewielki (ok. 20 osób) zespół instrumentalny, który stał się jądrem orkiestry symfonicznej; poszerzona o innych muzyków dawała ona koncerty mniej więcej co dwa tygodnie. Orkiestrę prowadził najpierw Czesław Lewicki, po jego wyjeździe do Warszawy do Orkiestry Fitełberga, koncerty te objął Kazimierz Hardulak. Stanowiło to załączek normalizacji wileńskiego życia muzycznego.

W ostatnich latach przed wojną zaczęła działać w Warszawie ogólnopolska organizacja koncertowa ORMUZ. Korzystała ona z coraz bogatszej kadry młodych, często znakomych muzyków, tworzyła ekipy objazdowe, które dawały koncerty w miastach prowincjonalnych. Po ukończeniu studiów ogólnych i muzycznych objęłam stanowisko kierownika w założonej wtedy, pierwszej w Polsce w mieście prowincjonalnym, szkole muzycznej w Święcianach. Wkrótce zaczęły powstawać dalsze (niższe i średnie), m.in. w Grodnie (Wyleżyński, potem Adam Rieger), w Baranowieczach i chyba w Pińsku. Postulowano utworzenie szkół muzycznych w Suwałkach i Augustowie. Koncerty ORMUZ-u znajdowały oparcie w szkołach ogólnokształcących (liceach) — gdzie organizowano koncerty dla młodzieży i powtarzano je dla szerszej publiczności.

Osobliwe zdarzenie miało miejsce w r. 1937. Towarzystwo Przyjaciół Państwowej Biblioteki im. Wróblewskich zapowiedziało wieczór

pieśni ludowych litewskich i białoruskich. Impreza ta została zakazana przez władze, co przekazywał z oburzeniem korespondent „Muzyki Polskiej”, którym był wówczas wspomniany tu już Tadeusz Szeligowski, pisujący pod pseudonimem Irma. Natomiast bez przeszkód odbywały się koncerty chórów (np. koncert pieśni białoruskiej pod dyrykcją Sztrymy).

Wybuch wojny przeciął perspektywę rozwoju życia muzycznego. Pierwsze pol roku władzy litewskiej spowodowało Konserwatorium do poziomu wegetacji. Zaczęło działać Konserwatorium Litewskie, oparte na kadrach kowieńskich. Natomiast prawie natychmiast została otwarta opera litewska. Korzystała ona z sił polskich, zwłaszcza młodych solistów, wychowanków Konserwatorium Wileńskiego, jak też z muzyków orkiestrowych i chórzystów.

Sytuacja zmieniła się po utworzeniu Litwy Radzieckiej, która trzymała się zasady równouprawnienia narodowości w zakresie kultury: przeprowadzono wśród ludności plebiscyt na temat języka wykładowego w szkołach, co przyniosło drugoczące zwycięstwo ludności polskiej. Powstała Filharmonia Wileńska, zainstalowana w gmachu zajmowanym dotąd przez kino miejskie, utworzono Państwową Szkołę Muzyczną (pierwotnie projektowano utworzenie konserwatorium jako wyższej szkoły tylko w Rydze). Dyrektorem został Jonas Bendorius, dyrektor Konserwatorium Litewskiego w Wilnie, inspektorem znakomity pedagog i organizator, Konradas Kaveckas. Uczelnia powstała z połączenia konserwatorium polskiego, litewskiego oraz Żydowskiego Instytutu Muzycznego. Zaproponowano do współpracy prawie wszystkich działających w Wilnie pedagogów, w tym licznych uchodźców (wśród nich znaleźli się tacy muzycy jak Emma Altberg, Adam Rieger itd.). Szkoła skupiała ogromną ilość uczniów, Polaków, Litwinów, Żydów, Rosjan itd. Praktycznie biorąc językiem wykładowym był litewski dla części uczniów, stanowiącej zdecydowaną mniejszość, Żydzi i pozostali korzystali z klas polskich; mowa tu o przedmiotach zbiorowych, bo zajęcia indywidualne mogły się odbywać w dowolnym języku. Gdyby nie fatalna sytuacja ogólna, tuż przed wybuchem wojny, gdyby nie fatalna sytuacja ogólna, tuż przed wybuchem wojny radziecko-niemieckiej zakończona wywózką, która objęła również wiele tysięcy rodzin polskich, rok szkolny 1940-1941 mógłby uchodzić za okres modelowy w dziedzinie współpracy i współistnienia złożonej narodowościowo społeczności wileńskiej. Układ, który nie powtórzył się już więcej.

Szkoła ta rozpadła się w czasie okupacji niemieckiej. Prawie natychmiast po wejściu wojsk niemieckich władze litewskie usunęły wszystkich uczniów i nauczycieli Żydów, którzy w ciągu najbliższych miesięcy (do listopada 1941 r.) zostali wymordowani na Ponarach pod Wilnem. Polaków usunięto z Konserwatorium na jesieni. Po wyzwoleniu, po krótkim istnieniu owej „zbiorecznej” szkoły muzycznej, pedagodzy i uczniowie Polacy wyjechali do Polski w ramach tzw. „repatriacji”, osiedlając się głównie w Łodzi, w mniejszym stopniu w innych miastach. Spośród ludności polskiej, która pozostała na miejscu, wykształciło się w litewskim konserwatorium w Wilnie również kilku muzyków Polaków, jak kompozytorzy Romuald Twardowski czy Alina Piechowska, którzy przenieśli się później do Warszawy. Kształcili się tu również dyrygenci Władysław Korkuć i Jan Mincewicz, którzy stali się zasłużonymi działaczami, nauczycielami muzyki w szkołach, oraz organizatorami polskich zespołów pieśni i tańca na Litwie.

Jeszcze parę słów o folklorze. Na Wileńszczyźnie istniał bogaty muzyczny folklor wśród ludności polskiej, o swoistym regionalnym obliczu. Kilka pieśni polskich odnotował jeszcze Stanisław Moniusz-

ko, w latach studenckich zapisał około tuzina takich pieśni wydanych po wojnie w moim opracowaniu na chór, jednak wskutek interwencji cenzury pozbawiony informacji, że pochodzą z Wileńszczyzny. Na parę lat przed wojną młody muzykolog i kompozytor, poległy w walkach w czasie Powstania, Roman Padlewski, systematycznie badał folklor muzyczny tego regionu. Zbiór, liczący podobno kilka tysięcy walców fonograficznych, spłonął podczas Powstania Warszawskiego w Bibliotece Krasinich. Po wojnie ludność podwileńska w dużej mierze rozproszyła się, nie podejmowano też żadnych badań jej pieśni. Jednakże duża część tej ludności pozostała na miejscu i tworzy dziś podstawę licznej populacji polskiej na Litwie. Polska pieśń ludowa jest wśród niej nadal żywotna. Jan Mincewicz zebrał wiele tych pieśni i niektóre z nich włączył do repertuaru swego zespołu „Wileńszczyzna”.

W odróżnieniu od Lwowa, który stał się stolicą piosenki miejskiej i kabaretowej, Wilno, praktycznie biorąc, nie posiadało tego rodzaju dorobku, jeśli nie liczyć pieśni diadawskich śpiewanych w „Szopkach akademickich”.

Witold Rudziński



Wilno - dziedziniec uniwersytecki. Fot. Czesław Herda

❁ rozmowy ❁

Europa Środkowoschodnia: spojrzenie z zewnątrz

Z profesorem Josephem Rothschildem
rozmawia Krzysztof Garbowski

Joseph Rothschild (ur. 1931) jest profesorem nauk politycznych na Columbia University, jednym z najlepszych amerykańskich znawców Europy Środkowoschodniej, autorem ośmiu książek i wielu artykułów. Do najciekawszych pozycji w jego dorobku naukowym należy *East Central Europe Between the Two World Wars*. 1974 (Europa Środkowoschodnia w okresie międzywojennym) oraz *Return to Diversity: A Political History of East Central Europe Since World War II*, 1989 (Powrót do różnorodności. Historia polityczna Europy Środkowoschodniej po drugiej wojnie światowej).

Rozmowa odbyła się na początku kwietnia 1989 r. w Nowym Jorku.

(K. G.)

K. G. Pojęcia takie jak Europa Środkowoschodnia, Europa Wschodnia czy Europa Środkowa oznaczają różne rzeczy dla różnych ludzi. Polak zwykle uważa siebie za człowieka mieszkającego w centrum Europy, podczas gdy Szwajcar prawdopodobnie myśli tak samo, jako że dla niego Europa to Europa Zachodnia. Używamy w Ameryce Północnej terminu Europa Wschodnia przyporządkowując ten rejon strefie Związku Radzieckiego. W swoich wcześniejszych publikacjach używał Pan terminu „Europa Wschodnia” dla określenia obszaru, który jest tematem naszej rozmowy. Ostatnio stosuje Pan termin „Europa Środkowoschodnia”. Czy mogliby Pan wyjaśnić tę ewolucję w terminologii?

J. R. Nie pamiętam, gdzie używałem terminu „Europa Wschodnia”, być może w jakichś bardzo wczesnych publikacjach. W każdym razie od początku lat siedemdziesiątych stale stosuję termin „Europa Środkowoschodnia”. Przekonała mnie co do jego zasadności książka nieżyjącego już profesora Oskara Haleckiego zatytułowana *The Limits and Divisions of European History*. Upełnił on innie co do kwestii, którą właśnie Pan podniósł formułując swoje pytanie, mianowicie, że termin „Europa Wschodnia” niewątpliwie umiściłby rejon, które mnie interesują w rosyjskiej orbicie. Dlatego termin „Europa Środkowoschodnia” ma na celu rozróżnienie tych terenów od Rosji, która stanowi Europę Wschodnią. Jestem skłonny zgodzić się, że Rosja jest częścią Europy, ale jest to Europa Wschodnia, o kulturze zupełnie innej niż kultur narodów Europy Środkowoschodniej. Tak jak Europa Zachodnia różni się od Europy Środkowoschodniej. Myślę, że nie zawiera to żadnych sądów wartościujących. Niemcy i Szwajcarzy można by określić jako Europę Środkowozachodnią, Polskę i kraje nadnaujskie jako Środkowoschodnią. Odróżnienie od Rosji zostaje w ten sposób zachowane. Mamy zatem Europę Zachodnią, Środkowozachodnią,

Środkowoschodnią i Wschodnią. Jak powiedziałem, nie jest to podział zaproponowany przeze mnie, ale w całości przejęty od profesora Haleckiego. Omawia on nie tylko geograficzny podział Europy, ale i chronologiczny, co nas w tej chwili nie interesuje.

K. G. W pańskiej książce poświęconej Europie Środkowoschodniej Polska zajmuje ważne miejsce. Inna z Pana książek to „Piłsudski's Coup d'Etat” (Zamach stanu Piłsudskiego). Co więcej, należy Pan do Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce (Polish Institute of Arts and Sciences of America). Czy mogliby Pan nam powiedzieć dlaczego Polska odgrywa taką rolę w Pana zainteresowaniach?

J. R. Być może rozczaruję Pana, ale była to sprawa przypadku. Przede wszystkim zacząłem uczyć się języków słowiańskich zupełnie przypadkowo. Studiowałem na Columbiu podczas wojny koreańskiej. W szczytowym okresie wojny byłem bliski ukończenia studiów pierwszego stopnia i istniało wysokie prawdopodobieństwo, że zostanę powołany do wojska. Pobór do wojska w czasie wojny koreańskiej odbywał się inaczej niż miało to miejsce później w okresie wojny w Wietnamie i ja postanowiłem zabezpieczyć się przed tą ewentualnością idąc do szkoły letniej. Potrzeba mi było sześć punktów do uzyskania dyplomu, a oferowano tam między innymi kurs rosyjskiego, za który można było dostać osiem punktów. Nie miałem wcześniej styczności z językiem rosyjskim, ani nie przejawiałem nim szczególnego zainteresowania, ale zapisałem się na ten kurs zdobywając w ten sposób we wrześniu stopień bakałarza. Tymczasem wojna się skończyła i wojsko nie przejawiało już zainteresowania moją osobą, ale ja miałem za sobą pierwszy stopień studiów, a w dodatku uczenie się rosyjskiego przypadło mi do gustu. Wstydziłem się trochę mówić w obcych językach, bo nie noszę robić błędów. Ta przesada niechęć do mówienia z błędami czyni ze mnie niemowę, ale czytanie zawsze mnie interesowało i mając możliwość kontynuowania studiów, dalej uczylem się rosyjskiego. A kiedy pojechałem do Oxfordu, aby pracować tam nad doktoratem, Sir Isaiah Berlin namówił mnie, abym pisał pracę na temat Komunistycznej Partii Bulgarii. Początkowo chciałem zająć się Plechanowem, ponieważ najbardziej interesowały mnie teorie polityczne, ale Berlin powiedział, że wszyscy teraz zajmują się Plechanowem i musiałbym dzielić taki temat pracy doktorskiej z kims innym, a mnie taka perspektywa nie odpowiadała. No i powiedział: „Wiesz, bulgarski jest bardzo podobny do rosyjskiego, więc jeśli znasz rosyjski możesz bez trudu czytać po bułgarsku”. Poza tym kolega Berlina, Sir William Deakin, organizował grupę doktorantów piszących historie różnych partii komunistycznych z wyjątkiem radzieckiej i niemieckiej. W kolejce po tematy czekało już sporo osób, ale nie było jeszcze nikogo do partii bułgarskiej. Tak więc ze względu na namowy Berlina i zapotrzebowanie u Deakina sam nauczyłem się bułgarskiego. Poszedłem do biblioteki, pożyczylem podręcznik do gramatyki i przekonałem się, że to rzeczywiście łatwe. Nawiasem mówiąc, nie jestem w stanie czytać literatury pięknej po bułgarsku, rosyjsku, czy polsku. Ale mogę czytać materiały polityczne i historyczne, w których słownictwo jest oczywiście bardziej ograniczone niż w literaturze pięknej. I tak więc mój doktorat poświęcony był Komunistycznej Partii Bułgarii. A potem trąfłem zupełnie niespodziewanie na Polskę. Bardzo interesowałem się zamachami stanu, po prostu ideą jako taką pod względem politycznym: jak się je przeprowadza, jak się potem umacnia zdobyta władza. No i dowiedziałem się, że w Polsce w 1926 roku miał właśnie miejsce zamach stanu. Zacząłem zatem zajmować się Polską poprzez zamach stanu, a nie odwrótnie. Tak mogłbym w ogromnym skrócie odpowiedzieć na Pańskie pytanie. Poza tym lubiłem mojego nauczyciela polskiego, nieżyjącego już profesora

Ludwika Krzyżanowskiego, który nauczył mnie czytać i rozumieć po polsku. Dla zdobycia lepszych podstaw do moich badań uczęszczałem jako wolny słuchacz na wykłady profesora Haleckiego, który był wtedy związany z Columbią. Uczył właściwie na Fordham University, ale wykladał również sporo na Columbi. Słuchając jego wykładów zacząłem uważać Polskę za naprawdę ciekawą kraj tak pod względem politycznym jak i kulturowym.

K. G. Czy po raz pierwszy pan widział węgla nad międzywojenną historią Europy Środkowoschodniej. Zanim zastanowiono się nad przyszłością takiego stanu może mogłby Pan wymienić najistotniejsze Pana zdaniem osiągnięcia tego obszaru?

J. R. Cóż, w pewnym sensie sukces polega na tym, że te dwadzieścia lat usankcjonowało istnienie odrodzonych czy nowych państw na tyle, aby żadne wrogie siły nie starły ich ponownie z mapy. Niech Pan me zapomina, że przed rokiem 1914 wiele z tych państw nie istniało i te dwadzieścia lat między wojnami, choć pełne problemów, oznaczało, że zwycięzcy drugiej wojny światowej nie mogli znowu nakreślić mapy Europy, na której nie byłoby polskiego czy czeskosłowackiego państwa. Sądzę, że także pod względem kulturowym dokonano wielkich osiągnięć: polski teatr, czeskosłowackie językoznawstwo, węgierska muzyka, itd., choć same te osiągnięcia nie zapobiegłyby prawdopodobnie ponownemu sporządzeniu mapy Europy pozbawionej tych państw. Większość krajów Europy Środkowoschodniej dało się poznać w latach 1918-1938 jako kłopotliwi, lecz odpowiedzialni członkowie wspólnoty europejskiej.

K. G. Reżim hitlerowski rozprawił się szybko z tymi państwami. Dyskusyjną sprawą jest w jakim stopniu był to rezultat polityki wielkich mocarstw w stosunku do nich, a w jakim należało winę za to ich wewnętrzne podziały i słabości. Jakie jest Pana zdanie na ten temat?

J. R. Sądzę, że oba czynniki odegrały swoją rolę, ale wielkie mocarstwa ponoszą winę za zniszczenie przez nazistów porządku w Europie Środkowoschodniej, porządku wynikającego z uzgodnieniami traktatu paryskiego. Tak, oczywiście panowało zbyt wielkie rozbieżności między państwami. Niemalże z zasady wspólne granice pociągały za sobą pełne zatarć stosunki: Polska — Litwa, Polska — Czechosłowacja, Węgry ze wszystkimi swoimi sąsiadami, Bułgaria — Jugosławia. Było zbyt wiele tarć, niestety brak współpracy, ale mimo to dalej pozostaje w przekonaniu, że główną odpowiedzialność za złamanie porozumienia traktatu paryskiego ponoszą wielkie mocarstwa. Przecież wszystkie Stany Zjednoczone nie chciały się angażować. Stany Zjednoczone nie przejawiały złej woli, ale ten brak zaangażowania na pewno nie pomógł. Brytyjczycy mając za sobą pierwszą wojnę światową i patrząc na traktat paryski doszli do błędnego wniosku co do równowagi sił, uważając, że Francja wyszła jakoby z wojny zbyt potężna i dlatego należy poprzeć Niemcy, aby przywrócić równowagę wobec Francji, co po prostu stanowiło błędne odczytanie równowagi francusko-niemieckiej. Sama Francja złożyła polityczne zobowiązania wobec sojuszników (niektórych z nich można by nawet określić mianem jej protegowanych), ale nie poparła ich gospodarczo. Prawdę mówiąc Francja odegrała w istocie raczej negatywną rolę pod względem ekonomicznym w stosunku do swych sojuszników, zaś pod względem militarnym skryła się bezpieczne za linią Maginota. W ten sposób jej polityczne gwarancje wobec czterech sojuszników w Europie Środkowoschodniej przestały mieć jakiegokolwiek znaczenia, a nawet zostały zaniegowane w wyniku takiej strategii. A zatem Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja były ze tak powiem nadzwyczaj bierne. Aktywnie wrogie siły stanowiły

nazistowskie Niemcy i Związek Radziecki. Rzecz jasna fakt, że przez większość lat trzydziestych nazistowskie Niemcy i Związek Radziecki były wobec siebie bardzo wrogo nastawione, stwarzał fałszywe poczucie bezpieczeństwa państwom Europy Środkowoschodniej. Ale kiedy dogadali się 23 sierpnia 1939 roku podpisując pakt między Hitlerem a Stalinem to było to naprawdę zgubne. Tak więc ująłbym w określonym porządku odpowiedzialność za zniszczenie międzywojennego stanu rzeczy: wielkie mocarstwa ponoszą główną winę, ale małe państwa także nie zachowały się szczególnie dobrze, nie wyszły z tego wszystkiego chwalnie. Zawsze były skłócone, a główny powód ich zatargów stanowiła oczywiście kwestia mniejszości narodowych.

K. G. Właśnie do tego chciałbym teraz przejść. Biorąc pod uwagę społeczeństwa, jakimi przyszło im rządzić, co mogły te rządy uczynić, aby lepiej rozwiązać problem mniejszości narodowych?

J. R. Zaryzykuję stwierdzenie, które zdaje się zaprzeczać temu co dopiero powiedziałem: w sensie teoretycznym trudno oskarżać je o prowadzenie polityki mającej negatywne skutki w stosunku do danych mniejszości. Trudno obwiniać je teoretycznie, ponieważ były to nowe lub odrodzone państwa i miały silne postanowienie służyć jako obrońcy kultur swych państw narodowych. Innymi słowy polskie władze kulturalne i polityczne, a także i wojskowe powiedziały: „Słuchajcie, odrodzona Polska musi być w takim samym stopniu polskim państwem jak Francja jest państwem francuskim. A to znaczy, że nie jesteśmy wieloetnicznym imperium”. Jako że kraje te nie stanowiły pod żadnym względem imperiów — imperia mogą być objęte wobec mniejszości etnicznych, elita imperium stoi bowiem ponad dągi państwa narodowego i mniejszości — nie dziwnego, że przyjęły zasadę, iż powinny wyrażać kulturę narodową, a ta kultura jest polska, czeska, czy serbska (z serbskiego punktu widzenia Jugosławia była właściwie wielką Serbią) i stąd mniejszości muszą pogodzić się z drugorzędnym statusem, który można uznać za niekorzystny, ale który w okresie międzywojennym był nie do uniknięcia i stanowił właściwie zjawisko normalne. A zatem stwierdzenie, że mniejszości muszą zaakceptować drugorzędny status jest teoretycznie zrozumiałe w prawie usankcjonowanych państwach narodowych. Nie twierdzę, że jest to wybacalne czy chwalebne, ale jest zrozumiałe. Ale przecież wiele z mniejszości okresu międzywojennego wywodziło się z krajów rządzących tymi terytoriami przed rokiem 1914. Słowacy mogą być przygotowani, aczkolwiek niechętnie, na dominację innych, ale Niemcy, Węgry czy Rosjanie nie byli na coś takiego przygotowani. Czym innym jest prosić takie mniejszości, aby zaakceptowały status bycia mniejszością pod względem statystycznym, a czym innym niepotrzebne i niefortunne wykorzystywanie nowego aparatu państwowego do dyskryminowania ich pod względem administracyjnym czy czasami prawnym. Pogląd, że Białorusin w polskim sądzie czy Ukrainiec w rumuńskim nie może mieć równoprawnego statusu z Polakiem czy Rumunem był niepotrzebny. Nie wiem właściwie jak często to się zdarzało. Wiem, że zdarzało się we wszystkich tych krajach. Tak więc podział ludności na państwa narodowe i mniejszości był nieunikniony, ale stopień uprzedzenia administracji wobec mniejszości był nadmierny i niepotrzebny. Na przykład na wschodnich terenach Polski międzywojennej wielkie majątki nie zostały rozparcelowane i podzielone wśród chłopów, bo wtedy skorzystałby na tym Białorusini i Ukraińcy.

K. G. Przejdźmy teraz do problemu nadmiernego nacjonalizmu. Pisząc o ruchach faszystowskich w Europie Środkowoschodniej woli Pan używać terminu „skrajna prawica”. Jak podobne ugrupowania na tym obszarze różniły się od tych w innych częściach Europy?

J. R. Mówiąc „inne części Europy” ma Pan zapewne na myśli nazistowskie Niemcy i faszystowski Włochy?

K. G. Przede wszystkim.

J. R. Oczywiście w swych wysiłkach były one mniej radykalne, właściwie nigdy nie zdobyły władzy. Naziści doszli do władzy w Niemczech na początku lat trzydziestych, a ruch faszystowski we Włoszech był silny od początku lat dwudziestych, lecz w krajach Europy Środkowowschodniej skrajna prawica nie doszła do władzy aż do drugiej wojny światowej i to nawet wtedy nie wszędzie.

K. G. Ale czy to nie dziwne? Można by się spodziewać, że mając do czynienia z bardziej zaoconymi społeczeństwami, skrajna prawica mogła właśnie dojść do władzy?

J. R. Niech Pan pamiętać, że skrajni pravicowcy w krajach Europy Środkowowschodniej w latach trzydziestych (a w każdym razie już w ich drugiej połowie) mieli do czynienia z rządami, które już i tak były bardzo nacjonalistyczne, zaś w niektórych przypadkach militarystyczne. A zatem mniej lub bardziej konserwatywne czy biurokratyczne reżimy zaczęły całkiem sporo, choć oczywiście nie całkowicie, z programu skrajnej prawicy. Po odjęciu tego pozostały w zasadzie same irracjonalne elementy, powiedzmy kult śmierci charakterystyczny dla Żelaznej Gwardii w Rumunii czy rasizm strzałokrzywocowy na Węgrzech. Ale te irracjonalne aspekty były bezużyteczne w obliczu tego, czego ludność tamtejsza domagała się przede wszystkim, czyli szybkiego uprzemysłowienia i modernizacji. Sądzę, że stosunek chłopów Europy Środkowowschodniej do przemysłu nie był konsekwentnie wrogi, a raczej bardzo ambiwalentny. Z jednej strony chłopi, czyli ci, których jak sądzę dotyczy pańskie pytanie mogli być logicznie rzecz biorąc zwolennikami ugrupowań skrajnej prawicy. Ale chłopi nie byli w zasadzie wrogo ustosunkowani do industrializacji. Obawiali się, że koszty industrializacji zostaną pokryte z ich wysiłków, a korzyści pójdą do miast. Ale intrygowały ich możliwości jakie niosło za sobą uprzemysłowienie. Mieli dość sytuacji, w której stanowili jednocześnie strażników i ofiary bardzo przestarzałych metod produkcji skazujących ich i ich kraje na ciągłą nędzę.

K. G. Zostawmy na chwilę problemy tego obszaru. Jednym z jasnych punktów Europy Środkowowschodniej w okresie międzywojennym wydaje się być demokratyczny rząd w Czechosłowacji. Ocena Pan osiągnięcia pod tym względem jakby bardziej krytycznie niż pański nauczyciel Hugh Seton-Watson?

J. R. Tak, nie jestem pod takim wrażeniem międzywojennej Czechosłowacji jak profesor Seton-Watson. Nawiasem mówiąc jest pan z pewnością świadom, że istniała tam rodzinna tradycja sympatii do Czechosłowacji, bowiem jego ojciec, R. W. Watson był bliskim przyjacielem Masaryka i odegrał istotną rolę w przekonaniu rządu brytyjskiego w ostatnich dwóch latach pierwszej wojny światowej, aby poparł państwo czechosłowackie, i sądzę, że Hugh Seton-Watson kontynuował w pewnym sensie tradycję rodzinną. Tak, wybory parlamentarne w Czechosłowacji były wolne, ale brakowało im w pewnym sensie konsekwencji, bowiem spowodowało się to jedynie do czterokrotnego przetasowania. Żaden rząd nie został ani razu obalony w wyniku krytyki czy wotum nieufności. Ludzie, którzy stworzyli Czechosłowację byli dalej u władzy w 1938 roku. I ta stara gwardia nie dopuszczała żadnych nowych twarzy do polityki. Ciało ustawodawcze, choć wybrane w wolnych wyborach, było w rzeczywistości zupełnie niewładne. Partyni notable wymieniali ręki w zadymonowanych gabinetach. Poza tym sądzę, że stosunek Czechów do Słowaków był niepotrzebnie lekceważący i pogardliwy.

K. G. Jednak w pewnym sensie trzeba ocenić Czechów pozytywnie w porównaniu z innymi rządami tego regionu Europy.

J. R. Pozytywne aspekty wynikają z faktu, że wystartowali z wyższego poziomu założeń, było zatem więcej elastyczności w systemie politycznym, więcej poparcia dla systemu demokratycznego przez stosunkowo zaawansowane i rozwinięte społeczeństwo. Tak więc Czechosłowacja nie przerosła się w dyktaturę królewską czy wojskową, jak to miało miejsce w pozostałych krajach Europy Środkowowschodniej i stanowiła wolne społeczeństwo pod względem praw obywatelskich. Niemcy sudeccy, nawet kiedy już naprawdę prowadzili działalność wyrotową w latach 1936-38 dalej mogli wydawać własną prasę (co zresztą było lekkomyślnością ze strony rządu) i nie przesładowano ich w sądach czy przez aparat policyjny. Jednak muszę przyznać, że mój sceptycyzm co do międzywojennej czechosłowackiej demokracji wiąże się z moją niechęcią do Beneša. Obiecował tak wiele, a okazał taką słabość dwukrotnie, w 1938 i 1948 roku. I przez cały ten czas był zadowolony ze siebie i tak pełen poczucia wyższości, że nie mógł się zmusić, aby żywić do niego szacunek.

K. G. Zwracano już uwagę, że wiele z cech rozwoju Europy Środkowowschodniej w okresie międzywojennym wydaje się analogiczne do tych w państwach postkolonialnych. W jakim stopniu zgadza się Pan z taką tezą?

J. R. Nie zgadzam się, absolutnie nie. W Trzecim Świecie, szczególnie w Azji i Afryce powstały nowe państwa po drugiej wojnie światowej. W Europie po pierwszej wojnie światowej mamy do czynienia z państwami odrodzonymi. Miał miejsce wcześniejszy okres państwowości odcięty przez Turków, Prusy, Rosję czy Habsburgów. Moje rozróżnienie przeprowadzone między państwami odrodzonymi i nowymi może wydać się czysto formalne, ale sądzę, że ma ono znaczenie w połączeniu z oczywistymi różnicami istniejącymi między społeczeństwami europejskimi i nieeuropejskimi. Nie znaczy to, że robię pejoratywne porównania, ale sądzę, że należy wymienić te różnice. Oczywiście przemierzając Europę z zachodu na wschód widzi się ogromne różnice, ale jest to w pewnym sensie cywilizacja europejska. I sądzę, że presja demograficzna, choć poważna w międzywojennej Europie Środkowowschodniej, nie była aż tak katastrofalna jak dzisiat w większości krajów trzeciego i czwartego świata, gdzie nie można sobie wprost poradzić z prawem Malthusa. Istniał oczywiście nadmiar ludności chińskiej, a także bieda we wsiach Europy Środkowowschodniej między wojnami...

K. G. Oraz spragniona stanowisk inteligencja, co jest także typowe dla Trzeciego Świata.

J. R. To prawda, ale w niektórych dzisiejszych państwach Trzeciego Świata obserwuje się zjawisko, które nie sądzę żeby istniało w Europie Środkowowschodniej między wojnami. Mam tu na myśli stary termin i starą koncepcję Maxa Webera, mianowicie sultanizm. W sultanistycznych systemach politycznych władca uważa państwo właściwie za prywatną własność — jak „cesarz” Bokassa w Republice Środkowoafrykańskiej, Marcos na Filipinach, Mobutu w Zairze czy nieżyjący już Duvalier i Trujillo na Karaibach — i do i do siebie i swojej rodziny. Taki rodzaj korupcji nie istniał moim zdaniem w Europie Środkowowschodniej, może za wyjątkiem króla Zoga w Albanii. Z drugiej strony Zog poczuwał się do odpowiedzialności wobec swojego klanu. Pomagał rodzinie, ale nie tylko najbliższej, lecz całemu klanowi.

K. G. Obecnie jednak gospodarki krajów Europy Środkowowschodniej są daleko w tyle za Zachodem, a niektóre z nich przypominają

bardziej Trzeci Świat. Mimo to większość społeczeństw odczuwa kulturową więź z Zachodem. Gdzie w takim razie należałoby je uniejszczyć?

J. R. Przede wszystkim obecne zacofanie gospodarcze Europy Środkowoschodniej jest w dużej mierze wynikiem tak zwanego nieuniknionego procesu historycznych. Jest to duży mierze rezultatem rządczych błędów poczynionych przez partie komunistyczne, ich katastrofalnej polityki. A zatem jest to raczej błąd ludzki, nie zaś konieczność historyczna. I można było tego uniknąć, gdyby komuniści przywiązywali większą wagę do racjonalnej gospodarki niż do politycznego monopolu na władzę. Dzisiaj rzeczywistość gospodarki krajów Europy Środkowoschodniej ma znaczenie raczej marginalne w porównaniu z Europą Zachodnią i kiedy zostaje wystawiona na próbę przez rynek światowy, na który reżimy środkowoeuropejskie teraz wejść, okazuje się, że nie wytrzymuje konkurencji. Światowy rynek mówi: nie chcemy waszych produktów. Obawiam się, że sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu po 1992 roku, kiedy gospodarcze zjednoczenie Europy Zachodniej ma rzeczywiście doprowadzić do istotnego kroku naprzód w wielu dziedzinach. I mam tylko nadzieję, że rok 1992 nie skaże państw Europy Środkowoschodniej na zależność gospodarczą od Związku Radzieckiego. Nie obawiam się tego jak mógłbym, ponieważ przynajmniej, że dzisiaj Związek Radziecki także nie chce odizolować się od światowego systemu gospodarczego. Wydaje się, że Gorbaczow, jeśli przetrwa, gotów jest zbliżyć się do rynku światowego i wtedy ten ostatni zobliguje państwa Europy Środkowoschodniej w sposób bardzo bolesny do dostosowania się do nowych warunków. I możliwe, że będą zdolne się dostosować, ponieważ mają bardzo wykształconą ludność i bardzo fachową elitę opozycyjną — to znaczy opozycja jest naprawdę zdolna kierować tymi państwami. Reżimy nie chcą tego przyznać, ale ja sądzę, że opozycja jest naprawdę kompetentna. Wykształcenie, techniczna i kulturowa kompetencja, oraz inne zasoby społeczeństw Europy Środkowoschodniej sprawiają, że państwa te są potencjalnie zdolne do sprostania wymogom światowym.

K. G. Ale właśnie to zacofanie jest jednym z powodów, dla którego zachodnioeuropejczy często myślą o Europie Wschodniej z lekceważeniem. Trudno mówić o „wspólnocie” jeśli zachodnioeuropejczy mają skłonność do ignorowania swoich wschodnich sąsiadów.

J. R. Czy sądzi Pan, że rzeczywistość tak jest? Nie jestem pewien, czy pogląd zawarty w Pana pytaniu jest rzeczywistością zasadną. Sądzę, że zachodnioeuropejczy przestali natrzeć na mieszkańców Europy Środkowoschodniej z pogardą jak to miało miejsce przez długi czas, jako zacofanych i nie wartych ich wysiłków. Wydaje mi się, że istnieje teraz ogromne zainteresowanie Europą Środkowoschodnią we Włoszech, Francji i w Niemczech. Być może Pana pytanie jest wyrazem rozczarowania z faktu, że kiedy wprowadzono w Polsce stan wojenny w grudniu 1981 roku, zachodnioeuropejskie elity rządowe stwierdziły: „Och, to ratuje nas przed strasznym dylematem, o była konieczność”. Tak właśnie powiedział wtedy zachodnio-niemiecki kanclerz Helmut Schmidt: „Szkoda, że to było konieczne, ale jednak było”, ponieważ obawiał się, że niepokój w Polsce przekształca się w kryzys na całym kontynencie. Ale niemiecka opinia publiczna (i naprawdę chciałbym to podkreślić), zachowała się bardzo dobrze: wysłano dwadzieści tysięcy paczek żywnościowych do Polski. Jeśli porówna się to z latami trzydziestymi, kiedy Niemcy mówili o „Polnischer Saisonstaat” i stosowali inne lekceważące terminy, to robi to wrażenie. Sądzę, że Brytyjczycy są bardzo przyjaźnie nastawieni do polskich studentów. Kiedy pan mówi

o obojętności, to ma pan zapewne na myśli fakt, że zachodnioeuropejczy i Amerykanie nie są przygotowani do poniesienia poważnego ryzyka, aby uwolnić Europę Środkowoschodnią spod sowieckiej dominacji i że nikt nie analizuje na nowo Jaltę w sposób konkretny. To prawda, że pod względem moralnym ludzie ubolewają nad Jaltą, ale nie są przygotowani na żadne ryzyko zmierzające do jej zmiany. Ale nie zgadzam się, że oznacza to obojętność.

K. G. Ostatnie pytanie o Europę Środkowoschodnią jest trochę podobne, ale występuje w nim pewien element, który różni je od poprzedniego. W moim rozumieniu Pańska książka „Return to Diversity: A Political History of East Central Europe Since World War II” (Powrót do różnorodności: historia polityczna Europy Środkowoschodniej po drugiej wojnie światowej) mówi o przełamaniu pozmocnego monolitu stworzonego przez Stalina; proces, który ukazuje dużą dozę narodowego charakteru tych państw, a nawet zadziwiającą ciągłość kultury politycznej charakterystycznej dla okresu międzywojennego na tych terenach. Sądzę, że wszyscy zgadzają się, iż na tym obszarze panuje różnorodność. Interesującym zagadnieniem wydaje się sprawa, czy istnieje tam jakaś jedność kulturowa?

J. R. Jestem politologiem, a nie historykiem kultury, a więc wprowadził mnie Pan na śliski grunt. W pewnym stopniu zdaje się istnieć zbliżona jeśli nie jednolita kultura opozycyjna prawie we wszystkich państwach Europy Środkowoschodniej: dysydenci w dziedzinie kultury wzajemnie się popierają. Czeszy dramatyzują, polscy poeci i jugosłowiańscy pisarze — oni naprawdę wspierają się wzajemnie, korespondują ze sobą i starają się chronić jeden drugiego przed prześladowaniami policji. Istnieje także mój zdaniem w znacznej części Europy Środkowoschodniej kulturowa nostalgia za Cesarstwem Austro-Węgierskim. Nie znaczy to, że poważnie myśli się o rekonstrukcji cesarstwa pod względem politycznym, ale że istnieje poczucie, iż Słowacy, Czesi, Węgrzy i Chorwaci mają ze sobą wiele wspólnego w wyniku tych kilku wieków wspólnego bytowania — pewien styl, pewną tolerancję, pewną uprzejmość, pewną tendencję do wielojęzyczności. Także niektóre całkiem prozaiczne sprawy, jak te żółto-brązowe dworce, które przetrwały wszędzie w państwach stanowiących poprzednio część cesarstwa.

Myślę, że kiedy mieszkańcy Europy Środkowoschodniej posługują się terminem Europa Środkowa (powracam teraz do Pana pierwszego pytania) mają na myśli „z dala od Moskwy”. Kiedy Niemcy używają terminu Europa Środkowa mają na myśli „z dala od Waszyngtonu, Paryża i Londynu”. Wydaje mi się, że sam termin został najpierw użyty przez Niemców, przed i w trakcie pierwszej wojny światowej przez Friedricha Naumanna, a także Thomasa Mann. Ich intencją było odrogięcie się od angielskiego drobno-mieszczaniskiego empiryzmu i francuskiego „egalitarnego” racjonalizmu; Europa Środkowa oznacza właściwie „głębszą” niemiecką romantyczną duszę. A zatem termin ten dzisiaj oznacza coś zupełnie innego niż to miało miejsce na początku wieku, kiedy *Mittleuropa* stanowiła niemiecki termin na pomniejszenie angielskiej i francuskiej kultury politycznej. Obecnie Europa Środkowa, czy w naszym przypadku Europa Środkowoschodnia oznacza oddalenie od Moskwy. Zwracają się do Rosjan mówiąc: Zostawcie nas w spokoju. Nie wiem, czy mieszkańcy Europy Środkowoschodniej niepokoją się ewentualnością ponownego dostania się w sferę nadmiernych wpływów niemieckich. Nie wiem, czy Niemcy są postrzegane jako zagrożenie gospodarcze dla Europy Środkowoschodniej, ale wątpię, czy tak jest. Nie sądzę, że ma to też miejsce pod względem kulturowym, a już na pewno nie militarnym, ponieważ Niemcy Zachodnie są dalej trzymane na wodzy przez NATO. To prawda,

powojenne ekipy rządowe w Polsce starały się zdobyć wiarygodność wśród polskiej opinii publicznej, mówiąc: Patrząc, rząd zachodnio-niemiecki nie pogodził się z uzyskanymi przez nas, czy też odzyskanymi terytoriami. Ale potem Willy Brandt przyjechał do Warszawy na początku grudnia 1970 roku i padł na kolana ze skrzupą, a potem kilka dni później Niemcy Zachodnie uznały polskie ziemie zachodnie i wtedy polski reżim stracił tę kartę. Nie wydaje mi się, żeby w Europie Środkowowschodniej odczuwano szczególnie strach przed Niemcami, nawet w Polsce.

K. G. *Trudno powiedzieć. Myślę, że jedno na co zwraca się uwagę jeśli chodzi o uznanie granicy na Odrze i Nysie to to, że jest ona uznawana dopóki Niemcy są podzielone, a może być kwestionowana w razie zjednoczenia Niemiec.*

J. R. Nawet jeśli ono nastąpi, to zjednoczone Niemcy musiałyby na nowo uznać tę granicę, ale ja nie sądzę, że sprawa ta jest obecnie na porządku dziennym, ani zjednoczenie Niemiec ani rewizja granicy niemiecko-polskiej. A odzyskanie zachodnie i północne ziemie polskie są obecnie pod względem demograficznym całkowicie polskie. Europa Zachodnia i NATO jako takie nie pozwoliłyby na zmianę tego stanu rzeczy przy użyciu siły.

K. G. *Czy chciałby Pan krótko skomentować sytuację w Polsce i jej implikacje dla Europy Środkowowschodniej jako całości w świetle niedawnej umowy zawartej między PZPR a Solidarnością?*

J. R. Otwiera ona możliwości, ewentualności i drzwi. Ale te drzwi mogą także znowu zostać zatrzaskane. Sądzę, że Wałęsa i jego doradcy przyjęli w tym porozumieniu postawę bardzo umiarkowaną, nawet konserwatywną. Mam nadzieję, że żle nie obliczyli.

K. G. *Zakończmy wywiad bardzo osobistą nutą. Może czytelników zainteresują Pana obecne plany.*

J. R. To jest dopiero problem! Dla narodów Europy Środkowowschodniej jest dobrą rzeczą, jak sądzę, że zaszło tam tak wiele zmian od kiedy moja książka poszła do druku, ale mnie zobowiązuje to do przygotowania wkrótce drugiego wydania. Poza tym mam niejasne przeczuć, że moja następna książka mogłaby dotyczyć kultury i wojny. Czy są jakieś specyficzne dla grup etnicznych czy narodów sposoby prowadzenia wojny? Na razie nie mam jeszcze sprecyzowanego zdania na ten temat, żadnego „klucza”. Byłoby to dla mnie całkowicie nowe przedsięwzięcie, ale sprawa ta mnie jakoś intryguje. Jedyna książka w moim dorobku, która nie dotyczyła tego czy innego kraju Europy Środkowowschodniej czy regionu jako całości, to książka zatytułowana *Ethnopolitics (Etnopolityka)*. Wyszła w 1981 roku. W latach dziewięćdziesiątych zechcę może wrócić do tematu etnopolityki, tym razem stawiając pytanie, czy w różnych ludzkich wspólnotach istnieją charakterystyczne sposoby prowadzenia działań wojennych.

K. G. *Europa Środkowowschodnia dostarcza niestety wiele materiałów do rozważań.*

J. R. Na przykład, czy jest coś narodowo charakterystycznego w polskim zamłownianiu do kawalerii czy to tylko rezultat uwarunkowań gospodarczych i geograficznych? A może przeniknęło to w ludzkie dusze?

K. G. *Dziękuję za rozmowę.*

Kwiecień 1989

IAJOS PALFALVI

NAD TEKSTAMI VINCENZA

Stanisław Vincenz nie jest jeszcze na Węgrzech zbyt dobrze znany. Publikacje, jakie ukazały się w miesięcznikach, że zrozumiałych względów ograniczają się do esejów powstałych na Węgrzech i Węgier dotyczących. Jeden z węgierskich publicystów nawiązał do esaju *Hungarica. Dur* przyjaźni, zwracając uwagę na swego rodzaju regionalny polsko-węgierski imperializm kulturowy. Rzeczywiście, regionalizm może być punktem wyjścia do zapoznania się z Vincenzem, skoro temat ten obecny jest w jego twórczości. W szkicu *O możliwościach rozpowszechnienia kultury i literatury polskiej* Vincenz wprowadza praktyczne i użyteczne rozróżnienie, dzieląc tradycje sposoby wymiany kulturalnej na dwie grupy: do pierwszej zalicza indywidualne prace wielkich odkrywców, do drugiej — nazywa ją aleksandryjską — bezimienną i grupową działalność wielkich centrów kulturalnych. Rozpatrywać twórczość Vincenza wyłącznie w aspekcie regionalizmu byłoby błędem, formułowane przez niego idee pozwalają wyjaśnić stosunek wzajemny Europy i regionu. W epoce klasycznej uniwersalizm i regionalizm to nie dwie przeciwstawne, lecz dwie wzajemnie warunkujące się tendencje. Podobne stanowisko u Vincenza nie dawał, gdy zważył, że budowę jego esejów Andrzej Stanisław Kowalczyk sprowadza do konstrukcji dialogów Platona, jednakże sam regionalizm nawet w szerokim ujęciu nie wystarcza, by wyjaśnić właściwości swatopoglądu Vincenza.

Stosunki Vincenza z wiekiem dwudziestym pełne są napięć. W epoce relatywizacji wartości ukazują one bohaterów o niezaprzeczalnym autorytecie. Milozet w esaju *La Combe* wyróżnia spośród nich postaci Baal Szem Towa i Dobosza. W utworach Vincenza obok mądrego czarnoksięzkiego, mistra i herca zbrojników występują najczystszy archetyp pastera, dobrego gospodarza, człowieka posiadającego ojcowski wręcz autorytet. Taką postawą wymaga bardzo solidnego systemu wartości. Vincenz zobowiązuje się wobec czegoś, co głębiej i bardziej pierwotnie niż kryzysowe współczesne kierunki literackie. To coś możemy nazwać metaforycznie, ale nie bezpodstawnie, złotym wiekiem. W epilogu *Barwinkowego wianka* w tej właśnie epoce chłopiec wybiera za sobie jednego z bohaterów. Raz gdy Fuka Szumajowy zapełniał po schodach od dziadka, chłopiec przypatrzył mu się. Obserwował go z podziwem. Jakby ryzyka z prozownej dawności, jakby istotę bajecką. Fuka nie zauważył chłopca, patrzył przed siebie śmiało, ale nieruchomo. Jakby nie patrzył nigdzie. Łaskawie uśmiechał się do jakiegoś dła. *Niewie do dawności świeżej — marzył sobie Siana*.

Ale Vincenz jest także człowiekiem ze złotego wieku w pierwotnym znaczeniu tego słowa. Złoty wiek to był naturalny, jakby istotę bajecką, podziwający jej archaizm pełnię, wie Vincenz także, że bez pisma zgine on nie pozostawiając śladu. W esaju *Hungarica. Dur* przyjaźni tak pisze o funkcji świadomej działalności wybrał dziecko.

Przejęcie ze złotego wieku w czasy historyczne nastąpiło wraz z tym, jak kultura przeszła od tradycji ustnej do pisanej. Zobowiązany wobec tej pierwszej, podziwiający jej archaizm pełnię, wie Vincenz także, że bez pisma zgine on nie pozostawiając śladu. W esaju *Hungarica. Dur* przyjaźni tak pisze o funkcji świadomej działalności

kulturalnej: *Trzeba jednak pamiętać, że stosunki między nowoocześniejszym społeczeństwami nie opierają się ani na tradycji tylko, ani na mimowolnych sympatiach tych warstw, które nie mogą dać świadomego wyrazu, ani nawet na samych zarządzeniach rządu politycznego, chociażby były dalekowzroczne. Jeśli świadome zbliżenie warstw tworzących kulturę nie nastąpi, to owe nastroje i mimowolne żywiołowe reakcje ulotnią się i będzie z nich mniej śladu niż z współdziałania Bema, bo nie zostaną uwalnione.*

Vincenz w tym sensie różni się od tradycyjnych przedstawicieli wymiany kulturalnej, prowadzących działalność na polu przekazywania rozwiniętych piśmiennych kultur. Nie podejmuje się ochrony i przekazywania takich wartości, które bez niego być może zginęłyby bezpowrotnie. W pewnym sensie dzięki niemu tradycyjni system osiąga formę istnienia unoszącą jego przetwarzanie.

Znając prądy psychologii dwudziestego wieku, Vincenz na nowo definiuje pojęcie kultury. Podobnie jak Jung uważa mit za produkt kolektywnej podświadomości. Odrzuca pojęcie tradycyjnego folkloru, zamiast tego mówi o pozostałościach szczególnej archaicznej kultury religijnej. Struktura ludowa porównuje do gleby, która jest konieczna do rozwoju innych sztuk.

Po tym wszystkim wydaje się zrozumiałe, że w epoce literatury sterylnej, autematycznej, właśnie powieść uważa Vincenz za narzędzie do działalności ratującej wielkie wartości, powieść familijną o ogarniającej cały kraj rodzinie, powieść historyczną o nieopisanie, a więc nie widzianej lub nie słyszanej historii. Swobodnie wybiera spośród różnych możliwości przekazu: opowiadania, legendy i traktaty następują po sobie.

Można natomiast wykrącić związek doświadczenia z pojęciem idylli. Idylla otrzymuje swą tragiczną perspektywę z uanożonej lub tylko zasygnalizowanej katastrofy. Statyczny, zamknięty w sobie stan nie zna refleksji — w tym znaczeniu przeżyte idylli nie można. Można ją tylko rozpoznać w przeszłości. Jest tym, co utracione, jak na przykład w *Panu Tadeuszu*. W eposie napisanym na wygnaniu, wspomnianym wiek zstąpi, każdy szczegół utraconego świata jest ważny, a owi świat jest bliższy i przetrzyty. Takie też są perspektywy *Kronik stolicy górskiej*, Bohatera epilogu. Siłkę, uformował ten świat, od którego w chwili odjazdu z dworu do szkoły chłopiec symbolicznie się odrywa na zawsze i wchodzi do kultury pisanego, do historii. Marzenia sprzed pozegnania uanożniają głębokie pragnienie, aby czas teraźniejszy, czas bezbronny i skazany na zagładę niepiśmianej historii wchodził do świata historii oficjalnej i przetrwał go na swe podobieństwo.

Po ulicach Berlina, bardziej rojących niż rynek kolonijalski i mnio nawet wspaniałych niż ulice Lwowa, w wysoch pasach, w rogach czasach, z błąszącymi harakami zwły się smiałe postacie ludzi lasowych na koniach górskich. (...) Nie było odgłosów wiekłych ani chorych. Pimpulinka wyrzuciła życzenie, by wszędzie były sady, by całe góry były jednym sadem. Wszędzie słychać było głosy fularów i skrzypiek, muzykę i sprawy. Ludzie błogosławili Pimpulinkę. Siłuna zaprowadziła wspaniałą swobodę, tak jak mu opowiadał Kuzek, prawo wierzchowiankie, siarę prandę. Wcale nie w Warszawie ani nawet w Krakowie. lecz tutaj w górach, moze na jeziorom Szymbrow, mieli stolicę. Stąd rzadziło królestwem huculsko-polskim od morza do morza...

Jednakże idylla istniała nie tylko w wyobraźni. Vincenz pokazuje Galięć ubiegłego wieku, gdzie w epoce tak zwanego feudalizmu oświeconego powstała już miejscowa autonomia, rozpadły się struktury tradycyjnej przemocy i w późnym okresie panowania „naszego cesarza” narodziła się delikatna harmonia. Tak jak sale tortur starych zamków przekształciły się w muzea, a ogrody w parki, tak samo stopniowo rozluźniła się administracja Monarchii, rysując przed rozczarowanymi radykalizmem myślicielami złudną nadzieję wiecznego pokój i pokojowego połączenia ziem polskich. W ten sposób proces pozukiwania idylli, patrząc z punktu widzenia późniejszego, świadomego stanu, urodził do punktu wyjścia. Po dziesiątkach lat dziecko powodzi do starych obrazów zachowanych w pamięci i epolog zamknął się przybył z przyszłości sprawiedliwość odwołaną temu okresowi: *A po latach, podczas ciężkiego okresu wojny i wrogoci, wspominał dwóch starych ludzi, jak siedzieli w domu nad Czeremoszem: zrozumiał, że już wtedy świat, tam nad Czeremoszem, był mądry, dobry i szczęśliwy.*

Katastrofy, które można uważać za organiczną część idylli, przepowiadają znaki przyrody. Metafora pokój złotego wieku jest czysta górską jasną, metafora katastrofy — zrywająca się nagle wichura. Idylla, jak mogliśmy zobaczyć, nie wypada

całkiem poza czas historyczny, istniała jakaś szansa, by w wyniku którego procesu ewolucji mogła wejść z nim w harmonię, zachowując jednocześnie swoją tożsamość. Jednakże zagłada pod maską postępu brutalnie przerywa ciągłość czasu teraźniejszego.

Rzecz bowiem w tym, że postęp, jak pastuch, bynajmniej niepowolny, nie ten zagadny i nie gadowski, lecz jak srogi i sprawny poganin, najmita kłupieci, popeda nas biczyskiem odwołanym — naprzd. Nie szczeni baia. W pochodzie „naprzd” wszystko jedno obok kogo się idzie, każdy jednakowy. Jedno potrzebie: pilnować drogi, ile — jak to się mówi — naprzd, choćby ku rzeźni. Bo bałog postępu czwina nad nami. Nie pozwala zatrzymywał się przy nikim, przy niczym. „Wszystkie naprzd”. W takim wyjętym pochodzie całej wielkiej trzody zawsze co nowe, to lepsze. Z konieczności czujemy się każdym nowym postępie i popasem. Nie ma też co wspominać, nie ma po co.

Dzieło tylko metaforycznie wzmiankuje katastrofę, a w swoich ewacjach Vincenz ujmuje jej istotę w duchu pseudouniwersalizmu epoki hellenistycznej, która powodując zanik regionów tworzy własną zagładę. W takich czasach głównym zadaniem działalności kulturalnej jest zbieranie i katalogowanie wartości, jakie zawierała przeszłość. Trzeba wrócić do klasycznych korzeni.

Pozornie nie ma w tym nic nowego. W literaturze regionu do końca obecny jest hold składany klaszkom. W wielu okresach, także w dwudziestym wieku, pojawiają się poeci i grupy z programem neoklasycznym. Jednak między nimi a Vincencem jest różnica podobna do tej, jaka występuje między iwcora klasycznym a klasycystycznym Homer — ulubiony obok Daniego poeta Vincenza — nie miał świadomości, że jest klasycykiem, przełaził w formę literacką ogromny utwór material epicki, ale formy tej nie przejął od jakiegos autorzytu. Klasycyzm przejmie gotowy kanon literacki, a problemy swego wieku sprowadza do klasycznych powstających w epoce klasycznej. Vincenz nie pisze eposu ani iercyn, jego związki ze starożytnością i średniowieczem nie są formalne.

Jeanne Hersch pisze o nim: *Żył za pan brat z największymi autorami wszystkich czasów, w jakiejś kpsarskiej komitewie, w posądym zachwyce. Gdyż oni wiedzieli, tak jak on, że najbardziej zrozumiały utwór mowi o czymś innym, niż to się wydaje i że istota rzeczy żył zawsze gdzie indziej.*

Vincenz jest inny niż ci, którzy nie przeżyli klasycznej pełni i znają ją jedynie w formie strzeżonej przez wysoce kultury. Różni się także od tych, którzy przeżyli ją nieświadomie i nigdy jej nie utracili. Dane mu było spotkanie się z pierwotną harmonią i dane mu było wygnanie z raju. Te dwie rzeczy pobudzają go do tego, by w kulturze wieku dwudziestego, wieku rozpadzonej izolacji i specjalizacji podjąć się niepowtarzalnej, iście homeryckiej pracy.

Lajos Palfalvi

Tytuł wyrażony w czasie konferencji na temat twórczości Stanisława Vincenza zorganizowanej w Budapeszcie w dniach 30 — 30 listopada 1988 r.

JERZY SNOPEK

„NA DNE POPIOŁU GWIAZDZISTY DIAMENT” Kilka uwag w związku z książką Istvána Kovácsa

Autora książki, o której choć tutaj kilka słów powiedzieć, znamy z jednej strony jako przyjaciela Polaków i Polaków, popularizatora i znawcę polskiej kultury, z drugiej strony zaś jako — poe. W ciągu ostatnich kilkunastu lat cząsopisma zamieściły niedogądną rozmowę z Istvánem Kovácsiem, wypowiedział się w polskim radio, a także w telewizji. Z rozmów tych czytelnicy i słuchacze mogli się dowiedzieć o związkach łączących go z naszym krajem, o tym jak pojmuje początek i d „Literatura na Świecie” i „Akcom” opublikowały artykuły o jego twórczości, jego wiersze ukazywały się w rozmaitych czasopiśmie i antologiach. Karierę zrobił zwłaszcza *Sied*, wiersz

poświęcony pamięci Edwarda Stachury (którego utwory właśnie Kovacs tłumaczył na węgierski). Po raz pierwszy wygłoszony był jesienią 1979 roku w Teatrze Stara Prochownia podczas jednej ze Stachuradi, prowadzonych przez Wojciecha Siemion. Później ukazał się w „Tygodniku Kulturalnym”, skąd trafił na łamy innych czasopism i antologii poetyckiej publikowanej w drugim obiegu, a także do programu radiowego. Warto jeszcze wspomnieć o tym, że w Wydawnictwie Literackim od dłuższego czasu czeka na druk wybór wierszy Istvána Kovácsa.

Autor książki: *Na dnie popiołu gwiazdziły diamenty* jako pisarz występuje w podwójnej (co najmniej) roli, ale oddzielenie poety od eseisty i historyka może być oczywiście tylko zabiegami analitycznymi. W rzeczywistości bowiem obce sfery działalności Istvána Kovácsa wzajemnie się przenikają i częstokroć połączone są niezliczonymi, trudnymi do uchwycenia niemi. Wystarczy rzucić okiem, by stwierdzić, że między utworami poety znajdują się wiersze, dla których źródłem inspiracji było jakiegoś wydarzenie z polskich dziejów, jakaś postać z naszej historii, bądź wreszcie jakieś dzieło polskiej literatury czy sztuki. W dorobku Kovácsa znajdziemy również i takie utwory, które czerpią z symboliki bardzo charakterystycznej dla polskiej tradycji kulturalnej.

Wydaje się, że do polskiej literatury i historii István Kovacs chętniej zbliża się jako poeta i artysta-amielik jako profesjonalny historyk, którym w końcu również jest. Znamienne, jak wielką sympatią żywi do niektórych okresów naszej historii, ile emocji i sentymentu wzbudza w nim pewna — nietrudna do określenia — kategoria wydarzeń historycznych. Ma ulubionych bohaterów i — co ważne — wcale tego nie próbuje ukrywać. Takie dowody „poetyckiego” traktowania historii mogą się wydać nie w pełni przekonujące, wszak łatwo wymienić wielu „historyków zawodowych”, którzy w swoich pismach dają wyraz podobnej postawie. Dopowiedzmy zatem, że w przypadku Istvána Kovácsa ten sam system wartości, który przyswaja w pracy historykowi, stosowny także źródło inspiracji dla poety. Sytuacje, w których wyznawane przezeń wartości zdają się urzeczywistniać bądź chociażby różnizną w jakimś dramatycznym spieku przeciwstawnych racji, zyskują nieomalże rangę mitu. Bohaterowie ucieleśniający owe wartości grawitują niepostrzeżenie ku statutowi postaci symbolicznych.

W tym, co zostało wyżej powiedziane, próbaliśmy zarysować stosunek Istvána Kovácsa do historii w takiej postaci, w jakiej objawia się równocześnie w jego pracach historycznych i utworach poetyckich. Ołd — jak się wydaje — osobowość jego skłania się ku temu, by historię tego czy innego narodu nie traktować jako przedmiotu badań zamkniętego w dokumentach, muzeach i dziełach sztuki, lecz ujmować ją jako dramatyczny ciąg wydarzeń, którego jesteśmy ostatnimi, jak na razie, uczestnikami. Stąd bierze się dążenie do skrótu, do skupienia uwagi na tych elementach procesu historycznego, które z danej perspektywy wydają się najbardziej doniosłe, które najmocniej oddziałują na wyobraźnię, a ich wymowa wskazuje na ideale, którym należy dochować wierności. Stąd też upodobanie do metafor. Tylko w metaforze bowiem można zawrzeć to, co wynika z racjonalizacji — mistyczną więź z przeszłością.

W postawie Istvána Kovácsa wobec historii poetycka skłonność do ujęć metaforycznych, do skrótów, heroizacji, dramatyzacji itp. spłata się zatem z pewnym na stanowieniem etycznym, z poszukiwaniem wartości sensu. Nie chodzi tu o naiwne moralizatorstwo, o ignorowanie „nieudzielnego” oblicza historii; lecz o to, co można określić — odwołując się do tytułu książki — szukaniem „diamentu u dnie popiołu”.

W tym, o czym powiedzieliśmy dotychczas, zawiera się najistotniejsza badana forma obcowania węgierskiego poety i historyka z materią dziejów. Nie można jednak przypisywać tej formie wyłączności. Dość przeczytać książkę *Na dnie popiołu gwiazdziły diamenty*, żeby się o tym przekonać. Wszak wiele stron poświęca Kovacs średniowiecznym władcom polskim, monarchi Stefanowi Batorego, sławnym tryumfom i nie zawsze fortunnej polityce Jana Sobieskiego. Możemy jeszcze przeczytać o Polsce epoki Oświecenia, o Polsce podzielonej między obce potęgi, zrywającej się do powstań, odkrywającej niepodległość, a wreszcie — o latach II wojny światowej. Gdzie tu wybór poety, wynikający z jego oryginalnego spojrzenia na całą dziejów?

Ołd w oczach Istvána Kovácsa obydwoje powstaje: historia i artyści nie tylko wspierają się wzajemnie, lecz — w pewnych okolicznościach — jak gdyby zmagają się ze sobą. Tak jak to bywa w życiu, kiedy czasem nagle brzo skłonności i uczucia znajdują się w konflikcie z równie głębokim poczuciem obowiązku.

Jednym z kluczowych pojęć w twórczości Kovácsa jest pojęcie wspólnoty. Wspólnota występuje zarówno w jego poezji, jak i w pracach historycznych. Łączy się z nią le wszystkie idee i działania, które wpływają na jej integrację i rozwój, a zatem — także na współpracę i wymianę z innymi wspólnotami (narodowymi, etnicznymi, religijnymi, kulturowymi itp.). Warunkiem owocnej współpracy jest lojalność wobec partnerów, uznanie ich godności, poznanie ich historii i kultury. W naszym konkretnym przypadku chodzi jeszcze o lojalność pośrednika kulturowego wobec materiału historycznego, zwzak autor omawianych książek musiał mieć świadomość faktu, że należy do zmikomej, kilkusetosobowej grupki Węgrów (a z punktu widzenia pewnych wymogów jest bodaj jedynym), którzy zdolni są udźwignąć tę zaskarżającą rolę, polegającą na przedstawianiu i objaśnianiu meandrow polskich dziejów. Dlatego Kovacs podejmuje się pisać tak że o tych sprawach, które jego samego mniej wprawdzie zajmują, ale których znajomość jest niedozowna dla pełniejszego zrozumienia losów Polski.

A kiedy już to czyni, stara się zawsze o precyzję i wiarygodność. Reaguje wrażliwie na wszelkie — świadome czy nieświadome — zafałszowania obrazu dziejów. W książce, o której mowa, znajdziemy niemalże przykłady takiej postawy historyka. Rzucasz się w oczy szacunek autora wobec faktów, a także — co może czasem zaskakiwać — dar szczególnej narracji. Zresztą drobiazgowość opisu przekształca się niekiedy w swoistą złoć, w miłość szczegółu (np. w rozdziale o Bemie) i inną drogą prowadzi ku temu samemu celowi, co ujęcie metafizyczne i dyptyczne: ku uwzniośleniu bohatera, stworzeniu z nich postaci symbolicznej.

Dodajmy jeszcze, że są u polaków (czy polsko-węgierskich) dziejach takie okresy i węzły problemowe, które absorbują wszystkie strony osobowości twórczej Istvána Kovácsa. Na przykład historia legionu polskiego na Węgrzech znajduje odzwierciedlenie nie tylko w jego poezji i eseistyce; pobudza go także do systematycznej pracy badawczej nad dokumentami. Udane poszukiwania materiału zawoocowały w powstałej niedawno najmniejszej książce Kovácsa, zatytułowanej *Legion*, która przynosi szereg uściśleń i sprostowań w stosunku do dotychczasowego stanu wiedzy.

W pierwszym rozdziale książki *Na dnie popiołu gwiazdziły diamenty* István Kovacs pisze o sobie. Opowiada o tym, jak dorastał do napisania tej książki. Jak kształtował się jego stosunek do historii począwszy od pierwszych wrażeń, zarejestrowanych jeszcze w dzieciństwie (w okresie, nad którym unosił się groteskowo-pomruy cień stalinowskiego wodza Matyasa Rakosiego) aż po gorzkie, choć przedstawione z humorem doświadczenia 23-letniego młodzieńca, postanawiającego, że razem z przyjaciółmi będzie protestował przeciwko zbrojnej inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Spłot rozmaitych wdarzeń, doświadczeń, przeżyć zbliżył go w końcu do spraw polskich. Dodajmy na marginesie, że ten oświetlający książkę rozdział, pełen humoru i świętej ironii trzaski korzystnie światło na narracyjnie uzdolnienia autora.

Jak wyznaje István Kovacs, w ukształtowaniu się jego zainteresowania Polską decydującą rolę odegrały dwa czynniki. Ołd z pierwszej przeczytanej w życiu książki dowiedział się, że w okresie Wiosny Ludów u boku bonawędz walczyli również Polacy. Ten gest solidarności i braterstwa wydawał się przez inny naród wywarł na młodzieńskim czytelniku wielkie wrażenie. Być może zatarłoby się ono w pamięci, gdyby nie pojawił się — po wielu latach — drugi impuls wyzwalający sympatię do Polaków i zainteresowanie ich sprawami. Chodzi o wpływ obciznany, wciąż jeszcze we wczesnej młodości, filmu Andrzeja Wajdy *Podziół i diamenty*.

Można powołać, że źródłem swych polskich fascynacji Kovacs pozostał wiersz do dziejów. Najbliższe jego sercu są bowiem i teraz dwa momenty polskich dziejów: XIX-wieczne walki narodowowyzwoleńcze (jest Kovacs autorem monografii gen. Bema *Egy élet — Bem József*) oraz powstanie warszawskie.

W obydwu idzie o to, jak dana wspólnota — w tym przypadku naród polski (ale także żydowski) — reaguje na ucisk, terror, groźbę zagłady. Jak wyraża się jej stosunek do wolności w sytuacji braku tej wolności lub wówczas, kiedy jest zagrożona. Albowiem, w przekonaniam autora książki, wolność i suwerenność to wartości niezbywalne, bez których nie sposób wyobrazić sobie harmonijnego rozwoju ludzkich wspólnot. Historia Polski dostarcza mądrow świadectw ogromnego przywiązania Polaków do wolności: gotowi są na wszystko, byle ją odzyskać bądź utrzymać. Kovacs ocenia taką postawę niezwykle wysoko. Świadom jest wielkiego znaczenia polskich.

powstań, nawet jeśli kończyły się militarną klęską i przynosiły w konsekwencji nasilenie terroru ze strony zaborców. A przecież i w Polsce zdarzały się okresy, kiedy krytykowano i potępiano „samobójcze” próby zbrojnego oporu wobec zdecydowanie przeważającego przeciwnika. Nawet ulubiony poeta Ištivana Kovica — Cyprian Norwid — zarzucał rodakom zgubną namiotność insurrekcyjną, oskarżając ich o to, że znają jeden tylko rodzaj bohaterstwa, sprowadzający się do śmierci na polu bitwy, podczas gdy istnieć przecież także bohaterstwo o innym charakterze: heroizm codziennej ciężkiej pracy, trudu twórczego, niezłomnego dążenia do doskonałości. Dziś już jednak jasnie może widzimy głębszy sens owych „okazanych na klękę” walk o niepodległość (pewnie z oddalenia łatwiej się godzić się na ofiary). Widzimy, że nawet opłacone krwią i owocujące zwiększonym terrorem miały wszakże i ten zbawiencki skutek, że nie pozwalały narodowi zapomnieć o własnej tożsamości, a obcym ciągle przypominały, że sytuacja Polaków nie jest normalna. I w tym właśnie widzi Kovica istotną wartość tych wszystkich straconych na półór gestów.

Także w powstaniu warszawskim pociąga go zaświadczone wówczas gotowość do największych poświęceń w imię wolności i ludzkiej godności. Przedstawia wydarzenia analizując okoliczności, ale spomiędzy wierszy wyzera podzw dla postaw wykraczających niejednokrotnie poza tradycyjnie rozumiany patriotyzm. Pociągają autora skrajnie sytuacje egzystencjalne oraz dylematy moralne (choćby takie, jakie znajdujemy w książce Kazimierza Moczarskiego *Rozmowy z katem*). Nie jest przypadkiem, że tego rodzaju problemy przewijają się również w poezji Ištivana Kovica. Spotykamy się z nimi także w jego interesujących esejach i traktatach w polskim filmie (szczególnie we fragmentach poświęconych filmom Wajdy).

Sądzę, że nie jest przypadkiem również i to, że autora omawianej książki tak pasjonują dzieje wojen, powstań, konfliktów. Wszak w nich właśnie możemy się natknąć na piękne przykłady heroizmu, solidarności, bezinteresownego poświęcenia, w nich ujawniają się też w wyrazistej formie te wartości, które z punktu widzenia przełwania wspólnot są niezbędne.

Problematyka tego rodzaju — jak dla autora ważna — przejawia się także w esaju mówiącym o rozpadzie Adampola, polskiej wsi na terenie Turcji. Dramatyczny i elegijny zarażem ton tego pięknego esaju uzmysławia nam, jak bolesny dla narodu jest proces wiodący go do znacznej utraty krwi nie w warunkach wojny i walk, ale w okresie pokoju. Czyżby zagłada — zastanawia się autor — była nieodwracalnym losem tych wspólnot, które znalazły się w oddaleniu tracąc z wolna życiodajny kontakt z matką?

Ištivan Kovica: *Hamam çağları gıyimat*. Budapest 1982. Teksty wygłoszone na spotkaniach autorów Katedry w Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie 1 XII 1988 i opublikowane w serii „AİEM” (1989 nr 9).

MALGORZATA I ARĘKÇA-KOECHIEROWA

„URZĄD NASREDDINA HODŻY” pierwsza komedia turecka w zbiorach polskich

Turecko-polskie paralele i relacje w dziedzinie szeroko pojętej sztuki przedstawiania ciągle czekają na swego badacza. Co do mnie, opowiem o spotkaniu z tureckim dowcipniem Nasreddinem Hodżą, bohaterem sztuki napisanej w konwencji tureckiej farsy ludowej, taktili oyunu.

Jesienią 1968 roku, w rozdziale *Historii literatury tureckiej* poświęconym nowożytnej dramaturgii, wspominając o tym, że za „ojca tureckiej dramaturgii” uważano się dotychczas İbrahim Sinasi (1826—1871), pisałam: *Musim jednak zaszczepił ową istnienie utworów wcześniejszych, jak anonimowy manuskrypt z pocz. XIX w. („Vekavî i Acibe w Hovada-i Garibe i Keffer Ahmed”, czyli „Niezwyczajne przygody i dziwne opowieści szewca Ahmeda”, przekład Łódź 1809 r.) i stanowiący trzyaktowa sztuka ludowa (farsz). Ciekawe, że — poza Wiedniem — jeden jej egzemplarz znalazł się: przekładami znajduje się w Poznaniu, obok dotowanej również na początku XIX w. farsy ludowej (taktili oyunu), opartej na faceciach Nasreddina Hodży.*

W publikacji, która miała przedstawiać dzieje tureckiej literatury w zarysie, nie mogłam się nad tym zagadnieniem zatrzymać. Przeczując jednak domosłód istnienia sztuki, datowanej na pocz. XIX w., a me notowanej dotychczas przez tureckich teatrologów — postanowiłam przeprowadzić nad tym zabytkiem badania. Moim celem było znalezienie odpowiedzi na pytanie: Czy sztuka o Nasreddinie Hodży (w skrócie: N. H.) jest dziełem tego samego autora, który napisał *Vekavî i Acibe...* (w skrócie: *Przygody szewca*), czy też nie? Kto był autorem komedii o N. H. (lub też obu sztuk) i kiedy została ona napisana?

Na str. 144 *Katalogu* figuruje opis manuskryptu *Przygód szewca*, bliźniaczko podobny do opisu *Urzędu N. H.*, ograniczam się więc do przytoczenia tylko jego fragmentów: „...„Vekavî i Acibe...” „Dziwne przygody szewca Ahmeda”, sztuka ludowa (farsz) w 3 aktach. Po tekście tureckim następuje tłumaczenie na język niemiecki i francuski, dokonane przez J. Lippę oraz tłumaczenie na język włoski. Przekład włoski, którego autorem jest Tosta, अपत्रोनो दा: 1809 r.; jako kopista tureckiego tekstu figuruje Domhary.

Opierając się wyłącznie na opisie *Urzędu N. H.*, zamieszczonym w *Katalogu*, poinformowałam o istnieniu tego manuskryptu Metin Anda, wybitnego tureckiego teatrologa i zwierzyłam mu się z moich planów.

Następna moja czynność była porównanie obu opisów, co pozwoliło mi już wysnuć pewne wnioski.

Oba anonimowe utwory stanowią przedmiot zainteresowania tych samych osób z kręgu „jeunes de langues”: a w szczególności: 1) Johanna Lippę (vel Jean de Lippe), kopistę i autora przekładu *Urzędu N. H.* na język niemiecki oraz przekładów na francuski i niemiecki *Przygód szewca*; 2) Jeana de Franc (vel Gio de Franc) tłumacza *Urzędu N. H.* na francuski i włoski oraz 3) Franzę Domhary (1758—1810), którego et libris figuruje na okładce i który był również kopistą poznańskich *Przygód szewca*. Fakt ten miał dla naszych badań zasadnicze znaczenie, albowiem o Franzu von Domhary, jako znanym orientalisce, wspominają nie tylko niemieckie źródła. Powiązanie jego osoby z obu manuskryptami pomogło mi w ustaleniu orientacyjnej daty powstania zabytku.

Na podstawie analizy katalogowych opisów można było wysnuć przypuszczenie, że oba zabytki powstały w okresie, kiedy to zainteresowania J. Lippę, F. Domhary i B. Tosty były wspólne, a więc zapewne wówczas, gdy przebywali w Wiedniu, być może w murach tej samej uczelni. Jedyną datą, widniejącą przy włoskim przekładzie *Przygód szewca*, zamyka niejako prace translatorskie i można by ją traktować jako wskazówkę, że obie sztuki powstały przed 1809 r.

Nie bez znaczenia był również sam fakt zachowania się obu zabytków (stanowiących niewątpliwie pewną całość, chociażby ze względu na nazwiska kopistów i tłumaczy), nie w zbiorach wiedeńskich, lecz na terenie ziem polskich, gdzie już w 1885 r. w Poznaniu zostały objęte *Katalogiem* Biblioteki Rządowych Wiedenskich Biblioteki Narodowa dysponuje jedynie egzemplarzem *Przygód szewca*, który został tam oddolniony przez prof. Fahr i z w 1956 r., a w 1958 opublikowany w „Türk Dili ve Edebiyatı” (II, VIII, s. 44-72). Kopista wiedeńskich *Przygód szewca* nazywał sam siebie İskeriç, co jest prawdopodobnie pseudonimem Dropi, którym rękopisy dotarły do Poznania, mogły być różne, jedno jest jednak pewne: — przedśledzenie tych dróg, nasłanianie proveniencji manuskryptów może nam pomóc w odnalezieniu osoby autora. Ważne jest również to, że kopista poznańskich *Przygód szewca* był Domhary, podczas gdy egzemplarz wiedeński podpisał nikomu nie znany İskeriç. Istnieje więc możliwość porównania obu rękopisów, co pozwoliłoby stwierdzić, czy są to kopie, sporządzone w oparciu o nie znany nam oryginał, czy też są to dwa egzemplarze tej samej farsy, pisane pod dyktando. Przekonywał się również, czy niedostaki ortografii i uję zawrę poprawne zwroty z lektury „osmanlydza” były potknięciami İskeriça i Domhary, czy też samego autora.

W kwietniu 1969 r. nadzrzedzi z Poznania rękopis *Urzędu N. H.* Rezultaty wstępnych badań okazały się bardzo ciekawe, uzupełniały bowiem dane podane w *Katalogu*. Gruby reszty okładki szary papier z aktualną sygnaturą, a pod papierem, na stywnię, jakby wyluszczonej oprawie, można odczytać ledwie widoczny napis. Skreślony zamazany napisem przy użyciu ołówka o grubym graficie. Napis jest polski i brzmi: 2 tureckie komedye z niem. tłumacz.

Zeszyt zawierał wszakże tylko jedną „turecką komedię”, a więc ta druga są pewnie — pomyślałam — *Przygody szewca*. Widocznie kolejność sygatur (283 i 284) nie jest przypadkowa i manuskrypty stanowią pewną całość, właśnie owe 2 *turcisk komedije*. A więc przypuszczenie, że są one dziełem jednego autora, staje się bardziej prawdopodobne.

Po wewnętrznej stronie okładki, na naklejce, widnieje podpis prof. dr. Ananiasza Zajczkowskiego, który wypozyczal manuskrypty olem jego opisania, poniżej nazwisko T. Majdy, autora *Katalogu*.

Pórnównanie karty tytułowej i jej opisu w *Katalogu* zwróciło moją uwagę na błędne odczytanie tytułu oryginału, który powinien brzmieć: *Nasr ed-Din Hogani'll manufili*, co się włącznie tłumaczy: *Urząd N. H.* Poniżej tytułu kopista umieścił informację: *taklid oynuldu*, co oznacza, że utwór jest komedią a raczej ludową farą. Musiałam więc co przedjęt powiadomić o tym Metin Anda, gdyż opierając się wyłącznie na *Katalogu* podalam mu błędne brzmienie tytułu. Posłałam mu również dokonana pospiesznie transkrypcję manuskrytu, którą opublikował w „*Türk Dili*”, 1969, z. 214. Lekcji tej M. Anda nie był oczywiście w stanie sprawdzić z oryginałem i listem z dn. 20.06.1969 powiadomił mnie, iż ogłasza ją na swoją odpowiedzialność.

Intryga szkici sprowadza się do tego, że o zaszczytny i lukratywny urząd muderisza tj. nauczyciela ubiegają się równocześnie: ubogi i dobroduszny Hodzy Nasreddin i bogaty hajduk, Uzun Osman. Stronnicwo Hodzy stanowią: jego syn, Mehmed i przyjaciel Ahmed Aga, którego dobrym znajomym jest Kethuda, prawa ręka Bega Współolatoru szalibierów. Uzun Osman jest Ogrodnik. Na szczęście Beg okazał się „panem mądrym i sprawiedliwym” i urząd muderisza przypadł docieplennemu Hodzy.

Akcja, której przebieg dzieli się na wódr europejski na „akty” (a właściwie — na sceny), wypełnion moim godzinie przedstawieniami. Całość napisana jest czystą i jedyną tureczyszczą, a lektyka i frazeologia osmanlijska występują jedynie w rozmowach, prowadzonych przez Bega lub w jego obecności. Osmanlijska był bowiem — jak wiemy — językiem elity imperium.

Tak zwękie, prouto i lapidarnie nie wypowiadał się wówczas żaden ze znanych pisarzy i trzeba było prawie półtora stulecia, aby język poloczny wszedł do piśmiennictwa warstw oświeconych.

Na przełomie XVIII i XIX w. podobną tureczyszczą mógł posługiwać się albo jakiś twórcza ludowy albo ktoś, kto ludem nie gardził, jak gardził nim pisarze i urzędnicy Wysokiej Porty. Nasz anonimowy autor musiał też znać ówczesną komedię europejską — francuską i włoską, bo jego sztuka wzoruje się na niej formalnie, napisana jest zęcznie, a jej akcja toczy się żywo.

Jedli autor *Urzędu N. H.* nie był z pochodzenia Turkiem — rozważałam — to spędził w Turcji wieki lat i obracał się nie tylko w urzędach i przy dworze (jak większość Europejczyków), ale i wśród ludzi. Musiał również brać udział w życiu ulicy i oglądać występy wędrownych zespołów, odwodzić się bowiem do takich efektów, jak kalambur, występujący w całym tureckim folklorze, a zwłaszcza w teatrze jarmarczonym.

Przyzeli turkolodzy, dragomani i tłumacze, kształcący się w Wiedeńskiej Akademii, nastawieni byli przede wszystkim na „*langue osmanli*” czyli osmanlijską, język dworu, urzędu i literatury. Świadczy o tym chociażby dramat osnuty wokół osoby Hacı Bektaşa Vekiego i utworzenia przez formacji Janczarów, napisany przez Thomasa Chaberta, wydany w Wiedniu w 1810 r. Wprawdzie w didaskaliach Chabert legitymuje się dobrą znajomością języka mówionego, lecz jego stylizyka różni się znacznie od stylizacji dialogów i didaskalii *Urzędu N. H.*

Autorem naszej komedii nie był więc raczej żaden ze studentów, lecz w kręgu „*jeunes de langues*” musiał być znany; mógł być ich kolega, lub wykładowcą (na przykład lektorem), albo po prostu — znajomym. W każdym bądź razie należy się spodziewać, że był to ktoś wywodzący się z kręgów oświeconych. Ludzie oświeceni nie pisywali wówczas utworów literackich tureckim językiem mówionym, choć każdy język ten znał, ażeby bowiem do porozumienia się z „plebem”. Pisało się wówczas w osmanlijsku. Posługiwaniu się czystą tureczyszczą wywolało ostre ataki ze strony „szanujących się” ludzi pióra. I to właśnie mogło stać się przyczyną, że autor *Urzędu N. H.* starał się o zachowanie incognito.

W wypadku, gdyby autorem był Europejczyk, nie miałby może takich oporów. Przeciwnie, chętnieby się popisał znajomością egzotycznego języka. Tak więc fakt, że

autor pragnął pozostać nieznanym, przemawiałyby za tym, że był on kimś, kto liczył się z opinią elity imperium.

Verbericht, notatka w języku niemieckim poprzedzająca przekład i skrócona prawdopodobnie przez Lippę, przyniosła pośrednie potwierdzenie mojego rozumowania. Czytamy w niej na wstępie: *Ta drobna rzecz powinna spodziewać się w rozmiarach każdego czytelnika, któremu nie jest obcy Wschód, a który wie, że Turcy nie posiadają ani sztuk, ani umu, ani myśli do tego stopnia, tak więc aby im przedstawić akcję dramatycznie i w sposób zrozumiały, nie można byłoby lepszego niż uczynić, jak wystawił im znane rzeczy w nieznanej szacie. Gdyż czyni się u nas Ezop, Roquelaure i Eulenspiegel, taki u Turka jest Nasreddin Hodza. Ten sławny rozśmiesza, którego większość fars i dowcipów stała się przysłowiami*.

Tak mógł pisać ktoś, kto był nastawiony właśnie na „literaturę piękną”, na twórczość ówczesnej elity, dla której teatr ludowy — jako przejaw działalności pozaartystycznej — jak gdyby „nie istniał”. A jednak właśnie w koncu osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku panowała moda na aszyków — wędrownych poetów, a występy komedianów cieszyły się dużym powodzeniem i autor (jak była już o tym mowa) musiał być nie raz oglądać.

Z notatki Lippy wynika (również pośrednio), że autor *Urzędu* zdawał sobie sprawę z tego, iż droga, którą obrał, tj. „przedstawienie znanych rzeczy w nieznanej szacie” jest tą drogą, która prowadzi do powstania tureckiego teatru w pojęciu europejskim. Uj. opartego na lekcie pisanym. W notatce czytamy dalej, że powiżano uo „znane anegdoty o N. H. w prostej, ale tym bardziej zrozumiałej, której prosty, popularny styl do znacznej części młodzieży, posługującej się językiem w schodum. Informacja ta potwierdza dalekożeczność autora *Urzędu N. H.* Widocznie zdawał on sobie sprawę z tego, że „*langue osmanli*” nie może stać się językiem literatury narodowej, nie jest bowiem „mową ożywią” Turków. Czas potwierdził te sądy.

Następne zdanie *Verbericht* stanowi bezpośrednią wypowiedź tłumacza: *Nie sądzimy spraszać sądowi znawców — puzie J. Lippa — jeśli zwatymy jak trudno jest przełmaczyć krutuchwile, których większość składa się u Turków z kalamburów i gry słów. Dalej następuje zwrot do widza z prośbą, by nie szukał w sztuce tureckiej żadnego piękna estetycznego lecz traktował te sceny jako zwykłe ćwiczenia dla młodzieży. Owe zwykłe „ćwiczenia dla młodzieży”, przedstawione jako pretekst napisania utworu, mają niejako rozgrzeszyć autora (który się jednak nie dekonstruje) i potwierdzać raz jeszcze mniemanie, że tłumacze i „aktorzy”, zaangażowani w wystawienie *Urzędu* byli właśnie ową młodzieżą, ćwiczącą się w języku. Sztuka powstała więc zapewne w Wiedniu w czasie ich pobytu na studiach, czyli na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych osiemnastego wieku.*

Nowe znanie dotarcia do osoby autora daje nam rozszerzenie się kręgu osób zainteresowanych *Urzędem*, który wystąpił w charakterze aktorów i odegrał sztukę w języku niemieckim. Dowiadujemy się więc, że u Hodzy Nasreddina Hodzy wystąpił Johann Lippa, w roli jego syna, Mehmeda, wystąpił Franz von Dombay, Ahmedem był Baron Bartholo von Tosta, Uzun Osmanem — Johann Krank von Nefegelsfür, Begem — Ferdinand von Dresner, Kethudą — Franz Graf von Kunstein, Ogrodnikiem — Karl von Stürmer, Sprzedawcą chałwy — Karl Baron von Solgnac, Złodziejem — Adolph von Puchler.

Sam podział ról zawiera cenne informacje: w charakterze młodego chłopca, Mehmeda, wystąpił Dombay, podczas gdy jego ojca grał Lippa. Można więc przypuszczać, że Dombay był wówczas studentem, młodym mężczyzną lub drobniejszym artystą. W każdym razie nie wydaje się zastawiony, przybył z Cesarza Józefa II w przedstawieniu po r. 1783, bo w roku tym został wydalony przez Cesarza Józefa II na Dwór Marokkański. Stąd wniosek, że *Urząd N. H.* mógł powstać w ostatnim ćwierćwieczu XVIII w., a nie w początku XIX, jak sugeruje *Katalog*. W tym miejscu warto przypomnieć, że Fr. Dombay urodził się w 1758, a zmarł w 1810 roku, okres jego studiów przypadł więc na przełom lat siedemdziesiątych XVIII w. W latach 1783—1802 Dombay przebywał wiele za granicą, a przez ostatnie lata swego życia zajmował odpowiedzialne stanowiska w naukowej hierarchii i administracji Cesarstwa.

Co do tego, że zarówno *Przygody szewca* jak i *Urząd N. H.* są dziełem jednego człowieka — nie można mieć wątpliwości. Wprawdzie, przed dwudziestu laty nie dysponowaliśmy jeszcze mikrofilmami poznańskiego i wiedeńskiego rękopisu *Przygody szewca* lecz znalazł je sztukę wyłącznie na podstawie edycji prof. Fahr Iz a z 1958 r.

stanowiącej współczesną lekcję wiedeńskiego manuskryptu. Zachowuje ona jednak jego właściwości dialekcyjne, pokrywając się idealnie z właściwościami dialektalnymi *Urzędu N. H.*

Kimkolwiek był więc autor *Urzędu N. H.* i *Przygod szewca* — Turkiniem czy nie Turkiniem — to jego sztuki, a nie sztuka Ibrahima Sinasi *Sairin ıvremine* — *Oznaki poezji* — otwierają dzieje турецkiej dramaturgii.

A jakie były dalsze, polskie losy tego zabytku?

Transkrypcje naukowe oraz fascimile manuskryptu *Urzędu N. H.* opublikowała w „Roczniku Orientalistycznym”, T. XXV, z. 2 wraz z krótkim omówieniem w języku rękopiśm. Artykuł, na podstawie którego odwarłam dzisiaj spotkanie z турецkim dowcipnikiem — w „Przeglądzie Orientalistycznym”, z 4/1970. Jego wersję skróconą w języku francuskim i angielskim opublikowała tegoż roku w sierpniowym zeszycie „Le Theatre en Pologne” pt. *Une comédie naïve inconnue dans les collections polonaises*.

Teraz należy postawić pytanie, dlaczego właśnie w Polsce zachowały się oba utwory pioniera турецkiej dramaturgii?

Postaram się udzielić odpowiedzi przywołując dane, zawarte w studium pt. *Dawny teatr turecki*, które opublikowałam w „Pamiętniku Teatralnym” w 1972 r. z. 1. Zaopatrzyłam je w tablicę chronologiczną rejestrującą ważniejsze zjawiska życia teatralnego w Turcji oraz ich refleksy w manifestacjach ludycznych dawnej Rzeczypospolitej. W XVI w., popularną formą rozrywki były „maszkary”, które zdradzały wielkie podobieństwa z popisami турецkich błaznów i tancerzy, o tej samej nazwie i bogato udekorowanych w dziejach турецkiego teatru ludowego. W II połowie tego stulecia, na weselu Jana Zamojskiego z synową Stefana Batorego, „maszkary” były jedne z najwystawniejszych”. W sto lat później, w Łesznie, wystawiono 2 sztuki o tematyce турецkiej. Bohaterem pierwszej był Tamerlan, drugie nosiła tytuł *O İbrahimie, Selimie i Roxolanie* tragedia.

W pierwszej połowie XVIII w. przenikanie elementów турецkich do repertuaru teatralnego, baletowego i operowego przybiera na sile. W drugiej połowie tego stulecia w teatrze warszawowym cieszyła się popularnością jako „komedia turecka”, do której wracało kilkakrotnie. Stanisław August musiał również hokować nad tej modzie, skoro polecił (zamietzerowi (1750–1795) wykonanie rysunku z przedstawienia *Komedia tureckiej*, jaką ten artysta podziwiał w Stambule.

Znane są również opisy Jana Potockiego z 1789 r., który oglądał w Stambule przedstawienie orta oyunu i zwrócił szczególną uwagę na tancerne popisy błaznów — maskara. W kilka lat później (1792 r.) Stanisław Małachowski podziwiał występ moddaha w Stambulskiej Kafanie.

Już tych kilka informacji, zaczerpniętych z prac Rychmana, Klimowicza i A. Sankowskiego rzuca światło na kraj zamieszczany ówczesnych Polaków manifestacjami турецkiego teatru ludowego w przeddzień, a może i w tym samym czasie, kiedy w Wiedniu anonimowy autor pisał swoje „tureckie komedye”.

Zalóżmy, że któryś z „jeunes de laquais” był Polakiem np. Lipa (herb i nazwisko Lipa notują polskie źródła), albo spolszczonym Niemcem, Włochem lub Francuzem. Po ukończeniu studiów przywiozł z Wiednia do kraju dwa grube zeszyty z tekstami sztuk, które oglądał w wykonaniu kolegów. A może sam był jednym z „aktorów”? A może przywiozł je z zamiarem dokonania przekładu na j. polski? Czyż nie mógł liczyć na to, że i odczytując wystawienia na dworze i któregoś z ówczesnych mecenasów sztuki? Mogł i to nas na raz zadowala.

Małgorzata Łabecka-Koecherowa

KWARTALNIK „ŻYĆIE MUZULMAŃSKIE”

W 1925 roku w Wilnie, przedwojennym centrum muzulmańskich Tatarów w Polsce, powstały dwie organizacje — Muzulmański Związek Religijny w RP, na czele z Muftim, głową wyznania muzulmańskiego w Polsce, doktorem Jakubem Szy-

kiewiczem, oraz Związek Kulturalno-Oświatowy Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej. Obie te organizacje zaczęły wydawać własną prasę. W Warszawie, w latach 1930–1931 i 1934–1937 ukazywał się kwartalnik „Przegląd Islamski”, jako organ Muzulmańskiej Gminy Wyznaniowej m.s.t. Warszawy. W latach 1934–1939 wychodził w Wilnie, jako organ Wileńskiego Oddziału Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów RP, oraz Muftiatu (urzędu Muftiego) miesięcznik „Życie Tatarskie”.

Również w latach 1932, 1935, 1938 ukazywał się kolejno w Wilnie, Zamościu i Gdyni (miejsce zamieszkania naczelnego redaktora), pod redakcją Leona Najman Mirzy Kryczyńskiego, „Rocznik Tatarski”, pismo naukowe dotyczące historii, etnografii, kultury i tradycji Tatarów Rzeczypospolitej. Wszystkie te czasopisma przestały istnieć po 1939 roku. Podczas wojny, jako jedynościwa dla żołnierzy wyznania muzulmańskiego w 2 Korpusie WP na Zachodzie, ukazywało się pismo „Głos z Minaretu”. Przekształcono je później w pismo Muzulmańskiej Gminy Tatarów Polskich w Londynie.

Po wojnie w kraju czasopiśmiennictwo tatarskich muzulmanów nie istniało. Brak inteligencji tatarskiej, wyniszczony na skutek paktu Ribbentrop-Mołotow, negatywny stosunek władz stalinowskich do Tatarów, powodowały, że nie mogło być mowy o tego typu działalności wydawniczej.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych władze wprawdzie akceptowały rntnienie wyznania muzulmańskiego, ale nie przyjmowały do wiadomości istnienia w Polsce Tatarów. Władze oraz oficjalna prasa kurczowo trymały się paradoksalnego terminu „muzulmanie polscy”. Urzędowe nieistnienie Tatarów spowodowało, że oprócz rzetelnych badaczy pojawiło się paru „tatarozawców”, uprawiających manipulację spisużną duchową i kulturową Tatarów Rzeczypospolitej.

Władzom Muzulmańskiego Związku Religijnego w PRL, jedynie po wojnie organizację skupiającą ludność tatarsko-muzulmańską w Polsce, nieraz stawiano „proponując im do odrzucenia”. Tatarzy, wronem swoich przodków — najczelniej „zapadali kożem”. I tak w latach 1981–1989, cała „orda polska” kożem zapadła. Wobec coraz silniejszej presji niektórych urzędów co do realizacji polityki arabskiej PRL, zbawieniem dla tatarskich muzulmanów w Polsce stała się wizyta przedstawicieli Ligi Świata Muzulmańskiego z Arabii Saudyjskiej. Jest to — upokajające wszystkich muzulmanów, ponadnarodowa i ponadpaństwowa organizacja z siedzibą w Królestwie Arabii Saudyjskiej.

Król Fahd sprawił, że różni arabscy pułkownicy przestali się wówczas interesować „muzulmanami polskimi”, także lokalne „czytniki” dały spokój Tatarom. W tej sytuacji w roku 1985 na zjeździe poświęconym 60-leciu istnienia autokolektywnej organizacji muzulmańskiej w Polsce, Muzulmańskiego Związku Religijnego, ówczesny przewodniczący Związku, Stefan Mustafa Mucharski, wysunął projekt wydawania własnego pisma. Pomyśl poparli uczestnicy zjazdu. Redagowanie zaproponowali społecznie Selimowi Chabiziewiczowi. W roku 1986 po długich zabiegach organizacyjnych ukazał się pierwszy numer kwartalnika pt. „Życie Muzulmańskie”. Zarówno w nazwie, jak i programie pismo nawiązuje do przedwojennych tradycji piśmiennictwa tatarskiego w Rzeczypospolitej.

„Życie Muzulmańskie” będąc pismem religijnym, traktuje tradycje polskich Tatarów jako integralną część tradycji Islamu w Polsce. Celem pisma jest integracja środowiska tatarsko-muzulmańskiego w Polsce, podnoszenie wiedzy o własnej religii i tradycji, informowanie o życiu tatarsko-muzulmańskiej ludności w kraju i za granicą. Jest ono ściśle powiązane z podrednictwem RSW „Prasa — Książka — Ruch”, na terenie województwa białostockiego, gdańskiego i elbląskiego, czyli tam, gdzie istnieją największe skupiska ludności tatarsko-muzulmańskiej. Dociera także do ważniejszych ośrodków muzulmańskich w Egipcie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej, w Europie Zachodniej, Turcji i ZSRR.

Redakcja utrzymuje kontakty z Tatarsami na Litwie i Białorusi. Pismo ukazuje się jako kwartalnik, o nakładzie do 1000 egzemplarzy, w objętości do 60 stron. Ze względu na trudności poligraficzne wychodzą najczęściej numery łączne. I tak ukazało się dotąd 6 zeszytów, zawierających 11 numerów. Z pismem współpracują muzulmanie z innych krajów, dzielący się swoimi uwagami natury teologicznej, językowej, dostarczający niezbędnych książek i przekładów, gdyż spora część „Życia” wypełniają bieżące przekłady z prasy muzulmańskiej na świecie, zwłaszcza z Arabii Saudyjskiej. Pismo posiada stróżenie angielskie i arabskie. Od 2 półroczu 1989 roku, pismo zmieniło format z A-5 na A-4.

Formalnie „Życie Muzułmańskie” jest organem Muzułmańskiego Związku Religijnego w Polsce, a więc oficjalnym wyrażeniem opinii tego środowiska i jego władz; jest również jedną dotąd formalną instytucją kulturalną reprezentującą tatarskich muzułmanów w Polsce.

S. Ch.

JAGODA HERNIK

WILEŃSKIE ŚRODY LITERACKIE

FAKTY:

Marzec 1923 r. Uchwałą Konferencji Ambasadorów Ententy ustalają się ostatecznie wschodnie granice Rzeczypospolitej Polskiej.

1925 r. Do Wilna przenosi się Reduta, zespół Juliusza Osterwy. Razem z nim do Wilna przyjeżdża Witold Hulewicz, jako kierownik literacki.

7 lutego 1927 r. Odbywa się Walne Zgromadzenie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie. Dawny zarząd reprezentowany przez Czesława Jankowskiego, starożytnego dziennikarza związanego ze „Słowem” zastępuje nowy, w osobach Mariana Zdziochowskiego, Stanisława Pigonia, Heleny Romer Ochensowskiej i Tadeusza Szeligowskiego, kompozytora i pianisty. Uczestnicy Zgromadzenia stwierdzają potrzebę stworzenia klubu literatów, który scalaby środowisko intelektualne, a równocześnie pracował nad podniesieniem poziomu elity kulturalnej, oraz szerokich rzesz społeczeństwa.

23 lutego 1927 r. Odbywa się pierwsza Środa Literacka w Bibliotece Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego, w murach pobornardyjskich, na ul. św. Anny 4. Lokal został udostępniony dzięki przychylności prof. Ferdynanda Ruszczyńskiego dziekana tego wydziału.

Witold Hulewicz będzie wspominał: *Dlaczego środy? Skąd wziął się ten właśnie dzień? Zdecydował przypadek. Po prostu tyle było w nim ani nie tego pierwszego tygodnia jakiegoś tam postępek, premier, czy umiśnienie, że środa wydawała się najodpowiedniejszą. W kilka lat później okazało się nagle, że był w tym wyborze jakiś pater losu. Z rum Chodźki dowiedzieliśmy się, że w mieszkaniu tego pioskarza, znacznie więcej niż wiek wstecz, zbierali się literaci na lekturę i dyskusję, i to właśnie stale... w środy. Tak więc tradycja została wskrzeszona mimowolnie. („Kurier Wileński”, 13.12.1932). Celem Śród stało się zapraszanie przede wszystkim ludzi, którzy nie tylko zaznaczyli swą obecność w kulturze polskiej, ale również osobowością i autorytetem mogli dać wzór współczesnego intelektualisty.*

Informacje o kolejnych Środach zamieszcza „Kurier Wileński” i „Słowo”. Anons zaprasza literatów, którzy mają też prawo wprowadzać gości. Sezon Śród został ustalony na okres od połowy października do końca maja.

Zima 1928 r. Prof. Pająk apeluje na jednej ze Śród do generalnego konserwatora, Stanisława Lorentza o rozpoczęcie starań o przekazanie Związkowi Literatów lokalu na Ostrobramskiej z tzw. „cełą Konrada” na siedzibę Związku.

W latach 1921–23 Prof. Juliusz Klos przeprowadzał badania, mające na celu dokładne zlokalizowanie „ceły Konrada”. Ustalił, że jest to skrytko w głębi cerkiewnego dziedzińca na I piętrze.

Do 1927 r. toczył się spór o prawo własności murów na Ostrobramskiej, między Konsystorzem Prawosławnym a Rządem RP, rozstrzygnięty sądowo na korzyść

państwa. Od tego czasu zagospodarowano dawny klasztor, z wyjątkiem pomieszczeń z „Dziadów”.

W 1867 r. Rosjanie przebudowali cały gmach zlikwidowanego klasztoru usuwając ściany poprzeczne, celem, aby uzyskać większe sale. Zburzono też sklepienia sal i korytarzy.

Wojewoda Zygmunt Bęczkowiec, zaprzyjaźniony ze środowiskiem twórczym (w przeciwieństwie do swego następcy Ludwika Bociańskiego, który do dzisiaj trwa w nieczyściwym wspomnieniu wileńskich Polaków i Litwinów, a do historii przeszedł dzięki temu, że wyrzucił z Radia Wileńskiego Miłozna i Byrskiego), wydaje decyzję o przydzieleniu literatom pomieszczeń w murach pobazyliańskich i przynajmniej na remont sal.

10 października 1929 r. Odbywa się otwarcie i poświęcenie „ceły Konrada”. Tak naprawdę Związek zajmuje dwa pomieszczenia. Słynną „cełą” i drugą, dużą salę, gdzie będą odbywały się spotkania środowca.

Na razie całe pomieszczenie zajmuje Wystawa Pamiętek Mickiewiczowskich i Filomackich. Otwarcia będzie cały miesiąc, a kuratorem Okręgu Szkolnego Wileńskiego rozemsało do wszystkich szkół afisz Wystawy, oraz okoliczności młodzieży szkolnej i nauczycielskiej w zbiorowej jej zwiedzanie. Na wystawie zgromadzone portrety, autografy, dawne wydania, ztychły, meble i inne pamiątki ściśle związane z historią tych murów. Ekspozycję zjechały z całej Polski, a nawet z zagranicy. W dniu otwarcia „ceły Konrada” Związek otrzymał setkę telegramów gratulacyjnych. Między innymi od Teofila Trzcińskiego: *Żaluję serdecznie, że nie mogę uczestniczyć w tak pięknej uroczystości, życzę Związkowi Literatów na nowej siedzibie, owianej tyłoma dostojnymi wspomnieniami jak najwieloletniego rozwoju na chwałę cudownego Wilna. Zenon Przesmycki z tej samej okazji: Mocno żałuję, na uroczystości świąteczny pamiętek przyjechać nie mogę. Związkowi ślicznych życzeń na nupkielniejszego w nowej siedzibie rozkwitu.*

I nie tylko oni, bo Kurs IV Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach rozpoczynając w Szkole 9 października lekturę „Dziadów cz. III” łączy się z zebnanyim drż w Celi Konrada w hołdzie pełnym czci i miłości dla świetlanej postaci Adama Mickiewicza.

Większa sala miała ok. 5-6 metrów szerokości i ok. 12 metrów długości. Na szczycie sali umieszczono podest wielkości ok. 6 m na ok. 3,5 m. Na ścianie z czasem zawinił ręcznie tkany kilim, cztery przecięte kwadraty, a w nich Cierzy żywności Jastrzębowski. Na podestach stały antyczny piękny stół. Po lewej stronie lampy kryta abażurem. Na sali stały stoły jakby w jakiejś oberży. Stółowe, ciężkie ławy, dębne krzesła. Tam siedziała publiczność. Nie było żadnych rzędów. Siedzieliśmy jak na jakimś przyjęciu. Jak na zamku w Horezkach.

Nie było takiego porządku jakiegoś biurowego, tylko towarzyszą swobodna (...). Po skończonym odczytaniu. Jeszcze przed dyskusją podawano herbatę i ciasteczka. I było hało do tego poczęstunku. Słyszano się na zapleczu, tam gdzie były kuchnie. Jak Bazyli. — Woźny był Bazyli, słynny przecież Bazyli, dawny policjant towarzyski — Bazyli krzyczał — powiedział dla Andzi, nich ona zbiega do Scralia — A ileż to, a ileż? — Cwilerki kila, bo ich mało. I zagladali przez drzwi i patrzyli ile us (Irena i Tadeusz Byrcy. *Wspomnienia z lat trzydziestych*, opr. M. Nowak, „Pamiętnik Teatrality” 1986, z. 1-2).

Do momentu otwarcia „ceły Konrada” odbyło się 71 Śród Literackich. Ustalił się wysoki poziom tych spotkań. Odbywały się regularnie, na co nacisk kładł Witold Hulewicz, słusznie upatrując w tym jeden z koniecznych warunków powodzenia przedsięwzięcia.

W „Alma Mater Vilnienis” pojawiają się notatki dotyczące uczestnictwa studentów w Środach. Wśród tych uczestników byli: Czesław Miłozna, Teodor Bujniki. Jerzy

i Stefan Zagórscy, Kazimierz Halaubarda. Oprócz nich Henryk Dembiński, Stefan i Anna Jędrzychowscy, Wacław Korabiewicz i in.

Do maja 1929 jako goście-prelegenci odwiedzili Związek m.in.: Karol Szymanowski, Konstanty Belmont, Gilbert Keith Chesterton, Julian Tuwim, Juliusz Kaden-Bandrowski, Igor Siewerjani, Kazimiera Illakowiczówna, Karol Irzykowski, Mana Kuncewiczowa, Emil Zegadłowicz, Zofia Nalkowska, Ostap Ortin, Antoni Słonimski, Jan Lechoń, Juliusz Osterwa, Teofil Trzciński, Wincenty Lutosławski, Stanisław Pigon, Marian Józefowicz, Ferdynand Ruszycz, Tadeusz Zieliński, Wacław Borowy, Stefan Jaracz, Julian Ejsmond.

Wychowano muzyki Tadeusza Szeligowskiego, Ludomira Różyckiego, Stanisława Węlaszkiego, Schuberta, koncertu członków Zespołu Kameralnego Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki, jazzu.

Przedyskutowano premiery *Snu* Felicii Kruszcowskiej, *Farysa* Stanisława Miłaszewskiego, *Okna* Andrzeja Ryhickiego, *Beilejem Ostrobramskiego* i *Ryterza* z *La Manchez* Tadeusza Łopalewskiego, *Kordana* Słowackiego, *Advokata i rós Szanawskiego*, oraz problem: *Kto jest twórcą w teatrze: aktor, autor czy widz?*

Zaprezentowali się członkowie STO, czyli Sekcji Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów USB, w osobach Czesława Miłozia, Teodora Bujnickiego, Jerzego Zagórskiego, Kazimierza Halaubardy.

Zaproszono członków Żydowskiego PEN-Klubu w Wilnie i zwrócono ich w najlepszym, zarządownym składzie.

Omówiono stan wydania sejmowego dzieła Adama Mickiewicza, książki Bendrowskiego *Miasto mojej matki* i *W cieniu zapomnianej olchyny*, Wiktora Huga i jego stosunek do Polski, postać Stefana Żeromskiego, postać aktualnej laureatki Nagrody Nobla Gracji Deledda, *Samuela Zborowskiego* Juliusza Słowackiego, tragizm Wyspiańskiego, *Imuna wrożeń* Kazimierza Illakowiczówny, *Konrada Wallenroda* i jego pierwowzór, Claudela, *Złota wolność* Kosak-Szczuckiej i Bohatyrowiczów.

Zajęto się sprawą sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego, odnowieniem obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, odbudowaniem zabytków wileńskich, nagrodą literacką miasta Wilna, Akademią Literatury, problemem kultury książki wileńskiej, Rozgłośnią Wileńską i odbudową Wawelu.

Następne lata, już w gmachu pobojazianików, zachowały zarówno wysoki poziom, jak i różnorodność cechującą pierwszy, „bernardyński” okres.

W roku 1930 Witold Hulewicz zostaje prezesem Zawodowego Związku Literatów w Wilnie. Nasila się wtedy ogólna tendencja Wileńsian do igraszenia go za „kongresowe” pochodzenie.

Coroczna Szopka Akademicka podsładowuje Hulewicza:

Hulewicz do Żelwerowicza:
„Ach jak się cieszę, że pan się zgadza z nami
Rozumie pan, Wilno — To »Musztu pod chmurami!
Wie pan, czemu je kocham? — Ba mi przypomina
Coś jakby motywy z Poznania, a może z Berlina!”

16 czerwca 1939 r. Ignacy Mościcki, prezydent RP gości w siedzibie literatów.

Pojawiają się w prasie ataki na Środy. Na najbardziej napastliwy, Wojciecha Bąka w „Poproście” odpowiada Tadeusz Łopalewski. *Jeżeli o zehrania Śródowno chodzi — to nikt nie zagradza na nie drogi młodym artystom, nauczycielom, czy działaczom*

społeczny. Wręcz odwrotnie. Drzwi są dla wszystkich szeroko otwarte. Straszny hazard: wyciszyć „zamożliwiający bywanie na środowiskich zebraniach jedynie garstce miejscowej plutokracji” jest rzeczywiście poważną przeszkodą. Wynosi aż całego złotego, a 75 gr. dla młodzieży uniwersyteckiej. Oczywiście dalszy się znieść, gdyby publiczność szkodowa zgodziła się siedzieć w ciemnościach i w nieopakowanej sali, nie mówiąc już o wyrzuceniu się tradycyjnej herbatki. Wszakże i redakcja „Poprościu” nie rozdziała darmo twego pisma, tylko ściągła nieltosćwie aż po 25 groszy za numer, co z pewnością przekładałaby umowieniu odbioru. Wreszcie zadanie umowienia Śródu jest już po prostu absurdem. Kto chce usiąść? więcej, zgnajcie ławo odpowiednio czas, i odpowiedź nią publiczność. Środy Literackie zawsze miały i mieć będą inne zadania

3 listopada 1938 r. Po długotrwałym konflikcie spowodowanym przez „Słowo”, zakończonym pojedynkiem Mackiewicz z Hulewiczem, główny twórca Śródu zostaje odwołany do Warszawy.

W Warszawie Hulewicz obejmuje stanowisko kierownika działu literackiego Polskiego Radia. Kontynuuje w ten sposób swoją pracę szerzyciela kultury. Piszę wstępy do audycji muzycznych, radiofonizuje utwory pisarzy, sam też recytuje. *I to co czytał i jak czytał było zawsze w najlepszym smaku, pisał w Dziennikach Maria Dąbrowska, tak bezwzględnie krytyczna jeśli chodzi o wszelkie radiowe produkcje. Piszę też: były to klasyczne zwycięstwa tego, jak można i należy popularizować rzeczy piękne.*

Jeszcze przez 4 lata trwają Środy Literackie, aż do wybuchu II wojny światowej.

Ostatnia Środa odbyła się 6 czerwca 1939 r. pod hasłem *Literaci Wileńscy na FON*. Wystąpił między innymi prof. Konrad Górski czytając fragment nowego podręcznika dla szkół, poświęcony Piłsudskiemu jako pisarzowi.

OSOBY:

Witold Hulewicz

— on wymyślił i zorganizował Środy Literackie. Był geniuszem organizacyjnym. Pochodził z Poznania. Zajmował się wraz z bratem Jerzym wydawaniem młodopolskiego pisma „Zdrój”. Znal Przyszczewskiego i Rilkego, którego później tłumaczył. Przed odzyskaniem niepodległości oficer w armii pruskiej, zdobył doświadczenie, które potem wykorzystał w powstaniach wielkopolskich. Zasłużył sobie w ten sposób na miano „Poznanianka z Kongresowy” i nigdy nie ustającą nieufność Wileńsian pomieszaną z lekką pogardą dla „pana przyszedłnego”.

W Wilnie przez rok wydawał gazetę, zreorganizował Związek Literatów i nadal kształcił Śródom, zrzeszył działaczy kulturalnych w Radzie Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, organizował Klub „Smorgonia”, organizował Radio Wileńskie, walczył o ocalenie gobelinów z Bazyliki. Wyjechał zaszczuty przez Mackiewicza i obrzućany wielokrotnie, między innymi przez karykatuzyście ze „Słowa”, Feliksa Dąbła, który tuż po rozpoczęciu wojny okazał się być oficerem Luftwaffe

W czasie wojny w Warszawie wydawał najlepsze pisma podziemne, prowadził szeroką działalność konspiracyjną. Zadenuncjowany i osadzony na Pawiaku, po rocznym śledztwie i torturach rozstrzelany

ELŻBIETA MOŚCICKA-PIERWONOSKA

— dziennikarka i literatka, związana z „Kurierem Wileńskim”. Wileńsianka głównie z przekonań, bo tak naprawdę z Krakowa, rzeczniczka wszystkich co wileńskie. Współorganizatorka Śródu i czuła ich opiekunka. Znana i lubiana, lekceważona za dobroduszość i dobrą wolę. Na procesie Henryka Dembińskiego i grupy „Po Prostu” wystąpiła jako świadek obrony.

Oprócz nich:

Tadeusz Łopalewski, Stanisław Lorentz, Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska, prof. Juliusz Kloś, prof. Ferdynand Ruszycz, prof. Stanisław Pigon, prof. Marian

¹ Tytuł książki Hulewicza podjętego Wilno

Zdzichowski, Tadeusz Szellowski, Stanisław Węslawski i inni, stworzyli Środy Literackie, na które przybyło z wieczorami autorami: stu dwudziestu sześciu literatów, w tym również żydowskich, białoruskich, francuskich, hinduskich, karamickich, lotewskich; pięćdziesięciu jeden naukowców z Wilna, Warszawy, Poznania, Łodzi, Krakowa, Paryża, Londynu, Kopenhagi; czterdziestu artystów teatru, plastyki, muzyki.

Jagoda Herink

WALDEMAR SMAŚCZ.

DWIE KONCEPCJE POLONISTYKI WILEŃSKIEJ: prof. Manfred Kridl i prof. Konrad Górski

Reaktywowanie uniwersytetu w Wilnie, tak oczywiste dla społeczności miast i ogromnego obciążeniu ziem znajdujących się od wieków w orbicie jego oddziaływania, oznaczało jednak konieczność uporania się z wieloma problemami, w tym przede wszystkim skompletowania kadry profesorskiej. Krótka historia wileńskiej uczelni w latach II Niepodległości ukazuje, jak żywe musiały być tradycje ruchu umysłowego w Wilnie, skoro już w pierwszych latach zdolano zgromadzić grono uczonych nierazko światowej sławy, bado takich, którzy właśnie swoją działalnością w Uniwersytecie Stefana Batorego zdobyli powszechne uznanie. Ponadto i w następnych latach katedry obejmowali tu profesorowie o ugruntowanej pozycji w polskiej nauce, nierazko rezygnujący z pracy w większych ośrodkach akademickich. Dotyczy to zwłaszcza Wydziału Humanistycznego. Znamienne pod tym względem jest świadectwo Konrada Górskiego, który napisał w *Autobiografii naukowej*: *Do Wilna wyjechałem w połowie grudnia 1934 roku pełen najbardziej raźnych oczekiwań. Wykładać w murach, gdzie nauczyli młodzie! Skarga, Wujek i Sarbiewicz, a potem bracia Śniadecki, Grodecki, Lelewell i Leon Buruski, gdzie studiowali Filomaci, a wśród nich Mickiewicz, gdzie wreszcie swoje studia prawnicze kończył Słowacki — co za wyróżnienie i zaszczyt!*¹

Z Wydziałem Humanistycznym w różnych okresach czasu byli związani uczeni tej miary, co historycy — Henryk Łowmiański i Stanisław Kościłkowski, filozofowie — Władysław Tatarkiewicz, Tadeusz Czeżowski, Henryk Elzenberg, filologowie — Marian Zdzichowski, Kazimierz Kolbuszewski, Konrad Górski, Stanisław Pigoi, Manfred Kridl, Stefan Srebrny. Każdy z nich wnosił wpływ z własnej indywidualności w mur wileńskiej Alma Mater, wywierając potężne, zarówno na to, co zwykłe określamy atmosferą uczelni, jak i zastępy absolwentów przenoszących do nowych placówek wiedzę i ogólną formację intelektualną ukształtowaną w orbicie oddziaływania Miśtrziw. Pamiętam spotkania klubowe w czasie moich studiów polonistycznych w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdy dyskusjani rozpoczynali zwykle swoje kwestie sformułowaniami w rodzaju: „jak zawsze powtarzał mój Miśtrz, prof. Elzenberg”, „ako uczennika prof. Pigosa, Kridla, Górskiego...”

Po latach, we wspomnieniach absolwentów zwłaszcza, atmosfera panująca we własnej Alma Mater, bywa określana jako jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna, pełna tolerancji i wolna od ludzkich maości. W rzeczywistości zgromadzenie tak znacznej liczby autoritetów naukowych musiało prowadzić do ścierania się poglądów, a nawet walki kształtujących się ukoł badawczych. Bez tego — co oczywiste — jest nie do pomyślenia uniwersyteckie życie naukowe. I właśnie dzieje jednej takiej polemiki metodologicznej na wileńskiej polonistyce chciałbym tutaj przypomnieć. Rozwijała się ona między profesorami Manfredem Kridlem i Konradem Górskim, uczonymi przybyłymi do Wilna na początku lat trzydziestych w odstępie dwu lat. Rzecz zasługuje zaś na przypomnienie także i z tej przyczyny, że nie była to tylko lokalnym sporem, ale odbiciem pewnego szerszego zjawiska w naszej teorii literatury i badaniach literackich w tamtych latach

U progu II Niepodległości nastąpił — jak wiadomo — najbardziej istotny przełom w polskim literaturoznawstwie. W różnych ośrodkach zaczęły pojawiać się głosy o konieczności zasadniczej reorientacji badań literackich wobec tradycji pozytywistyczno-filologicznej. Dyskusja zapoczątkowana głośnymi artykułami Juliusza Klemera (*Charakter i przedmiot badań literackich* — 1913; *Analiza dzieła* — 1914) zataczała coraz szerzej kręgi, tak że nawet wojna i sprawy polityczne najwyższej wagi nie zdołały jej przyhamować. Niemal każdy z uczonych zabierający w niej głos musiał zostać zaliczony do prawdziwych znaków miłowych nowoczesnego literaturoznawstwa: Kazimierz Wóycicki, Zygmunt Lempiński, Gabriel Korbut, Eugeniusz Kucharski, Franciszek Siedlecki, Roman Ingarden. Zwłaszcza prace tego ostatniego stały się przełomowym wydarzeniem, po którym polska nauka o literaturze uzyskała rangę europejską

Poglądy Romana Ingardena spotkały się z żywą reakcją naszych literaturoznawców, przypisywały też w znacznej mierze krystalizowanie się innych indywidualnych stanowisk w metodologii badań literackich. Jednym z uczonych, który właśnie wówczas dokonał przewrótka w swoich dotychczasowych zainteresowaniach i jednoznacznie opowiedział się za nowym, egocentrycznym widzeniem dzieła literackiego, był Manfred Kridl

W biografii Manfreda Kridla zbiegło się wówczas wiele wydarzeń, które pozwalają precyzyjnie określić dno momentu przełomu w jego zapamiętywaniach na zagadnienia literaturoznawcze, co sprawiło, że stał się on jednym z najbardziej bezkompromisowych poszukiwaczy nowych dróg, zaprzeczając nawet własnym wcześniejszym badaniom. Tak pisał o tym zjawisku prof. Czesław Zgorzelski: *Przełom w jego poglądach metodycznych z lat 1930-1935 rozwija się w drodze (biografii naukowej — W. S.) na dwa etapy, z których późniejszy staje w pewnej mierze zaprzeczeniem poprzedniego. Droga nam tu chyba zwłaszcza zarysowyje tak bezkompromisowo i tak odważnie krytyczny stosunek do własnych poczynań naukowych, gdy w konsekwencji nowych dojrzałych przekonań wypada przekreślić częściowo długotrwały dorobek swych prac*².

Przypominamy, że pierwsze prace tego wzrastającego wykształconego badacza (studia odbył we Lwowie, kontynuował naukę we Fryburgu i Paryżu; w 1909 roku doktoryzował się na Uniwersytecie Lwowskim, a w 1921 przeprowadził habilitację na Uniwersytecie Warszawskim; od 1929 roku wykładał jako profesor literatur słowiańskich na Uniwersytecie w Brukseli) skupiały się wokół Mickiewicza i były jak najdalej od zagadnień artystycznych. Przeciwnie, młodego uczonego interesował Mickiewicz jako polityk, działacz publiczny autora *Dziadów* w Paryżu, a także jego stosunek do Słowackiego (powstała z tego książka *Antagonizm wieściów*). Ponadto przejawiał ożywioną aktywność jako historyk literatury, co podwładza podręcznik jego autorstwa *Literatura polska wieku XIX*, ogłoszony w latach 1925-1934 (w wstępie częściach).

Jednakże po roku 1918, na fali zataczającej coraz szerzej kręgi dyskusji nad istotą literaturoznawstwa (o czym już tu wspominałem), Manfred Kridl zainteresował się zagadnieniami metodologii badań literackich, czego pierwszym sygnałem był zbiór szkiców zatytułowany *Krytyka i krytycy* (1923), wśród których wyróżniał się swoim zacpołem programowym studium *Historia literatury a krytyka literacka*. Postulował w nim autor większe zdyscyplinowanie intelektualne badań literackich i ugruntowanie naukowych podstaw polskiego literaturoznawstwa.

Powróćmy do sprawy owego zasygnalizowanego już tu przełomu w pracy badawczej prof. Kridla. Wyznacza go data objęcia przez uczono go katedry historii literatury polskiej na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Wówczas to (w roku 1932) wygłosił wykład wstępujący *Przełom w badaniach literackich*, w którym wy-fuższył swoje poglądy na nowoczesne literaturoznawstwo. Od początku pracy w Wil-nie prof. Kridl ujawniał też inny rys osobowości, który sprawił, że jego poglądy zyskiwały mu coraz więcej uczniów — niezwykle inspirowanego nauczyciela akademickiego potrafiącego zgromadzić wokół siebie grono oddanych studentów. Signumy ras jeszcze po świadczeniu prof. Czesława Zgorzelskiego: *Pozycję swą w nauce nie zawdzięczał ani rozległej erudycji, ani wszechnej pamięci, ani nawet precyzyjnej analizie i zjawisk literackich. Umysł jego odznaczał się rzadkim darem dostrzegania najpóźniejszych zagadnień badawczych. W każdej sprawie Kridl umiał wskazać najpewniejszą kompleks problemów, umiał spojrzeć na nie twórczo, odsłaniając obserwatorowi nowe perspektywy*³.

¹ Cf. Zgorzelski: *Wstępowo i uchwała* S.W. „Znak”, Kraków 1962, s. 62

² Op. cit., s. 63.

³ K. Górkowski: *Antagonizm naukowy (w:) Uczniowie polscy a świat*, t. 1, M.A.W., Warszawa 1968, s. 293.

Rychło więc wokół niego zgromadziła się grupa młodych polonistów, którzy nie tylko przyjęli poglądy profesora za własne, ale w przygotowywanych pracach twórczo je wykorzystali. Jerzy Putrament zadedykował jako wnikiwy badacz struktury nowel Bolesława Prusa, Maria Rzewuska napisała pracę o *Chłopaku* Remvonta, a Irena Sławińska czytając jeszcze dzisiaj książkę o tragedii młodoślipskiej. Profesor powołał zaś do życia w roku 1936 osobną serię wydawniczą nazwaną „Z zagadnień poetyki”, w której jednakże z wymienionych rozpraw zdolała ukazać się tylko praca Jerzego Putramenta (w sumie opublikowano w tej bibliotece sześć książek).

Grupa prof. Kridla nawiązała kontakty naukowe z Kołem Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego, któremu patronował inny autorzyt nowoczesnego literaturoznawstwa, Kazimierz Wysocki. Trzon tej grupy stanowili znani późniejsi teoretycy literatury: Franciszek Siedlecki, Dąbłd Hlopensztajn, Kazimierz Budzyk, Stefan Żółkiewski. O autorzytce prof. Manfreda Kridla w obu tych środowiskach świadczy chociażby pewien kawał już dzisiaj znany epizod z dziełom naszego powojennego literaturoznawstwa. Oto bezpośrednio po wojnie, w 1946 roku, przygotowano pod redakcją Kazimierza Budzyka tom studiów zatytułowany *Stylistyka teoretyczna w Polsce*⁴. Książka została opatrzona nadtytułem *Z zagadnień poetyki, wkrzeszając — jak pisał autor wstęp K. Budzyk — „wileńskie wydawnictwo Kridla”*. Profesor w tym czasie przebywał poza krajem, nie widziano jeszcze co zacyduje. Kazimierz Budzyk pisał więc z ogromną żarliwością:

Pierwszy numer po wojnie! Po wieloletniej przerwie wznowione wydawnictwo wileńskie „Z zagadnień poetyki”! Seria ta była przed wojną najbardziej chyba renowacyjnym ośrodkiem polskiej nauki o literaturze. Dziś już z pewnym rozczewieniem wspominam te czasy, kiedy wystąpienie Kridla zatrzymało tradycyjny gmał hen historii literatury i wytrąciło z uwarunków nieliterackiego na uniwersyteckich filologów. Nowinkarstwo jest zarażliwe — taś! nie powinien Kridl bardzo się zdziwić, jeśli teraz po powrocie znajdzie rywali, rekrutujących się z obrotu dawnych antagonistów. (...)

Drugą zasługą Kridla było zgromadzenie wokół siebie zwanego grona badaczy zawsze zdecydowanych na wystąpienie we wspaniałym froncie mimo pewnych różnic w poglądach teoretycznych. Tu jednak losy nie pozwoliły zbierać owoców inżelto zwanego: szarnu. Wojna wytręła najlepszych spośród skupionej wokół Kridla gromadki. Zdziesiątkowani, rozproszeni z trudem odnajdujemy się dzisiaj i z głębokim smutkiem liczymy tragiczne straty. Na dobitkę ciekawe nie ma wśród nas Profesora, który by teraz — jak to bywało dawni — dniewalającą ręką wchwylił ster i wbrew stratom oraz nie sprzyjającym warunkom wykazał entuzjazm i nadal rozstrzacał żywym jeszcze tradycjom.

Trudno o hardziej jednoznaczne podkreślenie roli prof. Kridla w rozwoju naszej teorii literatury, zwłaszcza, że uczynił to badacz ze środowiska warszawskiego, a nie wileńskiego.

Powróćmy jednak do działalności prof. Kridla w Wilnie. W toku zajęć uniwersyteckich, zwłaszcza zaś na seminarjach propagował nowe metody badawcze wykorzystujące zdobycze formalistów rosyjskich i polskiego literaturoznawstwa. Interesowała go czyta poetyka, tak jak zagadnienie to zostało zarysowane w prekursorskiej na owe czasy rozprawie Zygmunta Lempińskiego *Współzawieszadnienia poetyki* (z 1920) i teoria dzieła literackiego sformułowana przez Romana Ingardena. Rozpatrywał więc dzieła literackie w ich „litraczności”, przyjmował fikcyjność świata przedstawionego za warunek sine qua non literatury, akcentował wagę szczególnej organizacji języka i celowość artystyczną wszelkich elementów dzieła. Ton jego wypowiedzi, akceptowany przez uczniów, budził często sprzeciw zwolenników. Sam uczony wyznał po latach, że sympatyzował nieco, popularyzował i czasem robił taką minę, jakby głosił nie hipotezy lecz pewniki⁵.

Wiele polemik, a także po prostu sprzeciw, wzbudził jego referat wygłoszony na zjeździe naukowym im. Krasińskiego we Lwowie w 1935 roku zatytułowany *Podstawy nauki o literaturze*. W zasadzie nikt z autorzytów badawczych nie zaakceptował zawartych w nim poglądów. Nawet potencjalni sojusznicy, jak Wacław Borowy, Zygmunt Lempiński czy Roman Ingarden przyjęli je do sceptycyzmu, a nawet wyraźnym dytansiem. Nie mówiąc już o otwartych przeciwnikach, jak Konrad Górski

czy Juliusz Kleiner. Prof. Kridl jednak nie zrezygnował z głoszenia — jak to sformułował — tej integralnej metody badawczej, a swoje poglądy zamknął ostatecznie w książce teoretyczno-literackiej zatytułowanej *Wstęp do badań nad dziełami literackimi* ogłoszonej w 1936 roku jako pierwszy tom wspomnianej tu serii „Z zagadnień poetyki”.

Polemiczne wystąpienie prof. Konrada Górskiego były bodaj najbardziej zdecydowanie przeciwwstawiające się metodzie badawczej preferowanej przez Manfreda Kridla.

Słarcie obu literaturoznawców było nieuniknione, zwaływały się nowy profesor obejmował katedrę i organizował dopiero wykłady w sytuacji, gdy inny od dwu lat prowadził zajęcia gromadząc — jak podkreślałem — grono oddanych uczniów. Zdumiewać musza jednak okoliczności owej polemiki. Prof. Górski w *Autobiografii naukowej* pisze wręcz o wrogim przyjęciu na wileńskiej polonistyce, czego się zupełnie nie spodziewał. Przyczynę widział w nieprzejednanej postawie prof. Kridla, którego nazywa „necofilą szkoły formalistycznej”: *Selekcjonizm jest zawsze agresywny — czytamy w Autobiografii naukowej — więc w oczach Kridla Jego fanatyzm i wynajmowanie ja musiałem się wydać kims, kto nie ma żadnego dorobku w zakresie literaturoznawstwa. Moja praca dydaktyczna od początku została oceniona negatywnie i wrogo, a jedna z najgorliwszych zwolenniczek formalizmu nie krepowała się propagować twierdzenia, że tylko głupek mógł chcieć na moje wykłady i seminary*.

Przyczynę tego stanu rzeczy tłumaczy w jakiej mierze zdanie, jakim prof. Kridl zakończył swój *Wstęp do badań literackich*. *Wobec niczego nie jest się tak surowym, jak wobec inżelto przynależnych błędów*. Badania prof. Górskiego mogły Manfredowi Kridlowi przypomnieć własne poglądy na literaturę sprzed okresu fascynacji metodą formalną. Obaj wszak interesowali się Mickiewiczem. Pisze świadomie Mickiewiczem, a nie twórczością Mickiewicza, bo tak właśnie należał scharakteryzować wczesne zainteresowania obu uczonych. Otematycznie mickiewiczowskich studiów Manfreda Kridla pisze Konrad Górski zamknął swoje początkowe prace dotyczące autora *Pana Tadeusza* dysertacją doktorską, która ukazała się pt. *Pogląd na świat młodego Mickiewicza*. W ogóle droga do historii literatury przyszłego mickiewiczologa nie była wcale prosta. Od czasów gimnazjum interesowała go filozofia i tylko nakiel rodzinny spowodował, że nie podjął Konrad Górski wymarzonej studiów filozoficznych. Rozpoczął nie na własne życzenie studia prawnicze na uniwersytecie w Dorpaczu (w 1913 roku) przerwała wojna. W roku 1918 podjął Konrad Górski studia już na Uniwersytecie Warszawskim zaraz uczęszczając na wykłady Władysława Tatarkiewicza z filozofii. Kiedy jednak na tym kierunku przewagę zaczęła zdobywać logistyka, zrezygnował z filozofii na rzecz studiów polonistycznych, które ukończył w 1921 roku z tytułem doktora. Habiłował się zaś na podstawie pracy o Grzegorzcu Pawle z Brzezina, jednej z czołowych postaci Braci Polskich. Obie więc rozprawy były dalekie od badań stricte literackich, zresztą autora nadal pociągala filozofia, o czym świadczy książka zamykająca jego dokonania w dwudziestolecie młodożytnym *Literatura a życie umysłowe*.

Z takimi bagażem naukowym istotnie stał się prof. Górski latwemu celem ataków zwolenników metod ergonomicznych, ale jednocześnie — jak sam wyznaje — *zdałem sobie sprawę, że kierunek moich dotychczasowych prac naukowych uczynił mnie wobec tych ludzi kimś całkowicie bezbronnym. Chcąc wyłożyć habilitację stanowiska formalistycznego, musiałem mieć odpowiednie prace przygotowane w dziedzinie teorii literatury, a tego mi właśnie brakowało*⁶.

Jak przystało więc na badacza, prof. Górski nie ograniczył się jedynie do negacji metodologii przeciwnika, ale starał się znaleźć najbardziej odpowiednie narzędzia do merytorycznej polemiki. I być może właśnie prof. Górskiego miał na myśli Czesław Zgorzelski pisząc w cytowanym już szkicu o Manfredzie Kridlu: *...burza, jaką wzmógł, nie mogła minąć bez śladu, jednym otworzyła oczy na nowe dziedziny problematyki badawczej, innych przysmusiła do wyrażenia ich krytyczności własnego programu naukowego...* Wśród tych dyktów istotnie mógł być prof. Konrad Górski. To właśnie pod wpływem zainteresowania — nazwijmy to tak — negatywnego formalizmem nastąpiło przesunięcie zainteresowań badawczych z traktowania literatury jako odbicia poglądu na świat na dostrzeżenie w niej wytworu artystycznego, sztuki słowa. *Byłbym nieprawdą, gdyby — napisał po latach prof. Górski — gdybym nie uznał w tym pozytywnych wartości, jakie miał formalizm, pojęty nie jako o teorii dzieła literackiego, ale jako o kierunku uprawiającym badanie środków językowego wyrazu*.

⁴ *Z zagadnień poetyki. Stylistyka teoretyczna w Polsce* pod red. K. Budzyka „Książka”, Warszawa 1946, s. 78.

⁵ M. Kridl, *Bole i ślasy i Warszawy o nową naukę o literaturze*, „Pamiętnik i literatury” 1957, z. 2, s. 303.

⁶ *op. cit.*, s. 295.

Choć węg polemika między prof. Manfredem Kridlem a prof. Konradem Górskim nie zawsze znajdowała wyraz w publikowanych pracach czy otwartej wymianie zdań, toczyła się — można powiedzieć — nieustannie. Z całą pewnością skorzystali na tym sami uczeni przygotowując własne wystąpienia ze świadomością, że mogą one potrzebować wsparcia dodatkowymi argumentami. Również prowadzone przez nich seminaria stały się przez ową choćby „podskórną” wymianę myśli znacznie ożywione, a słuchacze wynosili z nich przekonanie, że można wiele skorzystać także na poglądach, których nie akceptujemy. Przypomina się w tym miejscu mądry i pouczający wiersz Cypriana Norwida zatytułowany *Fatum*:

Jak dziki zwierz przyszło Nieszczęście do człowieka

I satopilo weń fatalne oczy...

— Czekaj —

Czy, człowiek, zboczy?

Lecz on odejrzal mu, jak gdy artysta

Mierzy swojego kształt modeli:

I spostrzegło, że on patrzy — co? skorzysta

Na swym nieprzyjacielu

I zachwiała się całą postaci wagą

— I nie ma go!

Prof. Manfred Kridl potrafił z dystansu inaczej spojrzeć na własne i swoich uczniów „boje Wilna i Warszawy o nową naukę o literaturze”. Pod koniec życia, na emigracji, pozostawiający rozprawę teoretycznoliterackie, powrócił do Mickiewicza poświęcając autorowi *Dziadów* rozprawę stryctyczną *Adam Mickiewicz publikowaną w piśmie „The American Slavic and East European Review”*. Znamienne wydaje się, że jego ostatnią drukowaną pracę był szkic ogłoszony w roku 1956 w monachijskim periodyku „Die Welt der Slaven” zatytułowany *Umeinen wichtigen Zugang zum Leben und Werke Adam Mickiewics*.

Prof. Konrad Górski zaś oprócz gruntownego zainteresowania tekstem i stroną językową dzieła wyniósł z tych „bojów” wiadomość, że rozważania teoretycznoliterackie są w niektórych przypadkach po prostu niezbędne, w ten sposób pojawiały się zagadnienia, dołąd przez nikogo nie rozpatrywane. W ten sposób uważając się za historyka literatury, trzy tomy swoich rozpraw zatytułował *Z historii i teorii literatury*, a w słowniku terminów literackich możemy znaleźć dwa hasła przez niego sformułowane: „aluzja literacka” i „słuch literacki”.

Waldemar Smaszcz

EUGENIA LOCHOWA

Z DZIAŁALNOŚCI UNIWERSYTETU JANA KAZIMIERZA W PIERWSZYCH LATACH DRUGIEJ RZECZYPOLITEJ

Organizacja życia polskiego na południowo-wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej po zakończeniu pierwszej wojny światowej stabilizowała się w zasadzie po 1920 roku. Nowa sytuacja polityczna wymagała szybkiego likwidowania we Lwowie pozostałości wieloletniego panowania austriackiego. Przestał więc istnieć sejm galicyjski i Uniwersytet Korolowski im. Franciszka Józefa, działający na tym terenie od 1816 roku. Pozostali znankomic profesorowie, posiadający wysokie kwalifikacje, zdobyte na różnych, znaczących uniwersytetach europejskich, była baza biblioteczna ocalała z zawieruchy wojennej. Fakty te miały niezwykle istotne znaczenie dla nowo organizującej się polskiej placówki uniwersyteckiej.

Powrót do tradycji Jana Kazimierza, do jego lwowskiego aktu erekcyjnego (z 1661 r.) wyrażił się w nazwie powołanego w 1919 r. nowego, polskiego już uniwersytetu, którego dalszy konsekwentny i wytrwały rozwój wyznaczył mu ważne miejsce w kraju i w Europie. Konsolidacja sił wokół nadania tej uczelni szczególnej rangi była wprost imponująca, mimo piętrzących się trudności, wynikających z braku lokalu oraz fundusów. Zjawisko to było typowe dla ogólnej sytuacji ekonomicznej kraju, wyniszczonego polityką zabiorców, wojną i lokalnymi konfliktami o charakterze narodowościowym. Scałanie sił polskich na tym terenie dokonywało się jednak w trybie tempie.

W pierwszym rządzie podjęto starania o uzyskanie gmachu byłego sejmu galicyjskiego na siedzibę uniwersytetu. Stwierdzanie tego budynku dokonywało się stopniowo, początkowo także nie przystosowane dla celów wykładowych nie mogły pomieścić ogromnej liczby studentów, którzy masowo gromili się do studiów, mimo ciężkich warunków materialnych i braku domów akademickich. Władze uniwersyteckie szukały różnych form rozwiązania tego problemu, nawet poprzez określenie preferencji dla tych, którzy uczestniczyli w walkach frontowych. Pamiętać należy, że nie obowiązywały wówczas egzaminy wstępne, toteż każdy absolwent szkoły średniej mógł podjąć studia uniwersyteckie. Ważnym zjawiskiem było również wielonarodowościowe pochodzenie studentów wynikające z samego położenia geograficznego Lwowa.

Bieżące problemy uniwersytetu znajdowały swój pełny wyraz w inauguracyjnych wystąpieniach rektorów, których wybierano w każdym roku. Pełne informacje na ten temat zawiera kronika uczelni, prowadzona systematycznie prawdopodobnie od 1922 roku, stanowiąca podstawę mniejszych uwag. Wystąpienie inauguracyjne rektora prof. Emanuela Macheka, rozpoczynające rok ak. 1920/21, przypominało polegających na wojnie studentów i młodych, którzy poświęcili swe życie w obronie Lwowa. W przemówieniu tym była też mowa o dawnym sejmie galicyjskim i budynku po nim, o uzyskaniu którego zostały wszczęte starania przez władze uniwersyteckie. Zwrócono ono również atencji krytycznej pod adresem dawnych władz austriackich, które swymi uchwałami szteżły nieróg między Polakami a Rusinami.

Jest zrozumiałe, że tematem pierwszych, inauguracyjnych wystąpień rektorów były najpilniejsze potrzeby nowo organizującego się środowiska uniwersyteckiego, nawiązującego w swych poczynaniach do historycznej i kulturowej przeszłości Polski, ale widzianej w kontekście europejskim. Pamiętać trzeba, że w pierwszej fazie rozwoju uniwersytetu lwowski posiadał cztery fakultety, tj. teologiczny, prawny, medyczny i filozoficzny, skupiający humanistów, matematyków i przyrodników (w następnych latach podzielony).

W roku akademickim 1921/22 rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie został Jan Kasprzowicz. Przemówienie inauguracyjne wygłosił po mazy pontyfikalnej w Bazylice Katedralnej. Najważniejsze trzy tego wystąpienia dotyczyły świadectw kultury polskiej na kresach wschodnich, roli duchowieństwa, które zawsze, zdaniem Kasprzowicza, rozumiało dążenia narodu polskiego. Uwaga rektora skupiała się także na problemach niepodległościowych, uwiecznionych sukcesem powstania drugiej Rzeczypospolitej. W świadomości Kasprzowicza tkwiły jednak głęboko różnice narodowościowe, symptomatyczne dla terenów południowo-wschodnich i ich stolicy — Lwowa. Swoje poglądy w tej kwestii wyrażał w następujących słowach: *Nie jesteśmy wrogami zamieszkałych tych ziem na niepokoleń, podwoje uniwersytetu naszego otwieraliśmy. Rusinom, których radzielibyśmy nazwać braćmi! Owa polityka wyraża się przede wszystkim w równym traktowaniu studentów niezależnie od ich przynależności narodowej. Przemówienie rektora Kasprzowicza zwracało pewne wskazania, dotyczące powinności kadry naukowej, która swoją pracą miała powiększać racje polskie na kresach*.

Dla tematyki kresowej nawiązał inny rektor prof. Juliusz Makarewicz w roku ak. 1923/24, skazując na przynależność tych ziem do Polski i ich powrót do Macierzy po 150 latach. Ślady polskie na tych ziemiach, jak stwierdził, znaczyli Jagiellończycy, Jan III Sobieski i Jan Kazimierz nie wspominając już innych władców polskich. Znaczące miejsce w przemówieniu rektora miały sprawy dotyczące wzbogacenia księgozbioru uniwersyteckiego; otrzymano w laśnie 25 tys. woluminów z księgozbioru po Witoldzie

¹ Kronika Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Lwów 1912, s. 8-9.

Kazimierz Czartoryskim. Często zasoby biblioteki uczelnianej zasilane były przez prywatnych, zamożnych ofiarodawców, których dobra ocalały w czasie wojny. W ten sposób młodzież studiująca, a także i kadra naukowa miały dostęp do różnych, trudno osiągalnych książek.

Napór studiującej młodzieży, nie poddawanej wstępnej egzaminacyjnej selekcji był żmora dla ówczesnych władz uczelni. Rektor Makarewicz proponował ustalenie zasad ograniczania słuchaczy przy Rady Wydziałowej z uwzględnieniem preferencji dla tych, którzy odbyli służbę wojskową na rzecz państwa, walczący w czasie wojny i bronili Lwowa oraz ukończyli szkołę średnią w polskim trybie wykładowym. Zatem można tu mówić o polskich preferencjach w zakresie studiowania, co w zasadzie kłóci się ze złożonym wcześniej oświadczeniem Kasprzowicza¹.

Ocenając zawartość treściową ówczesnych inauguracyjnych przemówień rektorskich, trzeba zwrócić uwagę na różnorodność problemów i odmienności ich hierarchizacji. Niezależnie jednak od tego zawsze sprawy najważniejsze, tj. trudne warunki funkcjonowania uniwersytetu oraz kwestie narodowościowe, wybijały się na plan pierwszy.

W tym tonie przemawiał również rektor prof. Włodzimierz Sieradzki, inaugurując rok akademicki 1924/25. Wprawdzie wywołał on przypomnienie aktu erekcyjnego z 1661 roku, lecz szybko nawiał do uchwały sejmu polskiego z 22 września 1922 roku o założeniu wyższej uczelni ruskiej we Lwowie, przedstawiając własne stanowisko w tej sprawie. Uważał, że usytuowanie jej we Lwowie może przyczynić się do nasilenia konfliktów narodowościowych. Należy więc wybrać inne miasto okręgu południowo-wschodniego na siedzibę tej planowanej uczelni. Wiemy, że do założenia uczelni nie doszło, zapewne pod naciskiem krytyki, wobec czego wycofano się z pierwotnej koncepcji i uchwały sejmu.

Kroniki z późniejszych lat nie przywiązują już takiej wagi do wystąpienia inauguracyjnych rektorów, natomiast drukują wiele ważnych sprawozdań, związanych z życiem uniwersytetu. Zwrócenie jednak uwagi na te czynniki rektorskich relacji z pierwszych lat istnienia UJK pozwala na uchwycenie najistotniejszych problemów, jakimi było lwowskie środowisko naukowe w początkach drugiej Rzeczypospolitej.

UJK szybko zaznaczył swoje istnienie w kraju i Europie. Sama wewnętrzna organizacja uczelni wymagała coraz to nowych zmian. Wybory rektorów dokonywały się co roku, a w każdym następnym były rektor pełnił funkcję prorektora z urzędu. Stąd też istniały częste zmiany w sposobie widzenia i załatwiania spraw, a także rozwoju kadry uniwersyteckiej. Podobne zmiany miały miejsce na uczelniach dekanatów.

W roku szkolnym 1924/25 ostatecznie dokonano podziału Wydziału Filozoficznego (rozporządzeniem Ministra Wyznań i Oświecenia Publicznego, z dnia 31 października 1924 r.). Określono ilość i rodzaj katedr przynależnych do Wydziału Humanistycznego. Były to katedry dotyczące: filozofii, historii społecznej i gospodarczej, historii sztuki nowożytnej, historii Polski, gramatyki porównawczej, języków indoeuropejskich, filologii klasycznej, filologii słowiańskiej, historii literatury polskiej, języka polskiego, języka i literatury ruskiej (ukraińskiej), filologii romańskiej, języka i literatury niemieckiej, porównawczej historii literatury, etnologii, nauk orientalistycznych, antropologii. Katedry nadzwyczajnie obejmowały prehistorię języka i literatury francuskiej, filologię angielską oraz historię odwiasy². Po tak zaistniałym podziale, na Wydziale Humanistycznym znaleźli się profesorowie starszej i młodszej generacji, jak: Twardowski, Warienberg, Zakrzewski, Bujak, Bulanda, Chyński, Piątnik, Gawroński, Kasprzowicz, Łempecki, Witkowski, Lehr-Splawinski, Bruchnalski, Kleiner, Porębowicz, Czerny, Hahn, Fischer³. Zmiany dokonywały się również i na innych wydziałach. Po podziale Wydział Matematyczno-Przyrodniczy zasilił m.in. Dybowski, Banach — sławny matematyk i Romer — geograf.

Barażo istotny dla senatu i uczelni był problem kadry naukowej. Umierali starzy profesorowie z okresu przedwojennego, których odejście notowane było w kolejnych kronikach za lata 1920-1926. W 1924 r. zmarł prof. K. Wojciechowski, zaś w 1926 prof. A. Halban i J. Kasprzowicz, który już przebywał na Podhalu. Rok 1927 przyniósł zgon prof. A. Gawrońskiego, specjalisty w dziedzinie filologii indyjskiej. Tak oto odchodzili ludzie nauki starszej i niekiedy młodszej generacji.

W kręgu szczególnego zainteresowania senatu oraz władz wydziałowych znajdowały się mianowania profesorskie. Już za rektury J. Kasprzowicza skrajnie notowane nowe awanse profesorskie: K. Chyńskiego — na profesora zwyczajnego w zakresie historii starożytnej, T. Lebra-Splawńskiego — na profesora zwyczajnego w katedrze filologii słowiańskiej, S. Banacha — na profesora nadzwyczajnego z matematyki, doc. J. Kurylowicza — na profesora nadzwyczajnego w katedrze językoznawstwa indoeuropejskiego.

Nowe mianowania były mimo wszystko kroplą w morzu wobec potrzeb organizacyjnych się uczelni. Na samym tylko Wydziale Humanistycznym po reorganizacji Wydziału Filozoficznego brakowało specjalistów z dziedziny orientalistyki, pedagogiki i psychologii (zajęcia z dwóch ostatnio wymienionych przedmiotów prowadził prof. K. Twardowski, wybitny przedstawiciel nauk filozoficznych). Warto przypomnieć tu starania o profesurę dla Wł. Kozickiego, specjalisty z zakresu historii sztuki i dla E. Kucharskiego, historyka literatury, który był niezbędnym w katedrze, w której pracował już prof. W. Bruchnalski i prof. J. Kleiner. Studia humanistyczne wymagały w tym czasie znaczna ilość młodzieży. Wykłady w ciasnych salach stanowiły duże utrudnienie dla prowadzących, poza tym ogromna ilość godzin dydaktycznych nie sprzyjała rozwijaniu badań naukowych. Wciąż przywoływano dane z uczelni zagranicznych, gdzie ilości odbywanych godzin dydaktycznych przez samodzielną katedr naukową była ograniczona do minimum (1-3 godzin, tygodniowo), a każdy wykład stawał się prezentacją kolejnego rozdziału książki. W takiej sytuacji części monity do władz państwowych o przypisanie mianowań profesorskich były na porządku dziennym. Przykładem owych dziekańskich niepokojów niech będzie następujący zapis, zamieszczony w K. Kronicie z lat 1924/25: *Jeśli od 1 października 1925 r. nie uzyska dr. Kucharski nominacji, grozi niebezpieczeństwo, że w przyszłym roku nauka literatury polskiej na UJK prawnie nie będzie istnieć: prof. Kleiner bowiem otrzymał urlop naukowy, prof. Bruchnalski jest przepracowany, zraniony na zdrowiu i ze względu na przekroczoną granicę wieku każdej chwili może przenieść się w stan spoczynku, dr. E. Kucharski zaś zajęty pracą w szkole średniej, nie będzie mógł podjąć wykładów za profesora Kleinera, względnie przyjmie proponowaną mu profesurę we Fryburgu, docenia zaś, który by dr. Kucharskiego zastąpił, nie posiada fakultetu!*

Inny problem dotyczył kształcenia kadry naukowej. Zabiegano więc o zatrzymanie zdolnej młodzieży we Lwowie i tworzenie dla niej stałych asystentów obok tzw. asystentów tyczałowych⁴. Ale obciążenia profesorów i tej dziedzinie były znaczne, ponieważ zajęcia asystentów mogły odbywać się tylko w obecności opiekunów naukowych.

Profesorowie za swoją pracę byli wysoko honorowani, bądź odznaczeniami państwowymi, np. odznaką Orderu Odrodzenia Polski (J. Kasprzowicz), bądź krzyżem Virtuti Militari za zasługi na wojnie (M. Tarnowski).

Inną formą uznania były doktorty honorowe, przyznawane przez UJK nie tylko swoim pracownikom, lecz i zasłużonym ludziom z kraju i z zagranicy. W roku 1921 uzyskał to wyróżnienie prof. Antoni Prochaska — badacz dzieł Jagiellońskiej kreślarstwa ruskich i litewskich, także Oswald Balzer, Benedykt Dybowski i Jan Kasprzowicz. W 1923 roku dla uczczenia 60 rocznicy powstania styczniowego doktorty honorowe otrzymał weterani Józef Treutak, Wojciech Blicharski, Marian Dubiecki, ks. Władysław Chałkowski, Bolesław Limanowski⁵.

Profesorowie UJK otrzymywali również wyróżnienia w innych uniwersytetach, np. doktortat h.c. nadany prof. K. Twardowskiemu przez Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego w lutym 1929 roku. Również prof. B. Dybowski nieco wcześniej został honorowym profesorem Uniwersytetu Stefana Batoryego w Wilnie. W tym też roku, tj. 1923, doktortat h.c. otrzymał prof. O. Balzer w Uniwersytecie Poznańskim.

Inną formą uznania dla lwowskiej profesury było powoływanie jej przedstawicieli na nowych członków Polskiej Akademii Umiejętności (w 1929 roku prof. J. Piątnik, badacz średnio-wieków, prof. E. Romer — geograf, oraz prof. A. Chyński i St. Łempecki).

¹ *Kronika Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie*, op. cit., s. 128.

² *Cały przedmiot ówczesnych naukowych stał się połączony na gruncie nauki białym studentami. Najbardziej użyteczną i najłatwiejszą stała się odczytywanie się na tym, że na młodzieży kolejno stopniowo naukowcy mogli podjąć naukę*.

³ *Kronika Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie*, op. cit., s. 128. Obecnie postępowanie takie zastąpiło systemem procedury konkursowej.

⁴ *Kronika Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie*, op. cit., s. 11.

⁵ *Kronika Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie na rok szkolny 1924/25*, Lwów 1924, s. 15-18.

⁶ *Kronika Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie*, op. cit., s. 128/129, Lwów 1925, s. 36.

⁷ *Kronika z lat 1924/25*, Lwów 1925, s. 119.

Profesorowie UJK uczestniczyli aktywnie w pracach Towarzystwa Naukowego we Lwowie, które powstało w 1920 roku jako przekształcone dawniejsze Towarzystwo Popierania Nauki Polskiej, założone jeszcze w 1900 roku. Istniejące trzy wydziały Towarzystwa Naukowego: filologiczny, historyczno-filozoficzny i matematyczno-przyrodniczy skupiały niemal wszystkich profesorów UJK. Działalność tego towarzystwa — to osobna karta dzieł w łowskiego środowiska naukowego.

Profesorowie UJK mimo wielu trudności brali udział w uroczystościach jubileuszowych innych europejskich uniwersytetów, np. w 700-lecie Uniwersytetu Królewskiego w Padwie uczestniczył prof. K. Kwietniewski. We Lwowie gonienie obchodzono 600 rocznicę zgonu Daniego z udziałem poselską włoskiego. Zorganizowano wówczas cykl odczytów o cyście dantejskiej. Było to za rektury J. Kasprzowicza¹. Również w tym czasie przyznano kilka doktoratów h.c. gościom zagranicznym, a to: prymasowi Belgii kard. Mercierowi, Rajmundowi Polnaremu — byłemu prezydentowi Rzeczypospolitej Francuskiej, marszałkowi Ferdynandowi Fochowi, Herbertowi Hooverowi — ministrowi Handlu Stanów Zjednoczonych i prof. Robertowi Harwardowi — doradcy Wilsona, autorowi książki o drugim rozbiore Polski².

Nieco inny charakter owych kontaktów wyrażał się w pismach, przychodzących z zagranicy, które nie tyle posiadały charakter okolicznościowy, ile informowały o poczynaniach na rzecz rozwoju kultury polskiej. Taki charakter posiadało pismo otrzymane z Columbia University w Nowym Jorku, zawiadające o utworzeniu tam studium polonistycznym. Pismo rektora Semiradzkiego, wydane w języku angielskim zawierało wyraz zadowolenia z powodu utworzenia tej placówki, która, jego zdaniem przyczyni się do likwidacji złych opinii o Polakach, głoszonych na drugiej półkuli w codziennej prasie. W dalszych słowach tego pisma czytamy:

We shall send you our program of studies and our university chronicle. If occasion be given we should be glad to show our old city, the south-east bulwark of Polish civilization to American students³.

Nie ulega wątpliwości, że wiadomości o powstawaniu instytutów polskich nie tylko w Europie, ale i w Stanach Zjednoczonych były znaczące, ponieważ zapewniały szerzenie pozytywnych działań na rzecz Polski, Polaków i naszej kultury.

We współpracy z zagranicą liczyły się szczególnie fundacje, popierające wymianę kadry naukowej i studentów. Należą to wspomniany o powstaniu fundacji stypendialnej im. T. Kościuszki w Ameryce. Ceniono także międzynarodowe zjazdy naukowe z udziałem gości zagranicznych (np. zjazdy filozofów, psycholów, później w 1935 r. zorganizowano znaczący zjazd polonistyczny im. Ignacego Krasińskiego). W marę rozwoju uczelni tego rodzaju kontakty rozwijały się. Współpraca z zagranicą wrażała się m.in. w przyjazdach gości na uroczystości okolicznościowe, raczej związane z rocznicami sławnych uczonych. Wykładało to, jak się wydaje z imitacyjną prof. Porębowicza, znanego romanisty, który patrolował uroczystościom w formie przemówień, wykładów, własnych tłumaczeń dzieł obcych na język polski (np. przekład *Boskiej komedii* Dante).

Tak więc różnymi formami działania senat uniwersytetu respektował zagraniczne kontakty, inspirowane często przez profesorów, którzy albo wykładał na obcych uniwersytetach, albo z racji swych specjalności mieli osobiste znajomości. Naturalnie z owych kontaktów płynęły i materialne korzyści dla UJK tak niezbędne w trudnych czasach formowania się władzy państwowej. Były to liczne wsparcia finansowe nie tylko prywatnych fundacji (np. Rockefellera przydzielonej dla Wydziału Lekarskiego). Dzięki fundowanym stypendiom wielu profesorów mogło zapoznać się z osiągnięciami nauki w świecie i publikować swoje prace w pismach zagranicznych.

Wróćmy jeszcze do studentów. Nie ulega wątpliwości, że masowy napływ młodej przysparzał władzom uczelni najwięcej kłopotów nie tylko z dydaktyką i salami, ale także z powodu braku domów akademickich. Kiedy statystyczne informacja, że np. w roku akademickim 1922/23 studiowało na Wydziale Filozoficznym blisko 5,5 tys. studentów w tym około 3 tys. wyznania rzymskokatolickiego a 2406 męzowskiego). Trzeba także zaznaczyć, że ilość studiujących kobiet niekiedy przekraczała ilość mężczyzn.

¹ *Kramka*: luty 1921/22.

² *Ibid* s. 17.

³ *Wydziałowa Państwa nasz program studiów i kronika naszego uniwersytetu. Jeśli nadarzy się okazja, to przypraszamy polskich amerykańskich studentów nasze miasto, południowo-wschodnie przedmiejscie polskiej cywilizacji. Kramka UJK na rok 1920/21. Lwów 1920*, s. 22.

Studenti zrzeszali się w różnych związkach i stowarzyszeniach akademickich. Oto kilka z nich: Akademicki Związek Polskiej Młodzieży z kresów wschodnich im. A. Mickiewicza (kurator prof. Raczynski), Koło Odczytów Piotra Skargi (prof. Lisowski), Związek Studentów Wydziału Filozoficznego (prof. E. Rómer), Akademickie Koło Historii (prof. Bujak), Koło Polonistów (prof. Kleiner), Towarzystwo Żydowskich Medyków (prof. Nowicki), Towarzystwo ruskie „Druh” (prof. Chyliński), Żydowska Świątelnia Akademicka i inne⁴.

W życiu Uniwersytetu charakterystyczna była więź między profesorami a studentami nie tylko w murach uniwersytetu, ale poza uczelnią. Dydaktyka i studenckie zjazdy zbliżały obu środowiska do siebie. Sprawy studentów UJK wymagają jednak odrębnego omówienia. Tu starano się tylko zasygnalizować niektóre problemy uczelni reaktywujące swoją działalność u progu istnienia Drugiej Rzeczypospolitej.

Istnienie uniwersytetu ściśle związane było z wydarzeniami politycznymi miasta. 22 listopada 1920 roku przyszedł do Lwowa Józef Piłsudski, by udekorować miasto krzyżem *Virtuti Militari*, 3 marca 1921 przebywał tu minister Rataj, a 22 listopada 1924 r. minister spraw wojskowych gen. W. Sikorski, który uczestniczył w poświęceniu kaplicy Obróbki Lwowa. Wydarzeniem było także przybycie do Lwowa m.in. marszałka Focha, uhonorowanego doktoratem h.c. UJK (w podróży towarzyszył mu gen. Sosnkowski).

Lwów jako siedziba uczącego się w Polsce i świecie uniwersytetu, posiadającego piękne tradycje naukowe wkładał w nową rzeczywistość polską z trudem, ale z sukcesami. Posadał, co trzeba tu podkreślić, znakomitych uczonych, którzy od zarania UJK i później rozławiali naukę polską w kraju i za granicą.

Eugenia Lachowa

WALDEMAR MICHAŁSKI

„WILNO — WILEŃSZCZYZNA JAKO KRAJOBRAZ I ŚRODOWISKO WIELU KULTUR”

W dniach od 21 do 24 września 1989 r. odbyła się w Białymstoku I Międzynarodowa Konferencja nt. *Wilno — Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur*. Jej organizatorami i sponsorami były następujące instytucje: Uniwersytet Warszawski — Filia w Białymstoku, Uniwersytet Wrocławski, Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna, miejscowy Wojewódzki Dom Kultury oraz Państwowa Filharmonia a także Biuro Wystaw Artystycznych „Arsenal” i Okręgowa Centrala Rozpowaszczania Filmów. Nieprzypadkowo wymieniam niemal wszystkie instytucje biorące udział w przygotowaniu Konferencji — była ona bowiem zorganizowana z rozmachem a przede wszystkim wyjątkowo sprawnie i atrakcyjnie. Poza głównym nurtem obrad (wygłoszono ponad 80 referatów) uczestnicy konferencji (ok. 250 osób) brali udział w imprezach towarzyszących (m.in. wycieczki, koncerty, filmy, zwiedzanie galerii, kiermasze książek).

Już od pierwszego wystąpienia spotkania towarzyszył szczególny „rodzinny” klimat, było to zasługa m.in. główne sprawczy konferencji: doc. dr Elżbiety Feliksiak z Instytutu Filologii Polskiej w Białymstoku, ona też w sali kolumnowej miejscowej Akademii Medycznej (pałac Branickich) powitała przybyłych gości i referentów z kraju i z zagranicy (Anglia, Francja, Izrael, Włochy, USA, Białoruś, Litwa, Węgry). Zebraniymi przekazali zyczenia pomyślnych obrad przedstawił Zarząd Głównego Związku Polaków na Litwie: Apolonia Skakowska (sekretarz) i Czesław Malczewski (członek Zarządu).

Po wielu latach oficjalnego udawania, że nie ma sprawy Polaków w Związku

⁴ *Zapiski pochodzący z Kramki luty 1921/22.*

Radzieckim — powiedział sekretarz Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną Jerzy Żółnierkiewicz — możemy wrzucić nie tylko mowę o naszych braciach ze Wschodu, ale także wspierać ich łożyskami narodową przede wszystkim przez działania na rzecz ich ojczystego języka i narodowej kultury.

Trzydniowe obrady prowadzone były równolegle w czterech grupach tematycznych (trzech sekcjach). Poprzedziła je i zamknęła sesja plenarna. W pierwszym dniu — w trakcie sesji plenarnej (21 IX) wygłoszono pięć referatów, których autorzy starali się sporetożować „ojczysty wiecu narodów i kultur” — taką bowiem od wieków była Ziemia Wileńska. Tu, na pograniczu między Wschodem a Zachodem znaleźli swoją ojczyznę nie tylko Litwini, ale także i Polacy, Białorusini, Żydzi, Tatarzy, Rosjanie... Wielos kultury, religii, języków to odwieczne bogactwo tej ziemi. Wilno i Wileńszczyzna stanowią i dziś „ojczyznę duchową” wielu rozproszonych po świecie ludzi, którzy wracają do niej z sentymentem, jako do rodzinnego gniazda. W referacie doc. dr. Elżbiety Feliksak pt. *Wileńska ojczyzna: pamięć wielu narodów i dramaty wyzolenia* znalazła się analiza różnych znaczeń słowa „ojczyzna”. Można je bowiem rozpatrywać nie tylko w sensie topograficznym ale i duchowym, czy też jednolitości duchowo-materialnej. W wieku dwudziestym — jak raawiały referentka — wieku nacjonalizmów zainicjowała szczególną konieczność obrony ojczyzny — równocześnie bardziej niż kiedykolwiek ujawnił się dramat wyzolenia. Ziemia Wileńska i zamieszkujące ją różne narodowości dawałyby szczególne boleśnie XIX wieku (...)

Wileńszczyzna ukształtowała się jako wielokulturowa ojczyzna europejska, przy paraliżmie różnych korzeni należąca do duchowej przestrzeni kultury śródziemnomorskiej. W wileńskiej ojczyźnie było się zawsze zarazem w atmosferze wzajemnego poznawania nie i świadomej konkurencji. Ten sposób istnienia był z samej strony natury niosący zarzewie konfliktów i dynamizm sytuacji politycznej niedoświadczony zrodził się w tym krajostrazem. Z jednej strony sprzyjał on dążeniom emancypacyjnym i dezintegracji ojczyzny wspólnoty pogranicza, z drugiej zaś strony — potęgował wartość zakorzenienia w świadectwach rodzimoci.

Leszek Bednarczuk w swoim referacie pt. *Wspólnota komunikatywna Wielkiego Księstwa Litewskiego* informował jak mówiono i jak się porozumiewano na Litwie od najdawniejszych czasów aż po lata naszego wieku. Szekę języków (litewski, polski, żydowski, białoruski, tatarski, rosyjski) było tu równocześnie w użyciu. Mówiło się często innym językiem w domu, innym w kościele, szkole, handlu, urzędzie, na wojnie. Referent, odwołując się do fonetyki, leksyki, topomastyki próbował przedstawić zewnętrzną charakterystykę języków i dialektów używanych na terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego. A i dziś, o czym warto wiedzieć, żyje w Wilnie: 47% Litwinów, 22% Rosjan, 18% Polaków, 6% Białorusinów, 2,5% Żydów oraz 4,5% innych narodowości (m.in. Ukraińcy, Łotysze, Estończycy...) — dane wg oficjalnej statystyki z 1989 r.

Portret Wilna — jego historii, architektury, ludzi nauki i sztuki rysował m.m. referaty Stanisława Lorentza (*Moje wielkie Wilno*) i Marceliego Kosmana (*Wilno dawne i współczesne. Głównie kierunki rozwoju XIV — XX w.*). Ferdynand Ruszczyk (junior) mówił o twórczości artystycznej swojego ojca (m.in. jako ilustratora XIX wieku poddane były szczególnej rusyfikacji (podobnie jak cała Litwa) i naszczeniu wszelkich śladów polskości (np. afisz wystawy mógł się ukazać po francusku i rosyjsku, ale nigdy po polsku, wybrane fragmenty Moniuszkowskiej *Hałki* mogły być ewentualnie śpiewane, ale tylko po rosyjsku!) Sylwetki innych znakomitych ludzi Ziemi Wileńskiej m.in. Stanisława Kościakowskiego, Jerzego Ordy, Mariana Zdziechowskiego, Edwarda Żelgowskiego, Jana Borowskiego, Mieczysława Limanowskiego stanowiły znakomitą okazję do prezentacji potencjału intelektualnego miasta.

W następnych dniach referaty wygłaszano i dyskusje prowadzono przed i po południu, jak wspomnieliśmy, w trzech sekcjach tematycznych.

Sekcja I: *Dzieje ojczyzny wielu narodów* obradowała w dwóch grupach: A — *Krajostraz i ludzie* oraz B — *Historia i pamięć*. Dużym zainteresowaniem cieszyły się tu referaty przedstawiające wielonarodową kulturę regionu.

Sima Kaganowicz przyjechała na Konferencję z Izraela. Przed wojną ukończyła w Wilnie Gimnazjum im. Elżby Orzechowej. Odwołując się do wspomnień z czasów młodości omówiła życie gminy żydowskiej w Wilnie w okresie międzywojennym. Powiedziała m.in.: *Charakterystyczną cechą społeczeństwa żydowskiego w Wilnie był*

prawie zupełny brak ideologii asymilacyjnej. Narodowe samienie zakorzenilo się przez szkoły, biblioteki oraz inne instytucje kulturalne. W szkoleniu żydowskim w Wilnie były szkoły z językiem wykładowym żydowskim, hebrajskim oraz polskim... Wśród instytucji naukowych działających w Wilnie były m.in. Towarzystwo Historyczno-Etnograficzne oraz Żydowski Instytut Naukowy... Po pierwszej wojnie światowej działał w Wilnie liczni literaci, wśród których osiągnięciom w rózniadzie się grupa młodych poetów tzw. „Jung Wilno” (Młode Wilno). Należeli też podkreślić działalność kł dramatycznych oraz teatrów zawodowych. Wilno żydowskie odznaczało się bogatą działalnością muzyczną.

Wśród żydowskiej wileńskiej prawy nie było analfabetyzmu. Rozwijało się czytelnictwo książek i prasy. Biblioteki sprzyjały rozpowszechnieniu literatury. Jeszcze w 1789 r. założone zostało na białostockiej stronie wydawnictwo i drukarnia „Wdowy i Braci Rom”.

W najcięższych czasach istnienia ghett, nie została przerwana nie kulturalnej działalności. Powstały szkoły polonizacyjne, szkoła zawodowa, szkoła inżynierska. Klub młodzieży prowadził pracę wychowawczą.

Żydowskie Wilno nie ma, Żydzi, cudem uratowani, rozproszeni są po różnych krajach. Część z nich przybyła do Izraela.

Temat wileńskich Tatarów i Karaimów był obecny w kilku referatach. M. in. Aleksander Dubiński mówił o życiu społecznym i kulturalnym Karaimów w Wilnie i Trokach, o powołaniu w 1921 r. „Wileńskim Stowarzyszeniu Karaimów” i jego działalności (m.in. oświatowej, wydawniczej i artystycznej). Centrum życia Karaimów w II Rzeczypospolitej był Troki — tu urzędował najwyższy ich zwierzchnik — hachan Seraja Szapshal (były hachan krymski). Bywało, że dostojnicy państwowi odwiedzający Wilno składali także wizyty hachanowi w Trokach (m.in. w 1930 r. prezydent Ignacy Mościcki).

O Tatarach, którzy od XIV wieku znaleźli tu swoją drugą ojczyznę (jako osadnicy) mówił m.in. Maciej Konopacki i Czesław Lipiec. Tatarscy muzulmanie zamieszkali okolice Wilna, Kowna, Mińska, Nowogróda, Słomna i in. Jak zauważył Maciej Konopacki Tatarzy żyli na tej ziemi w swojskie praktykownym tu powszechnie „prekumencie”. Budowali swoje meczety, służyli wiernie orężem nowej ojczyźnie, byli dobrymi sąsiadami i gospodarzami. „Wileńskie przysagame” było zaprzeczeniem dzisiejszego „wydsiedzenia”.

Tatarzy w literaturze polskiej wielokrotnie portretowani byli, m.in. przez Syrokomłę, Krzazewskiego, Sienkiewicza, Dygańskiego... Z kolei we własnych czasopiśmie i innych publikacjach, także literackich, dawali wyraz miłości i przywiązania do ziemi, która stała się i ich ojczyzną. O sprawach tych interesujący omówił na Konferencji potomek chanów tatarskich Selim Chazbiejew — tekst referatu, po niewielkich skrótach, drukujemy w tym numerze „Akcentu”.

O polskim życiu artystycznym Wilna mówił m.in. Witold Rudziński (*Muzyka w Wilnie i na Wileńszczyźnie w latach międzywojennych*) oraz Jagoda Hermik (*Wileńskie Śród Literackie 1927-1939*). Znany kompozytor, pedagog i redaktor Witold Rudziński odwołując się do archiwaliów i własnych wspomnień, relację wzbogacił licznymi interesującymi dygresjami, przedstawił dramatyczny przebieg życia muzycznego w Wilnie od czasów powstania 1863 r. aż po lata czterdzieste naszego wieku — referat drukujemy w „Akencie”.

Do grona najmłodszych uczestników Konferencji należała Jagoda Hermik. Jej relacja na temat wileńskich „Śród Literackich” charakteryzowała się precyzją wypowiedzi i szacunkiem dla dai, nazwisk i tytułów. Relację, która jest niemal kroniką „zjawiska bezpośredniego w życiu literackim II Rzeczypospolitej” publikujemy w wersji przygotowanej dla „Akcentu”.

Z ogromnej ilości wygłoszonych referatów chcielibyśmy zwrócić uwagę także i na te, które informowały o martyrologii i walce ludzi Ziemi Wileńskiej. O mejsku kaźni ok. 60 000 ludzi w Ponarach mówiła na Konferencji Hanna Pasierbska. Relację osobistą o holocauste Żydów wileńskich przedstawił Aleksander Dawidowicz. Społeczne skutki wkroczenia Armii Czerwonej na Kresy Wschodnie w 1939 r. przedstawił Jan Malinowski (referat odczytany przed nieobecnością autora), stan wiedzy na temat walki z jednym i drugim okupantem omówił Tadeusz Gaszold (*Sian wiedzy o Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i Nowogródzkiej oraz posłudatki badawcze*).

Zdumiewała rzeczowość wypowiedzi i doskonała znajomość faktów prezentowana przez historyków najmłodszej generacji. Tu chcielibyśmy powołać się na referat Andrzeja

Romanowskiego pt. *Odrodzenie kultury polskiej na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego 1905 r.* oraz Adama Dobrońskiego pt. *Wojsko polskie w życiu Wilna lat II Rzeczypospolitej*. Pierwszy z nich dał niezwykle dokładny przegląd sytuacji kultury polskiej po 1863 r. a szczególnie jej odrodzenia i rozwoju w 1905 r. (prasa szkolnictwo, teatr, instytucje i stowarzyszenia kulturalne), drugi zaś przedstawił genozę, strukturę i funkcję najświeższego w latach międzywojennych garnizonu wojska polskiego, a przede wszystkim omówił jego działalność ekonomiczną i kulturalną na rzecz miasta.

Przewodnim tematem obrad sekcji drugiej były *Dzieje nauki, oświaty, wychowania*. Wielu referentów omawiało sprawy związane z organizacją i funkcjonowaniem Uniwersytetu im. Stefana Batorego (od jego wskrzeszenia w 1919 r. po lata pracy w konspiracji podczas II wojny światowej). Referenci charakteryzowali „szkoły” i metody badawcze najwybitniejszych przedstawicieli nauki wileńskiej, kreślili sylwetki uczonych, omawiali działalność naukową i dydaktyczną poszczególnych wydziałów. O „szkole filologii klasycznej” USB mówił Mieczysław Wiśniewski, o Wydziale Sztuk Pięknych — Józef Pokiewicz, o dwóch koncepcjach polonistyki wileńskiej (realizowanych przez Manfreda Kridla i Konrada Górnickiego) — Waldemar Smaszcz. Warto tu także zaznaczyć, że uczestnikami Konferencji była córka Manfreda Kridla — pani Elżbieta Kridl-Valkenier, przybyła na scenę wprost z Nowego Jorku. Wyowiedziała Waldemara Smaszcza, w wersji przygotowanej dla „Akcentu”, drukujemy obok.

Życie nauki i promieniowanie oświaty to także praca w Wilnie kilku znakomitych szkół średnich, z których Państwowe Liceum im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich przedstawione zostało na Konferencji przez Alicję Ulińską, zarys działalności Gimnazjum oo. Jezuitów (1921-1940), którego wykładowcami byli także profesorowie z USB omówił Jerzy Jasieński. Bardzo często w różnych referatach wymieniano także inne szkoły a szczególnie Gimnazjum im. Elżby Orzeszkowej. Irena Ślawnicka, absolwentka właśnie tego Gimnazjum a obecnie profesor KUL, mówiła na Konferencji o *Formacji młodzieży wileńskiej w II Rzeczypospolitej*. Podobne sprawy znalazły swój wyraz w referatach Ireny Okulewicz i Jadwigi Wiśniewskiej (*Wileńska Chorożew Harce-rek — jej działalność w dwudziestolecia międzywojennym i w latach II wojny światowej*) oraz Bohdana Nagurskiego (*Akademicki Klub Włocławców Wileńskich*). Właściwość wyboru metod wychowawczych i dydaktycznych potwierdziły późniejsze trudne lata wojny i konspiracji a także umiejętność życia w katorżniczych warunkach na „niełudzkiej ziemi”.

Trzecia sekcja obradowała pod hasłem: *Wilno i Wileńszczyzna — świadectwa literatury*. Przewodniczył pracom sekcji prof. dr Czesław Zgorzelski. Omawiano tu m.in. wybrane problemy twórczości Edwarda Żeligowskiego (referat Maru Koszyckiej), Józefa Mackiewicza (referaty Heleny Karwackiej i Violetty Wejs). Stanisława Bałinskiego (referat Włodzimierza Wójcika), Johannesa Bobrowskiego (referat Elżbiety Kononczuk). Prezentowano też Wilno i Ziemię Wileńską w poezji (referat Tadeusza Bujnickiego) oraz w prozie (referat Zbigniewa Stab). Wystąpili tu także goście z Uniwersytetu w Grodnie, m.in. Świętłana Musienko (kierownik tamtejszej sekcji filologii polskiej, która inaugurowała swoją działalność 15 listopada 1989 r.) i Aleksy Piatkowicz. S. Musienko mówiła o Wilnie i Wileńszczyźnie w pamiętnikach Zofii Nakwińskiej i Maksyma Tanki, natomiast A. Piatkowicz relacjonował związki wileńsko-grodzieńskie w życiu literackim XIX wieku.

Trzydniowe obrady Konferencji zamknięte zostały sesją plenarną, w trakcie której najbardziej dyskusyjnym referatem był tekst Krzysztofa Wozniakowskiego na temat sytuacji Polaków w dzisiejszej Litwie. Referat stał się okazją wystąpienia protestujących przeciwko narastającej fali dyskryminacji Polaków a równocześnie okazją wezwania do podjęcia wspólnych rozmów i pilnego wyjaśnienia nieporozumień. Zasada wzajemnego poznawania i zrozumienia — stwierdzono w dyskusji — jest tu kluczową kwestią, bez której nie może być mowy o normalnych doświadczeniach stosunkach i budowaniu wspólnego domu. Postulowano, aby następną konferencję zorganizować wspólnie z „Sajudisem” w ... Wilnie! Myślę, że ten zgłoszony „pół zartem, pół serio” postulat ma wcale realną szansę realizacji... Przygotowaną zaś dla „Akcentu” skróconą wersję referatu Krzysztofa Wozniakowskiego drukujemy w tym numerze.

Zamknięciem części naukowej Konferencji była całodzienna, niedzielną wędrowka autokarowa szlakiem wielu wyznań i kultur. Uczestnicy sesji mieli okazję zwiedzić Tykocin (Muzeum Regionalne z Synagoga), Supraśl (pozostałości monasteru unickiego), Krusztyniany (meczet mahometański i cmentarz) oraz Sokółkę (spotkanie z regionalistami oraz miejscowe muzeum). Warto także dodać, że w trakcie trwania Konferencji uczestnicy obejrzeli film Tadeusza Konwickiego *Lawa* (wg *Dziadów* Mickiewicza), wysłuchali koncertu Orkiestry Symfonicznej Państwowej Filharmonii w Białymstoku pt. *Wilno — Wileńszczyzna* oraz obejrzeli przedkrojącą wystawę prac malarzskich Ludomira Ślędzkiego. Z okazji Konferencji opublikowano antologię poetycką pt. *Tobie Wilno* w wyborze i pod redakcją Elżbiety Feliksiak, Marty Skorko i Pawła Waszaka (Wyd. Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku 1989, s. 128, nakład 3000 egz.).

Organizatorzy Konferencji zamierzają opublikować pełny zestaw wygłoszonych referatów i komunikatów. Nie wątpię, że będzie to wydawnictwo bestseller

Waldemar Michalski

JAN MIZIŃSKI

INSTYTUT TŁUMACZY UNIwersytetu Wiedeńskiego

Juz od 45 lat istnieje przy Uniwersytecie Wiedeńskim Instytut Tłumaczy. Nasze filologie obce zajmują się wprawdzie teorią i praktyką tłumaczenia, głównie rzeszą literatury pięknej, ale zawsze obejmuje to tylko jeden język obcy, a i wtedy samo tłumaczenie stanowi — w nauczaniu, w badaniach — tylko niewielki margines, zaś tłumaczenie ustne, zwłaszcza symulacyjne nie jest najczęstszą uwzględnianą rzeczą. Brak na to czasu w programie — potrzeba przekazania maksimum wiadomości praktycznych z języka obcego i danych kulturowych apycha z konieczności na daleki plan sprawy translacyjnej. Placówką najbardziej zbliżoną do wiedeńskiego Instytutu jest w Polsce Instytut Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego.

W wiedeńskim Instytucie sprawy translacyjne są przedmiotem głównym. Praca badawcza obejmuje teorie (od lingwistycznej po psychologiczną) tłumaczenia w ogóle i z uwzględnieniem specyfiki poszczególnych języków, zaś dydaktyka to zmasowany blok ćwiczeń translacyjnych z wybranego języka obcego na odczyty i odwrotnie w różnych zakresach tematycznych. Są więc specjalne tłumaczenia z tekstami mówionymi i pisanymi z dziedziny polityki, ekonomii, medycyny, techniki — zawsze obustronne. Ka wszędzie na wyższych uczelniach austriackich obowiązują przy tym równoległe studiowanie dwóch przedmiotów, a więc: w tym przypadku dwóch języków obcych, nie zawsze pokrewnych. Rzecz istotną jest połączenie pracy z tekstami pisanymi z tłumaczeniem „na żywo”. Stąd w nazwie Instytutu nieprzetłumaczalny na język polski dualizm: Institut fur Übersetzung und Dolmetscherschulbildung.

Instytut został założony 27 maja 1943 roku. Bodźca dostarczyły oczywiście rozległe cele militarne III Rzeszy, której Austria była wtedy częścią. Kształcono tłumaczy w językach aktualnych sojuszników i wrogów. Instytut był w związku z tym podzielony na sekcje: rosyjską, francuską, angielską i włoską. Profil ten został po wojnie znacznie rozszerzony i obejmuje dziś aż 12 języków: angielski (z osobnym działem amerykańskim), francuski, włoski, japoński, portugalski, hiszpański, polski, rosyjski, rumuński, serbochorwacki, węgierski i czeski. Kolejność ta odpowiada, oczywiście, nie zawsze pokrewnym. Rzecz istotną jest połączenie pracy z tekstami pisanymi z tłumaczeniem „na żywo”. Stąd w nazwie Instytutu nieprzetłumaczalny na język polski dualizm: Institut fur Übersetzung und Dolmetscherschulbildung.

Instytut został założony 27 maja 1943 roku. Bodźca dostarczyły oczywiście rozległe cele militarne III Rzeszy, której Austria była wtedy częścią. Kształcono tłumaczy w językach aktualnych sojuszników i wrogów. Instytut był w związku z tym podzielony na sekcje: rosyjską, francuską, angielską i włoską. Profil ten został po wojnie znacznie rozszerzony i obejmuje dziś aż 12 języków: angielski (z osobnym działem amerykańskim), francuski, włoski, japoński, portugalski, hiszpański, polski, rosyjski, rumuński, serbochorwacki, węgierski i czeski. Kolejność ta odpowiada, oczywiście, nie zawsze pokrewnym. Rzecz istotną jest połączenie pracy z tekstami pisanymi z tłumaczeniem „na żywo”. Stąd w nazwie Instytutu nieprzetłumaczalny na język polski dualizm: Institut fur Übersetzung und Dolmetscherschulbildung.

tych emigracji", chorowiciej też nowszej i niewielka liczba studentów z Polski war-
nych swa plany z powrotem do kraju. I właśnie o sekcji polskiej warto powiedzieć coś
więcej, a to z powodu jej szczególnej ruchliwości i inicjatywy. Nie ograniczając się
bowiem do zajęć programowych, bardzo spragnionych wiedzy, stworzyła ona co w ro-
dzaju klubu tłumaczenia i propagowania literatury polskiej w Austrii i austriackiej
w Polsce. Nazywa się to skromnie Grupa Tłumaczeń Literackich, a powstała
z inicjatywy dr Dorothei Müller-Ott, która w Instytucie Tłumaczy jest kierownikiem
lektorium polskiego. Pani Ott nie ma polskich przodków ani nawet dalekiej rodziny
w Polsce. W roku 1954 w gimnazjum realnym w powódzkim miasteczku Tulln
zdała jako jedna z pierwszych chybła abiturientkę w Austrii maturę z języka
rosyjskiego, czego logicznym następstwem były uniwersyteckie studia slawistyczne.
Tam właśnie mając za język podstawowy sławski, ze słabą ciałę jeszcze, załedwie
drugą polski. Po ukończeniu w roku 1960 slawistyki, ze słabą ciałę jeszcze, załedwie
lektoratowa znajomością języka polskiego, Dorothea Müller-Ott otrzymała stypen-
dium UNESCO i spędziła dwa i pół roku w Polsce prowadząc badania i studiując na
Uniwersytecie Warszawskim. Ten okres zdecydowały o zainteresowaniu na dobre
po naszą kulturą, zwłaszcza zaś naszą literaturę współczesną. Po powrocie do Austrii
tłumaczyła jeszcze tłumacząc w przemyle (to domniemy był jednak język rosyjski), ale
kontakty z Polską już nie utrzyma. W roku 1977 po raz pierwszy otrzymała godzinę
złotą w Instytucie Tłumaczy, ich ilość z czasem się zwiększała, aż wreszcie pani Ott
porzuciła słownie rzeczową w Korneuburg i zajęła nie tylko dydaktyką i tłumaczeniem
literatury.

jest cienie". W ogóle należałoby przerwać „zmowę milczenia”, która zaczyna okonywać pojęcie i zjawisko. Nie bójmy się patriotyzmu: przecież to wcale nie musi być pojęcie i uczucie wyrwane do góry nogami (wedle metody zastosowanej przez Marksa w stosunku do Hegla).

Skończyłam uważać się za patriotkę, to dlaczego nie zgadzam się na nacjonalizm, dlaczego nacjonalizmowi odmawiam prawa do miana prawdziwego patriotyzmu? To proste: nacjonalizm bazuje na założeniu, że jeden określony naród jest lepszy od innych. Uzasadnieniem podstawowym ma być to, że to jest ten „swoi”, ten „własny” naród i że każdy jego związek z innym narodem jest szkodliwy, bowiem te inne narody są albo przeznaczone do służenia mu albo powinny zostać wyeliminowane lub co najmniej odsunięte na bezpieczną odległość. Pycha narodowa, narodowe użurpacje i mętny mistycyzm własnej wyższości nie mają i mieć nie mogą nic wspólnego z prawdziwym patriotyzmem. Ten bowiem musi zakładać szacunek dla innych ludzi, a nie tylko dla siebie, swej rodziny czy grupy, do której ktoś przynależy. Odmawianie praw innym, by je przyznać „swoim” jest podstawowym grzechem wobec etyki społecznej. Ja oczywiście mogę i powinienem własny naród kochać ze wszystkich sił i dla siebie samego przedkładać go na inne, ale nie ma żadnego uzasadnienia dla postawy, która z tej miłości wyciąga wobec innych nienawiść. Swoi i obcy – kategoria rozpoznała w badaniach etnologicznych – ma miejsce w świecie pojęć kraj prymitywnych. A nie po to chcę się uważać za spadkobiercę wielowiekowej kultury, w której chrześcijanin sprzął się z tradycjami sroczmionomorskimi jeszcze przedchrześcijańskimi i uformował w długie, dwuświatelnicie wędrówki, bym miał stąd wyciągać wnioski o własnej (w sensie zbiorowym) wyższości.

Polski mesjanizm romantyczny jest zjawiskiem żałośnie śmiesznym, nie dającym się dziś traktować poważnie. Mesjanizm w wydaniu naszych wielkich poetów pełen jest szerokiej miłości człowieka w ogóle, ale kryje się w nim truciźna polskiego nad-człowieczeństwa i nad-praw polskości przysługujących, względnie szczególnego posłannictwa, co na jedno wychodzi. Zjawisko można tłumaczyć fatalną serią narodowych nieszczęść, ale usprawiedliwiać co nie należy. Każdy mesjanizm, choćby najbardziej mistyczny, zawiera w sobie truciźnę, skażenie podstawowych zasad etyki społecznej, która jest rozszerzeniem reguł obowiązujących jednostkę na zbiorowość.

I dlatego nie uznaję nacjonalizmu za patriotyzm, zwłaszcza że nie może istnieć jeden jedyny nacjonalizm. Nacjonalizm rodzi się na zwiastowaniu agresji lub samobrony i krzepną w wzajemnych konfrontacjach.

Sytuacja szczególną dziejów I Rzeczypospolitej była jej wieloetniczność, wielojęzyczność i wielowyznaniowość. Jeżeli szczerzimy się tolerancją, to wynika ona nie tylko z jakiejś naszej głębokiej moralności czy politycznej mądrości (istnieją różniczne dowody na coś wręcz przeciwnego), ale stąd, że wytworzona w pewnym momencie mozaika nie nosiła cech samobójczych, przeciwnie – posiadała spór zasób cech pozytywnych, przyszłościowych, a zarazem zdroworozsądkowych. Polska XV i XVI w. miała w sobie jeszcze wiele elementów dawnych struktur plemiennie-rodowych i to pomogło walczyć w przezwyciężeniu trudnościowych „inności” etnicznych, a ponadto element różnorodności nie krył w sobie, jak na Sycylii czy Korsyce, założenia wyłączności rodzinnej i obowiązku zemsty, lecz rodził poczucie szerokości wspólnotowej. Mit sarmackiego pochodzenia szlachty miał właśnie takie zadanie: scalać to, co wcale jednakowe nie było, znajdować wspólną genealogię dla tego, co takowej genealogii nigdy nie miało.

Wniosek narzuca się sam: łatwość, z jaką polonizowała się szlachta litewska, ruska czy tzw. pruska, świadczy o atrakcyjności modelu, który obywatelom Rzeczypospolitej Obojga (coż za skromność!) Narodów oferował światopogląd sarmacki, sarmacki „sposób na życie”. Ta atrakcyjność, a ponadto silniej rozwinięta kultura językowa, religijna, prawna itd. sprawiły, że początkowo wcale nieliczna nacja plemienna z nad Gopla — i ta od Popiela, i ta od Piasta — rozrosła się we wcale liczną i szeroko rozsiadłą społeczność. I proszę nie mówić o zbrojnej ekspansji: wojny na wschodzie, i owszem, hwały, ale podstawowy proces wchłaniania nowych terytoriów odbył się w większości bezkrwawo.

Wydaje mi się, że owa tolerancyjność, a więc atrakcyjność modelu kulturowego działała więcej niż wymachiwanie szabelką. Niedziennie prowadzona wojna trzynastoletnia spowodowana została przez stany pruskie, które same pragnęły połączenia się z Polską. Wojny batorskie były w gruncie rzeczy wojnami defensywnymi, chodziło bowiem o terytoria zagrożone przez Moskwę. Polacy wojować nie lubili, choć — kiedy zaszła potrzeba — walczyli i to nieraz z zadziwiającą odwagą i poświęceniem. Owa tolerancyjność sprawiła, że Rzeczpospolita nie podzieliła się wewnętrznie podziałami wyznaj, jak Rzecz Niemiecka, ani nie przeżyła okrutnej wojny domowej na tle religijnym i restauracja katolicyzmu odbyła się też bezkrwawo, ale za to nader skutecznie. Nie jestem historykiem, ale tak mi się wydaje, że powinniśmy w dobrej pamięci zachować prymasa Jakuba Uchańskiego, któremu zarzucano nadmierną łagodność wobec innowierców. To jemu Polska zawdzięcza wewnętrzny pokój, a Kościół polski swe ugruntowane znaczenie.

Do czego zmierzam? Do tego, o czym niedawno pisałem w „Tygodniku Powszechnym”², a mianowicie, że przez wiele stuleci atrakcyjny model polskości jako „sposobu na życie” nagle, gdzieś tam u schyłku minionego wieku zaczął swą atrakcyjność tracić, a proces ten w ciągu obecnego stulecia stał się nasilać. Przed wojną nacjonalistę rodzimego chowu żądali „Polski dla Polaków”, a po wojnie marksści okrzyknęli wielki sukces PRL jako państwa bez mniejszości.

Pomijając fakt, że z tymi mniejszościami to wcale tak nie było, że mieliśmy i mamy je nadal, nie tak liczne jak w okresie międzywojennym, ale jednak znaczące, pozostaje podstawowe pytanie: czy z sytuacji „etnicznej czystości” państwa należy się aż tak bardzo cieszyć?

Ja wiem, że sąsiadzi, diaspory, że mniejszości i odrębności językowe czy religijne prowadzą często, aż nazybi często, do konfliktów, czasem przybierających formy nader gwałtowne. Sprawa Basków, sprawa Irlandii Polnoćnej, sprawa statecznej Belgii, gdzie się nagle Walonowie za czuby wzięli z Flamandami, Rumunii czy Bułgarii, ujawnia niejednokrotnie gwałtowność napięć, które dziesięciolecia, ba, nawet stulecia — istniały uśpione i okolonione swoistymi status quo. To wprost nieuniknione i nie pozostaje nic innego, jak przekonywać łagodnie, uzasadniać z nadzieją, że owe płomyki czy płomienie jakos same przysną, że wypracowane zostanie nowe status quo, a przede wszystkim, że jednak powstanie Europa rodzima, Europa bez granic w której każdy, absolutnie każdej będzie miał swoją ojczyznę, wcale nie „etnicznie czystą”, ale swoją, własną, o suwerenności podporządkowanej ponadnarodowym porozumieniom.

Oczywiście, to tylko marzenia, to jeszcze jedna utopia, ale na jej obronę mam to, że nie zakłada ona ulepszenia na siłę, że nie zakłada pseudonaukowego ustalania porządku historii, bo to pani grymasna i nie poddająca się regułom proponowanym przez naprawiaczy. I takie

¹ O. I. M. Białecki OP: *O patriotyzmie*. Wydawnictwo „Odpowiedzialność i Czyn”, Warszawa 1989.

² T. Chrzczanowski: *Polskość — zanik siły przyciągania*. „Tygodnik Powszechny” 1989 nr 25 (2086).

marzenia bynajmniej nie sprzeciwiają się temu, że nadal Kocham i Kochać będą ten nie bardzo śliczny plastugowany kraj z jego okropnymi, przajmami mieszkanicami. I nie obawiam się, że taka Europa rodzinna nas wchłonie i skomopolityzuje, bo już dziś doświadczenie poucza, że wcale taki proces nie zachodzi tam, gdzie granice i różnice ustrojowe nie stwarzają sąsiedzkich problemów.

Po prostu jestem głęboko przekonany, że pewne przemiaszczenia, pewne zapożyczenia i wymiany są stokroć korzystniejsze niż kłiszenie we własnej „familii”. I znow poucza historia: w ciągu wieków tak dużo, tak oburącz i tak gwałtownie nabraliśmy od „innych”, że dziś nawet trudno sobie wyobrazić polską kulturę bez owych wpływów. Może mam spójnienie spazmów zawodowo, gdyż jako historyk sztuki bez przerwy ocieram się o dzieła, które dla nas tworzyli przybysze z innych krajów, tworzyli tak długo, paki sami w XIX w. zabraliśmy się do roboty, a i później proces adaptacji i asymilacji nie ustał całkowicie, bowiem właśnie w drugiej połowie tegoż stulecia zaczyna się w sztuce polskiej krotkotrwali (po holocaustie), ale jakże owocny „fenomen żydowski”, a to samo dotyczyło także czy może szczególnie literatury.

O szczegółowych problemach naszych głównych mniejszości: o Litwinach, Białorutinach i Ukraińcach napisano ostatnimi laty tyle (a i niżej podpisany ma w tym pewien udział), że powtarzanie tych spraw nie wydaje się słuszne. Problem żydowski jest zagadnieniem odrębnym, bardzo rozwarstwionym i skomplikowanym i wymagałby osobnego studium. Poza tym istnieją małe enklawy lub diaspory, niektóre zanikające (Ormianie), inne zachowujące swą odrębność głównie dzięki religii (mahometanizm Tatarów w Białostockiem). Innym jeszcze zagadnieniem są Niemcy, a raczej ci mieszkańcy tzw. Ziemi Odzyskanych, których zdolano w ostatnim czterdziestolecu dokładnie zgermanizować, działając skutecznie niż frydryczjanie i bismarckowskie akcje. Jak widać pakiet problematyczny olbrzymi i nie zamierzam podejmować kompletu wywołanych (I nie wywołanych) tu hasła.

Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na sprawę o znaczeniu w moim przekonaniu zasadniczym: wszystkim tym współobywatelom czy sąsiadom coś zawdzięczamy. Litwinom polityczną elastyczność i poczucie tolerancji (tak, proszę rodaków, tak — to myśmy się od nich uczyli, bo oni wcześniej niż my mieli państwo wielonarodowe i wielowyznaniowe, w którym byli etnicznie mniejszością), no i naturalnie romantyzm: ten przecież nie rozkwitł na nizinach Kujaw czy Wielkopolski (nie mówiąc o Mazowszu), ani nawet na południowych pogórzach, ale właśnie tam: w litewskich „ostepach”, a walenie wspaniałą górką jęsknią ukraińskich bezkresów. Białorutinom zawdzięczamy szereg rodów, które się wspaniale w dziejach naszego kraju zapisały, jak Ostrogscy, Sapiehowie, Czartoryscy, nie mówiąc o tych wspaniałych gawędziarzach i paszkwilantach naszej literatury z Wańkowiczami i Mackiewiczami w czasach już najnowszych. Ukraińcom, poza wspomnianym „stepowym romantyzmem” zawdzięczamy z kolei ową brawurową rycerskość (z pogranicza bandytyzmu) i technikę partyzancką, które Lechów, tak namiętnie tu milowitnie, starożytnie, wspaniale „przeobraziła w rycerzy przedmurza, owych miles christiani, którymi oni rzeczywiście byli, nawet gdy to kmiczościami rozrabiali. I jeszcze jedno: Ukrainie (jeszcze zanim stali się Ukraińcami) byli naszym oknem na Wschód, zarówno w dobrym, jak i złym znaczeniu. To dobre stawiam jednak na pierwszym miejscu, bowiem nasza odwieczna opcja zachodnio-lacińska została w ten sposób ubogacona o elementy przeciwstawne i na tym właśnie polega głównie ów sarmacki synkretyzm. Ja w każdym razie boleję głęboko nad zanikaniem w naszym kraju owego kulturowego orientalizmu, co się tak ładnie łączył z lacińsko-średziemorskim europeizmem, wyznaczając nam ważną rolę zwornika na europejskim drożdżu. Trudno bowiem za orientalizm w pełnym rozumieniu tego terminu uznać lansowane przez władze PRL nastawienie na Wschód.

Dokonałem tu wypominków, które mnożyć można by długo i rozmaicie, ale przecież nie o to chodziło, by zestawiać tu „korpus” korzyści, ani o to, by podlizywać się pobratymcom. Chciałem jedynie ukazać, że z owej minionej koegzystencji płynęły rozliczne korzyści, gdy my zhyt często myślimy o tej przeszłości wyłącznie negatywnymi stereotypami. To nie jest jakieś specjalnie nasze, polskie wypaczenie, jest to wypaczenie powszechne, wyrastające na podłożu nacjonalizmów.

Zydi? — krwiopiccy wyszukujący nas i niewiadzący zarazem, kolaboranci każdego uciskającego zaborcy, sługusy tajnych służb. Ukraińcy? — wiadomo: reżyny (a ja na ten temat mogłbym sporo ze swojego doświadczenia dołożyć), pseudonurad wykreowany przez Rosjan i Austriaków. Białorusini? — zanim cokolwiek zrobili, będą się długo drapać w głowę i ostatecznie nie zrobią nic. Litwini? — podejrzliwie żubry puszczające, niewdzięcznicy, co już żadnej unii z nami nie chcą. A myśmy samą królową Jadwigę za żonę ich Iysemu Jagielle oddali, nie mówiąc o wszystkich żonach Budrysów.

Oczywiście w tym ostatnim punkcie życzę sobie stroje, sprowadzając nasze pretensje ad absurdum, ale przecież to samo dąży się zrobić z rozmaitymi ich pretensjami. Wszelako, jak już powiedziałem, nie zamierzam się wdawać w rozliczeniowe przetargi, a po prostu zastanawiam się nad modus vivendi naszego kraju i w ogóle tego wszystkiego, co się wokół nas kotłuje i co ostatnimi czasy stało się niezwykle modną „Europą Środkową” (vide niedawne sympozjum krakowskie zorganizowane przez „Znak” i warszawski KIK).

Wyliczając korzyści chciałbym jednak uświadomić czytelnikom, że nikogo nie zachęcam do kochania naszych pobratymców i sąsiadów. Stosunki międzykulturowe opierają się na bazie kochania w sensie erotycznym przede wszystkim. Miłowanie należy do kategorii wyższych, ogólnoludzkich, należy do kanonów etyki. Natomiast w sferze stosunków międzynarodowych ani o kochaniu, ani o miłowaniu nie może być mowy: pierwsze bowiem jest zhyt „fizjologiczne”, drugie zhyt abstrakcyjne. W stosunkach między narodami całkowicie wystarcza wzajemny szacunek, wzajemne zrozumienie, a przede wszystkim zrozumienie własnego interesu. W polityce, jak zaznaczyłem, liczy się rachunek korzyści i do niego teraz się odwołuję.

Patriotyzm jest uczuciem w pewnym sensie metafizycznym, inaczej jak poprzez pojęcia ogólne i abstrakcyjne wytłumaczyć się nie da. Można uważać, że patriotyzm to jest po prostu miłość do tej jednej, konkretnej wierzb płaczącej, pod którą reżyny pastuszek na lujarce gra Chopina, ale to wcale nie jest patriotyzm, to są żarty z patriotyzmu. Patriotyzm to nie da się przypisać ziemi, powierzu, językowi, obyczajowi, le bowiem element — każdy w jakimś stopniu — na patriotyzm się składają, ale same przez się patriotyzmem jeszcze nie są, zaledwie jego zadatkami. Więc jeśli patriotyzm zdefiniować najkrócej, to będzie on konsekwencją naszego przywiązania czy wręcz związania z jakimś narodem, nawet gdyby on był wieloraki (jak dziś np. w Szwajcarii), z jakąś formacją kulturową, z jakąś konkretną postaczą posiadającą wspólny pier historyczny. I to wymaga od nas podstawowej lojalności, a w niektórych przypadkach nawet poświęcenia. Dalej tłumaczyć nie muszę, bowiem młodym jeszcze do niedawna manifestowali świadomość owego patriotyzmu czystem i wręcz nadmiernym przelewaniem krwi, ofiarnością i wyrzeczeniem.

Ale konsekwencja patriotyzmu są szersze. Dotyczą one bowiem także innych narodów. Innych społeczności, innych pni kulturowo-historycznych. Otóż jeżeli zakładamy miłość i wierność własnemu narodowi, to tym innym winniśmy szacunek i uznanie. Nie może być wyjątkości patriotycznej, ta bowiem prowadzi nas nieuchronnie na bezdroża nacjonalistycznych użurpacji. Nie wolno się obrażać na kogoś, kto nie chciał polskości wybrać, nawet wówczas, gdy mieszka wśród nas. Jego świętym prawem jest taka patriotyczna opcja, która

wynika z przeświadczenia, że przynależy on do innej formacji narodowej. Dlatego nie odważyłbym się nikomu stawić zarzutu, że mieszkając w mojej ojczyźnie, ojczyźnie tej za własną nie uważa. Mnie najzupełniej wystarczyła lojalność wobec tej mojej ojczyzny, nie ma bowiem takich sytuacji, w których ktoś z owej lojalności mógłby być zwolniony!

Dawne, przez Stanisława Orzechowskiego w XVI w. sformułowane, orzeczenie o sobie samym, że jest „genie Ruthenus, natione Polonus” doskonale oddaje sytuację, w której znajdują się miliony ludzi na świecie. Rozróżnienie między własną narodową przynależnością i własną przynależnością państwową jest podstawą i patriotyzmu, i płynącego z niego obowiązku lojalności. I chyba nie trzeba tej myśli szerzej rozwijać, tak wydaje się oczywista.

Proszę tylko zwrócić uwagę na fakt, że na naszych oczach formują się narody (np. amerykański, którym to pojęciem obejmuję obywateli Stanów Zjednoczonych), których bazą jest tylko bardzo ogólnie pojęta „anglosaskość”, przeważająca się przede wszystkim w warstwie językowej, gdy tymczasem nowa jakość własnie narodowa dojrzewa dopiero w wyniku stapiania się wieloetnicznej tkanki. Ten sam proces nie dokonał się w Związku Radzieckim, tam bowiem były z dawna dawna ugruntowane terytoria o wyraźnej specyfice etnicznej i prawa wykreowania „homosovieticus” nie przyniosło rezultatów, jak o tym świadczą dokonujące się na tym ogromnym obszarze procesy, niektóre niewiele dramatyczne.

Tak więc naród nie jest czymś niezbędnie statycznym i „odwiecznym”. W większości europejskich krajów, może nawet we wszystkich, obserwować można owe procesy, które się w różnych epokach dokonywały i które się dokonują nieustannie. W Europie Środkowej jest to szczególnie wyraziste.

Ale teraz pojawia się podstawowe pytanie: jak można te problemy rozwiązać, skoro w historycznym dokonywaniu się doprowadziły do przemieszczeń, do wytworzenia rozmaitych formacji diasporyjnych? Czy właściwe remedium to doprowadzanie do kształtowania się państw „narodowo czystych”, co zawsze musi prowadzić do aktów przemocy czy to spontanicznych, czy to osłoniętych parasolem tzw. prawa, ale w efekcie zawsze zbrodniczych? Uważam, że wszelkie akty zmuszające ludzi do przesiedleń, zmuszające ich do opuszczenia ziemi, na której się urodzili, zyl i dalej żyć chcieli to po prostu zbrodnia wobec ludzkości. Człowieka nie musi się po prostu zabić, by powstało zjawisko ludobójstwa. W jego najbliższym sąsiedztwie niegdyś się wszelki gwałt zadawany „w imię prawa”, czy wręcz bez tego parawanu.

Tak więc wysoko ucywilizowane społeczności są skazane na życie w zmieszaniu, w pobratymstwie, w układach, które niejako skazują je na egzystencji sąsiedzkiej z tymi, którzy mają innych przodków, innym mówią językiem, innemu Bogu (czy po prostu tylko inaczej) niosą swe ludzkie sprawy, a nie daj Boże jeszcze na dobitkę inaczej wyglądają. Ci biali, czarni, żółci, kremowi, są blondynami, brunetami czy rudzielcami, są wysocy albo niski, smukli lub korpułentni, mają zadarte lub zagięte nosy. Tyle tylko, że żadna, absolutnie żadna z tych cech nie oznacza, że jej nosiciel jest lepszy czy gorszy od tego, który jej nie ma. Lepszymi czy gorszymi są ludzkie indywidualności, niezależnie od tego, do jakiego narodu przynależą. Społeczność, jako pewna wypadkowa owych indywidualności, nie jest i być nie może lepsza lub gorsza.

Istnieje głębokie przekonanie o tym, że narody posiadają swe własne charaktery, a więc cechy, które występują w znacznej liczebności, które są dziedziczne. Może tak jest, ja raczej sądzę, że tak, ale stąd wniosków o wyższości jednych nad drugimi wyciągać nie sposób. Nie ma bowiem cech generalnych: dobry i zły, są za to cechy takie jak pobudliwość czy opanowanie, równowaga czy emocjonalność, zamilowanie do pracy i do zabawy, itd.

Na tej podstawie wnioskuję, że najlepsze, co się może ludzkiej zbiorowości przydarzyć, to mieszanie się owych cech, wzajemne

zapożyczanie, korzystanie wzajemne z własnych doświadczeń. A ponad tym wszystkim wznosi się niewidzialny gmach kultury, ten ogród rozkoszy ludzkości, wszystko bowiem premija, tylko kultura i jej osady nie przemijają. Dziś już o potęgę państwa nie świadczy to, na jak wielkim obszarze się rozprzestrzenia i ile innych narodów pogłbił jeden naród, oczywiście „wybrany”, ale to, w jakiej mierze poszczególne państwa potrafia sprzątać postępowi cywilizacyjnemu i temu, co dlań stanowi „nadbudowę”: kulturę.

I dlatego boleję, że moje państwo, które kiedyś przyrównałem do karczmy na rozstaju, gdzie każdy mógł znaleźć sobie miejsce przy stole, nagle zostało zubożone do formy „czysto narodowej”, ho to oznaczało także zatamowanie dopływu „nowej krwi”, eliminowało ową moc atrakcyjną, którą Polacy cieszyli się „przez tak długie wieki”, w zamian serwując sobie mity, resentymenty, wrosczenia.

I dlatego trzeba bronić wszelkich, tak już dziś drobnych mniejszości, którym się po prostu należy wspólne miejsce przy stole. A poza tym wiem, że jeżeli dziś uznawać będziemy każdego za równego nam samym wówczas nam się może to przydać w przyszłości. Europa Środkowa jest wciąż jeszcze garnikiem, w którym wrze i bulgocze, który wciąż wytwarza ogromny kożuch „szumu”, i nie stanowi żadnej jedności, a przecież mógłby ją stanowić. Ta permanencja bezproduktywnego wrzenia sprawia, że nam się inni, niepowołani dobrodziejcy, do tego garnka mieszają i własne wytkają w nie chochle.

Ale to osobna i rozległa sprawa, a mnie chodziło tylko o to, by przedstawić korzyści i bogactwa wielkości narodowych rzeczywistości, o to, byśmy się przestali bać i przestali darczyć niechęcią mniejszościowe okrawki. Wówczas i tych Polaków, którzy poza Polską sami stanowią mniejszość, spotykać będzie lepszy los i lepsze zrozumienie sąsiedzie.

I powtarzam: nie chodzi o kochanie — to zachowajmy dla sfery naszych prywatnych aktywności. Chodzi o wzajemność szacunku i o dobre zrozumienie własny interes, który zawsze przecież spleta się z interesami innych.

Tadeusz Chrzanowski

P.S. Cóż za przypięczenie! Gdy ten tekst pisałem, istniała jeszcze PRL. Dziś mamy RP, ale problemy tu poruszane wciąż istnieją (marzec 1990).

CONTENTS AND SUMMARIES

Selim Chazbijewicz: *Poems* / 7

The author, a Polish poet, is a member of the small Tatar ethnic group which has existed in Poland for many centuries. The poems presented here are permeated with a symbolism characteristic for Islam and are an touching expression of a search for the poet's cultural identity.

Monika Adamczyk-Garbowska: *The Writer and the Devil* / 14

The article discusses the Salman Rushdie affair. The author emphasizes the fact that due to all the sensational events accompanying the publication of the *Satanic Verses*, too little attention has been paid to the greatest values represented by the novel, that is its stylistic inventiveness and the presentation — sometimes tragic, sometimes comical — of the emigrants' plight and their 'cultural schizophrenia'.

Salman Rushdie: *Satanic Verses* / 20

The translated fragments include the most controversial passage concerning Islam, as well as one describing the experiences of Salahuddin Chamcha, born in India but educated and living in Britain.

Tadeusz Żukowski: *Elegies* / 27

The poems express the emotional state of the children whose parents had to leave the former Polish eastern territories after World War II and settle in the new north-western region of present day Poland.

Sergiusz Sterna-Wachowiak: *From „The Diary of a Christmas Eve-Wafer Vendor”* / 31

On the example of Wachowa, a small town in western Poland, making use of the *Diary of a Christmas Eve-Wafer Vendor* kept from the 14th century till the modern times and the iconography of one of the oldest Christian cemeteries in Poland, the author presents the harmonious coexistence and mutual enrichment of various national (German, Czech, Dutch, Swedish, etc.) and religious (Lutheran, Calvinist, Hussite, Catholic, etc.) cultural modes.

Armin Müller: *König the Dollmaker and I* / 49

This is a fragment from a novel by a German writer born in 1928 in Lower Silesia. Two young men, a German escapee from a prisoner-of-war convoy and a Polish Resistance member return, in the first months after the war's end, to the Silesia of their childhood, now a part of Poland.

Wacław Oszajca: *Żwiartów* / 63

Oszajca is aside from Jan Twardowski the most distinguished Polish Catholic priest poet. The presented poem describes with deep empathy a Jewish shtetl in eastern Poland destroyed in the Holocaust. Since the

poet himself comes from Żwiartów, the awareness of the Jewish tragedy makes him reflect on his own memories and spiritual links with the extinct community.

Władysław Panas: *Polish-Jewish Literature: The Daring Pen* / 69

A discussion of the interesting literary phenomenon of the sizable body of Polish-Jewish literature from the inter-war period which was dedicated to the return to Eretz Israel. Inspired by political Zionism, it is characterized by a Polish rich in Hebrew expressions. Such a wide usage of Polish to express the idea of a return to Palestine symbolizes the meeting of the two nations on a linguistic ground.

Aleksander Rozenfeld: *Poems* / 78

The poet emigrated to Israel during the martial law. In 1988, after six years, he returned to Poland. His poems reveal the consciousness of someone who tries to keep two identities, Jewish and Polish.

Marek Ehrenpreis: *A Jew's Spanish Journey. Through the Streets of the Jewish Middle Ages* / 82

This essay describes the life and fate of Spain's Sephardic communities before the pogroms and expulsion which resulted in their long sojourn through different European countries before finding a haven in Poland. Published in a long forgotten book of 1930, the text is delightfully written and deeply insightful.

Halina Birenbaum: *Poems* / 91

The poet is one of the few Jewish survivors of the Majdanek concentration camp. This fact is the main motif of her work. She has been living in Israel since the end of the war.

Elżbieta Mucik: *The Destruction of the Uneven World. Three Novels by Leopold Buczkowski* / 94

The three novels discussed here take place in a part of Poland where the Polish and Ukrainian communities lived in close contact. By the time the last two books were written, however, this unique world no longer existed.

The author analyzes the structure of Buczkowski's works and his writing techniques, showing their artistic necessity. The destruction of the reality Buczkowski deals with in his fiction made him look for nontraditional ways of constructing his novel(s) and explains the reasons why this outstanding writer who died in 1989 has not been duly appreciated by readers.

Nikolai Berdyaev: *Russia* / 104

„Russia” is the title of a chapter in the Russian philosopher N. Berdyaev's book on Dostoyevsky. „Russia” is also a testimony to a zealous belief in the spiritual rebirth of a nation which after the fall of the ideas of religious nationalism and messianism was searching for new roads towards affirming its identity, a search for which Dostoyevsky's work had so much significance to the author who was an emigre in Paris from 1922.

Zofia Grzesiak: *Stories* / 117

This is the third time we are presenting this author. Her native language is Yiddish, but she has been writing in Polish several decades now, describing the life of the Jewish and Ukrainian communities of the former Polish borderlands. Her first novel shall soon be published, a debut matching Grandma Moses' in its lateness. Zofia Grzesiak is 75 years old, but her prose has only recently been discovered, thanks to its appearance in „Wież” and „Akcent”.

The short stories in this issue concern the Ukrainian community. The first one charmingly depicts the community's Easter customs.

Stanisław Jedynak: *Lvov: The City where West Meets East* / 128

Until 1939, Lvov was the capital of the Polish „Kresy” where the traditions and customs of East and West met. This resulted in the city's

unique cultural atmosphere. The author illustrates his essay with popular Lvov songs which are making a come-back today.

Jan Bill: *Poems* / 138

Jan Bill is a poet living in Lvov. He has been actively involved in preserving the Polish cultural heritage of Lvov in spite of the difficult situation of the Polish minority in this city.

Mikola Riabchuk: *The Substance of Hell* / 140

This Ukrainian poet and critic's essay is an attempt at analyzing Taras Shevchenko's contribution to 'the democratization of world culture'. Comparing Shevchenko and Pushkin in their attitude to Tsardom, Riabchuk, while not depreciating the poetic accomplishment of the latter, brings to light his dependence on the ideology of Russian imperialism. The former, author of *The Substance of Hell*, stands firmly in the defence of the Ukrainian cultural and linguistic autonomy, stressing the past and current dangers in this respect.

Jan Kielewicz: *The Vegetarian* / 149

The famine in the Ukraine induced by Stalin's collectivization policy resulted in the death of several million people. Kielewicz, a Polish writer deported during the war to the USSR's deep interior, currently living in Argentina, presents a realistic picture of the lives of people living on the border of biological existence.

Waldemar Dagilis: *A Look at Ukrainian Culture in Poland during the Interwar Years* / 157

The Ukrainian question in interwar Poland was a taboo subject until just recently. Dagilis criticizes the Polish government's policy toward Ukrainians. He illustrates his case with the examples of forced Polonization of Ukrainians by exerting administrative pressure on their schools.

Zygmunt Mańkowski: *A Document Concerning the Ukrainian Question* / 169

This document, discovered by Professor Mańkowski, reveals the attitude of the Polish military authorities towards the so-called 'Ukrainian question' in 1935 when the war was hanging in the air. It clearly reveals the ineffective attempts at Polonizing the Ukrainian minority in Poland in the 1930s.

Teotyń Rott-Żebrowski: *Silent Echoes...* / 175

The author describes the tragic experience of the Polish population in the regions incorporated by the Soviet Union on the basis of the Molotov-Ribbentrop Pact and later occupied by the Nazis. The text creates a panorama of individual fates as seen through the author's rich memory.

Aleksander Jurewicz: *The Lida Chronicle* / 199

The main motif of the poem is a return to Lida, formerly a city in Lithuania. The poet confronts his idealized memories from childhood with the contemporary reality.

Krzysztof Woźniakowski: *From the Socio-Cultural Association to the Polish Society in Lithuania* / 203

Poles constitute 20% of Vilnius' population and in some regions of Lithuania they constitute the majority. An important stage of the Polish community's attempt to forge their cultural identity in Lithuania has been to create representative bodies which till not too long ago were severely limited.

Romuald Mieczkowski: *Poems* / 216

Mieczkowski is a Polish poet of the post-war generation living in Vilnius, very active in organizing the cultural life of the Polish minority in the city.

Selim Chazbijewicz: *Tatars in the Polish Literature of the Vilnius Region* / 218

Tatars have been living on Lithuanian territories since the 14th century. While preserving their separate faith and customs, they contributed to

Lithuanian culture, participating in the events closely associated with Lithuanian and Polish history. The article looks chronologically at the literary testimony of Tatars' coexistence with Lithuanians, Poles, Russians and Jews in one political organism, pointing out their original creativity.

Urszula Osypuk, Stefan Symotuk: *The Decline of Poland As a 'Presfiguration' of the Decline of Europe* / 225

Witkacy, with a touch of cynical delight, predicts in his catastrophic philosophy that the fates of the European civilization will be a repetition of the decline of Poland. This vision has its source in the 19th century historiographic views of A. Chłodeński and M. Bobrzyński. The unavoidable end of Europe, according to Witkacy, consists in losing its ability of metaphysical experience, which equals the reduction of the cultural dimension of existence to an unreflective level.

Wacław Iwaniuk: *Poems* / 235

Iwaniuk (born 1915 in Poland and now living in Canada) is the last of those Polish poets who made their debut before World War II and have been living in exile since 1939. In his poems the past confronts the present and his old homeland the new one.

Danuta Mostwin: *The Chain of Generations* / 238

Danuta Mostwin is a Polish writer and sociologist living in the USA. In her essay she reflects on how our conscious and unconscious relationship to our own history, culture and heritage influences our attitude to the reality we live in. In her opinion one's close links with the old 'home' guarantee her his sincere attachment and loyalty towards the new one.

Thomas J. Napierkowski: *Polish American Neighbours: The Fiction of Anthony Bukoski* / 244

Napierkowski discusses the relative absence of Polish Americans in American literary life and the fact that they are often negatively stereotyped in American literature. Against this background he presents Anthony Bukoski, a writer whose work depicts the Polish ethnic minority in a fuller light.

Anthony Bukoski: *The Children of Strangers* / 251

Bukoski's story presents the life of the Polish community in Superior, Wisconsin. Through the eyes of an elderly couple we see the decline of this community due to the younger generation's drifting away from their language and tradition, and the impact of immigrants from other countries.

Sándor Csóri: *A Sense of Infinity* / 259; *The State and the Writer's Imagination* / 261

The two essays of this distinguished Hungarian poet are an attempt to answer the question of the unique situation of a Central European writer after the war, when the state tried to control nearly all aspects of life. This situation, unknown to Western writers, made artists responsible towards their nations which were never identified with the hostile states but perceived as oppressed societies. Oppositional literature abounded in works of moral and political protest contributing to the eventual fall of the totalitarian regimes.

REVIEWS

Paweł Hetmański: *Ba al Shem Tov's Children* / 264

The reviewer discusses two books by Martin Buber and one by Jim Langer, all concerning the idea and meaning of Hasidism, and adds his reflections on the movement's impact on Polish and Jewish philosophy, literature and art.

Monika Adamczyk-Garbowska: *Memory as Therapy* / 267

This is a review of Eva Hoffman's *Lost in Translation* and Iwona Irwin-Zarecka's *Neutralizing Memory*. The two books share the

common motif of utilizing memory, from the personal point of view in the first case (an emigrant's experience) and the collective one in the other (the popularity of Jewish culture and history in present day Poland).

Renata Próchniak: *Birth in One's Own Memory* / 271

This is a review of Izzydor Stein's *Epitafium*. An old man burdened with painful memories experiences a need of describing his past rooted in Kalisz's Jewish community.

Arkadiusz Baglajewski: *The Archeology of Polish Spirituality* / 273

An important subject of the recent novels by Jarosław Marek Rymkiewicz, *Żmuit* and *Umschlagplatz*, is an attempt to explain the meaning of ethnic minorities, Lithuanian and Jewish respectively, for the development of Polish spirituality.

Antoni Bednarek: *The Centurion of Polish Emigre Writers* / 276

A discussion of a dictionary of Polish emigre writers, the first reference book of this type published in Poland. The reviewer analyzes the reasons for the poor state of Polish literary lexicography.

PHILOSOPHY

Tadeusz Kwiatkowski: *The Lvov-Warsaw School of Philosophy and Its Ethos* / 280

The Lvov-Warsaw school of philosophy (J. Łukasiewicz, T. Kotarbiński, K. Ajdukiewicz, T. Czeżowski, W. Witwicki, Z. Zawirski and others) owes its original antidogmatic and antidoctrinal character to Professor Twardowski. In spite of the school's pluralistic world view and the wide spectrum of interests of its members, it managed to adhere to a uniform methodology. The author lays the greatest stress on the school's common moral stance.

ART

Sergiusz Sterna-Wuchowiak: *Tsurik a Heim* / 294

An extremely interesting presentation of the work of Kunegunda Jezowska, as well as of her daughter and son-in-law, folk artists from southern Poland. The perished Jewish community is being immortalized through dozens of clay figurines. The artists' aim is to commemorate and pay tribute to the victims of the Holocaust. Their work reveals their nostalgia for the multitheme past. Photographs of the figurines are amply presented throughout this issue.

Antoni Maślinski: *The Early Baroque Masterpieces of Vilnius* / 305

Vilnius's sacral architecture includes several masterpieces. Maślinski tries to prove that the baroque St. Theresa's Church in Vilnius created by Tencalla is at least comparable to two famous baroque churches in Rome, S. Maria della Vittoria and S. Susanna.

Dorota Kudelska: *Malczewski and Matejko in Przemysł* / 318

Kudelska reviews the exhibition of two prominent Polish painters' works borrowed from Lvov art galleries.

MUSIC

Witold Rudziński: *Musical Life in Vilnius in the Interwar Period* / 321

The author, a composer, pedagogue and editor spent his young years in Vilnius. He describes the musical life of the city before the war, illustrating his essay with personal recollections as well as documentary materials.

INTERVIEW

East Central Europe: *A View from the Outside*. Krzysztof Garbowski talks to Professor Joseph Roithschild / 328

The interview gives some historical background to the events in a region which has undergone such significant changes within the year since the conversation has taken place. Certain topics touched upon have turned out to be quite relevant at present, e.g. the question whether opposition groups have the capability of ruling their respective states and whether the Polish-German border issue would be raised in the event of German reunification.

NOTES

Lajos Palfalvi: *Reading Vincenz* / 337

Jerzy Snopek: *Istvan Kovacs' Latest Book* / 340

Malgorzata Łabecka-Koecherowa: *The First Turkish Comedy in Polish Collections* / 342

The Quarterly: „Muslim Life” / 346

Jagoda Hernik: *Vilnius Literary Wednesdays* / 348

Waldemar Smaszcz: *Two Approaches to Polish Studies in Vilnius: Professor Manfred Kridl and Professor Konrad Górski* / 352

Eugenia Łochowa: *The University of Lvov in the Early Interwar Years* / 356

Waldemar Michalski: *Vilnius and Its Region as Landscape and Multicultural Milieu* / 361

Jan Mizinski: *The Translators' School at the University of Vienna* / 365

Monika Adamczyk-Garbowska: *From Vilnius to Manhattan* / 367

SOCIAL MORES

Tadeusz Chrzanowski: *The End of the Harmony of Nations?* / 369

Chrzanowski, an outstanding art historian, discusses nationalism and patriotism as two mutually exclusive terms. Taking a strong stand against the former, he shows the significance of the Polish multiethnic and multicultural tradition, indicating how much Poland has been enriched by its minorities. He mocks the stereotypes of other nationalities held by Poles, claiming that patriotism implies not only love and attachment to one's own country and tradition but also respect and concern for others.

W poprzednim numerze m.in.:

GEORGES BRASSENS: *piosenki* • ALINA KOCHAŃCZYK: *Poeta w piekle XX wieku* • ALEKSANDER WAT: *Ewokacja* • DOROTA MAZUREK: *Aleksandra Wata poezja doświadczenia i doświadczenia* • DANUTA MOSTWIN: *opowiadania* • *poeci metafizyczni XVII-wiecznej Anglii - nowe przekłady Stanisława Barańczaka* • *Doktorat honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej dla Marii Kuncewiczowej* • ZBIGNIEW BAUER: *Krytyk w podzielonym świecie* • EWA MAZUR: *wiersze* • CZESŁAW M. SZCZEPANIAK: *opowiadania* • TADEUSZ KLAK: *Homo lubliniensis. O Zbigniewie Jakubiku* • ZBIGNIEW JAKUBIK: *Wielkie pranie* • EUGENIUSZ TKACZYSZYN-DYCKI: *wiersze* • MAREK OBARSKI: *Grób na jesionie* • PIOTR KOLY-SZKO: *wiersze* • BARBARA CZWÓRNÓG-JADCZAK: *„Wiesz jak pelikan”* • ZBIGNIEW PRZYBYLIŃSKI: *W zimowej rezydencji* • LESZEK BOJANOWSKI: *wiersze* • ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI: *Unizm w liryce* • KRZYSZTOF KARPÍŃSKI: *Krzysztof Komeda* • *Lubelskie teatry alternatywne (W. Chudy o Scenie Plastycznej KUL, M. Jankowska o Provisorium, J. P. Hudzik o Grupie Chwilowej)* • *Listy Józefa Czechowicza do Wiktora Ziolkowskiego* • Recenzje • Plastyka • Noty.

W następnym numerze m. in.:

Murakami Ryu: *Coin locker habies* • Małgorzata Narożna: *O prozie Murakami Ryu* • Janusz Kryszak: *Portret emigranta* • Wacław Iwaniuk: *wiersze* • Jerzy Święch: *Iwaniuk* • Konrad Sutarski: *wiersze* • Stanisław Rogala: *Rodzinną balladę* • Stefan Symotiuik: *Ejdetyka bramy* • Dagna Ślepów-ronska: *wiersze* • Adam Poprawa: *Zołędzie, gwoździe i Liwiusz. O wierszach Zbigniewa Herberta* • Henryk Pajak: *Ach, tam...* • Andrzej Niewiadomski: *wiersze* • Henryk Kozak: *Dziennik z nieistnienia* • Tadeusz Szkolut: *Michał Bachtin — Sztuka i dialog* • Andrzej Gregosiewicz: *wiersze* • Andrzej Sosnowski: *Tezeusz w labiryncie świata* • John Ashbery: *wiersze* • Wallace Stevens: *wiersze* • Zdzisław J. Czarnecki: *Arnold Toynbee — apokalipsa i nadzieja* • Lechosław Laineński: *Barwne linoryty Henryka Szulca* • Maja Jurkowska: *Wyznanie Kantora — nigdy tu już nie powrócę* • Omówienia książek poetyckich • Noty.

Informujemy Czytelników, że sprzedaż dawnych numerów AKCENTU prowadzi następujące księgarnie:

Księgarnia Wojewódzka w Lublinie
ul. Krakowskie Przedmieście 68
20-076 Lublin tel. 208-25

Księgarnia Ośrodka Rozpowszechniania
Wydawnictw Naukowych PAN
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 37-54-13

Antykwarjat Naukowy
ul. Dąbrowskiego 8
20-189 Lublin tel. 278-27

Tu do nabycia m.in. numery zawierające listy Edwarda Stachury (1/1988), prozę Jerzego Kosińskiego i Danuty Mostwin oraz „listy do ojca” Andrzeja Bursy (3/1988), prezentację Józefa Lobodowskiego i prozę Johna Bartha (1/1989), nowe piosenki Bulata Okudźawy (2/1989), *Wielką Naukę Konfucjusza* (3/1989) oraz piosenki Georgesa Brassensa i sylwetki Aleksandra Wata i Marii Kuncewiczowej (4/1989). Antykwarjat i Księgarnia ORWN realizują wysyłkę zamówionych numerów AKCENTU za pobraniem pocztowym.

Na pierwszej stronie okładki:
Kunegunda Jeżowska, Aleksandra i Feliks Tyłusowie
Żydzi polscy, ceramika polichromowana.

Na czwartej stronie okładki:
Wschowa, Campo Santo, kaplica grobowa rodziny
Lauterbachów, pocz. XVIII wieku.

Fotografie barwne:
Jarosław Szmaluła

Adres redakcji:
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7, I piętro
tel. 27-469

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja niebierze odpowiedzialności za treści.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały RSW „Pismo – Książka – Ruch” i urzędy pocztowe.

Cena prenumeraty półroczna 6000 zł.

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i zagranicę:

- do dnia 10 listopada na I półroczną roku o następnym roku cały rok następny
- do dnia 1 czerwca na II półroczną

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne
im. PKWN i Lublin, ul. Tłocka 4

1 mm 1700. Przekazano do druku 16 XI 1989 r.

Druk ulotniczo w czerwcu 1990 r.

Nakład 6000 egz. Cena zł. 4 000. O-5